

PORZĄDNY KAWAŁ STALI, SPRAWI SIĘ ZNAKOMICIE.



PETER A.  
FLANNERY

MAG  
BITEWNY

II  
Księga



## PETER A. FLANNERY

**P**eter przeszedł długą drogę, nim odnalazł swoje prawdziwe powołanie.

Studiował sztukę i projektowanie, ale opuścił college, by pracować w leśnictwie. Po wypadku, w którym poważnie uszkodził kręgi szyjne, postanowił zostać ogrodnikiem. Następnie zaczął pracować jako rzeźbiarz w przemyśle zabawkarskim.

W czasie gdy pracował dla studia projektowego w Edynburgu, pojawiła się możliwość zmiany profesji – z rzeźbienia na pisanie. Peter odważył się wykorzystać tę szansę i stał się czołowym pisarzem w firmie Target Games UK, gdzie pracował nad pomysłami, nowelami i opowiadaniem do gier planszowych, takich jak „Warzone” i „Chronopia”.

Gdy w 2017 roku ukazał się jego „Mag bitywny”, z miejsca zakasował amerykańskie i brytyjskie rankingi książek fantasy. Powieść od razu przetłumaczono na 7 języków.

Peter, gdy nie pisze, z zamiłowaniem zajmuje się łucznictwem i astronomią. Stara się też być zawsze o krok przed swoimi dwoma synami, zarówno podczas gry w szachy, jak i w uwielbianych przez nich grach strategicznych.

Mieszka z rodziną w małym miasteczku w Szkocji.

# Spis treści

Karta tytułowa

Siedem Królestw Furii

Część III. Wściekłość

53 W drogę

54 Tajemniczy los Jürgena Fockego

55 Brzemię dowódcy

56 Dowódca Czwartej Armii

57 Pogromca

58 Niedostatki zwykłych ludzi

59 Daston

60 Przeciwnik

61 Ucieczka

62 Stare, dobre czasy

63 Wezwanie do broni

64 Pan Danté

65 W ciemność nocy

66 Pośpiech

67 Czwarta Armia

68 Najważniejsza jest wiara

69 Połowiczne zwycięstwo

70 Pewnego późnowiosennego wieczoru

71 Serthiański Wilk

72 Dyplomacja

73 Grzesznik

74 Miecz maga bitewnego

75 Rytuał Assay

76 Kim się staniesz

77 Łowca i zwierzyna

78 Odpowiedzi

79 Zmierzch

## Część IV. Odkupienie

80 Wielki wódz

81 Pojednanie

82 Sydian

83 Le Cœur Noir

84 Niebezpieczeństwo

85 Ból, ból i wieczny ból

86 Złe przeczucia

87 Ciemność odrodzona

88 Trudna rada

89 Mina

90 Hoffen

91 Cena oporu

92 Pycha kroczy przed upadkiem

93 Bitwa o Navarię

94 Dowód miłości i śmierci

95 Złączeni, rozdzieleni

96 Syn Aquili Dantégo

97 Ciemność, głębia i grób

98 Chevalier

99 Tal Der Drei Brüder

100 W ogniu walki

101 Łaska Patryka Fecklera

102 Uratować tych, których kochamy

103 Ciemność

104 Leczenie, żałoba i nadzieja

105 Wszystkie hordy piekielne

106 Kopiec Upadłych Dusz

Epilog

Karta redakcyjna

PETER A.  
FLANNERY  
MAG  
BITEWNY

II  
Księga

TŁUMACZYŁ  
MACIEJ PAWLAK

ILUSTRACJE  
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów®  
LUBLIN – WARSZAWA





cześć

WŚCIEKŁOŚĆ

## W drogę



Pomimo wytrwałości Aureliana i cierpliwości Mereditha Falko nie poczynił najmniejszych postępów w magii ofensywnej. Ale był coraz lepszy w defensywie. Gdy kampania treningowa była już blisko, zaczęli koncentrować wysiłki na magii leczniczej, do której Falko miał nadzwyczajną smykałkę. Nicolas, szczególnie uzdolniony w tej materii, często towarzyszył pozostałym podczas ich wizyt w szpitalu akademii.

– W większości zajmujemy się drobnymi obrażeniami – poinformował ich główny lekarz, gdy dłonie Falka spoczęły na złamanej nodze stajennego, który oberwał końskim kopytem. – Zwichnięcia, naderwania, czasem złamane kości, jak tutaj.

Doktor wiedział o leczniczych mocach magów bitewnych. Zawsze z chęcią obserwował Dusaule'a przy pracy, gdy ten miał dyżur w jego placówce.

– Umiejętność uśmierzania bólu to wielki dar – ciągnął. – Ale to nie ból jest przyczyną śmierci pacjentów. Niedrożność oddechowych, krwawienie, wstrząs, zakażenie... To one zabijają.

Falko zamknął oczy i skupił się na strzaskanej kości, którą czuł pod skórą stajennego. Nie potrafił dostrzec szczegółów złamania, ale był w stanie odtworzyć w umyśle jego ogólny obraz.

– Nie koncentruj się na tym, by uleczyć takie czy inne obrażenie – poinstruował go stojący nad nim Meredith – tylko skłoń ciało, by samo się uleczyło.

Obok niego Dusaule potwierdził skinieniem, a mężczyzna na łóżku syknął, kiedy niespodziewanie poczuł gorące wibracje w miejscu złamania. A potem westchnął, bo ból ustąpił. Popatrzył w zdumieniu na Falka.

– *Merci, jeune maître* – powiedział w języku Clemoncé. – Dziękuję,



młody panie.

Falko uśmiechnął się i cofnął o krok, a dwaj pielęgniarze zbliżyli się, by opatrzyć pacjentowi nogę i założyć szynę. Kość nie była jeszcze całkiem zrosnięta, ale dzięki interwencji Falka zaleczy się znacznie szybciej.

– W ten sam sposób można zatamować krwawienie, ustabilizować funkcjonowanie narządów wewnętrznych i zapobiec zakażeniu – pouczył go Meredith. – Ale taka przyspieszona regeneracja ma swoją cenę. Leczenie poważnych ran może wysać z maga bitewnego wszystkie siły.

Falko pokiwał głową na znak, że rozumie, a potem rozejrzał się po szpitalu, by zobaczyć, czy może pomóc komuś jeszcze. Oddział Królewskiego Korpusu Ratowniczego miał dołączyć do kadetów na czas kampanii treningowej. Jego członkowie odetchną z ulgą, wiedząc, że będą mogli liczyć na wsparcie maga bitewnego, nawet jeśli to tylko nowicjusz, wciąż odkrywający pełnię swoich mocy.

W dniu, w którym kadeci mieli wyruszyć w drogę, Aurelian wręczył Falkowi zbroję, miecz i tarczę.

– Porządny kawał stali, sprawi się znakomicie – powiedział stary mag bitewny, nakładając uczniowi naramienniki. – Oczywiście błędnie w zestawieniu z tym, co zwykle wychodzi spod młota Antonia, ale nie jest źle.

Falko nałożył hełm, wziął do ręki okrągłą tarczę, a potem złapał za miecz.

– Ta głownia nie wytrzymałaby wypełnienia magiczną energią maga bitewnego – tłumaczył Aurelian. – Ale póki co nie podgrzałyś nawet miski zupy, więc to nie problem. A poza tym to przecież tylko kampania treningowa. Nie wiem, po co w ogóle zabierasz miecz.

– Dziękuję – rzekł Falko, sprawdzając, czy pancerz nie krępuje mu ruchów. Hełm – barbuta wyposażona w duży otwór w kształcie litery T – prawie nie ograniczał widoczności. Aurelian znalazł też parę kawaleryjskich butów w rozmiarze Falka. Zbroja rzeczywiście była porządna, ale po przymiarce wykutego na miarę pancerza Missagliasa wydawała się nieporęczna i niewygodna.

– Pamiętaj – przestrzegł ucznia Aurelian, gdy Falko zbierał się do wymarszu. – Żołnierze mogą nie czuć się komfortowo w twojej obecności. Nie bierz tego do siebie. Ludzie od zawsze boją się tego, czego nie rozumieją. Będą szeptać za twoimi plecami. Śmiechy i pieśni będą cichnąć, gdy znajdziesz się obok. Ale bądź pewien, że gdy zetkniecie się z Opętanymi, każdy mężczyzna i każda kobieta w armii będą szukać wsparcia u ciebie. Rozumiesz?

Przez chwilę Falko wpatrywał się ponurym wzrokiem w starego maga bitewnego. Pancerz na jego ramionach nagle zrobił się ciężki, lecz

Falko pokiwał głową na znak, że pojmuje.

– No, to powodzenia – rzucił Aurelian. – Postaraj się nie zrobić z siebie głupka.



Armia kadetów wyruszyła w drogę zimnego wiosennego poranka, gdy cienka warstwa mgły wciąż zalegała na mokrej od rosy trawie. Nie towarzyszyły im fanfary, tak jak Czwartej Armii. Gdy kadeci sprowadzali swoje jednostki z płaskowyżu, tradycyjny salut odtrąbił tylko jeden róg. Nie przeszli przez miasto. Wybrali szeroką drogę, która spływała łagodnie ze wzniesienia, a potem zwracała się w głąb łądu do brodu Garr.

Opuściwszy miasto, dostrzegli odległą postać stojącą na wschodnim tarasie pałacu. Odległość była zbyt duża, by mogli mieć pewność, ale byli przekonani, że to królowa. Wielu kadetów pozdrowiło ją uniesieniem broni, ale Falko tylko na nią patrzył. Pamiętał dobrze, jak zdenerwowana była podczas ich ostatniego spotkania. Wiedział, że dręczą ją niepewność i pytania, na które nie miała odpowiedzi.

Czy Beltane przetrwa bój z armiami Marchia Dolora?

Czy Valencja obroni Navarię, czy może zostawi ją na pastwę losu?

Czy rzeczywiście przeoczyli coś w Illicji? A jeśli tak, to czy posłała swojego emisariusza na śmierć?

Falko zmusił się, by oderwać wzrok od niknącej w oddali postaci. Armia kadetów miała odbyć serię ćwiczeń na obszarze oddalonym od stolicy o kilka mil w głąb łądu. Nie zanosilo się na to, by napotkali wroga na swojej drodze, ale Falko poczynił solenne postanowienie, by jeśli tylko nadarzy się sposobność, przysłużyć się jakoś królowej. Jeśli istniał sposób na to, by wyczytać z umysłu wroga jakąś cenną informację, zrobi to.

Falko nie dowodził żadnym oddziałem, jechał więc z Malakim i pozostałymi kandydatami na rycerzy. Wszyscy mieli na sobie kolczugi, a mieczom wiszącym przy ich pasach towarzyszyły lance przytroczone do siodła, gdzie znajdowała się też reszta pancerza. W armii treningowej stanowili elitarną jednostkę, którą dowodził teraz niejaki Malaki de Vane.

Można by przypuszczać, że inni kadeci będą mu zazdrościć tej zaszczytnej rangi, lecz wyglądało na to, że młodzieńcy są ponad taką małostkowość. Akademia nie tylko nauczyła ich wojennego rzemiosła, ale też pomogła im dorosnąć. Nie po raz pierwszy Falko pomyślał, że młodzieńcza brawura i pozerstwo wyrastają ze strachu i niepewności.

Im młodzi wojownicy więcej potrafili, tym mniej byli skłonni do przechwałek i rozpychania się łokciami. Nawet Jareg przestał być taki niezdolny. Wciąż nie lubił Falka, to było jasne jak słońce, ale nie starał się już za wszelką cenę okazywać mu antypatii.

Danté powiódł wzrokiem po kolumnie żołnierzy. Dostrzegł młodego szlachcica na czele przydzielonych mu husarzy. Za szeregami jego kawalerii włókł się odziany w szare barwy oddział Wygnańców. Zdyscyplinowana jednostka maszerowała równym krokiem, tylko młody dowódca co rusz zmieniał nogę, wybijając żołnierzy z rytmu. Starał się robić wrażenie, że to przez przypadek, ale Falko wiedział, że tak nie jest.

– To pewnie przez nerwy tak mu się nogi plączą – powiedział Falko, śmiejąc się na widok usiłujących odzyskać rytm żołnierzy za plecami Alexa.

– To bym rozumiał... – skrzywił się z dezaprobatą Quirren.

Alex powtarzał swój sporadyczny żart, aż któryś weteran zmroził go spojrzeniem. Młody dowódca skłonił mu się i odtąd już szedł normalnie.

– To zachowanie niegodne oficera, ot co – zeźlił się poważny Quirren, ale Falkowi nie umknęło spojrzenie z ukosa, które weteran posłał jednemu ze swoich kamratów. Ci ludzie byli wyjąłowieni trudami życia i ponurzy. Podobnie jak Quirren rozpaczali nad frywolnością dowódcy, lecz Falko widział, jak wymieniają ukradkiem uśmiechy. A kiedy kilkaset jardów dalej Wygnańcy znów zaczęli się potykać, gdy Alex po raz kolejny z rozmysłem zgubił rytm, po oddziale Die Verbannten przemknęła fala wstrzymywanego nieudolnie śmiechu.

– Beznadzieja! – obruszył się Quirren, ale rozbawiony Malaki tylko trącił Falka ramieniem.

Zza ich pleców dobieła się salwa bynajmniej nie tłumionego rechotu. Obróciwszy się, ujrzeli oberwane szeregi Urwipolciów.

– Przynajmniej nie maszerujemy za nimi! – powiedział Malaki.

Falko zachichotał, podobnie jak kilku jadących nieopodal rycerzy. Fetor ciągnący się za Urwipolciami obrósł legendą, a szczególnie zabójczy był ten po nocnej pijatyce. Falkowi mignęła ruda czupryna Bryny, która sunęła na czele jednostki. Strzelcy mieli na sobie lekkie zbroje, niebieskie wutowane kubraki i turkusowe płaszcze podróżne. Gdyby ktoś zmrużył oczy, mógłby uznać, że w niczym nie odstają od reszty królewskiej armii, ale jak mawiał Dedric Sayer: z łajna bicza nie ukrećisz.

W skład armii kadetów wchodziła kolumna dwóch tysięcy żołnierzy i wozy z zapasami, które miały trafić do mieszkańców Le Matres. Armie eskortowali ubrani w srebrnoszare szaty asesory oraz dowódcy tymczasowi, którzy tworzyli łańcuch dowódczy. Z czasem będą oni powierzać kadetom coraz więcej odpowiedzialności, aż wreszcie cała bez wyjątku armia znajdzie się pod ich dowództwem.

Na tyłach kolumny jechały trzy postacie w purpurowych szatach magów. Falko w pewnym momencie wstrzymał konia i zrównał się z Meredithem, który przywitał go skinieniem. Towarzyszący mu dwaj czarodzieje nie dali po sobie poznać, czy go zauważyli. Jeden wyglądał, jakby drzemał w siodle. Drugi patrzył przed siebie, jakby był w transie.

– Koncentruje się – wyjaśnił Meredith, widząc, że Falko przygląda się mężczyźnie. – Jego umysł jest połączony z umysłem innego maga w Furii, jednego z tych, którzy pomagają mi w eksperymencie.

– Czy to znaczy, że mógłbym teraz porozmawiać z kimś w wieży?

– Niebezpośrednio – odparł Meredith. – Ale moglibyśmy przekazać mu twoje słowa.

Falko pokiwał z uznaniem głową.

– Jeśli się rozproszy, połączenie zostanie przerwane?

– Zgadza się. – Mina Mereditha wyrażała to, jak wysoki jest współczynnik trudności zadania, które mag sobie wytyczył.

– A co się stanie, jeśli zaśnie? – indagował Falko.

– Jeśli on się zmęczy, ktoś z nas go zastąpi. Po prostu przekaże nam połączenie.

Chłopak znowu musiał pokiwać głową. To niesamowite, że magowie potrafili tak długo utrzymać całkowite skupienie. Jechali chwilę w ciszy. Falko sam się zdumiał, jak komfortowo czuje się w obecności Mereditha. Zupełnie inaczej niż w obecności jego ojca, przy którym nie czuł nic poza strachem i niepewnością.

– Czy wykonałeś ćwiczenia, które ci zadałem? – zmienił temat przewodnik. Usiłował nauczyć Falka, jak tworzyć gorąco i wypełniać nim różne rzeczy, na przykład miecz.

– Czuję rosnącą energię, ale gdy próbuję ją skanalizować, rozprasza się – odpowiedział Falko. – Prawda jest taka, że po prostu się jej boję. Jakbym więził w swoim wnętrzu potwora, którego za nic nie wolno mi wypuścić.

Meredith uniósł wolno głowę, aż spotkały się ich spojrzenia.

– Jesteśmy synami naszych ojców, Falko. Ale nie nimi samymi.

Młody mag bitewny nie odwracał wzroku. Pierwszy raz pomyślał o tym, że Meredith może obawiać się tego, że zmieni się w kopię Morgana Sakera, tak jak Falko obawiał się, że sam może popaść w szaleństwo, podobnie jak jego własny ojciec. Skinął głową i jechali dalej razem w niekrępującej ciszy, aż nadeszła chwila, w której nowicjusz musiał przejąć połączenie z magiczną wieżą w Furii.

– Znajdę cię dzisiaj wieczorem – obiecał Meredith. – Poćwiczymy telekinezę.

Falko kiwnął głową. Potrafił już poruszać przedmiotami znajdującymi się niedaleko. Udało mu się nawet przysunąć do siebie miecz z odległości dwudziestu kroków, tak że mógł bez przeszkód

schylić się i go podnieść, nie ruszając się z miejsca, czego nie potrafił nawet Aurelian. Mało tego, Meredith był przekonany, że ucznia stać na jeszcze więcej.

– A więc do zobaczenia – pożegnał się Falko.

Mag skłonił mu się, ale wyraz jego twarzy powiedział podopiecznemu, że Meredith już odpływa w magiczny trans.

Armia szła naprzód marszowym krokiem. Osmagane wiatrem nadbrzeżne wzgórza ustąpiły miejsca lasom. Falko cofnął się pamięcią do podróży, jaką odbył z przyjaciółmi do stolicy. Drzewa dopiero zaczynały puszczać pąki, a zachodzące słońce sprawiło, że zaśniły zielonym blaskiem, gdy wojsko zatrzymało się na noc w rozległej rzecznej dolinie. Rozbijanie obozu trwało o wiele dłużej, niż powinno, i asesory nie byli zadowoleni. Bardziej doświadczeni spośród żołnierzy szybko zabrali się do rutynowych czynności, ale ku zdziwieniu wszystkich to Urwipolcie pierwsi zasiedli do wieczerzy.

– Po prostu pozwalam im robić, co tam mają do zrobienia – wyjaśniła Bryna, gdy Alex zapytał ją, jaka dowódcza sztuczka pozwoliła jej ogarnąć tę zbieraninę łotrów.

Z każdym kolejnym dniem rozbijanie i zwijanie obozu przebiegało coraz sprawniej. Kadeci szybko oswoili się z nową rutyną i nie minęło wiele czasu, gdy ich wydajność znacznie wzrosła.

Meredith codziennie znajdował chwilę na szlifowanie magicznych umiejętności Falka, ale wciąż nie udało mu się doprowadzić do przełamania jego wewnętrznej blokady. Dziesiątego dnia kampanii Falko i jego przyjaciele siedzieli razem przy ognisku, gdy nagle przybiegł do nich jeden z obozowych chłopców na posyłki, ściskając w garści plik listów z Furi. Falko patrzył, jak posłaniec rozdaje je kadetom. I zdziwił się, gdy podszedł również do niego.

– To przyszło do akademii kilka dni po wymarszu – wyjaśnił, wręczając mu list.

Falko natychmiast rozpoznał charakter pisma.

– To od Fossetty – rzekł, podziękowawszy chłopcu.

– Co pisze? – zaciękała się Bryna.

Przysunęła się bliżej z Malakim, a Falko zaczął czytać. Listy z domu były rzeczą rzadką i cenną. Przypominały też kadetom, dlaczego w ogóle wstąpili do akademii, ci zaś czerpali siłę z tego przypomnienia.

*Najdroższy Falko,*

*Jeśli mój ostatni list dotarł do ciebie, to mam nadzieję, że ten dotrze również. Chciałam ci napisać, że zmierzamy do prowincji Tourienne i zostaniemy tam przez kilka tygodni, nadarza się więc okazja, byś do mnie napisał (jeśli chcesz). Jest tam pewna liczba dzieci, które musimy odwiedzić. Nasz bazą wypadową będzie*

*miasteczko Daston. Burmistrz, bardzo miły człowiek, powiedział, że chętnie przyjmie i przekaże nam wszelkie przysłane do nas listy, jeśli więc zechcesz napisać, podaję adres kontaktowy:*

*Fossetta Pieroni  
Pod adresem: Maire Philippe Decazes  
Daston  
Tourienne*

*Przyszła wiosna, jedziemy więc rażno na wschód. Ale im bardziej zbliżamy się do granicy, tym bardziej musimy mieć się na baczności. Już dwukrotnie zetknęliśmy się nocą z Opętanymi. Któregoś wieczoru zabłąkany skiryta pojawił się znikąd na obrzeżu naszego obozowiska. Nic nie robił, gapił się tylko na nas takim wzrokiem, że włosy zjeżyły mi się na głowie, a gdy kapitan de Roche go zaatakował, rozmył się w ciemności i zniknął. Potem około tuzina skirytów i wielka bestia zaatakowały wioskę, w której akurat przebywaliśmy.*

*Mieszkańcy zdołali się jakoś obronić, ale trzeba było aż ośmiu chłopów z włóczniami na dziki, by powalić potwora (czy też bestiaruma, jak nazwali go miejscowi). Kilku mężczyzn odniosło rany, a jeden niechybnie by umarł, gdyby szybko nie pomogła mu Heçamedes.*

*Najwyraźniej nie była to pierwsza napaść Opętanych w tym rejonie. Ludzie żyją tu w ciągłym strachu. Ale pomimo nieustannego zagrożenia Tobias jest zdecydowany, by przeć dalej naprzód. Obawiam się jednak, że jeśli ataki będą się nasilać, może będziemy musieli ograniczyć się tylko do tych terenów, które wciąż są poza zasięgiem nieprzyjaciela.*

*Ale dość już o naszych zmartwieniach. Jak się miewasz? Bardzo chciałabym wiedzieć, że jesteś zdrow i cały. Proszę, odpisz, jeśli tylko zdołasz.*

*Twoja na zawsze*

*Fossetta*

– Daston – powiedział Alex, nachylając się przez ramię Falka. – To zaledwie kilka mil od Le Matres, prawda?

– Może nadarzy się okazja, by zobaczyć się z Fossettą – powiedział Malaki, a serce Falka urosło na tę myśl.

– Lepiej nie obiecywać sobie zbyt wiele – powiedział przezornie. – Ale

kto wie? Może się uda.

– Kim jest ta Fossetta? – spytał Huthgarl, wyrażając chyba ciekawość wszystkich pozostałych kadetów.

– To kobieta, która mnie wychowała – powiedział Falko, czując ściskanie w gardle.

– Skoro tak, to musisz ją odwiedzić, bez dwóch zdań – odparł wielki Beltańczyk.

Reszta potwierdziła skinieniami, rozumiejąc doskonale tęsknotę za czasami, gdy życie było prostsze, a świat nie taki wielki.

– Tak – zgodził się Falko. – Zrobię to.

Później tej nocy młodzieniec położył się na posłaniu i zapatrzył w ciemność, rozmyślając o tym dziwnym zrzędzeniu losu, które posłało ich w drogę w tym samym kierunku. Ale zaraz uświadomił sobie, że to nie los i nie przypadek – tylko Opętani. Tobiasz i Fossetta, Nathalie i emisariusz, a teraz on sam wraz z innymi kadetami jechali do miejsca, które ucierpiało najmocniej ze strony wroga. Tam, gdzie byli najbardziej potrzebni.

Dalej na południu będą kolejne oddziały koncentrujące się w zagrożonych miastach Illicji i Beltane, obywateli królestwa Furii zdecydowanych zrobić, co w ich mocy, by zatamować napływ wrogów w jego granice. Nietrudno było poddać się beznadziei, lecz Falko zwarł szczęki i błysnął w ciemności zielonymi oczami. Jeśli wszyscy żołnierze byli tacy jak ci, którzy kierowali się teraz na Le Matres, to jeszcze nic straconego, jeszcze jest nadzieja.

Pokrzepiony tą myślą i perspektywą ujrzenia Fossetty, Tobiasza i Heçamedes, Falko zasnął.

## Tajemniczy los Jürgena Fockego



**S**to mil dalej w kierunku wschodnim emisariusz poruszył się niespokojnie przez sen. Podniósł głowę, zastanawiając się, co go obudziło.

Cisza... Zwyczajowe odgłosy pogrążonego we śnie obozu, rozproszony chór oddechów, chrapanie, przyciszone głosy wartowników, chrupanie posilających się obrokiem koni.

Wszystko wydawało się w porządku, ale ostrożności nigdy dosyć. Odkąd Czwarta Armia znalazła się na illicyjskim froncie, emisariusz sypiał płytko. Stojący przy namiocie Tapfer prychnął cicho, a emisariusz obrócił się na drugi bok, by złapać jeszcze kilka godzin snu. Perszeron nie wydawał się zaniepokojony. A więc, przynajmniej na razie, nie było powodu do obaw.

Ujął w palce wisiołek z końskim łbem, który miał zawieszony na szyi, i wtulił głowę w siodło okryte owczą skórą, służące mu za poduszkę. Wszyscy żołnierze byli uważniejsi niż zwykle. Już dwa razy w ciągu ostatnich dni napadły na nich małe oddziały Opętanych. Niewielkie grupki skirytów wyłaniały się z mroku, wspomagane okazjonalnie przez bestiarumy oraz toksytów o zawiązanych oczach, którzy zasypywali ich czarnymi strzałami. Nie było ich dość, by zagrozić armii, ale dostatecznie dużo, by zasiać strach i zmącić sen.

Tylko raz doszło do potyczki, ale oddział wroga nie był zbyt liczny, więc został łatwo rozбит. Żołnierze dokonali tego tak szybko, że nie było potrzeby angażować do walki magów wojowników, z czego nie był zadowolony ich dowódca, Dagoran Sorn. Mężczyzna rozpaczliwie pragnął sprawdzić się w boju i powiadomić Galena Thralla o sukcesie przedsięwzięcia.

Dagoran robił wrażenie, jakby obawiał się porażki, podczas gdy największą obawą emisariusza było spotkanie z demonem na polu bitwy. Weterani może zdołaliby przez jakiś czas obronić się przed



strachem, ale bez wsparcia maga bitewnego prędzej czy później każdy padał jego ofiarą.

Chevalier zamknął oczy, próbując odpędzić obawy. Nathalie dwa razy spotkała się z nim w czasie podróży. Poinformowała, że w okolicy jest tylko jeden demon, i obiecała wrócić, nim zacznie stanowić zagrożenie dla Czwartej Armii. Emisariusz był jej wdzięczny, ale wiedział, że ona również nie jest wolna od obaw. Wciąż nie udało jej się znaleźć illicyjskich magów bitewnych Wildegrafa i Jürgena. Dotarły do niej raporty mówiące o tym, że Wildegraf badał na południu prawdziwość pewnych pogłosek. Sama zmierzała w tej chwili w tamtym kierunku, by go odszukać. Następnie miała spotkać się z emisariuszem na południe od Hoffen, by wesprzeć Czwartą w walce ze zbliżającym się do niej demonem.

Pokrzepiony perspektywą rychłego powrotu Nathalie, emisariusz pozwolił swoim myślom rozwiać się, a potem, przycisnąwszy wisiorek do piersi, zapadł w płytki, czujny sen.



Pięćdziesiąt mil na południowy wschód dalej Nathalie potoczyła wzrokiem po połaci lądu pogrążonej w mroku nocy, gdy Ciel wylądowała na spękanej, wypiętrzonej skale. Było zbyt ciemno, by dostrzec cokolwiek, ale czuła, że coś jest nie tak. Wildegrafa nie było tam, gdzie miał być, a teraz dobiegły ją wieści o zaginięciu Jürgena Fockego.

Niestety, było zbyt późno, by kontynuować poszukiwania. Wznowi je o świcie. Obiecała emisariuszowi, że spotka się z nim na południe od Hoffen, ale nie chciała rezygnować z poszukiwań przed rozmówieniem się z Wildegrafem. Chciała potwierdzić, że podejrzenia Falka, które zgłosił w Komnacie Rady, były bezpodstawne.

Nathalie żywiła nadzieję, że chłopak się mylił, ale coś jej mówiło, że to nieprawda. Królowa podzielała jej obawy, ale nawet gdyby było inaczej, Nathalie musiała wiedzieć na pewno. Teraz jednak przyszedł czas na odpoczynek, więc magiczka i Ciel przeniosły się do miejsca skrytego za skalną ścianą, gdzie Nathalie schroniła się pod skrzydłem swojej towarzyszki. Smocze łuski miło grzały ją w plecy.



W magicznej wieży w Furii wielki veneratu Galen Thrall spojrzął w dół,

gdzie w komnacie narad przebywali trzej magowie pomagający Meredithowi w jego projekcie. Jeden siedział na kamiennym krześle na środku pomieszczenia pogrążony w medytacji, drugi spał na prostej pryczy, a trzeci jadł późną kolację przy drewnianym stole. Żaden z nich nie opuścił komnaty przez jedenaście dni. I żaden tego nie robi, dopóki eksperyment nie zakończy się powodzeniem lub nie przerwie go porażka.

– Wciąż utrzymują kontakt? – spytał Thrall cichym, nieniosącym się wśród kamiennych korytarzy głosem.

– Tak – odparł stojący obok Morgan Saker. – Połączenie nie zostało przerwane.

Żrenice wodnistych, zielonoszarych oczu czarodzieja zwężyły się.

– Imponujące. Kto wie, może wynalazek twojego syna zadziała. – Morgan Saker skłonił się bez przekonania. – Jesteś pewien, że poinformuje nas o postępach Dantégo w magii ofensywnej?

– Ma pełną świadomość swoich powinności – zapewnił go Saker. – Zrobi, co kazaliśmy mu zrobić.

– A nasza magiczna armia?

– Spokojna głowa. Jeśli Meredith dowie się o jakichś jej sukcesach, o tym również nas powiadomi.

– Doskonale – rzekł Thrall z zadowoleniem, a jego żrenice zamigotały jak rozżarzone węgle. – Nie możemy pozwolić sobie na opóźnienia. Gdy tylko uzyskamy pewne informacje o skuteczności magów wojowników, będziemy mogli podjąć kroki przeciw królowej. A gdy osadzimy na tronie Ludovica, będziemy o krok bliżej przejęcia władzy.



Królowa stała w oknie swojej komnaty, ale nie patrzyła w morze, lecz na wschód, w głąb lądu. Gdzieś tam jej poddani maszerowali na spotkanie śmiertelnego niebezpieczeństwa, a mimo to myślała o nich z zazdrością. Lepiej stawić czoła czarnym mieczom niż tajemnym machinacjom tych, którzy chcieliby usunąć ją z tronu.

Wiedziała, że Thrall z niecierpliwością czeka na informacje o armii magów, od której uzależnia wszczęcie puczu. Będzie udawał lojalnego poddanego, ale w końcu uzyska kartę przetargową, która jest mu potrzebna, by wymóc na królowej małżeństwo z księciem Ludovikiem. Ona zgodzi się na nie przez wzgląd na dobro swego ludu i nikt nigdy nie dowie się, jak głębokim bólem przyplaci tę decyzję. Pogrzebie swoje uczucia i poświęci je dla sojuszu, który może okazać się zbawienny dla jej poddanych.

Nocne powietrze raptem zaczęło ziębić jej odsłonięte ramiona i królowa zadrżała. Przez krótki, wypełniony goryczą moment żywiła nadzieję, że armia magów zawiedzie, lecz ta myśl wypełniła jej serce wstydem. Po jej policzku spłynęła łza. Zrobiłaby wszystko, byle tylko ocalić swój lud. Jeśli będzie musiała ugiąć się przed Thralliem, poświęcić swoje osobiste szczęście – niech tak się stanie.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli skupiła w sercu całą swoją rozrzewnioną niepewnością i rozłąką miłość, a potem wysłała ją w świat, żywiąc nadzieję, iż odnajdzie ona emisariusza i żołnierzy Clemoncé, kadetów pchanych do czynu przez młodzieńczą determinację, magów bitewnych i ich smoki, którzy dźwigają na swoich barkach tak ogromny ciężar, wreszcie również do magów wojowników, którzy rzucają wyzwanie ciemności w imieniu wielkiego veneratu.

Przecież oni również są jej poddanymi, obywatelami Furii.

Wreszcie jej myśli osiadły na młodym Dantém. Miała nadzieję, że zbliżył się już na tyle do linii frontu, by coś wyczuć... to znaczy jeśli jego podejrzenia pokrywają się z prawdą. Wciąż nie otrzymała żadnych wieści od Nathalie. Królowa zastanawiała się, czy udało jej się odszukać Wildegrafa i Jürgena. Magowie bitewni z Illicji od lat walczyli w tym rejonie. Jeśli wróg szykuje tam jakiś fortel, z pewnością się zorientowali i podzielą się swoimi informacjami z Nathalie.

Zachowując swoje ostatnie myśli dla Chevaliera, królowa odwróciła się od okna, by złapać choć kilka godzin snu. Może jutrzejszy dzień przyniesie jej dobre wieści. Może okaże się, że wszystko jest w porządku i nie pojawiło się żadne nowe zagrożenie.



Noc minęła i wstało słońce. Na Utraconych Ziemiach Illicji mag bitewny Wildegraf Feuerson słuchał uważnie raportu załęcznionych żołnierzy. Składał w jedną całość zdania potrząskane przez strach, szok i wstyd. Opowiadali, jak ruszyli w głąb Utraconych Ziemi, by odbić uwięzione tam rodziny. Jak w czasie gdy przemykali lasami, zniemacka padł na nich cień. Cień pochłaniającego wszystko przerażenia, wydobywający się z trzewi zakutego w stal demona o potwornej sile. Zrzućeni z koni, z pewnością by zginęli, gdyby spomiędzy drzew nie wyskoczyła jeszcze jedna postać – wojownik na koniu... mag bitewny.

– Ruszył na demona, ale ten ubił jego wierzchowca w biegu... – dukał jeden z przerażonych do żywego mężczyzn. – Zaatakował ogniem, zamachnął się mieczem... ale to nie wystarczyło. Demon nawet nie odniósł ran.

- Wrzasnął, byśmy uciekali.
- To uciekliśmy.
- Wskoczyliśmy na koń i puściliśmy się cwałem...
- Nic nie mogliśmy zrobić...
- Kazał uciekać!
- Nie mogliśmy mu pomóc...

Wildeggraf ściągnął brwi, słysząc ten rozczłonkowany raport. To prawda, że nic nie mogli zrobić, a jednak wspomnienie tego dnia położy się cieniem na reszcie ich życia. Poczucie winy nie opuści ich do ostatniego dnia.

- Gdzie to się wydarzyło? – spytał.
- W dolinie Keiler. Cztery dni drogi na południe.

Wildeggraf podziękował im i wskazał drogę do miasta Hoffen, gdzie, jak wiedział, będą bezpieczni. Po chwili, wciąż nosząc na sobie ich spojrzenie, mag odwrócił się do swojego smoka Beryliana, który wyłaniał się właśnie z rzadkiego lasu. Szmaragdowe łuski lśniły w mętym świetle, przesączaającym się przez korony drzew. Żołnierze skupili na nim tchnący bojaźnią wzrok. Smok był niezaprzeczalnie potężnym stworzeniem, ale nie budził przerażenia jak demon. Raczej podziw i szacunek.

Wildeggraf trwał w głębokim namyśle, gdy Berylian wrócił na polanę, skąd można było wzbić się do lotu. Strzępy opisu wskazywały na to, że tym magiem bitewnym, jedynym w okolicy, musiał być Jürgen Focke. Przywołanie Jürgena pozostało wprawdzie bez odpowiedzi, ale to nie powstrzymało maga przed oddaniem sprawie licznych zasług. Marne szanse, by natknął się na żołnierzy przypadkiem. Raczej tropił demona, który się na nich zasadzał.

Mimo to Wildeggraf się martwił. Wyciągnął z relacji żołnierzy kilka niepokojących wniosków na temat natury tego demona. Potwory często ukrywały się pod płaszczem cieni, ale dziwne było, że napotkany piekielnik z taką łatwością oparł się atakowi maga bitewnego. Jürgen może i nie został pobłogosławiony smokiem, ale bynajmniej nie był słabeuszem. Berylian przygotowywał się do lotu, a zamyślony Wildeggraf zaczynał rozumieć, że być może wydarzyło się najgorsze. Bo dlaczego Jürgen nie dogonił żołnierzy po walce, by im pomóc?

Berylian spojrzał na niego, a obrazy, które przemknęły przez głowę Wildeggrafa, nie należały do przyjemnych.

– Tak, przyjacielu – powiedział do smoka. – Obawiam się, że możesz mieć rację.

Złapał się siodła, a Berylian wystrzelił w niebo. Jeśli ten piekielnik sam poradził sobie z Jürgeniem, oznaczało to, że był o wiele groźniejszy od wszystkich napotkanych dotąd demonów. Chcąc pokrzepić Beryliana, Wildeggraf dotknął jego potężnej szyi. Choć nie mógł pozwolić sobie na

zbyt długą eskapadę, odszuka tego demona. Wprawdzie armie wokół Hoffen potrzebowały jego pomocy, lecz jeśli demon był przedstawicielem jakiegoś nowego gatunku, obowiązkiem Wildegrafa było go odnaleźć. I to szybko.

Szmaragdowozielony smok zniknął za zasłoną chmur. Dolina Keiler nie leżała daleko, ale jej nierówne zbocza porastał pradawny las. Jeśli demon ukrył swoją obecność, nie będzie łatwo go znaleźć, ale Wildegraf wyciągnie go choćby spod ziemi. A jeśli okaże się, że Jürgen poległ – przynajmniej pomści towarzysza.

## Brzemie dowódcy



Pogoda nie sprawiała zawodu i armia kadetów sprawnie przemierzała porośnięte lasem serce Clemoncé. Wyzwania mnożyły się już w czasie wędrówki. Krótco po tym, jak kolumna minęła niewielkie miasto, Bryna musiała zmierzyć się z takim właśnie wyzwaniem natury dyscyplinarnej. Jednego z jej ludzi przyłapano, gdy okradał dom któregoś z miejscowych. Większość uczestników kampanii nie dowiedziała się o jego występku. Wiedzieli za to Urwipółcie, którzy widząc jednego ze swoich doprowadzonego przed oblicze dowódczyni, nigdy jeszcze nie byli tak grzeczni.

– Jak myślisz, co z nim zrobi? – spytał Falko, z boku obserwując z Malakim przebieg postępowania.

– Pojęcia nie mam – odparł przyjaciel. – Wiem tylko, że Bryna jest wściekła. Nie zdziwiłbym się, gdyby wychłostała go własnoręcznie.

Kapitan miała świadomość, że wszyscy jej się przyglądają, ale ona ledwie mogła znieść widok doprowadzonego do niej winowajcy. Obok niej Patrick Feckler trzymał w garści skręcony ze skóry kańczug, który Urwipółcie zwali Przystawką.

– Co powinnam zrobić? – mruknęła Bryna do Paddy’ego, a ten wzruszył ramionami.

– Możesz dać mu dwieście batów lub więcej – odpowiedział, patrząc na stojącego z pochyloną pokornie głową włamywacza. – Jak dasz mniej niż sto, chłopaki pomyślą, że nie masz jaj, by trzymać w oddziale dyscyplinę.

– Dwieście batów nazywasz trzymaniem dyscypliny? – Bryna zgromiła Paddy’ego zde gustowanym spojrzeniem.

– Ludzie tacy jak oni muszą mieć nad sobą bat – wyjaśnił Paddy. – Czują się lepiej, wiedząc, na czym stoją.

Bryna skwitowała to prychnięciem. Łypnęła na Falka i Malakiego,

a potem prześlizgnęła się wzrokiem do jednego z asesorów, który z dyskretnej odległości obserwował przebieg wydarzeń. Wreszcie machnęła na Urwipołcia, by podszedł.

– Dlaczego? – spytała.

Oskarżony podniósł wzrok. Czuł się wielce nieswojo, znalazłszy się w centrum uwagi.

– Dom był pusty. Nie myślałem, że ktoś zauważy, pani.

– Pani kapitan – poprawił Paddy.

– Pani kapitan – powtórzył winowajca, dotykając dłonią czoła w niezgrabnej parodii salutu.

Bryna wwiercała się w niego wzrokiem, zła, że postawił ją w takim położeniu. Widziała już chłostanych mężczyzn. Nie był to piękny widok i miała nadzieję nigdy go więcej nie ujrzeć.

Zamyśliła się.

– Skąd pochodzisz? – spytała wreszcie.

– Verinae – odpowiedział oskarżony. – Wieś przy granicy z Valencją.

– A więc tam właśnie wrócisz – zarządziła Bryna.

Mężczyzna patrzył na nią jak cielę na malowane wrota.

– Nie rozumiem.

– To jest oddział łuczniczy Królewskich Nieregularnych – powiedziała Bryna, przywoławszy na twarz maskę obojętności. – A więc potrzebni mi łucznicy, nie złodzieje.

– Ależ, pani... pani kapitan – zająknął się oskarżony i zrobił krok naprzód, ale Paddy powstrzymał go, opierając masywną dłoń na jego piersi.

Bryna całkowicie zignorowała jego pretensje.

– Dajcie mu dość prowiantu i zapasów na drogę – rozkazała, a potem odwróciła się i ruszyła do wyjścia z obozu.

Mężczyzna wpatrywał się w nią zrozpaczonym wzrokiem. Nawet strzelcy robili wrażenie zdumionych. Po prostu wyrzuciła faceta z Urwipołciów. Ot tak, jak gdyby nigdy nic. To podziało na nich mocniej niż chłosta. Stojący dalej asesor uniósł brwi z aprobatą. Falko i Malaki patrzyli, jak Bryna znika w cieniu drzew.

– Nie przyszło jej to łatwo – ocenił Malaki.

Falko pokiwał głową. On również współczuł mężczyźnie. Wiedział z doświadczenia, że nic tak nie boli jak wstyd.

Następnego dnia Bryna jechała z dwoma przyjaciółmi. Była niecodziennie cicha. Milczała do chwili, gdy nagle zauważyła, że Patrick Feckler, którego zostawiła na czele oddziału, gdzieś sobie pojechał. Zmeła przekleństwo i ruszyła go szukać. Falko i Malaki spojrzeli po sobie, a potem pojechali za nią. Odnalazła dowódcę na tyłach kolumny. Rozmawiał z jednym z Urwipołciów, który siedł obok innego mężczyzny. Ten ostatni z trudem dotrzymywał im kroku. Paddy spierał

się z łucznikiem w środku. Gdy przyjaciele się zbliżyli, dobiegły ich wypowiedziane przez niego słowa.

– Mówiłem, żebyście go schowali na wozie, do kroćset! – warczał Paddy.

– Kiedy, szefie, drań uparł się, żeby iść...

– Co tu się dzieje? – spytała Bryna, zrównując się z Paddym.

Ten obrzucił towarzysza spojrzeniem z rodzaju „no i patrz, coś narobił”, a w tym samym momencie kapitan zwróciła uwagę na człowieka idącego, czy też raczej wlokącego się, za wozem. Miał pochyloną głowę, a koszula na jego plecach była ciemna od krwi w różnych stadiach zasychania. Falko natychmiast go rozpoznał, ale do Bryny jeszcze przez chwilę nie docierało, kim jest ten nieszczęśnik. Wreszcie ją olśniło.

– Chyba kazałam ci odesłać go do domu? – syknęła na Paddy’ego.

– To prawda, pani kapitan – odpowiedział Paddy, spojrzeniem zabraniając towarzyszowi mieszać się do rozmowy. – Kazała pani odesłać do domu Jeana Bonnota, złodzieja. Wysłałem go więc do domu z moim butem w tyłku. Lecz to jest Jean Bonnot, łucznik z Królewskich Nieregularnych.

Mężczyzna zachwiał się, gdy Paddy trzepnął go w ramię. Jego twarz była blada i mokra od potu. Wszyscy widzieli, że jest na granicy omdlenia.

Bryna zapłonęła furią, ale Paddy ani drgnął. Miała zamiar coś powiedzieć, wówczas jednak zatrzymała się wzrokiem na żalostnej postaci Jeana Bonnota. Wychłostano go dotkliwie, jego plecy wyglądały, jakby ktoś obłożył je surowym, krwawiącym mięsem. Po takiej chłości człowiek lądował zwykle w lazarecie i nie wychodził z niego przez tydzień, ale mężczyzna uparł się, by iść, i nie chciał wsiąść na wóz, który przygotował dla niego Paddy. Wolał chłostę od wyrzucenia z Urwipółciów.

Oczy Bryny wypełniły się łzami.

– Cóż, wygląda na to że monsieur Bonnot spał tej nocy w pokrzywach – powiedziała nieco chrapliwym tonem.

– Najwidoczniej, pani kapitan – odparł Paddy, dotykając palcem czoła.

– Ma jechać na wozie, dopóki nie będzie w stanie dotrzymać kroku pozostałym.

– Tak jest.

Bryna skinęła Feckowi głową, by dać znać, że sprawę uważa za zakończoną, a potem, nie odzywając się już ani słowem, obróciła się do Falka i Malakiego.

– Widzimy się później – rzuciła i popędziła wzdłuż kolumny.

Urwipółcie zerkali na nią lękliwie, gdy ich mijała. Było jasne, że



każdy z nich wiedział o Bonnocie i że obawiali się, jak kapitan zareaguje na tak jawne złamanie rozkazu. Ale Bryna po chwili ściągnęła wodze i wróciła na swoją pozycję na czele jednostki. Urwipołcie odetchnęli z ulgą i niektórzy pozwolili sobie na uśmiech satysfakcji.

Falko i Malaki również z ulgą wypuścili powietrze. Nietrudno stracić kontrolę nad tak niesfornym oddziałem, ale wyglądało na to, że zakłęcie, które Bryna rzuciła na tę zbieraninę wykolejeńców, trzymało mocno.

Gdy później tego dnia Falko jechał z Malakim i pozostałymi rycerzami, młody mag bitewny zauważył zdążających węższą odnogą głównego szlaku trzech jeźdźców, którzy zbliżali się do kolumny. Dwaj z tyłu mieli nawyżej po piętnaście lat, ale prowadził ich wielki mężczyzna na bojowym rumaku podobnym do konia Malakiego. Falko widział już dokładnie wyszytą na białej opończy czarną końską głowę w srebrzystobłękitnym polu – znak Zakonu Rycerzy Furi.

Falko dał kuksańca Malakiemu, a kiedy ten spojrział na niego, wskazał głową nadjeżdżającego rycerza. Obserwowali go, gdy dołączył do kolumny i zamienił dwa słowa z jednym z tymczasowych dowódców. Ten obrócił się w siodle i wskazał grupkę przyszłych rycerzy. Wówczas nowo przybyły wraz ze swoimi giermkami odsunął się na bok, czekając, aż Malaki i reszta zrównają się z nimi.

Mężczyzna był wysoki i barczysty. Falko zauważył świeżą bliznę biegnącą od nosa do lewego ucha rycerza. Zwrócił też uwagę na bladą twarz nabiegłą cieniem pod kośćmi policzkowymi. Ten człowiek dochodził do siebie po ranach i chorobie.

– La force, l'honneur et la foi – rzekł rycerz.

– Siła, honor i wiara – odparł Malaki, zaszczycony tym, że mężczyzna przywitał go mottem zakonu, jakby zwracał się do dorównujących mu szarżą pełnoprawnych rycerzy.

Rycerz dołączył do grupy kadetów, a Falko zwolnił nieco, by dać Malakiemu trochę przestrzeni. Jakiś czas jechali w ciszy.

– A więc to z twojego powodu lord dowódca jest taki zaferowany?

Malaki obrócił się raptownie, zdumiony, że ktoś spoza akademii słyszał o nim.

– Nie zrobiłem tego specjalnie – zaczął, ale rycerz uniósł otwartą dłoń, chcąc powstrzymać wyjaśnienia.

– Sir Garnier z Ledorne – przedstawił się, pochylając się w siodle, by uścisnąć Malakiemu dłoń i przyjrzeć się jaskrawemu znamieniu na jego twarzy.

– Malaki de Vane z Caer Dour.

Rycerz kiwnął głową, jakby już to wiedział.

– A to wasza kampania treningowa? Część szkolenia?

– Tak jest. Jedziemy do Le Matres.

– A potem?

Malaki obrzucił go nierozumiejącym spojrzeniem.

– Pytam, czy wracasz później do Furii, czy może jedziesz na południe wraz z resztą zakonu?

– Wracam do Furii – odrzekł Malaki, zdziwiony tym, że miały opuścić akademię przed ukończeniem szkolenia. – Wciąż muszę się wiele nauczyć.

– A nam przyda się każdy miecz – powiedział rycerz z lekką nutą dezaprobaty w głosie, jakby nie potrafił zrozumieć, że rycerz miały ot tak przepuścić okazję do prawdziwej bitwy. – Lord dowódca planuje ruszyć na południe po Le Matres. Byłbym zaszczycony, gdybyś pojechał ze mną.

– Ale lord dowódca może nie zechcieć mnie przyjąć – powiedział Malaki, podniecony perspektywą wyruszenia na prawdziwą wojnę.

– Zechce, gdy ja cię poprę – odparł rycerz.

Malaki osadził wzrok na mężczyźnie i wtedy dotarło do niego, co tak naprawdę proponuje mu sir Garnier. Czy był gotów opuścić przyjaciół i walczyć w szeregach rycerzy Furii? Czy jeśli odmówi, uznają go za tchórze?

Falko usłyszał, o czym mówią, i również poczuł się wstrząśnięty perspektywą rozstania z przyjacielem, ale postanowił nie włączać się do rozmowy. Malaki musiał sam podjąć tę decyzję.

Późnym popołudniem wzdłuż kolumny przemknął posłaniec, informując napotkanych po drodze dowódców, że od miejsca postoju dzieli ich jeszcze kilka mil.

– Za następną wioską znajduje się wielka łąka. Tam rozbijemy obóz – powiedział Malakiemu, by zaraz ruszyć dalej.

Jakiś czas później z szarówki wyłonił się zarys osady: rozproszona gromada pięćdziesięciu chat, wtulona w zakole rzeki.

– Dziś chyba będzie sucho – powiedział Malaki, gdy kolumna zaczęła obchodzić wioskę.

Falko pokiwał głową, choć właściwie wcale go nie słuchał. Zimny dreszcz strachu podniósł mu włoski na karku. Powędrował wzrokiem na skraj polany, gdzie pogłębiały się cienie pod drzewami. Nie mógł strząsnąć z siebie przemożnego wrażenia, że pośród tych cieni porusza się jakieś nienazwane zło. Malaki spiął się, dostrzegłszy intensywność jego spojrzenia, ale zaraz się rozluźnił, gdy w polu widzenia znalazła się setka mieszkańców wioski. Wielu z tych, którzy wyłaniali się spod osłony lasu, trzymało w rękach pochodnie. Szli żwawym krokiem w kierunku zabudowań.

– To chyba orszak weselny – rzucił Malaki.

Falko z wysiłkiem skupił myśli na tłumie ludzi kierujących się do domów przed zapadnięciem zmroku. Na czele pochodu dostrzegł młodą kobietę w długiej, kremowożółtej sukni i z wiosennymi kwiatami

wplecionymi we włosy. Wokół niej niósł się gwar wielu głosów i śmiechy, między nogami dorosłych przemykały biegające dzieci. Żołnierze armii kadetów uśmiechnęli się, widząc rozweselony tłum, i z zazdrością spoglądali na domy w wiosce, wiedząc, że ich samych czeka kolejna noc pod gołym niebem.

Widok mieszkańców nieco uspokoił Falka, lecz raptem chłopak dostrzegł, że mężczyźni na końcu pochodu oglądają się nerwowo. Jeden czy dwóch trzymało miecze lub włócznie, ale wszyscy wyglądali na zdenerwowanych i wystraszonych.

Nie uświadamiając sobie, czemu właściwie to robi, Falko wyszedł z maszerującej kolumny i ruszył ku wiosce.

– Co jest? – zaniepokoił się Malaki, dołączając do niego.

– Zatrzymać kolumnę – polecił Falko.

Z początku przyjaciel uznał to za żart, ale zaraz rozpoznał ten szczególny ton głosu Falka – emanujący siłą i nieznoszący sprzeciwu, mówiący o rzeczach, które wymykały się pojmowaniu zwykłych ludzi. Wrócił wzrokiem do orszaku weselnego i również zauważył, że mężczyźni na tyłach próbują przeniknąć ciemność lękliwym wzrokiem.

Określił się w siodle i dał rozkaz do zatrzymania. Żołnierze w zasięgu słuchu stanęli, a ci, którzy znaleźli się dalej, pomaszerowali przed siebie, dzieląc kolumnę na dwoje. Wygnańcy Alexa i husarzy Jarega byli wystarczająco blisko, by usłyszeć rozkaz, ale po widocznej na twarzy Jarega irytacji można było poznać, że młody szlachcic nie ma zamiaru wykonać polecenia Malakiego. Popędził konia w ich kierunku, by zobaczyć, o co chodzi. Alex ruszył za nim, po chwili do grupy dołączył sir Garnier.

– O co chodzi? Czemu stoimy? – dociekał rycerz, ale Falko nie odpowiadał. Uczucie, które go ogarnęło, sięgało zenitu, dobiegało do punktu krytycznego niczym rozciągnana aż do rozdarcia tkanina.

– Tam. – Falko wskazał palcem ścianę lasu, z której wynurzyła się przed chwilą procesja weselników. Zalegające tam cienie wydawały się zbyt czarne, by mogły je rzucać splątane gałęzie.

– Nic nie widzę – parsknął Jareg, ale zdenerwowanie udzieliło się wszystkim.

Nagle spomiędzy pni świsnęła strzała i jeden z chłopów zwałił się na ziemię. Z jego karku sterczało czarne, opierzone drzewce.

– La possédé! – wrzasnął jeden z mieszkańców wioski i wśród ludzi rozpełtał się chaos. Grupa kilkudziesięciu skirytów wyskoczyła z ciemności i rzuciła się na bezbronnych ludzi, którzy próbowali ratować się ucieczką. Za skirytami zamajaczyły mroczne sylwetki łuczników w czarnych łachmanach. Ich oczy były przewiązane ciemną tkaniną.

– Toksyki – wydyszał sir Garnier.

– Rycerze, do mnie! – zawołał Malaki i kadeci przypadli do niego, mierząc w Opętanych włóczniami.

– Nie! – zawołał Falko, widząc, z jaką szybkością wrogowie pędzą za mieszkańcami. – Zanim do nich dotrzecie, wejdą już między domy. – Odwrócił się do Jarega. – Husarzy lepiej poradzą sobie w wąskich uliczkach.

Wyraz twarzy Malakiego zdradzał irytację. Sir Garnier obrzucił Falka taksującym spojrzeniem. Jareg przez chwilę gapił się, rozdarty między satysfakcją, jaką czerpał z faktu, iż jego jednostka została doceniona, a oburzeniem, które ogarnęło go na myśl, że miałyby wykonać rozkaz wydany przez Falka. Lecz w końcu...

– Husaria! – zawołał. – Pierwszy oddział za mną! Drugi lewym łukiem na toksytów!

Jareg pojechał naprzód, a oddział uformował się za nim w biegu.

– Naprzód! – ryknął i lekka konnica pomknęła na skirytów, podczas gdy druga jednostka popędziła po zakolu w kierunku łuczników, wykonując manewr, który czynił oddział mniej podatnym na trafienie.

Skiryści szybko skracali dystans dzielący ich od mieszkańców. Dwaj kolejni ludzie padli na ziemię, przebici strzałami, nim zdążyli skryć się wśród chat.

– Bryna! – krzyknął Falko, ale przyjaciółka już wydała Urwipołciom rozkazy.

Mężczyźni wybiegli naprzód, uformowali szyk i zaczęli zasypywać toksytów strzałami. Odległość była dość duża, ale Urwipołcie strzelali celnie i wkrótce czarno odziani wrogowie zaczęli padać na ziemię, a tyraliera Urwipołciów posuwała się naprzód.

– Zostańcie z nimi – polecił Falko Malakiemu. – Tam jest coś więcej niż tylko piechota.

Przyjaciel skinął głową, a na jego twarzy pojawił się ponury grymas. Kilkoma krótkimi rozkazami podzielił swoich rycerzy na dwie grupy, które osłoniły obie flanki Urwipołciów. Falko widział, że Malakiemu nie spodobało się, że przyjaciel przedłożył husarzy Jarega nad jego oddział. Trudno, nie czas teraz na dąsy.

Dobry wywszy miecza, Falko dołączył do rycerzy, tymczasem z wioski zaczęły dobiegać odgłosy walki. Krzyki mieszkańców zmieszały się z szczękiem stali, rżeniem i tętentem koni, lecz Falko postąpił słusznie, posyłając husarzy między budynki. W ciasnocie osady ich lżejsze wierzchowce i nadzwyczajne umiejętności jeździeckie okazały się kluczowe – wymijali przerażonych wieśniaków i wyrzynali skirytów, którzy warczeli i wrzeszczeli ze złości na zbyt szybkich i zbyt silnych jeźdźców.

Szum walki zelżał, gdy husarzy wybili ostatnich zalegających w wiosce Opętanych, ale Urwipołcie nie wychodzili z formacji – stali

wciąż na otwartej przestrzeni między skupiskiem chat i linią drzew. Alex uformował ze swoich piechurów linię obronną, gotową ruszyć do ataku lub odeprzeć natarcie przeciwnika.

Drugi oddział husarii wykończył niedobitki toksytów, a potem dołączył do Urwipołciów. Jeden z mężczyzn miał ramię przebite strzałą i kołysał się w siodle. Inny spadł z konia, gdy ten runął na ziemię rażony strzałą. Byli ranni, ale nie było zabitych. Urwipołec zrzucony z siodła doszedł już do siebie i zaczął uspokajać rannego wierzchowca. Husarzy wracali z wioski na szlak.

Gdy walka dobiegła końca, mieszkańcy zebrali się na bezpiecznych pozycjach wytyczonych przez Wygnańców i Urwipołciów, a Jareg i jego husarzy przeczesywali wioskę, by upewnić się, że nie ukrył się w niej żaden pominięty w potyczce skiryta. Napięcie zaczynało powoli ulatywać, ale Falko nie mógł oderwać wzroku od ciemności pośród drzew, która wciąż wydawała mu się nienaturalnie czarna. Serce zerwało się do biegu w jego piersi, gdy zorientował się, że to nie cień, tylko wyrwa w tkance świata. A potem poczuł, że nadchodzą... wielkie, potężne i szybkie.

– Bestiarumy! – krzyknął. – Przygotować się!

Nie skończył zdania, kiedy dwie wielkie bestie wypadły z ciemności, a w ślad za nimi trzecia.

Wyglądały jak ogromne czarne byki ulepione z żarzących się węgla, obdarzone muskularnymi nogami i szponami w miejsce kopyt. Ich potężne łby przypominały głowy niedźwiedzi lub może jakichś piekielnych, dzikich małąp. Stwory błyskały zębami i wodziły wokoło płonącymi oczami.

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Dwie bestie ruszyły prosto na Urwipołciów, których szyk zaczął się łamać. Kilku łuczników posłało w ich stronę strzały, ale to o wiele za mało, by powstrzymać zwalistych przeciwników. Falko poczuł, jak rośnie w nim fala energii, ale przeraziła go jej dzikość i wówczas zniknęła niczym duch jakiejś mrocznej siły, która czaiła się w jego sercu. Wyglądało na to, że potwory zaraz wryją się w szeregi Urwipołciów, ale Malaki i jego rycerze znajdowali się w dogodnej pozycji, by odeprzeć atak. Ich rumaki bitewne, owoc przemyślanej hodowli, były olbrzymimi i potężnymi zwierzętami, które nie potrzebowały rozpędu, by przypuścić druzgoczące natarcie. Malaki krzykiem dał znak do ataku i rycerze wyrwali z kopyta w kierunku nadciągających bestii.

Huthgarl uderzył pierwszy. Pchnął lancą, a broń wbiła się w szyję stwora i ugrzęzła głęboko w jego piersi. Malaki trafił drugiego w bark. Odrażające monstrum obróciło się, niesione impetem, wystawiając zębra na cios Quirrena Klingemanna.



Pierwsze dwa potwory szybko unicestwiono. Ale trzecia bestia nie pognała na Urwipołciów, tylko prosto na grupkę wieśniaków, których ustawiono nieopodal Wygnańców. Niektórzy z nich zaczęli uciekać, pozostali zaś skupili się w ciasnej gromadzie i tylko wpatrywali szeroko rozwartymi oczami w mknącą w ich kierunku bestię. I gdy stwora nie dzieliło już prawie nic od przerażonej masy ludzi, z prawej flanki dał się słyszeć rozkaz.

– Suivez dix!

Dedric Sayer wypuścił strzałę i nie dziesięciu, ale dwunastu innych łuczników obrało wyznaczony przez niego cel. Potwór był wielki i znajdował się blisko, nietrudno więc było w niego trafić wytrawnym łucznikom z Urwipołciów. Strzały jednocześnie wbiły się w jego zad, a siła uderzenia mocno zarzuciła na bok rozpędzonym stworem. Monstrum zaryczało i odzyskało równowagę, ale zaczęło powłóczyć tylnymi nogami i nie zdołało uskoczyć przed mieczem sir Garniera, który w pełnym pędzie chlasnął potwora po pysku.

Przerażeni wieśniacy trzymali się w grupie, gdy bestia szamotała się na ziemi niespełna dwadzieścia stóp od nich, ale kolejna porcja strzał oraz ostateczny cios włócznią jednego z rycerzy położyły kres

przedśmiertnym drgawkom potwora. Trzy opasłe truchła zaległy w zrytym gruncie, podobne do stosów rozżarzonych popiołów. Ich ciała szybko zaczęły kruszeć i ulatywać z wiatrem, aż w końcu zostały po nich tylko poczerniałe szkielety straszące wielkimi zębami i szponami.

Raptem zaległa cisza, zakłócały ją tylko przyspieszone oddechy koni i przytłumione głosy miejscowych, usiłujących uspokoić swoje rozdygotane dzieci. Przedziwna kurtyna ciemności rozmyła się w cieniu pod drzewami i poczucie zagrożenia odpłynęło z umysłu Falka.

Dzisiejszej nocy Opętani nie złożą im już wizyty.

Od strony szlaku dobiegł ich gwar, gdy żołnierze z przedniej i tylnej części kolumny zaczęli gromadzić się na polu bitwy, chcąc dowiedzieć się, co się stało. Dopiero wtedy do Falka dotarło, że całe starcie nie trwało dłużej niż kilka minut. Czterej wieśniacy leżeli martwi na ziemi, przynajmniej tuzin odniósł rany. Kilku husarzy Jarega trzeba było opatrzyć, podobnie jak tych Uriwpołciów, którzy oberwali strzałami toksytów, ale sądząc po siarczystych przekleństwach, nikt nie odniósł poważnych ran.

Dowódcy zaprowadzili porządek w swoich oddziałach, ustanowili perymetr obronny i rozesłali zwiadowców, by gruntownie przeszukali okolicę. Po dyskusji w gronie dowódczym postanowiono, że wieśniacy będą dziś spać w obozie. Pozwolono im zabrać kilka potrzebnych rzeczy, a potem odeskortowano ich na tył kolumny, gdzie znaleźli dość miejsca na wozach.

Na polanę spłynął przygaszony spokój. Znów dały się słyszeć zwyczajowe odgłosy nocy: wiatr w koronach drzew, daleki szmer rzeki, żałobne huczenie sów. Dzieci płakały, ranni jęczeli. Falko wraz z lekarzami robił, co w jego mocy, by ulżyć ich cierpieniom. Młody mag bitewny oczyścił właśnie ranę wlotową po strzale toksyty, gdy zaczęli go jeden z asesorów.

– Falko Danté – rzekł surowym tonem. – Pozwól na chwilę.

Falko wolałby zostać i pomagać rannym. Już miał powiedzieć o tym asesorowi, gdy zauważył, że ten poprosił już na stronę Brynę, Malakiego, Jarega i Alexa, którzy mierzyli go spojrzeniami. Parę kroków dalej stał sir Garnier i obejmował wszystkich nieodgadnionym wzrokiem, a zwłaszcza Malakiego i Falka. Chłopak umył szybko ręce i ruszył wraz z resztą za asesorem do namiotu dowódczego, gdzie zaczęto wypytywać ich o potyczkę z Opętanymi.

– Z jakiego powodu zatrzymałeś kolumnę? – spytał inny asesor.

– Przeczucie. – Falko wzruszył ramionami. – Wyczułem, że coś czai się w lesie.

– Zwiadowcy nie zauważyli niczego, gdy badali ten obszar – rzekł jeden z dowódców.

– Bo nic tam nie było, gdy go badali.

– Skąd więc wzięli się tam Opętani? Czy przekroczyli rzekę?

Falko pokręcił głową.

– Po prostu się pojawili. Wyłonili się z ciemności, jakby ta ciemność była bramą prowadzącą do jakiegoś innego miejsca.

Asesorzy spojrzeli po sobie nerwowo. To tłumaczyło opowieści o Opętanych pojawiających się znikąd.

– A więc wygląda na to, że mieliśmy szczęście – powiedział po chwili jeden z nich. – Bo gdyby armia maszerowała dalej, mieszkańcy wioski zginęliby, zanim zdążylibyśmy cofnąć się, by pospieszyć im z pomocą.

Falko kiwnął głową, lecz w głębi serca czuł się winny, bo nie dość szybko zorientował się, że ludziom zagraża niebezpieczeństwo. Gdyby był uważniejszy, czterech mieszkańców wioski wciąż by żyło. Ale teraz rozpozna już ową osobliwą ciemność na pierwszy rzut oka. Tyle dobrego.

Po wnikliwej analizie wypadków asesorzy i dowódca doszli do wniosku, że kadeci działali sprawnie i szybko, za co należy im się pochwała. Oraz że na wyróżnienie zasłużyli husarzy, którzy z podziwu godną ofiarnością i skutecznością oczyścili sioło z wrogich żołnierzy.

Jareg skinął w milczeniu głową, a był to rzadki u niego wyraz pokory. Gdy asesorzy wypuścili ich z namiotu, spojrzął na Falka, jego twarz była mozaiką bardzo różnych emocji. Ostały się na niej ślady strachu i ekscytacji, dumy i satysfakcji, którą przyniosła mu pochwała, ale dało się też doszukać na niej kilku sprzecznych uczuć, z którymi nie wiedział chyba, co ma zrobić. Bo to przecież Falko przedłożył jego jednostkę nad rycerzy pod wodzą Malakiego. To przecież on instynktownie wszedł w rolę dowódcy i rozdzielił zadania między wszystkie jednostki. Coś podpowiadało Jaregowi, że należy mu się za to szacunek, a jednak nie mógł zmusić się, by przyjąć to do wiadomości.

Falko westchnął, gdy Jareg oddalił się, by dołączyć do swoich żołnierzy.

– Oczywiście, jakżeby inaczej – prychnął Malaki. – On prędzej szcześnie, niż ci podziękuje.

– Ja natomiast nie sądziłem, że przysły członek Zakonu Rycerzy Furii pozwoli sobą komenderować, i to człowiekowi, który sam jest jeszcze kadetem.

Słowa przygany padły z ust sir Garniera. Malaki zatrzymał się i stanął twarzą w twarz ze starszym członkiem swojego zakonu.

– Dlaczego pozwoliłeś, by ten człowiek odwołał twój rozkaz? – natarł na niego sir Garnier. – Tak małą wiarę pokładasz w swoich rycerzach?

Malaki zrobił się czerwony jak rak. Falko nie umiał ocenić, czy zdobędzie się na gniewną ripostę, czy zrejteruje pod nieustępliwym spojrzeniem rycerza. Wreszcie Malaki odpowiedział ze spokojem i godnością, z których słynął w szeregach kadetów:



– Twoje słowa wynikają z ignorancji, panie. – Brwi sir Garniera uniosły się wysoko. Taka niesubordynacja była niespotykana wśród rycerzy Furii. – Gdybyś znał Falka tak jak ja, nie musiałbyś o to pytać.

Twarz sir Garniera zastygła w nieruchomą maskę, ale po chwili jego usta ułożyły się w kpiący uśmiezek.

– Lord dowódca miał rację. Nie jesteś gotowy, by ruszyć z nami do walki. Przede wszystkim musisz pokładać wiarę w swoich braciach.

– Falko jest moim bratem – zaripostował Malaki, a oczy Bryny zapłonęły dumą.

Sir Garnier jeszcze przez chwilę wpatrywał się w Malakiego. Jego uśmiech poszerzył się, jakby rozbawiła go naiwność jego słów.

– Żegnaj więc, Malaki de Vane – powiedział rycerz. – Jestem pewien, że pewnego dnia będziesz gotów wojować z rycerzami Furii.

– La force, l'honneur et la foi – odpowiedział Malaki, nie pozwalając tak łatwo się zbyć.

– Siła, honor i wiara – rzekł rycerz. Uśmiech spelzł z jego ust, gdy skłaniał się kadetowi.

Starszy rycerz zniknął, a przyjaciele ruszyli tam, gdzie obozowała reszta ich wojsk. Gdy zbliżyli się do miejsca, w którym rozłożyli się Urwipolcie, na spotkanie wyszedł im Patrick Feckler.

– Jakież kłopoty? – spytał.

– Nie – odrzekła Bryna. – Trzeba było tylko omówić parę spraw. Gdzie jest Dedic? Chcę mu pogratulować zwycięstwa nad bestią.

Paddy uśmiechnął się krzywo, a stojący w zasięgu słuchu Urwipolcie roześmiali się.

– Siedzi sam w lesie. Beczy jak małe dziecko.

Bryna zmartwiła się, ale Paddy pokręcił głową.

– Nie przejmuj się. Kilku wieśniaków przyszło mu podziękować za ocalenie życia. Wyściskali go, przynieśli podarki. Cyrk na kółkach, co nie, chłopaki?

Paddy i Urwipolcie wymienili wredne uśmiezki, ale Bryna wciąż nie rozumiała, o co chodzi.

– Dedicowi nawet powieka by nie drgnęła, gdybyś wrzeszczała i lżyła go przez okrągłutki rok – wyjaśnił Paddy. – Ale życzliwość i wdzięczność...? Z tym jeszcze nigdy nie miał do czynienia.

Bryna utkwiała spojrzenie w ścianie lasu.

– Zostaw go – poradził Paddy na odchodnym. – Dojdzie do siebie.

Kilku innych mężczyzn zbliżyło się z jedzeniem i napitkiem. Usiedli wszyscy razem i zaczęli cicho rozprawiać o minionej bitwie, ale uwadze Falka nie uszły ukradkowe komentarze i to, jak ludzie patrzyli na niego, gdy myśleli, że tego nie widzi. To dlatego, że żaden z nich nie przewidział czającego się w ciemności zagrożenia. Żaden z nich nie potrafił wyczuć Opętanych.

– Nie przejmuj się nimi – rzekł Malaki, podając mu rożen z nadpalonymi kawałkami dziczyzny. – Nie rozumieją, skąd wiedziałeś, ale są ci wdzięczni.

Falko posłał mu powątpiewające spojrzenie.

– No co? To prawda – nie ustępował przyjaciel. Oderwał zębami kawałek mięsa z własnego rożna. – Kilka oddziałów pytało nawet, czy nie chciałbyś jutro jechać z nimi.

Falko łypnął na dwóch mężczyzn, którzy szeptali, pochyleni do siebie. Jeden z nich odwrócił wzrok, zawstydzony, że dał się przyłapać, ale drugi uśmiechnął się szeroko i skinął mu głową z szacunkiem. Falko przypomniał sobie słowa Aureliana.

„Bądź pewien, że gdy zetkniecie się z Opętanymi, każdy mężczyzna i każda kobieta w armii będą szukać wsparcia u ciebie”.

Myślał o tym, jak zaczął wydawać rozkazy podczas ataku Opętanych i jak naturalnie mu to przyszło. Ale zauważył też, że wybiło to z rytmu Jarega, sir Garniera, a nawet Malakiego.

– Miałeś rację – powiedział nagle Malaki.

– Proszę?

– Miałeś rację, wysyłając Jarega do wioski.

Malaki wydłubał spomiędzy zębów włóknisty kawałek mięsa. A Falko się uśmiechnął.

## Dowódca Czwartej Armii



W namiocie dowódczym Czwartej Armii atmosferę można było kroić nożem. Odkąd Czwarta przybyła na front i rozbiła obóz dwa dni drogi na południe od Hoffen, wdała się w kilka potyczek z wrogiem, lecz teraz szły na nią dwie wielkie armie Opętanych, z południa zaś ciągnęła kolejna, dowodzona przez demona.

– Nie rozumiem – powiedział jeden z młodszych oficerów. – Myślałem, że ten region jest względnie bezpieczny.

– Coś musiało się wydarzyć na południu – powiedział emisariusz. – Zarówno Jürgen, jak i Wildegraf zaginęli, a my nie mamy pojęcia, kiedy wróci Nathalie.

Wbił wzrok w leżącą na stole mapę. Jeśli będą działać szybko, może uda im się pokonać dwie armie, zanim te połączą siły i staną się jedną, o wiele bardziej niebezpieczną. Lecz jeśli do którejś z nich dołączy demon nadciągający z południa, Czwarta nie zdoła ich już zatrzymać.

Rozmyślenia emisariusza przerwał Dagoran Sorn, który uderzył pięścią w zasłany mapami blat.

– Dość czekania! Czas wkroczyć do akcji! – W miejscu, gdzie spoczywała jego dłoń, papier zaczął ciemnieć od nagromadzonej w jego ciele magicznej energii. Dowódca armii magów robił się coraz bardziej niecierpliwy. Dotychczasowe potyczki trwały krótko i czarodzieje nie mieli jeszcze okazji zademonstrować swoich umiejętności. – Wiemy, gdzie jest wróg. Powinniśmy zaatakować od razu, zanim dwie armie wykorzystają nadarżającą się okazję i połączą się w jedną siłę!

– Zrobimy to – zapewnił go Chevalier.

– Kiedy? Na co właściwie czekamy? – domagał się odpowiedzi Sorn.

– Nie możemy zaatakować, dopóki nie wrócą zwiadowcy – odpowiedział generał Renucci. – Nie możemy zaplanować bitwy, póki nie dowiemy się, z czym dokładnie mamy do czynienia.

– Przecież wiemy, z czym – upierał się Sorn. – Z Opętanymi. Wiemy też, że jeśli ich nie powstrzymamy, za kilka miesięcy przekroczą granice Clemoncé.

– Walczę z Opętanymi od dwudziestu lat – mruknął Renucci przez zaciśnięte zęby. – Nie będzie mnie pouczał napuszony kuglarz, który nigdy nie zaznał bitwy.

Podniósł wzrok, by zmrozić Sorna spojrzeniem. Odpowiedziała mu zimna pogarda wymalowana jaskrawymi barwami na twarzy maga.

– Wszyscy mamy świadomość tego, co się zbliża – odezwał się emisariusz. – Podziwiam zapał lorda Sorna, ale rozważa nakazuje cierpliwość.

Napięcia pomiędzy generałem Renuccim i lordem Sornem nie mogła rozładować nawet uśmierniająca obecność Chevaliera. Oficerowie zaczęli przestępować niepewnie z nogi na nogę. Atmosfera w namiocie dowódczym Czwartej nigdy jeszcze nie była tak nerwowa.

Emisariusz wrócił wzrokiem do mapy i wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– Lord Sorn ma rację. Musimy zaatakować armie Opętanych, zanim połączą siły. Lecz musimy też zachować ostrożność, a więc nie zaatakujemy, dopóki nie wrócą zwiadowcy. – Sorn skrzywił się gorzko. Generał Renucci pociągnął nosem z satysfakcją i nagroził decyzję sir Williama znaczącym skinieniem. – Cokolwiek by się stało, nie wolno nam pozwolić żadnej z nich na połączenie sił z armią nadciągającą z południa, której przewodzi demon. Dopóki nie wróci Nathalie, nie mamy szans na jej pokonanie.

– My moglibyśmy tego dokonać. – Sorn zadarł nos, nic sobie nie robiąc z niedowierzających spojrzeń pozostałych oficerów.

Generał Renucci już miał wyrazić wątpliwości, gdy ponownie zabrał głos emisariusz.

– Czy walczyliście kiedyś z demonem?

– Jesteśmy wyszkoleni w walce z nimi – odrzekł Sorn, zgrabnie unikając bezpośredniej odpowiedzi.

Emisariusz westchnął. Wszyscy słyszeli opowieści o treningu magów wojowników. O tym, że w jego trakcie wystawia się czarodziejów na ataki umysłowe, które mają za zadanie zwiększyć ich zdolność obrony przed złem. Ale w oczach tych, którzy walczyli z demonem, dało się dostrzec pewien szczególny wyraz. Wspomnienie całkowitej beznadziei towarzyszącej uświadomieniu sobie przez człowieka, że cała jego odwaga nie wystarczy, by oprzeć się piekielnej mocy. Dagoran Sorn był człowiekiem dumnym i aroganckim, i nic poza tym nie można było wyczytać teraz z jego spojrzenia.

– Nie – odpowiedział za niego emisariusz, a oburzenie maga wojownika rozgorzało na nowo. – Zaatakujemy dwie armie Opętanych

na wschodzie, ale potem będziemy musieli poczekać na Nathalie...

Sorn świdrował emisariusza spojrzeniem. Fakt, że przedkładał jednego żeńskiego maga bitewnego nad oddział tysiąca jego magów wojowników, doprowadzał go do szału. Od samego początku zdawał się sądzić, że przyjmowanie rozkazów od zwykłego żołnierza jest poniżej jego godności, lecz wiedział doskonale, że teraz zwierzchnikiem jednostki jest Chevalier i że zostanie tak, dopóki przechwałki magów nie znajdą potwierdzenia w prawdziwej bitwie. Uznawszy rozmowę za zakończoną, Sorn skłonił się sztywno i opuścił namiot w asyście dwóch wojowników w purpurowych płaszczach.

– Inaczej zaśpiewa, jak już stanie twarzą w twarz z Opętanymi – mruknął generał Renucci. – Wtedy przejdzie mu zapał.

Oficerowie wyszli z namiotu, zostawiając emisariusza samego. Chevalier podzielał irytację generała Renucciego, ale też skłamałby, mówiąc, że nie rozumie zniecierpliwienia Sorna. Dowódca armii magów bardzo chciał pochwalić się sukcesem przed Galenem Thralllem. Ostrożność emisariusza odbierał jako złośliwe działanie, mające odwlec to, co nieuniknione. Nie była to prawda i choć magowie ośmielili się grozić królowej, emisariusz postanowił dać im uczciwą szansę na to, by mogli się wykazać. Ale nie miał zamiaru narażać w tym celu Czwartej Armii.



Następnego dnia – i jakieś sześćdziesiąt mil na południe od Czwartej – Wildegraf Feuerson i jego smok Berylian kontynuowali poszukiwania nad zalesionymi wzgórzami Illicji. Wielka zielona bestia skręciła raptownie w prawo i opadając coraz niżej, zaczęła kołować nad czymś, co wyczuła wśród drzew. Wildegraf przywarł do smoczego grzbietu, wpatrzony w zbliżające się sklepienie lasu. Przez moment był pewien, że coś tam jest, teraz jednak przeświadczenie minęło. Smok jeszcze dwa razy zamachał skrzydłami, a potem wzbił się wyżej i wznowił lot.



Ukryty daleko w dole Pogromca owinął się szczelniej płaszczem ciemności, gdy wyrm zataczał kręgi ponad lasem, a uczepiony jego łuskowatego grzbietu Przeciwnik zaczął wpatrywać się bacznie w miejsce, gdzie się znajdował. Wiedział, że potrafią wyczuć jego obecność, tak jak on wyczuwał ich. Wiedział także, że nie mogą go

zobaczyć. Bo gdyby mogli, od razu przypuściliby atak. Przez chwilę Pogromca rozważał, czy nie pozwolić cieniem opaść i nie rzucić wrogom wyzwania, lecz ostatecznie postanowił tego nie robić. Czuł ich moc i nie chciał ryzykować starcia pozbawionego elementu zaskoczenia. Lepiej poczekać, aż znajdą się na ziemi, a potem uderzyć z ciemności. W końcu trudno o potężniejszą broń niż ciemność.



Miasto Le Matres wzniesiono wokół miejsca, gdzie zbiegały się dwie rzeki. W jego środku wznosiło się niskie wzgórze, na którego szczycie zbudowano zamek. W miarę zbliżania się do bram drzewa przeredzały się, a przed kadetami otworzył się widok na szeroką dolinę zwróconą na wschód, ku illicyjskiej granicy. Wokół otoczonego murem miasta porozbijały się liczne obozy, w których gnieździł się przybyli z okolicznych prowincji uchodźcy.

– Wiem już, kogo będziemy musieli odeskortować do Furii – rzekł Malaki.

Falko pokiwał głową, onieśmielony wielką liczbą nieszczęśników potrzebujących ich pomocy.

Armia kadetów rozbiła obóz w miejscu, skąd widać było miasto, a z nastaniem poranka zaczęła rozdzielać żywność między uciekinierów oraz zabrała się do budowy mostów, w których sprawie ją tu przysłano.

Wszystkie oddziały wzięły się do pracy, a Falko został sam, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Gdy więc słońce wspięło się na zamglone niebo, pojechał do Le Matres i ruszył brukowaną ulicą w kierunku zamku. Zostawił konia w stajni przylegającej do dziedzińca, a potem wspiął się po schodach na blanki. Z murów roztaczał się szeroki widok na okoliczne ziemie, który przywiódł mu na myśl wielką mapę w Komnacie Rady.

Na niej Le Matres było małym czarnym dyskiem otoczonym mosiądzem. Teraz zaś, stojąc wysoko ponad miastem, Falko zaczynał ogarniać umysłem rozpiętość świata. Na północnym wschodzie leżało illicyjskie miasto Hoffen. Falko zorientował się, że zdąża myślami do emisariusza i żołnierzy Czwartej Armii. Miał nadzieję, że są bezpieczni. Czuł się winny, że zbija bąki, podczas gdy oni ryzykowali życie, próbując zatrzymać pochód Opętanych.

Postanowił, że to się zmieni, gdy tylko wrócą do Furii.



Trzydzieści mil na wschód od Le Matres poranne słońce z trudem przebijało się przez cienką warstwę chmur. Czwarta Armia o świcie znalazła się na pozycjach. Emisariusz wraz ze swoimi oficerami spoglądali w dół na niskie wzniesienie, gdy przednia straż Opętanych włąła się do doliny.

Dagoran Sorn spoglądał na wroga z kpiącym wyrazem twarzy. Wydawał się sądzić, że jego magiczni wojownicy rozprawiliby się z nim sami. Generał Renucci, jak nietrudno było przewidzieć, odniósł się do tego z lekceważeniem, ale emisariusz w dalszym ciągu zamierzał pozwolić Sornowi się wykazać. Armię magów wojowników umieścił na prawej flance wraz z trzema tysiącami swoich najbardziej doświadczonych żołnierzy. Reszta Czwartej była rozmieszczona na całym obszarze doliny i gotowa do działania.

Musieli jak najszybciej przerwać szyk Opętanych, by zdążyć się przegrupować i przygotować na walkę z drugą armią, która już zbliżała się do doliny. Emisariusz miał pewność, że jego ludzie uporają się z tym zadaniem, ale nie wiedział, czego się spodziewać po magach. Wyglądali jak wojownicy i trenowali jak wojownicy, ale Chevalier pokładał największą wiarę w odwadze zwykłego człowieka. Magowie wojownicy dali mu się poznać jako zarozumialcy. Emisariusz z przyjemnością pierwszy zwróci im honor, jeśli poprą buńczuczne słowa czynami.

Oderwał myśli od czarodziejów i zwrócił się do generała Renucciego.

– Czy zwiadowcy dokonali już szacunków?

– Liczebność wroga przekracza dziesięć tysięcy – odparł oficer. – Towarzyszy im nie więcej niż sto bestiarumów.

– A druga armia?

– Liczebność podobna, dzieli ich od nas pięć godzin drogi.

Emisariusz kiwnął głową. Miał pod swoimi rozkazami dwadzieścia tysięcy regularnych żołnierzy oraz tysiąc magów wojowników. Liczebność mogła przeważać szalę zwycięstwa na ich korzyść, ale emisariusz doskonale zdawał sobie sprawę, że na wojnie nie ma nic pewnego. W każdym razie należało pokonać pierwszą armię Opętanych jak najszybciej, odnosząc jak najmniejsze straty.

– Panowie, na stanowiska – rozkazał, a oficerowie jak jeden mąż wykonali salut i wrócili do swoich jednostek.

Emisariusz zwrócił się do oczekujących poleceń sygnalistów.

Obaj mężczyźni unieśli rogi i dali sygnał do gotowości. Jazgotliwe nuty natychmiast zostały podchwyczone przez rozproszonych wśród szeregów kolejnych sygnalistów i odbiły się echem od ścian doliny.

Emisariusz wpatrzył się w postępującą czarną masę Opętanych. Podniósł wzrok i ujrzał na niebie dwie kołujące sylwetki mrocznych aniołów, zwiastunów zbliżającej się drugiej armii. Ucałował wisiorek na szyi i schował go za koleczugę. Opuścił przyłbicę. Był dowódcą Czwartej

Armii Clemoncé, lecz do bitwy szedł zakuty w pancerz Nieugiętych.  
Chwycił za miecz, czując już przedsmak bitewnego rauszu.



## Pogromca

---



**W**ildegraf przywarł do skalistego podłoża, wyglądając ostrożnie ponad krawędzią skarpy. Berylian poruszył się niespokojnie u jego boku.

– Spokojnie, przyjacielu. Ja też to czuję.

Mag bitewny i smok spoglądali w dół, usiłując dostrzec kreaturę, na którą polowali. Poszukiwania zawiodły ich w kierunku Hoffen, ale wciąż znajdowali się głęboko na Utraconych Ziemiach, gdzie nie śpiewały ptaki i żadne żywe stworzenie nie przemykało pod zwieszającymi się nisko gałęziami drzew. Nawet zwierzęta zdawały się rozumieć, że ta kraina jest zgubiona. Zaledwie dwadzieścia mil stąd armie Illicji i Clemoncé próbowały dać odpór Opętanym, ale wróg miażdżył ich liczebnie i z każdym mijającym miesiącem spychał coraz dalej i dalej.

Zrozpaczony Wildegraf zagryzł zęby. On i Berylian byli potrzebni właśnie tam, na froncie. Nie mógł już pozwolić sobie na marnowanie kolejnych dni na poszukiwania demona, który zabił Jürgena.

Odnaleźli ciało maga bitewnego przy jego rozplatanym wierzchowcu. Nie chcieli ich tak zostawiać, Berylian spalił więc trupy tam, gdzie zaległy na ziemi, a Wildegraf wbił miecz Jürgena w stos dopalających się popiołów, by oznaczyć jakoś miejsce, gdzie postradał życie dobry człowiek.

Ale nie mogli znaleźć demona, który był za to odpowiedzialny. Dopiero dzisiaj rano natrafili na trop, który nie był tylko roznieconą przez nadzieję i frustrację mrzonką, ale śladem jakiejś zapiekłej nienawiści, niczym szlak ciemności ciągnącej się przez krainę. Nawet teraz nie byli właściwie pewni, co dokładnie znaleźli, ale Wildegraf wiedział, że zostawił to po sobie demon, którego szukali. Wyczuwał jego obecność i wiedział, że to nie jakiś pomniejszy książe. Tylko demon o olbrzymiej sile potrafił skryć się przed skoncentrowanym magicznym

spojrzeniem maga bitewnego.

Wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze. Jeśli demon rzeczywiście tu był, to już dawno odszedł. Wolno cofnęli się od krawędzi klifu. Za ich plecami grunt wyrównywał się nieco, by po stu jardach znów wznieść po ścianie klifu. Wildegraf nałożył hełm i przewiesił tarczę przez plecy. Sięgał ręką do siodła, gdy to poczuł. Mroczna obecność na skarpie za jego plecami. Berylian warknął.

Wildegraf zmarszczył brwi pod hełmem. Ruchem ramienia zsunął tarczę z pleców i chwycił za miecz. Z początku nic nie widział, ale potem, sześćdziesiąt jardów dalej, trawa i krzewy zaczęły więdnąć, jakby palił je intensywny żar. Berylian stężał, gdy rozrastająca się łąka spalonej ziemi pomknęła w ich kierunku jak szarżujący byk. Mag bitewny ledwie zdołał nałożyć tarczę i dobyć miecza, gdy demon spadł na niego jak grom z jasnego nieba. A raczej wyskoczył z głębi czerniejącej ziemi, wyprowadzając potężny atak dwoma zakrzywionymi ostrzami. Wildegraf umknął przed pierwszym, Berylian uskoczył przed drugim. Smok dobrze zrobił, nie starając się parować uderzenia, bo zaczarowana klinga otworzyła płytką ranę ukośnie przez jego żebra. Wildegraf poświęcił moment, by skupić się na atakującym przeciwniku. Demon mierzył około ośmiu stóp, miał potężnie rozrośnięte barki i silne, owionięte dymem nogi, zginające się w odwrotną stronę, jak u zwierzęcia. Jego głowę, ramiona i górną część korpusu okrywał ciężki pancerz, a w zaciśniętych pięściach dzierżył dwa wygięte na podobieństwo szabli miecze. Był mniejszy od większości napotkanych przez Wildegrafa demonów – ale też silniejszy. Mag bitewny w lot pojął, dlaczego Jürgen nie zdołał oprzeć się temu potworowi. To nie był zwykły demon.

To był zabójca, odrębny gatunek piekielników, których zwano Pogromcami.

Nie było czasu na myślenie; demon natarł na Wildegrafa z całą zaciekłością, mag bitewny parował cios za ciosem, aż drżenie odezwało się w jego ramionach. Gdy Berylian rzucił się naprzód, rozwierając szczęki, Wildegraf odpalił magiczny atak, który powinien być dostatecznie silny, by zatrzymać napierającego potwora, ale połyskliwy harpun światła odbił się od zbroi demona. Wildegraf zamachnął się mieczem, lecz Pogromca jakimś cudem zdołał się przed nim cofnąć.

Szybki jest! Myśl uderzyła Wildegrafa, gdy Berylian spadł na demona z przeciwnej strony.

Zbyt szybki.

Smok zaatakował wroga szponami twardymi jak stal, ale piekielnik odbił atak jednoczesnym cięciem obu mieczy. Berylian miał szczęście, że udało mu się wyjść ze starcia z wszystkimi kończynami. Wildegraf posłał w stronę demona roziskrzony łuk energii, celując w jego plecy, ale

Pogromca ledwie zachwiał się na nogach i okręcił błyskawicznie, uderzając od góry ciosem dość silnym, by rozplątać dorosłego mężczyznę. Wildegraf ponownie uniósł tarczę i wlał w swoje ramię porcję wzmacniającej magii, ale każdy druzgoczący atak nadwątlął jego magiczną osłonę. Wystrzelił promień energii i trafił demona w brzuch. Wyprowadzany przez stwora cios poszedł bokiem. Pogromca złożył się do kolejnego, gdy raptem znajome uczucie ostrzegło Wildegrafa, że Berylian ma zamiar zaatakować ogniem.

Instynktownie mag bitewny otoczył się ochronną kulą energii, ale demon również przejrzał zamiary smoka i z oszałamiającą prędkością okręcił się twarzą w kierunku, z którego spodziewał się strumienia ognia. Płomienie Beryliana owionęły jego głowę i ramiona, ale Pogromcę uchronił przed obrażeniami magiczny pancerz. Wildegraf patrzył przerażony, jak demon pchnął mieczem przez wyjąca ścianę ognia.

– Nie! – zawył, gdy klinga wbiła się głęboko w podstawę szyi Beryliana.

Ogień zgasł, Berylian zatoczył się w tył. Miecz przeciął nerwy i ścięgna nad jego ramieniem. Lewa kończyna obwisała i powlokła się po ziemi, gdy smok usiłował osłonić się przed drugim ciosem.

Wildegraf skoczył naprzód i wbił miecz w dolną część pleców potwora. Wściekły atak wreszcie zadał potworowi jakieś obrażenia, lecz Pogromca momentalnie obrócił się i zadał cios, który Wildegraf zdołał co prawda przyjąć na tarczę, ale jego nieludzka furia odepchnęła go mocno na bok i prawie zwała z nóg. Czar wzmocnienia ocalił mu życie, ale nie uchronił przed raną – ciepła krew spływała po ramieniu ku palcom. Zaciskając zęby z bólu, wyprowadził sekwencję ciosów, ale demon parował je jeden po drugim, aż wreszcie uzyskał dość przestrzeni, by zrewanżować się własnym.

Pogromca zgruchotał nogę Wildegrafa wściekłym kopniakiem i powalił go na kolana ciosem pięścią, który wgniół mu hełm z lewej strony. Ostatni cios od dołu rzucił maga na plecy. Leżał na ziemi, krztusząc się krwią, a charkot odbijał się echem od ścianek hełmu.

Walcząc o zachowanie przytomności, Wildegraf przetoczył się na bok. Tarcza wisiała bezużytecznie na potrzaskanej ręce, prawa noga była złamana, nie mógł więc zrobić nic, gdy klinga potwora wżerała się po jelec w jego pierś.

Przez wygięte szczeliny przyłbicy widział, jak demon rusza w kierunku Beryliana, ten zaś cofa się przed nim, pełźnie w tył na uszkodzonej nodze, która nie potrafiła już udźwignąć jego ciężaru. Widział, jak demon zatacza się pod rozpaczliwym ciosem potężnego zielonego smoka, ale potwora nic już nie mogło zatrzymać. Świat przed oczami Wildegrafa wybuchł płomieniem, gdy Berylian zdobył się na jeszcze jeden ognisty atak, Pogromca jednak przywarł do ziemi, unikając

kolumny płomieni. Nastąpiła wymiana brutalnych ciosów i Wildegraf przez krótką chwilę myślał, że smok może jeszcze zwyciężyć, lecz wówczas zakrzywione ostrze spadło w dół, by zaraz łukiem wzbić się w górę, wlokąc za sobą strugę smoczej krwi.

Zanim pociemniało mu przed oczami, mag bitewny dostrzegł jeszcze, jak Berylian opada na bok, machając niemrawo skrzydłem. Demon stał nad nim jak kat przed egzekucją. Wildegrafowi krwawiło serce, gdy musiał patrzeć na swojego towarzysza broni zdanego na łaskę tego potwora, ale jego własne ciało było w strzępach i nie mógł zrobić zupełnie nic, by go powstrzymać. Nie docenili Pogromcy i zapłacili za to najwyższą cenę, ale najgorsze było to, że Wildegraf nie mógł ostrzec przyjaciół. Armie królowej Catherine walczyły w tym rejonie Utraconych Ziem. Nikt nie doniesie im o tej śmiertelnej broni, którą wypuły przeciw rodzajowi ludzkiemu głębie piekielne.

Pogromca zaciągnął Beryliana na skraj klifu, a potem wrócił po maga bitewnego. Wildegraf mógł tylko patrzeć na górującego nad nim piekielnika. Natchniony niezłomną wiarą, spojrzał prosto w gorące, nieludzkie ślepia Pogromcy, lecz zamiast żądzy mordy dostrzegł w nich jadowite okrucieństwo i wiedział już, że demon nie pozwoli Berylianowi po prostu umrzeć. Pogromca sprawi, że będą cierpieć, wykorzysta ich ból jako przynętę, by ściągnąć kolejne Wielkie Dusze w zasięg swoich mieczy, a potem znów zacznie zabijać.

Gdy demon sięgnął do niego, Wildegraf siłą woli posłał swoje ostatnie myśli w świat.

Strzeżcie się! Mój ludu, moi przyjaciele, Wielkie Dusze. Wróg włada nową bronią. Strzeżcie się!

## Niedostatki zwykłych ludzi

---



Powietrze nad doliną drżało od piekielnego żaru Opętanych, ale emisariusz wiedział, że skoro nie ma z nimi demona, zdołają ich pokonać.

Wróg natarł ze zwyczajową zaciekłością, ale żołnierze Czwartej Armii walczyli z nimi już wiele razy i utrzymali formację, łucznicy zaś metodycznie trzebili szeregi Opętanych. Setki lekko opancerzonych skirytów padły pod pierwszymi salwami, ale kolejne setki przeskakiwały nad trupami towarzyszy i zasypywały pierwszą linię gradem ciosów. Opętanego mogła zatrzymać tylko wyjątkowo poważna rana. Ból nic dla niego nie znaczył, a bał się jedynie gniewu swego pana. Żołnierze Czwartej byli przygotowani na bezmyślną, dziką nienawiść wroga i przeciwstawili jej umiejętność i odwagę, lecz teraz Opętani skręcili w kierunku prawej flanki i na ich drodze stanęli magowie wojownicy Sorna.

– No, teraz zobaczymy – powiedział generał Renucci.

Czując trudne do zniesienia napięcie, emisariusz patrzył na mknącą w stronę czarodziejów czarną falę Opętanych, lecz zanim pierwszy skiryta zdołał zaatakować, rozerwała go na strzępy oślepiająca chmara magicznych pocisków. Setki połyskliwych, błękitnych promieni wbiło się w gromadę jego towarzyszy na podobieństwo strzał. Lecz nawet gdy przez kanonadę ciosów przedarli się wojownicy, magowie utrzymali pozycje, dając efektowny pokaz umiejętności walki mieczem i tarczą.

– Chyba się utrzymają – skomentował Renucci, prawie zawiedziony.

Emisariusz potwierdził skinieniem, lecz teraz widział pewne napięcie w szeregach magów. Wojownicy w pierwszym rzędzie walczyli świetnie, ale wielu już wycofało się z frontu i ich szeregi traciły spójność. W przypadku zwykłej jednostki pieszej mogłoby się to okazać zgubne, ale magowie wojownicy nie byli regularną piechotą. Ich nasycone magią miecze wchodziły w brązowe pancerze skirytów jak w masło,

a w dodatku osłaniały ich stojące głębiej w szeregach setki magicznych artylerzystów.

Satysfakcja i irytacja zmagaly się ze sobą w umyśle emisariusza, który po chwili oderwał wzrok od magów i potoczył nim po pozostałej części pola bitwy. Oddziały usytuowane w środku trzymały się twardo, lewa flanką już zaczęła posuwać się do przodu, gotowa otoczyć Opętanych.

Zadowolony, że główne ognisko bitwy znajduje się pod kontrolą, emisariusz wrócił wzrokiem do czarodziejów. Skirytów wsparła duża jednostka ciężkozbrojnych kardaków. Zwaliści wojownicy wysunęli się na czoło oddziału atakującego magów wojowników i emisariusz nie mógł nie zastanawiać się nad tym, jak czarodzieje poradzą sobie z tym nowym zagrożeniem. Armia Galena Thralla wreszcie miała okazję się wykazać.

Gdy szturmowcy zostawili za sobą zastopowanych ostrzałem skirytów, emisariusz dostrzegł, że Sorn wydaje rozkaz przegrupowania. Magiczni wojownicy zareagowali z podziwu godną dyscypliną: ułożyli tarcze w falangę, nakrywając jedne drugimi na podobieństwo rybich łusek, i przygotowali się na uderzenie. I wtedy spomiędzy szeregów Opętanych wystrzeliły bestiarumy. Stwory przeskoczyły nad murem tarcz i natychmiast zaczęły rwać na strzepy znajdujących się za nim magów.

Emisariusz wbił wzrok w lewą flankę i wysunął się nieco naprzód, by lepiej widzieć.

– Rozdzielić, odizolować, zabić! – powtórzył szeptem mantrę piechoty walczącej z bestiarumami.

Gdy rozszalałe potwory siały śmierć w szeregach czarodziejów, ponad sześciuset kardaków napało na ich tarcze.

Przez sekundę wydawało się, że magowie złamią szyk, a emisariusz zaczął obawiać się najgorszego. Wtedy z ich szeregów buchnęło jasne światło i magowie wyprowadzili potężny magiczny atak. Huk poniósł się po dolinie jak grom. Pierwsze szeregi kardaków zostały dosłownie rozerwane na sztuki.

– Na niebiosa i wszystkie gwiazdy, co spadają... – zaintonował z przestachem generał Renucci.

Emisariusz był nie mniej oszołomiony potęgą magicznego zaklęcia, ale jego myśli natychmiast znalazły się przy królowej, która czekała na jego raport o bojowej skuteczności magicznej formacji.

Och, moja miłości, zabłysło mu w głowie, strzeż się, bowiem przechwałki Thralla nie były bezpodstawne.

Wyglądało na to, że magowie nie przechwalali się na próżno. Rzeczywiście mieli do zaoferowania coś, co może ich wszystkich uratować. Przez moment emisariusz stał jak sparaliżowany. Pojął, jakie

to może mieć konsekwencje dla niego i dla królowej. Jak wpłynie to na szanse ich bycia razem, gdy Galen Thrall ogłosi wotum nieufności wobec królowej i zacznie nalegać, by przyjęła „pomoc” od księcia Ludovica, który zasiądzie wówczas na tronie jako król małżonek sprawujący faktyczną władzę.

Na tę myśl emisariuszowi ścisnęło się serce, lecz wtedy zsunął się wzrokiem na zalegające na ziemi trupy magów, ofiary tego samego magicznego uderzenia, którym ich pobratymcy potraktowali kardaków. Dostrzegł, że dwa bestiarumy nie zostały jeszcze unieszkodliwione oraz że pozostali przy życiu kardakowie już dokonali przegrupowania, sposobiąc się do kolejnego natarcia. Czekał niecierpliwie na drugi magiczny atak, który pozwoliłby wykorzystać uzyskaną przewagę, ale ten nie nadszedł. Zamiast tego magowie zaczęli podawać tyły, chwiać się i potykać, łamiąc szyk żołnierzy znajdujących się za nimi, tak jak przewracają się nawzajem kostki domina.

– Sypią się! – powiedział przerażony generał Renucci.

Jeszcze przez chwilę emisariusz patrzył na magów wojowników, stając się świadkiem tego, jak cała prawa flanka jego armii idzie w rozsypkę. Nie mieli już szans na otoczenie Opętanych. Teraz to oni byli otaczani. Przemknął wzrokiem po polu bitwy. Gdyby się wycofali i skonsolidowali centrum, wciąż mogliby wygrać tę bitwę, ale na pewno nie zdążą, nim przybędzie druga armia. Dusząc głos serca, który kazał mu walczyć dalej, podjął jedyną słuszną decyzję.

– Trąbić na odwrót.

– Wciąż możemy ich pokonać! – sprzeciwił się Renucci.

– Nie zdążymy. I nie obejdzie się bez wielkich strat. Odwrót, powiedziałem!

Generał Renucci wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale on również widział, że porażka magów wojowników zmieniła rozkład sił na polu bitwy. Czarodzieje nie byli już nowoczesną jednostką o wielkim potencjale, ale piątym kołem u wozu, które uniemożliwiało mu poruszanie się. Renucci zagryzł zęby i dał znak sygnalistom.

Gdy huk rogów rozbrzmiał w dolinie, emisariusz spojrzął na swoją armię, starając się wykonać rozkaz. Odłączenie się od przeciwnika było w czasie bitwy najtrudniejszym manewrem, ale żołnierze Czwartej zaczęli się powoli wycofywać, nie łamiąc formacji.

Opętani wyczuli słabość, rzucili się za nimi w pogoń, ale emisariusz kazał łucznikom osłaniać odwrót salwami z łuków, a kawalerii wymieść nacierających wrogów krótkimi szarżami. Zdołali uniknąć katastrofy, stracili jednak inicjatywę i teraz szansa na uniemożliwienie dwóm armiom połączenia się została zaprzepaszczona.

Prawdopodobnie i tak wygraliby bitwę, ale zwycięstwo byłoby okupione zbyt wielkimi stratami. Emisariusz wiedział, że jeśli ma

utrzymać armię w całości, potrzebne mu posiłki. Gdy tylko wyjdą z doliny, pośle jeźdźca do Hoffen. A gdy nadejdzie pomoc, wróci i znów będzie walczył.

Co się zaś tyczy nadchodzącego demona... Cóż, mógł tylko żywić nadzieję, że Nathalie wróci na czas.



Lecąca nad lesistymi dolinami Illicji Nathalie wzdrygnęła się, gdy znowu to poczuła. Znowu dotarło do niej odległe echo cierpiącej duszy. Nie znalazłszy ani śladu Wildegrafa, postanowiła w końcu przerwać poszukiwania i wrócić do emisariusza. Wiedziała jednak, że nawet jeśli się pospieszy, nie zdoła dotrzeć o ustalonej porze.

Znowu. Wszechogarniający przebłysk agonii podobny do tego, który ściągnął ich uwagę poprzednio.

– Nie wiem – odszepnęła Nathalie w odpowiedzi na pytające myśli smoczycy.

Umysł Ciel wypełniały przejmujące obrazy strachu i bólu. Dla Nathalie brzmiało to jak krzyk. Gdzieś tam ktoś bardzo cierpiał. I nie tylko człowiek, również smok.

– Nie martw się, moja kochana – wydyszała Nathalie. – Ktokolwiek to jest, pomożemy im.

Skorygowała kierunek lotu i dała znać smoczycy, by zwawiej pomknęła naprzód. Uwolnią te umęczone dusze od katorgi, którą cierpiały, a potem, tak szybko jak to tylko możliwe, wrócą do emisariusza.



W odróżnieniu od wściekłego generała Renucciego Chevalier nie miał dla Dagorana Sorna nic poza współczuciem. Wyglądało na to, że pomimo swojej wielkiej mocy magowie padli ofiarą niedostatków zwykłych ludzi. Przez strach doszczętnie wydrenowali się z mocy, która pozwoliłaby uderzyć w kardaków. Popełnili więc ten sam błąd co wszyscy niedoświadczeni żołnierze, którzy całą swoją siłę marnują na pierwsze minuty bitwy.

– I jak wiele czasu potrzebujecie, by przygotować kolejny zasób ofensywnych czarów? – spytał emisariusz, gdy zasiedli przy niknącym pod mapami stole w namiocie dowódczym.

– Splecenie jednego zaklęcia wymaga kilku godzin medytacji –



odpowiedział Sorn. – Ale przygotowanie zasobów energii na całą bitwę potrwa kilka tygodni.

General Renucci prychnął pogardliwie. Nawet Chevalier nie był w stanie stłumić szalejącej w nim rozpacz.

– A więc nie będę odciągał was od pracy – rzekł z wysiłkiem.

Skłoniwszy się sztywno, Dagoran Sorn wrócił do swoich przetrzebionych szeregów, by leczyć własne strzaskane ego.

Wreszcie udało im się oddzielić pewną odległością od przeciwnika, ale dwie armie Opętanych zdołały się już połączyć w siłę dorównującą liczebnie Czwartej Armii.

– Wciąż możemy ich pokonać – nie tracił nadziei kapitan Salien, weteran, który zjadł zęby, wojując z Opętanymi.

– Tak, możemy – przystał emisariusz. – Ale nie możemy okupić zwycięstwa unicestwieniem Czwartej. Osiem tysięcy żołnierzy z Hoffen da nam przewagę, której potrzebujemy, i zredukuje potencjalną liczbę poległych.

– Ale musimy zniszczyć armię Opętanych przed przybyciem demona!

– I dokonamy tego – zapewnił go Chevalier. – Gdy tylko przybędą posiłki z Hoffen.

– Nie będzie żadnych posiłków!

Wszyscy zwrócili się w stronę wejścia do namiotu, którędy wtoczył się do środka zmordowany zwiadowca. Bładość jego twarzy wystarczyła za wieści.

– Panowie... – Mężczyzna skłonił się pospiesznie. – Marszałek Vitrion przesyła przeprosiny. Garnizon w Hoffen został wezwany, by zapobiec przedostaniu się wroga na północ. Minie ponad tydzień, nim zdołają przyjść nam z pomocą.

Emisariusz zamknął oczy, a wszyscy oficerowie skupieni nad mapami zaczęli mówić jednocześnie.

– Musimy wycofać się do miasta.

– Zwariowałaś? – fuknął generał Renucci. – Nie możemy zaprowadzić demona do miasta, nie mając ze sobą maga bitewnego. Same mury go nie powstrzymają!

– A więc nie mamy innego wyboru, jak tylko zaatakować Opętanych przed przybyciem demona!

– Stracimy pół armii!

– Ale przynajmniej nie pozwolimy wrogowi zjednoczyć sił z demonem. Lepszy demon z garstką niedobitków niż demon z dwudziestoma tysiącami wojowników.

Oficerowie sprzecali się, a emisariusz spojrział na mapę. Renucci miał rację. Nie wolno im było zaprowadzić demona pod bramy bezbronnego miasta. Musieli znaleźć sposób, by odciągnąć Opętanych od Hoffen i dać Nathalie czas na powrót. Wciąż pokładał wiarę w magu

bitewnym, lecz jeśli Nathalie zawiedzie, miasto Hoffen i cały region dostaną się w ręce wroga.

Nie. Musi być jakiś inny sposób.

Emisariusz przebiegł palcem po linii na mapie. Linii, która wiodła do kolejnej doliny, oddalając się od Hoffen, a zbliżając do Le Matres. Nagle zaświtała mu w głowie myśl. Kto wie, może się uda. Oficerowie przestali się kłócić, gdy emisariusz zwrócił się do jednego z czekających nieopodal kurierów.

– Jedź do Le Matres – polecił. – Znajdziesz tam garnizon trzech tysięcy żołnierzy oraz armię kadetów z Akademii Sztuki Wojennej. – Zignorował okrzyki niedowierzania, które dobieły się z gardeł kilku oficerów. Czy on zamierzał posłać do walki kadetów? – Powiedz, by wyruszyli natychmiast. Niech spotkają się z nami w dolinie, o, gdzieś tutaj. – Popukał palcem w mapę. – I powiedz, by koniecznie zabrali ze sobą Falka Dantégo.

– Danté! – wykrzyknął generał Renucci. Pozostali oficerowie wodzili między nimi niepewnym wzrokiem.

– Jest silny – rzekł emisariusz. – Silniejszy, niż na to wygląda.

– Ale nie przeszedł jeszcze szkolenia! – zaproponował Renucci.

– To prawda. Ale jeśli demon dopadnie nas, zanim pokonamy Opętanych, Danté może stworzyć nam szansę, którą zdołamy wykorzystać.

## Daston



**W** Le Matres rozdano ludziom żywność i zaczęto budowę mostu. Wykonano spis uchodźców, których armia kadetów miała odprowadzić do Furii. Podczas gdy kadeci byli pochłonięci pracą, Falko starał się wyciągnąć, ile tylko zdoła, z ostatnich lekcji z Meredithem. Eksperyment komunikacyjny trwał i wszystko wskazywało na to, że zakończy się sukcesem, ale mistrzowie wieży magów w Le Matres ociągali się z udzieleniem Meredithowi zezwolenia na audiencję.

– Mają mnie za pyszałka – wyjaśnił. – Nie lubią, gdy chłystek taki jak ja próbuje ulepszyć metody, którymi posługują się od lat.

Falko uśmiechnął się ze współczuciem. Meredith był wyraźnie dumny ze swojego osiągnięcia, ale wydawał się również wyczerpany.

– Zakładam, że wrócisz do Furii, gdy już ich przekonasz?

Meredith kiwnął głową.

– Zajmie mi kilka dni nauczenie ich, jak przenosić połączenie. A poza tym muszę tu trochę pogrzebać w księgach. Ale tak. Ostatecznie wrócę do Furii.

– To dobrze. Po powrocie będę potrzebował twojej pomocy.

Meredith spojrzął na niego, ale się nie odezwał. Wiedział, że Falko myśli o rytuale Assay, ale tak samo jak Aurelian uważał, że nie jest jeszcze gotowy.

– Pojedziecie zobaczyć się z Fossettą?

– Nie wiemy nawet, czy jeszcze ją tam zastaniemy – odparł Falko. – Ale ponieważ Daston leży wszystkiego dwadzieścia mil stąd, spróbujemy.

Meredith pokiwał wolno głową. Zastanawiał się, jak to jest mieć w życiu ludzi, którzy tak się o ciebie troszczą.

Falko i Malaki mieli wyruszyć z rana, ale Bryna nie mogła jeszcze opuścić Urwipolców, którzy wdawali się w bójki ze strażą miejską.

Wyglądało na to, że opinia kłusowników i rzezimieszków była nie w smak jej łucznikom.

Przyszła tylko się pożegnać. Patrzyła, jak Falko i Malaki siodłają konie.

– Spróbuję dołączyć do was za dzień lub dwa – powiedziała. – Gdy tylko wbiję Patrickowi do głowy, że bijąc się z kim popadnie, nie zdobędzie zaufania tych, którzy są uprzedzeni do Urwipołciów.

Roześmiali się wszyscy, a Malaki złożył na ustach Bryny przeciągający się pocałunek.

– Uważajcie na siebie – powiedziała im.

– Ty też – odparł Malaki, po czym ruszyli w zimną i mokrą mgłę, która lepiała się do wzgórz jak lukier.

Droga zaprowadziła ich do starej ścieżki poganiaczy bydła, wijącej się między wzgórzami, i dopiero późnym popołudniem dotarli do leśnego miasteczka Daston. Mieszkańcy nie poświęcili im dwóch spojrzeń, gdy zmierzali główną drogą na rynek. Najwidoczniej byli przyzwyczajeni do przejeżdżających przez miasto obcych. Teraz byli nimi głównie zalęknieni uchodźcy, uciekający przed falą Opętanych. W tych dwóch wojownikach na koniach nie było jednak nic z zalęknienia.

Czereda dzieci przyczepiła się do końskich ogonów i biegła za nimi, dopóki nie zatrzymali się przed kuźnią, by napoić wierzchowce.

– Witajcie, panowie. Ależ piękne zwierzę! – zaczął ich kowal, wycierając dłonie w szmatę, gdy wychodził spod wiaty kuźni.

– Co prawda, to prawda – odparł Malaki, klepiąc Fidelisa po szyi. – Ale żadni z nas panowie, jesteśmy dopiero w trakcie szkolenia.

Kowal rzucił Malakiemu spojrzenie z gatunku „skoro tak twierdzisz”.

– W czym mogę pomóc? – powiedział na głos, taksując ich wzrokiem.

– Szukamy naszej przyjaciółki – włączył się do rozmowy Falko. – Nazywa się Fossetta Pieroni. Z tego, co wiemy, burmistrz jest z nią w kontakcie.

– Możliwe, że jest – powiedział kowal. – Ale nie tylko on, bo ja również. – Wszedł na ulicę i wskazał głową drogę wiodącą do okazałego budynku, który musiał mieścić tutejszą gospodę. – Panie Pieroni i Asclepios są gośćmi Pod Dębowym Liściem.

Serce Falka zabiło mocniej. Wiedział, że to absurd, ale nagle zrobił się nerwowy.

– Ale nie znajdziecie ich tam teraz – dodał kowal. Nie umknęło mu rozczarowanie wymalowane na twarzy Falka. – Wrócą dopiero za jakiś czas, bo pojechały w odwiedzinę do czcigodnej pani Casty.

Falko odetchnął z ulgą. Właściwie prawie nie wierzył, że je tu znajdzie.

– Jest z nimi również młody pan Merryweather – pociągnął kowal, widocznie szczęśliwy, że może dostarczyć przybyszom dobre wieści. –

Na pewno wrócą przed zachodem słońca. – Jego oblicze nachmurzyło się. – Niemądrze jeździć nocą po lesie.

– Dziękujemy – powiedział Falko.

– Nie ma sprawy. Dobrze mieć w mieście uzdrowicielkę z prawdziwego zdarzenia. – Odsunął się, gdy jeźdźcy odciągnęli konie od koryta z wodą.

– Poczekajcie na nich Pod Liściem, jeśli chcecie. Madame Beaujon na pewno nie będzie miała nic przeciwko. Jest tam co zjeść i gdzie się przespać, jeśli macie ochotę.

Podziękowali raz jeszcze i pojechali we wskazanym kierunku. Gospoda była okazałym, dwupiętrowym budynkiem, robiącym wrażenie dostojnego przybytku spychanego w ruinę przez trudne czasy. Oddali konie młodemu stajennemu, po czym weszli niskimi drzwiami do środka. Wnętrze okazało się o wiele bardziej przytulne, niż wskazywał na to wygląd zewnętrzny.

– W czym mogę pomóc? – zapytała uprzejmie korpulentna kobieta za barem, która musiała być rzezoną madame Beaujon.

– Dowiedzieliśmy się, że przebywa tutaj Fossetta Pieroni – odezwał się Falko. – Chcielibyśmy poczekać tu na nią, jeśli pani pozwoli.

– Znać się, tak?

Falko skinął głową.

– Nie wie pani może, kiedy wróci?

– Chyba nie późno – odparła madame Beaujon. Obmyła ręce w kamiennej misie, by następnie wyjść zza kontuaru i powitać gości jak należy. – Valencjanie, co? – stwierdziła raczej, niż zapytała. – Chodźcie na dziedziniec, nakarmimy was. – Zaprosiła ich gestem na dwór, gdzie ujrzeni stoły i krzesła. – Nie jesteście chyba z Caer Dour? – zapytała po chwili.

– Owszem, jesteśmy – potwierdził Falko, a w oczach właścicielki zajaśniały ogniki zrozumienia.

W drzwiach prowadzących na dziedziniec pojawił się starszy mężczyzna i zaczął z mozołem przedzierać się przez podwórze. Stawiał kroki jak człowiek dotknięty artretyzmem.

– Albercie – zwróciła się do niego gospodyni, a mężczyzna stanął w miejscu – przyniesiesz naszym gościom coś do zjedzenia?

– Chyba nie mam wyjścia – odparł starzec niechętnie, nawet nie obracając głowy.

– I nieco wina...

– Skoro trzeba – dodał głosem udręczonego służącego, przeciągając sylaby.

Gospodyni nie przeprosiła za jego opryskliwość. Uśmiech na jej ustach zdawał się raczej mówić o ciepłym uczuciu, jakim darzy starca. Wyraźnie opierając się pokusie obsypania gości pytaniami, zostawiła ich

przy stole, a sama wróciła za kontuar.

Albert nie spieszył się przesadnie. Wykonał jeszcze dwa przebiegi, nim wreszcie wszystkie zamówione rzeczy znalazły się na stole. Najedzeni i wypoczęci goście rozparli się na krzesłach.

– Co będziemy teraz robić? – spytał Malaki. – Moglibyśmy przejść się po mieście.

– Wolałbym po prostu tutaj poczekać – odpowiedział Falko.

Ani myślał się stąd ruszać, zwłaszcza że Fossetta mogła się pojawić w każdej chwili. Malaki po prostu wzruszył ramionami i poprawił się na krześle. Nie minęła minuta, a zaczął chrapać.

## Przeciwnik

---



Ciel zauważyła to pierwsza. Osobliwa masa zieleni i czerni przy klifach na skraju stromej skarpy. To stamtąd emanowało cierpienie, które wyczuły. Wiedząc, że dzieje się tam coś złego, zaczęły wolno obniżać lot po spirali. W miarę zbliżania się widziały coraz więcej.

– Och, serce moje! – Nathalie zachłysnęła się powietrzem, gdy uświadomiła sobie, że zieloną plamą jest smok, a ta czarna to krew, która go zbryzgała. – Wildegraf! – Nieomal zakrztusiła się krzykiem, rozpoznawszy ciało illicyjskiego wojownika leżące... nie, rozciągnięte na smoczych zwłokach jak na katowskim łożu.

Ciel nie mogła powstrzymać emocji, gdy dotarło do niej, na co właściwie patrzy. Wylądowała na ziemi bez zwyczajowej gracji. Ktoś lub coś okaleczyło, a potem ułożyło ciała Wildegrafa i Beryliana jak na wystawie. Smok tkwił przygwożdżony do skały mieczem maga bitewnego, którego ciało było jakimś sposobem przytwierdzone za nadgarstki i kostki do jego łap. Zbroja leżała rozrzucona wokół, a jeden z rogów Beryliana sterczał z rozszarpanego brzucha mężczyzny.

Nathalie nie wiedziała, jaka sadystyczna bestia dopuściła się czegoś takiego. Czy chciała uczynić towarzyszy narzędziami tortur dla siebie nawzajem?

Rozejrzawszy się za niebezpieczeństwem, Nathalie zsunęła się z grzbietu smoczycy, założyła tarczę i dobyła miecza. Twórca tego upiornego dzieła wciąż mógł gdzieś tu być. Ciel również to wiedziała. Węszyła w powietrzu, gdy zbliżały się powoli do ciał.

Nathalie nie sądziła, by Wildegraf lub Berylian jeszcze żyli, lecz wiedziała, że jedną z piekielnych zdolności Opętanych było wydłużanie życia torturowanych ofiar, tak by mogli dłużej karmić się ich cierpieniem. Teraz obie widziały, że długie wstęgi skóry zerwanej

z Beryliana posłużyły za linę, którą kat przywiązał Wildegrafa za ręce i nogi do jego ciała. Oba ramiona maga były wybite z barków, jego przeguby rozciągnięte i pokryte sińcami. Lewa połowa twarzy niknęła pod maską skrzepniętej krwi. Posoka wyciekająca z ran na jego brzuchu zdążyła już szernieć i znaczyła bladą skórę na piersi ciemnymi strugami.

Nathalie widziała już wcześniej ciała poddane torturom, ale nigdy jeszcze nie spotkała się z tak ohydnie splugawionymi ciałami maga bitewnego i smoka. Czegoś tak potwornego mógł dokonać jedynie demon o wielkiej mocy.

Wiedziała, że nie mogą zrobić nic, by im pomóc. Chyba tylko ukrócić ich cierpienie, tak by zaznali wreszcie spokoju. Podczas gdy Ciel rozglądała się bacznie za jakimiś śladami niebezpieczeństwa, Nathalie schowała miecz do pochwy i ruszyła w kierunku dwóch umęczonych dusz, by na zawsze uwolnić je od bólu.



Przez cieką warstwę eterycznej skały Pogromca obserwował zbliżającą się do klifów Przeciwniczkę, chcącą pomóc powalonym towarzyszom w wyniku odruchu słabości, jakim było współczucie. Taka arogancka, a taka łatwowierna. To niemal rozczarowujące złapać ją z taką łatwością. Jeszcze kilka kroków, a zabije ją jednym ciosem.



Umysł Wildegrafa wypełniony był bólem i jedynie dzięki nadzwyczajnemu wysiłkowi woli wzbraniał się przed wszechogarniającym uczuciem zimnej, zwierzęcej paniki. Lecz nagle wyczuł, że opada w jego kierunku jakaś obecność. Tchnęła od niej siła, która przywróciła Wildegrafowi nadzieję. Z początku myślał, że to sen lub że ma go jego własny udręczony umysł, ale wtedy rozpoznał aurę pokrewnej mu duszy... dwóch dusz: jednej ludzkiej i jednej smoczej. Kobieta i smoczyca zbliżyły się do niego, a ich rozognione serca tchnęły miłością i współczuciem.

Niemal zapłakał z radości, ale wtedy przypomniał sobie o przyczajonym niedaleko Pogromcy, który tylko czekał, aż dwie kolejne ofiary wpadną w zastawioną przez niego pułapkę. Wildegraf wyczuł zniecierpliwienie ukrytego przed ludzkimi i smoczymi oczami demona, gdy dwie dusze podeszły ostrożnie bliżej. Pogromca trwał w ukryciu, nie



zobaczą go! Powali je z zaskoczenia, a potem kobieta i smoczyca podziela los Wildegrafa i jego towarzysza.

Nie podchodźcie! – pomyślał, z całych sił usiłując wymówić słowa suchymi, spękanymi ustami. Niemoc wzmogła jego rozpacz, wzbudziła cierpienie dotkliwsze od tego, które sprowadził na niego demon, i pojedyncza łza spłynęła z kącika jego oka.

Nie podchodźcie!



Podejdźcie, pomyślał Pogromca, mocniej ściskając rękojeści mieczy. Jeszcze tylko dwa kroki...



Widok łyż ściekającej po policzku Wildegrafa zakłuł Nathalie w serce.

Niebiosa, zlitujcie się nad nim. On żyje. Wie, że tu jesteśmy.

Wciąż skanując okolicę wyczulonymi zmysłami, zbliżyła się o krok. A Wildegraf otworzył jedno opuchnięte, nabiegłe krwią oko. Spękanе usta poruszyły się.

Nathalie już miała podejść bliżej, lecz wtedy dobiegł ją jego głos.

– Uciekajcie – rzekł Wildegraf głosem trupa.

Nathalie zamarła. Nigdy nie sądziła, że usłyszy tak wielkie przerażenie w głosie maga bitewnego.

– Uciekajcie stąd! – powtórzył, ale było już za późno.

Nathalie zaczęła się cofać, gdy Pogromca wyłonił się z kryjówki. Pierwsze uderzenie zakrzywionych ostrzy zmiotłoby jej głowę z ramion, ale dzięki Wildegrafowi miała dość czasu, by zasłonić się tarczą. Potworna siła uderzenia zaburzyła jej równowagę, ale Nathalie wykorzystala ją, by odtoczyć się poza zasięg dwóch kling. Nie spodziewała się, że gdy wyląduje na nogach, ujrzy już przed sobą niesamowicie szybkiego demona. Ledwo co zdołała sparować mieczem cięcie, które otworzyłoby jej klatkę piersiową. Głowa, kolano, brzuch. Uderzenia Pogromcy spadały z oszałamiającą szybkością i jedynie refleks ocalił Nathalie przed śmiercią. Ale gdy demon kopnął ją obsydianowym kopytem w udo, zachwiała się, a zdrętwiała noga ugięła się pod nią.

Zginęłaby, gdyby nie Ciel. Bursztynowa smoczyca rzuciła się na Pogromcę i zacisnęła potężne szczęki na jego prawym ramieniu. Demon zawył z bólu, ale pancerz osłabił ukąszenie i Ciel musiała wypuścić jego

rękę, gdy drugie ostrze pomknęło w kierunku jej gardła. Uskoczyła przed ciosem i uderzyła wroga zakończoną szponami łapą, ale wykuty przez Oświeconych pancierz wytrzymał.

Nie bacząc na odmawiającą posłuszeństwa nogę, Nathalie dźwignęła się do pionu, rozwścieczona ponad wyobrażenie tym, co zrobił demon. Prędko zebrała moc, podniosła miecz i tarczę, a potem, mierząc w jego pierś, wystrzeliła połyskliwy grot magicznej energii. Nawet Ciel wzdrygnęła się przed intensywnością tego ataku. W następnej chwili Nathalie jednak pojęła, skąd wziął się ten strach w oku Wildegrafa. Czowała, że nawet tak potężny atak, który przeciętnego demona naznaczyłby śmiertelną raną, nie wyrządzi krzywdy temu potworowi zakutemu we wchłaniający obrażenia pancierz. W miejscu, w które trafiła, widniała tylko na żebrach poczerniała plama nadpalonego mięsa. Jej ataki jedynie rozwścieczały wroga.

Stwór zamachnął się ostrzami i łuk płonącej siarki pofrunął w kierunku Nathalie, która w ostatniej chwili skryła się za tarczą opalizującego światła.

Gdy zatoczyła się, obciążając ranną nogę, demon spadł na nią jak grom. Jeden cios przyjęła na tarczę, kolejny sparowała mieczem. Trzeci zjechał po hełmie, ale był dość silny, by jej głowa odskoczyła od klingi jak kopnięta piłka. Nathalie poczuła, jak ciepła krew spływa jej po szyi.

Poczuła gorąco na plecach – to Ciel buchnęła ogniem, który owionął Pogromcę jak morderczy wiatr, ale, o dziwo, nie wyrządził mu krzywdy. Wówczas Nathalie uświadomiła sobie, że nie wygrają tej walki.

– Ciel! – zawołała Nathalie. – Uciekaj!

Smoczyca natychmiast ucięła strumień ognia, ale gdy tylko się odwróciła, Pogromca pchnął mieczem. Zakrzywione ostrze o pół cala minęło jej szyję, ale wcięło się w bok prawego skrzydła. Smok warknął z bólu, a Pogromca złożył się do kolejnego uderzenia. Wtedy Nathalie przyłożyła mu w twarz kulą ognia.

Spowolnione przez rany Nathalie i Ciel rzuciły się biegiem w kierunku urwiska, ale Pogromca strząsnął z siebie ostatnie wijące się języki płomienia i ruszył w pogoń. Był potwornie szybki, jak na swoje rozmiary, i z łatwością by je dogonił, gdyby nagle jakaś niewidzialna siła nie złapała go za nogi. Demon wyrznął o ziemię, a Nathalie i Ciel zeskoczyły ze skarpy. Na chwilę zniknęły piekielnikowi z oczu, by za moment pojawić się na niebie. Ciel starała się lecieć prosto pomimo uszkodzonego skrzydła, a Nathalie wisiała uczepiona siodła.

Umysł Pogromcy zapłonął drapieżną furją. Mógł tylko patrzeć na ofiarę, która mimo całej jego potęgi wymknęła mu się z rąk. Lecz wówczas na jego oczach smoczyca zakołysała się na niebie i spadła między drzewa. Przez uszkodzone skrzydło nie zdołała utrzymać się w powietrzu. Przeciwniczka oraz jej wyrm nie zdołają uciec. Pogromca

będzie je gonił, aż zabraknie im sił.

Wiedząc, że ofiara jest w zasięgu ręki, demon ochłonął. Wkrótce rozpoczną się łowy, lecz najpierw Pogromca zajmie się tym, który w kluczowym momencie go powstrzymał. Którego przedwcześnie uznał za pokonanego.



Wildegaf tracił wzrok, ale zdążył jeszcze zobaczyć, że Pogromca zwraca się ku niemu. To ostatnie zaklęcie wydusiło z niego resztki sił, ale Nathalie i Ciel zdołały uciec. Tylko to się liczyło. Podniosą alarm, a dzięki temu inni magowie bitewni zyskają dość czasu, by przygotować się do walki z tym nowym, potężnym przeciwnikiem. Wildegaf wiedział, że demon zemści się na nim za to, że ośmielił się wplątać w walkę, ale nic go to nie obchodziło. Nie na darmo wróg nazywał magów bitewnych Przeciwnikami.

## Ucieczka



Nathalie trzymała się kurczowo uprzęży, gdy frunęły ponad wierzchołkami drzew. Tarcza na przedramieniu utrudniała jej mocny uchwyt obiema rękami i magiczka obawiała się, że spadnie, lecz wtedy Ciel okręciła się w locie, umożliwiając Nathalie wspięcie się na jej grzbiet. Ale nawet wczepiona mocno w smocze łuski, nie czuła się bezpieczna. Prawe skrzydło Ciel było uszkodzone i kobieta wyczuwała ostry ból, który dręczył starającą się utrzymać wysokość smoczycę. Bardzo chciała wlać nieco wzmacniającej magii w ciało towarzyszki, gdy ta mknęła ponad zielonym dachem lasu, muskając nogami czubki drzew, ale nim zdołała to zrobić, przebiły się przez splątaną zieloność i uderzyły z mocą o ziemię.

Sycząc z bólu, Nathalie wstała na rozchwiane nogi, plując ziemią i igliwem, usiłując odzyskać jasność myślenia. Ciel również się podniosła, marszcząc z bólu okrytą drobnymi łuskami brew. Jej prawe skrzydło wisiało niżej od lewego. Nathalie natychmiast popędziła do smoczycy, spoglądając między drzewami, czy czasem Pogromca nie puścił się w pogoń.

Szybkie oględziny potwierdziły domysły Nathalie. Ostrze Pogromcy przebiło łuski i nadkruszyło skrytą pod nimi kość.

– Możesz latać? – spytała Nathalie wbrew nadziei.

Ciel westchnęła, spuszczając głowę, ale trąciła Nathalie pyskiem, zachęcając ją, by jej dosiadła. Nathalie prawie załkała, tak była z niej dumna. Czuła jej ból i nie chciała krzywdzić towarzyszki, ale musiały się spieszyć.

– Chwileczkę – rzuciła kobieta i poderwała wzrok. Skierowała go w kierunku skarpy, by przebić się spojrzeniem przez zasłonę drzew.

Spadając, upuściła miecz, by złapać się uprzęży. Czuła, że leży on u podstawy skarpy. Była pewna, że Pogromca zacznie je gonić, ale miecz

maga bitewnego był niemalże częścią jego ciała. Porzucić go to jak porzucić przyjaciela.

Przeszła pomiędzy drzewami i dostrzegła swoją broń wśród skał. Ruszyła w tamtym kierunku, ale dobiegający z góry ryk demona powiedział jej, że nie ma zbyt wiele czasu. Skupiła się i sięgnęła myślami do miecza, a ten poruszył się i trącił kamień, po czym poderwał się z ziemi i wylądował w jej dłoni. Narastała w niej panika i strach dobijał się do jej umysłu, ale mając miecz w dłoni, poczuła osobliwy spokój. Lecz wtedy sylwetka opancerzonego demona wynurzyła się zza krawędzi stoku. Nathalie wiedziała, że łowy się rozpoczęły.

Utykając, ruszyła z powrotem do Ciel. Bursztynowa smoczyca czekała na nią, nie zlekła się ryku potwora.

Obejrząwszy się po raz ostatni, Nathalie schowała miecz do pochwy i wgramoliła się na siodło. Czując, że Ciel sposobi się do lotu, pozwoliła leczniczej mocy wnikać do rannego skrzydła. Na nic innego nie miały już czasu.

Łzy spłynęły jej po skrytej pod hełmem twarzy, gdy szeptała smoczyce do ucha pokrzepiające słowa.

– Leć, najukochańsza. Tak szybko, jak zdołasz.

## Stare, dobre czasy



Falko drzemał, rozparty na krześle na osłoniętym dziedzińcu gospody Pod Dębowym Liściem. Nie był pewien, co wyrwało go ze snu, ale wyprostował się i usłyszał głosy wchodzących do karczmy ludzi. Dobiegło go szuranie przestawianych mebli, przez które przebił się głos madame Beaujon.

– Przepraszam, panie Merryweather – mówiła gospodyni. – Nie powinnam była tu tego zostawiać.

Serce zabiło mu szybciej i Falko wyciągnął rękę, by trzepnąć Malakiego w ramię.

– Ej, za co? – oburzył się przyjaciel, mrużąc oczy przed popołudniowym światłem.

Falko nie odpowiedział. W ciemnym wnętrzu gospody spostrzegł uzbrojonego żołnierza, pchającego przed sobą wózek.

– Dobry wieczór, madame Pieroni – przywitała się gospodyni. – Jak się miewa pani Casta?

– Niezbyt dobrze – odrzekł głos, który Falko tak dobrze znał. – Ale myślę, że bardzo jej pomogła kuracja Heçamedes. Z całą pewnością towarzystwo polepszyło jej nastrój.

Grupa przybyszów już miała przejść do głównej izby, gdy powstrzymały ich słowa madame Beaujon.

– Chyba powinniście zajrzeć na dziedziniec przed kolacją – powiedziała głosem nasyconym sugestią. – Czeka tam na was dwóch młodzieńców.

– Doprawdy? – odrzekła Fossetta tonem człowieka, który spodziewa się, że zaraz zostanie poproszony o przysługę. Czy to kolejny ojciec, którego dziecko cierpi koszmary? Kolejni pacjenci Heçamedes?

Falko rozciągnął usta w uśmiechu, słysząc narastający odgłos kroków. Wreszcie Fossetta stanęła w drzwiach, rozplątując rzemienie podróżnego płaszcza, i omiotła dziedziniec zniecierpliwionym

spojrzeniem. Przemknęła wzrokiem po dwóch młodych żołnierzach, nie rozpoznając ich, a potem wróciła do Falka i przechyliła głowę, starając się dostrzec jego twarz. Wtedy rzemyki wysunęły jej się z palców i płaszcz opadł na podłogę, a obie dłonie zakryły usta.

Falko już miał coś powiedzieć, gdy Fossetta nagle odwróciła się do nich plecami z oczami pełnymi łez. Falko poczuł się nieswojo, jakby w jakiś sposób sprawił jej przykrość. Wtedy jego uwagę przykuł chłopak podjeżdżający do nich na wózku.

– Mamidełko! – powiedział Tobias z nieskrywaną radością i teraz to Falko zakrztusił się szlochem.

Kaleki chłopiec opromienił go gorącym uśmiechem. Falko podszedł do niego i ujął jego drżącą dłoń.

– Cześć, Tobias – przywitał się. – Czołem, Heçamedes – dodał, gdy na dziedzińcu stanęła uzdrowicielka.

– Dobrze cię widzieć, Danté – rzekła kobieta. Jej ciemne thraeckie oczy tchnęły ciepłem. – Panie de Vane – dodała, uśmiechając się do Malakiego, który właśnie się do nich zbliżył.

Heçamedes, nie odrywając wzroku od Falka, popędziła go ruchem głowy w kierunku Fossetty.

– Dzień dobry, Fossetto – przywitał się.

Wreszcie kobieta uniosła wzrok i w nagłym przypływie uczuć przygarnęła go do siebie.

– Nie mogłeś mnie uprzedzić? – rzekła, gdy już odzyskała mowę.

– Nie pomyślałem – odparł Falko chrapliwie.

– Pewnie, że nie. Ty w ogóle niewiele myślisz! – obsztorcowała go, a Falko musiał się uśmiechnąć. To była Fossetta, jaką znał i kochał.

Pociągając nosem i ocierając łzy, puściła Falka i zamknęła Malakiego w równie serdecznym uścisku. A potem, wszedłszy na światło dziedzińca, ustawiła ich obok siebie, by lepiej im się przyjrzeć.

– Nie wierzę – powiedziała, sycąc wzrok widokiem Falka. – Prawie cię nie poznałam. A potem, gdy skupiałam na tobie wzrok, wydawało mi się, że patrzę na twojego ojca. Tylko oczy masz inne – dodała, głaszcząc jego policzek. – Matki.

Falko także zauważył pewne zmiany w korpulentnej sylwetce Fossetty. Zgubiła parę kilogramów, a skóra jej twarzy była ogorzała od ciągłej podróży. Wyglądała świetnie.

– Usiądźmy – zaordynowała Fossetta, choć przytrzymała Falka jeszcze chwilę, jakby próbowała nałożyć zapamiętany obraz chorowitego podrostka na silnego młodego mężczyznę, którego miała teraz przed sobą. Był szerszy w barkach, mocniejszy w piersi, a jego ramiona wyglądały, jakby przez ostatnie osiem miesięcy pracował w polu. Ciemne włosy były gęste i zdrowe, nawet kark i szyja wydawały się silne i muskularne. Co się zaś tyczy Malakiego... no cóż, zawsze był

wysoki i silny, lecz teraz budził podziw, wręcz postrach.

– Dobroci łaskawa! – wykrzyknęła, gdy zasiedli wreszcie na krzesłach na dziedzińcu. – Czym oni was karmią w tej Furii?

Roześmieli się chórem, a potem słowa same popłynęły z ich ust.

– Skąd się tu wzięliście?

– Jak długo zostaniecie?

– Jak się miewa Bryna i emisariusz?

– Co słyhać u pozostałych młodych ludzi z Caer Dour?

Kobiety chciały wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło od ostatniego spotkania: o szkoleniu w akademii, o stolicy i o morzu. A przede wszystkim o królowej! Fossetcie nie mieściło się w głowie, że chłopcy spotkali monarchinię Furii.

– Myślałam, że najwyżej pomacha wam z daleka!

Tobias chciał usłyszeć o smokach i wydawał się szczególnie zainteresowany tym, co opowiedział mu Falko o Aurelianie i Dwimervane.

Fossetta przedstawiła gościom dwóch żołnierzy z Toulwaru, którzy towarzyszyli im w podróży: kapitana Reynalda de Roche'a i porucznika Francois de Lacy'ego z Toulwarskich Szaserów Królewskich.

Mężczyźni skłonili się po żołniersku, ale utrzymali dyskretną odległość, nie chcąc się narzucać i przeszkadzać przyjacielom w spotkaniu.

Rozmawiali bez chwili ciszy, aż madame Beaujon zaprosiła ich do izby, gdzie podano już jedzenie i gdzie było nieco cieplej. Siedzieli przy kominku, na zmianę zadając pytania i odpowiadając.

– A jak wam idzie? – spytał Falko, gdy rozmowa zeszała na poszukiwania młodych magów bitewnych. – Wspomniałaś w swoim liście tylko o jednym „mamidełku”.

– Znałliśmy jesze jednego – odpowiedział Tobias. – Ale się nie udało.

Falko pokiwał głową. Sam zachował jaskrawe wspomnienia z dzieciństwa, dobrze pamiętał koszmary, które o mało nie doprowadziły go do szaleństwa, nim nauczył się nad nimi panować.

– Dość o smutkach – zarządziła Fossetta. – Opowiedzcie nam o czymś weselszym!

– Ja mogę opowiedzieć o tym, jak Bryna spiła się z Urwipołciami – podsunął wrednie uśmiechnięty Malaki.

– Panna Godwin? – powiedziała z niedowierzaniem Heçamedes. – Nie wierzę!

Żadna z kobiet nie słyszała o osławionej jednostce łuczniczej, ale Falko zauważył, że Francois i Reynald nachylił się, nagle zaciekawieni. Najwyraźniej wiedzieli, o czym mowa.

– Ależ tak – potwierdził Malaki. – Obrzygała mnie od stóp do głów!

Zabrał się z zapalem do opowieści.



Zapadał wieczór, gdy do grupy przysiedli się dwaj mężczyźni. Ich uprzejmości przeplatały się z przekleństwami, których nie powstydzilby się Dedric Sayer.

– Pozwólcie, że przedstawię – rzekła Fossetta, gromiąc ich spojrzeniem. – Pierre Laffite i Louis Macaire, woźnice, jakich świat nie widział – dodała z wyćwiczonym sarkazmem.

– Miło poznać! – zawołali dwaj mężczyźni, obracając się do Falka z rozbrajającymi uśmiechami na ustach.

– O w dupę! – powiedział Pierre, gdy zobaczył znamię Malakiego. – Co ty masz na twarzy, kolego!

– Myślałem, że dzieciom daje się klapsa w tyłek, nie w twarz! – dorzucił Louis Macaire i obaj kamraci nagrodzili się wzajemnie gromkim śmiechem.

Poirytowany Malaki uniósł brew, ale Falko roześmiał się i nawet Fossetta musiała zakryć usta dłonią. I to wystarczyło. Ci dwaj mężczyźni bez wątpienia odnaleźliby się wśród Urwipołciów. Reszta wieczoru i większość nocy upłynęły im na beztroskich rozmowach i śmiechu, jakich Falko już dawno nie zaznał.

Udali się na spoczynek niedługo przed brzaskiem. Falko uśmiechnął się, ułożywszy się w prawdziwym łóżku i wtuliwszy głowę w miękką puchową poduszkę. Mogli zostać jedynie dzień lub dwa, ale na razie wystarczyła mu świadomość, że jutro będzie mógł wstać z łóżka, jak przyjdzie mu na to ochota, i zjeść śniadanie z ludźmi, których zna całe życie.

Gdy odpływał w sen, wyobraził sobie, że leży w swoim starym pokoju w willi Symeona. I że życie znowu jest proste, a jego jedynym zmartwieniem jest zadbanie o to, by rano jego panu nie zabrakło wina. Niemal słyszał głos Symeona, strofującego go za jakąś drobnostkę głębokim, tchnącym autorytetem głosem, w którym jednak potrafił zawrzeć nutę serdeczności. Prawie udało mu się przekonać samego siebie, że ta najnormalniejsza ze wszystkich wersja rzeczywistości jest tą prawdziwą.

Och, gwiazdy na niebie, jakże by pragnął, by tak właśnie było.

## Wezwanie do broni

---



**W** Le Matres Bryna rozdzielała właśnie obowiązki między Urwipołciów, gdy sygnaliści obwieścili wezwanie do broni. Zorganizowała eskortę w porozumieniu z dwoma miejscowymi zwiadowcami i miała niebawem ruszać do Daston, lecz teraz wszyscy rzucili to, co robili, i zwrócili spojrzenia w kierunku obozu. Z początku myśleli, że musiała zajść jakaś pomyłka lub może zarządzono niezapowiedziane ćwiczenia, ale z błędu wyprowadziła ich krzątająca dowódców oraz podniesiona czerwona flaga bitewna. To nie ćwiczenia, zorientowała się Bryna i zanim świadomie podjęła decyzję, jej ciało samo rzuciło się pędem naprzód.

– Co się dzieje? – spytał doganiający ją Patrick Feckler.

– Pojęcia nie mam – odparła Bryna, gdy dobiegli do namiotów Urwipołciów. – Ale każ ludziom szykować się do wymarszu. Mają być gotowi za dwie minuty.

Paddy zmarszczył brwi. Widział dość świata, by rozpoznać kłopoty na pierwszy rzut oka. Napięcie, które raptem zawładnęło obozem, nie miało nic wspólnego z wojskowym drylem. To była mobilizacja. Wyszczekał serię raptownych komend i kilkoma celnymi chłaśnięciami w potylicę popędził co bardziej leniwych podkomendnych, a potem dał nura do namiotu, który dzielił z Dedrikiem i dziesięcioma innymi osobami. Wszędzie wokoło rozbrzmiewały klątwy i odgłosy wpadających na siebie żołnierzy, którzy zmieniali ubranie robocze na zbroje.

Paddy uwinął się szybciej niż większość. Rękami przyzwyczajonymi do pracy pod presją założył zbroję, przypasał miecz, złapał za łuk i kołczan, nałożył hełm i wypadł z namiotu, ostatnie rzeczy pakując do plecaka już w biegu.

– Ustaw ludzi w szeregu – powiedziała Bryna, gdy Paddy wynurzył się

z namiotu. – Idę sprawdzić, co się dzieje.

Wokoło żołnierze gorączkowo formowali szyk. Bryna przedzierała się przez tłum w kierunku namiotu dowódczego. Dowódcy i kilku kadetów gromadzili się na zewnątrz wokół zmordowanego po długiej drodze jeźdźca.

– Co jest? – spytała Bryna. – Co się dzieje?

– Chevalier – powiedział Alex, gdy kadeci zbliżyli się do zacieśniającego się kręgu ludzi wokół kuriera. – Chevalier odciąga armię Opętanych od Hoffen i potrzebuje naszej pomocy.

– Naszej? Jak to? – zdumiał się Huthgarl, podchodząc do nich z innymi kadetami.

– Z południa idzie demon. Chevalier chce unicestwić armię Opętanych przed jego przybyciem.

– Taka jest liczna? – zląkł się Quirren.

– Najwyraźniej – odparł dowódca. – Ale mag bitewny Nathalie Saigal nie wróciła jeszcze z południa. Jeśli Chevalier nie pokona Opętanych szybko, to gdy dołączy do nich demon, Czwarta Armia z pewnością zostanie rozgromiona.

– Wielkie nieba! – Bryna zachłysnęła się powietrzem.

Nie mogła zdecydować, co trudniej jej sobie wyobrazić: utracenie całej Czwartej czy samego emisariusza.

Dowódca zaprowadził ich do stojącego na dworze stołu, na którym rozłożono wielką mapę.

– Chevalier robi odwrót, idzie przez tę dolinę, a w ślad za nim ciągnie armia Opętanych. – Przesunął palcem wzdłuż linii wyrysowanej na mapie kotliny. – Armia demona sunie na niego z południa, czyli gdzieś stąd.

Bryna widziała teraz, że istniało zagrożenie, iż armia demona odetnie emisariuszowi drogę i Opętani zaatakują Czwartą z dwóch stron.

– Chevalier chce, byśmy dołączyli do niego jak najszybciej. Gdy tylko przybędziemy, zawróci i wspólnie szybko rozprawimy się z Opętanymi.

– Czemu nie miałyby po prostu wycofać się do Hoffen? – spytał Jareg, który nagle pojawił się w grupie.

– Z Hoffen odwołano garnizon, nie ma tam magów bitewnych, którzy mogliby go wesprzeć – wyjaśnił dowódca. – A on nie może zaprowadzić armii demona do miasta pełnego ludzi.

– A co z demonem? – spytał Huthgarl. – Jak mielibyśmy walczyć z nim bez maga bitewnego?

Dowódcy wymienili nerwowe spojrzenia.

– Gdzie jest Falko Danté?

– W Daston – powiedziała Bryna. – Z Malakim. – Dowódcy wyglądali na zaszokowanych jej słowami. – Sam pan go puścił – broniła się Bryna. – Pojechali wczoraj.

- Jak daleko stąd jest Daston? – spytał jeden z dowódców.
- Około dwudziestu mil.
- A więc musimy czym prędzej go tu sprowadzić.
- Ależ on nie jest magiem bitewnym! – zaproponował Jareg. – Nie umie nawet czarować!
- Ale sama jego obecność może umożliwić nam walkę – odparł dowódca.
- Bez maga bitewnego nasza odwaga natychmiast skruszeje w obliczu demonicznej mocy – poparł go inny.
- Jareg nie dawał się przekonać. Nie doświadczył jeszcze wyniszczającego przerażenia, które demon rzucał na pole bitwy.
- Falko i Malaki nie będą wiedzieli, dokąd jechać! – odezwała się Bryna.
- Zaczekamy na nich – powiedział Huthgarl, przemawiając w imieniu wszystkich przyszłych rycerzy.
- Wyślemy po nich gońca – dodał Quirren. – A potem dołączymy do was w miejscu spotkania z demonem. – Dźgnął palcem miejsce na mapie.
- Niech tak będzie – zgodził się dowódca. – Posłać po pana Dantégo. Ruszamy w ciągu godziny.

## Pan Danté



Po serdecznym powitaniu minionej nocy poranek otrzeźwił ich nieco i do Falka zaczynało docierać, że wizyta w Daston kiedyś dobiegnie końca. Czas spędzony z bliskimi naznaczony był więc niezbywalnym piętnem mającej niebawem nadejść rozłąki. Zjedli śniadanie i poszli na spacer do lasu. Wrócili dopiero na drugie śniadanie, gdy madame Beaujon podała herbatę i ser.

– Bryna wpadnie później – powiedział Malaki. – Chciała pojechać razem z kilkoma miejscowymi zwiadowcami.

– Byłoby wspaniale, gdyby jej się udało – odrzekła Fossetta. – Zawsze była taka energiczna i żywiołowa. Nie dziwi mnie, że poskromiła tych całych Urwisów.

Falko i Malaki tylko się wyszczerzyli. Dali za wygraną, jeśli idzie o poprawianie Fossetty, której ciągle myliła się nazwa podległej Brynie jednostki. Z czasem dwaj toulwarscy oficerowie coraz bardziej angażowali się w rozmowę. Ze szczerym zainteresowaniem słuchali wszystkiego, co Falko i Malaki mogli powiedzieć im o świecie. Toulwar leżał daleko od frontu, a oficerowie rwali się do walki. Dopiero teraz Falko dowiedział się, że to właśnie oni znaleźli wiadomości wysłane przez mieszkańców Caer Dour i wysłali maga bitewnego Dominica Ginolę, by odnalazł ich w górach. Raz jeszcze zadziwiło go to, jak splatają się nici ludzkich losów.

Po obiedzie Falko zgodził się towarzyszyć Heçamedes i Fossetcie podczas wizyty u mężczyzny, który złamał żebra przy wycinie drzew.

– Dałam mu napar na ból, ale przy takich ranach zawsze istnieje ryzyko infekcji. Jeśli mógłbyś jakoś pomóc...

Heçamedes opiekowała się Falkiem przez wiele lat, więc dziwnie się czuł, gdy teraz to ona prosiła go o pomoc, ale miał zamiar zrobić dla tego człowieka, ile tylko zdoła. Zostawiwszy Tobiasa w gospodzie, ruszyli

wąską ścieżką w kierunku wzgórz. Nie było ich może godzinę, gdy do miasta wjechał posłaniec. Wrył konia przed karczmą, zeskoczył z siodła i wbiegł do środka.

– Szukam człowieka zwanego Danté! – wydyszał w twarz osłupiałej madame Beaujon.



Emisariusz czekał, aż ostatni oddział tylnej straży wróci do doliny. Gdy czterystu jeźdźców znalazło się w polu widzenia, przypomniała mu się ucieczka z Caer Dour. Przez całe życie oddawał Opętanym kolejne połacie ziemi. Miasto, w którym przyszedł na świat, leżało niewiele ponad dwieście mil na wschód i już od dawna należało do Utraconych Ziem. Wspomnienie nie tak znowu odległych czasów, gdy znajdowało się jeszcze w granicach Furii, wydawało się nierzeczywiste.

Kiwnął z zadowoleniem głową, gdy kawaleria skróciła dystans. Widział, że tylko kilka siodel jest pustych.

– Daleko? – spytał, gdy podjechał do niego kapitan oddziału.

– W dalszym ciągu około dwóch mil, panie – odparł zmęczony mężczyzna. – Chyba nie możemy żywić nadziei na nic więcej.

Emisariusz zmrużył oczy. Opętani byli blisko, ale się nie zbliżali. Jeśli Czwarta Armia utrzyma tempo, powinna dotrzeć do miejsca, gdzie miała spotkać się z armią kadetów. To oznaczało, że będą musieli iść całą noc, ale już jutro podejmą walkę.

Następny oddział tylnej straży przygotowywał się do drogi. Emisariusz zapatrzył się w niebo, rozpaczliwie szukając na nim Nathalie. Widział jednak tylko śmigające wśród chmur mroczne anioły – zwiadowców Opętanych, śledzących ich pochod przez góry. Armia demona nieustannie parła naprzód od południa. Emisariusz wiedział, że moment podjęcia walki będzie kluczowy dla powodzenia planu.

Raptem przygniotła go do ziemi świadomość spoczywającej na jego barkach odpowiedzialności. Od jego decyzji będzie zależeć życie dwudziestu tysięcy ludzi. A on wszystko uzależniał od siły młodego mężczyzny, którego znał niepełny rok.

Czy postąpił słusznie? Czy to było w porządku?

Odpowiedź na obydwa pytania brzmiała: nie. Ale nie miał innego wyboru.



Dziesięć mil na wschód od Le Matres armia kadetów przeprowała się przez serię płytkich rzek. Żołnierze z miejskiego garnizonu ledwie za nimi nadążali. Gdy zeszli po łagodnym zboczu na podmokłe wrzosowisko, Bryna nie zdołała się powstrzymać i znowu obejrzała się na pozostawione w tyle miasto. Choć wiedziała, że kurier musiał dopiero dotrzeć do Daston, wciąż wypatrywała na szlaku spieszących ku niej Falka i Malakiego. Usiłowała oszacować, kiedy rzeczywiście przybędą, i uświadomiła sobie z ciężkim sercem, że dopiero o zmroku. Falko i Malaki będą musieli pokonać dwadzieścia mil, by dotrzeć do Le Matres, a dopiero później ruszyć za armią.

Potoczyła wzrokiem po równinie. Widok nie zmieniał się, ale wiedziała, że przeprowiwszy się przez rzeki, znaleźli się w królestwie Illicji. Od doliny, w której mieli spotkać się z emisariuszem, dzieliło ich najwyżej osiemnaście mil, ale droga wiodła przez rozmokłą ziemię, która pod stopami maruderów prędko zmieniała się w czarne, utrudniające wędrówkę błoto. Wlekli się jak muchy w smole. Dowódcy zarządzili, że odsapną nieco w czasie najciemniejszych godzin nocy, a z nastaniem poranka pokonają ostatnich kilka mil dzielących ich od pola bitwy.

Bryna obejrzała się i ujrzała błotnisty, wydeptany przez armię ślad, ciągnący się wężykiem pośród wzgórz, za którymi leżało Le Matres. No cóż, przynajmniej Falko i Malaki znajdą ich bez problemu.



Falko wyczuł w myślach jeźdźca niedającą się opanować niecierpliwość, zanim jeszcze usłyszał stukot kopyt na kamiennej ścieżce.

Przed chwilą opuścili gospodarstwo drwała, który dzięki magii Falka nie syczał już z bólu przy każdym oddechu i był wreszcie w stanie odetchnąć pełną piersią.

– Niesamowite – nie mogła wyjść z podziwu Heçamedes. – A ja myślałam, że nie uświadczę lepszego uzdrowiciela niż pan le Roy.

Malaki również był pod wielkim wrażeniem, a z ust dumnej jak paw Fossetty nie schodził pełen zadowolenia uśmiech, lecz Falko nie zwracał już uwagi na pochwały. Wpatrywał się uporczywie w miejsce, gdzie trakt nikał w lesie, aż w końcu pokazał się na nim kurier.

– Coś się stało – powiedział, gdy na jego widok jeździec ponaglił konia.

– Danté! – wykrzyczał zdyszany jeździec. – Czy ty jesteś Falko Danté?

– Tak, o co chodzi?

– Musisz jak najszybciej wracać. – Mężczyzna walczył o oddech. –

Dowódca Czwartej Armii cię potrzebuje.



## W ciemność nocy



Zmierzchało już, gdy Falko i Malaki ujrzeli na horyzoncie fortyfikacje Le Matres. Obydwaj chcieli jak najszybciej dołączyć do armii, lecz Malaki uparł się, by nie forsować koni.

– Mamy szmat drogi do pokonania – argumentował. – W ostatecznym rozrachunku tak będzie szybciej.

Falko miał nerwy napięte jak postronki, ale postanowił zaufać doświadczeniu przyjaciela. Kandydaci na rycerzy przechodzili gruntowne szkolenie w zakresie jazdy konnej i wiedzieli, jak najlepiej wykorzystać szybkość i wytrzymałość wierzchowców w drodze i w bitwie. Mogli zwiększyć tempo i zamienić konie na świeże w Le Matres, ale Malaki nie miał zamiaru ruszyć do bitwy na innym wierzchowcu niż jego Fidelis. Jeździec i koń bardzo zżyli się ze sobą, a zgranie rycerza z jego rumakiem bojowym znacznie zwiększało skuteczność w bitwie. Musieli więc zdusić potrzebę gnania na złamanie karku, w nadziei, że uda się nadrobić choć parę minut. Malaki nie mógł znieść myśli, że miałby puścić Brynę samą do walki. Wybiegał myślami do sposobających się do bitwy towarzyszy. Falka zaprzętała inna kwestia: wiedział, dlaczego emisariusz go potrzebował.

– On chce, bym osłonił nasze wojsko przed wpływem demona – wyjaśnił, gdy wcześniej zegnali się pośpiesznie z dwiema kobietami.

– A potrafisz to zrobić? – zatroskała się przerażona nie na żarty Fossetta.

– Nie wiem – przyznał Falko. – Ale jeśli mi się nie uda, armia będzie niezdatna do walki.

– Myślałem, że Nathalie jest z emisariuszem – szepnął Malaki, gdy przygotowywali konie do drogi.

– Musiało się stać coś złego. – Ta myśl ścięła Falkowi krew w żyłach. Coś bardzo złego, dodał w myślach, skoro Nathalie zostawiła Czwartą

bez ochrony.

Falko obawiał się, że ta desperacja dowódcy przerazi Fossetę, ale okazało się, że nie docenił wewnętrznej siły nieprzejednanej gospodyni Symeona.

– Jedź. Pomóż swoim przyjaciółom. – Tylko tyle powiedziała, całując Falka w oba policzki.

Żołnierze dosiedli koni i obrócili je łbami w odpowiednim kierunku.

– Przepróście od nas Tobiasa – rzucił Falko.

– Zrozumie – odparła Fossetta. – No, w drogę!

Teraz spotkanie w Daston wydało im się jedynie snem. Lecz jeśli to rzeczywiście był sen, to z gatunku tych dobrych. Falko zaczerpnie z niego siły, niezależnie od tego, co czeka go w przyszłości. Jadąc krętą leśną ścieżką, wyrył sobie w pamięci dwa ostatnie dni. Gdy zagłębili się w dolinę, w której leżało Le Matres, napotkali Huthgarla i kilku przyszłych rycerzy w pancerzach podróżnych. Zbroje bitewne trzymali w torbach za siodłami.

– Czekaliśmy na was – oświadczył Quirren, gdy do nich podjechali.

Wręczyli dwóm jeźdźcom prowiant, a Quirren dał Malakiemu dwie pokaźne torby siodłowe zawierające resztę jego pancerza. Falko nosił swoją zbroję z przyzwyczajenia, ale Malaki pojechał do Daston tylko w kolczudze i okutych butach. Posiłek zjedli w siodle. Objechali miasto, a tymczasem rycerze poinformowali ich o ostatnich wydarzeniach.

– Armia kadetów wyruszyła w drogę dziś rano – mówił Huthgarl. – Jeśli będziemy jechać całą noc, może uda się dołączyć do reszty przed rozpoczęciem bitwy.

Falko i Malaki pokiwali głowami. A zaraz potem ich uwagę przykuła grupa jeźdźców na drodze do Illicji, wcinającej się falującą wstęgą w smętne wrzosowisko. Pięciu rycerzy, każdy z parą giermków, a za nimi tuzin przestępujących nerwowo z nogi na nogę koni.

– To sir Garnier – rozpoznał spotkanego po drodze do Le Matres rycerza Malaki.

– I lord Cabal – uzupełnił Quirren tonem pełnym zaskoczenia i podziwu.

– Witajcie – rzekł sir Garnier do nadjeżdżających kadetów.

– Panie. – Huthgarl skłonił się z szacunkiem rycerzom Furii, reszta poszła za jego przykładem.

Malaki również, choć na jego twarzy pojawiło się zmartwienie. Lord Cabal na pewno dowiedział się już o potyczce w lesie. Malaki nie sądził, by raport sir Garniera poprawił jego opinię o młodym kadecie, który ośmielił się sprzeczać ze starszym rycerzem.

– Zmierzałyśmy na południe, gdy dotarły do nas wieści o prośbie Chevaliera – rzekł sir Garnier. – Chcemy jechać dalej z wami.

Falko podniósł wzrok na imponującą postać Sébastiena Cabala.

Przypomniał sobie spięcie między emisariuszem a lordem dowódcą.

– Będziemy zaszczytzeni – rzekł Quirren, a sir Garnier skłonił się, lecz Falko zauważył, że wzrok lorda Cabala skupiony był na Malakim. Uznał go za nazbyt młodego, by formalnie przyjąć go do Zakonu Rycerzy Furi. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że zdania nie zmienił.

– Przyprowadziliśmy wolne konie – rzekł sir Garnier. – Żeby nie obciążać naszych rumaków forsowną podróżą.

Huthgarl pokiwał głową i wszyscy szybko dosiedli zapasowych. Potem przywiązali zwolnione konie do siodła i ruszyli drogą przez wrzosowisko. Światło dnia gasło i wkrótce niebo zaczęła zagarniać noc. Sunęli przez poszarzały świat cieni. Nie było tu żadnych punktów orientacyjnych pozwalających ocenić szybkość pokonywania trasy, ale armia kadetów pozostawiła po sobie szeroki pas ciemnej ziemi. Ruszyli nim w zapadającą noc.

## Pośpiech

---



Nathalie stoczyła się z siodła w kępę wrzosów, gdy Ciel po raz kolejny opadła na ziemię. Nad wrzosowiskami Illicji wstawał dzień, ale szare światło nie podniosło kobiety na duchu. Dźwignęła się na nogi i podeszła do smoczycy, starając się ją pocieszyć.

– Świetnie sobie radzisz – powiedziała, kładąc dłonie na jej rannym skrzydle. – Już prawie jesteśmy

na miejscu.

Nathalie zamknęła oczy i zrobiła co mogła, by złagodzić ból smoczycy i scalić uszkodzoną kość. Gdyby dać jej nieco czasu, zrosłaby się szybko, ale czas był surowcem na wyczerpaniu. Nawet teraz co chwilę oglądała się za siebie, szukając pogoni na horyzoncie. Ciel mogła przelecieć milę, góra dwie, nim ból przygnie ją do ziemi. Jeśli przesadzi, nadkruszona kość się złamie i wtedy na pewno nie uda im się ostrzec przyjaciół o nadciągającym demonie.

Do Nathalie zaczynało powoli docierać, że prędzej czy później Pogromca je dogoni i nie uda im się uniknąć kolejnego starcia. Obciążyła ostrożnie ranną nogę i zakłęła rozpaczliwie. Demon wprawdzie pokonał ją, gdy była w pełni sił, lecz wziął ją z zaskoczenia. Teraz jednak знаła już jego moc i jeśli dojdzie do starcia, będzie lepiej przygotowana.

Ciel kiwnęła wielką, rogatą głową, dając znać, że jest gotowa do dalszej drogi. Wspięły się na niski występ skalny i obróciły do wiatru, by ten pomógł im wznieść się w powietrze. Nathalie wgramoliła się na siodło, a Ciel rozpięła skrzydła koloru płomieni. Ciało smoczycy zadrżało z bólu, gdy machnęła skrzydłami, usiłując uzyskać odpowiednią wysokość, a Nathalie prawie zaszlochala, czując, ile wysiłku ją to kosztowało. Mimo to udało się i znów leciały naprzód, czując na twarzach chłodną poranną mgłę. Byle dalej na północ, myślała Nathalie. Byle na czas ostrzec emisariusza.



Pogromca ryknął gdzieś za nimi, gdy wyczuł, że Przeciwniczka znów wzniosła się w powietrze, po raz kolejny wymykając mu się z rąk. Demon wiedział, że smoczyca jest ranna, zdziwił się więc tym kolejnym zrywem i znaczną prędkością uciekinierek. Powinien był ciąć głębiej, całkiem odrąbać skrzydło, ale łuski wyrma były twarde jak stal, chroniły go nawet przed ostrzem z kuźni Oświeconych. Nic to. Pogromca wyczuwał ich zmęczenie, ich ból. Ta pogoń nie potrwa długo. I wyczuwał też Wiernego, idącego w swoją stronę gdzieś daleko przed nim. Księcia o ograniczonej mocy.

Czuł jego dziki, niezaspokojony apetyt. Tak jak Pogromca, witał się już ze swoją ofiarą.



Emisariusz robił, co mógł, by nie zdradzić się ze swoimi obawami, gdy w zimnej porannej mgle przyjmował raport wykończonej zwiadowczynie. Kobieta była jednym z kilku zwiadowców donoszących dowódcy o poczynaniach idącego na nich z południa demona. Wieści nie były dobre. Potwór zwiększył tempo, co zmuszało emisariusza do podjęcia walki z Opętanymi przed przybyciem posiłków z Le Matres.

– Może powinniśmy mimo wszystko wycofać się do Hoffen – myślał na głos generał Renucci.

– Nie – zaproponował emisariusz. – Znajdziemy się w potrzasku, uwięzieni w mieście i z demonem u bram. Musimy iść dalej, w ten sposób przynajmniej kupimy im nieco czasu. Może zdąży dotrzeć do nich mag bitewny z północy.

– Wciąż żadnych wieści od Nathalie?

– Niestety. Musimy liczyć się z tym, że nie zjawi się, by nam pomóc.

Twarz generała Renucciego przybrała w mętym świetle poranka chorobliwy odcień bladości. Podobnie jak emisariusz, on również nauczył się radzić sobie ze strachem, jaki wiązał się z walką z Opętanymi, lecz przerażenie roztaczane przez demona było zupełnie innym rodzajem strachu, któremu zwykły człowiek nie był w stanie podołać.

– Czy zwiadowcy znaleźli dla nas dogodne miejsce do walki?

– Tak. – Generał Renucci westchnął z rezygnacją. – Głębiej w dolinie, pięć mil stąd, jest niewielkie wzniesienie, które możemy wykorzystać.

– Dobrze – rzekł emisariusz. – A więc tam będziemy na nich czekać.



Bryna była tak zmęczona, że zbierało jej się na mdłości. Jako oficer mogła jechać konno, ale jej wierzchowiec gonił resztkami sił, zdecydowała się więc iść pieszo, tak jak jej ludzie, trzymając konia za uzdę. Armia wypoczęła nieco podczas najciemniejszych godzin nocy, ale nikt nie zmrużył oka. Nerwowe oczekiwanie okazało się równie wyczerpujące co mozolny marsz po błocie. Nadrabiała miną jak mogła, nie chcąc pokazać zmęczenia. Zadarła hardo głowę, gdy wrócił Paddy, rozmówiwszy się z jednym ze zwiadowców.

– No i? – spytała.

– Jeszcze cztery mile – powiedział jej ponury podkomendny.

Podobnie jak wielu zaprawionych Urwipołciów, Feck nie okazywał zmęczenia forsownym marszem. Jedyną oznaką dyskomfortu był jego zepsuty humor, wiszący nad nim jak burzowa chmura.

– Widać już Czwartą?

– Jeszcze nie. Ale nie mogą być zbyt daleko.

Głos Bryny ścichł do szeptu.

– A co z demonem?

– Jest bliżej, niż nam się zdawało – odrzekł Paddy, rozglądając się, by mieć pewność, że nikt nie strzyże uszami. – Nie sądzę, byśmy skończyli bitwę przed jego nadejściem.

Bryna stłumiła atak paniki, która nigdy na długo nie opuszczała jej umysłu. Dobrze pamiętała otumaniający strach, jaki opadł ich w górach podczas bitwy z tamtym demonem. Owionął ich jak parzący cień rozpaczy.

– Czy ten strach jest tak zły, jak mówią? – spytał Paddy.

Bryna nic nie powiedziała, ale wyraz jej twarzy nawet Paddy'ego zmroził od stóp do głów.



Falko czuł, że jego ciało jest sztywne ze zmęczenia. Nie spali tej nocy, kolejne godziny spędzone w siodle dłużyły się jak koszmarne sen. Droga przez ponure wrzosowiska nie była łatwa, a gdy księżyc schował się za chmurami, jechali po omacku przez zimną i mokrą ciemność. Szlak rozmywał się w mroku, zapalili więc dwie pochodnie, które dali pierwszemu i ostatniemu jeźdźcowi w kawalkadzie. Z wolna dławiąca ciemność zaczęła rzednąć i w słabym świetle nadchodzącego świtu droga na nowo zarysowała się przed nimi. Wkrótce dotarli do miejsca,

gdzie niedawno obozowała armia kadetów. Ogniska nie zdążyły jeszcze ostygnąć, odgadli więc, że armia ma względem nich przewagę dwóch, może trzech godzin. Przejechali jeszcze kilka mil, aż porośnięty wrzosem przestwór przerodził się w niskie, skaliste wzgórza. Pozostawione przez konie kupki odchodów wciąż lekko parowały w chłodzie poranka.

– Zbliżamy się – stwierdził sir Garnier, gdy stanęli na szczycie kamienistego wzniesienia.

Falko i pozostali chcieli jechać dalej, lecz rycerze nalegali, by zatrzymać się i coś przekąsić.

– Będziecie potrzebowali siły – powiedział jeden z nich, gdy Malaki odmówił posiłku.

Czuł, że tracą czas, lecz wreszcie uległ i przełknął kilka prędkich kęsów. Popijając je łykiem wody, podniósł się do koni, a za nim pozostali kadeci.

– Czekajcie! – osadził ich w miejscu głos Sébastiena Cabala. – Tutaj założymy zbroje.

Wszyscy w lot zrozumieli, co to oznacza: że znaleźli się na terytorium, gdzie w każdej chwili można natknąć się na wroga.

Bez słowa giermkowie zaczęli wyjmować elementy pancerzy z toreb przy siodłach. W szarym świetle poranka rycerze szybko okryli się dodatkowymi warstwami, zmieniając się z odzianych w kolczugi kawalerzystów w budzących postrach żelaznych wojowników, których sława rozciągała się na cały świat.

Prosta czynność zakładania zbroi tchnęła dostojnością pradawnego rytuału. W istocie przygotowanie do bitwy, powtarzane przez wojowników od początku świata, było czymś na kształt nieformalnej ceremonii. Kadeci, którzy nie mieli jeszcze giermków, pomagali sobie nawzajem. Falko, który nosił swoją zbroję od początku kampanii, pomógł Malakiemu wdziać jego błękitny pancerz. Było to osobliwe, intymne doświadczenie. Gdy zapiął ostatni pasek, spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Znajdziemy ich – zapewnił go. – Dotrzemy na czas.

Malaki nie odpowiedział, ale w jego brązowych oczach płonąła determinacja, gdy zajęli się końmi.

Wierzchowców nie wyposażono w zbroję na czas kampanii treningowej, ale Quirren i inni zdołali zaopatrzyć się w jej elementy w zbrojowniach Le Matres. Cały proces opancerzania zwierząt zajął o wiele mniej czasu, niż się Falko spodziewał. Wkrótce rumaki były gotowe do bitwy. Przeczuwały nadchodzącą walkę, zaczęły prychnąć i orać kopytami ziemię. To były zwierzęta hodowane i ćwiczone do wojny. Wiedziały, co zbliża się wielkimi krokami, i krew burzyła im się w żyłach.

Wreszcie rycerze przyczepili hełmy do siodła i dosiedli koni. Lance,

związane razem i dźwigane przez giermków, zostały teraz rozdysponowane pośród rycerzy. Falko patrzył, jak dosiadający Fidelisa Malaki przyjmuje broń od jednego z giermków. Teraz kadeci prawie niczym nie różnili się z wyglądu od pełnoprawnych rycerzy Furii. Oddział nie był może zbyt liczny, ale spowijająca go aura potęgi napierała na wszystkie zmysły.

Falko dosiadł swojego konia, odroczył tarczę od siodła i nałożył ją na przedramię. Następnie ujął wodze i okręcił wierzchowca, gotowy do drogi.

– La force, l'honneur et la foi – zaintonował lord Cabal.

– Siła, honor i wiara – podchwycili rycerze i nim przeminęło echo ich słów, ruszyli naprzód.

Na szlaku napotkali grupę żołnierzy, których armia zostawiła w tyle – rannych i nie tak wytrzymałych, niezdolnych dotrzymać kroku pozostałym. Mężczyźni zrobili rycerzom miejsce, pokazując palcami kierunek.

– Tędy – powiedział jeden z nich. – Nie dalej niż dwie godziny drogi.

Już tylko dwie godziny, pomyślał Falko. Dotarli prawie do miejsca, gdzie Czwarta planowała podjąć walkę z wrogiem.

Armia kadetów pewnie już tam jest, a zaraz zjawia się i oni. W samą porę, by odegrać swoją rolę w nadchodzącym starciu.



Bryna objęła wzrokiem dolinę, gdzie powinna znajdować się Czwarta Armia, lecz nie było w niej ani ludzi, ani ścigających ich Opętanych. Jej serce natychmiast wypełniło się zwątpieniem. Czy dojechali do niewłaściwego miejsca? A może Czwartą już dogonili wrogowie? Odpowiedź na oba pytania przyszła niemal natychmiast pod postacią jeźdźca, który popędził wierzchowca w górę po zboczu i skierował się w ich stronę.

– Jakie wieści? – spytał jeden z dowódców, gdy mężczyzna się z nim zrównał.

Kurier trzymał się siodła chyba tylko siłą woli. Potrzebował kilku głębokich oddechów, nim udało mu się odezwać.

– Armia demona przemieszcza się szybciej, niż sądziliśmy – wykrztusił w końcu. – Chevalier nie miał wyjścia, zatrzymał się więc i stanął do walki.

– Jak daleko? – zażądał oficer.

– Cztery mile. Na zachód.

Dowódca zmełł przekleństwo, a potem dał znak sygnalistom.



– Marsz. Półtorej szybkości.

Wśród obolałych żołnierzy dał się słyszeć jęk sprzeciwu, lecz karnie zwarli szeregi i przygotowali się do marszu.

– Myślisz, że Falko i reszta do nas dołączą? – spytał niepewnie Kurt Vogler. Żołnierze byli wystraszeni, było to jasne jak słońce. Każdy słyszał opowieści o demonicznej aurze przerażenia.

Pytanie skierowane było do Bryny, ale odpowiedział Alex.

– Tak – powiedział bez śladu wątpienia w głosie.

Kadeci zgodnie pokiwali głowami, choć na ich twarzach próżno było szukać tej samej pewności, którą żywił Alex Klingemann. Ten pełzający strach udzielił się także Brynie; podjechała do Urwipołciów, jęczących i klnących na czym świat stoi, odkąd dotarł do nich rozkaz zwiększenia tempa.

– Dość tego zawodzenia, wy leniwe gnidy! – ryknął Paddy. – Słuchajcie, jeszcze tylko jeden wysiłek, a pokażemy tym obesrańcom z Czwartej, jak strzelają prawdziwi łucznicy.

Mężczyźni byli zbyt zmęczeni, by wydobyć z siebie coś więcej niż umiarkowanie entuzjastyczny okrzyk, ale wzięli się w garść i ruszyli podanym przez sygnalistów tempem.

Cztery mile... – pomyślała Bryna. Jeszcze tylko cztery mile i ruszą do bitwy.

Gdy armia potoczyła się naprzód, dziewczyna obejrzała się w kierunku wrzosowisk i wodziła wzrokiem po horyzoncie, szukając Falka i Malakiego. Podzielała zdanie Alexa. Nie wątpiała ani trochę, że dwaj przyjaciele stawią się na wezwanie. Pytanie tylko, czy zdążą na czas.

## Czwarta Armia

---



**E**misariusz patrzył na gorejącą w dolinie bitwę. Miał trudną decyzję do podjęcia. Opętani przypuścili szaleńczy szturm na żołnierzy Czwartej, a oni przeciwstawili mu zawziętą nieustępliwość ludzi, którzy wiedzą, że walczą o życie. Chevalier wiedział, że wszyscy są wycieńczeni, ale nie wątpił w to, że utrzymają szyk. Jednak tym razem może się okazać, że to za mało.

Nie po raz pierwszy spojrzał w kierunku wlotu do doliny, chcąc ujrzeć w dali posiłki z Le Matres, ale posiłków nie było, a emisariusz nie mógł polegać na wątej nadziei na odsiecz. Miał więc dwie możliwości: mógł uzbroić się w cierpliwość i kazać żołnierzom wytrwać w formacji obronnej lub odrzucić ostrożność i zarządzić ofensywę. To pozwoli szybciej rozprawić się z wrogiem, ale ceną było znaczne uszczuplenie zasobów armii. Ale jeśli wciąż będą walczyć, gdy Opętanych wspomogą demon i jego żołnierze – Czwarta Armia zostanie wbita w ziemię.

Emisariusz spojrzał w prawo, gdzie piechota usiłowała odrąbać od masy wrażej armii duży oddział skirytów. Tymczasem po lewej stronie generał Renucci kombinacją łuczniczych salw i kawaleryjskich szarż usiłował uniemożliwić przeciwnikom otoczenie flanki.

W środku liczne szeregi włóczyków powstrzymywały Opętanych przed zmasowanym uderzeniem na ścianę tarcz, a jednocześnie kawaleria i ciężkozbrojna piechota eliminowały pojedynczych kardaków, którzy zdołali przedrzeć się przez zaporę. Nawet magowie wojownicy dorzucali swoje trzy grosze. Podzielili się na małe grupki i rozproszyli po Czwartej, by wzmacniać czarami walczących bronią ręczną żołnierzy.

Ale to wszystko za mało.

Wygranie bitwy tą drogą zajmie zbyt wiele czasu, a nie mogli już czekać na posiłki. Wiedząc, że jest przyparty do muru, podjął decyzję

o przypuszczeniu ofensywy.

Już miał polecić sygnalistom przekazanie żołnierzom komendy „repulsus”, a więc odepchnięcia wroga w tył, gdy sięgnąwszy wzrokiem ku poszarpanej krawędzi skał, dostrzegł po lewej stronie skupisko kształtów, które ciemniało na jego oczach jak wyrojona z barci chmura pszczoł. Czarne punkciki przybrały ludzki kształt, a na wietrze ponad ich głowami załopotwały turkusowo-niebieskie sztandary Clemoncé.

Armia kadetów i garnizon z Le Matres. Pięć tysięcy żołnierzy gotowych spaść na Opętanych ze zboczy kotliny, wykorzystując przewagę wysokości.

Emisariusza ogarnęło niemożliwe do porównania z niczym innym uczucie ulgi. Serce urosło mu w piersi, gdy huknęły rogi.

Impetus! Impetus!

Odsiecz z Le Matres! Le Matres atakuje!



Brynie zaschło w ustach, gdy zajęła pozycję na czele oddziału Urwipolciów, czekając na sygnał do ataku. Dotarli na miejsce, gdy bitwa była już w rozkwicie, więc dowódcy nie marnowali czasu na ustawianie swoich oddziałów na krawędzi wzgórz okalających kotlinę. Po prostu każdy odczekał, aż całość jego rozproszonej wędrówką jednostki zleje się z powrotem w jednolitą masę, by potem rzucić ją do ataku. Niemalże bezszelestnie podeszli nad skraj doliny i spojrzeli na szalejącą w niej bitwę.

– Cholera, aż tutaj czuć żar – sarknął Patrick Feckler, gdy znaleźli się w obszarze działania piekielnego gorąca.

Dla wielu żołnierzy, i większości kadetów, było to pierwsze spotkanie z Opętanymi. Padł na nich blady strach. Po raz pierwszy zobaczyli na własne oczy, jak Opętani rąbią mieczami i drapią pazurami, z jaką bezmyślną i bestialską furią walczą z ludźmi z krwi i kości, tworzącymi osławioną Czwartą Armię. Pole bitwy było usiane trupami z obu stron konfliktu, z wysokości mogli dostrzec rannych tratowanych przez tych, którzy jeszcze trzymali się na nogach, i usiłujących odczołgać się byle dalej od kotła, gdzie wrzał najbardziej zacięty bój. Ale Opętani wydawali się nie zważać na własne rany.

– Czy ich w ogóle da się zatrzymać? – wydyszał Dedric Sayer.

– Da się – odpowiedziała Bryna, przypominając sobie, co powiedział jej w górach Stary Reese. – Tylko nie przestawajcie strzelać.

Patrick Feckler spojrział na Brynę. Jego twarz ułożyła się w zagadkowy wyraz. W najdzikszych snach nie przyszłoby mu na myśl,

że będzie czerpał odwagę od jakiegoś dziewczątka, które mogłoby być jego córką.

Z tłukącymi się w piersiach sercami i drżącymi od adrenaliny ramionami Urwipolcie patrzyli, jak na czoło wychodzą sygnaliści. Rozbrzmiał sygnał nawołujący do manewru impetus. Posiłki z Le Matres pomknęły po trawiastym zboczu w stronę wroga niczym lawina stali.

Emisariusz natychmiast dał rozkaz, by odtrąbić ten sam rozkaz dla Czwartej. Jego żołnierze zakrzyknęli gromko, gdy dobiegł ich huk trąb. Gdzieś głęboko we własnych sercach odnaleźli dość siły, by przypuścić szturm.

Włócznicy w środku szyku złamali formację defensywną i ustawili włócznie do ataku. Linia najeżyła się ostrymi grotami.

Po prawej stronie mieczownicy zwarli szereg i przygotowali się do jednoczesnego uderzenia ścianą tarcz, które miało za zadanie odrzucić skirytów od pierwszej linii. Gdy to nastąpiło, skiryty zachwiali się w tył, a wtedy ściana rozczłonkowała się i spomiędzy tarcz wystrzeliły jednocześnie miecze, które dobiegłszy celu, zaraz skryły się z powrotem za postawionym na nowo murem.

Zamknąć... pchnąć... otworzyć... uderzyć.

Zamknąć... pchnąć... otworzyć... uderzyć.

Z początku szło jak po grudzie, ale gdy pierwsze linie skirytów zostały wyrżnięte, mieczownicy ruszyli przed siebie, miażdżąc pod butami trupy i zaścielając grunt nowymi, metodycznie, krok po kroku, posuwając się naprzód.

Na lewej flance generał Renucci odwołał rozkaz otoczenia Opętanych i uformował z kawalerii ofensywne formacje klinowe, których grotę tworzyli wojownicy w ciężkich pancerzach. Opuszczono lance, wyrównano boki ostrokątnych trójkątów i zanim jeszcze odsiecz zasiliła szeregi Czwartej, kliny wżarły się głęboko w cielsko wrażej armii. Renucci nie obawiał się, że czarna masa połknie jego rycerzy, gdyż cała lewa flankę parła naprzód wraz z nim, a za plecami mieli biegnących im z pomocą towarzyszy.

Opętani z wolna dawali się okrążyć i choć atakowali ze zwykłą nieustępliwością, rozgromienie ich było tylko kwestią czasu.

Rozkazy Bryny były jasne i klarowne: zająć wzniesienie po prawej stronie, za głównym oddziałem włóczników, i szyc z łuków w środek i lewą flankę wroga. Łypnąwszy w lewo, dostrzegła czarne opończe Wygnańców, spływających po zboczu pod komendą Alexa, a przed nimi gnających na złamanie karku husarzy Jarega.

Snidesson był chory ze strachu, lecz wciąż dokuczał mu fakt, że on i ojciec zostawili swoich pobratymców w górach na pastwę demona. Zaczynał rozumieć, że pogarda, którą darzono jego rodzinę, jest uzasadniona. Był więc zdeterminowany, by pokazać wszystkim, że

żaden niby-mag bitewny Falko Danté nie musi dodawać mu odwagi w obliczu wroga. A więc powiódł swoją kawalerię naprzód, pozwalając, by bitewna gorączka spaliła strach przed tym, co się stanie, jeśli zostanie zrzucony z konia i zniewolony przez Opętanych.

Bryna niemal czuła jego determinację, gdy patrzyła, jak husaria wbija się klinem w czarne szeregi. Atak okazał się skuteczny i na krótką chwilę zapomniała o swojej opinii o Jaregu. Właściwie to ogarnęła ją duma, kiedy tak patrzyła na kadetów, którzy śmiało sobie poczynali, rzućeni w wir swojej pierwszej bitwy. Ale ta jeszcze się nie skończyła. Mieli przed sobą tysiące Opętanych, którzy nie bali się ani ran, ani śmierci. Którzy nie uciekną z pola bitwy pod naporem liczniejszych oddziałów wroga. Musieli zostać unicestwieni do ostatniego żołnierza.

Dotarłszy do skalnego wyniesienia, Urwipolcie uformowali szyk. Każdy z nich był wyposażony w bitewny kołczan zawierający sześćdziesiąt cztery strzały oraz w zapasową wiązkę, gdyby ten zbyt prędko się opróżnił. Położywszy swoje strzały przy nogach, Bryna obejrzała się przez ramię, by się upewnić, że Urwipolcie stoją jak należy. Następnie skierowała wzrok na dno doliny, szukając miejsca, gdzie przebiega granica oddzielająca dwie armie.

– Trzydzieści jardów przed najbliższą falangą włóczników! – zawołała. – Dziesięć strzał, zwykłe tempo!

Pośród czarnej kipieli skirytów mogła dostrzec większe grupy kardaków, którzy za nic nie chcieli oddać Czwartej choćby piędzi ziemi.

– Przygotować się! – huknął Patrick Feckler. Jego szorstki głos z łatwością przedarł się przez ogłuszający harmider bitwy. – Nałóż! Celuj! Ciągnij! – Zatrzeszczały wyginane gryfy i naciągane cięciwy, a potem...

– Strzelaj! – krzyknęła Bryna i dwieście strzał pomknęło w niebo. – Strzelaj! – krzyknęła ponownie, bo jej ludzie już mieli kolejne strzały na cięciwach.

Dalej krzyzczyć nie musiała. Urwipolcie strzelali do wyćwiczonego drylami rytmu. Było coś niemal teatralnego w synchronicznej harmonii ich ruchów, w chwilowym zawieszeniu, które następowało po osiągnięciu pełnego naciągu łuków, oraz jednoczesnym brzęku zwalnianych cięciw i szumie wzbijających się w niebo strzał.

Sekwencją regularnych fal dwa tysiące strzał posypało się na głowy czarnych wojowników i choć same pociski nie mogły powstrzymać nacierających kardaków, osłabiły ich pozycje na tyle, by dzieło zniszczenia mogli zwieńczyć włócznicy.

Bryna kiwnęła głową i zaczęła szukać kolejnego celu.



Oczy emisariusza jaśniały dumą, gdy armia kadetów zaszarżowała na Opętanych. Musieli szybko maszerować, skoro znaleźli się tu w tak krótkim czasie, ale nie widać było po nich zmęczenia. Chevalier powiódł wzrokiem po dolinie i widział, że zdołają pokonać Opętanych, i to szybko.

Emisariusz postanowił rzucić do walki również rezerwę. Przesunie swoich własnych łuczników naprzód, tak by nadążyli za posuwającymi się metodycznie włócznikami, i pośle mieczowników na prawą flankę, by zmienili wyczerpanych walką wojowników. Kawalerię poprowadzi osobiście. Ruszy południowym stokiem i zajedzie wroga od tyłu.

Lecz gdy obrócił się, by wydać rozkazy, natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Żołnierze za jego plecami wydawali się wahać, wypełniali jego rozkazy z ociąganiem. Nie wyglądali już na dotkniętych ulgą na widok posiłków z Le Matres. Ich twarze nosiły piętno strachu. Wielu spoglądało za siebie, skupiało wzrok w punkcie, gdzie dolina łączyła się z drugą od południa.

Emisariusz okręcił konia, a jego czoło zmarszczyło się w głębokim grymasie, gdy ogarnęło go złe przeczucie. I zobaczył go... mroczny anioł wznosił się z kielicha zakreślonego stokami dwóch wzgórz, by popatrzeć z wysokości na rozciągającą się przed nim kotlinę.

Żołnierze rezerwy też go zobaczyli. I zaczęli się cofać, gdy z południowej doliny za plecami armii emisariusza wypełzły opancerzone kształty. Skirycci... setki skirytów.

Dopiero teraz to poczuł... Przejmująca trwoga aura, która była niczym trujące opary wnikaające w materię snu, przemieniające go w koszmar. Więcej czarnych postaci zaczęło wlewać się do kotliny i nagły błysk czarnej rozpaczki powiedział emisariuszowi, że ich czas dobiegł końca.

Demon przybył.



Jareg nie miał pojęcia, co się stało. Wiedział tylko tyle, że w jednej chwili był pewny, iż zdoła opanować swój strach, a w następnej jego pewność roztrzaskała się w drobny mak. Dzień nie był słoneczny, ale miał wrażenie, że wielka niematerialna chmura zasnuwała niebo, a dolina za armią emisariusza wydała mu się mroczna jak bezgwiezdna noc. Oderwał wzrok od szalejącej wokoło bitwy, by zorientować się, skąd ta nagła zmiana.

W dolinie pojawiły się nowe zastępy Opętanych, ale o wiele gorsze było poczucie, że nadciąga coś jeszcze – coś, przez co skarłały cały jego

animusz i śmiałość, coś, czemu nigdy nie byłby w stanie się przeciwstawić.

Nagły ruch, który pochwycił kątem oka, sprowadził go z powrotem na ziemię.

– Ostrożnie, panie – zawołał jeden z husarzy, którego rumak stratował dwóch skirytów zamierzających zaatakować Jarega.

– Nadciąga ciemność! – zawołał Jareg.

– Musisz wytrzymać – krzyknął zaprawiony w bojach husarz, desperacko rąbiąc napastników, którzy nagle rzucili się dziko naprzód.

Jareg wiedział, że nie zdoła długo opierać się temu przerażeniu, ale był w końcu członkiem szlacheckiego rodu Snidessonów, będzie więc walczył do ostatniego tchu. Zdając sobie sprawę, że popada w panikę, ciął mieczem Opętanych, choć czuł gorąco rozlewające się po wewnętrznej stronie ud. Wstyd na krótką chwilę przysłonił kielkujący z tyłu głowy strach. Słyszał o strachu, jaki ogarnia człowieka w obecności demona, ale nigdy nie dawał wiary tym opowieściom. Aż do teraz.



Emisariusz czuł, jak chwieje się ostatni bastion jego odwagi. Przeważenie naparło na niego jak czarne fale przyływu i widział, jaka zmiana zachodzi pod jego wpływem na polu bitwy. Optymizm i śmiałość zostały nagle zastąpione przez pesymizm i niepewność. Emisariusz patrzył, jak dwie kolumny kardaków pomknęły za skirytami do doliny, a zza ich pleców wyłonił się demon – żywy totem przerażenia i rozpacz.

Niemal dwukrotnie przewyższający dorosłego mężczyznę, stwór górował nad swoimi podwładnymi; potężna postać ulepiona z poczerńiałego, nadpalonego mięsa. Jego olbrzymi łeb ukoronowany był dwoma zakrzywionymi w dół, rowkowanymi rogami, a ciężka, wysunięta zuchwa najeżona była wystającymi kłami z czarnej stali. Wygięte nogi były krótkie, lecz nadrabiał długością ramion obdarzonych pazurzystymi palcami, którymi potrafił rozplątać zakutego w zbroję rycerza.

Emisariusz spojrział niżej i ujrzał, że potwór trzyma coś w pięści. Potrzebował chwili, by rozpoznać jednego ze zwiadowców, którego wysłał, by donosił mu o posunięciach demona. Stwór trzymał go za kostkę, pozwalając ramionom wlec się po ziemi, a głowie obijać o skaliste podłoże. Emisariusz mógł tylko mieć nadzieję, że nieszczęśnik już nie żyje. Teraz wiedział, dlaczego zwiadowca nie ostrzegł go przed rychłym pojawieniem się piekielnika.

Demon znieruchomiał na moment i wpatrzył się w emisariusza. Uniósł trupa zwiadowcy, by upuścić go na ziemię pogardliwym gestem, jakby rzucał Chevalierowi wyzwanie. Jego małe oczy płonęły żywym ogniem. Emisariusz nie miał teraz wyboru, musiał założyć, że Nathalie zginęła, i zmierzyć się z faktem, że pośród żołnierzy z Le Matres z jakiegoś powodu nie ma Falka. A skoro nie mogli liczyć na magów bitewnych – ich los był już właściwie przesądzony. Może zdołają walczyć jeszcze przez godzinę lub dwie, choć wiedzieli przecież, że gdziekolwiek szedł demon, śmierć szła za nim krok w krok.

Unieruchomiony przez gorejące spojrzenie ognistych ślepi emisariusz przeraził się na myśl, że mógłby się stać jednym z Opętanych. Przed jego oczami pojawiła się wizja: nagle on sam przedzierał się, machając zakrwawionym mieczem, przez zastępy strażników pałacowych w Furii, by w końcu wyrąbać sobie ścieżkę do królowej, którą następnie przeszywa mieczem i siecze z wściekłością, aż ciało ukochanej przestaje przypominać człowieka, przemienia się w błagający o litość ochłap mięsa, a on pławi się w jej chwalebnyemu cierpieniu i ich zbezczeszczonej miłości.

Zmusił się, by oderwać wzrok od demona.

Łzy zamazały świat przed jego oczami, gdy usiłował wyrzucić z głowy okropne wizje. Przekonywał sam siebie, że taki koszmar nigdy nie mógłby się ziścić, choć przecież wiedział, że to nieprawda. Jeśli Opętani go zniewolą, zostanie przetworzony na ich podobieństwo, ograbiony z człowieczeństwa. Pozwól mu zachować jedynie ostatnią iskrę dawnej jaźni, a to tylko po to, by jeszcze dotkliwiej go udręczyć.

Wzbraniając się przed strachem, zacisnął szczęki i usiłował myśleć o tym, co powinien teraz zrobić. Armii potrzebny był w tym momencie silny przywódca, inaczej żołnierze rzuca broń i zaczną błagać o łaskę, której nikt im tutaj nie okaże.

Tymczasem kolejne zastępy Opętanych wbiegały do doliny. Nieuchronnie zbliżała się chwila, gdy Czwarta Armia będzie musiała walczyć na dwa fronty. Mógł zrobić tylko jedno – postarać się uratować choć kilka osób, które tkwiły teraz uwięzione w dolinie. Utworzy dwa fronty, jeden zwrócony na wschód, drugi na zachód. I gdy wojownicy będą starać się utrzymać szyki, on podejmie próbę ewakuacji jak największej liczby żołnierzy, którzy, jeśli dopisze im szczęście, wydostaną się z doliny północną częścią leja. Kto wie, może któremuś z nich uda się nawet wrócić do Hoffen lub Le Matres.

Podjął decyzję i dał znak rezerwistom, by odwrócili się i utworzyli szereg obronny.

W środku pola widział zatrzymany oddział włóczyków. Ich zwarta formacja zaczynała upadać, gdy oglądali się za siebie, rozpaczliwie szukając źródła tego nienaturalnego strachu. Do mieczowników na



prawej flance raptem dotarło, jak bardzo są zmęczeni. Ich szyk zaczął się giąć, a skiryści bezbłędnie odnajdowali swoimi mieczami luki między tarczami, których jeszcze przed chwilą nie było. Łucznicy przestali strzelać i całą armię ogarnęła przemożna potrzeba ucieczki.

Bryna widziała, jak przerażenie rozprzestrzenia się po armii, jakby przeskakuje z żołnierza na żołnierza niczym zakaźna choroba. Skupieni w pobliżu Urwipółcie zaczęli mamrotać pod nosem i kłąć. Wielu z nich robiło w życiu okropne rzeczy, a poczucie winy było dla złej aury Opętanych jak otwarte zapraszająco drzwi do ludzkiego wnętrza.

Stojący obok Patrick Feckler wyglądał jak osaczone zwierzę. Jego rumiana zwykle cera była blada, mrużył groźnie osadzone głęboko oczy. Władzę nad nim przejmował instynkt przetrwania i Bryna wiedziała, że teraz, w tym momencie, Paddy dopuściłby się najohydniejszego mordu, byle tylko ujść z życiem.

Ona sama nie była odporna na piekielny strach i wiedziała, że ten nasili się, gdy demon zacznie się zbliżać. Widziała, jak niżej na stoku emisariusz formuje nową linię obrony skierowaną ku miejscu, skąd nadchodzili nowi przeciwnicy. Wiedząc, że ma tylko chwilę, nim Urwipółcie złamią szyk i zaczną uciekać, krzykiem wydała rozkaz: strzelać! Paddy wbił w nią dzikie spojrzenie i przez chwilę myślała, że odmówi, lecz wówczas na jego twarz wypłynął wyraz zrozumienia.

– No dalej, wy dupki żółędne! – ryknął. – Jeszcze kilka salw, zanim zwalicie się w majty ze strachu.

Odezwały się nerwowe śmiechy. Chyba zdołają wypuścić jeszcze kilka strzał. Bryna rzuciła Paddy’emu pełne wdzięczności spojrzenie, ale on tylko wzruszył ramionami.

– I tak mamy przesrane – wymamrotał. – Równie dobrze możemy umrzeć z łukiem w garści.

Bryna skinęła mu głową i skrzywiła usta w grymasie na tyle bliskim uśmiechu, na ile miała siły. Następnie sprowadziła Urwipółciów do miejsca, z którego mogli salwami osłaniać szeregi emisariusza. Sięgnęła po strzałę, ale jej ręka drżała tak bardzo, że nie udało jej się wpasować cięciwy w rowek.

– Nie pozwól im mnie zabrać, Paddy – wyszeptwała, gdy pierwsze łzy spłynęły jej po policzku. – Obiecuj, że nie pozwolisz im mnie zabrać.

– Nie obawiaj się, dziewczyno – odparł Feckler. – Nie pierwsze gardło, które poderżnę.



Strach rwał emisariuszowi duszę na strzepy. Dręczyło go poczucie winy

dowódcy, który posłał swoich ludzi na pewną śmierć.

Przynajmniej nie zaciągnęliśmy demona do dzieci w Hoffen, pomyślał i to przyniosło mu ulgę.

Znał swojego wroga. Poczucie winy, żal, ból i rozpacz – to był jego oręż. Wiedział, że nie zdoła wiecznie opierać się przerażeniu. W końcu ogarnie go całego, tak jak wszystkich żołnierzy w dolinie. Ale nie bez walki.

Czuł niemalże ojcowską dumę, widząc, jak żołnierze Czwartej bohatersko opierają się trwodze i formują dwie linie bojowe. Wyżej na zboczu dostrzegł pogrążoną w nieładzie jednostkę Urwipolciów. Jakimś sposobem nawet w mundurach wyglądali niechlujnie, ale trzymali szyk, kierując się w jego stronę z zamiarem wsparcia jego żołnierzy. Na ich czele stała drobna postać Bryny Godwin, którą poznał po opadającym na plecy rudym warkoczem. W tej chwili z całego serca pożałował, że poprosił o posiłki z Le Matres. Wyrzuty sumienia raniły mu duszę niczym ciasne kajdany wżerające się w ciało katorżnika.

Zaciął zęby, chcąc odepchnąć od siebie żal, po czym uniósł miecz i kazał łucznikom strzelać.

Awangarda diabelskiej armii znalazła się już w ich zasięgu i wielu skirytów padło pod gradobiciem pocisków, nawet jeśli niektórym łucznikom drżały dłonie. Armia demona nie była wielka, liczyła nie więcej niż tysiąc Opętanych, ale równie dobrze mogłaby liczyć dwadzieścia tysięcy, jeśli był wśród nich demon. Emisariusz słyszał dochodzący zza jego pleców trzask i zgiełk. Pojawienie się wodza tchnęło nowe siły w zastępy Opętanych, którzy raz po raz napierali na rozchwianą ścianę tarcz.

A więc to tutaj przyjdzie mu umrzeć.

Niech więc tak będzie. Był członkiem Nieugiętych i emisariuszem królowej Furii. Pokaże wrogowi, jak umiera wojownik.

Gdy pogodził się ze swoim losem, spłynął na niego swoisty spokój i niemal czuł, jak strach unosi się z jego myśli. Lecz wówczas zobaczył, że rozchwierutany zastęp mieczowników nagle zwiera szeregi i wznosi nowy mur tarcz, gotując się na przyjęcie mknących na niego skirytów. I że łucznicy, którzy jeszcze przed chwilą wyglądali, jakby mieli rzucić broń, stanęli twardo na nogach i odzyskali kontenans. Nawet kawalerzyści wyprostowali się w siodłach, a ich wierzchowce nie zarzucały już głowami i nie rżały ze strachu. Z pola bitwy, z oddziału włóczników, dobiegł go gromki krzyk, gdy żołnierze umocnili się na pozycji, opierając się dzielnie czarnemu szkwałowi Opętanych.

Nie. To nie był wytwór jego wyobraźni. Strach rzeczywiście odstąpił od niego, a to mogło oznaczać tylko jedno...

Emisariusz obrócił się i pomknął wzrokiem po południowej krawędzi doliny, przekonany, że zjawiła się spóźniona Nathalie. Ale nie dostrzegł

nigdzie bursztynowych łusek Ciel. Zwrócił wzrok na północ, jednak zobaczył tylko rysującą się na tle nieba małą grupkę jeźdźców. Z daleka wyglądali na zakutych w zbroje rycerzy... ale jeden z nich, ten nieco drobniejszy, stał na czele oddziału i gdy Chevalier go rozpoznał, szloch wezbrał mu w gardle.

Danté.

## Najważniejsza jest wiara



Falko objął wzrokiem wojsko tkwiące w kleszczach Opętanych. Dwadzieścia tysięcy dusz tonących w oceanie trwogi. Przez chwilę czuł się przytłoczony ogromem tej armii, lecz zaraz zamknął oczy i wybiegł do niej mocą umysłu. Myślami przygarnął ją do siebie, a potem otworzył oczy i skupił wzrok na źródle ich strachu. Jego zielone oczy zapłonęły światłem, gdy dostrzegł w czarnym tłumie Opętanych potężnego piekielnika.

O nie, pomyślał. Jeśli chcesz ich dostać, droga wiedzie przeze mnie.

Na dnie doliny demon zatrzymał się, by na niego spojrzeć. Jego masywne brwi opadły, gdy usiłował pogodzić tego niepozornego chłopca ze znaczną siłą, którą w nim wyczuwał. Grymas przypominający uśmiech przemknął przez jego twarz.

Czy teraz wróg rzuca do walki z Wiernymi nieopierzone dzieci?

Falko czuł bijącą od demona pogardę, ale siła maga bitewnego nie brała się z wiary w zwycięstwo, ale z samego aktu sprzeciwienia się wrogowi. Jego dłoń pomknęła ukośnie przez pierś i zacisnęła się na rękojeści miecza. Potoczył wzrokiem po opadającym miarowo zboczu, u którego stóp stał demon.

– Nie! – powiedział lord Cabal, widząc, co zamierza Falko. – Nie posiadasz zdolności ofensywnych, a my nie możemy pozwolić sobie na to, by cię stracić.

– Lord dowódca ma rację – potwierdził sir Garnier. – Nie wolno ci ryzykować życia w starciu z demonem. Musisz osłonić armię, podczas gdy my spróbujemy ocalić jak najwięcej ludzi.

Spojrzenie, którym obrzucił ich Falko, było nieubłagane i niebezpieczne. To była jego powinność, powód, dla którego żył. Lord dowódca wytrzymał ten wzrok, choć nie spodziewał się takiej siły u kogoś tak młodego.

– Ale co z ludźmi w pierwszych liniach? – spytał Huthgarl. – Nie

zdołają wyłączyć się z bitwy.

– Oni muszą utrzymać Opętanych z dala od żołnierzy skupionych w środku, by tym udało się uciec z doliny – wyjaśnił sir Garnier. – My zaś zaatakujemy każdego Opętanego, który będzie próbował im w tym przeszkodzić.

– Ale tam są nasi przyjaciele – spierał się Quirren. Miał rację, w pierwszych liniach walczyli Wygnańcy i Urwipołcie. – Chyba nie twierdzicie, że mamy ich tam zostawić?

– Chevalier również walczy na czele – odparł lord Cabal, wciąż nie spuszczać wzroku z Falka. – Nie chciałby, abyśmy ryzykowali życie całej armii tylko po to, by uratować jego. A teraz jedźmy. Nie ma czasu do stracenia.

Rycerze Furii prędko nałożyli hełmy, a Falko zwrócił się do Malakiego, lecz jeśli spodziewał się po nim poparcia, to się rozczarował. Falko nie widział jeszcze u niego tak twardego spojrzenia. Zacisk szczęk wyrażał siłę jego determinacji.

– Oni mają rację – powiedział pustym, dobiegającym jakby z daleka głosem. – Nie władasz czarami ofensywnymi, a my nie możemy pozwolić, byś zginął.

Falko tylko wpatrywał się w niego, gdy lord Cabal krótko kiwnął głową na znak aprobaty. Rycerze Furii okręcili konie, gotowi ruszyć do miejsca, skąd osaczeni żołnierze mieli szansę na wydostanie się z doliny. Rozdarci wewnętrznie kadeci zaczęli popędzać konie w ślad za nimi. Wszyscy poza Malakim i Quirrenem.

– Szybko! – warknął sir Garnier, ale Malaki nie ruszył się z miejsca. Zamiast tego obrócił konia i zjechał ze ścieżki. Fidelis stał teraz przodem w głąb doliny. Malaki utkwiał wzrok w Falku.

– Zdołasz mnie ochronić? – spytał i trwoga napłynęła do jego głębokich, brązowych oczu.

Falko chciał wrzeszczeć: „Nie! To powinienem być ja!”. A jednak wiedział, że jeśli to on zginie, cała armia zostanie zniszczona i odrodzi się w szeregach Opętanych. A więc potwierdził skinieniem.

– Zawsze – dodał, a Malaki zdołał się uśmiechnąć, nim założył na głowę swój wielki hełm. Potem nałożył tarczę i chwycił za lancę.

Quirren zrównał się z nim bez słowa, potem Huthgarl, a następnie pozostali młodzi rycerze z akademii.

– Co wy robicie?! – zagrzemiał sir Garnier, gdy zorientował się, gdzie zamierzają zaszarżować. – Nie możecie zaatakować demona. Nigdy żaden rycerz nie pokonał demona!

– Jeśli demon nie zostanie zabity, nasi przyjaciele zginą – rzekł Quirren.

Malaki nic nie powiedział. To nie był akt odwagi. Po prostu nie miał wyboru. Za nic na świecie nie zostawi Bryny, by tam umarła. Na krótką

chwile zwrócił się w stronę rycerzy Furii. Patrzył przez szparę hełmu na masywną postać lorda Cabala. Ledwie dostrzegalnie, lecz z wielkim szacunkiem skłonił się lordowi dowódcy, po czym skierował spojrzenie na dno doliny, gdzie demon kroczył już w ich stronę, poprzedzany hordą ciężkozbrojnych kardaków.

– Huthgarl! – powiedział Malaki. – Ty i reszta formujecie grot i jedziecie przodem. Macie wyrąbać ścieżkę dla Quirrena i dla mnie.

Wieki Beltańczyk kiwnął głową i zajął wskazane miejsce.

– Quirren, za pomocą en passant zwabisz demona w lewo, a ostateczne uderzenie zostawisz dla mnie.

Quirren gapił się wprost przed siebie.

– To szaleństwo! – grzmiał sir Garnier, ale kadeci byli już poza zasięgiem jego rozkazów.

– Za przyjaciół i za królową – powiedział Malaki.

– Za przyjaciół i za królową – powtórzyli pozostali i z tymi słowy pognali naprzód.

Stok wiodący w głąb doliny był dość gładki, pstrzyło go tylko kilka wystających skał i porośniętych wrzosami łąt.

Falka dopadło zwątpienie, dotkliwe uczucie odstawania od reszty, ale zdusił je, zsiadł z konia i stanął na płaskiej skale, skąd dobrze widział dno doliny. Patrzył, jak młodzi rycerze pędzą na spotkanie kardaków po ostrzej nachylonym odcinku zbieżnym i nie wytracają prędkości, znalazłszy się na płaskiej przestrzeni. Łypnął w lewo, gdzie wraz z jego przybyciem rozgorzała na nowo okrutna bijatyka. Nie mógł pozwolić sobie na opuszczenie tarczy swojej wiary, którą okrył walczącą armię, lecz oto młodzi rycerze pokonali odległość dzielącą ich od ławy kardaków i demon skupił teraz całą swoją nienawiść na rozpędzonej formacji w kształcie litery V. Ciężar jego pogardy był tak wielki, że aż odczuwalny w sposób fizyczny. Falko zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście zdoła zdjąć go z barków Malakiego. Czy będzie w stanie oprzeć się tak wielkiej mocy. Opadł na jedno kolano i zamknął oczy, gdy sir Garnier pieklił się za jego plecami.

– To szaleństwo! Samobójstwo!

Falko słyszał nieugięte przekonanie w jego głosie, ale sam zdusił wszelkie wątpliwości, siłą woli roztaczając nad przyjaciółmi magiczną osłonę przed bijącym od demona strachem.

Szarżujący Malaki czuł się tak, jakby pędził prosto w rozwartą paszczę piekła, gotową zedrzyć ciało z jego kości. Wszystkie jego instynkty krzyczały, by się zatrzymał, by poprowadził konia bokiem, ale on nie dawał im posłuchu. Dwadzieścia jardów przed sobą widział Huthgarla i pozostałych, usiłujących utrzymać formację. Jedyne niezachwiana świadomość obecności Falka pchała go naprzód, pozwalając opierać się strachowi.

Walcząc o zachowanie skupienia, Malaki wlepił wzrok w demona, który wydawał się rosnąć w oczach, gdy mknęli mu na spotkanie. Jeśli potwór przejął się ich natarciem, nie dał tego po sobie poznać. Wręcz pochylił się naprzód, z przyjemnością gotując się do wydarcia z ich ciał młodych, silnych dusz. Przed nim kardakowie przygotowali się na przyjęcie uderzenia, lecz nawet ci potężni wojownicy nie zdołali powstrzymać Huthgarla i pozostałych. Grot formacji wbił się w nich i zrobił w szyku wielką dziurę, zagłębił się w czarną masę, by zaraz rozpocząć walkę. W ruch poszły miecze i okute kopyta.

Droga dla dwóch kadetów była otwarta. Malaki zobaczył, że Quirren koryguje kurs. Przy tej szybkości margines błędu bardzo się zmniejszył. Quirren będzie musiał zachować ostrożność, by nie znaleźć się w zasięgu demona. Jakimś sposobem udało mu się nie stracić głowy w tej nawałnicy nienawiści. Wycelował lancą i uniósł tarczę, a potem rzucił się na demona, do ostatniej chwili kryjąc się z zamiarem wykonania zwodu. Piekielnik złożył się do ciosu, który z pewnością powaliłby jeźdźca i wierzchowca, lecz nagle Quirren szarpnął wodzami w bok, a jego koń prawie zwałił się z nóg, rozpaczliwie próbując wykonać polecenie.

Kadet skręcił ostro na lewo. Zrobił unik przed ciosem potwora, ale szpony zahaczyły jego rumaka, naznaczając zad czterema głębokimi ranami. Uderzenie zarzuciło rozpędzonym zwierzęciem, a Quirren wyleciał z siodła i zniknął Malakiemu z oczu.

Młody rycerz skupił wzrok na demonie. Zwód zadziałał i potwór nie zdołał podnieść gardy przed właściwym natarciem.

Czas zatrzymał się na jednym uderzeniu serca. Demon zwrócił twarz w kierunku drugiego napastnika. Jego rysy skrzywiły się w grymasie nienawiści, gdy zaciskał pięść i składał się do ciosu. Malaki pojął, że demon wziął go na cel. Zauważył gorący, czerwony kułak, który mknął w jego stronę. A także nieosłonięte pancerzem miejsce pod pachą piekielnika. Na ułamek sekundy przed ciosem przywarł do końskiego grzbietu, zacisnął palce na drzewcu lancy i wbił ją głęboko w ciało demona. Siła zderzenia była tak wielka, że Malaki wyfrunął z siodła, jakby nic nie ważył. Na moment jego ramieniem wstrząsnął ból, a potem kadet uderzył o grunt i zapało mu dech. Hełm potoczył się po ziemi, a po całym ciele Malakiego rozeszło się drżenie. Dzwonienie w uszach zdławiło harmider bitwy, zredukowało go do odległego, stłumionego szumu.

Ogłuszony upadkiem Malaki z wysiłkiem wracał do siebie. Usiłował podnieść się z ziemi, ale cała prawa strona jego ciała była odrętwiała i niewładna. Zamrugał, potrząsnął głową, chcąc, by przejaśniło mu się przed oczami. Przez chwilę myślał, że może udało mu się zabić demona, lecz wówczas zamajaczył nad nim złowróżbny cień i wiedział już, że nie.

Gdy rozwiała się mgła przed jego oczami, uprzytomnił sobie, że spogląda prosto w rozognione ślepia potwora. Żar bijący z jego ciała przewyższał gorąco wszystkich kuźni świata i sprawił, że twarz Malakiego natychmiast pokryła się kropelkami potu. Mierząc go spojrzeniem, demon sięgnął pod lewe ramię i z pomrukiem bólu wydobył ze swojego ciała tkwiący w nim długi na stopę grot lancy. Malaki zranił piekielnika, ale nie udało mu się dosięgnąć jego śmiertelnego serca. Szum w uszach Malakiego przybrał na sile, czarne kształty zaczęły pływać mu przed oczami. Dotarło do niego, że zawiódł. Ujrzał, jak demon rzuca na ziemię jego bezużyteczną lancę i z wysokości spogląda na niego z tryumfem. Po czym unosi masywne kopyto, by go zmiażdżyć.

Szum przerodził się w dudnienie. Dźwięk przedarł się do myśli Malakiego, ale ten nie potrafił powiedzieć, czy to bicie jego serca, czy może łomot nadbiegających kopyt. Usiłował przywołać w pamięci obraz Bryny, ale udało mu się ujrzeć tylko kształt jej ust, błękit oczu i niepokorny lok rudych włosów.

– Vérité!

Krzykowi akompaniował świst rozpedzonych jeźdźców. Malaki wzdrygnął się, gdy jego przed oczami przemknęła barwna kawalkada. Poderwawszy wzrok, zobaczył, że demon zatacza się w tył, gdy lanca rysuje jego pancerz i ześlizguje się po obsydianowej skórze.

– Vérité!

Demon prędko odzyskał kontenans, gdy druga lanca wbiła się w jego ramię. Tym razem zamachnął się ręką i rycerz, który go zaatakował, spadł z konia z potrząskanym pancerzem i przetrąconym kręgosłupem.

– Vérité! – zawołał inny głos, ale demon uskoczył przed atakiem. Kolejny rycerz Furii umarł, zanim jego zwłoki dotknęły ziemi.

Lecz wówczas kolejny wojownik wzniosł okrzyk bojowy, a Malaki nigdy jeszcze nie słyszał głosu o takiej sile.

– En vérité!

Rumak lorda Cabala wybił się w powietrze, a rycerz potężnym ciosem wraził lancę w pierś demona. Mimo że zwierzę chciało tylko przeskoczyć nad powalonym towarzyszem, całkowita determinacja lorda dowódcy oraz jego absolutne skupienie na szarzy pozwoliły mu sięgnąć grotem głęboko w cielsko piekielnika. Siła uderzenia strzaskała drzewce i wybiła Cabalowi ramię z barku. Jeździec i wierzchowiec upadli na ziemię.

Demon zawył z bólu, ale i z niedowierzania, że broń dzierzona przez człowieka zdołała wedrzeć się tak głęboko w jego ciało. Opuścił wzrok na ułamane, dymiące drzewce sterczące z jego piersi, gdy kolejna lanca zanurzyła się w jego brzuchu. Zatoczył się w przód i wtedy ostatni cios trafił w jego odsłonięty kark. Ciemna krew zbroczyła ziemię i demon



padł.

Malaki był pewien, że śni. Opadło go wielkie zmęczenie, świat znów zamazał mu się przed oczami. Czuł, jak wiele rąk wlecze go po ziemi. Zewsząd dobiegały go dźwięki bitwy i szczęk stali, lecz nic z tego nie miało znaczenia. Jego bracia walczyli u jego boku i nie istniało już nic, czego musiały się bać.

Stojący na wzgórzu Falko wypuścił powietrze z płuc, widząc powalonego piekielnika. Był wycieńczony, ale wraz z towarzyszami udało mu się dokonać niemożliwego: pokonać demona. Podniósł się na nogi i spojrzał w głąb doliny. Poniżej rycerze wycofywali się z walki w defensywnej formacji, ciągnąc po ziemi Malakiego i dwóch innych rannych towarzyszy. Większość przyszlých rycerzy wciąż siedziała w siodłach, ale otaczający ich pancerni kardakowie znacznie przewyższali ich liczebnie.

Po swojej lewej Falko dostrzegł prący w stronę rycerzy oddział emisariusza. Wiedział, że nie zdążą im pomóc. Jeden dodatkowy miecz raczej nie przeważy szali na ich korzyść. Lecz z drugiej strony kto wie? Falko zrzucił z barków ołowiany ciężar zmęczenia i prędko dosiadł konia. Może i nie władał magią ofensywną, lecz teraz nie miało to znaczenia. Nadszedł czas, by również i on włączył się do bitwy.



Rycerze wspinali się z mozołem po pochyłości doliny, opędzając się od nacierających kardaków oraz osłaniając Malakiego, lorda Cabala i jeszcze jednego wojownika, który nie był w stanie się bronić. Walczyli z niezrównaną żarliwością, lecz nawet rycerze Furii nie zdołają wiecznie opierać się liczebniejszemu wrogowi. Falko wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim padną pod ich ciosami. Wtedy wdarł się między kardaków i osaczonych rycerzy.

Dotarł do środka szyku i zeskoczył z siodła prosto w czarną masę potężnych wojowników. Z tarczą na przedramieniu i mieczem w garści przyjął pozycję bojową. Kardakowie zatrzymali się, jakby wyczuli, kto przed nimi stoi. Ta chwila dała rycerzom szansę na pokonanie kilku dodatkowych kroków, nim napastnicy wznowili natarcie.

Wówczas spadła na nich salwa strzał, a zaraz za nią kolejna, i jeszcze jedna. I rozległ się grzmiący tętent rumaków bojowych.

Falko łypnął na lewo, skąd szarżowała ku nim kawaleria emisariusza. Nieco dalej na stoku Urwipółcie przestali strzelać, lecz udało im się zastopować natarcie kardaków i wspomóc uciekających rycerzy. Huk nadbiegających koni stale narastał. Falko skupił uwagę na otaczających

go mrocznych wojownikach. Bitwa nie była jeszcze skończona, ale przynajmniej sam mógł wreszcie użyć miecza. Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz stanął twarzą w twarz z wojownikiem Opętanych. Wówczas nie potrafił pokonać nawet jednego rannego skiryty, a teraz wymieniał ciosy z kardakami. Niedostatki w sile fizycznej nadrabiał potężnymi czarami wzmacniającymi. W kilka chwil powalił swojego pierwszego kardaka, ale zdziwił się, jak niewielką satysfakcją mu to przyniosło. Posłał go na ziemię ciosem w kolano i dobił sztychem w szyję, a gdy opancerzone ciało legło u jego stóp, poczuł tylko smutek. Ten wojownik był kiedyś człowiekiem, może rycerzem podobnym do tych, którzy walczyli teraz ręką w rękę z Falkiem. Nie zwrócił się przeciw ludzkości z własnej woli, został przemieniony, splugawiony, opętany.

Gdy Falko zwarł się z kolejnym opancerzonym przeciwnikiem, nagle pojawił się wielkie nieszczęście spadło na rodzaj ludzki. Nieszczęście, które zmusza do zabijania pobratymców.

Bitwa toczyła się dalej, lecz po raz kolejny Czwarta Armia zyskała przewagę i nic już nie mogło jej tej przewagi odebrać. Czas mknął przed siebie, ręce i nogi Falka drżały ze zmęczenia, ale kardakowie zostali złamani i trzon armii Opętanych tkwił osaczony na środku pola walki. Bitwa zmierzała ku zwycięstwu.

Gdy zagrożenie zmaleo, Falko odpadł od linii wojowników i zaczął szukać Malakiego. Wyżej na zboczu dostrzegł miejsce, gdzie na ziemi spoczywali ranni rycerze, strzeżeni przez towarzyszy. Falko najpierw natknął się na Cabala, ale lord dowódca gestem kazał mu iść dalej.

– Idź zobaczyć się z przyjacielem – powiedział, gdy dwaj rycerze przygotowali się do nastawienia jego wybitego barku.

Wielki rycerz krwawił i był blady, ale Falko poznał po oczach, że trzyma się nieźle i jest mentalnie przygotowany na ból. Postanowił, że zajrzy do niego później i wspomocze gojenie czarami, teraz zaś popędził na przełaj przez łagodną skarpe do miejsca, w którym Quirren ułożył Malakiego na trawie, zakończywszy bolesny i mozolny proces wyłuskiwania go z powyginanego pancerza. Twarz i szyja młodego Illicjanina były pokryte krwią z płytkiej rany na głowie, ale całą swoją uwagę poświęcił Malakiemu.

– Ramię i łokieć – westchnął Quirren. – I chyba żebra.

Falko opadł na kolano przy przyjacielem, który balansował na granicy przytomności. Zamykając oczy, położył ręce na jego ramieniu i łokciu, badając rozległość obrażeń, tak jak pokazał mu Meredith. Najbardziej bał się obrażeń wewnętrznych i możliwości wystąpienia szoku, ale silny rytm serca Malakiego rozwiał jego obawy.

– Czuję cię przy sobie – wymamrotał kowal z Caer Dour, rozwierając powieki. Twarz miał bladą i pokrytą potem. – Do samego

końca. Wiedziałem, że tam jesteś.

– Zrobiłbyś coś w końcu sam – odparł Falko, a na ustach przyjaciela wykwitł uśmiech.

Falko odpowiedział tym samym, a potem ogarnął umysłem rany Malakiego. Odcinek od łokcia do obojczyka był połamany, ale na szczęście łopátka została cała. Wysondował złamania w odcinku żebrowym, potem wykrył porządne wstrząśnienie mózgu. A poza tym tylko sińce i naciągnięte więzadła. Gwiazdom dzięki, nic się nie naderwało ani nie zerwało. Otworzywszy oczy, Falko zwrócił się do Quirrena.

– Złap go za ramię, o tak, i odchyl się nieco, utrzymując stały nacisk. Przestań, kiedy ci powiem.

Quirren kiwnął głową, a Malaki zassał powietrze przez zaciśnięte zęby, gdy zetknęły się dwa fragmenty złamanej kości. Falko wyczuł, że układają się jak należy, a potem posłał w ciało Malakiego dawkę uzdrawiającej energii. Może nieco więcej, niż zamierzał. Malaki zaklął siarczyście, gdy jego rękę wypełnił ogień i poczuł w środku osobliwe świerbienie.

– Dobra. Puść.

Quirren ostrożnie wykonał polecenie i Malaki poczuł, że nacisk zelżał. Kadet wypuścił powietrze z płuc i opadł na wilgotną trawę, ale Falko nie mógł jeszcze pozwolić mu na odpoczynek. Przez kolejne dziesięć minut badał obrażenia na jego ciele, nasycając je całą magią leczniczą, jaką mógł zgromadzić, aż wreszcie usiadł na ziemi, zadowolony z efektu swoich wysiłków. Malaki powinien szybko wrócić do zdrowia.

Już miał zająć się Quirrenem, gdy padł na nich cień. Podniósł wzrok i zobaczył, że stoi nad nimi lord Cabal. Jego prawe ramię wisiało na temblaku, a poblada skórą kontrastowała z czarną brodą i bryzgami krwi. Ale nawet ranny robił piorunujące wrażenie, tchnął groźbą, spowity ponurą aurą. Obok niego stał sir Garnier z hełmem dowódcy pod pachą.

Lord Cabal patrzył na Falka, który poruszył się po chwili, by pozwolić mu podejść do Malakiego. Wielki rycerz opadł na kolano, sycząc z bólu, który odezwał się w uszkodzonym ramieniu. Przez moment tylko spoglądał na leżącego na ziemi kadeta, na jego rany, a potem utkwiał wzrok w jego oczach. Błady i wyczerpany Malaki odpowiedział spojrzeniem. Trwali tak jakiś czas.

Falko nie umiał odgadnąć, co myśli lord dowódca. Wiedział tylko, że w spojrzeniu Malakiego nie ma śladu skruchy. Złamał rozkaz najwyższej postawionego członka swojego zakonu. Jego przyszłość jako rycerza wisiała na włosku. Ale niczego nie żałował. I Falko wiedział, że drugi raz postąpiłby tak samo.

Wreszcie lord Cabal przerwał milczenie.

– Skąd wiedziałeś, że twój przyjaciel zdoła cię ochronić? – spytał.

– Nie wiedziałem – odparł Malaki. – Ale wierzyłem, że to zrobi.

Lord dowódca przez chwilę wpatrywał się w oczy Malakiego. A potem pokiwał głową i dziki uśmiech wyostrzył jego spojrzenie.

– Siła, honor i wiara – powiedział. – Ale najważniejsza jest wiara.

Z tymi słowami wziął swój hełm od sir Garniera. Nie wstając z kolana, położył go na ziemi i znowu spojrzał na kadeta.

– To zwycięstwo jest twoje – orzekł. – To ty poprowadziłeś szarżę, to za tobą pojechali rycerze.

Malaki chciał zaprotestować, ale lord Cabal gestem nakazał mu milczenie. Zdrową ręką obrócił jego bladą twarz, by lepiej przyjrzeć się jaskrawemu znamieniu.

– Śmiali się z ciebie, gdy byłeś mały? – spytał. Malaki spuścił wzrok, zawstydzony. – Nikt już nie będzie się z ciebie śmiał.

Z tymi słowami lord Cabal sięgnął do własnej obwiązanej bandażem głowy. Odsunął opatrunek, otworzył palcami ranę, aż cała jego dłoń była zboczona krwią. A potem przeniósł wzrok na swój wielki hełm i naznaczył jego bok karmazynową plamą. Przyjrząwszy się dziełu, wrócił wzrokiem do Malakiego i kiwnął z zadowoleniem głową. Następnie wziął miecz od sir Garniera i dotknął nim prawego, a potem lewego ramienia leżącego. Wsunął go do pochwy, po czym w palcach lorda Cabala zawisł wisiołek w kształcie końskiej głowy na bładoniebieskiej wstędze. Zawiesił go Malakiemu na szyi.

– Witaj wśród rycerzy Furii, sir Malaki de Vane.

## Połowiczne zwycięstwo



Ostatnich Opętanych dorznięto o zachodzie słońca. Wówczas emisariusz zaczął szukać Falka. Znalazł go w lazarecie, który urządzono bliżej krawędzi kotliny. Młodzieniec pomagał medykom, przechodząc od rannego do rannego. Wydawał się bardzo zmęczony, ale ani myślał spocząć, dopóki słyszał wokół siebie jęki pacjentów.

– Będziecie musieli poradzić sobie bez pana Dantégo – powiedział emisariusz, stając przed lekarzem. – Falko, już wystarczy na dzisiaj. Pozwól ze mną.

Medycy niechętnie go puścili, ale wiedzieli, że Falko nie zdoła pomóc setkom rannych żołnierzy, sam bowiem pada ze zmęczenia. Zrobił już dosyć. Czas, by zebrał siły. Skłoniwszy się, lekarze wrócili do pracy, a emisariusz zwrócił się do Falka.

– Dobrze cię widzieć, chłopcze – powiedział, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Falko spuścił skromnie wzrok.

– Wybacz, że nie zjawiłem się wcześniej – odparł. – Byłem w Daston.

Przez moment emisariusz tylko patrzył na niego, myśląc, że żartuje. A potem potrząsnął głową i się zaśmiał. Falko chyba czuł się nieswojo, ale ochłonął nieco, gdy uśmiech pozostał na twarzy emisariusza, który patrzył mu teraz w oczy bez śladu przygany.

– Symeon byłby dziś z ciebie bardzo dumny – powiedział. Falko pochylił głowę, czując gromadzące się w oczach łzy. – Chodź. Poszukajmy twoich przyjaciół.

Natknęli się na Malakiego na skraju obszaru szpitalnego. Siedział z Bryną, Alexem, Quirrenem i Huthgarlem. Każdy z młodych rycerzy nosił ślady niedawnej bitwy, ale żadnemu nie dostało się tak jak Malakiemu. Jego złamaną rękę opatrzono i unieruchomiono, by dobrze się zrosła. Pomimo leczniczych wysiłków Falka wciąż jednak bolała

i Malaki zdusił jęk, gdy Bryna nachyliła się, by chyba po raz setny osłodzić mu cierpienia pocałunkiem. Gdy go wcześniej znalazła, nie mógł mówić. Wtopiła wówczas twarz w jego pierś i zapłakała, a Patrick Feckler i inni Urwipołcie mogli tylko stać i patrzeć. Wszyscy widzieli, jak Malaki i pozostali kadeci atakują demona.

Paddy nic nie powiedział, skinął tylko Malakiemu, jakimś sposobem w sposób ewidentny dając wyraz wielkiego szacunku.

– Masz jaja, chłopie – rzucił ktoś obok niego.

– Będzie ich potrzebował, jak chce się z nią prowadzić – wymamrotał Dedic, za co zarobił potężną sójkę w bok od Paddy'ego.

Urwipołcie, jak to mieli w zwyczaju, momentalnie rozładowali napięcie i wszyscy roześmiali się, gdy Paddy i jego przybocznicy ruszyli dalej. Przyjaciele wyprostowali się, gdy zbliżył się emisariusz z Falkiem. Kawalek dalej zobaczyli lorda Cabala, rozmawiającego z rannym rycerzem Furii. Wielki hełm wojownika leżał w nogach jego zaimprovizowanego łóżka.

– Widzę, że rycerze Furii zdobią hełmy własnym znakiem – rzekł Chevalier, a Malaki zarumienił się na te słowa. Wyglądało na to, że pozostali członkowie zakonu poszli za przykładem lorda Cabala i naznaczyli krwią własne hełmy. Chcieli w ten sposób uhonorować wkład Malakiego w pokonanie demona.

– Dwadzieścia lat jestem rycerzem i nie widziałem jeszcze czegoś podobnego – ciągnął emisariusz. Może powiedziała by coś jeszcze, ale akurat nadszedł jeden ze zwiadowców. Sposób, w jaki prowadził konia, dawał pojęcie o pilności posiadanych przez niego informacji.

– Panie emisariuszu! – wykrzyknął mężczyzna, gdy Chevalier wyszedł mu na spotkanie. – Ktoś zbliża się od południa.

Choć emisariusz był wycieńczony, raptem wyprostował się z twarzą wyrażającą uwagę.

– Przyjaciel czy wróg? – spytał, patrząc tam, gdzie wskazał jeździec.

– To mag bitewny Nathalie Saigal – powiedział mężczyzna, jakby sam nie wierzył w to, co mówi.

– Dzięki wam, gwiazdy na niebie! – westchnął emisariusz głosem lekkim od ulgi. Dawno już uznał Nathalie za martwą. – A ty prowadź!

Inni zwabieni dobrymi nowinami zbliżyli się do dwóch mężczyzn i poszli za nimi do wysuniętego punktu na szczycie wzgórza.

– Tam, panie – rzekł zwiadowca.

Rzeczywiście, na zbocze wspinała się Nathalie, a u jej boku bursztynowa smoczyca.

– Ciel jest ranna – zauważył Falko, a emisariusz pokiwał głową. Smoczyca szła mozolnym krokiem, jedno jej skrzydło spoczywało w nienaturalnej pozycji.

Chevalier pospieszył w jej kierunku, a Falko wraz z nim. Był

wyraźnie podniecony, lecz młodzieńca naszło raptem złe przeczucie. Wychwycił emocje targające Nathalie, zanim jeszcze usłyszał je w jej głosie.

– Co wy tu robicie? – wykrzyknęła. – Nie możecie tu zostać. Uciekajcie!

Ulga emisariusza zmieniła się w troskę, gdy zobaczył, w jakim stanie są Nathalie i jej smoczyca. Obydwie były brudne i wyczerpane.

– Słyszysz mnie? Musicie stąd wiać! – powtórzyła Nathalie, stając przy nich.

– Nie ma potrzeby – odrzekł emisariusz. – Demon został pokonany, a Opętani wybici.

Nathalie pokręciła głową.

– Nie! – krzyknęła. – Uciekajcie! – Odwróciła się twarzą w stronę, z której przysłała, jakby spodziewała się ujrzeć kolejną armię Opętanych depczącą jej po piętach. – Musicie podzielić armię na mniejsze jednostki. Wysłać je różnymi trasami z powrotem do Hoffen i Le Matres. Posłać po więcej magów bitewnych.

Emisariusz rzucił Falkowi zmartwione spojrzenie. Nathalie sprawiała wrażenie, jakby bredziła w malignie. Jej słowa nie miały dla nich żadnego sensu. Obejrzał się na stojącego nieopodal zwiadowcę.

– Czy to możliwe, byśmy przegapili inną armię?

– Nie, panie, nie sędzę – rzekł mężczyzna, ale jego przekonanie niespodziewanie skaziła niepewność. Szeregowy zwiadowca otwarcie przeczący słowom maga bitewnego zostałby uznany za niezwykle odważnego człowieka.

Odprawiali Nathalie do obozu, ale zarówno ona, jak i Ciel co rusz oglądały się przez ramię. Falko poczuł, jak po jego kręgosłupie wspina się strach. Co wzbudziło tak wielkie przerażenie u maga bitewnego i smoczycy?

Zabrakło im kilku kroków do części szpitalnej, gdy Ciel stanęła jak wryta. Stworzenie obróciło się i pochyliło głowę. Groźny pomruk wzbudził się w jej gardle. Nathalie również się odwróciła. Falko też wyczuł czyjąś zbliżającą się, przytłaczającą obecność. Cała trójka utkwiała spojrzenia w to samo miejsce na wzgórzu, jakby widzieli coś niedostrzegalnego dla oczu zwykłych śmiertelników.

– Musicie uciekać – rzekła Nathalie niepokojąco lodowatym głosem. – On już tu jest.

– Spójrz na trawę na tamtym zboczu – powiedział Alex. – Robi się czarna.

I rzeczywiście – widoczna na stoku ciemna łąka spalonej ziemi wyciągała się w ich stronę i wszyscy rozpoznali narastający strach obwieszczający nadejście demona, zaciskającą się zimnymi szponami na duszy beznadzieję, przez którą nawet najdzielniejszy mąż czuł się jak

przerażone dziecko.

– Zabiliśmy już jednego demona – dał się słyszeć głos Quirrena. – Zabijemy i drugiego.

– Nie – powiedziała Nathalie. – Przeciw temu nic nie wskóramy.

– Z pewnością wspólnymi siłami... – zaczął emisariusz, ale kobieta weszła mu w słowo.

– Ja nie dam mu rady, Chevalier. – Pewność jej głosu zmroziła rycerza do szpiku kości. – Ale spróbuję zatrzymać go tak długo, jak zdołam.

Emisariusz stał, jakby jakaś siła wryła go w ziemię. On miałby zostawić tu Nathalie, by samotnie stawiała czoła takiej potworności? To było dla niego nie do pomyślenia. Ale poznał po jej spojrzeniu, że nie ma wyboru. Jeśli Nathalie i Ciel nie pokonają tego potwora, Chevalier może tylko starać się oddzielić od niego swoich żołnierzy jak największą połącią lądu.

– Wracać do obozu – zarządził. – Wszyscy, ale już!

Zaczął popychać ich w kierunku trzonu armii.

– Nie możemy ich zostawić – zaproponował Falko.

– Nie możemy im też pomóc – powiedział emisariusz. – A teraz chodź. Musisz osłonić odwrót armii.

Z wielką niechęcią zaczęli cofać się w głąb obozu, każdy oglądając się za siebie na coraz wyraźniej rysującą się na tle zieleni czarną plamę, wydłużającą się w ich kierunku, niby gnaną porywistym, płonącym wiatrem.

Podczas gdy oni zbierali się do odwrotu, Nathalie wyszła na spotkanie postępującej ciemności z kroczącą spokojnie u boku Ciel.

Falko obejrzał się na nią, na jej drobną postać, porywającą się na nadciągającą potworność. Słyszał, jak nieopodal wydaje rozkazy emisariusz.

– Wstawać! Na nogi, już! – wołał. – Pomóżcie im przygotować się do drogi.

Ludzie patrzyli na niego, jakby oszalał, ale poznali po jego głosie, że sprawa jest poważna, i nikt nawet nie pisnął. Sami też czuli przecież rosnący w duszy strach wywołany pojawieniem się drugiego demona. Ludzie doprowadzeni do skraju wytrzymałości zostali zmuszeni do kolejnego desperackiego zrywu.

Emisariusz wyłapał z tłumu sygnalistę i kazał mu odtrąbić odwrót.

– Szybko – warknął, gdy skołowany żołnierz wlepił w niego nierozumiejące spojrzenie. Czyż właśnie nie wygrali bitwy? – Odwrót, powiedziałem, natychmiast!

Mężczyzna zwlekał tylko pół chwili, a potem uniósł róg i po dolinie rozlał się sygnał do odwrotu, brzmiący jak okrutny, nie w porę rzucony dowcip.

Emisariusz popatrzył wokoło na mozolących się z wykonaniem



rozkazu rannych. Towarzysze pomagali im dosiąść koni lub wejść na wozy, inni wieszali ich sobie na szyi i pomagali iść. Armia sposobila się do drogi.

Tumult i zgiewk w obozie dźwięczał głośno w uszach Falka. Żołnierzy pchały naprzód strach i zmieszanie. Tłum zaczął wolno oddalać się od samotnej kobiety, która stanęła wraz ze smoczyką na drodze pełnającej ciemności. Wokoło jego przyjaciele dosiadali koni. Dwaj sanitariusze pomagali Malakiemu wspiąć się na Fidelisa. Quirren podał Falkowi jego hełm i wodze wierzchowca, nim sam dosiadł swojego rannego konia. Bryna również siedziała już w siodle. Alex biegł do swoich Wygnańców. A po drugiej stronie pola bitwy Jareg stał tylko nieruchomo, jakby zapuścił korzenie. Przerazenie, które raz od siebie odepchnął, pęczniało teraz w jego umęczonym umyśle, jeszcze gorętsze i jeszcze mroczniejsze niż poprzednio.

Tylko nie to! – myślał gorączkowo. Ratujcie, niebioso, tylko nie to!

Starsi husarze odciągnęli młodego dowódcę i sami włączyli się w strumień ludzi, który zaczął już wspinać się po północnym stoku doliny. Falko jednak czuł, że nie może iść z nimi. Siedział w siodle, odprowadzając ich wzrokiem.

– Falko! – zawołał emisariusz. – Jesteś nam potrzebny.

Ale ten nie odwrócił się od Nathalie i Ciel. Widział, jak hen przed nimi rozpęka się ziemia i jakies diabelstwo wyłania się na światło dnia.

Pogromca przybył.

Żołnierze Czwartej Armii zwiększyli tempo, gdy demon pojawił się w zasięgu ich wzroku. Panika przetoczyła się po ich szeregach. Falko czuł ten strach i próbował otoczyć ich osłoną, ale nie mógł zebrać myśli. Nie mógł otrząsnąć się z przekonania, że po prostu porzuca Nathalie i Ciel.

– Falko, no dalej! – krzyczała Bryna, a koń chłopaka sam z siebie obrócił się, by ruszyć za wojskiem.

Falko jak przez sen zdał sobie sprawę, że wierzchowiec niesie go ku towarzyszom, gdy za jego plecami demon otrząsnął się z drobin nadpalonej ziemi. Znalazszy się w świecie materialnym, Pogromca wczepił się wzrokiem w Przeciwniczkę i stojącego przed nią wyrma. Chciały uciec, ale im się nie udało, lecz mimo to ośmieliły się stanąć przed nim, nie okazując strachu. Pogromcą zawładnęła ekscytacja. Nie mógł się doczekać, by nasycić się ich śmiercią.



Nathalie wpatrzyła się w wyłazającego wprost z poczerniałej ziemi

demona. Gdy spojrzała w twarz śmierci, niemal złamał ją nagły przypływ rozpacz. Czuła w kościach, że nie zdoła mu się wymknąć, a teraz zaprowadziła go prosto do emisariusza i żołnierzy Czwartej. Wiedziała, jak niebezpiecznie jest oddawać się poczuciu winy w obecności piekielnika, lecz zdawała sobie też sprawę, że jej dni od dawna są policzone. Z tą myślą uniosła miecz i tarczę.

Stojąca obok niej Ciel przygotowała się do walki.



Falko miał wrażenie, że przedziera się przez gęstą, nieustępliwą mgłę. Dźwięki i odczucia wydawały się czymś odległym i bezkształtnym. Uciekali od zagrożenia i strachu, ratowali życie, a mimo to czuł, że robi coś złego. Armia mknęła naprzód, ale Falko zacisnął zęby, ściągnął cugle i wrył konia. Obrócił się i raz jeszcze spojrzął tam, gdzie smoczyce i maga bitewnego raptem spowił płomień.

Demon zaskoczył ją, ciskając w nią smugą piekielnego ognia. W ostatniej chwili zasłoniła się ścianą energii. Płomień buchnął w niebo i na boki, o mało nie sięgając uskakującej przed nim Ciel.

W chwili gdy płomień zgasł, Nathalie zrewanżowała się własnym atakiem. Lanca białego światła pomknęła w kierunku Pogromcy, ale rozprysła się w zetknięciu z pancerzem Oświeconych. Jednocześnie Ciel posłała w jego stronę kolumnę płomienia. Demon rozbił ją ciosem pięści, a wtedy zza zasłony ognia spadła na niego Nathalie, zadająca cios mieczem. Jej klinga przecisnęła się pod bronią Pogromcy i naznaczyła jego udo płytką i długą raną.

Demon odskoczył, gdy do walki włączyła się Ciel i przeorała jego opancerzony hełm ostrymi pazurami. Walczyły o wykorzystanie przewagi, lecz Pogromca nie pozwolił im na to. Odwinął się i wyprowadził straszliwy cios mieczem. Ciel musiała się prędko uchylić przed uderzeniem, które pozbawiłoby ją głowy. W tym samym momencie druga klinga pomknęła z nieprawdopodobną prędkością w kierunku Nathalie i z pewnością pogruchotałaby jej tarczę wraz z ramieniem, gdyby nie wypełniła swojego ciała wzmacniającą energią. Ale nawet osłona nie uchroniła jej przed obezwładniającą siłą ciosu, który wybił ją z równowagi. Wojowniczką wytraciła impet, okręcając się błyskawicznie, pilnując przy tym, by nie wystawiać pleców na kolejny cios wroga.

Pogromca ciął mieczem raz po raz i tylko wysokie umiejętności oraz szybkość uchroniły Nathalie i Ciel przed śmiercią. Ale nie mogły długo

zмагаć się z tak zazartymi atakami i gdy stwór rękojeścią miecza wgniół bok hełmu Nathalie, wydawało się, że nadszedł koniec. Nogi ugięły się pod nią i kobieta osunęła się bezwładnie na ziemię.

Nathalie zginęłaby, gdyby w tej chwili Ciel nie rzuciła się na demona. Bursztynowa smoczyca wskoczyła mu na opancerzone barki, usiłując unieruchomić jego muskularne ramiona. Z początku wydawało się, że Pogromca może zachwiać się i upaść, lecz wtedy sięgnął mieczem ponad ramieniem i klinga wżarła się głęboko w górną część przedniej nogi smoczycy. Demon wymknął się spod pazurów Ciel i stworzenie potoczyło się naprzód, warcząc z bólu, gdy wylądowało na rannym skrzydle. Jednakże, pomimo obezwładniającego bólu, smoczyca prędko znalazła się na nogach i ruszyła naprzód, by zasłonić ciałem nieprzytomną Nathalie, ku której potwór obracał właśnie wykrzywioną morderczo twarz.

Pogromca wydawał się w pełni sił, jego ślepia płonęły łaknieniem śmierci, gdy pochylał głowę i napręzał mięśnie potężnych ramion. Oto nadeszła zwycięska chwila i nawet wyrm zdawał sobie z tego sprawę, kiedy tak stał przed ogłuszoną Przeciwniczką niczym żalosny, wierny do ostatniej chwili kundel.

To tyle, jeśli chodzi o Wielkie Dusze tego niewydarzonego świata.

Ostre klingi uniosły się, Pogromca wyrwał z kopyta i rzucił się naprzód. Ale zanim zrobił dwa kroki, ujrzał pędzącą w swoją stronę rozmazaną czarną plamę. Koń i jeździec. Pojawili się znikąd. Pogromca zmarszczył brwi, rozpoznawszy charakterystyczne spojrzenie drugiego Przeciwnika. Błysnął ognistym wzrokiem, zatrzymując wierzchowca, który z wślizgiem wrył kopyta w ziemię, ale jeździec zdążył stanąć na siodle obiema nogami i skoczyć naprzód.

Pogromca zatoczył się, gdy ten nowy Przeciwnik kopnął go obunóż w twarz. Zdumiony mocą tego uderzenia demon skupił wzrok na wojowniku, a gdy to zrobił, o mało nie skrzywił ust w uśmiechu. To jakiś młokos bez ognia, którym władają zwykle jego pobratymcy. Pałający pogardą Pogromca ruszył, by zdusić iskrę jego życia.



Armia wylaniała się z doliny, a Falko stał przyczepiony wzrokiem do Nathalie i Ciel walczących z demonem. Udany początek walki zrodził w nim przekonanie, że mogą zwyciężyć, lecz wtedy ujrzał, jak po potężnym ciosie w bok głowy nogi uginają się pod Nathalie.

W umyśle Falka nie zajaśniała żadna świadoma myśl, a jednak coś sprawiło, że wbił pięty w końskie boki i zaszarżował naprzód. Miał

wrażenie, że patrzy z wielkiej odległości na siłującą się z piekielnikiem Ciel, nim ta oberwała mieczem, wypuściła wroga i stoczyła się z jego grzbietu. Pogromca ruszył w kierunku Nathalie, ale Ciel prędko odzyskała kontenans i stanęła nad rozciągniętą na ziemi wojowniczką.

Wiatr huczał Falkowi w uszach, gdy pognał konia do karkołomnego cwału. Nie myślał, co robi, gdy już dotrze do Nathalie i Ciel. Wiedział tylko tyle, że nie może pozwolić im stoczyć tej walki samotnie. Już prawie był przy nich, gdy demon go wyczuł i zwrócił ku niemu masywny łeb. Skupiona wola Pogromcy uderzyła w niego z mocą i nogi ugięły się pod koniem Falka. Wierzchowiec wyrznęła o grunt, ale Falko był gotowy wybić się z siodła, jak robił to tak wiele razy w Moździerz. Gdy koń Falka padał na ziemię, on mknął już w powietrzu i wbił nogi w twarz piekielnika, po czym przetoczył się po ziemi.

Stanął przed Pogromcą z mieczem i tarczą w gotowości.

Demon potrzebował chwili, by otrząsnąć się po uderzeniu, lecz w chwili gdy na Falka naparła z piekielną siłą cała jego pogarda, potwór rzucił się do ataku. Natarł z lekceważącą dzikością, jakby zamierzał zabić Falka dwoma prędkimi cięciami, ale on uniknął pierwszego ciosu, a drugi zbił tarczą. Zdołał nawet zahaczyć mieczem wierzch nadgarstka potwora, ale ostrze ześlizgnęło się z niego, jakby Falko uderzył w posąg z brązu. Nie zostało po nim nawet zadrapanie.

Ślepią pogromcy zapłonęły gniewem. Ten wypłosz śmiał uchylać się przed jego atakami? Pogromca skoncentrował się i złożył z rozmachem do szybkiej sekwencji mocniejszych ciosów, lecz Falko w dalszym ciągu uskakiwał, blokował i parował wszystkie uderzenia. Uświadomiwszy sobie, że nie docenił tego nowego przeciwnika, Pogromca stężał w gotowości do przypuszczenia druzgoczącego natarcia, lecz w tym momencie Ciel zaatakowała go od tyłu.

Smok zacisnął szczęki na jego prawym ramieniu i próbował odciągnąć je w tył, ale Pogromca okręcił się w miejscu i uderzył mieczem trzymanym w lewej ręce. Ciel musiała go puścić, inaczej stwór wraziłby jej ostrze w pierś. Odginając się do tyłu, uniknęła rozpędzonej klingi, ale nie zdołała zaatakować, bo ugięła się pod nią ranna noga. Pogromca z rozpędu kopnął ją w opuszczoną nisko głowę, ogłuszając smoczyce, która złożyła się i padła na ziemię nieopodal wciąż nieprzytomnej Nathalie. Demon zwrócił się teraz ku Falkowi. Tym razem nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Ale Falko utrzymał pozycję. Może i nie posiadał w swoim arsenale czarów ofensywnych, ale jego obrona nie miała sobie równych. Będzie skałą, która skruszy klingi pogromcy. No chodź, tutaj jestem. Jeśli ma to być pojedynek woli, Falko był gotów podjąć wyzwanie. Niech ta bitwa pozwoli mu sprawdzić pełną rozpiętość diabelskiej mocy tego potwora. I niech on połamie zęby na tarczy tego Przeciwnika.

Demon jakby wyczuł wyzwanie w myślach Falka. Jego oczy zalśniły zadowoleniem. Gdy ruszył na niego, Falko uzbroił swój umysł i potężna fala roziskrzonych energii przepłynęła przez całe jego ciało. Przez chwilę czuł transformującą potęgę tej szalonej siły, lecz wtedy demon uderzył. Falko zniknął w burzowej chmurze ciosów wyprowadzanych mieczami, rękami i kopytami. Pierwszy raz mierzył się z podobnie nieokiełznaną brutalnością i wiedział, że nawet jako mistrz defensywy niedługo zdoła jej się opierać.

Przyjął na udo kopnięcie, które pogruchołałoby nogę wołu.

Dał nura pod szerokim cięciem i wzmocnił tarczę, by ta zaabsorbowała siłę uderzenia, które wstrząsnęło jego ciałem i nieomal przearanżowało układ wewnętrzności. Ramię było całe, ale klinga Pogromcy wcięła się głęboko w metalową tarczę.

Falko już był wycieńczony wydarzeniami minionego dnia. Z czasem ograniczył się wyłącznie do opierania się atakom demona, coraz rzadziej znajdując sposobność bądź siły, by wyprowadzić własny. Blokował i parował, wykręcał się spod ostrzy, a gdy już nie mógł robić uników, blokował ciosy siłą woli. Ale zasoby mocy Pogromcy wydawały się niespożyte i Falko wkrótce poczuł, że jego energia jest na wyczerpaniu.

Ciężki cios od góry odrąbał prawie połowę jego tarczy i Falko poczuł krew ciekącą po ramieniu. Następne oszałamiające uderzenie zsunęło się po obłości hełmu, a kolejne przejęło rękę drętwtotą i bólem, ale Falko i tak zrobił unik. Czuł narastającą frustrację demona.

Uświadomiwszy sobie, że koniec jest bliski, młodzieniec zebrał siły i dał nura pod mknącym ostrzem. Odnalazł klingą odsłonięty kawałek ciała, ale jego miecz nie został wykuty na kowadle mistrza Missagliasa, nie był mieczem maga bitewnego i stał strzaskała się, gdy naparło nią na twarde cielsko demona. Falkowi zostało w ręce tylko kilka cali lśniącego metalu, gdy więc spadło na niego kolejne druzgoczące uderzenie, nie miał na co go przyjąć. Zakrzywione ostrze zetknęło się z bokiem jego głowy, zrzucając z niej hełm i zasnuwając jego pole widzenia milionami gwiazd. Falko padł na kolana i walczył o zachowanie przytomności. Wypluł krew, która wypełniła mu usta. Podniósł spojrzenie na stojącego nad nim demona.

Pogromca patrzył na niego, a jego potężna pierś unosiła się w mozolnym oddechu. Ten młody Przeciwnik został pokonany, ale płomień wciąż tlił się w jego jasnych, zielonych oczach.

Wiedząc, że zaraz zemdleje, Falko zajrzał głęboko w małe, rozżarzone oczy Pogromcy i – niech to porwie piekło i co tylko zechce – uśmiechnął się. Ale nie był to uśmiech wesołości. Był to uśmiech pogardy, uśmiech człowieka, który nie boi się śmierci. I biła z niego tak nieprzejednana siła, że Pogromca zastygł w bezruchu. Ten klęczący

przed nim szczeniak nie był pierwszym lepszym Przeciwnikiem. To była Wielka Dusza, władająca mroczną i niebezpieczną potęgą, której nie wolno pozwolić żyć.

Falko poderwał głowę, gdy Pogromca uniósł miecz do ostatecznego ciosu, lecz gdy zakrzywione ostrze pomknęło w dół, błękitny grom trafił demona w rękę i cios przemknął nad głową Falka. Oczy potwora zajaśniały furią, gdy obejrzał się w kierunku, z którego nadszedł atak. A potem zawył z bólu, gdy Nathalie wraziła ognistą kulę w podstawę jego karku. Kula nie była większa od pięści, ale paliła wściekle i zamiast wybuchnąć, wgryzła się w cielsko Pogromcy.



Budząca się Nathalie otrzeźwiała, widząc, jak Falko walczy samotnie z demonem. Potwór bił w niego wszystkim, co miał, a jednak chłopak jakimś cudem wciąż stawiał mu czoła. Ciało Nathalie płonęło bólem i zmęczeniem, ale nie mogła znieść myśli, że Falko mógłby zginąć, a więc podniosła się chwiejnie na nogi, bez hełmu i z zakrwawioną twarzą, po czym pospieszyła mu z pomocą. Trzymany w prawej ręce miecz włókł się po ziemi, a lewa sterczała wyciągnięta naprzód, gdy z całych sił usiłowała wepchnąć kulę ognistą głębiej w ciało Pogromcy.

Piekielnik drapał pazurami miejsce, gdzie wtapiała się w jego ciało, ale nie mógł jej wydobyć. Wyjąc z bólu, uprzytomnił sobie, że jedynym sposobem na pozbycie się jej jest pokonanie Przeciwniczki raz na zawsze. Rzucił się naprzód, ale nie zrobił kroku, gdyż ogarnął go smoczy ogień. Zaskoczony, po raz kolejny zwałił się na ziemię i przetoczył, chcąc uniknąć potężnego ciosu smoczej łapy. Hełm ochronił demona, ale jeden ze szponów ciął go głęboko pod lewym okiem. Z rany wypłynęła ciemnosrebrzysta krew, Pogromca dźwignął się na nogi, zatoczył, usiłując pozbyć się jej spod powiek, gdy tymczasem ognista kula wciąż wżerała się w jego ciało. Zdołał odbić uderzenie miecza Nathalie, lecz teraz Ciel znów sposobila się do ataku, utykająca i poraniona, lecz wciąż niebezpieczna.

Pogromca zaczął się cofać i choć wyglądało na to, że Nathalie zaraz zemdleje, to odwlekała tę chwilę i parła naprzód. Wreszcie puściła kulę i machnęła mieczem, posyłając w kierunku demona lśniący łuk światła. Pogromca chciał sparować atak czarodziejskimi mieczami, ale czubek łuku przemknął się przez gardę i zanurzył głęboko w boku piekielnika, zostawiając po sobie śmiertelną ranę, która mogła go zabić.

Ogarnięty podszytym nienawiścią niedowierzaniem, Pogromca uświadomił sobie, że stracił kontrolę nad walką i teraz grozi mu porażka

z ręki tej suki, Przeciwniczki, oraz jej przekłętego wyrma. Jedno i drugie już dawno gryzłoby ziemię, gdyby nie ten nieopierzony Przeciwnik. Ale Pogromca nie docenił młodzieńca i teraz szale przechyliły się na korzyść wroga. Jeśli ma przeżyć, musi się wycofać.

Zanosząc się rykiem, Pogromca otoczył się ścianą ognia wiecznego, a gdy wrogowie odskoczyli przed okropnym żarem, rozdarł tkaninę rzeczywistości i przeniósł się do podziemnego świata, gdzie zasklepi swoje rany i odzyska siły. Będzie straszliwie cierpiał za tę porażkę, ale przetrwa pokutę i stanie się silniejszy, potężniejszy niż kiedykolwiek.

A potem wróci, by się zemścić.

Nathalie krzyknęła rozpaczliwie, widząc uciekającego Pogromcę. Nie udało im się go zabić i Nathalie wiedziała, miała całkowitą i przerażającą pewność, że on wróci. Ale z tym będzie się mierzyć innego dnia. Dzisiaj zwyciężyli i musiała być za to wdzięczna losowi.

Czując się doszczętnie wydrenowana z sił, obróciła się i zobaczyła, jak Ciel zbliża się do przygarbionej postaci Falka. Nathalie nie mogła uwierzyć, że on wciąż żyje. Z trudem podeszła do niego i położyła delikatnie rękę na jego oblepionych krwią włosach. Z początku bała się, że Falko nie wytrzymał psychicznie i że pochłonęło go przerażenie, lecz jej obawy się rozwiały, gdy chłopak wolno wyprostował się i osadził na niej wzrok, a ona dostrzegła, że nawet teraz pełga w jego oczach odległe, niebezpieczne światło. Szukała go w tym spojrzeniu, chcąc przeniknąć budzące obawy odrętwienie młodzieńca, ale wówczas jego wzrok się wyostrzył i wiedziała, że do niej wrócił. Wydawał się zmieszany i zaskoczony tym, że widzi ją żywą. Łza spłynęła po jego policzku, a Nathalie otarła ją palcem w pancernej rękawicy.

– Witaj z powrotem, braciszku – powiedziała z uśmiechem.



Daleko na południu, głęboko na Utraconych Ziemiach Beltane, Marchio Dolor palił ziemię mocą swojego niezadowolenia. Mało tego, że kolejny demon został zabity, to w dodatku Pogromca zmuszony został do ucieczki. Marchio niemal wyczuwał jego furię i wstyd, wstyd, który pociągnie go w najgłębsze otchłanie piekła, gdzie jego ciało i broń zostaną wzmocnione diabelskim ogniem, aż będą mogły iść w szranki z ciałem i bronią samego Marchia. Przez moment rozważał porzucenie Beltane i udanie się na północ, lecz wtedy uśmiechnął się, bo już wyczuł dziką chęć Pogromcy, by zemścić się na tych, którzy ośmielili się go ośmieszyć, wyczuł palącą potrzebę zemsty.

A poza tym... Serthiański Wilk wciąż przysparzał mu problemów. Nie.

Najpierw zniszczy Vercincallidusa, a potem ruszy na północ, by w ten sam sposób zadręczyć lud Clemoncé. Do tego czasu Pogromca cierpieć będzie zasłużone męki. Biada Przeciwnikowi, który stawi mu czoła, gdy ponownie odrodzi się w królestwie potępienia.



## Pewnego późnowiosennego wieczoru



**W** wieży magów w Le Matres Meredith Saker nauczył miejscowych czarodziejów, jak nawiązać i utrzymać magiczne połączenie komunikacyjne. Wcześniej tego dnia do miasta przybył posłaniec z informacją o zwycięstwie Czwartej Armii. Meredith aż się uśmiechnął na tę ironię: pierwsze w historii magiczne połączenie posłuży temu, by poinformować Galena Thralla o porażce, jaką odniosła jego jednostka na polu bitwy.

Zakończywszy z powodzeniem swój eksperyment, Meredith udał się na kwerendę do miejscowego archiwum, by odnaleźć księgę, po którą tak naprawdę tu przyszedł. Jednakże archiwa Le Matres nie były skatalogowane z takim samym rygiorem co zbiory Furii. Po kilku godzinach żmudnych poszukiwań zaświtało mu w głowie, że odnalezienie księgi „Ostatni żyjący świadek” może okazać się o wiele trudniejsze, niż myślał. Rozejrzał się za kimś, kto mógłby mu pomóc, ale robiło się późno i jedyną żywą duszą w archiwach okazał się pewien stary mag, który właściwie szykował się już do snu.

– Zechciej poczekać do rana – rzekł sędziwy archiwista. – Brat Ignatius z pewnością powie ci, czy ją mamy, czy nie. On zna tu każdą księgę i zwój, wszyściutko do ostatniego skrawka skruszałego pergaminu.

Meredith westchnieniem dał upust frustracji.

– O której godzinie mogę spodziewać się tu brata Ignatiusa?

– Wcześniej. – Starzec zdławił ziewnięcie. – Chyba że przepisuje akurat dokumenty. Wówczas znajdziesz go w jednej z komnat z oknami na południe. Takiej roboty nie odwała się po ciemku.

– Oczywiście – rzekł Meredith. – A tymczasem... nie macie tu chyba działu smokoznawstwa?

– Ależ naturalnie, że mamy! – zaperzył się obrażony insynuacją mag.

– Na samym końcu północnej alei, regał po lewej.

– Dziękuję. – Meredith skłonił się, mężczyzna skinął uprzejmie głową i ruszył do wyjścia.

Mając całe archiwa dla siebie, Meredith poszedł we wskazane miejsce, gdzie znalazł skromny zbiór pozycji dotyczących badań nad smokami. Większość ksiąg była kopiami lub innymi wersjami tytułów, z którymi zapoznał się już w Furii, ale znalazł też kilka nieznanych dotąd dzieł. Zdjął z półki dwa, które wydały mu się szczególnie intrygujące. Wrócił do głównej komnaty, usiadł przy stole i zaczął czytać. Pierwsza księga okazała się interesującym traktatem na temat smoczej anatomii, druga zaś głosiła, że smoki posiadają pamięć rasową, która wyostreza się z wiekiem, pozwalając im na przypomnienie sobie wydarzeń, które miały miejsce na długo przed narodzeniem poszczególnych osobników.

Meredith wiedział, że magowie bitewni doświadczali swoistego umysłowego połączenia ze swoimi smokami. Naszła go straszna myśl. Jeśli wspomnienie Opętania może mieć wpływ na smoki, to może wpływa także na magów bitewnych. Czy to możliwe, że ojciec Falka wcale nie oszalał, ale stał się Opętanym przez więź łączącą go z jego smokiem?

Po tygodniach intensywnej koncentracji Meredith nie był gotowy na całą noc w repozytorium. Czytając, zasnął, a jego sny wyłożone były czarnymi łuskami, płonęły żywym ogniem i gdzieś ciemnowłosego mężczyzna krzyczał jak obłąkany.

Zbudził się, gdy delikatnie potrząsnął jego ramieniem stary archiwista, z którym rozmawiał minionej nocy. Na twarzy starca malował się wyraz zniesmaczenia. Meredith uprzytomnił sobie, że niechcący zaślinił stół. Otarł usta rękawem szaty i zamrugał oczami, chcąc pozbyć się z nich zmęczenia.

– Widzę, że czytałeś o smokach – powiedział ktoś. Głos należał do nieco młodszego mężczyzny o całkowicie białych włosach i kontrastujących z nimi niepokojąco ciemnych brwiach.

– Znaczy... tak, to prawda – potwierdził mag, czując suchość w ustach i ogólny dyskomfort spowodowany snem w niewygodnej pozycji.

– Fascynujące zagadnienie. Ale słyszałem, że szukasz innej książki.

Do Mereditha dotarło, że to musi być brat Ignatius, jedyny człowiek, który wiedział, wedle jakiego klucza uporządkowano księgozbiór Le Matres.

– Tak – powiedział Meredith, wstając. – Chodzi o księgę pod tytułem „Ostatni żyjący świadek”. Autorem jest Sennicio Verde. Słyszałeś może o niej?

– Chyba powinienem! – rzekł brat Ignatius. – Brat Verde był w końcu członkiem tej właśnie wieży.

Meredithowi serce podskoczyło do gardła. Wreszcie dowie się czegoś nowego o Wielkim Opętaniu.

– Czy dysponujecie egzemplarzem? – spytał, kryjąc zniecierpliwienie.  
– Zapiski wspominają o dwóch, z czego ten, który powinien znajdować się w Furii, z jakiegoś powodu zniknął.

– Myślę, że nasz jest, gdzie być powinien – uśmiechnął się brat Ignatius.

W pełni rozbudzony Meredith ruszył za nim między regały.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, znajdował się w dziale „Choroby umysłowe”, a nie, jak można by przypuszczać, w dziale kronikarskim.

– Czytałeś ją? – spytał Meredith, ożywiony nadzieją.

– Niestety nie – zgasił ją brat Ignatius. – Wolę zgłębiać zagadnienia historyczne, które mają nieco więcej wspólnego z prawdą.

Stanęli w ciasnej wnęce zawalonej po sufit księgami i zwojami.

– Niech pomyślę... – zasepił się archiwista, pochylając się, by prześledzić grzbiety ksiąg w stercie po prawej ręce. – Vanier... Vaughn... Veilleux... Hmm! – Meredithowi bardzo nie spodobało się to mruknięcie. Białowłose wyprostował się i wbił spojrzenie w kolumnę ksiąg, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego nie zawiera poszukiwanej pozycji. – Dziwna sprawa – rzekł. – Nie przypominam sobie, by ktoś ją wypożyczał.

Zawiedziony Meredith zgarbił się. Skinął głową i przetarł znużone oczy.

– Wybacz, przyjacielu – powiedział brat Ignatius. – Zdaje się, że poszukiwanej przez ciebie księgi nie ma już w archiwach Le Matres.

– A może ktoś po prostu długo ją czyta? – podsunął Meredith. – Czy istnieje jakiś sposób, by ją odnaleźć?

– Nie wydaje mi się. Nie odnotowano, by ktoś ją wypożyczał, nie wiadomo więc, kogo o nią spytać.

Rozczarowanie Mereditha musiało wyraźnie odznaczyć się na jego twarzy, bo brat Ignatius mocno się zawstydził tym, że nie może pomóc młodemu badaczowi odnaleźć księgi, która powinna przecież być we wskazanym przez niego miejscu. Już zaczął ponownie go przeproszać, gdy Meredith odwrócił się, mamrocząc bez przekonania jakieś podziękowania.

– Mógłbyś po prostu wypytać samego brata Verdego...

Meredith stanął jak wryty.

– Coś ty powiedział?

– Powiedziałem, że możesz po prostu porozmawiać z bratem Verdem. Tylko nie sposób przewidzieć, czy odpowie na jakieś twoje pytanie.

– Czy mam rozumieć, że on wciąż żyje? – spytał Meredith. – Myślałem, że jego książka to zapis z pierwszej ręki doświadczeń ostatniego świadka Wielkiego Opętania.

Brat Ignatius uniósł brew. Najwyraźniej był sceptyczny.

– Z tego, co wiem, tak utrzymuje księga.

– Ale Wielkie Opętanie miało miejsce ponad czterysta lat temu. Jak ktokolwiek z żyjących miałby porozmawiać z ostatnią osobą, która żyła w tamtych czasach?

– Jak już mówiłem, wolę zagadnienia historyczne o nieco większym współczynniku prawdopodobieństwa.

Meredith zachodził w głowę, jak to możliwe, że brat Verde wciąż chodzi po świecie, lecz jeśli tak właśnie jest, może rzeczywiście powinien z nim porozmawiać. Autor jest chyba jeszcze lepszym źródłem informacji niż jego księga.

– Czy wciąż jest w wieży? – spytał mag, ale brat Ignatius pokręcił głową.

– Niestety nie. Umysł zaczął zawodzić brata Verdego blisko rok temu. Przeniesiono go do wieży w Zaciszu, placówce na północy, gdzie starsi i niezdrowi mogą liczyć na należyłą opiekę.

– I wciąż tam przebywa? Znaczący w Zaciszu?

– Tak sędzę. A przynajmniej nie przypominam sobie żadnych wieści o jego zgonie.

Oczy Mereditha zapłonęły odzyskaną nadzieją. Odeszły go wszelkie oznaki zmęczenia.

– Jak daleko jest ta wieża?

– Jakiś tydzień drogi. Prowadzi tam pewna ścieżka przez góry.

Meredith wybąkał podziękowania, ale większa część jego umysłu już pracowała nad planem. Wyruszy w drogę, gdy wróci Czwarta Armia. Za nic nie przepuści okazji porozmawiania z kimś, kto tyle wiedział o Wielkim Opętaniu, choćby i miał czterysta lat.



Minęły dwa dni, nim Czwarta przekroczyła bramę Le Matres, poobijana i zboczona krwią, ale najzupełniej zwycięska. Miasto pękało w szwach od uchodźców, ale ludzie robili, co w ich mocy, by jak najlepiej przyjąć wyczerpanych żołnierzy. Posiadłość na przedmieściach została w całości oddana do ich dyspozycji i to tam zakwaterowano wielu rannych, łącznie z Falkiem, który otrzymał pokój z widokiem na rzekę. Uzdrowiciele z Le Matres uznali najwidoczniej, że Falko szybciej wróci do zdrowia w samotności. Temu pogładowi sprzeciwiła się Fossetta, która wraz z Heçamedes i Tobiasem przybyła do miasta dzień wcześniej.

– Bardzo wiele przeszedł – przestrzegł ją starszy lekarz. – Potrzebuje odpoczynku, odpoczynku i spokoju.

– Bzdury pan gadasz! – prychnęła Fossetta. – Potrzebuje towarzystwa

przyjaciół.

Lekarz najwidoczniej nie przywykł do kwestionowania jego zaleceń, ale ostatecznie musiał ustąpić.

– Tylko niech nie przedawkuje tej waszej przyjaźni.

I tak oto, zamiast stać się miejscem cichej rekonwalescencji, pokój Falka rozbrzmiewał gwarem kojarzącym się raczej z barakiem kadetów w akademii. W ciągu następnych kilku dni Fossetę widziano siedzącą w kącie, gdzie wyszywała coś na perłowobiałym materiale, gdy tymczasem młodzież siedziała w kółku i trajkotała na okrągło. Tobiasz również spędzał z nimi cały czas, siedząc i słuchając wszystkiego, co się mówiło.

Falko wciąż nosił ślady rozlicznych ran, ale rozcięcia, otarcia i sińce szybko zmieniły kolor z brzydkiej purpury na nieco mniej brzydki odcień zieleni. Stał się bardziej milczący, bardziej zadumany niż zwykle, ale szybko wracał do zdrowia. Śmiał się pełną piersią, gdy Alex komentował stan jego hełmu, który najwyraźniej nie został uznany za złom – choć nim był – i został zwrócony Falkowi do dalszego użytku.

– Popatrzcie tylko na to! – wygłosił Alex, podnosząc element pancerza, tak by każdy widział głęboką dziurę po klindze Pogromcy. – Jak tyś przeżył takie uderzenie, co? To jakaś bzdura! – Przerysowana irytacja w jego głosie wzbudziła serdeczny śmiech wszystkich zebranych.

– Zawsze mówiłam, że Falko ma twardy łeb. To dlatego nic do niego nie dociera – powiedziała Bryna, wzbudzając nową salwę śmiechu, i tym razem nawet Fossetta dołączyła do chóru, uradowana tym, że również i Bryna docinała Falkowi na równi ze wszystkimi.

Jak dobrze było znów usłyszeć ich zwyczajowe radosne przekomarzanki. Po bitwie nawet Alex zrobił się osobliwie cichy. Stracili ośmioro kadetów, w tym Kurta Voglera, który często sparował z Bryną.

Przyjaciele czuli, że żarty Alexa były próbą załagodzenia tej traumy oraz obaw przed tym, co czeka na nich w przyszłości. Wielu kadetów mówiło na głos, że woleliby pozostać na froncie, niż wracać do akademii. Emisariusz wspominał o pewnym zadaniu specjalnym, które dla nich szykuje. Gdy później tego wieczoru zasiedli wspólnie w pokoju Falka, zdradził im szczegóły.

– Musicie wrócić do Furii – rzekł. – Na nowo obsadzamy front, ale nasze siły nigdy jeszcze nie były tak rozciągnięte. Potrzeba nam więcej żołnierzy.

– Co więc mielibyśmy teraz robić w stolicy? – spytał Quirren.

– Chcę, byście przeszkolili Nieregularnych i przygotowali ich do bitwy.

– Nie mówiłeś czasem, że nie są zbyt dobrzy? – przypomniał sobie Malaki.

– O, przepraszam bardzo! – ofuknęła go Bryna. – Nie zapominajcie, że Urwipółcie też są z Nieregularnych!

– Dokładnie – podjął emisariusz. – Potrzeba im tylko dobrego przywódcy.

– I to my mamy ich szkolić? – dziwił się Malaki.

– Owszem. Ale pomogą wam lanista Magnus i inni instruktorzy. Nie wiem, ile będziecie mieli czasu na wykonanie zadania, ale chcę, byście zmienili Nieregularnych w sprawną jednostkę bojową, która walnie przysłuży się naszej sprawie. – Zrobił pauzę i powędrował wzrokiem do Malakiego, Quirrena i Huthgarla. – Co więcej, chcę, byście to wy trzech zmienili ich obecnych dowódców. – Wyraz jego twarzy mówił, że zdaje sobie sprawę, iż łatwiej powiedzieć, niż wykonać.

– Ale czy nimi nie dowodzi sama królowa? – spytała Bryna.

– Tylko nominalnie – wyjaśnił emisariusz. – W rzeczywistości marnieją pod dowództwem dwóch zbirów, przy których Patrick Feckler to społecznik i filantrop. – Do jego głosu przedarła się nuta szyderstwa, której nigdy tam jeszcze nie słyszeli. – Oficjalnie funkcję dowódczą pełnią generał Connard Forbier i major Viktor Gazon, choć autentyczność ich rang jest cokolwiek wątpliwa. Zadbali o wygodne życie dla siebie i nie będzie łatwo skłonić ich, by z niego zrezygnowali, ale osobiście napiszę do pana Cyrana. Jeśli będziecie potrzebować pieniędzy, by ich przekupić, Cyrano o nie zadba.

Wyraz ich twarzy mówił jasno, co myślą o przekupywaniu żołnierzy, którzy mieli być przecież lojalni wobec monarchini.

– Stąpajcie ostrożnie – poradził im emisariusz. – To wyjątkowe kanale, otaczające się takimi samymi kanałiami.

Zapewnili emisariusza, że go nie zawiodą, a potem rozmowa zesłała na inne tematy. Była wśród nich kwestia odeskortowania uchodźców z powrotem do stolicy.

– Ja nie mogę czekać na uchodźców – powiedział Falko.

– Rozumiem – odrzekł emisariusz. – Może więc pojedziesz z Malakim, Quirrenem i Huthgarlem? Reszta wyruszy w swoim czasie. Ale nie wolno wam mitrężyć. Potrzebujemy tutaj Nieregularnych tak szybko, jak to możliwe. Wróćcie więc do Furii i czekajcie na rozkazy marszałka Bretona. Jeśli dopisze wam szczęście, może będziecie mieć kilka tygodni, by przygotować się do wojny.

Plan na następne dwa dni przedstawiał się więc następująco: Falko i trzech rycerze mieli jak najszybciej wrócić do Furii, podczas gdy Bryna, Alex i pozostali kadeci we własnym tempie odeskortują tam uchodźców z Le Matres. Rozmawiali chwilę przyciszonymi głosami. Emisariusz powiedział, że musieli na nowo rozmieścić magów bitewnych wzdłuż linii frontu, gdyż ich liczba zmniejszyła się o zabitych Jürgena i Wildegrafa. Minie trochę czasu, nim Ciel będzie w stanie wzbić się

w powietrze, ale Nathalie zapewniła Falka, że do wesela się wylize.

– Nigdy nie lekceważ odporności smoków – rzekła mu na koniec.

Wreszcie emisariusz wstał i skierował się do wyjścia, a pozostali postanowili zrobić to samo. Wymieniono uprzejme pożegnania i Chevalier już miał złapać za klamkę, gdy Falko trącił Malakiego łokciem.

– Pytałeś go już?

– O co? – zaciekawiał się emisariusz, gdy Huthgarl, Alex i Quirren opuścili pokój. Jednakże gdy Alex usłyszał słowa Falka, wsunął jeszcze głowę przez półotwarte drzwi i uśmiechnął się od ucha do ucha. Quirren pociągnął go z powrotem na korytarz, a brat niechcący uderzył głową o framugę. Usłyszeli jeszcze, jak ofuknął Quirrena za tę niepotrzebną interwencję, a potem głosy sprzeczki ucichły w głębi korytarza.

Emisariusz zatrzymał się z ręką na klamce, a Malaki wyglądał, jakby zapomniał języka w gębie. Bryna stała za nim ze wzrokiem wbitym w ziemię. Falko prawie się roześmiał, widząc, jak dwoje wojowników, którzy bili się z Opętanymi, wstydzi się zadać proste pytanie.

– Chcą poprosić, byś udzielił im ślubu – wyręczył ich Falko.

Na usta emisariusza wypłynął skomplikowany, nacechowany jakąś intensywną emocją uśmiech, jakiego jeszcze u niego nie widzieli.

– Z przyjemnością, będę zaszczycony – odrzekł z błyskiem w szarych oczach.

Malaki podziękował mu skinieniem, a Bryna zrobiła krok naprzód i pocałowała go w policzek. Falko uśmiechnął się, a zza drzwi usłyszeli głos Alexa Klingemanna.

– No wreszcie! – rozległy się przytłumione słowa kadeta. – Już myślałem, że prędzej umrę ze starości, niż wy się chajtniecie.

Uśmiechy przyozdobiły ich twarze, a potem Bryna powiedziała:

– O mało się nie straciliśmy i...

– Nie ma potrzeby niczego tłumaczyć – przerwał jej uprzejmie emisariusz. – Czy masz kogoś, kto odda cię panu młodemu?

Malaki pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, kogo wybrała jego przyszła małżonka. Patrick Feckler nie płakał, odkąd był brudnym, źle traktowanym przez los i ludzi dziecięciem. Ale ta prosta prośba Bryny odnalazła szczelinę w pancerzu, w który zakuł swoje serce, i wycisnęła łzę z jego głęboko osadzonych oczu.

Emisariusz tylko się uśmiechnął, gdy podała jego nazwisko.

– Jutro wieczorem? – zaproponował. – Zanim się rozjedziecie.

Bryna i Malaki przystali na ten termin. Emisariusz skłonił się oszczędnie i wyszedł z pokoju. Narzeczeni wkrótce zrobili to samo i Falko już miał wrócić do łóżka, gdy ktoś zapukał do jego drzwi. To był Meredith Saker. Mag bitewny domyślił się po jego minie, że ma jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę.

– Wszystko dobrze? – spytał przewodnika, gestem zapraszając go do środka.

Meredith nie przyjął zaproszenia. Stał niepewnie na korytarzu, przestępując z nogi na nogę.

– Obawiam się, że nie będę mógł wrócić z tobą do Furii.

Falko wlepił w niego spojrzenie. Miał nadzieję, że Meredith pomoże mu w przygotowaniach do rytuału Assay.

– Ależ... myślałem, że zakończyłeś swój eksperyment – wykrztusił, nie mogąc ukryć rozczarowania.

– To prawda. Ale dowiedziałem się właśnie o czymś, co znacznie opóźni mój powrót do stolicy.

– Czy to naprawdę aż tak ważne?

– Obawiam się, że tak.

– No cóż... skoro tak, to powinienes się tym zająć. – Falko zmagął się z rozczarowaniem.

– Przepraszam cię – powiedział Meredith. – Jeśli tylko będzie to możliwe, postaram się wrócić na czas.

– Dobrze. Aurelian i Dusaule mi pomogą.

– Dziękuję. – Meredith skłonił się. Obrócił się, by odejść, ale zatrzymał się w pół kroku. – Jeśli mój ojciec będzie na Bijaku, będzie próbował powstrzymać cię ogniem.

Falko zmrużył oczy na sekundę, lecz potem mroczny uśmiech skrzywił jego usta.

– Wiem, jak radzić sobie z ogniem – powiedział i teraz na Mereditha przysłała kolej, by się uśmiechnąć.

Gdy mag rozpląnął się w holu, Falko zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, by jabłko spadło tak daleko od jabłoni. Myślał, czy może tak samo jest w jego przypadku, ale czuł, że nie. Czuł, jak gdzieś w głębi serca jaśniejee dziedzictwo jego ojca. Był to ogień, który mógł z czasem pochłonąć go i oddać jego duszę w ręce Opętanych. Może jego podświadomość wiedziała, co robi, trzymając tę moc w ryzach.

Następnego dnia kadeci zaczęli przygotowywać się do drogi powrotnej do stolicy, a tymczasem Meredith Saker rozpoczął swoją własną podróż – na północ, do wieży w Zaciszu. Falko zachodził w głowę, co też może być tak ważne, że musiał zająć się tym tak nagle, ale z biegiem dnia jego myśli zaczęły wybiegać do mającej odbyć się wieczorem uroczystości.

Gdy słońce zawisło nad horyzontem, Falko ruszył z Malakim w kierunku wypielęgowanego ogrodu, gdzie Patrick Feckler przygotował niewielką scenę. Na końcu rozległego trawnika zakreślono ciętymi kwiatami szerokie koło. Urwipółcie przyłożyli się do swojej roboty i wyglądało na to, że wszystkie rośliny w okolicy położyły głowy w imię artystycznej wizji Paddy'ego. Cały oddział czekał już na państwa



młodych, a wraz z nimi ocalali z bitwy kadeci i wielu żołnierzy z Czwartej Armii. Stawili się, by dzielić tę chwilę szczęścia w niekończącym się koszmarze wojny.

Malaki, czerwony jak rak, pozwolił Falkowi odprowadzić się do koła kwiatów, gdzie stanął wyprostowany, czując się nieswojo i zupełnie nie na miejscu. Miał na sobie dopasowaną koszulę ozdobioną valenckim haftem oraz dobrej jakości skórzane spodnie udekorowane tym samym subtelnym motywem, biegnącym wzdłuż nogawek.

Niezwykle przystojny pan młody, co do tego wszyscy byli zgodni, i nawet Alex nie znalazł na tę okazję kąśliwego komentarza.

Tobias siedział w obstawie dwóch szaserów oraz woźniców, którzy przywieźli go z Daston. Pojawiła się Fossetta wraz z Heçamedes, a między nimi Bryna pod rękę z Patrickiem Fecklerem. Bryna miała na sobie piękną suknię z perłowobiałego jedwabiu, ozdobioną kolorowym haftem, bliźniaczo podobnym do tego na koszuli i spodniach Malakiego. Z kwiatami wplecionymi w rude włosy i rumieńcem ekscytacji na policzkach wyglądała wprost olśniewająco, czego Urwipółcie nie omieszkali nagrodzić chórem obcesowych komentarzy i przenikliwymi gwizdami. Wreszcie na scenę wkroczył emisariusz, ubrany w czarne spodnie oraz gustowny dublet z pikowanego szarego jedwabiu. Urwipółcie nie mogli się panny młodej nawitać, więc Patrick Feckler postanowił postawić ich do pionu.

– Mordy! Wy kundle zawszone! – ryknął. – Zaczynajmy już, bo nie będzie czasu na picie.

– Zgoda, ale nie lejcie tamtemu dużemu – zawołał ktoś z tłumu. – Albo nic dzisiaj nie nadzieje na miecz!

– Głupiś jak but z lewej nogi! – padła retorta. – Nadziewa od miesiący!

Fossetta skrzywiła się z dezaprobatą, ale panowie Laffite i Macaire zawyli śmiechem, a wraz z nimi wszyscy jak jeden mąż Urwipółcie oraz kadeci, którzy byli świadkami kwitującego związku Malakiego i Bryny.

Ostatecznie do akcji wkroczył emisariusz. Wystarczyło, że uniósł rękę, i zaległa cisza. Uśmiechając się pobłaźliwie, ujął mężczyznę i kobietę za dłonie i zbliżył ich do siebie, a potem cichym głosem i z należytych dostojnością odprawił prostą ceremonię, której zwieńczeniem było oplecenie obu rąk białą szarfą. I tak oto pewnego późnowiosennego wieczoru Bryna Godwin i Malaki de Vane zostali zaślubieni.

A gdy to nastąpiło, naprzód wyszedł Falko i wyciągnął w ich stronę dwa srebrne pierścienie, skombinowane nie wiedzieć skąd przez Patricka Fecklera. Gdy je nałożyli, przyrzekłszy sobie wieczną miłość, wymienili się podarunkami.

Malaki wręczył Brynie nowy kołczan wypełniony strzałami, a Bryna Malakiemu nową pochwę na miecz. W całkowitej ciszy pani młoda

przerzuciła kołczan przez plecy, a Malaki zawiesił miecz na pasie. Wspólnie postanowili obdarować się symbolami życia, które dla siebie wybrali, bronią, która definiowała każde z osobna.

Wreszcie zwrócili się twarzami do siebie.

– W ciszy nocy – zaczął Malaki.

– I w huku bitwy – podjęła Bryna.

– Będę cię kochać – zakończyli razem i niejednen Urwipolec łyknął łzę.

Nastała cisza, a Falko spoglądał z zainteresowaniem na młodą parę i nie umiał powiedzieć, czy stracił brata, czy może zyskał siostrę. Zresztą co to za różnica? Tyle było cierpienia i strachu naokoło. Wiedział na pewno, że to, czego właśnie był świadkiem, jest czymś dobrym, zdolnym oprzeć się wiszącej nad nimi ciemności.

– No dobra! – zawołał Dedric Sayer. – Pora się nawalić!

Biesiada trwała długo i nawet emisariusz wyraźnie się podchmielił, o czym świadczył niezbitcie fakt, iż zgodził się w końcu siłować z Paddym na rękę. Dwaj mężczyźni stoczyli zapierający dech w piersiach bój. Tak zażarty, że stół złamał się pod ich łokciami i obaj zwalili się na ziemię. Nawet Falko dołączył się do gromkiego chóru śmiechów; śmiał się do rozpuku, aż oblał koszulę piwem. Właśnie próbował doprowadzić się do porządku, gdy z tłumu wyłonił się i stanął u jego boku Jareg Snidesson.

– Myślę, że jej ojciec pobłogosławiłby to małżeństwo – odezwał się.

– Ja też tak myślę – zgodził się Falko, zastanawiając się, dlaczego Jareg wybrał akurat ten moment, by z nim porozmawiać.

Stali w przedłużającej się niezręcznej ciszy, aż Jareg odezwał się ponownie:

– Jak ty to robisz?

Falko pokręcił głową, nie rozumiejąc.

– Demony... Nie tak je sobie wyobrażałem. Jak ty to robisz, że...

– Nie wiem – przerwał mu Falko. – Wiem tylko, że umiem to robić.

Jareg długo patrzył mu w oczy.

– Przepraszam cię – powiedział łamiącym się głosem. – Za wszystko... Znaczący... Nigdy nie myślałem o tym, jak musisz się czuć.

I tym prostym gestem zmazał wszystko, co było złego między nimi.

Falko poczuł, że i jego ściska w gardle. Wolał nic nie mówić, bo bał się, że nie powstrzyma łez. Więc po prostu wyciągnął rękę.

Gdy Jareg poszedł w swoją stronę, Falko zwrócił się ku Malakiemu i Brynie – usiłowali wypłatać się z tłumu Urwipolców, z których każdy najwidoczniej uznał, że jemu także należy się pocałunek panny młodej. Ostatecznie wpadł między nich Paddy i rozdzieliwszy hojnie ciosy ciężkim skórzanym kuflem, pomógł nowożeńcom uciec. Falko uśmiechał się, lecz do jego myśli napłynął cień. Jutro ruszą w drogę powrotną do Furi, gdzie czekały już na niego nowe wyzwania, a wśród nich kilka nie mniej przerażających niż starcie z demonem.

Wykucie miecza, rytuał Assay i przywołanie smoka.

Te rzeczy określą jego miejsce w świecie. Ale to wszystko czeka na niego w przyszłości. I niech jeszcze trochę poczeka. Dzisiejszej nocy pobrali się jego przyjaciele, a Falko cieszył się ich szczęściem.

## Serthiański Wilk

---



**B**eltański generał Vercincallidus spoglądał w dół z wysokości mostu na swoją Pancerną Konną, która wdarła się z hukiem w ostatnią linię bojową kardaków, a potem prędko odskoczyła w głąb doliny, poza zasięg ich mieczy. Za ich plecami pozostałości armii Opętanych krążyły po polu bitwy, szukając ofiar, które mogłyby zaspokoić ich nienasycony apetyt śmierci. Ale dzisiaj nikt już nie umrze. A na pewno nikt z synów Elduru. Sześciuset jego błogosławionych wojowników już leżało w bitewnym pyłe, ale zginęli z bronią w rękę i jeszcze dziś w nocy otworzą się przed nimi wrota Domu Walecznych.

Generał wycofał już z walki swoją piechotę. Teraz uniósł rękę i po dolinie poniósł się brzęk, gdy tysiąc strzał o topolowych drzewcach odciągnęło się w tył na cięciwach tysiąca wiązowych łuków. Opętani warczeli i wyli, pieklili się, biegnąc im na spotkanie, ale gdy generał opuścił rękę, chmura pocisków przeorała pędzącą gromadę. Długie łuki pracowały wytrwale, wypuszczając strzałę za strzałą, aż na polu walki ostało się tylko kilku ciężkozbrojnych kardaków, a wkrótce i oni padli pod lancami beltańskiej pancerne konnicy. Kolejna armia Opętanych wdeptana w ziemię przez wielkiego Vercincallidusa, człowieka zwanego Serthiańskim Wilkiem.

Nie czekał na uprzątnięcie pola bitwy. Nie marnował nawet czasu, by pochować poległych. Ich ciała rozdziobią kruki, ale ich dusze są już bezpieczne, a tylko to miało znaczenie. A także fakt, że po raz kolejny rozgromili zastępy nieprzyjaciela.

Ale generał nie mógł czekać. Kolejna armia Opętanych zmierzała już w ich kierunku, dowodził nią jednak demon i Vercincallidus nigdy nie rzuciłby jej wyzwania, nie mając w swoich szeregach maga bitewnego. Nie przystąpi więc do walki z piekielnikiem, a zamiast tego sam uważnie wybierze sobie kolejnego przeciwnika. Jego zwiadowcy już znaleźli

odpowiednią armię – cztery tysiące Opętanych zaledwie trzydzieści mil na wschód. Zapuszczą się wprawdzie głębiej na Utracone Ziemie, ale generał już dawno nauczył się poruszać po ziemi niczyjej, jakby należała do niego.

Gdy armia ruszyła naprzód, Vercincallidus zwrócił się do stojącego obok kowala. Odrzucił z ramion płaszcz z wilczej skóry i podwinął rękaw, odsłaniając rękę pokrytą okrągłymi znakami wytrawionymi w jego ciele. Każdy z nich reprezentował jedną zniszczoną przez niego armię Opętanych. Kowal uniósł żelazo do znakowania, które jaśniało w zapadającym zmroku. Spojrzał na dowódcę, czekając na zwyczajowe skinienie, a potem przyłożył żelazo. Zapach był mieszanką pieczonego mięsa i palących się włosów, ale Vercincallidus nie wydał z siebie dźwięku. Zaciśnął zęby, dzielnie znosząc ból – była to jego modlitwa za wszystkich, którzy postradali dziś życie w walce z nieprzyjacielem.

Dosiadł swojego pięknego taranta i gestem poparzonej ręki dał znak do wymarszu. Może i nie jest w stanie stawić czoła demonowi, który wziął go na cel, ale gdzieś na wschodzie znajduje się armia, z którą na pewno sobie poradzi. I to właśnie ona będzie kolejnym celem Vercincallidusa. To właśnie ci Opętani odczują na własnej skórze wściekłość Serthiańskiego Wilka.



Marchio Dolor pochylił głowę, wysłuchując raportu mrocznego anioła. Posłaniec nie przemówił do niego. Demon odcyfrował sens z potrzaskanych obrazów rozproszonych w jego umyśle: przestwory bezludnych równin i spalonych lasów, wzgórza przedzielone rzekami zatrutymi przez trupy, krajobraz Utraconych Ziem. Ujrzał przemierzające te krainy armie Wiernych, które z pułapu mrocznego anioła wyglądały jak stada mrówek. Ale gdy pomniejszy demon obniżył lot, jego bystrym oczom ukazała się czarna plama wytrawiona na równinie. Zbliżył się i ujrzał trupy kilku tysięcy Opętanych. Poczerniałe kości oblepione gnijącym mięsem. Dusze ściągnięte w głębiny, gdzie poniosą należną karę za porażkę. Vercincallidus i jego wojska zniknęli, ale nawet najostrożniejsza armia zostawia po sobie ślad – i jeden z demonów Marchia Dolora już nim podążał.

Dobrze, pomyślał Markiz Cierpienia. Jego własna armia wciąż będzie szła na południe. Na północ ruszy inny książę. Wspólnymi siłami zapędzą Serthiańskiego Wilka w kozi róg.

## Dyplomacja

---



Tak jak polecił emisariusz, Quirren i Huthgarl dołączyli do Falka i Malakiego w podróży do Furi. W tak niepewnych czasach bezpieczniej poruszać się we czwórkę. Falko nie miał nic przeciwko, chciał tylko dotrzeć do stolicy możliwie jak najszybciej. Scena pożegnania przypominała mu, jak wieki temu wyruszali z Toulwaru. Wyściskali się serdecznie z Bryną i pozostałymi kadetami, którzy niebawem również wyruszali w drogę wraz z uchodźcami. Z kolei Tobias miał za zadanie kontynuować poszukiwania przyszłych magów bitewnych wraz z Fossettą i Heçamedes, ale tym razem nieco dalej od frontu. Ich droga wiodła w głąb Clemoncé, gdzie nie było jeszcze aż tak niebezpiecznie.

– Tak wycyrklujemy, żeby ostatecznie znaleźć się w stolicy – tak to ujęła Fossetta. – Może tam się spotkamy.

Falko pokiwał głową i ucałował ich wszystkich. Zaczerpnął mnóstwo siły ze spotkania z bliskimi, nawet jeśli nie było tak długie, jak by sobie tego życzył.

Ruszyli przed siebie drogą wiodącą przez zalesione serce Clemoncé. Każdy z podróżnych prowadził za sobą zapasowego konia. Udało im się utrzymać niezłe tempo i w ciągu tygodnia ujrzeli przed sobą blanki miasta stołecznego. Zdecydowali się zatrzymać w gospodzie z widokiem na bród Garr. Wieczorem ruszyli do miasta z zamiarem przyjrzenia się Nieregularnym. Chcieli wiedzieć, na czym stoją, nim obmyślą strategię, która pozwoli im wykonać zadanie nałożone na nich przez emisariusza.

Obóz Nieregularnych był skupiskiem rozklekotanych chat i obwisłych namiotów na obrzeżach miasta. Minęli grupę chłopców bujających się na linowej huśtawce. Spytałi ich, czy znają generała Forbiera i majora Gazona. Chłopcy pokiwali głowami i w zamian za dwie drobne monety zaprowadzili nowo przybyłych na niskie wzgórze pośrodku obozu.

– Tam, o – rzekł jeden z nich, wskazując palcem dwóch mężczyzn, wracających najwyraźniej z polowania. Obaj byli postawni, ale zwierzyne dali do oprawienia podkomendnym, sami zaś obmyli ręce w miedzianych misach, by zaraz rozsiaść się na składanych krzesłach i uraczyć winem.

– A kim jest ten trzeci? – spytał Huthgarl, patrząc na mężczyznę, który nadzorował pracę.

– To sierżant Hickey – odpowiedzieli malcy. – Robi, co mu każe generał.

– Wyglądają jak najemnicy – stwierdził Quirren, a pozostali przytaknęli. Z całą pewnością nie przypominali zdyscyplinowanych żołnierzy Jej Królewskiej Mości.

– Dobra – rzekł Malaki, uznawszy najwidoczniej, że widział już dosyć. – Napiszemy do nich i spotkamy się z nimi jutro, tak jak planowaliśmy.

Huthgarl i Quirren pokiwali głowami. Zaintrygowany Falko wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Nie uzgodnili z nim tego planu.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy – rzekł Malaki tonem wyjaśnienia. – To nasze zadanie. Ty skup się na treningu w Moździerzcu i przygotowaniach do rytuału.

Z powrotem w tawernie trzej konspiratorzy napisali dwa listy, które kurier miał dostarczyć jeszcze tego samego dnia. Jeden zaadresowany był do instruktorów akademii i powiadał o przybyciu kadetów. Drugi miał trafić do dowódców Nieregularnych i zawierał „prośbę”, by stawili się wraz ze swoją armią na poligonie jutro o godzinie dziesiątej rano. Depesza od emisariusza, zawierająca rozkaz powierzenia dowództwa kadetom, została wysłana odpowiednio wcześniej. Podobnie jak notka zaadresowana do Cyrana, informująca go o tym, że należy liczyć się z ewentualnością wypłacenia kadetom odpowiedniej sumy pieniędzy celem łatwiejszego usunięcia ze stanowisk pewnych oficerów.

Towarzysze wciąż nie chcieli powiedzieć Falkowi, co zamierzają. Pozwolili mu jednak przeczytać list.

– Dość bezpośredni – rzekł, przeciągając sylaby.

– Dokładnie – potwierdził Malaki. – Bo emisariusz poinformował ich już o swojej decyzji. Samo to powinno wystarczyć. Jutro zobaczymy, co mają do powiedzenia panowie Forbier i Gazon.

List wkrótce dostarczono i gdyby kadeci mogli usłyszeć wartki strumień przekleństw dobiegający z namiotu dowódczego, przekonaliby się, że obawy emisariusza co do dwóch niesubordynowanych dowódców były w pełni uzasadnione. Ale młodzi rycerze nic o tym nie wiedzieli, bo przez resztę dnia czyścili zbroje.

Sprawdzili się już w bitwie, zanim więc wyjechali z Le Matres, wręczono im płaszcze, opończe i nakładane na lance proporce z barwami zakonów, do których należeli. Malaki otrzymał proporzec

z czarną głową konia w bladoniebieskim polu, Quirren – z czarnym orłem w polu czerwonym, a Huthgarl – z czarnym płomieniem w polu koloru jaskrawej ochry, znak beltańskiej Pancерnej Konnej. Założą je jutro, gdy staną pierwszy raz przed Nieregularnymi.

Następnego dnia wstali z samego rana, zjedli porządne śniadanie, a później pokonali bród i wjechali do miasta. Okrążyli podwójny mur obronny, by uniknąć tłumów, po czym znaleźli się na drodze prowadzącej na płaskowyż. Falko otrzymał nową zbroję przed wyruszeniem do Furii, ale prawdę mówiąc, przy olśniewających postaciach Malakiego, Quirrena i Huthgarla czuł się jak jakiś obszarpaniec. Gdy zaczęli się wspinać, na obrzeżu płaskowyżu ujrzeli jeźdźca. Widzieli, że zauważył ich, nim odjechał.

– No cóż, teraz już wiedzą, że nadjeżdżamy – rzekł Quirren z nerwową nutą w głosie.

Za to Malaki wyglądał na zupełnie spokojnego. Hełm i tarczę miał przy siodle, a na czubku jego lancy powiewał bladoniebieski proporzec. Jego twarz zastygła w rezolutnym wyrazie, a znamię poblądło w mętnym świetle pochmurnego poranka. Pokonawszy wzniesienie, ujrzeli na poligonie armię Nieregularnych, tak jak nakazał list, ale dopiero na drugim wzniesieniu w pełni docenili jej liczebność.

– Z osiem tysięcy chłopów – wymamrotał Huthgarl, gdy powiódł wzrokiem po nierównych szeregach. – I pomyśleć, że cały ten czas zbijali baki w Furii.

– Tylko desperacja popycha dowódcę do tego, by posłać na wojnę niewyszkolonych żołnierzy – rzekł mentorskim tonem Quirren.

Malaki nic nie powiedział. Nie odejmował spojrzenia od trzech mężczyzn stojących na czele armii. Jeśli obawiali się o swoje pozycje, w żaden sposób nie zdradzili się przed podejrzającymi rycerzami.

Falko pozwolił pozostałym się wyprzedzić. Tak jak powiedział Malaki – to było ich zadanie. Choć oficerowie wydawali się zupełnie spokojni, ich miny świadczyły niezbicie o tym, że zapoznali się z listem od Malakiego. Falko podejrzewał, że trzeba będzie czegoś więcej niż garści monet, by wysiudać ich z pozycji, na których najwidoczniej zdążyli się wygodnie umościć.

Kadeci zsiadli z koni dwadzieścia jardów przed dowódcami. Mężczyzna znany jako Forbier zwrócił się twarzą do swoich ludzi.

– Panie i panowie, żołnierze Nieregularnych – zawołał. – Zastanawiacie się pewnie, skąd ta poranna musztra w tym właśnie miejscu. Czyżby przygotowano dla was miejsce w prestiżowej Akademii Sztuki Wojennej?

Buchnęły szydercze śmiechy.

– Ależ skąd! – wznowił Forbier, pozwalając śmiechom ucichnąć. – A może ruszacie na wojnę u boku królowej, której ofiarnie i wiernie



służymy?

Te słowa nagrodzono wiwatami, ale miny wielu żołnierzy mówiły, że poczuli się niepewnie na wspomnienie władczyni.

– A gdzieżby tam! Jesteśmy tutaj, wystawcie sobie, ponieważ pewnemu illicyjskiemu szlachcicowi wydaje się, że Nieregularni z Clemoncé sprawiają się lepiej dowodzeni przez dzieci!

Znowu śmiech, lecz tym razem nie tak entuzjastyczny. Żołnierze taksowali wzrokiem trzech młodych rycerzy, którzy zbliżali się do ich dowódców. Generał powiedział swoje, ale kadeci wcale nie wyglądali jak mali chłopcy.

Forbier odwrócił się plecami do swoich żołnierzy i podszedł do nowo przybyłych. Był potężnym mężczyzną, podobnie zresztą jak major Gazon i sierżant Hickey, ponurak, który „robił, co mu generał każe”. Quirren miał rację, wyglądali jak zaprawieni w bojach najemnicy, a żaden bardziej od samego generała Forbiera. Ubrany w zbroję półpłytową i rozdzieloną u dołu kawaleryjską kolczugę, podszedł do Malakiego, kołysząc się nonszalancko na nogach, z ręką opartą o rękojeść miecza. Stojący obok major Gazon wcale nie wyglądał bardziej przyjaźnie. Patrzyli na podchodzących świeżo upieczonych rycerzy, a w ich oczach pełgało lekceważące rozbawienie.

– Patrzcie, patrzcie! – szydził generał Forbier, zauważywszy płaszcz Malakiego. – Ten tutaj uważa się za członka Zakonu Rycerzy Furii!

Wielu żołnierzy zaśmiało się, ale gdy Malaki się zbliżył, głos Forbiera ścisnął do groźnego szeptu.

– Więc to ty jesteś tym cwaniaczkiem, który myśli, że... uff!

Malaki kopnął go prosto w krocze. Rozcięcie kolczugi ułatwiło mu celne trafienie. Gdy generał zgiął się wpół, rycerz złapał go za głowę, a drugie ramię zacisnął na jego szyi.

Major Gazon zaklął szpetnie i sięgnął po miecz, ale Huthgarl złamał mu nos błyskawicznym ciosem pięści i mężczyzna rozciągnął się na ziemi jak długi. Zaskoczony sierżant Hickey sięgnął po własną broń, ale zamarł w bezruchu, gdy poczuł na grdyce miecz Quirrena.

– Drgnij, a upuszczę ci krwi jak wieprzkowi – powiedział Quirren, a sierżantowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Wciąż trzymając Forbiera przed sobą, Malaki zwrócił się twarzą do stojących w ciszy żołnierzy.

– Królewscy Nieregularni – wygłosił. – Jestem sir Malaki de Vane, rycerz Furii, i przybyłem, by dać wam wybór. – Generał Forbier zaszamotał się, gdy ból w kroczu przyćmiła desperacka potrzeba oddychania, ale Malaki go nie puścił. – Możecie albo zmarnować sobie życie, walcząc pod rozkazami takich ludzi jak ci tutaj – Malaki odchylił się, a Forbier musiał stanąć na palcach, by się nie udusić w żelaznym uścisku – albo usłuchać zewu wojny i przynieść chwałę królowej, której

imię znajduje się w nazwie waszej jednostki. – Zrobił pauzę, gdy osiem tysięcy żołnierzy poruszyło się, chcąc lepiej widzieć, co się dzieje na przedzie. – Macie szansę, by przysłużyć się sprawie i zrobić coś, z czego będziecie mogli być dumni. Nie będzie to łatwe i wielu z was zginie. Ale ci, którzy przeżyją, będą mogli spojrzeć swoim bliskim w oczy i nie wstydzić się, gdy ludzie spytają, do jakiej armii należą. – Wreszcie puścił generała Forbiera, a ten padł na ziemię u jego stóp. – To jak będzie? – zawołał, a jego głos poniósł się echem po poligonie. – Będziecie walczyć? Czy pozostaniecie obiektem wszystkich żołnierskich żartów, ludźmi, którzy nie szanują samych siebie do tego stopnia, że wypełniali rozkazy takich jak ten tutaj?

Spojrzał na Forbiera, a wśród żołnierzy przebiegła fala szmerów. Nie wszyscy słyszeli słowa Malakiego, ale ci z przodu natychmiast podali je dalej, do ostatnich szeregów. Ten rycerz ze znamieniem mówił poważnie. Naprawdę oferował im wybór.

– Jakim prawem? – spytał mężczyzna z grupy drabów o takiej samej powierzchowności jak dowódca. – Skąd myśl, że możesz przyjść tu znikąd i zacząć się szarogęścić? – Ruszył naprzód, a czterdziestu niezadowolonych kamratów poszło w jego ślady. – Atakujesz generała i majora, gdy myśleli, że przyszedłeś tu, by rozmawiać. – Atmosfera robiła się nieciekawa, a oddział przed rycerzami zaczął budzić niepokojące skojarzenia z rozwścieczonym tłumem. – Wiemy, że nikogo nie zabijesz, więc może to my skopiemy ci tyłek i wtedy zobaczymy, czy dalej będziesz taki cwany?

Mężczyźni nie zwalniali kroku, ale Malaki nie ruszył się z miejsca, jakby był gotów pobić ich wszystkich. Sierżant Hickey zaczął się śmiać, lecz wtedy oddział najemników się zatrzymał. Raptem wydali się Falkowi niepewni swego, wręcz wystraszeni. Malaki pomyślał, że to może miecz Quirrena lub olbrzymia postać Huthgarla skłoniła ich do przemyśleń, lecz siedzący za jego plecami Falko obrócił się w siodle i na jego usta wypłynął uśmiech. Od strony stoku szli w ich stronę laniści Magnus i Deloix oraz dwudziestu innych instruktorów z akademii. Ale nie mieli na sobie czarnych płaszczy instruktorów z motywem białej końskiej głowy. Ubrani byli w zbroje żołnierzy, którymi w istocie byli, a ich twarze emanowały śmiertelną powagą, gdy stanęli przy swoich uczniach.

– Rad jestem, że lekcje dyplomacji nie poszły w las – rzekł Magnus.

Malaki zmieszał się nieco, a Magnus się uśmiechnął.

– Witamy z powrotem w Furii, sir Malaki.

Razem popatrzyli na cizbę najemników, która nadal stała tam, gdzie się zatrzymała. Nieregularni wciąż mieli przewagę liczebną, ale od rycerzy była imponująca pewność siebie, której te zbiry mogły im tylko pozazdrościć.

I tak oto, przy zupełnie niewielkim wsparciu moralnym, Malaki wyklarował Królewskim Nieregularnym, że odtąd mają wypełniać rozkazy świeżo upieczonych rycerzy. Generał Forbier i major Gazon zostali pozbawieni zwierzchnictwa nad swoimi oddziałami, podobnie jak sierżant Hickey i kilku dalszych oficerów powiązanych blisko z dowódcami.

W ciągu paru następnych dni kilka setek „żołnierzy” po cichu opuści stolicę, gdyż dojdą do wniosku, że nie podoba im się ten stan rzeczy, ale większość zaakceptuje zmianę dowództwa jako kolejny wiraż na długiej i krętej ścieżce ich życia. Znajdą się też i tacy, którzy ucieszą się z tego, że wreszcie staną się częścią armii niebędącej pośmiewiskiem wszystkich wokoło. Przecież to właśnie z tego powodu zaciągnęli się do Nieregularnych: mimo młodego wieku doświadczeni przez życie, choć wciąż młodzieńczo naiwni, mężczyźni i kobiety nieposiadający zdolności ani umiejętności, które otworzyłyby im drzwi do regularnej armii, a chcący mimo to walczyć za swoją królową. Ci dziękowali losowi za to, że w końcu nadarza się okazja na spełnienie ich ambicji. Malaki powiedział prawdę – nie będzie to łatwe i wielu z nich z pewnością polegnie, ale nim to nastąpi, nadadzą swojemu życiu jakiś sens, a skoro tak – nie ma się nad czym zastanawiać.

Wciąż siedzący w siodle Falko uśmiechnął się, patrząc, jak Malaki i pozostali zaczynają obsypywać oszołomionych Nieregularnych rozkazami. Ten dzień potoczył się zupełnie inaczej, niż przewidywali. Cofnął się myślami do chwili, w której Bryna okiełznała Urwipołciów, i przyszło mu na myśl, że ona i Malaki są dla siebie stworzeni.

Pozostawił przyjaciół swoim obowiązkom. Okręciwszy konia, ruszył kłusem w kierunku Moździerza. Każdy z nich wrócił nie po to, by odpoczywać, ale by mierzyć się z kolejnymi zadaniami. Malaki i pozostali od razu zabrali się do swoich. Czas, by Falko poszedł w ich ślady.



Galen Thrall spoglądał z wysokości na podążającego w kierunku Moździerza Falka, który skręcił ku gospodarstwu, gdzie mieszkali dwaj starzy magowie bitewni.

– Wrócił, by poddać się rytuałowi? – spytał. Drobne źrenice jego załzawionych, zielonych oczu wpatrywały się w Falka z intensywnością jastrzębia obserwującego swoją przyszłą ofiarę.

– Tak sądzę – potwierdził stojący za jego plecami Morgan Saker.

– Czy jesteśmy przygotowani?

– Tak.

– Wciąż nie wypracował żadnych zdolności ofensywnych?

– Nie. Choć wszystkie raporty są zgodne co do tego, że jest nadzwyczaj biegły w defensywnych.

– Nie martw się – rzekł Thrall. – Razem mamy więcej niż dość siły, by go zmiażdżyć. A poza tym – dodał, a jego źrenice nie były teraz większe od łebka szpilki – brat Pacatos przypuści atak, zanim jeszcze nasz młody sokół zorientuje się, że walka już się zaczęła.

Morgan Saker łypnął z ukosa na wielkiego veneratu. Choć od kilku miesięcy przygotowywał się do rytuału Assay, nie spotkał jeszcze brata Pacatosa.

Nie kwestionował osądu mistrza, ale rytuał Assay to poważna sprawa i okrutnie się mści na tych, którzy go lekceważą. Tak wielkie nagromadzenie magicznej energii, potrzebnej do przeprowadzenia próby, stanowi zagrożenie nawet dla wprawnych czarodziejów.

Odsunął wątpliwości i wpił się wzrokiem w Falka, który zbliżał się już do rzędu chat spoglądających na płaskowyż. Wciąż sądził, że mocno ryzykują, pozwalając synowi Aquili Dantégo rosnąć w siłę jako magowi bitewnemu. Saker powziął postanowienie, by zatrzymać go na tej drodze, ale martwił się, ponieważ nie wiedział, jak dokładnie potoczą się sprawy na Bijaku. W Caer Dour był veneratu własnej wieży. Ten niepokój był dla niego czymś nowym i wcale nie przypadł mu do gustu.



Falko odnalazł Cruza w gospodarstwie zagrodników, gdzie mieszkał z Dusaule'em. Usiadł z nimi przy palenisku i opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się w czasie kampanii treningowej. Okazało się, że niektóre wieści zdążyły dotrzeć do stolicy. Aurelian wiedział o ataku Opętanych na wioskę, o niepowodzeniu armii magów i o tym, że Malaki zaatakował demona. Wiedział też, że pewien szczególnie niebezpieczny demon zabił Wildegrafa i Jürgena. I że mało brakowało, by Nathalie podzieliła ich los. Nie znał jednak szczegółów, chłonął je więc w ponurej ciszy, gdy Falko opisywał mu Pogromcę i jego zapiekłą, skoncentrowaną nienawiść do magów bitewnych.

– Został przywołany specjalnie po to, by ich zabijać – rzekł Aurelian, gdy Falko skończył. – Czy to właśnie jego wyczułeś podczas spotkania strategicznego?

– Myślę, że tak naprawdę wyczułem przygotowane dla niego miejsce – rzekł Falko, a Aurelian pokiwał głową.

– I mówisz, że gdy z nim walczyłeś, nie wyczułeś drżenia swojego

wewnętrznego płomienia? Nawet gdy walka zrobiła się rozpaczliwa?

Falko pokręcił głową. Wiedział, że Aurelian miał nadzieję, iż jego ofensywne moce odblokują się w sytuacji wielkiego zagrożenia.

– Nieważne – powiedział, ale Falko wiedział, że jest rozczarowany. – Podjąłeś walkę z demonem, ocaliłeś życie Nathalie i Ciel. Jesteśmy ci za to wdzięczni.

Falko cieszył się z dobrego słowa nauczyciela, ale fakt pozostawał faktem: dopóki nie nauczy się magii ofensywnej, za pomocą której mógłby walczyć z demonami Opętanych, dopóty będzie zepchnięty do defensywy i zawsze będzie unikał konfrontacji. To był jeden z powodów, które podsycaly jego determinację w ukończeniu szkolenia. Gdyby udało mu się przywołać smoka, wówczas jego wartość bojowa znacznie by wzrosła. Chyba że smok okaże się czarny i wtedy Falko będzie musiał go zabić, dodając kolejny ciężar do i tak już obciążonego ponad miarę serca.

– A więc postanowiłeś przejść rytuał? – podjął Aurelian.

– Tak. – Spojrzenie Falka tchnęło niezłomnym zdecydowaniem.

Aurelian westchnął z rezygnacją.

– Powiadomię więc o tym Thralla.

– Czy może mi tego zabronić?

– Nie. To formalność. Potwierdzi zakończenie przygotowań, a potem poda listę magów na Bijaku, ale ostatecznie decyzja należeć będzie do ciebie.

Falko kiwnął głową, zdjęty ulgą. Nie potrafił wyobrazić sobie, by ktoś miał uniemożliwić mu podejście do próby teraz, gdy już powziął postanowienie.

– W takim razie pomyślmy o mieczu dla ciebie.



Prawie sto mil na północny zachód od Le Matres Meredith Saker zbliżał się już do magicznej wieży w Zaciszu. Podróż zajęła mu o wiele dłużej, niż się spodziewał, ale teraz widział już w oddali zamazany kontur budowli przycupniętej na przeciwległym zboczu doliny, na tle okrytych śnieżnymi czapami gór. Otaczały ją ogrody i lasy, stanowiła błogi obraz spokoju, lecz Meredith czuł wszystko poza spokojem. W jego umyśle kłębiły się pytania. Kto wie, może jutro doczeka się odpowiedzi.

## Grzesznik

---



Następnego dnia rano Falko zjadł śniadanie z Malakim, Quirrenem i Huthgarlem, a potem ruszył w góry, by spotkać się z Aurelianem. Pozostali kadeci mieli przybyć do miasta za kilka dni, ale młodzi rycerze chcieli zacząć już szkolenie Nieregularnych.

– Przed nami mnóstwo pracy – rzekł Malaki. – I ani chwili do stracenia.

Falko podziwiał ich entuzjazm. Wiedział, co czują, gdyż sam rwał się do czynu.

Pożegnawszy się, ruszył ścieżką w kierunku Moździerza. Dzisiaj mieli porozmawiać z mistrzem Missagliasem o wykuciu miecza dla Falka. Jednoręki mag bitewny czekał już na niego przed chatą. Siedział w porannym słońcu z rozciągniętą wzdłuż muru Dwimervane.

– Właśnie dostałem wiadomość z wieży – rzekł, wytrzepując fusy z kubka po kawie. – Thrall spotka się z nami w Moździerzcu dzisiaj po południu, by formalnie zatwierdzić twoje podejście do rytuału.

Falka ogarnęła nagle fala niepewności. Aurelian klepnął go w ramię.

– Denerwujesz się? To dobrze. Tylko głupiec by się nie denerwował.

W kuźniach jak zwykle wrzała praca. Pomocnik zaprowadził ich do przymierzalni, gdzie znaleźli mistrza we własnej osobie. Rzemieślnicy już skończyli swoją pracę i Falko mógł tylko stać i patrzeć, jak Missaglias odsuwa kotarę i prezentuje swoje dzieło. Pancierz stał na stojaku, tak jak wtedy, gdy Falko ujrzał go pierwszy raz, lecz teraz dzieło było już ukończone. Płyty pancerza wyłożono skórą i pikowanym jedwabiem. Ich powierzchnię pokrywały mistrzowsko wytrawione w metalu wzory autorstwa Mereditha, a wypolerowana na błysk ciemna stal rozsyłała wokoło świetlne refleksy. Falko widywał piękniejsze, bardziej imponujące zbroje, ale żadna z nich nie łączyła w tak zmyślny sposób użyteczności z estetyką.

– Piękna – wydyszał Aurelian. Falko był zbyt oszołomiony, by dobyć słowa.

Szczęściem Antonio uznał jego milczenie za wyraz aprobaty. Jego pobliźniona twarz zajaśniała całkowicie wypranym ze skromności uśmiechem. Falko przymierzył zbroję i odkrył, że rzeczywiście pasuje o wiele lepiej, niż gdy miał ją na sobie pierwszy raz.

– Mam nadzieję, że obejdzie się bez tego – rzekł Aurelian, wskazując obtarcie na karku maga bitewnego, które zostawił tam w czasie kampanii treningowej niedopasowany pancerz. – Czasem wydaje mi się, że zbroja wyrządza większe obrażenia niż te, przed którymi chroni.

Falko miał na ciele więcej śladów pozostawionych przez niedopasowane zbroje, a jednak nie mógł się zgodzić z Antoniem. Przypomniał sobie wyrwę w swoim hełmie i był wdzięczny zbroi za ochronę.

– A myślałeś o mieczu? – spytał Aurelian, gdy Falko przymierzał zbroję.

Antonio z wyrazem troski na twarzy poprowadził ich do paleniska na skraju wielkiego pomieszczenia.

– Mam odpowiednią stal – odezwał się po chwili, wskazując palcem prostokątne sztaby z odcisniętym znakiem poświadczającym rzadki gatunek surowca, odpowiedni do mieczy magów bitewnych. – Ale wciąż nie czuję się przekonany koncepcją rozbudzenia płomienia przez innego maga. – Spojrzał na Falka. – Wciąż nie masz swojego?

Falko pokręcił głową, a kowal zmarszczył brwi.

– Może gdybym znał cię lepiej albo gdyby był tutaj ten młody mag, który wykonał inskrypcje na twój pancerz.

– A co to za różnica? – spytał Falko, a Aurelian gestem kazał mu usiąść na pniu poczerńiałego od ognia drewna.

– Kowal oswaja się z tym, jak zachowuje się w jego rękach obrabiany metal – rzekł Antonio tonem wyjaśnienia. – Temperatura, kolor, dotyk pod młotem. Umiejętności są niezwykle ważne, ale po przekroczeniu pewnej granicy tylko instynkt może go poprowadzić. – Zrobił pauzę, Falko słyszał cichy trzask ognia w palenisku. – Wykonanie porządnego miecza wymaga od kowala umiejętności, ale miecz maga bitewnego to coś więcej niż tylko zaostrzony kawał stali. To manifestacja wiary, rzecz w sposób wręcz intymny dostosowana do osobowości maga bitewnego, który ma nim władać. Mógłbym wykonać miecz, który będzie pasował do twojego ciała, ale nie znam cię na tyle, by wykonać taki, który będzie pasował do twojej duszy.



– Ale i tak spróbujesz, prawda? – włączył się Aurelian. – Poprosiłem Dusaule’a, on również pomoże.

Antonio nie wydawał się przekonany.

– Nicolas z pewnością pomoże nam lepiej kontrolować proces – przystał – ale obawiam się, że jeśli coś sknocimy, miecz po prostu zawiedzie. Czy to tutaj, w kuźni, czy podczas walki z wrogiem.

– Ale czy spróbujesz?

Mistrz zamilkł, zamyślił się.

– Wróćcie rano – powiedział w końcu. – Chcę, byście z kimś porozmawiali, zanim odpowiem.

Gdy opuścili kuźnię, Aurelian łypnął na Falka i znalazł na jego twarzy rozczarowanie i niepewność.

– Chodźmy – powiedział pokrzepiająco. – Nicolas i Dwim czekają już na nas w Moździerz. Potrenujemy chwilę przed przybyciem Thralla. I postaraj się zbytnio nie zamartwiać – dodał. – Jeszcze nie widziałem, by Antonio uchylił się przed wyzwaniem. Jeśli wymyśli, jak zrobić ci miecz, zrobi go.

Wróciwszy na arenę, spędzili kilka ładnych godzin, testując umiejętności Falka i głowiąc się nad tym, jakie wyzwania mogą go



czekać na Bijaku.

– Ktoś na pewno spróbuje cię powstrzymać, za pomocą magii wzbudzając w twoim ciele ból – rzekł Aurelian podczas przerwy obiadowej. – Inni będą miotać w ciebie czarami ognia i lodu. Możesz się też spodziewać ataków opartych na surowej sile woli.

Falko zamoczył chleb w kubku zupy, którą przyniósł do Moździerza Dusaule. Milczący mag bitewny siedział teraz w swoim zwyczajowym miejscu u boku Dwimervane. Falko nagle poczuł się tak, jakby w ogóle stąd nie odjeżdżał.

– Zwykle pojawia się gdzieś animaré – ciągnął Aurelian. – Możesz mi wierzyć... mało rzeczy jest równie dziwnych jak walka z pustą zbroją.

– Pierwsze słyszę o czymś takim – zdumiał się Falko. – Taka magia pewnie świetnie sprawdza się w bitwie.

– Akurat! – prychnął Aurelian. – Magowie przygotowują się miesiącami, by posłać taką zbroję do walki na kilka minut.

– Czyli nie ma się czego obawiać? – skonkludował Falko, ale najwyraźniej był w błędzie, bo Aurelian prawie zakrzuszył się zupą.

– To jest rytuał Assay! – krzyknął. – Jest się czego obawiać! Jedno trafienie lodowym ostrzem animaré i zatęsknisz za zwykłą stalą. Dwa powalą cię na kolana. Trzy lub cztery, i magowie będą musieli wynieść cię z labiryntu.

Falko zwiesił głowę, a Aurelianem wstrząsnęło współczucie.

– Ich jedynym celem będzie powstrzymanie cię – dodał łagodniej. – Jeśli uda im się to osiągnąć poprzez wyrządzenie ci krzywdy, nawet powieka im nie drgnie.

– Czy ktoś kiedyś zginął w czasie rytuału? – spytał Falko, a odpowiedzią była niepokojąca cisza. Aurelian podniósł wzrok na Nicolasa, nim znowu otworzył usta.

– Zawsze możesz się poddać. Magowie zrobią wszystko, by cię zatrzymać, ale ich celem nie jest zabicie cię. Po prostu zawołaj „cedo” i magowie przestaną cię atakować. Właściwie wystarczy, że to pomyślisz, i rytuał się zakończy.

Myśl o poddaniu się sprawiła, że Falko błysnął groźnie oczami. Niedoczekanie!

– Ale największą przeszkodą na twojej drodze do celu będzie strach – ciągnął Aurelian.

Falko skrzywił się. Nie sądził, by nawet najsilniejszy strach wywołany przez magów mógł się równać z przerażeniem wywołanym obecnością demona.

– I nie chodzi tu o strach przed spłonieniem żywcem lub przed wypatroszeniem. Nie chodzi nawet o strach przed porażką, który jest szczególnie dotkliwy dla wielu magów bitewnych. Chodzi o strach, który sam wnosisz do rytuału we własnym sercu. Tamta ciemność jest aż

czarna od fetoru przerażenia, sekretnych obaw każdego maga bitewnego, który kroczył jej ścieżkami.

Falko podążył za jego spojrzeniem do mrocznego portalu po przeciwnej stronie Moździerza. Nie musiał się zbliżać, by czuć pełzające w powietrzu szepty o przerażeniu, które czeka na niego w labiryncie L'obscurité. Ogarnęły go osobliwe zawroty głowy, jakby coś chciało go wciągnąć w zalegający w portalu mrok, lecz wtedy podniósł spojrzenie, bo wyczuł zbliżających się magów.

– Ach... Jest nasz tłustowłosy cap! – wymamrotał Aurelian, gdy grupa mężczyzn w purpurowych szatach stanęła nad krawędzią Moździerza.

Falko rozpoznał Thralla z przesłuchania w Komnacie Rady. Był najpotężniejszym czarodziejem w Furii, a mimo to na Falku większe wrażenie zrobił raczej mag stojący obok niego. Znajome uczucie dyskomfortu przepłynęło przez jego ciało na widok schodzącego po szerokich schodach Morgana Sakera. Wraz z nimi na arenie pojawili się dwaj inni magowie.

A gdy to nastąpiło, Dusaule i Dwimervane odeszli, zostawiając Falka samego z Aurelianem i delegacją z wieży. Młodzieniec bezwiednie wlepił wzrok w Galena Thralla. Nie był to mężczyzna o imponującej postawie, a jego włosy rzeczywiście wyglądały na przetłuszczone. Lecz pomimo szczupłego i bladego ciała czuło się w nim niezmiernie rezerwy mocy. Stary czarodziej sprawiał wrażenie dzikiego zwierzęcia czającego się pod mlecznobiałą powierzchnią podziemnego jeziora.

Thrall w ogóle na Falka nie spojrzał, lecz chłopak wiedział, że wszyscy przybysze poddają go właśnie gruntownej ocenie. Wrażenie sprawiło, że zaświerzbiła go skóra. Uświadomił sobie, że instynktownie podchodzi do Aureliana.

– Wątpię, byście zostali sobie oficjalnie przedstawieni – odezwał się Aurelian, wodząc wzrokiem od Thralla do Falka i z powrotem. – Galenie Thrallu... Falko Danté. Falko... oto Galen Thrall, wielki veneratu i najczcigodniejszy mistrz wieży magów w Furii.

Ich spojrzenia zetknęły się po raz pierwszy. Falka uderzyły nienaturalnie małe źrenice jego jasnozielonych oczu.

– Czy możemy liczyć na to – podjął Aurelian – że wyjawisz nam imiona magów, którzy staną przeciwko temu młodemu człowiekowi w sprawdzanie siły?

Falko poznał po zadowolonym spojrzeniu Morgana Sakera, że jego imię z pewnością znajdzie się na liście.



W wieży magów w Zaciszu Meredith Saker usiadł na tarasie i czekał, aż ktoś ze służących sprawdzi, czy brat Verde czuje się dość dobrze, by przyjąć gościa.

– Ma lepsze i gorsze dni – powiedzieli mu.

Ustronna placówka dla emerytowanych magów była pięknie położona w urokliwej górskiej okolicy, ale widok rezydentów nie wpłynął pozytywnie na nastrój Mereditha. Większości z nich nie dolegało nic poza starością, lecz byli i tacy, którzy najwidoczniej w czasie swojego długiego życia ucierpieli na umyśle. Jeden białowłose czarodziej wydawał się szczególnie zaintrygowany jego przybyciem i bez skrupowania śledził go aż na taras. Chyba nie mógł zdecydować, czy zagadnąć Mereditha, czy nie, kręcił się więc w pobliżu, mamrocząc pod nosem niedokończone zdania, jakby rozmawiał ze ścianą.

– A bo widzisz, to przez alkaloidy. Niezwykle niebezpieczne. Trucizna, wszędzie trucizna.

Meredith westchnął z ulgą, gdy pojawili się dwaj magowie, pchając wózek inwalidzki, na którym siedział pokurczony starzec.

– Pozwól, bracie Dinasio – rzekł jeden z mężczyzn i wziął siwego gadułę pod ramię. – Nie pokazałbyś mi trujących kwiatów, które rosną w twoim ogrodzie?

Drugi czarodziej uśmiechnął się przepaszająco do Mereditha, który raptem zapałał szacunkiem dla cierpliwości i uprzejmości opiekunów. Wieże magów były niezmiennie zimnymi, ponurymi budowlami i Meredith często zastanawiał się, czy ich niegościnna aura nie udziela się samym ich mieszkańcom, tłumiąc w nich wszelką życzliwość. Miło było przekonać się, że przynajmniej niektórzy magowie wciąż mają ludzkie odruchy. Patrzył, jak opiekun nachyla się do starego mężczyzny na wózku, który robił wrażenie zdezorientowanego, gdy pocierał pokrzywionymi palcami starą bliznę biegnącą od kącika ust do podstawy ucha.

– Bracie Verde... oto człowiek, o którym ci mówiliśmy, lord Saker. Przybył, by porozmawiać o twoim pisarstwie. Lecz tylko chwilę – skorygował, zwracając się już do Mereditha. – Brat Verde miewa trudności z oddychaniem i szybko opada z sił.

Meredith pokiwał głową ze zrozumieniem i ustawił swoje krzesło przodem do starego badacza.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać – zagaił.

– Pisarstwo – wymówił brat Verde. Ekscytacja zapłonęła w jego oczach. – Kiedyś pisałem książki. – Mówił trochę niewyraźnie przez źle zrosniętą bliznę, która odciągała na bok kącik jego ust.

– To prawda – potwierdził Meredith. – To właśnie o jedną z twoich książek chciałbym cię spytać.

– Historia! – podekscytował się brat Verde. – Wszystko jest historią.

Wszystko, od pierwszych królów Thraecji do Porozumienia Wolnych Królestw. A wiesz, że...

Opiekun położył mu rękę na ramieniu.

– Lord Saker chciałby spytać o pewną konkretną książkę.

– O, doprawdy? – zainteresował się starzec. – Czy nie chodzi czasem o „Zjednoczenie plemion”? „Upadek Protégii”? „Herezję Viemanna”...?

Słowa wpadały na siebie, gdy recytował po kolei wszystkie dzieła swojego autorstwa.

– O „Ostatniego żyjącego świadka” – zdołał wtrącić Meredith, a brat Verde raptem stracił wątek.

Z jego rozpromienionej twarzy zniknął cały entuzjazm, pamiętka po dziesięcioleciach badań, a w jego miejsce pojawiła się skomplikowana mieszanka emocji: dezorientacja, smutek, podejrzliwość i strach. Meredith czuł się zaszokowany tą nagłą przemianą. Wcale nie chciał przysporzyć cierpienia kruchemu starcowi, ale rozpaczliwie potrzebował odpowiedzi.

– Książka ma być relacją z pierwszej ręki zdaną przez osobę, która była świadkiem Wielkiego Opętania – powiedział – ale to wydarzenie miało miejsce czterysta lat temu. – Zrobił pauzę, chcąc pochwycić rozbiegane spojrzenie brata Verdego, ale mu się nie udało. Stojący nad nimi opiekun wyraźnie się zatroskał. – Chyba nie jest to więc relacja z pierwszej ręki, ale raczej historia powtórzona przez kogoś innego? – nie ustępował Meredith. – Czy to możliwe, by zaszła jakaś pomyłka?

Brat Verde raptem skupił na nim ostre spojrzenie.

– Pomyłka! Słyszycie go? – wypluł. Uniósł drżącą rękę do blizny na twarzy. – To też pomyłka?

– Ale to by oznaczało, że świadek dożył szacownego wieku czterystu lat – ciągnął z uśmiechem Meredith, chcąc, by brat Verde potwierdził jedyną realną możliwość. Ale stary mnich tylko patrzył mu w oczy.

– Zło nigdy nie umiera – sapnął. – Świadek był złym człowiekiem, potężnym. Nawet śmierć się go bała.

Meredith cofnął się bezwiednie, gdy przestrzeń wokół płaczącego brata Verdego zabarwił cień.

– Grzesznik! – powiedział, a Meredith bezbłędnie wyczuł bijący od starca strach, który zdawał się wypływać z porów jego ciała. – Grzesznik... – zaszlochał, a potem zaczął drapać pokrzywionymi palcami obwisłe policzki. – Grzesznik...

– Już wystarczy – orzekł opiekun, odciągając wózek. – Nie chcemy powtórki z zeszłorocznych wydarzeń. – Gestem przywołał drugiego służącego.

– A co się stało w zeszłym roku?

– Był spokojny, gdy tu trafił – rzekł mężczyzna, gdy przywołany starał się ciepłymi słowami uspokoić rozstrojonego badacza. – A potem, którejs

nocy u zarania zimy, zaczęła niekontrolowanie płakać... Powiedział, że grzesznik się obudził.

– Powiedział coś jeszcze? – dociekał Meredith.

– Nie – rzekł opiekun. – Tylko to... że obudził się grzesznik. Tylko tych kilka słów i łkanie.

Meredith spojrział na starego maga. Łzy spływały mu po twarzy. Opiekun nie mógł poradzić sobie z sędziwym mężczyzną, ale nagle brat Verde uspokoił się i znieruchomiał, na jego twarz wypłynął nieokreślony wyraz. Utkwił spojrzenie gdzieś daleko i wtedy raptem skądś dobył się głos, który nie mógł należeć do wątłego starca. Brzmiały w nim głębokie, niepokojące tony, a słowa skrzyły się od mocy.

– *Vino la mine micul meu soim. Cei frații și toate deliciile lor sunt în așteptare pentru tine* – przemówił głos, a w Mereditha uderzyła trwoga, gdy uświadomił sobie, że już to kiedyś słyszał.

– Przepraszam – powiedział opiekun. – Robił to już wcześniej. Sądźmy, że to język wroga, którym nikt tutaj nie umie się posługiwać.

Ale Meredith studiował mowę Ferocji i wiedział dokładnie, co znaczą słowa starca.

„Chodź do mnie, mój mały sokole. Bracia i wszelkie ich rozkosze czekają już na ciebie”.

Meredith zamknął oczy, gdy pojął prawdę.

Starzec mówił o grzeszniku.

W języku Ferocji „grzesznik” to „pacatos”.

Brat Pacatos, szalony stary mag uwięziony pod wieżą magiczną w Furi. To on był ostatnim żyjącym świadkiem Wielkiego Opętania.



Falko stał przy Aurelianie, gdy ten czytał imiona magów, którzy mieli zająć pozycje na Bijaku.

– Oczywiście czarodziej, który pełni rolę przewodnika maga bitewnego, również powinien tu być – rzekł Thrall, odnajdując wzrokiem Morgana Sakera.

– Ale niestety go nie ma – rzekł Aurelian. – Będziecie więc musieli rozmawiać ze mną. – Jeszcze raz przemknął wzrokiem po liście. Znał większość wymienionych nazwisk, ale dwa wydały mu się obce.

– Brat Daedalus? – spytał. – Pierwsze słyszę.

– I nic dziwnego – odpowiedział Thrall. – To jeden z naszych najmłodszych członków.

– A kim jest ten brat Pacatos?

Żrenice Thralla stały się dwoma maleńkimi punkcikami ciemności.

Uśmiech wypełził mu na twarz.

– Powiedzmy, że to jeden z naszych najstarszych.

## Miecz maga bitewnego



Gdy następnego dnia wrócili do warsztatu, umysł Falka wypełniały nowe obawy. Po spotkaniu z magami rytuał Assay wydał mu się perspektywą jeszcze bardziej przerażającą niż dotychczas. Sam Thrall nie zajmie pozycji na Bijaku, ale Morgan Saker słynął z olbrzymiej wiedzy i wielkiej mocy. A był tylko jednym z sześciu magów o podobnych umiejętnościach, którzy staną przeciw niemu w czasie próby, co, musiał przyznać, poważnie go martwiło. Ale na razie postanowił odepchnąć to zmartwienie na bok, bo oto wkraczali właśnie z Aurelianem do buchającej gorącym kuźni.

Mistrz Missaglias był sam, ale w przylegającym pomieszczeniu z narzędziami stało jeszcze kilku muskularnych dryblasów, jakby czekali na swoją kolej przy kowadle. Nadzieje Falka chwiały się, a nieodgadniony wyraz twarzy Antonia trudno było nazwać budującym. Aurelian z wyraźną bojaźnią w głosie powtórzył pytanie, które zadał kowalowi wczoraj.

– No dobra – rzekł. – Zrobisz mi miecz czy nie?

– Nie zrobię – odparł Antonio, a serce podeszło Falkowi do gardła.

Aurelian nie zawracał sobie głowy ukrywaniem oburzenia, lecz Antonio jeszcze nie skończył. Uniósł dłoń i zwrócił się do Falka.

– Gdybyś władał własnym ogniem, zgodziłbym się bez wahania – wyznał. – Ale tak nie jest, a więc nie mam zamiaru ryzykować. Po prostu nie znam cię dość dobrze. – Umilkł na moment. – Ale jest tu pewien kowal, z którym znacie się od dziecka.

Mistrz Missaglias spojrział na wielkich mężczyzn, którzy właśnie wchodzili do pomieszczenia. Dwóch z nich Falko widział pierwszy raz w życiu, ale trzeciego znał od dziecka. Miał szerokie ramiona i silne ręce kowala. I jasnoczerwone znamię na twarzy.

Falko poczuł, że jego oczy wypełniają się łzami.

– Jakbym nie miał co robić! – rzucił Malaki na powitanie.

Aurelian zmełł przekleństwo, a Falko wydawał się zawstydzony swoją emocjonalną reakcją. Antonio Missaglias tylko się uśmiechał. Bo wykuwanie miecza powinno być doświadczeniem nasyconym uczuciami. Raptem wróciły do niego słowa, które często cytował jego własny mistrz i nauczyciel w odległych latach, gdy sam poszedł do terminu:

„Kowale cenią dobrą stal i doświadczenie wielu lat, Lecz nie masz miecza ponad ten, który wykuje twój brat”.



Meredith nie tracił nawet czasu, by się posilić. Natychmiast ruszył w drogę powrotną do Le Matres. Gdy tylko wróci do miasta, skorzysta z połączenia komunikacyjnego, by wysłać wiadomość i ostrzec Falka, by nie przystępował do rytuału Assay przed jego powrotem do Furii. Nie miał zamiaru zdradzać mu tajemnicy wieży, a przynajmniej chciał przedtem dać szansę Thrallowi, by ten wytłumaczył, dlaczego więzi brata Pacatosa. Meredith nie miał pewności, miał za to podejrzenia.

Pacatos tkwił w odosobnieniu, ponieważ znał prawdę o tym, co się wydarzyło w czasie Wielkiego Opętania. Więzili go, bo był szalony, bo to, co zobaczył tamtego straszego dnia, sprawiło, że postradał zmysły. Teraz Meredith wiedział, że magowie kłamali. Oczywiście, że zdawali sobie sprawę, iż smoki są podatne na moc opętania. Wiedzieli, że może to doprowadzić do tragedii, a jednak, powodowani nienasyconym pragnieniem mocy, z nikim się tą wiedzą nie podzielili. Swoim milczeniem skazali na śmierć całe pokolenia magów bitewnych. Na śmierć, którą ci ponieśli z ręki własnych smoków, doprowadzonych do szaleństwa w wyniku opętania.

Meredith mógł tylko się domyślać, co zrobią ludzie, kiedy poznają prawdę. Wybuchną zamieszki, na ulicach poleje się krew. Teraz jednak skupiał myśli wyłącznie na Falku. Nie wolno mu przystąpić do próby, gdy na Bijaku będzie mag taki jak brat Pacatos. Meredith nie sądził, by tak naprawdę jego ojciec życzył Falkowi śmierci, ale nie mógł powiedzieć tego samego o Thrallu. Jechał więc, co koń wyskoczy, chciwie szukając na horyzoncie murów Le Matres.



Falko spędził w kuźni cały pierwszy dzień, patrząc na Malakiego, który



wraz z innymi rzemieślnikami trzymał się nad projektem miecza. Teraz obserwował, jak rozmawia przy stole z mistrzami odpowiedzialnymi za wytworzenie rękojeści. Falko uśmiechnął się, gdy Malaki sam chwycił ołówek jednego z nich i naniósł kilka poprawek na przygotowany szkic.

– Ostrze będzie krótsze, a rękojeść dłuższa – powiedział. – Więc spokojnie możecie zmniejszyć głowicę. Teraz jelec... musi być zakrzywiony. Projekt powinien być prostszy, bardziej subtelny. Żeby nie wszystko naraz rzucało się w oczy.

Człowiek o mniejszej pewności siebie może by się obraził, ale mistrz po prostu przyjął z powrotem ołówek i bez słowa sprzeciwu sporządził kilka dodatkowych szkiców.

– Właśnie o to chodzi – pochwalił Malaki, spoglądając na Falka, jakby przymierzał projekt do przyjaciela. – Idealnie.

Falko był prawdziwie zaintrygowany i z chęcią obejrzałby projekt, ale nie chciał przeszkadzać. Miecz był dla niego, ale za stworzenie go odpowiadał Malaki. Rzemieślnicy zaangażowani w kolejne etapy wytwarzania broni konsultowali z nim teraz rozmaite aspekty procesu, od grawerunku po substancje do polerowania, od skóry, którą obwiązany będzie trzon, do budowy pochwy. Nawet warsztatowi złotnicy pytali, czy będą potrzebni, ale Malaki zaprzeczył. W mieczu Falka Dantégo nie będzie żadnych egzotycznych elementów. W rzeczy samej, większość mistrzów wyszła z kuźni z zadaniami, które w stosunku do olbrzymiego zakresu ich kompetencji prezentowały się nad wyraz skromnie. Wyważenie i wytrzymałość – tylko to interesowało Malakiego.

A więc już podczas pierwszego dnia prace znacznie posunęły się naprzód. Działający samotnie mistrz miecznik mógł pracować nawet kilka miesięcy nad skomplikowanym projektem, ale Antonio przydzielił Malakiemu swoich najlepszych specjalistów i zapewnił Falka, że jeśli wszystko pójdzie gładko, już za tydzień będzie miał miecz przy pasie.

Falko i Aurelian chcieli towarzyszyć Malakiemu w warsztacie aż do samego końca. Antonio oczyścił kąt budynku i umieścił tam dla nich trzy posłania. Przy kuźniach było głośno, a powietrze przesycił zapach roztopionego metalu i spracowanych rzemieślników, ale byli wdzięczni za to, że zostali zaangażowani w całe doświadczenie.

Następnego dnia zaczęło się wykuwanie. Falko obserwował opadające i unoszące się rytmicznie młoty w dłoniach dwóch wielkich kowali. Malaki pomagał w rozciąganiu metalowego pręta, który stanie się miękkim rdzeniem klingi, gwarantując jej większą sprężystość.

Mistrz Missaglias nalegał, by to Malaki wybrał stal, z której wykute zostanie ostrze.

– Wszystko zaczyna się od stali – powiedział. – Już w tym momencie zaczynamy dopasowywać charakter miecza do charakteru

mieczownika.

– Będziemy ją składać? – spytał Malaki, mając na myśli technikę, w której metal wydłużano i składano na pół, by znowu go później wydłużyć. Takie kute warstwowo ostrze było twardsze i bardziej wytrzymałe. Ku zdumieniu młodego kowala mistrz pokręcił głową.

– Składanie pozwala zniwelować skazy w stali kiepskiej jakości. Nie wpływa w żaden sposób na zwiększenie wytrzymałości.

– Którą więc powinienem wybrać?

– Wybór należy do ciebie – rzekł Antonio, wykładając na ławę sztaby, z których każda nosiła znak mistrzowskiej jakości. – Ta jest najtwardsza, ale też najbardziej oporna w obróbce. Ta jest elastyczna, ale gorzej przyjmuje ciosy. Wszystkie są równie znakomite, ale wiele zależy od obróbki. I od tego, jaki efekt chcesz osiągnąć.

– A ta? – spytał Malaki, a Antonio uniósł brew.

– Posiada wszystkie najlepsze cechy pozostałych. Ale to kapryśny skurczybyk. Jeśli źle ją obrobisz, wybuchnie ci w twarz. Może pęknąć nawet przy ostatecznym wystudzeniu. No, ale jeśli obrobisz ją jak należy...

Malaki zamyślił się. Wykuł niejeden miecz w kuźni ojca – i właśnie na tym polegał problem. Wiedział dość, by zdawać sobie sprawę z tego, jak niewiele wie.

– Czy mnie pokierujesz?

– Ma się rozumieć.

A więc teraz Falko patrzył, jak prostokątny metalowy kształt wydłuża się i rozciąga pod nieustanną łomotaniną dwóch ciężkich młotów. Falko zdziwił się, że rozgrzano metal w palenisku.

– Myślałem, że ty dostarczysz ogień – powiedział do stojącego obok Aureliana.

– Dopiero później. Na tym etapie wystarczy zwykłe palenisko.

Wykuwanie klingi zajęło cały dzień. Falkowi dzwoniło w uszach od ciągłego hałasu, a Malaki padał z nóg. Bolały go plecy i ramiona, bo większość dnia spędził odchylony w tył przy rozciąganiu stali.

Następnego dnia opasłe młoty nie były już potrzebne i Malaki zabrał się do powolnego kształtowania ostrza. Dzień był ciepły, Falko obserwował kapiące z jego twarzy kropelki potu, ale kowal nie przerywał pracy, chyba tylko po to, by łyknąć wody i coś przekąsić. Nieustannie badał linie i grubość powstającej klingi. Antonio nigdy nie odchodził zbyt daleko i Malaki często pytał go o radę.

– Przy zwykłej stali rozgrzewasz do wiśniowej czerwieni... – poinstruował, gdy surowe ostrze spoczęło na kowadle. – Ale to musisz rozgrzać do koloru o jeden lub nawet dwa odcienie ciemniejszego. O, właśnie! – rzekł. – Widzisz, jak się drań zarumienił? To rozładuje jej wewnętrzne napięcie.

Malaki pozwolił ostrzu ostygnąć na powietrzu, a potem znowu je podgrzał, by opukać młotkiem, wydobywając zamysłony kształt. Pod koniec dnia był z siebie całkiem zadowolony. Uformował zaokrąglenie, wyciągnął szpic i dokładnie go ukształtował. Gdy późnowiosenne niebo zaczęło ciemnieć, pokrył ostrze specjalną gliną, a potem wsunął z powrotem w węgle, by stał związała się jak należy.

– A po co ta glina? – zainteresował się Falko, gdy obaj wpatrywali się w rozpalone palenisko.

– Beltańczycy nazywają to onæling – wyjaśnił Malaki. – Dzięki tej powłoce klinga nie stygnie zbyt szybko. Przez to metal będzie nieco miększy, co pozwoli łatwiej go ukształtować.

– Myślałem, że miecz im twardszy, tym lepszy.

– Będzie dość twardy – rzekł Malaki, pokpiwając z niewiedzy przyjaciela. – Ale tę twardość nadamy mu przy ostatnim podgrzewaniu. Na razie musimy go jeszcze obrobić i wyważyć.

– Planujecie w ogóle się dzisiaj przespać, gaduły? – dobiegł z kąta poirytowany głos Aureliana.

Malaki i Falko wymienili rozbawione spojrzenia.

– Ma rację – rzekł Malaki. – Póki co nie mamy nic do roboty. Ostrze będzie długo stygło.

Falko ułożył się więc do snu, wsłuchując się w cichutkie klikanie i pykanie oblepionej gliną klingi, która z wolna oddawała ciepło.



Było już ciemno, gdy Meredith wrócił do Le Matres, ale nie marnował czasu i natychmiast pojechał do wieży. Zaniepokoił się, gdy odkrył, że pod jego nieobecność połączenie komunikacyjne z Furią zostało zerwane.

– Jak to? – zdumiał się, rozzłoszczony przez zmęczenie i nerwy.

– Infekcja żołądka, obawiam się – powiedział veneratu. – Mag utrzymujący połączenie z Furią robił, co mógł, by je zachować, ale zaczął strasznie wymiotować i się zerwało. Przykro mi – dorzucił na koniec, ale Meredith nie wyczuł szczeroci w jego głosie. Mistrz wieży w Le Matres nigdy nie odnosił się do pomysłu Mereditha z entuzjazmem. Niezależnie od tego Meredith po prostu musiał wysłać wiadomość do Furii.

– Trudno – warknął. – Przyślij kwintet do komnaty. Muszę wysłać wiadomość do stolicy. Chodzi o zbliżający się rytuał Assay.

– Wybacz, młody panie – powiedział veneratu – ale nie mogę tego zrobić. Na pewno nie dzisiaj. Właściwie będzie to niemożliwe przez kilka następnych dni.

Meredith gapił się na mężczyznę, starając się zorientować, czy specjalnie krzyżuje mu plany.

– Wszyscy magowie wyszkoleni do tego zadania zostali ściągnięci do Hoffen. By pomóc w przekazywaniu rozkazów na nowo utworzony front. Powinni wrócić w ciągu tygodnia.

Tygodnia? – pomyślał Meredith. W tydzień sam zdąży wrócić do Furii.

A Falko przystąpi do rytuału lada dzień.

Wziął głęboki wdech, starając się uspokoić myśli. Było za późno, by ruszać od razu, ale o tej porze roku słońce wstaje wcześnie. Jeśli będzie gnał na złamanie karku i zmieniał konie na kolejnych etapach podróży, na pewno zdąży w tydzień. Oschle życząc veneratu dobrej nocy, ruszył na poszukiwanie kąpieli i łóżka. Był wykończony i obolały, ale jutro o świcie musi ruszyć w drogę.



Veneratu wieży magów w Le Matres poczekał, aż Meredith odejdzie, a potem zszedł do tajemnej komnaty głęboko w trzewiach wieży, strzeżonej przez dwóch magów, którzy otrzymali rozkazy, by nie wpuszczać nikogo poza garstką uprawnionych. Strażnicy rozstąpili się, gdy veneratu podszedł do drzwi. Wszedł cicho, by nie rozproszyć maga, który utrzymywał kontakt mentalny z wieżą w Furii.

– Mam wiadomość dla wielkiego veneratu Thralla – powiedział.

Mag zamknął oczy, słuchając jej treści, a potem otworzył je, by powiedzieć:

– Chwileczkę. Lord Thrall chce jej wysłuchać osobiście.

Minęło kilka minut. Podenerwowany veneratu przestąpił z nogi na nogę.

Już sama ta nowa forma komunikacji sprawiała, że czuł się nieswojo, a teraz musi jeszcze za jej pośrednictwem rozmawiać z samym czcigodnym mistrzem z Clemoncé. Ale rozkazy były jasne.

Młody Saker nie może się dowiedzieć, że połączenie wciąż istnieje.

Veneratu ma donosić Thrallowi o wszelkich posunięciach, myślach i intencjach młodego Sakera.

Nagle mag w środku komnaty otworzył usta i przemówił władczym głosem wielkiego veneratu.

– Jakież wieści o Sakerze?

– Tak, panie – rzekł veneratu i odczekał chwilę, wiedząc, że przekazanie jego słów na taką odległość zajmie nieco czasu. – Wrócił ze swojej wyprawy. Chciał wysłać wiadomość do stolicy.

- Czy powiedział ci, czego dowiedział się w Zaciszu?
- Nie, panie. Ale wspominał coś o nadchodzącym rytuale Assay. Chyba chce do niego nie dopuścić. Jutro z samego rana wyrusza do stolicy. – Tym razem pauza trwała dłużej niż zwykle i veneratu zastanawiał się, czy Thrall wciąż jest po drugiej stronie, lecz wówczas mag odezwał się ponownie:
  - Sprawileś się. Poinformuj nas, gdy Saker wyjedzie.
  - Tak, panie – odrzekł veneratu i rozmowa dobiegła końca.



W wieży magów w Furii wielki veneratu Thrall zwrócił się do Morgana Sakera:

- Widzę, że twój syn odziedziczył nieustępliwość po ojcu.
- Znalazł się pod wpływem zwykłych ludzi o niedyscyplinowanych umysłach – odrzekł Saker. – Nie doszłoby do tego, gdybym dokończył jego szkolenie w wieży w Caer Dour.

Odpowiedzią Thralla na wymówki Sakera był przeźroczyستی uśmiech.

- Nieistotne – rzucił. – Uwierzył, że połączenie zostało zerwane i że musi wrócić do stolicy. Musimy więc dopilnować, by rytuał odbył się, zanim tu dotrze.

– Czy domyślasz się, czego mógł dowiedzieć się w Zaciszu? – spytał Saker.

- Nie. Ale podejrzewam, że ma to związek z Wielkim Opętaniem, a wszyscy wiemy, że nikt nie może się dowiedzieć o tym, co się wówczas wydarzyło.

Morgan Saker pokiwał głową, ale w jego oczach dało się dostrzec pewien niepokój, którego nie było na twarzy Thralla. Pomimo zawiązania zmowy milczenia wielu magów wciąż czuło wstyd, gdy myślało o tamtym strasznym dniu. Morgan Saker był człowiekiem bezwzględny, o zatwardziałym sercu, lecz nawet on ten wstyd odczuwał. Thrall najwidoczniej był od niego wolny. Na twarz wielkiego veneratu wypłynął zimny uśmiech, jakby uznał wątpliwości Sakera za słabość, którą on sam pokonał.

Zrobili, co musieli zrobić.

Magowie zawsze robili to, co musieli zrobić.



Onæling miał potrwać cały dzień, a więc w czasie gdy ostrze stygło,

Malaki zajął się nadzorowaniem konstruowania innych elementów miecza, a Falko i Aurelian poszli do Moździerza, by potrenować.

Aurelian był pod wielkim wrażeniem postępów Falka. Chłopak zawsze brylował w magii obronnej, lecz był teraz pewniejszy siebie i jeszcze podciągnął się w swojej sztuce. Był poważniejszy, bardziej skupiony, odkąd zrozumiał, jak ważną rolę pełni w tej wojnie. Władanie magicznym ogniem stało się teraz sprawą drugorzędą.

Zakończyli intensywną sesję treningową. Nicolas pluł żwirem po tym, jak Falko wytarł nim arenę, ale Aurelian tylko się śmiał.

– Wiesz co, stary przyjacielu? – powiedział, klepiąc zagrodnika po plecach. – Na zwiędłe śliwki Thralla, myślę, że może mu się udać!

Falko odłożył miecz treningowy i tarczę, śmiejąc się z tej wulgarnej pochwały. Nie mieli czasu odsapnąć, bo musieli wracać do kuźni. Zostawili więc Nicolasa i Dwim i wspięli się po schodach. Było późne popołudnie. Malaki lada moment wydobędzie ostrze z gliny.

Kilka uderzeń o kowadło i z brązowej masy wyłoniło się smukłe ostrze z czarnego metalu. Wciąż ciepłe, ale nie na tyle, by nie dało się go dotknąć. Malaki nie marnował czasu i przeszedł z nim do innej części warsztatu, zawalonej pilnikami, osekami i tarczami ściernymi.

Pod czujnym okiem Antonia rozpoczął ostatni etap kształtowania klingi.

– Powoli, miarowo – pouczał go mistrz. – O wiele łatwiej zetrzeć, niż z powrotem nałożyć.

Malaki pamiętał, że jego ojciec mówił dokładnie to samo, ale tarcze ścierne czyniły mozolną pracę o wiele łatwiejszą. Mimo to czuł, że noga zaczyna mu drętwieć i drżeć od nieustannego naciskania pedału, który obracał kamiennym dyskiem. Hałas był nie do zniesienia, a powietrze szybko wypełniło się zapachem gorącego metalu i oliwy do studzenia. Stopniowo spod czarnej wierzchniej warstwy zaczęła się wyłaniać lśniąca stal.

Malaki używał coraz to dokładniejszych i bardziej wyspecjalizowanych kamieni, by wyprofilować ostrze i wyciąć płytkie zboczce, które miało za zadanie zmniejszyć ciężar broni bez szkody dla jej wytrzymałości. Wbrew powszechnej opinii nie służyło ono do tego, by spływała nim krew z głowni lub by zapobiec ugrzęźnięciu broni w ciele przeciwnika.

Kształtowanie klingi zajęło dwa kolejne dni, a w tym czasie pozostali kadeci zdążyli już wrócić do Furii. Bryna, dowiedziawszy się, jaka jest sytuacja, natychmiast poszła zobaczyć się z Malakim w kuźni, ale ich przywitanie nie było takie, jakie sobie wymarzyli.

– Fúj! Ależ jesteś uświniony! – powiedziała, gdy Malaki wziął ją w ramiona i uciszył pocałunkiem. – I cuchniesz! – dodała, gdy wyplątała się z uścisku.

Malaki uśmiechnął się i starł oleisty pył z twarzy, ale ponieważ ręce miał nie mniej brudne, rozmazał go tylko, pogarszając sprawę.

– Nie mogę patrzeć! – wykrzyknęła Bryna, odpychając go. – Zobaczmy się za kilka dni. Jak się wykąpiesz! – Strzeliła w niego wzrokiem, ale oczy jej lśniły, a policzki pokryły się rumieńcem. – Mistrzu Missaglias. – Skłoniła się mężczyźnie, a potem obróciła się, by wyjść.

– Pani – odrzekł Antonio, również się skłaniając, a potem odprowadził ją wzrokiem do wyjścia, podziwiając podskakujące sprężyste kasztanowe włosy. – Żaden kowal, którego znałem, nie miał takiej żony – powiedział Missaglias ze znaczącym uśmiechem.

– Szczęściarze – odparł Malaki, a Antonio zarechotał, choć było jasne, że ucieszył się na jej widok.

Zabrali się obaj do pracy. Formowanie ostrza było procesem boleśnie powolnym i ostatnie szlify Malaki kładł już ręcznie. Gdy wreszcie skończył, Antonio pochylił się nad klingą.

– Myślę, że wyszło dobrze – powiedział z rozbawieniem wyrysowanym na pobliźnionej twarzy. Miecz może nie dorównywał standardom tych, które wyszły z jego kuźni, ale mistrz był pewien, że ojciec Malakiego nie przewraca się w grobie.

– Jeszcze bym spiłował trochę sztych – powiedział Malaki, ale Antonio zaśmiał się tylko i klepnął go w plecy.

– Odwagi! – rzekł. – Nie możesz odwlekać tego w nieskończoność.

Malaki westchnął i przesunął po ostrzu szmatą, by pozbyć się ostatniej warstwy pyłu.

– Dobra robota – pochwalił go mistrz. – Teraz musimy już tylko mocno wierzyć.

Malaki kiwnął głową i Falko podniósł wzrok na wchodzącego do kuźni Dusaule'a. W dalszej części pracy konwencjonalne kowalstwo na nic się już nie zda. Czas zahartować miecz w palenisku wypełnionym ogniem maga bitewnego.

Antonio zaprowadził ich z powrotem do kuźni, gdzie w środku pomieszczenia ustawiono coś na kształt ławy. Gruba decha oparta na dwóch kowadłach była okryta krowią skórą. Antonio odwinął ją i okazało się, że to nie deska, lecz sztaba gładkiego, czarnego kamienia, długa na pięć stóp i szeroka na jedną. Jej powierzchnia lśniła, upodabniając sztabę do kolumny dymu podświetlonej błyskawicą.

– Fortysyt – wyjaśnił. – Jedyna rzecz, której nie może uszkodzić magiczna energia.

Falko wyciągnął rękę, by go dotknąć, i poczuł, że choć powierzchnia kamienia lśniła jak lustro, była ciepła w dotyku.

Obok paleniska stały trzy wielkie ceramiczne kadzie. Każda wypełniona była innym płynem. Antonio wytłumaczył Malakiemu, który

wciąż trzymał w ręku świeże ostrze, zasadę działania każdego z nich.

– Kwas oczyści klingę z tłustych zabrudzeń... Woda usunie kwas... Olej służy do ostatniego hartowania.

Gdy wskazał na ostatnią kadź, jego spojrzenie spoważniało. Po całej ciężkiej pracy, jaką Malaki włożył w wykucie miecza, to właśnie ten ostatni etap pokaże, czy się opłacała, czy poszła na marne. Nawet jeśli miecz wytrzyma działanie chaotycznych płomieni Aureliana, wciąż może pęknąć, gdy zostanie zanurzony w oleju.

Za pomocą szczypiec Malaki chwycił ostrze i włożył je do kwasu, dosłownie na chwilę, by pozbyć się wszelkich niedoskonałości, nie uszkadzając metalu. Następnie przeniósł je do wody i pozwolił jej ściec, nim ułożył klingę na fortysytowej ławie.

Antonio przyjrzał się dziełu.

– Teraz głównia zostanie podgrzana do temperatury nieosiągalnej w zwykłej kuźni – wyjaśnił. – Zwykle metal podgrzany do tego stopnia po prostu się rozpuszcza, ale spajająca go energia do tego nie dopuści. Aurelian będzie zwiększał temperaturę klingi do momentu, aż Falko każe mu przestać.

– Skąd będę wiedział? – spytał Falko.

– Metal zacznie śpiewać – odrzekł Aurelian. – A pieśń zacznie rezonować gdzieś głęboko w twoim wnętrzu. Kiedy rozpoznasz nutę, będziesz wiedział. To znaczy jeśli zachowam kontrolę nad temperaturą – dodał z niepewną miną.

Antonio zwrócił się do Malakiego, a gdy się odezwał, młody kowal po raz pierwszy usłyszał zdenerwowanie w jego głosie.

– Fortysyt zaabsorbuje ciepło. Szybciej, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić. Po kilku minutach ostrze wróci do zwykłej temperatury, jaką osiągamy w kuźni. Wówczas musisz być gotowy. Rozpoznajesz temperatury po kolorze... W środku sinoniebieski, na linii ostrza złoty jak pszenica w słońcu. Musisz wkroczyć do akcji, gdy tylko zobaczysz ten układ kolorów. Ale bądź ostrożny. Bo masz tylko jedno podejście.

– A co, jeśli się pomylę?

– Jeśli miecz nie będzie pasował do mieczownika, to albo wybuchnie, albo pęknie po włożeniu do oleju – rzekł Antonio. – Ale wykonałeś go, myśląc o Falku. – Malaki pokiwał głową. – W takim razie przekonamy się, jak dobrze znasz swojego przyjaciela.

Malaki zagryzł zęby. Zdecydowanie odmalowało się na jego twarzy. Antonio się uśmiechnął. Oto odpowiedzialność ciężąca na tych, którzy podejmują się wykucia miecza maga bitewnego.

Antonio zwrócił się do Aureliana i jednoręki mag bitewny zbliżył się do miecza z Dusaułem u boku. Falko również wstał, choć z nerwów kręciło mu się w głowie. Malaki podszedł do fortysytowej sztaby, ściskając w rękach metalowe szczypce. Antonio stanął przy jego boku,



a tymczasem inni mistrzowie zebrali się przed pomieszczeniem, niepewnie zaglądając do środka. Tworzenie miecza dla maga bitewnego było wydarzeniem uroczystym i rzadkim. Kto uważnie mu się przyglądał, ten mógł żywić nadzieję, że stał uchyli przed nim choć rąbka swych tajemnic, niepojmowalnych dla zwykłego człowieka.



Na zewnątrz w bladym cieniu zapadającej nocy stał mag. Odbyty przez niego trening umożliwił mu słyszenie pieśni magicznie podgrzewanego miecza. Przyszedł tu na przespiesi; miał donieść wielkiemu veneratu Thrallowi, czy udało się wykuć miecz maga bitewnego. Mistrzowi zależało na tym, by rytuał rozpoczął się bez zakłóceń. Mag czekał więc cierpliwie, aż miecz będzie ukończony, by następnie zdobyć go i umieścić w L'obscurité, gdzie zostanie złożony w środku labiryntu, by stanowić nagrodę za przejście próby, wspaniałomyślnie przyznaną kandydatowi przez czarodziejów, prawdziwych władców magii. Oraz jako symbol tego, że to oni władają mocą, o którą nieudolnie starają się magowie bitewni.



Na oczach Falka metal zaczął wydzielać mętne czerwone światło, które robiło się coraz jaśniejsze i jaskrawsze, aż stało się pomarańczowe, a w końcu żółte. Rzucił okiem na Aureliana, dostrzegł jego ściągniętą w wysiłku twarz, gdy ten powoli podnosił temperaturę stali. Ta czynność całkowicie różniła się od prostego przywołania kuli ognistej. Wymagała samokontroli i powściągliwości, z których Aurelian nie słynął. Ale starał się jak mógł, a stojący obok Nicolas Dusaule również trwał w niezmaconym skupieniu. Wspólnymi siłami natchnęli stal swoją mocą, a z żółtej stała się biała. Lecz nie przestawali jej podgrzewać.

Falko na powrót skupił uwagę na klindze, która jaśniała teraz z taką intensywnością, że musiał zmrużyć oczy. Aurelian powiedział, że z metalu wydobędzie się pieśń, a on już prawie ją usłyszał... Dźwięk przypominający dzwonięcie stali o stal, ale ciągły i ledwo słyszalny, jakby dochodził z bardzo daleka, choć Falko wiedział, że jego źródło tkwi gdzieś głęboko w mieczu. Dźwięk narastał, aż wreszcie zaczął brzmieć jak nuta zagrana na jakimś instrumencie, wysoki ton, osobliwie piękny. Lecz choć piękny, jeszcze odrobinę poza skalą.

– Jeszcze – polecił Falko i poczuł, jak Aurelian wzmaga wysiłki.

Uświadomił sobie, ile obserwujących go ludzi czeka, aż powie „teraz dobrze”. Wciąż nie wiedział, co dokładnie miał na myśli Aurelian, gdy mówił, że rozpozna dźwięk, gdy już dostroi się do właściwego tonu, ale instynkt podpowiadał mu, że to jeszcze nie ten, o który chodzi.

Stojąc przy krótszym boku fortysytowej sztaby, Malaki osłaniał oczy od intensywnego blasku klingi, a z jego twarzy lał się pot.

– Jeszcze – powiedział Falko i kątem oka spostrzegł, że Aurelian rzuca mu niecierpliwe spojrzenie, usiłując podtrzymać przepływ energii.

– Nicolasie! – sapnął.

Nicolas Dusaule złożył ślubowanie, że już nigdy nie użyje swoich mocy do niszczenia i zabijania. Przez moment marszczył brwi, zmagając się z niezdecydowaniem, lecz najwyraźniej doszedł do wniosku, że pomoc przy wykuwaniu miecza dla maga bitewnego nie wchodzi w zakres przysięgi, i stabilizując płyn energetyczny Aureliana, ostrożnie dodał do niego nieco więcej swojej własnej mocy. Ostrze zabłysło jasną, oślepiającą, płonąącą bielą.

– Jeszcze – powiedział Falko, a nuta rosła i potężniała, aż zaczęła przypominać krzyk.

– Falko! – sapnął Antonio. Mistrz zaczął cofać się od główki, ale Malaki stał twardo.

– Nie wytrzymam... więcej... – wycedził Aurelian.

– Jeszcze o ton wyżej – wymówił nieustępliwie Falko, a wszystkie jego myśli skupiły się na mieczu.

Nuta zaczęła coś mu przypominać, upodobniła się do czegoś, co pamiętał, choć nie wiedział skąd. Ale nie osiągnęła jeszcze właściwego tonu.

– Jeszcze... – wydyszał, a dźwięk przerodził się w ogłuszający pisk, a potem wszedł w rejestry, których ludzkie ucho nie było w stanie wychwycić, i stał się ciszą, wypełnioną żalem po utracie, smutkiem, poczuciem winy i strachem. Ale też czymś więcej. Bo gdzieś tam, w tej nieskończonej przestrzeni, ta cisza odbiła się echem, a w nim brzmiała wiara, nadzieja i miłość.

„Istnieją tylko trzy rzeczy obdarzone duszą: człowiek, smok i miecz maga bitewnego”.

– Już... – wydyszał Falko, a Aurelian padł na kolana.

Malaki i Antonio zasłaniaли oczy przed wściekłą jasnością, lecz ona zaczęła teraz gasnąć. Czarny fortysyt zajaśniał odbitym rudawym blaskiem, a ostrze zmieniło kolor ze srebrzystobiałego na wściekle żółty. Antonio przystąpił do Malakiego, a on uniósł szczypce i zbliżył się do ostrza, gotów pochwycić stygnącą główkę.

Sztych i krawędzie wystudziły się najszybciej, a grubsza stal w środku klingi wolniej oddawała ciepło, ale z wolna kolor zaczął blaknąć, aż wzdłuż zboczka zajaśniała niebieskawa pręga wchodząca we

fiolet, podczas gdy sztych i krawędzie przybrały barwę złota.

Siny błękit i złota pszenica.

Malaki, nie wahając się ani chwili, złapał trzpień, uniósł klingę wysoko i zanurzył ją w oleju. Płyn zabulgotał i buchnęły płomienie, ale Malaki ani drgnął.

Nie wiedział, jak długo powinna trwać kąpiel ani czy nawet teraz napięcia stali nie okażą się zbyt duże i ostrze nie pęknie, ale przecież wyrósł w kuźni i był krwią z krwi Balthazaka.

Odczekał jeszcze kilka sekund. A potem wyciągnął ostrze, czarne od osadu i ociekające ciemnym olejem. Położył je na ciepłym skraju paleniska. Nie było piękne, ale proste i solidne. I przetrwało chrzest ognia, który zniszczyłby każdy zwykły miecz.

Ten nie był zwykły.

Był to miecz maga bitewnego i jego wykuwanie dobiegło końca.



Gdy usłyszał o tym Galen Thrall, natychmiast przystąpił do przygotowań rytuału Assay. O brzasku następnego dnia z wieży przybył posłaniec.

– Dwa dni! – wrzasnął oburzony Aurelian. – Żarty sobie stroi?

Ale posłaniec zapewnił go, że wielki veneratu bynajmniej nie żartuje i że rytuał jak najbardziej odbędzie się o zmierzchu za dwa dni. Aurelian był wściekły, ale Falko tylko spojrzał na Malakiego.

– Uwiniesz się? Wykończysz miecz w dwa dni?

Z Malakiego uszło powietrze, ale Antonio zakłaskał z uśmiechem.

– Może nie wyjdzie doskonale i może nie będziemy zbyt dużo spać. Ale tak, to wykonalne.

I tak zaczął się ostatni etap tworzenia miecza: szlifowanie, polerowanie i ostrzenie. A gdy kowale zabrali się do pracy, Falko i Aurelian wrócili do Moździerza, by ostatnie dwa dni spożytkować na trening.



W tym samym czasie siedzący w przydrożnej gospodzie Meredith, któremu brakowało do Furii raptem trzech dni, zjadł wczesne śniadanie, a potem dosiadł konia i rozpoczął kolejny etap podróży. Wciąż bał się, że przybędzie za późno, dokonał więc w pamięci szybkich obliczeń. Falko musiał wrócić do stolicy mniej więcej wtedy, gdy on zawitał w Zaciszu, a więc prawie dwa tygodnie temu. Znając Falka, pewnie natychmiast

poprosił o przygotowanie rytuału, co oznaczało, że trzeba było wykuć mu miecz. Meredith nie był pewien, czy to w ogóle możliwe – stworzyć miecz maga bitewnego w dwa tygodnie.

Nie, z pewnością nie. Ale to nieważne, ani myślał zwalniać tempa czy mitrężyć na szlaku. Nie miał zamiaru ryzykować, że Falko podejdzie do próby, gdy na Bijaku znajdzie się mag taki jak brat Pacatos.



Dwa dni później Falko zakończył ostatnią przedrytualną sesję treningową. Nadszedł dzień próby i popołudnie przeradzało się w wieczór. Ostatni trening nie skupiał się na magii ochronnej ani walce mieczem, lecz na zagrożeniach, które czyhały na Falka w jego własnym sercu.

– Nic nie przedstawia większego zagrożenia niż twoje własne wątpliwości i obawy – rzekł Aurelian. – Ciemność wyciągnie z ciebie to wszystko, zmusi cię, byś stawiał czoła nagiej prawdzie swojego serca.

Wpatrzony w ciemny łuk w przeciwnej ścianie Moździerza, Falko wiedział, że to prawda. Ale przygotował się do rytuału, jak tylko potrafił, i to będzie musiało wystarczyć. Zbierali swoje rzeczy, gdy ponad krawędzią areny pojawił się czeladnik, by poinformować ich, że miecz jest skończony.

– Co jest, chłopcze? – rzucił Aurelian, gdy dostrzegł niewyraźny grymas na twarzy czeladnika.

– Chodzi o to, że... – zająknął się. – Magowie już go zabrali...

Falko zmarszczył brwi, ale Aurelian tylko pokręcił głową.

– Niech go szlag trafi! – syknął. – Thrall nie chce, byś dotknął miecza przed rytuałem.

– Dlaczego?

– Dlatego iż sądzi, że gdy to nastąpi, twoje moce się odblokują.

– A to możliwe?

– Możliwe albo niemożliwe – zachnął się Aurelian. – Tak czy inaczej, miecz znajduje się teraz w sercu labiryntu i jedynym sposobem, by go zdobyć, jest przedarcie się przez wszystkie przeszkody, które magowie postawią na twojej drodze.

## Rytuał Assay

Assay (clem. assaier) – sprawdzać



Zachód słońca zalał Moździerz bladym światłem. Czyste, niebieskie niebo dopiero ciemniało, ale księżyc już wisiał nad górami.

– Dobrze – rzekł Aurelian, podając Falkowi hełm. – Z ciemności zawsze lepiej wychodzi się ku światłu dnia.

Falko słyszał nerwową nutę w jego głosie, nawet jeśli Aurelian starał się myśleć pozytywnie. Tak naprawdę Falko ledwie go słyszał, bo już skupiał całą uwagę na mrocznym portalu po drugiej stronie areny.

Zakuty w pancerz od Antonia Missagliasa, Falko wyglądał groźnie. Magiczne wzory odznaczały się na tle ciemnego metalu. Nałożył barbutę i wziął tarczę, na której widniał teraz wyrysowany gibkimi liniami smok, herb Valencji. Antonio dał mu też miecz. Porządny, ale to nie był jego miecz. Nie ten, który zrodził się pod młotem Malakiego. Ale tak czy inaczej, dobrze było czuć stal w dłoni. Poluzował go w pochwie i stęzał, czując, że zbliżają się magowie. Podniósł wzrok w momencie, gdy Thrall i dwaj inni czarodzieje pojawili się nad krawędzią Moździerza.

– Czas najwyższy! – mruknął Aurelian, kiedy schodzili po schodach.

Oflankowany z obu stron dwoma starszymi magami, Thrall robił wrażenie spokojnego. Cała trójka usiadła na trybunie bliżej areny. Aurelian skinął im głową. Cień szyderczego uśmiechu pojawił się na wąskich wargach Thralla. Ten grymas wypełnił serce Aureliana obawą. Strzelił wzrokiem na trybuny, gdzie Dusaule i Dwimervane siedzieli samotnie niczym jedyni kibice zapomnianej drużyny. Wszystko było przygotowane, wszyscy uczestnicy uroczystości na swoich miejscach. Mag po lewej ręce Thralla wyszedł naprzód.

– Niech wystąpi kandydat chcący poddać się próbie – zawołał, a jego

głos odbił się echem wśród murów areny.

Falko poderwał wzrok, a Aurelian spojrział na niego. Na jego twarzy malowała się śmiertelna powaga.

– Będziemy tu, gdy wyjdiesz.

Falko skinął głową i bez słowa wyszedł na środek, gdzie gromił go zimnym, obojętnym wzrokiem czarodziej przemawiający w imieniu pozostałych.

– Falko Danté – zwrócił się do niego dźwięcznym głosem – zebraliśmy się tutaj, by dopełnić twojego szkolenia na maga bitewnego. By sprawdzić, czy jesteś dość silny, by chronić armie Furii przed płonąca potęgą nieprzyjaciela. Ból, poczucie winy i strach to oręż, którym chce cię powalić przeciwnik. I ten właśnie oręż stanie się narzędziem twojej próby. Jeśli przejdziesz ją pomyślnie, udowodnisz, że jesteś godzien pokładanego w tobie zaufania, że jesteś godzien zwać się magiem bitewnym. Czy przyjmujesz to wyzwanie?

Falko wpatrywał się w niego przez szczelinę barbuty.

– Tak.

– Czy świadomie i z własnej woli przystępujesz do rytuału Assay?

– Tak.

– A zatem niech światłość zlituje się nad twoją duszą.

Mag czekał na jakieś potwierdzenie ze strony Falka, ale on nie skłonił się ani nie zasalutował. Po prostu wpatrywał się w niego. Mag zjeżył się, obrażony, ale uśmiech na twarzy Thralla tylko się poszerzył. Zobaczymy, myślał, czy będziesz taki hardy, gdy już wywleczymy cię zapłakanego i złamanego z otchłani labiryntu.

Cedo.

Falko usłyszał to słowo, jakby Thrall wymówił je w jego umyśle, ale nie miał zamiaru ugiąć się przed wielkim veneratu, nie miał zamiaru nawet pomyśleć tego słowa. Natychmiast wyrzucił je z głowy, a wtedy uśmiech spełził z ust Thralla. W kolejnym geście sprzeciwu dobył miecza i zawiesił wzrok na magach, a potem odwrócił się do nich plecami i czując, jak serce w jego piersi zrywa się do biegu, ruszył ku mrocznemu portalowi po drugiej stronie Moździerza. Przystanął na chwilę przed nagim, niestrzeżonym progiem, a potem ruszył przed siebie do miejsca, które zwano L'obscurité.



Ciemność pochłonęła Falka jak natarczywa mgła, lecz zaraz zaczęła się z wolna rozwiewać, gdy drogę przed nim oświetliły zawieszane na ścianach nieregularne kryształowe płytki osadzone w czarnych

kinkietach. Wydzielały bladozielone światło i Falko widział teraz, że znajduje się w korytarzu utworzonym z idealnie dopasowanych kamiennych bloków. Mimo że półmrok był nasycony cieniami, Falko dziękował losowi za choć tę odrobinę światła.

Przed wejściem do portalu strach krył się gdzieś z tyłu jego głowy, lecz teraz zaczął pełznąć naprzód i Falko miał wielką ochotę cofnąć się i wrócić w bezpieczne objęcia areny, albo chociaż tylko obrócić się i przekonać, że przejście wciąż jest za jego plecami. Lecz mag powiedział prawdę. Falko wybrał swoją ścieżkę. I nie zawróci z niej przy pierwszym zetknięciu ze strachem.

Z uniesionymi tarczą i mieczem ruszył przed siebie. Przeszedł pięćdziesiąt, a potem sto stóp. Odgłos jego oddechu odbijał się echem od ścian, tak jak strudzone kroki i szuranie obutych stóp na chropawych kamiennych płytach podłogi. Powietrze było zimne i wilgotne, nasiąkłe stęchlizną grobowca. Był tu najwyżej od kilku minut, ale już wyczuwał, że upiorne miazmaty tego miejsca zaciskają się na jego umyśle, ohydne demoniczne szepty i przemożne wrażenie, że nie jest sam, że jest tu ktoś jeszcze, że coś wisi nad nim i czai się na granicy jego pola widzenia.

Z początku słyszał tylko ciche, ulotne dźwięki. Niektóre z nich, mógłby przysiąc, emanowały z jakiegoś miejsca w głębi korytarza, podczas gdy inne rozbrzmiewały tak blisko, że oglądał się raptownie, zaskoczony i dezorientowany. Ale gdy zapuszczał się głębiej w trzewia tunelu, szepty stały się wyraźniejsze, choć przemawiały do niego w języku, którego nie rozumiał. Słowa były obce, ale wsączony w nie jad – jak najbardziej rozumiały. Falko starał się je ignorować. Wmawiał sobie, że przecież szept nie może go skrzywdzić, ale serce przeczyło tej tezie.

Mijał przejścia i nisze wypełnione lepkiem cieniem, za każdym razem spodziewając się, że wychynie z nich jakaś ohydna kreatura, która porazi go rozdzierającym wrzaskiem. Te puste przestrzenie zaczęły igrzać z jego umysłem, podobnie jak łaty czarnego cienia rozsiane między rozstawionymi szeroko kinkietami. Gdyby władał ogniem, rozświetliłby ten mrok i uśmierzył swój strach, ale bez niego mógł tylko uzbroić umysł i przeć naprzód. Nieco dalej natknął się na rozwidlenie. Dwie drogi odbijały w dwie przeciwne strony, w lewo i w prawo. Musiał którąś wybrać, lecz obie dwa kroki dalej rozpląwały się w ciemności. Niczym się od siebie nie różniły. Ale z jakiegoś powodu Falko odczuł, że przyciąga go prawa odnoga. Oczywiście nie miał pewności, czy to dobra droga, ale to delikatne przeczucie było wszystkim, co miał.

Ruszył więc naprzód i wtedy po raz pierwszy poczuł obecność magów, przeciwstawną wobec jego własnej. Było tak, jakby labirynt nagle go zauważył, jakby wiszące w powietrzu szepty poznały najmroczniejsze sekrety jego serca. To wrażenie sprawiło, że opuścił

gardę i poczuł się obnażony, nagi. A to był przecież dopiero początek jego starcia z magami. Zaciśnął zęby. Ruszył naprzód.

Kierowany niczym innym jak tylko niejasnym przeczuciem, iskrą intuicji, parł przez labirynt, gdy tymczasem szepty jeszcze się nasiliły, jeszcze zyskały na natarczywości. Zaczął coraz częściej nerwowo się oglądać, jakby czuł, że to coś, co go śledzi, depta mu już po piętach. Usiłował przekonać sam siebie, że to tylko wytwór jego wyobraźni, ale po dwóch krokach zatrzymał się gwałtownie.

I okręcił się powoli. W przejściu za nim coś było. Szepty odpłynęły, jakby i one się złąkły. Tam, w zacienionym miejscu między dwoma zielonymi kryształami. Wyteżył wzrok, starając się dostrzec, co to jest. Chwycił mocniej miecz i tarczę, a potem spał się, gdy wrzeszczący kształt popęzł w jego stronę. Stawał się coraz większy i coraz głośniejszy, aż hałas wypełnił całe przejście. A potem stanął i umilkł. Znieruchomiał dwa kroki od Falka.

Serce tłukło mu się w piersi. Cofnął się przed unoszącą się w powietrzu postacią. Światło było zbyt przytłumione, by mógł dostrzec coś poza niepokojącym, zamazanym cieniem. Aż podskoczył, gdy coś przemknęło po jego policzku. Lekki dotyk, niemal niedostrzegalny. Jak to możliwe, że poczuł go pod hełmem? Zaszokowany tym, jak bardzo przeraził go zwykły dotyk, zrobił dwa kroki w tył, a wtedy to coś przed nim wypuściło z siebie niski, na wpół ludzki, na wpół diabelski pomruk. Światło wydobywające się z kryształowych płytek raptem pobladło, jakby dławiał je duszący płaszcz zła.

W prawie całkowitej ciemności Falko poczuł ostre szarpnięcie za skórę szyi. Coś wbiło się w jego ciało i zaczęło je rozdzierać. Z krzykiem odskoczył w tył i machnął mieczem, ale ostrze świsnęło w powietrzu i skrzesało iskry na kamiennej ścianie. Błysk opromienił przerażającą, zakapturzoną postać i wystraszony Falko odskoczył w tył, ale upiór pomknął za nim. Młodzieniec syknął przez zęby, gdy poczuł pod pachą dwa ostre punkty i gorący, kłujący ból w głębi podbrzusza. Sapnął, gdy niewidzialne szpony wdarły się w jego ciało, a potem wrzasnął, gdy się z niego wyrwały.

Rozpaczliwie zamachał tarczą i mieczem, ale bezskutecznie. Coś zaczęło szarpać jego gardło i Falko puścił się biegiem. Potknął się, biegnąc prawie po omacku przez ledwie zarysowany w ciemności korytarz, gnany przez złego ducha, który miał za nic jego pancerz i oręż. Falko nie miał jak z nim walczyć, nie mógł odpędzić go światłem ani ogniem. Mógł tylko uciekać.





Uśmiech powrócił na usta siedzącego w Moździerzcu Thralla. Nie wiedział dokładnie, co się w tej chwili dzieje w labiryncie, ale wyczuł pierwsze rysy na psychice kandydata. Rysy, które łatwo będzie poszerzyć i pogłębić, aż jego umysł pęknie jak rozdarta lodem skała.

Siedzącemu po drugiej stronie areny Aurelianowi serce podchodziło do gardła. Widział zadowolenie wypisane na twarzy Thralla. Znał wspólną historię Falka i Morgana Sakera, ale nie mógł zrozumieć, z jakiego powodu Thrall tak bardzo pragnie porażki kandydata. Magowie od zawsze robili, co mogli, by postawić przed młodym magiem bitewnym jak najtrudniejsze do pokonania przeszkody, ale nigdy jeszcze nie widział, by surowość i niechęć przerodziły się w osobistą animozję. Przychodziło mu na myśl tylko jedno wytłumaczenie: magowie przypuszczali lub wiedzieli, że Falko kiedyś zwróci się przeciw nim, tak jak zrobił to wcześniej jego ojciec. Aurelian nie wierzył, by tak miało się stać, ale nie mógł przecież całkiem wykluczyć takiej ewentualności. W końcu jeśli coś takiego przydarzyło się Aquili Dantému, mogło się przydarzyć każdemu.

Ale cokolwiek szykowała dla nich przyszłość, jedno było pewne. Jego uczeń był osaczony w labiryncie.



Falko stracił poczucie czasu i orientację. Tkwił uwięziony w świecie koszmaru, gdzie nie potrafił już rozróżnić, co jest prawdziwe, a co nie. Uciekał przed okrutną zmorą, aż wpadł do komnaty oświetlonej zielonymi kryształami. W środku pomieszczenia stała postać zakuta w stal, uzbrojona w miecz i tarczę. Z jej postawy Falko wywnioskował, że to strażnik, który będzie chciał go tu zatrzymać. Tylko że ta postać nie była człowiekiem. Jej ciało było ulepione z dymu, który kłębił się pod podobną do skóry powłoką z niebieskawej energii.

To animaré, wyczarowany przez magów konstrukt, postać utkana z magii, zakuta w prawdziwy pancerz. Animaré emanował mocą, a Falko uświadomił sobie, że to nie jest żadna niezgrabna marionetka. Mag, który go kontrolował, z pewnością potrafił walczyć. Ale Falko spędził ostatnie siedem miesięcy, trenując z wojownikami pokroju Malakiego i Quirrena. Stoczył bój z czarnymi kardakami i Pogromcą o dwóch mieczach. Stał się wreszcie wojownikiem, którego zapowiadały wczesne lata jego życia, czymś, z czym nie może się równać jakiś zasuszony czarodziej.

Obejrzawszy się lękliwie w kierunku portalu, Falko postanowił skupić rozbiegane myśli i uspokoić oddech, po czym ruszył ku magicznej

zbroi, przyjmując pozycję bojową. Wreszcie przeciwnik, z którym może walczyć. Był gotowy na jego atak, a mimo to jego prędkość zbiła go z pantafelów. Animaré był przerażająco szybki i walczył z precyzją, jakiej Falko wcześniej nie doświadczył. Ale był też przewidywalny i z wolna Falko zaczynał zdobywać nad nim przewagę. Zablokował świetnie wymierzone cięcie i sparował sekwencję doskonale wyprowadzonych pchnięć, a potem sam rozpoczął kontratak. Wymusił na zbroi otwarcie i już miał zadać ostateczny cios, gdy animaré zmienił się w Alexa. Falko niemal zwichnął nadgarstek, przerywając potężny cios.

Skąd Alex się tu wziął i czemu chce go zabić?

Poczucie winy i zmieszanie zachmurzyły jego umysł. Raptem zaczął kwestionować sens swojej walki. Wahanie drogo go kosztowało. Zatoczył się od ciosu, który trafił go ciężko w hełm, gdy twarz przeciwnika zmieniła się w pozbawioną rysów maskę roziskrzonych energii. Walka toczyła się dalej, Falko odzyskał kontenans, ale za każdym razem, gdy już miał zadać decydujący cios, animaré przemieniał się w kogoś, kogo znał: Malakiego, Brynę, Dusaule'a. Mamidła były niesłychanie przekonujące i zwykły człowiek już dawno załamałby się pod naporem poczucia winy i dezorientacji. Ale mag bitewny jest oswojony z kłamstwami nieprzyjaciela, a one są subtelniejsze i okrutniejsze od każdego oszustwa, które mogło zrodzić się w głowach magów. Iluzja była doskonale spreparowana, lecz Falko przeniknął do jej sedna.

Nawet jednak dokonawszy tego, potrzebował pełni swojej determinacji, by zadać decydujący cios i wbić miecz w szyję emisariusza. Jakaś część jego umysłu krzyczała, że to nie jest prawdziwy Chevalier, i Falko wierzył jej, a jednak miazdzące poczucie winy nie chciało się rozwiązać. Jeszcze jeden ciężar, jaki będzie musiał dźwigać w czasie swojej podróży przez labirynt.

W kącie pomieszczenia dostrzegł kolejne zakończone łukiem przejście, które przyciągało go do siebie, i Falko zmusił się, by ponownie wkroczyć na nawiedzone ścieżki, gdzie czekały na niego niewidzialne koszmary, ostrzące sobie zęby na jego znękany umysł. Gdy pokonał je i znalazł się w kolejnej komnacie, potykał się ze strachu i doskwierał mu ból niezliczonych iluzorycznych ran. Zachwiał się i oparł plecami o ścianę pomieszczenia zalanego rozedrganym blaskiem ognia. Trzęsąc się z wysiłku, usiłował zdławić kolejny atak przerażających obrazów, które to przekłete miejsce wsączało do jego umysłu. Rozejrzał się, by zorientować się w otoczeniu.

Pokój mógł mieć piętnaście stóp długości i dwadzieścia szerokości. Płomienie wyrastały wprost z nagich kamieni, tworzących na podłodze jakiś piekielny labirynt. Gdy Falko obmyślił drogę do wyjścia, płomienie rozbuchały się, jakby reagowały na niego, jakby go znały. Raptem

przypomniał sobie słowa Meredith:

„Jeśli mój ojciec będzie na Bijaku, będzie próbował powstrzymać cię ogniem”.

Falko nie wątpił, że następnym umysłem na jego drodze jest Morgan Saker.

Schował miecz do pochwy i ruszył naprzód, przeczesując palcami płomienie, skupiony na celu, jakim było dotarcie do wyjścia po przeciwnej stronie pokoju. Ale żar wkrótce stał się nieznośny i Falko musiał otoczyć się barierą obronną. Między płomieniami nie było już luk. Falko napierał teraz wprost na ich ścianę. Skryte pod rozgrzanym pancerzem ciało było zlane potem. Gorące powietrze parzyło go w gardło i płuca. Ale jego czary obronne były niezwykle silne i Falko wiedział, że zdoła przedrzeć się na drugą stronę. Wówczas wyczuł w drgającym powietrzu jakiś zapach. To była woń płonącej sosny i Falko natychmiast cofnął się w swoim umyśle do ostatniej chwili, gdy czuł ten gryzący śwąd.

Znów miał pięć lat i stał w płonących zgliszczech swojego domu. Dym szczypał go w oczy i gardło, ale był zbyt oziębiały od rozpacz, by się tym przejąć. Powiedzieli mu, że jego ojciec nie żyje. Nie chciał im wierzyć, choć wiedział, że nie kłamią. Pobiegł do willi i odkrył, że ta płonie. Wpadł do środka, ale dom był pusty, a szalejący ogień uprzytomnił mu, jak bardzo, jak dogłębnie jest samotny.



Ze wszystkich rzeczy, które mogły mu się w życiu przytrafić, ta z pewnością była najgorsza. Już nigdy nie otoczą go silne ramiona ojca. Człowieka, który latał z nim na grzbietach smoków i nauczył trzymać miecz; śmiał się wraz z nim, droczył i opowiadał o kobiecie, której nigdy nie poznał. Która żyła jedynie tyle, by zdążyć raz uściskać syna. Kochała go nawet wtedy, gdy zabierała ją śmierć – powiedział mu ten człowiek. Ale jego już nie było. Jego ojciec nie żył. A skoro tak, kto teraz przekona go, że tamta kobieta w ogóle istniała?

Falko krzyknął, gdy płomień żałości otoczyły jego serce. Ogień wypełnił pomieszczenie, a łzy na policzkach wyparowały, gdy tylko je uрониł.

Nie.

Nie był już małym chłopcem uwięzionym w płonącym budynku. Oplakał rodziców. Przetrwał tę rozpacz i żył z tym, co z niej zostało. Nie pozwoli jej się zniszczyć, a jednak płomień był jak fizyczna, nieprzebyta bariera na jego drodze i Falko uprzytomnił sobie, że napiera na umysł Morgana Sakera. Wola maga była tak silna jak zawsze i Falko nie miał pewności, czy zdoła ją złamać, ale uniósł tarczę i naparł z mocą naprzód. Morgan Saker uderzył jednak w niego kolejnymi

wspomnieniami nawleczonymi na poskręcane ogniste włókno.

Płonący Dariusz, który naciera na czarnego smoka. A potem spada wraz z nim w przepaść.

Zapach z kuźni ojca Malakiego i on sam, martwy, w poobijanym pancerzu.

Symeon klęczący przed potokiem ognia wiecznego, kolejna dusza, której nie zdołał ocalić.

Falko padł na kolana i ponownie wyciągnęły się po niego płomieniste szpony. Jego skórzane spodnie zaczęły dymić, skóra twarzy pokryła się pęcherzami, a jego wola poczęła się sypać w obliczu ogromu jego win.

„Cedo...”

Przez huk ognia przebił się głos Morgana Sakera:

„Podдай się i wszystko się skończy”.

Morgan Saker był bezlitosny w swoich przygotowaniach. Pewny, że żaden człowiek nie zdoła przejść przygotowanego przez niego testu, a zwłaszcza ktoś, kogo znał tak dobrze jak Falka. Ale pomylił się w jednym istotnym szczególe. Nie można pokonać maga bitewnego, przypominając mu o tych, których kocha. Można go dręczyć i sprawiać mu ból, ale takie wspomnienia tylko dodadzą mu sił.

Zebrawszy siły, Falko dźwignął się na nogi i wbił wzrok w otaczające go płomienie. Nabral tchu, a gdy to robił, ogień jakby zacieśnił się wokół niego, lecz wówczas zamknął oczy i pozwolił mocy wypełnić swoje ciało. Niczym umierająca gwiazda, która zapada się do środka, nim eksploduje, Falko wybuchnął niszycielską magiczną energią. Płomienie zgasły jak zdmuchnięta świeca, a w pobliskiej komnacie Morgan Saker osunął się na kolana, gdy jego moc rozpięzchła się przed chłopcem, którego zawsze miał za słabeusza.

Kiedy magiczne świerzbienie opuściło jego ciało, Falko otworzył oczy. Potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, gdzie się znajduje, i ponownie przyzwycząić wzrok do mętnego blasku zielonych kryształów na ścianach. Poparzona skóra bolała i całe jego ciało musiało dopiero otrząsnąć się ze spotkania z niszycielskimi płomieniami Sakera. Ślady skumulowanej rozpacz nie opuściły jeszcze jego duszy, ale Falko nie miał czasu na żal i smutek. Każda minuta spędzona w tym piekle nadwyręzała siłę jego postanowienia i wytrzymałość ciała, pognął więc naprzód, z powrotem w mroczne tunele labiryntu, gdzie czekały na niego wszystkie koszmary dzieciństwa.

Wszystkie demony, cienie i złe, mordercze dzieci o wykrzywionych twarzach i białych, trupich oczach. Pełzające stwory o długich i ostrych zębach, żujące i ssące, robactwo wpełzające pod skórę i stara, szalona kobieta o szlamistoczarnych włosach i szaleńczych iskrach jaśniejących w pustych oczodołach. Wszystkie te potworności przybyły, by karmić się jego męką, a Falko nie mógł się przed nimi bronić. Mógłby je pokonać

ognistym zaklęciem, ale nie posiadał takiej mocy, a więc chwiał się na nogach pod ich naporem, znosił ich zęby i pazury, i ostrza, które wypełniały jego umysł otepiającym bólem.

Odurzony strachem, majaczący ze zmęczenia, był u kresu sił. Potykając się w mroku, co chwila lądował na kamiennej podłodze, a miecz wysuwał się z jego zgrabiących dłoni. Paski tarczy oplątały mu rękę, gdy oparty o ścianę dźwigał się do pionu, obracając tyłem do kierunku marszu i widząc za sobą wyłaniającą się z mroku starą kobietę. Nie szła, ale pełzła na opuchniętych kolanach, podpierając się wykrzywionymi artretycznie knykциями, przybliżając się ku niemu z nienaturalną prędkością.

Otumaniony paniką Falko odwrócił się od niej, zakołysał na nogach, które nie chciały dać się zmusić do wysiłku, a przerażająca postać mknęła za nim z rozciągniętą w obrzydliwym uśmiechu paszczą i zmarszczonymi brwiami – nabrzmiały trup splawionej wiedźmy. Jeszcze parę stóp – i go dorwie. Jeszcze dwa kroki – i jej zgniłe zęby wgryzą się w jego szyję, a palce będą zdzierać mięso z jego twarzy paznokciami, które będą łamać się jak ohydne drzazgi.

Gnany desperacją Falko uciekał, ale ona doganiała go, machając długimi ramionami o rozcapierzonych jak szpony palcach, usiłując go dosięgnąć. Wiedział, że nie może już uciekać, że nie ma innego wyjścia, jak tylko się poddać, lecz w momencie, gdy słowo zaczęło formować się w jego umyśle, wpadł do kolejnej komnaty. W tunelu koszmary zawisły beczynnienie w ciemności i nawet szepty odbiegły na granicę słyszalności. Raptem Falko zaczął odczuwać wielki strach przed odwróceniem się przodem do środka pokoju. Co w nim jest, czego obawiała się ta czereda potworności? Wreszcie odnalazł w sobie odwagę i gdy to zrobił, niemal zapłakał z ulgi.

Znalazł się w okrągłej komnacie, której ściany niknęły w mroku, a w niej, w kałuży bladego światła rozlanej pośrodku pomieszczenia, dostrzegł swój miecz, który wykuł dla niego przyjaciel. Miecz śpiewający w ciszy pieśń, która na zawsze zapisała się w jego duszy.



Księżyc stał już wysoko, gdy Meredith przybył do wieży magów w Furii. Pomimo zmęczenia wspinał się po schodach i poszedł prosto do prywatnych komnat Thralla. Tylko po to, by na drodze stanęły mu zamknięte drzwi. Uniósł rękę i zaczął walić w ciemne, polerowane drewno.

– Co tu się dzieje? – spytał przechodzący obok mag, zdumiony

widokiem nowicjusza dobijającego się do komnat mistrza.

– Muszę mówić z wielkim veneratu.

– Nie ma go tutaj – odpowiedział mag. – Czcigodny mistrz bierze udział w rytuale Assay w Moździerz.

Wiedziałem, pomyślał Meredith.

– Którzy magowie są na Bijaku? – syknął, podchodząc. – Imiona.

– Skąd miałbym wiedzieć? – bronił się czarodziej, cofając pod ścianę.

Meredith westchnął z irytacją i odwrócił się, chcąc wybiec z wieży, lecz raptem się zatrzymał. Istnieje szybszy sposób, by się tego dowiedzieć. Zostawił starszego maga na korytarzu, by w samotności oburzał się na ten brak szacunku, po czym pomknął do celu, gdzie kontemplował dziedziny swoich studiów i gdzie miało miejsce jego pierwsze spotkanie z bratem Pacatosem.

Meredith przeskoczył kilka ostatnich schodów. Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł strażników, pilnujących obłąkanego mnicha. Popędził długim korytarzem, czując narastające uczucie zagrożenia. Niemal spodziewał się usłyszeć ten straszny głos, ale wszędzie panowała cisza. Jeszcze zanim dopadł do celi na końcu tunelu, wiedział już, że znajdzie ją pustą.

Brat Pacatos zniknął, a gdy Meredith domyślił się, gdzie jest, oblał go zimny pot.



Falko widział go pierwszy raz, ale rozpoznał go natychmiast. Valencki miecz półtoraręczny o niespotykane pięknych proporcjach i trzonie, na którym zmieszczą się zarówno jedna, jak i dwie ręce. Klinga była nieco zbyt krótka, by sprawić się w pojedynku, ale idealna dla mieczowników walczących z tarczą. Jej waga i krój były perfekcyjnie dopasowane do prostej stalowej rękojeści, pokrytej grawerunkiem przedstawiającym splecione w boju smoki. Żadnych frymuśnych detali, żadnych przesadnych ozdobników, które świadczyłyby o bogactwie i władzy. To był miecz maga bitewnego. Jego siła i moc kryły się w środku.

Widok miecza wypełnił serce Falka nadzieją, ale wzbraniał się przed przesadną ekscytacją. Miał wrażenie, że rytuał zakończył się o wiele za szybko.

Wysunął ramię z poplątanych rzemieni tarczy. Sięgnął wokoło umysłem, szukając ostatniej przeszkody na drodze do celu. Czuł jedynie proste pole energetyczne, które trzymało miecz w miejscu. Nic groźnego, skupienie energii miało jedynie za cel uniemożliwić mu przyciągnięcie miecza do siebie siłą woli. Będzie musiał wziąć go do ręki. Ale to

wszystko. Nie stała już przed nim żadna przeszkoda. I całe szczęście, bo nie czuł się na siłach, by stawić czoła kolejnemu wyzwaniu.

Stanął na nogach i ruszył naprzód. I wtedy to poczuł. Poza mieczem było w komnacie coś jeszcze. Z ciemności wyciągała do niego macki bluźniercza aura. Coś, a raczej ktoś zdjął magiczną maskę, za którą się krył. Dziesięć stóp za mieczem zimne światło wydobyło z ciemności mężczyznę siedzącego na kamiennym krześle. Mężczyznę zniszczonego nie tyle wiekiem, ile nieubłaganym upływem czasu.

Był ubrany w brudne szaty maga, jego nagie ramiona były poszarzałe i zniekształcone, naznaczone otwartymi wrzodami i podobnymi do sińców plamami fioletu i czerni. Usta miał cienkie i pokurczone, odsłaniające pieńki połamanych zębów. Kosmyki włosów czepiały się jego wyłysiałej czaszki, obciążonej przezroczystą skórą skropioną wątrobowymi plamami i szlakami ciemnych naczyń krwionośnych, jakby krew w jego ciele zmieniła się w atrament. Falko wziąłby go za trupa, gdyby nie złe światło jaśniejące w jego mlecznobiałych oczach.

– Salutări tineri Falcon. Bun venit la moarte – zaintonował mężczyzna, a Falko gapił się na niego podejrzliwie, tknięty nowym rodzajem przerażenia. Ten posłaniec śmierci przemówił językiem, na którego dźwięk przeszedł go dreszcz, ale jego miecz był niemal na wyciągnięcie ręki i trzeba czegoś więcej niż szalonego, starego maga, by go teraz powstrzymać. Falko jednak nie docenił siedzącej przed nim istoty.

Urodzony ponad czterysta lat temu, brat Pacatos był niegdyś starszym badaczem w dalekiej wieży magów Ossandzie. Był też ostatnim świadkiem Wielkiego Opętania. Wydarzenia tego dnia zniszczyły jego umysł, choć są tacy, którzy twierdzą, że od zawsze ciągnęło go w mrok.

Jego prawdziwe imię przypadło w mgłach czasu. Teraz znany był pod imieniem, które nadano mu, gdy uległ deprawacji. Imieniem zaczerpniętym ze starożytnego języka wroga. Pacatos. Grzesznik.

Falko nie wiedział o tym wszystkim, gdy rzucił się w kierunku miecza, lecz nie zdążył zrobić dwóch kroków, gdy uderzyła go siła umysłu Grzesznika. Potęga brata Pacatosa zalała jego umysł wszechogarniającym wrażeniem zepsucia. Falko czuł, że coś ohydnego wdarło się przemocą do jego czaszki, i nie mógł myśleć o niczym innym jak tylko o tym, by wyrwać to z siebie. Zdarł barbutę z głowy i wbił paznokcie w ciało pod prawym okiem, a sędziwy mag roześmiał się. Nie był to jednak chrapliwy wizg śmierci, jakiego można się było po nim spodziewać, ale głęboki, gardłowy śmiech, który odbił się echem po pomieszczeniu.

Krew spłynęła Falkowi po policzku, ale jakaś cząstka niego pojęła istotę tego ataku. Samookaleczenie było szczególnie groźną bronią w rękach wroga. Wystarczy przekonać przeciwnika, że nie przedstawia



sobą żadnej wartości lub że ta wartość została splugawiona, a sam obróci się przeciwko sobie. Nieludzkim wysiłkiem woli Falko opuścił ręce.

Oddzielony od niego mieczem mag skrzywił się, rozeźlony napotkanym oporem i zaskoczony, że jeden człowiek mógł oprzeć się morderczej sile jego sugestii. Nawet najzatwardzieli strażnicy wieży nie wchodzili do jego celi inaczej jak we trójkę, a czasem nawet okazywali się nie dość silni, by go okiełznać. Zły grymas przemienił się w maskę skupienia, gdy brat Pacatos uniósł zmumifikowany palec i wycełował prosto w serce Falka.

Falko padł na kolana, gdy krew w jego żyłach zmieniła się w jakąś ohydną, płonąca maź. Zdjął rękawice i patrzył, strwożony, jak żyły na wierzchu jego dłoni stają się czarne. Usiłował dźwignąć się na nogi, ale te miał zdrętwiałe i ciężkie jak ołów. Wiedział, że nie utrzymają jego ciężaru. Padł twarzą do ziemi i zaczął się czołgać, gdy siatka czarnych linii rozciągnęła się na szyję i rozlała pod bladą skórą jego twarzy.

Strach krzyczał w jego głowie, gdy czarna trucizna nabiegła do maleńkich żyłek w jego oczach. Zaczął płytko oddychać, a jego serce targnęło się w piersi, gdy maź zatkała mu naczynia krwionośne. Żołądek skręcił się i Falko charknął cuchnącą, czarną wydzieliną, która zalegała też w jego nosie i gardle. Wreszcie świat wokół niego zaczął znikać, gdy jego oczy zamgliły grube, szare katarakty.

Ale wciąż pełzył naprzód.

Zagubiony w ślepym cierpieniu, lgnął ku jednemu światłu, które nie zatoneło jeszcze w jego umyśle. Nie dlatego, że liczył na odkupienie, lecz ponieważ nie mógł zrobić nic innego. Po tym wszystkim, co przeszedł, to nie knowania czarodziejów rzuciły go na kolana, ale plugawa magia ostatniego żyjącego świadka. Pozostali magowie na Bijaku tylko próbowali go złamać, zmusić, by się poddał. Ten żywy trup nie będzie tak litościwy. Brat Pacatos nigdy nie pozwoli mu się poddać. Falko mógłby krzyczeć „cedo”, aż pękłyby mu płuca, lecz teraz nikt by go już nie uratował.

Pacatos pożerał jego ciało od środka, umysł Falka przyćmiło pierwotne zło. Powinien po prostu zwinąć się w pozycję płodu i poddać rozpaczy, ale wciąż czołgał się naprzód, a gdzieś zza jego miecza brat Pacatos wypluł suche, jadowite przekleństwo. W Falku nie zostało już nic z siły woli Przeciwnika, a jednak jakimś cudem parł do przodu. Gnijący starzec pochylił się na krześle, wydał z siebie sykliwe warknięcie i podwoił wysiłki. Ale Falko się nie zatrzymywał.

Warczenie Grzesznika przeszło w suchotnicze rżenie, gdy ściany labiryntu zaczęły drżeć. Pomieszczenie wypełniły chmurki pyłu, a od sufitu i ścian zaczęły odpadać bryły kamienia. Niektóre z tych, które spadły na Falka, odbiły się niegroźnie od zbroi, ale jeden uderzył go

w odsłoniętą głowę. Falko opadł na ziemię, na moment tracąc zmysły. Nie miał już sił, by otoczyć się tarczą energii, kolejne odłamki biły go po głowie i ramionach, ale od miecza dzielił go już tylko jard. Sięgnął po niego trzęsącą się ręką. Ale gdy to zrobił, poczuł chwytające go za gardło niewidzialne palce.

Brat Pacatos zaczął zaciskać wyrzuconą przed siebie szkieletową dłoń. Pod żadnym pozorem nie mógł pozwolić Falkowi dotrzeć do miecza. Broń śpiewała dla Falka cichą pieśń wiary, ale Grzesznik słyszał w niej obietnicę odkupienia, a dla tych zagubionych w ciemności nie było straszliwszej konfrontacji niż ta z samym sobą, splugawionym i zdeprawowanym, i nie istniało nic trudniejszego od tchnienia we własną gnijącą duszę leczniczej iskry życia. Nie istniała w piekle tortura dotkliwsza od tej, a więc stary mag robił, co mógł, by wydusić z Falka ostatnie tchnienie. Czterysta lat szaleństwa, cierpienia i psychotycznej wściekłości. Wypłuł z siebie to wszystko.

W skrytych za zaćmą oczach Falka zaczęło gasnąć światło. Ciemność innego rodzaju obłapiała jego umysł, ta, z której nie ma już powrotu. Doszedł do kresu zwykłego, ludzkiego cierpienia. Lecz wówczas jego palce złapały rękojeść miecza, miecza, którego nigdy wcześniej nie dotknął, ale który znał całe życie.

Był to przedmiot z metalu, zwykły i martwy, a jednak dodał mu sił.

Stary mag wyczuł rozpalającą się w nim iskrę nadziei i wzmocnił atak, by ją zdeptać. Odnowione natarcie było niczym krzyk, który rozdarł psychikę Falka, a jedyną rzeczą zdolną mu się przeciwstawić była cicha pieśń miecza. Ścisnął mocno rękojeść i wówczas skorupy zaćm spadły z jego oczu. Dźwignął się na kolana i oparł się na mieczu, wbijając sztych w podłogę. Przycisnął twarz do stalowej rękojeści i poczuł, jak płonąca trucizna odpływa z żył. Jego ramiona drżały z wysiłku, gdy przywoływał ostatnie strzępy woli, by sprzeciwić się przedwiecznemu umysłowi usiłującemu go zniszczyć.

Walka narosła do intensywności, która darła duszę na strzępy, i obydwaj przeciwnicy wiedzieli, że jest to pojedynek na śmierć i życie. Ktokolwiek padnie pierwszy, przepadnie na zawsze.

Falko wiedział, że musi walczyć, choć jakaś część niego nie dbała już o nic. Świat wydawał się nie istnieć, gdy zagubił się w otchłani poza czasem, gdzieś między ciszą a wyciem.



Moździerz był zalany bladym światłem księżyca. Minęły prawie dwie godziny, odkąd Falko wkroczył do labiryntu. Aurelian odchodził od

zmysłów. Rytuał potrafił trwać i dłużej, ale stary mag bitewny był pewien, że coś poszło bardzo, ale to bardzo nie tak. Z wyrazu twarzy Dusaule'a dało się wyczytać podobne zmartwienie i nawet Dwimervane wydawała się podenerwowana. Smoczyca wpatrywała się w portal. Niski pomruk wezbrał w jej piersi. Aurelian dotknął jej ramienia.

– Nie przejmuj się. Zaraz wyjdzie.

Pomimo narastającej atmosfery niepokoju Aurelian ani myślał uwierzyć, że Falko mógł przegrać. To prawda, nie miał umiejętności ofensywnych, ale władał najsilniejszą magią defensywną, jaką Aurelian napotkał w życiu, i nie wydawało mu się, by istniał na świecie mag zdolny ją zmóc. Gdy bił się z myślami, u szczytu schodów prowadzących do Moździerza pojawił się człowiek. Był to Meredith i nawet z tej odległości Aurelian dostrzegł śmiertelny strach, który władał jego umysłem.

Przerażony Aurelian zwrócił się ku portalowi. I raptem stracił nadzieję. Gdzieś tam w dole leżały zwłoki Falka. Jakby na potwierdzenie tych słów głęboko pod ziemią wzbudził się raptowny impuls energii i z portalu buchnęła wielka chmura kurzu.

W Moździerzu zaległa grobowa cisza. Wszystkie oczy wpatrywały się w ziejącą paszczę portalu. Minuty ciągnęły się jak godziny, a przejście wciąż wypełniał głęboki cień, podkreślony srebrnym światłem księżyca. Minęło dziesięć minut. Potem dwadzieścia. Nikt nic nie mówił, ledwie dało się słyszeć oddechy, aż wreszcie...

W tunelu coś było, ale nie dało się ocenić, czy to Falko, czy może strażnicy labiryntu, ciągnący po ziemi martwego śmiałka, który nie podołał zadaniu. Lecz wtedy w ciemności zarysowała się postać, a księżyc skrzesał na jej pancerzu iskry metalicznych odbłasków. Niczym człowiek budzący się do życia po latach letargu, Falko wyłonił się z ciemności. Jego hełm, tarcza i rękawice zniknęły, ale w ręce dzierżył miecz. Zataczając się z wycieńczenia, zrobił jeszcze kilka kroków i zwrócił się ku magom. Ostatkiem sił uniósł miecz, niczym zwycięski gladiator, lecz wówczas nogi ugięły się pod nim i zwałił się na ziemię.

Niezadowolenie Thralla przybrało niemal fizyczną formę, ale nie miało to już znaczenia. Falko przebył korytarze Oubliette. Stał twarzą w twarz ze wszystkim, co magowie potrafili rzucić w jego stronę – i przeżył. Przeszedł rytuał Assay. I choćby miał wołać na próżno lub przywołać czarnego potwora – uzyskał prawo do przywołania smoka.

## Kim się staniesz



**D**usaule zaniósł Falka do domu zagrodników, gdzie wraz z Aurelianem rozebrali go ze zbroi i umyli, a potem na zmianę nasycali jego ciało leczniczą magią. W tym czasie Meredith poszedł poszukać Malakiego i Bryny, którzy następnie pilnowali przyjaciela, zaś dwaj magowie bitewni udali się do labiryntu po jego rękawice, tarczę i hełm.

– Czy nic im nie będzie? – zatroskała się Bryna.

– Nie martw się – uspokoił ją Meredith. – Żaden mag nie stanie im przecież na drodze, choć nie można też powiedzieć, że podróż przez labirynt będzie łatwa. To miejsce zdążyło przez lata nasiąknąć koszmarem.

Aurelian i Dusaule wrócili po godzinie. Obaj byli bladzi i widocznie zmęczeni, ale mieli ze sobą rzeczy Falka. Znaleźli także pas i pochwę do jego miecza, piękne przedmioty wykonane z czarnej skóry i wzmocnione elementami z polerowanej stali.

Malaki schował miecz do pochwy i położył go przy Falku na łóżku, a potem on i Dusaule zabrali się do czyszczenia jego pancerza, brudnego od ziemi, sadzy i krwi. Gdy pracowali, Aurelian poszedł porozmawiać z Meredithem. Przypomniał sobie strach, który dostrzegł na twarzy młodego maga, gdy ten przybył do Moździerza. Chciał wiedzieć, gdzie leżała jego przyczyna. Meredith powiedział mu wszystko, co wiedział o bracie Pacatosie i swoich dociekaniach mających na celu odkrycie, co dokładnie wydarzyło się podczas Wielkiego Opętania.

– Cholerny Thrall! – zaklął Aurelian, wysłuchawszy uważnie Mereditha. – Jak mógł pozwolić temu szalonemu magowi wziąć udział w rytuale? – Zacisnął pięści, wściekły, ale zaraz się zamyślił, ściągnąwszy brwi. – A co ty myślisz? – spytał. – Uważasz, że ten cały Pacatos rzeczywiście ma czterysta lat?

– To niemożliwe – powiedział Meredith. – Ale mogę się założyć, że

wie coś o Wielkim Opętaniu.

– A są jeszcze jakieś nieodkryte aspekty Wielkiego Opętania? – Aurelian wydawał się zmęczony tym tematem. – Czyli magowie albo się pomylili, albo coś zataili. I co z tego? To zamierzchła historia.

Meredith nie spodziewał się takiej obojętności po starym magu bitewnym, ale nie mógł powiedzieć, by był zdziwiony. Ludzie odnosili się do czarodziejów z ostrożnością podszytą obawą, jaką zawsze darzy się zamknięte koterie o niejasnych dążeniach, lecz mimo to akceptowali ich istnienie z całą ich tajemniczością i skłonnością do sięgania po niebezpieczną niekiedy moc oraz władzę. Meredith jednak miał się stać jednym z nich. Wkrótce złoży śluby lojalności i dyskrecji, przysięgę, której nie wolno złamać. Nie mógł pozwolić sobie na to, by ograniczały go takie zobowiązania. Nie, gdy nurtowały go takie wątpliwości.

– Uważaj – poradził Aurelian, odgadując rebeliancką naturę myśli Meredith. – Magowie raczej nie będą ci wdzięczni za grzebanie w przeszłości.

– Wiem. – Meredith skinął głową i wstał z krzesła. – Ale ja muszę to zrobić.

Aurelian potrząsnął głową.

– A ja muszę wykopać skądś czystą koszulę – rzekł. – Królowa poprosiła mnie, bym dał jej znać, gdy rytuał dobiegnie końca. Chciała porozmawiać z Falkiem, gdy ten wróci do siebie. Martwiła się o niego.

Meredith raptem uświadomił sobie, jak dramatyczne zmiany zaszły w ich życiu. Niespełna rok temu byli jeszcze dziećmi, a ich horyzont zakreślały małomiasteczkowe sprawy i sprawki. Teraz zaś Meredith miał zamiar zakwestionować historyczną prawdę głoszoną przez najpotężniejszego maga na świecie, podczas gdy sama królowa Furii czekała cierpliwie na rozmowę z człowiekiem, który przez większość życia uchodził za słabego i chorowitego sługę.

Przeskoczył wzrokiem do Malakiego i Bryny. Oni również przeszli przemianę.

– Powiemy mu, że tu byłeś – obiecała Bryna.

Meredith podziękował jej skinieniem, a potem opuścił chatę i ruszył w kierunku wieży magów. Teraz, gdy rytuał się zakończył, dogoniła go pełnia zmęczenia, przed którą wzbraniał się od wielu dni. Rozpaczliwie pragnął rozmówić się z Thrallem, ale do takiego starcia potrzebny był mu wypoczęty umysł. Nie zaryzykuje teraz, gdy mógł myśleć tylko o tym, by się wreszcie wyspać. Zdławił jątrzącą niecierpliwość i skierował się do swoich komnat, gdzie wypił wielką szklanekę cynobrowego wina, po czym ułożył się do snu.



Falko obudził się przed południem. Usta i gardło miał obolałe, zresztą bolało go całe ciało, ale myślał klarownie. Sycząc z bólu, dźwignął się na łokciu i zamrugał, chcąc pozbyć się spod powiek resztek snu. Rozejrzył się po słabo oświetlonym pokoju. Gospodarstwo zagrodników.

Obok jego łóżka drzemał w fotelu Malaki z żoną na kolanach. Falko gapił się na nich, usiłując pogodzić ich obecność z koszmarem labiryntu. Ogarnął ich wzrokiem raz jeszcze, jakby chciał sam siebie przekonać, że naprawdę tu są, że nie skrzywdził ich ani nie zdradził, co wmawiały mu upiorne szeptu.

– No proszę, jednak żyjesz!

Falko spojrział na Aureliana, który szedł w jego kierunku. Stary mag bitewny pomógł mu usiąść i podał kubek wody. Falko łyknął zimnego płynu, a żołądek zrewanżował się zdrowym uderzeniem głodu. Dopił wodę i opadł na poduszki.

– Jak się czujesz? – spytał nauczyciel.

Cień przemknął Falkowi przed oczami. Zwlekał chwilę z odpowiedzią.

– Nieco wstrząśnięty.

– No myślę, cholera, że wstrząśnięty! – powiedział Aurelian, śmiejąc się z niedopowiedzenia. Rozsunął zasłony i otworzył dwa małe okna. Chłodne, słone powietrze odświeżyło pomieszczenie, a światło wczesnego lata wypełniło pokój ciepłym, przytulnym blaskiem.

Malaki i Bryna poruszyli się na krześle.

– O, wstałeś – stwierdziła łuczniczka, przeciągając się. Podniosła się i usiadła obok Falka na łóżku.

– Miło, że nie wyglądasz już tak okropnie – dodał Malaki.

Falko opromienił przyjaciół uśmiechem i wywrócił oczami, gdy Aurelian zdjął z niego koc, by przyjrzeć się ranom. Sińce, ugryzienia i obrzęki wyglądały nieco lepiej, a większość ranek już się zamknęła i zaleczyła, łącznie z dwiema, które potrzebowały nawet kilku szwów.

– Przeżyjesz – orzekł Aurelian, wyraźnie zadowolony z oględzin. Poszedł do kuchni, gdzie w garnku na piecu bulgotała zupa.

Malaki i Bryna wiedzieli dość o rytuale Assay, by nie pytać Falka o jego przebieg. Zamiast tego opowiedzieli mu o postępach, jakie poczynili rycerze w szkoleniu Nieregularnych.

– Świetnie sobie radzą – skonkludowała Bryna. – I dobrze, bo marszałek Breton dopiero co przysłał nam rozkazy. Wyruszamy w ciągu tygodnia.

Czekali, aż Falko okaże zdumienie tą nagłą zmianą planów, ale mag bitewny nie patrzył na nich. Skierował wzrok gdzieś do środka.

– Przynajmniej będziecie tu w czasie przywołania – rzekł tylko.

– Chyba nie planujesz go tak prędko? – zdziwił się Malaki.

– Opętani nie będą czekać – odrzekł Falko mrocznym, śmiertelnie

poważnym głosem. – A poza tym – dodał nieco weselej – jeśli przywołanie zakończy się sukcesem, będę mógł wyruszyć z wami i z Nieregularnymi.

Malaki i Bryna wymienili zatroskane spojrzenia, lecz wiedzieli, że za nic nie odwołają go od tych planów.

– Chyba skoczę do baraków, żeby się wykąpać – powiedziała Bryna po chwili ciszy.

Wstała, a potem pochyliła się, by ucałować Falka w czoło.

– Cieszę się, że nic ci nie jest – powiedziała. – Ale nie przeforsuj się. Wyobraź sobie, co by powiedziała Fossetta.

Falko uśmiechnął się i pokiwał głową, ale ten uśmiech nie przeniknął do jego nieruchomych oczu.

Gdy Bryna wyszła, Falko podążył wzrokiem do ławy przy przeciwległej ścianie, na której magowie bitewni wyłożyli jego zbroję, a nad nią zawiesili na ścianie tarczę.

– Aurelian i Dusaule przynieśli z labiryntu twoje rzeczy – wyjaśnił Malaki, a Falko nie zdołał ukryć drżenia; przetoczyło się po jego ciele na samo wspomnienie tego miejsca, które nieomal go pochłonęło. Spojrzał w dół na miecz przy swoim boku, spoczywający teraz w specjalnie wykonanej pochwie. Nakrył go dłonią, po czym podniósł i wyciągnął ostrze na kilka cali. Jego spojrzenie zamgliło się, gdy wrócił myślami do chwili, gdy po raz pierwszy sięgał do niego ręką.

– Zginąłbym, gdyby nie on – powiedział, a Malaki zamarł, słysząc ponurą pewność w jego głosie.

– Może być teraz nieco za ciężki dla ciebie. Ale będzie w sam raz dla tego, kim się staniesz.

– Jest doskonały – powiedział Falko.

– Proszę bardzo. – Malaki skłonił się i przez moment dzielili spojrzenie, jakie mogą zrozumieć tylko przyjaciele znający się całe życie.

– Znaczący... – podjął Falko – doskonały, jak na wiejskiego kowala, który siedem razy podchodził do wykucia swojego pierwszego gwoźdźca.

Malaki wybuchnął śmiechem i pokręcił głową, wspominając swoje nieudolne pierwsze kroki w zawodzie.

– No dobra – powiedział i zdławił potężne ziewnięcie. – Muszę wracać do Nieregularnych.

Falko pokiwał głową, ale Malaki zawahał się, nim opuścił chatę.

– Nie spiesz się z tym przywołaniem, Falko – rzekł. – Wiesz lepiej niż ktokolwiek, jakie to może być niebezpieczne.

Przyjaciół tylko na niego patrzył. Malaki bezbłędnie rozpoznał upór w jego oczach.

– W takim razie upewnij się tylko, czy jesteś gotowy.

– Zrobię to.

– Aha! – Malaki stanął w drzwiach. – W nocy był tu Meredith.

Posiedział z tobą chwilę.

Falko wyraził zdziwienie uniesieniem brwi.

– Nie spodziewałem się go tak szybko.

– Chyba się spieszył. Martwił go jeden z magów biorących udział w rytuale. Właściwie był dość mocno przejęty, ale chyba wszystko dobrze się skończyło.

Spojrzenie Falka pociemniało w półmroku. Dobrze pamiętał przytłaczającą aurę zła, która otaczała ostatniego z pokonanych magów. Tego, który mówił w dziwnym, niepokojącym języku.

– Widzimy się później – rzucił Malaki i pomachawszy Aurelianowi, wyszedł.

Oczy Falka patrzyły, jak jednoręki mag nalewa mu miskę zupy, ale myślami cofnął się do wewnętrznej komnaty labiryntu, gdzie huczało echo zła.

„Salutări tineri Falcon. Bun venit la moarte”.

Falko nie rozumiał tego języka, ale jakimś sposobem dotarł do niego sens słów maga.

„Witaj, młody Sokole. Śmierć idzie po ciebie”.

Wyrzucił to wspomnienie z głowy, gdy Aurelian podał mu miskę i drewnianą łyżkę. Z jęknięciem, które wydusił z niego podeszły wiek, mag bitewny usiadł w fotelu, gdy tymczasem Falko zaczął pochłaniać gorącą i gęstą polewkę.

– Wiesz, on ma rację – rzekł Aurelian, gdy Falko przechylił miskę, by wyskrobać z niej ostatki jedzenia. – Nie powinienes porywać się na przywołanie, jeśli nie czujesz się gotowy.

– Kiedy nie ma czasu do stracenia.

Aurelian westchnął z rezygnacją.

– No cóż, może więc przeczytaj to, zanim smok odgryzie ci głowę.

Wyłowił z kieszeni kamizelki złożoną kartę kremowego papieru, przewiązaną turkusową wstążką z królewską pieczęcią.

Falko odłożył pustą miskę i wytarł ręce, zanim zaczął czytać.

*Drogi Panie Danté,*

*Z ulgą przyjąłem wieści o pomyślnym zakończeniu rytuału. Rozumiem, że potrzebujesz czasu, by odzyskać siły. Rozumiem też, że będziesz musiał zająć się wkrótce innymi obowiązkami, lecz zastanawiam się, czy nie zechciałbyś poświęcić mi kilku minut. Chciałabym poradzić się ciebie w pewnej sprawie.*

*Zawsze ceniłam rady naszych magów bitewnych, a twoje niedawne doświadczenia zdobyte na illicyjskim froncie mogą się okazać bezcenne.*

*Codziennie w południe będę wysyłać do ciebie posłańca. Gdy poczujesz się lepiej, przekaz mu wiadomość dla mnie, a wówczas*



*ustalimy termin spotkania.  
Łączę wyrazy szacunku*

*Królowa Catherine de Sage*

Aurelian zareagował śmiechem na wyraz osłupienia malujący się na twarzy Falka.

– Królowa prosi mnie o spotkanie!

– A czego się spodziewałeś? – odpowiedział z uśmiechem. – Jesteś teraz magiem bitewnym. Królowie i generałowie, a także każdy zestrachany lajdak w szeregach armii będą teraz łaknąć twojej rady i wsparcia.

Falko opadł na poduszki. Aurelian miał rację. Z chwilą zakończenia rytuału Assay stał się pełnoprawnym magiem bitewnym. Ale sam Falko nie czuł się nim jeszcze. Musiał zrobić jeszcze jedną rzecz, nim to się zmieni.



Meredith spał o wiele dłużej, niż zamierzał. Było już popołudnie, gdy brał kąpiel i przebierał się w czyste szaty. Dopiero wówczas poczuł, że jest gotów na konfrontację z Thrалlem. Postanowił, że pod żadnym pozorem nie da mu się przekonać do swoich racji, nie da się też zastraszyć ani zaszantażować. Stał przed drzwiami do komnat wielkiego veneratu, których strzegli dwaj strażnicy. Mierzyli go podejrzliwym wzrokiem, a Meredith był gotów bez ogródek zażądać, by go wpuścili, gdy raptem drzwi się otworzyły i stanął w nich Galen Thrall z ustami wykrzywionymi rozbawionym uśmieszkiem. Gestem nakazał strażnikom, by się odsunęli, i zaprosił Mereditha do środka. Nowicjusz poszedł za Thrалlem, który wspiął się na niski podest, by zasiąść na swoim tronie, skąd obrzucił gościa chłodnym spojrzeniem. Ale zagniewany Meredith był gotowy na taką reakcję. Na każdą, prawdę rzekłszy, z wyłączeniem pochwały.

– Bardzo dobrze, lordzie Saker – odezwał się wielki veneratu, schlebając Meredithowi tytułem zarezerwowanym zwykle dla pełnoprawnego maga. – Znakomicie wywiązałeś się ze swoich powinności przewodnika pana Dantégo.

Słowa Thralla przygasiły złość Mereditha. Ogarnęło go zmieszanie, a to zrodziło w nim irytację. Nie odezwał się jeszcze ani słowem, a już tańczy do muzyki Thralla.

– Dziękuję, panie – usłyszał swój głos. – Lecz obawiam się, że w niewielkim stopniu przyczyniłem się do sukcesu Falka.

– Och, po cóż ta skromność. Gdyby nie twoje rady i nauki, z pewnością poniósłby klęskę.

– Schlebiasz mi, panie. Właściwie to jestem zdziwiony, że wyszedł z próby cało, skoro na Bijaku stał mag taki jak brat Pacatos.

Uśmiech Thralla zrzędł. Jego źrenice skurczyły się groźnie, gdy pochwycił Mereditha w szpony swego lodowatego spojrzenia.

– Czy masz mi coś do powiedzenia, lordzie Saker?

Meredith zebrał się w sobie. W końcu nadeszła chwila, o której tak długo myślał, lecz w swoich wyobrażeniach otwarte przesłuchanie wielkiego veneratu szło mu o wiele łatwiej.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego umieściłeś brata Pacatosa na Bijaku – wymówił w nowym przypiływie determinacji. – Chcę wiedzieć, kim jest, co robi w wieży w Furi i co za choroba go trawi.

– To wszystko? – spytał Thrall. Uśmiech powrócił na miejsce.

– Nie. Chciałbym również osobiście porozmawiać z bratem Pacatosem.

To żądanie przywołało na twarz Thralla wyraz smutku.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

Meredith już miał spytać dlaczego, lecz Thrall podniósł rękę, nakazując mu milczenie.

– Brat Pacatos to językoznawca i historyk z wieży magicznej w Le Matres. Jednakże cierpi na urojenia, śni na jawie sny o własnej wielkości. Przykładowo utrzymuje, że żyje od setek lat. Trafił do nas, ponieważ żadna inna magiczna placówka nie posiada wyposażenia umożliwiającego stosowną opiekę nad człowiekiem tak schorowanym jak brat Pacatos. A na Bijak trafił, ponieważ uznałem, że okaże się największym wyzwaniem dla pana Dantégo.

Meredith bardzo chciał zapytać wprost, czy rzeczywiście stary mag jest ostatnim żyjącym świadkiem Wielkiego Opętania, ale wiedział, że w ten sposób odkryłyby przed Thrалlem wszystkie karty.

– Co się zaś tyczy twojej rozmowy z bratem Pacatosem... – kontynuował wielki veneratu.

Meredith zmrużył podejrzliwie powieki.

– ...niestety, przeceniłem jego możliwości. Starcie z panem Dantém okazało się ponad jego siły.

– Umarł! – wydyszał Meredith.

– Jeszcze nie – skorygował Thrall. – Lecz jest pod stałą opieką w szpitalu. Jego koniec, obawiam się, jest bliski. Nie należy więc zakłócać jego spokoju.

– Ale ja bezwzględnie muszę się z nim rozmówić.

– Niestety, nie mogę na to pozwolić – powiedział Thrall takim głosem,

jakby rzeczywiście chodziło mu wyłącznie o dobro schorowanego człowieka. – Brat Pacatos jest osobą sędziwą i czcigodną. Zasłużył na luksus dokonania żywota w spokoju.

Wzrok Thralla ześlizgnął się z Mereditha i skupił się na dwóch strażnikach, którzy wkroczyli do komnaty i stanęli po obu stronach gościa. Obydwaj mieli na podorędziu czary ogłuszające. Meredith skorzystał z okazji i zapamiętał wzór myśli potrzebny do wykonania takiego zaklęcia.

– A teraz, jeśli to już wszystko, pozwolisz, lordzie Saker, że przygotowuję się na przywołanie.

Ton Thralla powiedział Meredithowi, że przystępuje do tego obowiązku niechętnie i że wini za to Mereditha. Jeśli coś pójdzie nie tak podczas przywołania, dużą częśćią winy zostanie obarczony przewodnik młodego maga bitewnego.

Żołądek Mereditha skreślił się ze złości, ale nie miał zamiaru zaakceptować porażki. Zerkając na obu strażników, otoczył własne myśli nieprzeniknionym woalem, aby Thrall nie odgadł jego intencji.

– Panie – rzekł, skłaniając się z szacunkiem – wybacz mi to najście.

– Ależ to nic takiego – odrzekł Thrall głosem dobrotliwego staruszka, ale kurczące się źrenice wyjawiały Meredithowi, że wyczuł postawioną przez niego barierę.

Młody mag odczekał, aż zamkną się drzwi komnat Thralla, a potem zwrócił się w kierunku szpitala. Wiedział, że brat Pacatos będzie pod strażą i że nie zdoła do niego dotrzeć, ale musiał przynajmniej potwierdzić jego obecność i ocenić środki zaradcze, które powziął wielki veneratu, by odizolować go od Mereditha. Nie wiedział, jak długo pożyje jeszcze stary mag lub czy zdoła odpowiedzieć na jego pytania. Postanowił jednak przynajmniej spróbować je zadać.

Wspiął się po schodach do południowej części wieży, gdzie mieścił się szpital, i odkrył, że cały korytarz odgrodzony został kordonem czterech strażników, którzy teraz mierzyli go surowym spojrzeniem.

– W czym możemy pomóc? – spytał jeden z nich.

Meredith przystanął, by przeszukać okolice korytarza pod kątem czarów strażniczych.

– Szukam mojego ojca – rzekł wreszcie. – Morgana Sakera. Był jednym z magów, którzy stanęli wczoraj na Bijaku.

– Lord Saker odpoczywa we własnych komnatach – odparł mężczyzna, a podejrzliwy grymas wyrysowany na jego twarzy zelżał.

– Dziękuję – powiedział Meredith. Z ulgą stwierdził, że nie ma tu żadnych innych przeszkód do pokonania. Tylko ci czterej groźni wartownicy o stalowych umysłach.

Gdy schodził krętą serpentyną schodów, dopadło go poczucie winy. Skłamał, że szuka ojca, choć tak naprawdę go unikał. Powinien go

odwiedzić i sprawdzić, jak się czuje po wymagającej przeprawie, jaką był rytuał. Ale z jakiegoś powodu nie mógł się na to zdobyć. Wiedział już, że magowie okłamali lud Furi, a to oznaczało, że kłamcą był także jego ojciec. W końcu był veneratu. Musiał znać tajemnice magów, jakiegokolwiek by one były.

W tyglu jego serca mieszały się ze sobą złość oraz poczucie winy wywołane zdradą i niełojalnością. Meredith wrócił do swoich komnat. Postanowił, że jego osobiste uczucia nie zatrzymają go na drodze do prawdy. Nie wiedział, jak wiele ma czasu, nim brat Pacatos rozstanie się z tym światem. Musiał zacząć przygotowywać zaklęcia, żeby przedrzeć się przez wartowników. Meredith mógł tylko żywić nadzieję, że stary mag nie umrze, zanim przygotowania dobiegną końca.



Falko odpoczywał przez cały następny dzień. Czuł się już o wiele lepiej, więc gdy przybył posłaniec królowej, zgodził się na spotkanie z monarchinią następnego wieczoru w Komnacie Rady. Przybył także goniec od Galena Thralla i przekazał, że przygotowania do rytuału przywołania zajmą co najmniej dwa dni.

– Wielki veneratu podkreśla, że gruntowne przygotowania są rzeczą niezwykle ważną – dodał posłaniec.

– No pewnie – mruknął Aurelian.

Plan na następne dwa dni przedstawiał się więc następująco: jutro wieczorem Falko pójdzie porozmawiać z królową, a następnego wieczoru pójdzie w góry, by przy Smoczym Kamieniu podjąć próbę przywołania smoka. Wciąż czuł się fizycznie i mentalnie wyczerpany po rytuale Assay, ale nie miał zamiaru poddać się zmęczeniu. Wznowił trening, a Aurelian i Dusaule pomagali mu wrócić do pełni sił z pomocą magii leczniczej. Lecz w miarę zbliżania się godziny przywołania Dusaule odsuwał się coraz dalej od dwóch pozostałych magów bitewnych i częściej popadał w melancholię.

– Nie przejmuj się nim – powiedział Aurelian do Falka. – Po prostu myśl o przywołaniu budzi bolesne wspomnienia.

Falko dobrze to rozumiał. Sam doświadczył przecież potęgi i majestatu czarnego smoka, choć odczuł też na własnej skórze jego nienawiść. Jeśli czarny smok odpowie również na jego wezwanie, Falko był przygotowany na to, by zrobić, co będzie konieczne.

Następnego wieczoru, gdy chłodne cienie zmierzchu wylały się na ulice miasta, zszedł z płaskowyżu i ruszył do pałacu na spotkanie z królową. Atmosfera w stolicy była osobliwą mieszanką spokoju

i podszytego obawą niepokoju. Pod murami wciąż obozowała pewna liczba uchodźców, mocno nadwyrężając stołeczne zapasy żywności, a dobiegające zewsząd opowieści z frontu sprawiały wrażenie, jakby wojna czaiła się tuż za rogiem. Lud Furii zaczął odczuwać na własnej skórze wojenne trudy, którym usiłowało podolać królestwo, oraz zaczynał rozumieć, że siane przez nieprzyjaciela zniszczenie i śmierć mogą lada dzień dotknąć i jego.

Ubrany w zbroję od Antonia Missagliasa, Falko zauważył, jak spoglądano na niego, gdy torował sobie drogę przez miasto. Niektórzy skłaniali się z szacunkiem, inni błogosławili go ruchem rąk. Nie widzieli młodzieńca, który dopiero co osiągnął wiek męski. Widzieli maga bitewnego i Falko zarówno radował się, jak i obawiał całej pokładanej w nim wiary.

Gdy wyszedł na brukowany plac otaczający Komnatę Rady, napotkał dwóch strażników, którzy wprowadzili go do budynku. Pomieszczenie było zwieńczone imponującą kopułą oświetloną kilkunastoma wielkimi lampami oliwnymi, których lśniące mosiężne osłony zaprojektowano tak, by rozpraszają światło, wypełniając komnatę ciepłym, żółtym blaskiem. Strażnicy skłonili się i zostawili go na środku pomieszczenia. Falko rozejrzał się wokoło. W budynku nie było o tej porze żywej duszy, widownia, wypełniona do ostatniego miejsca w czasie spotkania strategicznego, teraz była pusta, komnata robiła więc wrażenie jeszcze większej, niż była w rzeczywistości. Dywan zwinięto i wielką marmurową mapę znów zastawiono figurami, które widział podczas spotkania. Przełknął nerwowe zniecierpliwienie i rozejrzał się po pustym wnętrzu, lecz wówczas jego oczy wychwyciły ruch w nieoświetlonych bocznych wejściach.

Ktoś go obserwował.

– Niesamowite. Zawsze się zastanawiałam, jak magowie bitewni to robią? – powiedziała królowa, podchodząc do światła. Falko skłonił się pospiesznie, lecz królowa zbyła formalny gest niefrasobliwym strzepnięciem dłoni. – Dziękuję, że przyszedłeś, panie Danté. Wiem, jak ważne sprawy cię teraz zaprzatają.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość – odrzekł Falko.

– Och! – zachnęła się królowa. – Jeśli już musisz mnie tytułować, wystarczy „pani”.

– Dobrze, pani.

– Tak lepiej. – Królowa obdarzyła go uśmiechem. – Miałam nadzieję na rozmowę, odkąd wróciłeś z frontu, ale nie chciałam przeszkadzać w przygotowaniach do rytuału.

Falko skłonił się, a królowa dokonała pobieżnych, acz krytycznych oględzin zbroi, której wykonanie zleciła jesienią.

– Legendarne umiejętności mistrza Missagliasa nie maleją z upływem

lat.

Falko zarumienił się. Nie podziękował jej przecież za tak królewski podarek!

– Tak, bardzo dziękuję, pani – wymamrotał. – Nie śmiałem marzyć o tak wspaniałej zbroi.

Nie mogła się nie uśmiechnąć, widząc zaaferowanie młodzieńca.

– Choć tyle mogłam zrobić – rzekła, jakby nie zamówiła nic ponad nową parę rękawic do jazdy konnej.

Oderwała wzrok od Falka, by ogarnąć nim mapę ze strategicznie rozmieszczonymi figurami. Ich układ zmienił się od czasu spotkania. Sytuacja wyglądała jeszcze gorzej niż wówczas. Podeszła wolno do mapy, śledząc wzrokiem linię frontu i zatrzymując się, gdy nagromadzenie figur wskazywało na szczególnie zażarte walki.

Falko nie mógł oderwać od niej oczu, gdy kroczyła z godnością w mętnym świetle lamp oliwnych. Długie, ciemne włosy, rozpuszczone, jeśli nie liczyć srebrnej szarfy, która broniła im dostępu do królewskiej twarzy o gładkiej skórze. Miała na sobie długą suknię z brzoskwiniowego jedwabiu, przewiązaną w talii splecionym z czarnych rzemieni pasem emisariusza o odcinającej się kontrastowo klamrze w kształcie końskiej głowy. Z jej ramion spływał szmaragdowozielony płaszcz z marszczonego aksamitu, który podkreślał cieniem i blaskiem zarys jej sylwetki. Falka po raz kolejny uderzyła obezwładniająca dwoistość jej postaci: królowej, symbolu i obrończyni królestwa, oraz kobiety, żywego obrazu piękna.

– Wygląda na to, że nie możemy zrobić nic, by ich powstrzymać – odezwała się królowa. Falko zbliżył się do mapy, gdy jej słowa rozproszyły zauroczenie.

– Tutaj utrzymujemy pozycję – powiedział, patrząc na figury skupione w Beltane.

– Ach, prawda. – Królowa stanęła u jego boku. – Vercincallidus. Najprzebieglejszy ze wszystkich generałów, żyjących i poległych. Jakimś sposobem od lat wymyka się wrogom z rąk, lecz spójrz tutaj. – Wskazała największą figurę demona na mapie. – Wygląda na to, że Marchio Dolor idzie w jego stronę. Nie mogę przestać myśleć, że nad Serthiańskim Wilkiem wisi zguba. – Westchnęła z mozołem. – Ale miejmy nadzieję, że się mylę.

Falko wpatrywał się w posążek demona znanego jako Markiz Cierpienia. I rzeczywiście, królowa miała rację – władca piekielników zbliżał się do obszaru, gdzie Vercincallidus bawił się z wrogiem w kota i myszkę.

– A jak sytuacja na północy? – spytała królowa, w kilka kroków stając przy Hoffen i Le Matres. – Czy wciąż masz wrażenie, że coś przeoczyliśmy?

Falko podążył za nią i spojrział na szyki wroga.

– Nie tak jak wtedy – powiedział. – Nasze siły są zanadto rozciągnięte na zbyt wielkim obszarze, a demon, który zaatakował Nathalie, nie został zabity, lecz nie widzę nic, co wskazywałoby na to, że wrócił.

Królowa odetchnęła z ulgą.

– Nathalie zginęłaby z ręki Pogromcy, gdyby nie ty. – Falko skromnie pochylił głowę. – Nie wspominając już o tym, że demon unicestwiłby całą Czwartą Armię.

Falko przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, nie wiedząc, co ma powiedzieć. On tylko zrobił to, co musiał zrobić. To nie była kwestia wyboru.

– Mamy u ciebie dług, magu bitewny Danté – podjęła królowa. Wydawała się czerpać radość ze zwracania się do Falka z użyciem oficjalnego tytułu, choć widziała, że młodzieniec czuje się tym zakłopotany.

– Czy mamy jakieś wieści od Nathalie i emisariusza? – zmienił temat Falko.

– Niestety, nie odzywali się od tygodnia. Nathalie i Ciel stacjonują teraz w Hoffen. Wciąż liżą rany, ale ich obecność podnosi morale wśród żołnierzy w mieście. A jeśli chodzi o emisariusza... – Zrobiła pauzę. Falkowi nie umknął przeskok w jej oddechu. – Po zwycięstwie Czwartej wytyczył nową linię frontu, ale coraz więcej demonicznych armii wyradza się z Utraconych Ziem. Opętani ciągną teraz na Amboss i marszałek Breton dosłownie przed chwilą rozkazał Czwartej ruszyć na południe.

Usiłowała nadać swoim słowom pozory kolejnego raportu z pola bitwy, ale Falko poznał, że jest zdenerwowana.

– Nic mu nie będzie – pocieszył ją. – Jeśli ktoś ocaleje z tej kampanii, to właśnie emisariusz. Nie znam drugiego człowieka takiego jak on.

– Ja też nie – przyznała królowa. Oczy jej lśniły, ale życzliwość Falka wzbudziła uśmiech na jej zatroskanej twarzy. – Szkoda, że nie widziałeś go, gdy pierwszy raz przybył do Furii. Taki młody i poważny, z sercem przepelnionym cierpieniem. Rozpaczliwie pragnął rzucić się w wir walki. Mój ojciec od razu się na nim poznał, ale wiedział też, że mężczyźni dźwigający tak wielki smutek szybko rozstają się z życiem. Często szukają śmierci, chcąc znaleźć upragniony spokój. A więc zabronił młodemu Chevalierowi wracać na wojnę i zamiast tego przydzielił mu funkcję mojego nauczyciela, instruktora sztuki wojennej. – Podniosła wzrok i uśmiechnęła się. – Ma się rozumieć, nie ucieszyło go to, lecz ponieważ zawsze był człowiekiem honoru, z oddaniem wypełniał nałożone na niego obowiązki. Nauczył mnie, jak walczyć i jak toczyć wojnę, jak układać się z królami, którzy patrząc na mnie, nie widzieli nikogo poza małą dziewczynką, i jak rozmawiać z ludźmi,

którzy nie widzieli we mnie nikogo poza królową. Wszystkich tych rzeczy, których latami uczył mnie ojciec. A jednak gdy to samo wpajał mi ten smutny i poważny młodzieniec, nauka przebiegała inaczej. A ja w zamian... przywróciłam mu uśmiech. – Zamilkła, wpatrzona w mapę, jakby sięgała wzrokiem w przeszłość. – Nie miałam pojęcia, że się w nim zakochuję. Pojęłam to dopiero w dniu, gdy Chevalier oznajmił mi, że wraca na front. – Uśmiech, który przyozdobił wargi królowej, był jednocześnie piękny i smutny. – Czy zaznałeś kiedyś miłości, panie Danté?

– Nie, królowo. Nie takiej.

– Ale kiedyś zaznasz... – W głosie władczyni dźwięczała nadzieja, ale Falko pokręcił głową.

– Mam przyjaciół, których miłuję, ale nie sądzę, bym mógł kiedyś oddać komuś połowę duszy. Nie mógłbym obarczyć nikogo takim ciężarem.

– Czy sny maga bitewnego naprawdę są aż tak straszne? – Falko nie odpowiedział. Mrok w jego oczach zrobił to za niego. – A więc współczuję ci, gdyż ponosisz ofiarę większą od mojej. – Ich spojrzenia złączyły się na dłuższą chwilę. – Dość o tym. Chodźmy. Popatrzmy na świat z góry i zobaczymy, jak zaradzić naszej niewesołej sytuacji, gdyż ani myślę uwierzyć, że nie ma dla nas nadziei.

Falko stanął u jej boku i wspólnie wpatrzyli się w mapę. Dorastając w małym górskim miasteczku, nigdy nie pomyślał, że pewnego dnia tak dogłębnie porozumie się z królową Furii. A jednocześnie sam był zdumiony tym, jak swobodnie czuje się w jej towarzystwie. Choć był młody i niedoświadczony, królowa rozmawiała z nim jak równy z równym. Podzielała jego obawy o los Beltane i Illicji. Spytała, co myśli o możliwości upadku Valencji.

– Czy sądzisz, że król Vittorio wytrzyma? – zapytała, zakreślając dłonią koło wokół dwóch figur demonów zagrażających wschodniej granicy Valencji.

Falko pokręcił głową.

– Nie – odpowiedział. – Ucieknie z północy, a swoje wojska oddeleguje na południe.

– A co z dwoma demonami, których armie zebrały się przy jego granicy?

– Ruszą na zachód – rzekł Falko bez zająknięcia. – Spróbują dotrzeć na wybrzeże, wbić klin między dwa wrogie im królestwa.

– A jaki los czeka Navię?

Falko milczał. Tak zmasowany atak na kraj pozbawiony obrony mógł się skończyć tylko w jeden sposób.

– Tak – powiedziała królowa, jakby odczytała jego myśli. – Upadnie. I wtedy Opętani siądą na obu naszych granicach. – Westchnęła



i potoczyła spojrzeniem ku przestworowi Acheronu. – Gdyby tylko udało się rozbudzić gniew Byka – westchnęła, a Falko był pewien, że nie chciała, by słyszał te słowa.

Jeszcze jakiś czas deliberowali o przyszłości świata. Falko sam się zdumiał tym, że całkiem nieźle interpretuje posunięcia wroga i odczytuje jego intencje. Zupełnie jakby Opętani byli zwierzęciem, które rozumiał, lub może pożarem lasu, którym kierował wiatr oraz dziki apetyt w jakiś sposób rozumiały dla Falka. Fala zniszczenia rzeczywiście sprawiała wrażenie niepowstrzymanej. Gdyby tylko udało się skłonić Acheron i Thraecję do podjęcia walki...

– Kto wie, może do nas dołączą – powiedziała królowa, gdy obwiedli wzrokiem granice dwóch królestw. – Porażka magicznej armii Thralla podkopała pozycję thraeckich magów, ale niewiele można zrobić, skoro kontrolują króla Cleomenesa.

Na chwilę zapatrzyła się w mapę, a potem poderwała głowę i posłała mu uśmiech.

– Chodźmy... – Wzięła go pod rękę. – Już i tak zabrałam ci zbyt wiele czasu. Musisz odpocząć, zebrać siły.

Delikatnie pokierowała Falkiem i zeszli z mapy. Przy wyjściu z komnaty czekał już wartownik.

– Dziękuję, że podzieliłeś się swoimi przemyśleniami, panie Danté – powiedziała królowa, gdy Falko zbierał się do wyjścia.

– To dla mnie zaszczyt, pani.

Królowa nagrodziła uprzejmość uśmiechem.

– Niechaj przywołany przez ciebie smok będzie silny i jasny – rzekła.

Falko podziękował skinieniem i raz jeszcze się uklonił. Cóż za wspaniała myśl: przywołać smoka tak jasnego jak Ciel. Ale serce mówiło mu, by nie obiecywał sobie zbyt wiele.

Dzień, w którym miało odbyć się przywołanie, przemknął Falkowi przed oczami. Nie wiedział, czy jego umysł wciąż jest przyćmiony po trudach rytuału, czy może to perspektywa przywołania wywołuje w nim to dziwne otępienie. Aurelian wciąż mówił, że przystępuje do niego za szybko, ale Falko za nic nie dał się przekonać. Po południu spotkał się w barakach z Malakim i innymi kadetami na ostatni posiłek, jednak jadł mało, a mówił jeszcze mniej. Większość kadetów była pod wielkim wrażeniem tego, czego miał dokonać Falko, ale Malaki i Bryna pamiętali, co się wydarzyło, gdy ostatnim razem pojawił się na przywołaniu. Nie potrafili objąć rozumem tego, co musiał teraz czuć.

Gdy Falko zaczął przygotowywać się do wyjścia, w stołówce zaległa cisza. Nie wszyscy zdawali sobie sprawę z wagi przywołania, ale wszyscy doświadczyli jego obecności na polu bitwy, a więc życzyli mu jak najlepiej. Nawet Jareg Snidesson skinął mu głową. Huthgarl, Quirren i Alex obeszlą stół, by uściskać przyjaciela, a Bryna pocałowała go

w policzek, nim znalazł się w niedźwiedzim uścisku Malakiego, który przygwoździł mu ramiona do ciała, skutecznie go tym unieruchamiając.

– Będziemy tutaj, gdy wrócisz – powiedział.

Falko nie zdołał dobyć słowa. Jego umysł schronił się w bezpiecznym miejscu, gdzieś w głębi jego jestestwa, mrocznej przestrzeni, gdzie stępało się ostrze emocji, a kontrast między nadzieją a strachem był niemalże znośny. Czując się dziwnie odosobniony od reszty świata i ludzi, Falko opuścił baraki i skierował się do gospodarstwa, gdzie Aurelian czekał już na niego z dwoma osiodłanymi końmi.

Pomimo początkowych obiekcji Falko zgodził się, by stary mag bitewny towarzyszył mu w drodze do miejsca przywołania. Bez magii ofensywnej miecz wykuty przez Malakiego mógłby nie przebić się przez smocze łuski. Gdyby doszło do najgorszego, będzie potrzebował kogoś, kto wypełni jego miecz energią, a Falko nie mógł znieść myśli, by miał powierzyć to zadanie magom.

– Gotów? – zagał Aurelian.

Falko kiwnął głową.

Dusaule'a nigdzie nie było, ale nieco z tyłu stała Dwimervane, która nie chciała płoszyć koni. Niebieskie łuski smoczycy były wyraźnie ciemniejsze niż tego dnia, gdy Falko ją poznał. Patrzyła na niego z ostrożną przenikliwością, ale nie dopatrywał się osądu w jej płomieniście żółtych oczach. Zwykle smoki, dla których szaleństwo ich czarnych pobratymców było przykrą i haniebną tajemnicą, doskonale rozumiały konieczność ich powstrzymania.

Falko wyłapał sprzeczne myśli kłębiące się w jej umyśle, a także sugestię mroku niczym zbierające się na odległym horyzoncie burzowe chmury. Kiedyś, w niedalekiej przyszłości, łuski Dwimervane również zmienią kolor na czarny, a Aurelian stanie wówczas przed strasznym zadaniem.

Odgadłszy coś z jego myśli, Aurelian położył mu rękę na ramieniu.

– Włóż w przywołanie swoje serce, a na pewno spotka się z taką samą odpowiedzią – poradził mu mag bitewny, a solenne postanowienie Falka zachwiało się w posadach.

Życzliwość Aureliana przebiła się przez jego gardę i mgła wątpliwości podniosła się w jego umyśle. Pomyślał o Dusaule'u, którego duch załamał się przez poczucie winy wywołane tym, co zrobił. Czyżby Falko miał podzielić jego los?

Nie.

To czarny smok zabił Dariusa. Czarny smok zabił jego ojca. Jeśli kolejny czarny smok stawi się na jego wezwanie, Falko go pokona.

## Łowca i zwierzyzna



**W** mrocznej dziczy Beltane generał Vercincallidus zmarszczył brwi, wysłuchawszy raportu. A więc demon, którego zwiadowczyni miała obserwować, był o wiele bliżej, niż można się było spodziewać.

– Nie kluczy, tylko idzie prosto na nas – powiedziała kobieta. – To znaczy, że wie, że tu jesteśmy. Wróg wziął nas na cel, generale.

Vercincallidus nie odpowiedział. Powiódł wzrokiem po szeregach stacjonującej na drugim brzegu rzeki ferockiej armii. Poprzednia została rozbita, ale pokonanie tej pochłonie zbyt dużo czasu. A czas był teraz zasobem deficytowym.

Generał skrzywił usta, rozzłoszczony własną niemocą.

Już po raz trzeci w ciągu ostatnich tygodni musiał odwołać atak przed doszczętnym unicestwieniem oddziałów wroga. Zwiadowczyni miała rację – to nie przypadek, że demon ciągnie za nimi jak po sznurku. To rezultat prowadzonej przez wroga skoordynowanej kampanii. Większość demonów była przewidywalna, a więc stosunkowo łatwo było unikać starć z nimi. Niektóre były przebiegłe, ale tym razem to coś więcej niż przebiegłość. Tok wypadków sugerował niespotykaną dotąd celowość i zmyślność. Krążyły plotki o potężnym demonie zmierzającym na południe, którego Illicjanie zwali Marchio Dolor. Vercincallidus nie obawiał się ludzi, ale sama myśl o demonie tak potężnym wypełniała mu trzewia lodem. Zacisnął pięści, nie pozwalając tym myślom zagnieździć się w swojej głowie. Musiał wymyślić, jak ocalić życie dziesięciu tysięcy swoich wojowników.

Odwrócił się plecami do zwiadowczyni i potoczył wzrokiem po rozpościerającej się przed nim przestrzeni. Rozważył wszystkie możliwe posunięcia. Na początku bitwy wykorzystał rzekę do swoich celów, lecz teraz odcinała mu najprostszą drogę ucieczki. Jedyнным wyjściem był

odwrót w kierunku północnym, przez otwierający się dalej żleb, ale musiał jakoś osłonić uciekającą armię przed Opętanymi, którzy z pewnością wyczują dobry moment i zaatakują.

Podjąwszy decyzję, Vercincallidus zwrócił się do adiutanta.

– Odrąbić odwrót dla Czcigodnych – rozkazał. – Trzystu żołnierzy ma bronić żlebu podczas ucieczki reszty wojsk na płaskowyż.

Adiutant skinął poważnie głową i zwrócił się do najbliższego trębacza, a ten uniósł karnyks do ust i przywołał ochotników gotowych oddać życie za swoich towarzyszy i generała, który ich prowadził. Przez pięć lat używał wszystkich swoich rozlicznych umiejętności, by wywołać w pole demony i łowić Opętanych, lecz teraz główny dowódca wroga szedł prosto na niego, a on uświadomił sobie, że z łowcy stał się zwierzyną.



W tym samym czasie na północnym zachodzie Illicji, niedaleko nowo wytyczonego frontu, rozległy obszar traw zaczął wędnać, gdy coś poruszyło się w głębinie podziemnego świata. Pogromca odbył pokutę w bezlitosnych płomieniach piekła. Jego skóra była spalona i poczerniała, a pod wierzchnią warstwą pełgał jaśniejący żar. Jego bliźniacze miecze były rozgrzane do czerwoności, natchnione piekielnym płomieniem. Demon zaczął wspinać się ku powierzchni. Wkrótce odrodzi się w świecie ludzi, a jedyną myślą tłącą się w jego głowie była ta o zemście.

## Odpowiedzi

---



Meredith śledził wzrokiem opuszczającą wieżę grupę magów, która miała asystować Falkowi podczas przywołania. Jechali konno wąską ścieżką wiodącą wysoko w góry. Do zachodu słońca brakowało trzech godzin, ale Thrall chciał mieć pewność, że wszystko będzie przygotowane, nim przybędą Falko i Aurelian. Meredith czekał, aż wielki veneratu zniknie z pola widzenia, a potem odwrócił się plecami do okna.

Tylko głupiec próbowałby skontaktować się z bratem Pacatosem pod nosem Thralla, lecz teraz nie będzie go co najmniej kilka godzin i Meredith mógł przystąpić do działania.

Wróciwszy do swoich komnat, medytował przez kilka minut, by dopiąć przygotowania na ostatni guzik, a potem, oczyściwszy umysł, ruszył w kierunku schodów do szpitala. Serce waliło mu jak młotem. Utrzymując całkowite skupienie, zaczął otaczać się nieprzeniknionym płaszczem ukrycia. Nawet ojciec był pod wrażeniem jego zdolności w tej dziedzinie magii. Czas sprawdzić, czy słusznie.

Świat odbiegł gdzieś na dalszy plan i dźwięk oddechu Mereditha zmienił się, gdy otoczył się kokonem magicznej energii, splatając go powolnymi, metodycznymi ruchami, nie przerywając wchodzenia po schodach. Zatrzymał się na półpiętrze i ujrzał strzegących korytarza czterech czujnych wartowników. Gdy stanęli w dostatecznym rozproszeniu, by zdołał przemknąć między nimi, ruszył naprzód, nie śmiąc głośniej odetchnąć, a potem stanął jak wryty, gdy jeden z mężczyzn spojrzał prosto na niego. Czy go zobaczył? Usłyszał?

Meredith zamarł, gdy wzrok mężczyzny zsunął się z niego. A więc go nie odkrył. Ruszył wolno naprzód. Wiedział, że im bliżej celu się znajdzie, tym będzie trudniej. Musiał nie tylko ukryć przed wzrokiem strażników swoje ciało, ale też wyciszyć wydawane przez siebie dźwięki,

zamaskować swój zapach i poruszać się powoli, by nie zdradził go ruch powietrza. Jednak jego przygotowania okazały się wystarczające i przemknął między strażnikami, demonstrując magiczną sprawność o wiele bardziej doświadczonego czarodzieja.

Z umysłem tak skoncentrowanym, że balansował na granicy odrętwienia, Meredith zapuścił się w głąb korytarza. Posuwając się z najwyższą ostrożnością, tak by nie rozproszyć magii ukrywającej, zaczął sprawdzać po kolei pokoje. Wtedy wyczuł aurę człowieka, do którego tu przyszedł. Mroczne, niepokojące jestestwo, które wydawało się blednąć i jaskrawieć jak dogasający płomyk świecy. Meredith uprzytomnił sobie, że przybył w samą porę.

Stary mag rzeczywiście umierał i Meredith mógł tylko żywić nadzieję, że wciąż zdoła odpowiedzieć na jego pytania. Gdy wszedł do pokoju, wiedział już, że niepotrzebnie się martwił. Brat Pacatos leżał przykuty do łóżka na środku pomieszczenia. Wsparty na poduszkach i obleczony w brudną koszulę nocną, patrzył prosto na niego. Jego oczy były zasłane kataraktami, ale Meredith wiedział, że mężczyzna go widzi.

Znalazłszy się w komnacie, poświęcił dosłownie chwilę na wyczarowanie magicznej pieczęci i nałożenie jej na drzwi, tak by nikt im nie przeszkadzał. Następnie zwrócił się twarzą do udręczonego mnicha.

– Ah, fiul lui Saker. Vin să pună întrebări despre cel trecut – wyrzeźbił Pacatos w starożytnym języku ferockim.

„Ach, syn Sakera. Zjawił się, by pytać o przeszłość”.

Meredith zamarł. Pacatos nie tylko go widział, ale też wiedział, po co tu przyszedł. Wtedy po raz pierwszy opadły Mereditha wątpliwości. Drobnym mięśniem drgnął w kąciku jego prawego oka. Uniósł rękę, by podrapać miejsce na skroni, które zaczęło go swędzieć. Samo przebywanie w obecności Grzesznika budziło w człowieku niepokój, ale Meredith nie cofnie się przed uzyskaniem odpowiedzi na swoje pytania. Znał podstawy ferockiego, ale nie na tyle, by swobodnie pytać o nurtujące go kwestie.

– În comun, dacã vă rog – wymówił.

„We wspólnym, poproszę”.

– Jak chcesz – przystał Pacatos, przechodząc na uniwersalny język Furii. Jego skóra miała barwę chorobliwej, przeźroczystej szarości upstrzonej czarnymi śladami po stłuczeniach i płakała otwartymi wrzodami. Żyłki widoczne pod jego skórą były czarne, a zwiędłe usta spękane i obwisłe. Nierównemu oddechowi towarzyszył suchy charkot. Wydychane przez niego powietrze cuchnęło rozkładem. Meredith nie zdołał zdusić obrzydzenia, ale Pacatos tylko się uśmiechnął.

– Pytaj, synu Sakera – rzekł, kontrapunktując słowa nieprzyjemnym dla ucha szmerem oddechu.

– Jak brzmi twoje imię? – zaczął Meredith, podnosząc rękę do skroni,

gdzie nasiliło się swędzenie.

– Zwą mnie Pacatos. Niech więc będzie Pacatos.

– Ile masz lat?

Brat Pacatos uśmiechnął się, ukazując wypełniające jego usta poczerniałe resztki zgniłych zębów.

– Wiesz, ile mam lat.

– A więc to prawda – powiedział Meredith. – Żyłeś w czasie Wielkiego Opętania.

Brat Pacatos prychnął chrapliwie, jakby uznał ten opis za zabawny.

– Co się wtedy wydarzyło? – indagował Meredith. – Dlaczego magowie zataili przed ludźmi, że smoki są podatne na opętanie?

Pacatosem wstrząsnął głęboki, gardłowy śmiech, który zdawał się szarpać na strzępy umysł Mereditha.

– Dlaczego? – podniósł głos. – Dlaczego nas nie ostrzegli?

– Bo to nieprawda – odpowiedział Pacatos, a jego przymglony wzrok wyostrzył się upiornie.

– Jak to? – Meredith był dezorientowany. – Wiem, że to prawda. Kłamali wówczas i kłamią teraz.

– Jesteś w błędzie. To wszystko nieprawda.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Odrażający, mdlący strach znalazł wejście do umysłu Mereditha. – Czyli Wielkie Opętanie w ogóle nie miało miejsca?

Wtedy brat Pacatos zakrztusił się śmiechem. Meredith podniósł rękę do głowy. Swędzenie narosło do tępego bólu. Nagle był pewien, że coś rusza się pod skórą na jego skroni.

– Aj, mój biedny mały Saker – sapnął Pacatos. – Tajemnice magów... drażą cię od środka, ale ty nie wiesz nawet... co to za tajemnice.

Jego głos ociekał szyderstwem. Meredith nie mógł już tego znieść. Zerwał się z miejsca i wpił pięść w szatę umierającego mnicha.

– Po prostu mi powiedz! – krzyknął, a potem odskoczył od Pacatosa, gdy ból się zaostrzył.

– Przecież znasz już prawdę – wysapał mnich, gdy Meredith złapał się za głowę. – Czytałeś o tym sto razy.

– Kłamiesz – dyszał Meredith. – Nigdy...

Nie mógł skończyć zdania. Ból głowy uniemożliwiał mu koncentrację, wnętrzości przewalały się, a na umysł napała fala plugastwa. Coś ohydneho wdarło się do jego ciała i zatrulo mu krew. Teraz był już pewien, że coś pełza pod jego skórą. Paznokcie jego prawej ręki wpiły się w skroń, po policzku ściekła krew.

– Patrzysz, ale nie widzisz – rzekł Pacatos, gdy Meredith zachwiał się i opadł na kolano. – Czytając, przewracałeś tylko strony... Słowa z przeszłości zmarnowały się na tobie. Oślepiło cię matactwo brata Seruliana.

Grzesznik stał nad grobem, lecz nawet teraz okazał się dla Mereditha zbyt silny. Młody mag padł na ziemię i zaczął czołgać się w kierunku drzwi, gdy sekwencja obrazów przepływała przez jego umysł. Widział samego siebie, pochylonego nad stołem w archiwach magów, wodzącego palcem po linijkach tekstu w starym manuskrypcie. Ale słowa zamazywały mu się przed oczami, zlewały jedne z drugimi, przez co nie mógł przyswoić czytanego tekstu. Nie pamiętał nawet, że w ogóle go czytał.

„Oślepiło cię matactwo brata Seruliana”. Czy to może być prawda? Czy rzeczywiście wyczytał w księgach prawdę, nie uświadamiając sobie tego?

Odpowiedzią było dźwięczne „tak”, ale sam Meredith wcale nie miał pewności. Niepochłonięta przez Pacatosa część jego umysłu mogła myśleć tylko o tym, by uciec jak najdalej. Meredith usiłował wydrapać spod własnej skóry zagłębiające się w jego czaszce stwory. Za jego plecami grzmiał jadowity śmiech Grzesznika, pogarda i szyderstwo kipiały w jego gardle, gdy gnijące membrany jego płuc wyrzucały przez rozdziawione usta cuchnącą, czarną krew, która ściekała mu na pierś. Umierał, ale ten strzęp człowieka, to człekopodobne naczynie wypełnione złem postanowiło zabrać ze sobą do piekła jeszcze jedną ludzką duszę.

– Zawiodłeś, Saker – wykaszał. – Tak jak zawiedzie Sokół. Przywoła ciemność. I zabije ciemność. A hańba mordy stanie się przekleństwem jego duszy!

Ślepy i bezbronny Meredith pełził po podłodze. Jego paznokcie drapały o mokre kości czaszki, zdzierał ciało z własnej twarzy. Dotarł do drzwi jedynie dzięki wysiłkowi woli. Wtedy przełamał nałożoną przez siebie pieczęć.

Czterej strażnicy zareagowali natychmiast. Pognali korytarzem, ignorując młodego maga, który wyczołgał się z pokoju. Magiczna energia skupiona wokół Mereditha wybuchła, gdy wartownicy splekli zaklęcia mające obłaskawić Pacatosa, lecz nie było już potrzeby używać mocy. Po czterystu latach nienawistnego bicia serce Grzesznika wreszcie pękło. Człowiek znany jako brat Pacatos, ostatni żyjący świadek Wielkiego Opętania, zleął martwy w zakrwawionej pościeli.

Meredith poczuł, że obrazy grozy uleciały z jego umysłu. Bok jego głowy palił nieznośnym bólem, ale jakimś cudem Meredith wstał. Jego prawa ręka ociekała krwią, ale wytarł ją o szatę, zanim znowu podniósł do skroni, chcąc zatamować krew spływającą strumieniem na policzek i szyję. Wciąż oszołomiony i zdezorientowany, dotarł jakoś do końca korytarza i ruszył schodami w dół.

Na półpiętrze pojawił się jakiś nowicjusz z tacą z jedzeniem i napitkiem dla strażników, ale na widok zakrwawionej postaci wypuścił



ją z rąk i skulił się pod ścianą.

Meredith zignorował go.

W jego głowie kołatała jedna jedyna myśl: zejść do archiwów i znaleźć ukryty przed nim manuskrypt. Minął po drodze jeszcze kilku magów. Niektórzy zaoferowali pomoc, ale Meredith przepchnął się między nimi, chwając się na schodach, gdy oni gapili się na niego z otwartymi ustami. Wreszcie dotarł do archiwów. Jeden z bibliotekarzy stanął w drzwiach, nie chcąc go wpuścić.

– Co to ma znaczyć? – powiedział. – Nie możesz wejść w tym stanie!

Ale Meredith popchnął go na ścianę, zostawiając na jego szacie krwawy odcisk dłoni. Przeciął podłogę i stanął tam, gdzie wciąż siedział na krześle brat Serulian, wciąż wpatrzony ślepo w przestrzeń, jakby przez cały ten czas ani na moment nie ruszył się z miejsca. Jak zwykle nie zareagował w żaden sposób na pojawienie się Mereditha, ale jego to nie obchodziło. Podniósł rękę, by rzucić ogłuszający czar, którego nauczył się od strażników Thralla, a brat Serulian zgiął się wpół i spadł z krzesła, po czym rozciągnął się jak długi na podłodze.

Meredith z trudem nabierał tchu i kręciło mu się w głowie. Stał chwilę wpatrzony w kamienny stół, jakby widział go po raz pierwszy. Mrużąc oczy z bólu, który szarpał mu skroń, zaczął przeszukiwać regały z księgami historycznymi. Natychmiast znalazł kilka manuskryptów, których wcześniej nie zauważył. Nie zważając na krew na rękach, porwał księgi z regałów i wsunął pod pachę, a potem poszedł do piątej komnaty, gdzie przechowywano teksty z dziedziny smokoznawstwa. Tutaj znowu dostrzegł na półkach prace, które wcześniej przeoczył, lecz gdy wziął je do ręki, w jego umyśle zajaśniały mgliste wspomnienia. On miał już w rękach te księgi. Czytał je.

Dźwigając naręcze manuskryptów, cofnął się do stołu i rzucił je na blat. Wtedy znowu pojawił się bibliotekarz, a wraz z nim starszy archiwista, ale jedno mordercze spojrzenie Mereditha wystarczyło, by obaj umknęli jak niepyszni.

Skupił całą swoją uwagę na pismach.

Magiczny woal uniósł się z jego umysłu i Meredith zaczął rozpoznawać wertowane księgi i rozwijane zwoje. Krew kapłała mu z twarzy, dłonie znaczyły manuskrypty krwawymi smugami, gdy odkrywał na nowo akapity, o których wiedział, że się tam znajdują, z szaloną prędkością pochłaniając wzrokiem kolejne linijki.

W trakcie czytania jego umysł zaczął przypominać sobie inne księgi i inne wątki dyskursu: rosnąca niechęć czarodziejów do magów bitewnych i posiadane przez nich wpływy w kręgach władzy. Znalazł fragment mówiący o jakiejś „okazji”, która nadarzała się „teraz, gdy Opętani nie są już zagrożeniem”. Przypomniał sobie ostrożne i zwodnicze nuty w słyszanych w przeszłości głosach. Dyskurs toczył się,

miały miejsce rozmaite spory, ale wszelkie wątpliwości i animozje zostały zepchnięte na boczny tor przez płomienną wizję profety Syballiana, ówczesnego wielkiego veneratu.

Meredith połykał księgę za księgą, a w jego piersi szalał dziki gniew. Znalazł zapisy magicznej korespondencji między różnymi wieżami magów. Odszukał też o „szaleństwie i pamięci smoków”. Oraz nowsze odniesienia do ludzi, których Meredith znał. Jego dłonie drżały, gdy wodził wzrokiem po tekście, przeskakując od jednej księgi do drugiej. Ale w miarę czytania jego powieki zwężyły się coraz bardziej, a brwi zbiegały w ciasnym grymasie. Wreszcie skończyła się jego cierpliwość i stronicę pod jego palcami zaczęły ciemnieć i dymić, nadpalone niemożliwą do ogarnięcia furią. Roztrzęsiony Meredith zacisnął powieki, gdy prawda wczepiła lodowate szpony w jego serce. I wtedy wróciły do niego ostatnie słowa brata Pacatosa.

„Przywoła ciemność. I zabije ciemność. A hańba mordu stanie się przekleństwem jego duszy”.

Rozrzucając po pokoju nadpalone karty, Meredith zerwał się zza stołu i pobiegł do stajni. Cierpiał, prawa strona jego twarzy była masą poszarpanego ciała i zakrzepłej krwi, ale umysł miał zadziwiająco jasny.

Przywołanie trzeba natychmiast odwołać. Za wszelką cenę musi powstrzymać Falka.



Falko i Aurelian dwie godziny jechali do miejsca, gdzie kręta dróżka robiła się zbyt niebezpieczna dla koni. Zwierzęta dyszały ciężko, zmęczone wspinaczką. Znajdowali się na znacznej wysokości i przed dwoma magami bitewnymi rozciągała się imponująca panorama płaskowyżu i stolicy. Wieczór był pogodny, a niebo czyste, lecz chłód kąsał dotkliwie, gdy owiewał ich mroźny wiatr, który świszczwał w zetknięciu z ostrymi elementami zbroi Falka.

W ścianie klifu oddzielonego od drogi spłachetkiem skalistej ziemi wisiał na nitach pordzewiały łańcuch, przy którym stało przywiązanych dwanaście koni. Poruszyły się, zaalarmowane, gdy Falko i Aurelian zsiadli ze swoich wierzchowców i przywiązali je obok.

Mag bitewny zdjął tarczę i hełm z siodła, a Aurelian wskazał ruchem głowy wiodącą naprzód ścieżkę. Młodzieniec spojrział i zobaczył dwóch magów, strażników rozstawionych po obu stronach szlaku.

– Wielki veneratu was oczekuje – rzekł jeden z nich.

Falko omiótł ich ostrożnym spojrzeniem, nałożył tarczę i wsunął barbutę pod pachę, po czym ruszył naprzód wraz z Aurelianem.

Wspinali się kolejne dwadzieścia minut, lawirując między głazami i stertami potrzaskanej skały. Wreszcie stanęli nad krawędzią, skąd rozciągał się widok na rozległy obszar, który wyglądał tak, jakby armia rzeźbiarzy wydobyła go z nagiej skały zbocza.

Miejsce przypominało Wichrową Twierdzę w górach nad Caer Dour. Znajdujący się w środku pustej przestrzeni Smoczy Kamień z trzech stron otaczały klify, a czwarta otwierała się w kierunku morza. Byli w górach, kilka ładnych mil od wybrzeża, ale znajdowali się tak wysoko nad stromą, niemal pionową przepaścią, że wydawało się, iż ocean znajduje się wprost pod nimi.

Zachodzące słońce wypełniało miejsce ciepłym blaskiem. Widok zapierał dech. W innych okolicznościach zbudziłby w Falku tęsknotę za domem, lecz teraz niespokojne serce rwało się w jego piersi. Zakręciło mu się w głowie, gdy przed oczami stanęło mu okropne wspomnienie przywołania smoka przez Dariusa. Nieomal cofnął się od krawędzi, wiedziony instynktowną obawą, lecz wówczas zebrał się w sobie i zdusił niepewność.

Przybył tu, by przywołać smoka. Wiedział, że całe życie wiodło go do tej właśnie chwili, że choroba i wywołana przez nią słabość były tylko przeszkodami na prostej drodze, które dawno już zostawił za sobą. Nie miał wpływu na to, jaka istota odpowie na jego wezwanie, i istniała też możliwość, że tak jak w przypadku Symeona przywołanie nie spotka się z odpowiedzią. Ale Falko nie cofnie się przed swoim przeznaczeniem.

Uspokoił oddech, wziął się w garść i z Aurelianem u boku zszedł schodami do miejsca, gdzie tkwił w ziemi Smoczy Kamień. Po drodze zdał sobie sprawę z obecności magów.

– Widzisz ich? – spytał Aurelian, a Falko pokiwał głową.

Trzynastu, wszyscy rozstawieni w równych odstępach na tej samej kamiennej trybunie, jednej z wielu rozchodzących się koncentrycznie ku górze. Dwaj byli magami wojownikami i mieli na sobie zbroje, a na podorędziu mordercze zaklęcia bojowe. Wszyscy byli ukryci za magiczną zasłoną, która czyniła ich niewidzialnymi dla smoka, ale dwaj magowie bitewni widzieli ich jak na dłoni.

Gdy Falko dobrze się przyjrzał, zauważył, że rozsiane po amfiteatrze kolumny uformowane były z fortysytu. Jeśli przywołanie wymknie się spod kontroli, magowie będą mogli się za nimi schronić. Gdy dotarli do płaskiego kamienia, Galen Thrall wyszedł zza wysokiego na osiem stóp filaru przy Smoczym Kamieniu.

– Witajcie, panowie – rzekł. – Podziwu godna punktualność.

Spojrzał w stronę horyzontu, za który miało się niebawem schować pomarańczowe słońce.

Aurelian potoczył wzrokiem po wielobarwnych chmurach na niebie, ale Falko skupił wzrok na Thrallu. Powietrze wokół wielkiego veneratu

wibrowało od nagromadzonej magicznej energii, a jego wodniste oczy wypełniała pogarda. Próbował uniemożliwić Falkowi rozpoczęcie szkolenia i zrobił, co mógł, by nie udało mu się rytuał Assay, ale nawet on nie mógł zamaskować ciekawości. Z ekscytacją oczekiwał rezultatu przywołania.

– Przygotowaliśmy miejsce dla asystenta przywoływacza – oznajmił Thrall, wskazując pusty odcinek półki.

– A co z czarem maskującym? – spytał Aurelian, a mistrz się uśmiechnął.

Mag bitewny miał wiele talentów, ale subtelność magii maskującej była dostępna tylko czarodziejom, którzy poświęcali wiele czasu i starań na jej doskonalenie.

– Nie obawiaj się – rzekł Thrall. – Ukryjemy cię przed spojrzeniem ptero draconis.

Wyraz twarzy Aureliana mówił otwarcie, że nie ufa mu ani trochę, ale wiedział, że nie bardzo ma wybór. Zwrócił się do Falka i położył mu dłoń na ramieniu.

– Sercem, Falko – przypomniał, a uczeń kiwnął głową.

Stary mag bitewny wdrapał się na skałę, by zająć wskazane miejsce nad Smoczym Kamieniem, gdy tymczasem Thrall ogarnął wzrokiem klify wokół. Magowie po kolei potwierdzali gotowość do rytuału. Wreszcie zatrzymał wzrok na Falku.

– Jesteśmy gotowi, panie Danté.

Falko skłonił się oszczędnie i ostatni raz zerknąwszy na Aureliana, podszedł do krawędzi Smoczego Kamienia. Hełm wciąż trzymał pod pachą i patrzył na rozpościerający się w dole widok. Klif opadał w dół z wysokości tysiąca stóp, nim niższa część zbocza zaczęła się wyrównywać, schodząc łagodniej ku morzu. Słońce zakryły wiszące nad horyzontem chmury, ale niebo nad ich głowami było czyste. Falko przez moment oddychał zimnym górskim powietrzem, gdy wiatr burzył jego długie, ciemne włosy. Czuł się pokrzepiony, mając na sobie zbroję i u pasa miecz.

Nazywał się Falko Danté, był synem Aquili Dantégo i Eleanory Danté. Był magiem bitewnym i przybył po to, by przywołać smoka. Falko ledwie ogarniał umysłem doniosłość tej chwili, wiedział, jak wiele zależy od tego, czy mu się uda, a mimo to czuł spokój.

Odgarnął włosy z twarzy, nałożył hełm i ruszył na środek areny. Potem uklęknął i przyłożył pancerną pięść do kamienia. Zebrawszy całą swoją moc, zamknął oczy i wtedy magia zamrowiła w jego ciele. Trzymał ją mocno, ale tylko przez chwilę. Wypuścił.

Bum!

Cała góra zatrzęsała się od wielkiej kompresji powietrza, gdy cichy głos pomknął w szeroki świat.

Bum!

Kolejny impuls energii, który oszołomił swoją siłą przyglądających się Falkowi magów.

Bum!

Jakby ponad górami przetoczył się cichy grom, echo trzeciego wybuchu odbiło się od ścian klifu. Falko powoli dźwignął się na nogi. Eteryzny dzwon jego duszy trzykrotnie zbudził się do życia. Czas już wkrótce pokaże, czy Falko spełnił marzenie swego serca, czy też okrutny los pokrzyżował mu plany.

Ale przywołanie się dokonało. Na dobre lub na złe.

Smok został wezwany i teraz mogli już tylko czekać.



Meredith ignorował ból, jadąc wąską górską ścieżką. Koń rżał, gdy jego kopyta ślizgały się na drodze, ale Meredith szarpał za wodze i gnał naprzód. Chrapy zwierzęcia rozdymały się, chciwie zasysając powietrze, i zwierzę wywracało oczami, usiłując wypełnić polecenia tego okrutnego pana, który cuchnął krwią.

Dotarłszy do łańcucha, Meredith zeskoczył z siodła, lecz gdy chciał pobiec dróżką, drogę zagrodzili mu dwaj magowie.

– Przywołanie już się rozpoczęło – rzekł ten po prawej.

– Nie możemy cię przepuścić – dodał ten po lewej.

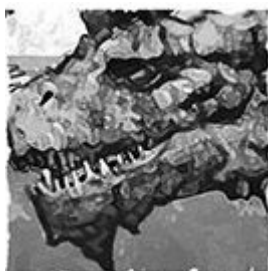
Nie zwalniając kroku, Meredith ogłuszył jednego, a drugi złożył się wpół pod wpływem ciosu energetycznego w sam żołądek i jęcząc, osunął się na ziemię. Nie poświęcając strażnikom ani jednego spojrzenia, Meredith przemknął między nimi i rozpoczął ostatni etap wspinaczki, choć wiedział, że przybędzie za późno.

Po drugiej stronie szlaku Falko stał już twarzą do morza, gdzie nad horyzontem majaczył odznaczający się na tle jasnego nieba ciemny kształt. Zbyt wielki, by pomylić go z ptakiem. Ów kształt rósł, potężniał i z każdą sekundą stawał się bardziej widoczny. Nie było wątpliwości.

Smok odpowiedział na wezwanie Falka.

## Zmierzch

---



Natężenie magii wokół Smoczego Kamienia wypełniało powietrze migotliwymi iskierkami. Niecierpliwe wyczekiwanie było niemalże fizyczną, namacalną siłą, odciskającą się w rozbieganych sercach uczestników rytuału. Aurelian wlepił wzrok w wieczorne niebo, rozpaczliwie szukając śladu koloru w niewyraźnej jeszcze sylwetce zbliżającego się prędko smoka.

– Błagam... – wydyszał. – Błagam...

Wiedział, że magowie są przygotowani na najgorsze, ale nie mógł znieść myśli o tym, że Falko miałby zostać zmuszony do zabicia smoka. Coś mignęło na niebie i dał się słyszeć krzyk jednego z czarodziejów:

– Żółty! Błysnęła żółć!

Serce porwało się w duszy Aureliana, lecz gdy spojrzał w dół na Falka, cała jego nadzieja uleciała jak pył niesiony wiatrem. Chłopak stał w pozycji bojowej. Cofnął się na skraj Smoczego Kamienia, uniósł obnażony miecz i podniósł go pod umówionym wcześniej kątem. Był to sygnał dla Aureliana, by wypełnić ostrze energią.

Starego maga bitewnego ogarnęło uczucie, jakby został na świecie zupełnie sam. Otworzył umysł i nasycił ostrze swoją mocą.

Na wszystko, co święte, myślał. Co ja powiem Dwim?



Jeszcze przed zwodniczym błyskiem, który rozpałił w magach fałszywą nadzieję, Falko wiedział, że smok jest czarny. Tak jak wiedział to, zanim dało się dostrzec kolor łusek smoka, który stawił się w Wichrowej Twierdzy na wezwanie Dariusa. Czuł to w swojej duszy i sercu, a wraz

z tą wiedzą napała na niego niszczycielska fala żalu. Stworzenie lecące w jego kierunku powinno być jego towarzyszem życia, towarzyszem broni, lecz przywołany smok był czarny, tak jak czarne było bijące pod pancerzem łusek mordercze serce, i nic nie mogło tego zmienić. Monstrum było coraz bliżej i tak jak poprzednio Falko wylapał umysłem kłębiące się w nim uczucia.

Zmieszanie... podejrzliwość... nienawiść...

Po co przybył do tego wypranego z wszelkiej nadziei miejsca?

Gdzie jest towarzysz, który go wezwał?

Spojrzawszy w dół na kamień przywołania, smok zawisł w powietrzu, utrzymywany w miejscu uderzeniami potężnych skrzydeł. Był niepewny i ostrożny, ale nie wystraszony. Lecąc wzdłuż linii wybrzeża, widział w dole tysiące ludzi, rojących się jak mrówki pomiędzy kamiennymi murami miasta, lecz tutaj nie było nikogo, tylko wiatr hulał wśród skał rozrzuconych po szerokim pustkowiu.

Więc co on tu robił?

Powoli smok obniżył lot, aż z gracją, panując kompletnie nad swoim węzowym ciałem, osiadł na kamiennym podłożu. Za jego plecami ziała przepaść, a przed nim trzynastu ukrytych przed jego oczami czarodziejów splatało delikatną pajęczynę czarów. Smok niczego się nie spodziewał.

Skryty za magiczną zasłoną Falko patrzył, oniemiały, na cudowne stworzenie, które mu się objawiło: twarde jak stal, połyskujące łuski okrywające muskularne ciało z krwi i kości, rogata głowa i mordercze szczęki, płonące inteligencją ślepiea uczynione z ognia i płynnego złota. Ucieleśnienie obsydianowej potęgi.

Prawie nie śmiąc oddychać, Falko zamrugał, gdy zamazała się granica między jego myślami a myślami smoka. Raz jeszcze ogarnęło go współczucie, ale zdławił je. Zebrał się w sobie, otoczył serce twardym pancerzem i zamknął swój umysł na podobne myśli. To właśnie ta słabość doprowadziła do śmierci Dariusa i zniszczenia jego rodzinnej wioski. To właśnie ta słabość złamała wielkiego wojownika Nicolasa Dusaule'a.

Falko wiedział, że jeśli da mu szansę, smok zniszczy ich wszystkich. Gdy poprzednio stanął twarzą w twarz z bestią taką jak ta, był bezradny i nie mógł zapobiec śmierci Dariusa, lecz teraz był magiem bitewnym i nie pozwoli, by historia zatoczyła koło.

Utrzymując pozycję bojową, ściskając w ręku miecz wibrujący od magii Aureliana, czekał, aż smok się zbliży. Jeszcze tylko kilka sekund i będzie po wszystkim. Czuł, jak zaciska się rozpięta przez magów sieć. Wkrótce smok też ją wyczuje i gdy spróbuje się uwolnić, zginie.



Galen Thrall wpatrywał się z niezdrową fascynacją we wspaniałe zwierzę, które wylądowało na Smoczym Kamieniu. Uczestniczył w czterech przywołaniach, ale pierwszy raz w takim, w którym na wezwanie stawiał się smok o czarnych łuskach. Wiedział już, że wszystkie opowieści mówiły prawdę.

Było to piękne, potężne stworzenie, najstarsze i najsilniejsze z całego smoczego rodu. Nie było zbyt duże, ale jego postawa dawała pojęcie o tym, jak śmiertelnie groźną jest istotą. Stwór budził jednocześnie przerażenie i podziw.

Gdy smok zrobił kolejny krok naprzód, Thrall poczuł, jak czarodzieje z wolna zaciskają swoją energetyczną sieć, gotowi przytrzymać zwierzę, by Danté i magowie wojownicy mogli je wyeliminować. Lecz smok wyczuł, że coś jest nie tak. Wessał powietrze potężnymi chrapami, a zakończony grotem ogon zaczął zagarniać skalne podłoże. Bestia zmieniła pozycję i zastygła w obliczu niewidzialnego niebezpieczeństwa, lecz było już za późno. Sieć była gotowa.

Wspólnymi siłami jedenastu magów zarzuciło ją na smoka, gdy tymczasem Falko ruszył naprzód, unosząc miecz. Thrall uśmiechnął się, gdy jasnoczerwona krew zboczyła Smoczy Kamień.



Falko nie posiadał się ze zdumienia, widząc szybkość reakcji smoka. Pomimo zwojów pola siłowego, które miało przytrzymać go w miejscu, smok odskoczył, a miecz Falka zostawił na jego szyi jedynie płytkie nacięcie. Bestia zatoczyła się, jakby na jej barkach wylądował olbrzymi ciężar, jej skrzydła naparły na magiczną sieć, ale nie mogły się w pełni rozwinąć. Ogon pozostał jednak wolny i Falko musiał zablokować tarczą mordercze uderzenie ostrego grotu.

Stojący po lewej ręce Falka mag wojownik posłał w stronę smoka grom energii, który naznaczył jego żebra głęboką raną. Smok zwinął się gwałtownie, przez co atak drugiego maga wojownika chybił celu i zostawił po sobie jedynie krater w Smoczym Kamieniu. Smok buchnął ogniem – spaliłby jednego z magów wojowników, który zbyt wolno obłożył się czarem obronnym. Na szczęście Falko mógł teraz rzucać takie zaklęcia samą myślą i mężczyzna nawet się nie wzdrygnął, gdy kolumna ognia rozprysła się o kulę energii, którą otoczył go mag bitewny.



Smok usilnie próbował utrzymać się na nogach, ale magiczna zasłona opadła i widział teraz swoich ciemżycieli. Chwiejąc się, trafił w skałę skoncentrowanym strumieniem ognia i dwaj magowie musieli skryć się za fortysytowymi filarami.

Utracili koncentrację, ale dziewięciu pozostałych magów to więcej niż dosyć, by poradzić sobie ze smokiem. Thrall miał zamiar zminimalizować ryzyko wiążące się z przywołaniem Falka Dantégo. Pomimo determinacji młodego maga bitewnego wielki veneratu sam przygotował zabójcze zaklęcie ofensywne. Tak wielkie, że jego umysł płonął z wysiłku – tyle kosztowało go trzymanie czaru w gotowości. Obserwując przygniecionego do ziemi smoka, uświadomił sobie, że może nie będzie potrzeby z niego korzystać, lecz nie uwolni zaklęcia, dopóki nie upewni się, że smok nie żyje.

Patrzył, jak Falko odbija kolejne uderzenie ogona i przedziera się przez gorejącą nawałnicę smoczego oddechu, by wrazić ostrze w podstawę szyi. Potężny stwór nie był już w stanie podnieść głowy, ale wciąż ryczał i wył, usiłując się podnieść.

Thrall drżał z niecierpliwości, jego źrenice stały się dwoma punkcikami, drobnymi jak ziarnka piasku. Wątpił, by Falko miał dość siły, by zwalczyć smoka, ale młody mag bitewny zaskoczył go po raz kolejny. Na usta Thralla wystąpił uśmiech, gdy młody Danté odbił w niebo zabójczy atak maga wojownika. Najwidoczniej ten wypłosz w końcu poczuł się do odpowiedzialności. Chciał sam zakończyć nieudane przywołanie.



Aurelian nie mógł patrzeć, jak Falko podchodzi do poskromionego stworzenia. Stary mag bitewny nie krył łez i po raz pierwszy dogłębnie zrozumiał, z jak wielkim ciężarem duszy wiąże się ten czyn, który ograbił Dusaule'a z wiary.

Wszystkie opowieści okazały się prawdziwe.

Choć nie odczytał tego tak dokładnie jak Falko, on również wyczuł, co dzieje się w smoczym umyśle. Smok chciał ich pozabijać, więc nie mieli innego wyjścia, jak tylko zabić go pierwsi, nawet jeśli ten czyn miał złamać im serca.

Spoglądając z wysokości na wspaniałego smoka, mógł tylko patrzeć, jak Falko unosi miecz i wzmacnia magią swoje ramię, by wyprowadzić coup de grâce.



Wątpliwości wrzeszczały w umyśle Falka. Ból szalał w jego duszy i bezowocnie łomotał pięściami w stalowe ściany, którymi Falko odgrodził swoje serce.

Nie wolno! – słyszał wrzask. Nie tak powinno być!

Ale Falko nie miał zamiaru go słuchać. Kiedyś już pozwolił się zwieść fałszywemu współczuciu, a za jego słabość zapłaciło wielu niewinnych ludzi. Falko nie był już słaby, nie padnie już ofiarą głupiej, młodzieńczej naiwności.

Spojrzał na potwora przez szparę hełmu. Smok nadal zmagał się z oplatającymi go magicznymi włóknami. Falko zajrzał w złote oczy, które wciąż jaśniały furją. Nie dopatrywał się w nich uczucia porażki lub błagania o łaskę. Smok patrzył na niego z pogardą i wściekłością, której nie ugasiłby nawet ocean.

Mag wojownik po jego prawej stronie wypuścił z rąk magiczny pocisk, który zabiłby smoka, gdyby Falko pogardliwie nie odbił go mocą umysłu.

To on sprowadził tu czarnego smoka. Więc to on go stąd odeśle.

Miecz śpiewał mocą Aureliana, gdy Falko uniósł go w powietrze.

Czarne smoki to wrogowie rodzaju ludzkiego. Czarne smoki są obłąkane!

– Falko! Nie!



Inny głos nigdy nie zatrzymałby ręki Falka, ale krzyk Mereditha rozbrzmiał w jego głowie jak grom. Zadrzał, porażony jego mocą, zachwiał się, o mało nie upadając. Ale gdy poderwał wzrok na Mereditha, który wpatrywał się z wysoka w Smoczy Kamień, oczy Falka zapłonęły furją.

Przewycięzenie instynktu, który nie chciał pozwolić mu zabić smoka, kosztowało go wiele trudu. Nigdy nie wybaczy Meredithowi tego, że zmusił go do ponownego dźwignięcia tak wielkiego ciężaru.

– Nie rób tego! – krzyczał Meredith zwykłym głosem, zbiegając po schodach. Był spocony, błady i zboczony krwią, ale jego słowa dźwięczały wyraźnie wśród skalnych ścian. – Okłamali nas – powiedział, ogarnąwszy wzrokiem magów na skalnych półkach.

– Cisza! – ryknął Thrall, a Meredith zatoczył się, gdy puls mentalnej energii wielkiego veneratu uderzył w jego umysł. – Trwa przywołanie!

Nikommu nie wolno dotknąć Smoczego Kamienia!

Falko wbił wzrok w Mereditha. Za nic nie chciał poddać się wątpliwościom, które osłabiały jego postanowienie, ale nie mógł zignorować rozpaczliwej nuty prawdy w głosie młodego maga. Raz jeszcze spojrzął na smoka i opuściło go całe zdecydowanie.

– Pozwól mu mówić! – ryknął Aurelian, a Meredith dalej schodził po schodach, aż stanął na równi ze Smoczym Kamieniem.

Łypnął na rozciągniętego na nim smoka, usiłując ignorować palący żar lejący się z oczu Thralla. Wszystkie jego myśli skierowane były na Falka.

– Wielkie Opętanie to kłamstwo – powiedział. – To wszystko nieprawda. – Falka zamurowało. A Meredith wwiertcił się wzrokiem w Galena Thralla. – To nie smoki uległy opętaniu. Tylko magowie.

W drążących Mereditha oczach wielkiego veneratu zajaśniała obietnica zemsty. Pomyśleć, że to jeden z braci zdradził czarodziejów przed otępiętymi głupcami, którzy przyrzekli wierność tronem tego świata. Młodego Sakera zaledwie tygodnie dzieliły od zakończenia nauki i złożenia ślubów całkowitej lojalności wobec magów. Lecz do tego czasu nic nie mogło powstrzymać go od mielenia zdradzieckim jęzorem.

Thrall telepatycznie wydał nowe rozkazy magom obstawiającym Smoczy Kamień. A gdy Meredith zdradzał ich tajemnice, pozwolił morderczemu zaklęciu, które trzymał w pogotowiu, wypłynąć na powierzchnię jego umysłu.

Falko gapił się na Mereditha, jakby nie rozumiał słów, które ten właśnie wypowiadał.

– Smoki, Falko – przekonywał Meredith, chcąc przebić się przez mur zimnej obojętności, którym Falko otoczył swoje serce. – To smoki znają prawdę. – Dotarłszy do Smoczego Kamienia, opłynął wzrokiem wspaniałe stworzenie, które wciąż mocowało się z magiczną siecią. – Nie uczą się nawzajem historii, jak my to robimy – ciągnął. – One jej doświadczają. W miarę jak się starzeją, coraz dalej sięgają pamięcią w przeszłość. I dopiero gdy stają się czarne ze starości, przypominają sobie Wielkie Opętanie. – Oczy Mereditha zaszyły łzami. – Czarne smoki nie nienawidzą nas dlatego, że są obłąkane. Tylko dlatego, że pamiętają, że to my zwróciliśmy się przeciwko nim. – Falko zamrugał i pokręcił głową, gdy fragmenty układanki zaczęły składać się w klarowny obraz. – Magowie je zabili. Zabili je wszystkie.

Falko sięgnął do czoła ręką, do której wciąż miał przytroczoną tarczę. Nagle jego umysł ogarnął nieopisany, płomienny gniew.

Widział miejsce w górach, wielką misę wyrzeźbioną w skale. Ciemne chmury kotłowały się wysoko na niebie, a wiatr wył, gdy na okolicznych skałach pojawiły się setki magów. Ziemia usiana była trupami. Dziewiętnastu wojowników w zbrojach. Dziewiętnastu magów

bitewnych. Martwych. Ich ciała nie nosiły śladów mordu, jeśli nie liczyć ciemnego koloru warg.

Falko wzdrygnął się przed napływem wspomnień, które nie należały do niego.

Ogień i błyskawice wybuchły wokół niego, gdy magiczna siła zajaśniała w powietrzu, a wiatr poniosł ze sobą fetor śmierci. Smoki, jego bracia, podjęły walkę, choć oszołomił ich żal i zdumienie. Walczyły i zabijały dziesiątkami, ale magów było zbyt wielu i byli zbyt dobrze przygotowani, zanadto ogarnięci niezachwianym przekonaniem, jakie cechuje wszystkie opętane umysły, umysły pchnięte do zabijania przez trucicielskie oszustwo profety Syballiana.

Falko nieomal ugiął się pod ciężarem tej gwałtownej nienawiści, gdy wśród skał poniosło się echo głosu Thralla, wypełnionego zajadłą pogardą.

– Co się stało, to się stało! – wrzeszczał. – Jakie to ma teraz za znaczenie? Ich nienawiść do nas nigdy nie ustanie. – Jego rozogniony wzrok spoczął na bezradnym smoku. – Zabiją nas wszystkich, chyba że my zabijemy je pierwsi.

Głos veneratu był podszyty szaleństwem zdolnym przyćmić chaos w umyśle czarnego smoka. Falko starał się ogarnąć ogrom prawdy wygłoszonej właśnie przez Mereditha. Nieopisany akt masowego morderstwa, uknutego w sekrecie i przykrytego kłamstwami spiętrzonymi na przestrzeni czterystu lat.

Wolno schował miecz do pochwy.

Te kłamstwa sprzedawano królom i królowym, a ceną była utrata połowy świata, ale Falko nie mógł teraz myśleć o niczym innym, jak tylko o własnym bólu. Niemalże bezgłośnie zadał pytanie, które przejmowało Mereditha trwogą.

– A mój ojciec?

Serce młodego Sakera pękło ze wstydu, wiedział już bowiem, że jego rodzony ojciec odegrał rolę w zabiciu Aquili Dantégo.

– Zanadto zbliżył się ze swoim smokiem – odpowiedział Meredith. – Zbyt wiele się dowiedział. – Meredith zdawał sobie sprawę, ile cierpienia jego słowa przysporzą Dantému, ale Falko musiał usłyszeć od niego jeszcze tylko jedno. – Symeon o tym nie wiedział – zakończył, mając tylko nadzieję, że Falko wciąż go słyszy.

Symeon nie wiedział.

Słowa odbiły się echem w głowie Falka niczym klątwa nieżyjących od dawna duchów.

Symeon nie wiedział.

Symeon le Roy, człowiek, który go wychował, zmuszony do zabicia swojego najlepszego przyjaciela. Przez kłamstwa magów. Próżnia wyjałowionej duszy Falka wypełniła się nagle pamięcią o długich latach

cierpienia i pogardy, fala naparła na niego, by go pochłonąć, rozedrzeć na strzępy jego umysł i serce.

Przez całe życie przerażała go myśl, że stanie się swoim ojcem: szaleńcem i mordercą. Ale nie było w tym słowa prawdy.

Symeon nie wiedział.

Stojący na Smoczym Kamieniu mag bitewny Falko Danté zacisnął pięści. Zacisnął je, a wibrujące uczucie mocy przepłynęło przez całe jego ciało. Zacisnął je mocno, a wibracje przeszły w złowróżbny pomruk. Pomruk przeistoczył się w jęk, a sieć pętająca smoka zaczęła się rozpuszczać, gdy nienawiść Falka wyciekła z niego i skaziła świat.

– Co ty robisz! – krzyknął Thrall, gdy gniew maga bitewnego rozproszył pętające smoka zaklęcie.

Falko zacisnął pięści, a smok zaczął podnosić się z ziemi.

– Ty głupcze! – wołał Thrall. – Zabijesz nas wszystkich!

Ale Falko nie dbał już o tak przyziemne sprawy. Malstrom zdrady, śmierci i straty szalał w jego umyśle. Jeśli czekała na niego śmierć, niech się nie krępuje. Zasługiwał na nią.

Falko zacisnął pięści i smok był wolny.

– Zabić go! – krzyczał Thrall. – Zabić go, natychmiast!

Trzynastu magów rzuciło trzynaście morderczych zaklęć.

Ale Falko już powziął postanowienie. Smok nie zostanie zabity. Odbił i zablokował zaklęcia mocą umysłu. Lecz nawet jego umiejętności obronne okazały się niedostateczne, by poradzić sobie ze wszystkimi pociskami. Smok ryknął, gdy kilka gromów magicznej energii zerwało mu łuski z ciała.

Chłopak sięgnął umysłem i pochwyił jednego z magów wojowników, a potem szarpnął nim i uderzył jego głową o fortysytową kolumnę. Okręcił się w miejscu i otoczył drugiego sferą energii w tym samym momencie, w którym mężczyzna rzucał kolejne zaklęcie. Mag wojownik wrzasnął, gdy jego własny ogień wybuchł mu w twarz.

Reszta magów nie przerywała ostrzału, ale nie byli tak silni jak dwaj powaleni magowie wojownicy, a uwolniony smok sam potrafił się bronić. Skoczył w powietrze i zalał obszar skały strumieniem ognia. Dwaj mężczyźni z pewnością by umarli, gdyby nie rozpięły się nad nimi kopuły magicznej energii. Smocza głowa zwróciła się w kierunku nowego gracza, który włączył się do bitwy, a jego ślepia znalazły jednoręką postać Aureliana Cruza.

Czerwone od łez oczy Aureliana zajrzały głęboko w ślepia smoka, który sposobił się, by go zabić. Stary mag bitewny nie miał siły się bronić po wszystkim, co usłyszał.

Falko poderwał wzrok na smoka lecącego w stronę Aureliana. Ujrzał, że nabiera tchu.

– Nie! – zawołał i wielkim wysiłkiem woli zestrzelił smoka na ziemię.

Smoczy Kamień zadrżał w posadach, gdy zważyło się na niego potężne cielsko. Z szybkością wielkiego kota potwór stanął na nogach, okręcił się i uderzył w Falka burzą płomienia, która rzuciła go na kolana. Drugie uderzenie posłało go w powietrze, a cios ogona upuścił mu krwi, gdy grot na jego końcu natrafił na lukę w pancerzu. Dwa nieudane ataki magów rozproszyły uwagę bestii, ale buchnięcie płomieni kazało im schronić się za filarami z fortysytu.

Oszołomiony atakami Falko zerwał się na nogi, gdy smok ponownie wziął go na cel. Nie miał zamiaru dobywać miecza, nie chciał zasłaniać się tarczą ani defensywnymi czarami.

Oni zabili smoki, ich największych sprzymierzeńców, ich bratnie dusze.

Falko może i był tylko jednym człowiekiem, którego poniosły skłębione fale rozpacz. Ale był człowiekiem. I gdyby teraz przystąpił do walki, stałby się współwinnym zbrodni, która zerwała więź między dwiema wielkimi rasami.

Gdy smok cofnął się o krok, Falko opuścił ramiona i uniósł głowę. W pozbawionym wyrazu pustym spojrzeniu nie dało się znaleźć wymówki lub błagania o łaskę. Jaśniał w nim tylko wstyd i smutek, i niemożliwy do ugaszenia płomień żalości.

Smok zamarł.

Wrogość wobec rodzaju ludzkiego była uczuciem tak silnym, że żadne inne nie mogło się z nim równać. Smok nigdy nie podawał go w wątpliwość, nie powściągał własnej nienawiści, nie znajdował powodów do jej odrzucenia. A mimo to znieruchomiał. Do jego własnego umysłu napłynęły obrazy, których nigdy wcześniej nie widział. Przedstawiały smoka, który mógł kiedyś być czerwony, oraz duszę, która walczyła u jego boku. Ujrzał człowieka, który jest wściekły na krzywdę, jaką wyrządzono nie tylko smokom, ale też Wielkim Duszom w ludzkich ciałach. Zobaczył, jak smok oraz człowiek ruszają razem do bitwy, by pogodzić teraźniejszość z przeszłością. Bitwa została przegrana, ale gdy smoka i człowieka spowiała ciemność, pojawił się obraz małego chłopca stojącego pośród płonących ruin swojego domu.

Smok zastygł z rozpostartymi skrzydłami i obnażonymi pazurami, zaglądnąjąc w zwierciadło własnej duszy.



Na skalnej półce ponad Smoczym Kamieniem skryty za fortysytową kolumną Galen Thrall mrucał słowa niszczycielskiego zaklęcia, zawierając w nim całą swoją moc i całą nienawiść. A potem zamknął

woskowozielone oczy, wziął głęboki wdech i przygotował się do uderzenia.



Zagubiony we własnym cierpieniu Falko utkwiał wzrok w złotych oczach smoka. Był gotowy na ostateczny cios bestii, ale ten nie nadchodził. Wspomnienia ojca kłębiły się w jego umyśle, mieszały z tymi o jego smoku, zespoliły się razem tak bardzo, że nie sposób było oddzielić ich od siebie. Przez moment płonęła w nim iskierka nadziei, niczym wątyły, zawieszony w przestrzeni most, którym mogliby cofnąć się znad krawędzi zguby. A potem poczuł falę woli Galena Thralla i splatające się mordercze zakłęcie.

Z rykiem pierwotnej furii Falko okręcił się i wyrzucił ręce w przód, a wielki jak całe ludzkie życie pocisk energii wystrzelił z jego dłoni i zalał arenę oślepiającym blaskiem. Ognisty grom rozdarł powietrze i strzaskał fortysytową kolumnę, za którą Galen Thrall kończył tkać zakłęcie. Ale wielki veneratu nie zdążył wymówić ostatniego słowa, które posłałoby je w kierunku smoka. Gilotyna światła grzmotnęła go w pierś, przedarła się przez żebra, płuca i kręgosłup. Jego martwe ciało wytoczyło się z ukrycia, znieruchomiały źrenice jego wodnistych, zielonych oczu.

Część kolumny powyżej wyrwy wciąż stała pionowo. Jedyna substancja zdolna oprzeć się magicznej energii została przecięta mocą wściekłości osieroconego dziecka.

Na Smoczym Kamieniu zaległa cisza, gdy do tych, którzy przeżyli starcie, dotarło, co się przed chwilą wydarzyło.

Najczcigodniejszy mistrz magów legł martwy.

Wszystkie oczy zwróciły się na Falka, lecz tylko smok ujrzał go naprawdę.

Stworzenie spoglądało w oczyszczający się umysł młodzieńca, który powoli zaczynał rozumieć, co właśnie uczynił. Strach przed przemianą we własnego ojca pieczętował prawdziwą moc Falka. Całe jego życie było naznaczone stygmatem szaleństwa i zbrodni, lecz teraz wiedział już, że jego rozumienie tych spraw nie miało nic wspólnego z prawdą. Jego ojciec wcale nie był mordercą, zabijał jedynie w obronie własnej.

Ale co z nim?

Czy mógł tylko zablokować czar wielkiego veneratu? Czy stracił nad sobą panowanie w gniewie?

Czy zabił w złości?

Czymże to było, jeśli nie morderstwem?

Wszystkie oczy zwrócone były na Falka, lecz tylko smok zaglądał w jego duszę. Smok widział, jak zrozumienie formuje się w umyśle tego człowieka, jak kwitnie w nim skrucha, jak zatruwają go wyrzuty sumienia. Po tylu latach strachu i hamowania się Falko wreszcie odblokował swoją moc tylko po to, by stać się tym, kim nigdy nie był jego ojciec. I nie mógł tego znieść.

– Falko! Nie!

Meredith krzyczał, a Aurelian zaczął formować czar, który zdołałby go powstrzymać, lecz obaj się spóźnili. Z przekonaniem dorównującym bezmyślnej furii Opełanych Falko puścił się biegiem przez Smoczy Kamień i skoczył w gościnne ramiona śmierci.





część

# ODKUPIENIE

## Wielki wódz



**N**ie! – zawołał Aurelian, gdy Falko rzucił się w przepaść.

Ale gdy tylko chłopak zniknął za krawędzią, w ślad za nim pomknął skrzydlaty cień.

Bo podczas gdy wszyscy jedynie patrzyli na Falka, smok wejrzał w jego duszę. Widział, jak burza uczuć rozdziera jego umysł, aż we wnętrzu nie zostało się nic poza ślepą, niemożliwą do zniesienia żalnością. To surowe, nagie uczucie wstrzymało łapę smoka, przedarło się przez jego własne szaleństwo i rozwiało mgłę nienawiści. Było podobne do tego, które ocaliło smokowi życie. Zaś naczynie mieszące to uczucie pomknęło właśnie na spotkanie śmierci.

Gdy Falko zerwał się do biegu, smok już unosił skrzydła. Wciąż był zdezorientowany i w dalszym ciągu płonął gniewem, lecz w końcu rozpoznał brata, który go przywołał, który ocalił go z sieci czarodziejów i zabił mistrza, który z pewnością pozbawiłby go życia.

Gdy Falko skoczył ze Smoczego Kamienia, smok rzucił się za nim. Obracając się w powietrzu, trzepnął potężnie skrzydłami i zwiększył prędkość, mknąc ku człowiekowi spadającemu w kierunku osypiska rozproszonego u stóp skały. Smok nie miał już czasu, by machnąć skrzydłami po raz drugi. Zwinął je więc, zacisnął łuski i zapikował z szybkością polującego jastrzębia. Wiatr świszczął, opływając krzywiznę jego ciała, gdy grunt z oszałamiającą szybkością pędził mu na spotkanie.

Sto stóp nad potrzaskanymi skałami smok złamał lot i złapał w powietrzu opancerzone ciało. Nie było czasu na delikatność. Chwycił człowieka za ramiona, wpasowując szpony w szczeliny pancerza, a potem rozłożył skrzydła, by wyhamować. Ale był zbyt nisko i nie udało mu się całkiem uniknąć zetknięcia ze skałą i trawiastym wybrzuszeniem ziemi.

Wzbijając chmurę skalnych drobin i pyłu, ciało Falka musnęło grunt, gdy smok z wysiłkiem szukał oparcia w powietrzu. Skręcił ostro w prawo, by nie uderzyć Falkiem o skały, ale przez to nie miał dość miejsca na manewrowanie drugim skrzydłem i mógł tylko bezwładnie mknąć w kierunku zbliżającego się groźnie zbocza. Wiedząc, że nie zdoła zwiększyć wysokości, obrócił się w powietrzu grzbietem do ziemi i przygarnął bezwładne ciało Falka do piersi.

Potężna bestia uderzyła o zasypane skalnym drobiazgiem zbocze i zjechała po nim na równy grunt, by zatrzymać się w kraterze w chmurze kamiennego pyłu.



Aurelian i Meredith spojrzeli z przerażeniem w dół i zobaczyli, jak czarny smok okręca się w powietrzu, zwiija w kulę lśniących łusek i uderza w pochyłe zbocze góry. Siła tego zderzenia posłała w niebo szarą chmurę pyłu, która zasłoniła im widok. Ze zmrożonymi w piersiach sercami czekali, aż wiatr rozpędzi tę mgłę.

Tysiąc stóp pod nimi wichur szarpnęła szarym całunem i przegnał go przez dolinę. I wówczas ujrzeli, jak czarny smok podnosi się z ziemi. Przez chwilę patrzył na coś leżącego na skalnym podłożu, a potem pochylił głowę i otoczył to coś skrzydłami, jak orzeł, który broni upolowanej przez siebie zwierzyny. Następnie zmienił pozycję i poderwał na nich wzrok. Jakiś czas spoglądał na dwóch ludzi, jakby chciał zapamiętać ich twarze; ślizgał się po nich byстрыm, jastrzębim spojrzeniem. A potem rozwinął skrzydła i wzbił się w niebo.

Wciąż był zbyt daleko, by Aurelian i Meredith mogli dostrzec coś poza jego zarysem, ale gdy bestia wzbijała się coraz bliżej, zobaczyli, że łapami tuli coś do łuskowatej piersi. Wzniósłszy się na odpowiedni pułap, smok odleciał na północ. Stali, wczepieni w niego wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem góry, zostawiając po sobie pusty przestwór nieba.

Zanim zdążyli porozmawiać czy choćby ogarnąć wszystko, co się wydarzyło, usłyszeli za sobą kroki. Na Smoczym Kamieniu stali magowie. Zaszokowani, wystraszeni i niebezpieczni.

– Wielki veneratu nie żyje – powiedział jeden z nich.  
– Zabił go Danté – dodał kolejny.  
– A ty jesteś zdrajcą – rzucił trzeci, wwiercając się wzrokiem w Mereditha.

Na kamiennych półkach dźwigał się na nogi mag wojownik. Jego ubranie było czarne, a ciało poparzone ogniem jego własnego zaklęcia.

Potrzebował lekarza, ale magowie nie potrafili teraz myśleć o niczym innym poza śmiercią Thralla i rewelacjami Mereditha.

– Nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć – powiedział drugi mag wojownik. – Naraziłbyś swoich braci na niebezpieczeństwo.

– Magowie nie są moimi braćmi – wycedził Meredith.

Atmosfera na arenie zmroczniała i nie miało to nic wspólnego z zapadającą nocą. Magowie uformowali przed nimi szyk, zdrowy mag wojownik dobył miecza.

– Dość! – ryknął Aurelian, a w jego dłoni urosła momentalnie kula płomienia.

Twarz miał umazaną łzami, a głos napięty przez wszystko, co się tu wydarzyło, i wszystko, czego się dowiedział.

– Pójdziemy sobie teraz – wyrzeźił. – Ktokolwiek spróbuje nas powstrzymać, popęlni wielki błąd.

Magowie cofnęli się, widząc gniew malujący się na twarzy Aureliana. Mag bitewny ruchem kikuta popędził Mereditha naprzód. W drugiej ręce wciąż trzymał ognistą kulę. Gdy doszli do schodów wiodących ze Smoczego Kamienia, Meredith potknął się – wreszcie dopędziło go zmęczenie z całego dnia.

– Co ja zrobiłem? – spytał, gdy adrenalina wysączyła się z jego krwiobiegu i zaczęły mu świtać w głowie możliwe konsekwencje jego czynów.

– Odkryłeś prawdę i uratowałeś życie dwóm Wielkim Duszom – rzekł Aurelian, zawieszając sobie Mereditha na ramieniu, gdy ten znowu się potknął.

– Ale Thrall...

– Wielki veneratu przepadł już dawno temu – rzekł Aurelian, myśląc o tym, jak dogłębnie zepsuci byli magowie. Moc Opętania nie umarła wraz z profetą Syballianem. Tamtego dnia zaległa cieniem w umysłach czarodziejów. To wyjaśniało ich odwieczną niechęć do magów bitewnych i smoków, które ich nosiły. Wyjaśniało ich opory przed wspieraniem władców w wojnie przeciw Opętanym. I tłumaczyło instynktowną nieufność ludzi do magów. Przy całej swojej przenikliwości magowie bitewni nie docenili przeczucia prostego człowieka.

– Ale dokąd pójdziemy? – wymamrotał Meredith, jakby dopiero sobie to uprzytomnił. – Nie mogę przecież wrócić do wieży... Co ja powiem ojcu?

– Nie martw się – rzekł Aurelian, gdy zobaczyli przed sobą przywiązane do łańcucha konie. – Wiem, dokąd możemy się udać.

– Dokąd? – krzyknął Meredith głosem podszytym histerią. – Jak niby umkniemy przed nimi?

– Pójdziemy do królowej – powiedział Aurelian. – Ona będzie wiedziała, co zrobić.

I niech jej niebiosa strzegą, dodał w myślach Aurelian, pomagając magowi dosiąść konia. Królowa nosiła na plecach troski całego świata, a on miał zamiar przyprowadzić chaos pod jej drzwi.



Królowa spojrzała na młodego mężczyznę, śpiącego w jej łóżu na splamionej krwią perłowobiałej poduszce.

– Czy wróci do zdrowia? – spytała, gdy Aurelian odsunął się od leżącego.

– Trudno powiedzieć. Wiele wycierpiał, a teraz odciął się od wszystkiego, co wiedział.

– Mam nadzieję, że jednak nie od wszystkiego – powiedziała królowa, a Aurelian przekrzywił głowę.

Przypomniał sobie niezręczne początki przyjaźni Mereditha z Falkiem, Malakim i Bryną. Wiedział, że Dwimervane zawsze lubiła młodego maga. Meredith rozluźnił stosunki z ojcem i czarodziejami, ale bynajmniej nie był na świecie sam.

Patrzyli oboje na jego bladą twarz, potwornie okaleczoną własnymi rękami pod wpływem brata Pacatosa. Nadworny lekarz zrobił, co mógł, by przyszyć z powrotem oderwany płat skóry, ale Meredith do końca swoich dni będzie nosił brzydkią bliznę.

Milczeli chwilę, a potem królowa powiedziała:

– I twierdzisz, że Falko żyje?

Aurelian zamyślił się i pokiwał głową.

– Tak uważam. Smok wyraźnie próbował go ratować.

– Ale dokąd go zabrał?

– W bezpieczne miejsce – rzekł Aurelian, wróciwszy myślami do chwil, gdy Dwimervane w podobny sposób ratowała jego przed niebezpieczeństwem.

– A co z tobą? Czy na pewno będziesz bezpieczny w swojej chacie?

– Magowie mają większe zmartwienia niż jeden stary mag bitewny – powiedział Aurelian. – Na przykład jak usprawiedliwić swoje oszustwo.

– A co z Nicolasem?

Aurelian pokręcił głową, myśląc o tym, jak powiedzieć o wszystkim Dusaule'owi. Jak wytłumaczyć człowiekowi, że niepotrzebnie dokonał czynu, który złamał mu serce.

– Lepiej już pójdę – rzekł głosem zaprawionym zmęczeniem. – Przyjaciele Falka pewnie zastanawiają się, dlaczego nie wraca.

Skłoniwszy się, opuścił komnatę, a królowa utkwiała wzrok w zamkniętych drzwiach. Po chwili do środka wszedł nimi Cyrano. Doradca przeżył szok, gdy królowa kazała umieścić rannego mężczyznę w swoich prywatnych komnatach, lecz gdy dowiedział się prawdy, musiał przyznać, że trudno o bezpieczniejsze miejsce. Wciąż zmagając się z odkrytą przez Mereditha prawdą, podszedł i stanął przy królowej.

– Co teraz zrobisz, pani? – spytał.

– Nie wiem – odparła, a Cyrano spojrzał na nią z ukosa.

Był pod wrażeniem, gdy ze spokojem wysłuchiwała opowieści Mereditha, choć wiedział przecież, że płonie gniewem. Teraz musiała znaleźć jakąś odpowiedź na pytanie, co robić dalej.

– Chciałabym, żeby był tu Chevalier – zwierzyła się królowa. – On wiedziałby, jak postąpić.

Głos królowej tchnął samotnością, co nie uszło uwadze Cyrana.

– Kto wie, może lepiej, że go nie ma – odparł ku jej zdumieniu. – Bo gdyby był, pewnie teraz zbieralibyśmy trupy magów ze Smoczego Kamienia.

Odetchnął, gdy królowa zareagowała śmiechem.

– Może masz rację.

– Wciąż uważasz, że powinniśmy powiedzieć ludziom?

Władczyni potwierdziła skinieniem.

– Mają prawo znać prawdę.

– Będą kłopoty.

– Doprawdy? – sarknęła królowa. – Większe niż czterysta lat zajadłej opozycji, zabijania niewinnych smoków i magów bitewnych, którzy mogli nas uratować?

Cyrano pochylił głowę. Podobnie jak ona, sam nie potrafił objąć rozumem skali tego odwiecznego oszustwa, ale nie sądził, by płańdowanie wież i lincze na setkach czarodziejów pomogły w wojnie z Opętanymi. Gniew królowej był wypisany na jej twarzy grubymi liniami. Ale Cyrano wiedział, że ukryty za nią umysł pracuje już nad rozwiązaniem. Miał pewność, że władczyni nie zrobi nic pochopnie, ale chciał też wiedzieć, co dokładnie zamierza i czy on sam ma kazać posłać na ulice więcej strażników.

– A więc powiesz im? – indagował.

– Nie – odparła królowa i spojrzała na Mereditha. – Nie ja. On.

– Mówisz poważnie? – zdumiał się Cyrano, ale dostrzegł błysk w oku królowej. Nic nie wskazywało na to, by żartowała.

– Wiesz, co znaczy jego imię? – spytała, a doradca tylko na nią patrzył. – Meredith. To w starym valenckim „wielki wódz”.

Cyrano zsunął się wzrokiem na pogrążonego we śnie mężczyznę.

– Jeśli magowie mają przetrwać, potrzebny im będzie nowy przywódca – podjęła władczyni, gdy plan powoli układał się w jej

głowie. – Ktoś, kto zaskarbi sobie zaufanie ludzi. Nie znam lepszego kandydata na to stanowisko niż czarodziej, który miał dość odwagi, by obnażyć ich kłamstwa.

Cyrana zaskoczył ten pomysł, ale zaraz przypomniał sobie, co królowa mówiła przed chwilą o Chevalierze. Potrząsnął głową, zrozpaczony.

Tak jest, pomyślał. Dokładnie takie rozwiązanie zasugerowałby Chevalier.

## Pojednanie

---



**D**o świadomości Falka przebił się ból prawego barku i lewej ręki. Barbuta krzywo leżała mu na głowie, ale mięśnie szyi zaprotestowały, gdy ruszył nią, by poprawić hełm. Zamrugał oczami, chcąc pozbyć się mgły, która zasnuwała jego pole widzenia, i zorientować się, gdzie właściwie jest. Była noc. Leżał na nagiej skale, połyskującej w łagodnym świetle księżyca. Próbował się poruszyć, ale bolało go całe ciało. Czuł się tak, jakby ktoś spuścił mu lanie. Miał niejasne wrażenie, że stracił przytomność. Jego myśli i wspomnienia były zamazane. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, była wyprawa w góry z Aurelianem.

Odważył się poruszyć delikatnie głową, by spojrzeć na swoją lewą rękę. Okazało się, że zaplątała się w rzemienie tarczy i leży wygięta pod nienaturalnym kątem. Zassał powietrze z bólu, gdy poprawił się na skale, i wreszcie ją wyswobodził. Zdjąwszy rękawicę, spróbował poruszyć palcami. Były sztywne i odrętwiałe, ale dłoń zamykała się i otwierała, więc chyba nic sobie nie złamał.

Syknął, czując ból w prawym ramieniu. Wsunął dłoń pod zbroję i wyczuł lepką wilgoć. Krew.

Zrzucił drugą rękawicę, sięgnął do szyi i mozolił się chwilę z zapięciem hełmu. Wysunął pasek ze sprzączki i zdjął barbutę z głowy, a zimne nocne powietrze schłodziło mu spoconą twarz i mokre włosy. Lewa strona jego twarzy bolała, jakby ktoś go uderzył. Ostrożnie dotknął kości policzkowej i nosa. Znów miał szczęście, żadnych złamań. Ale wymacał więcej krwi wokół nosa i ust. Oddychając miarowo i zmagając się z zawrotami głowy, odsunął włosy z twarzy i potoczył wzrokiem po dalekim górskim krajobrazie. Był wysoko w górach, bardzo wysoko. Odepchnął się od ziemi i podniósł na kolana. A potem zamarł.

Nie był sam.

Czując przypływ adrenaliny, zerwał się na nogi i dobył miecza, nie



zważając na ból, który zapalił się na nowo w prawym ramieniu. Czarny smok. Niespełna dziesięć stóp od niego. Spoglądał na niego oczami koloru roztopionego złota, wcielenie boga ciemności.

Dopiero teraz przypomniał sobie wszystko.

Nieznośna nadzieja i rozpaczliwy strach przed finałem przywołania. Mocne postanowienie, by posłać za morze czyste, uczciwe wołanie, a potem niecierpliwe oczekiwanie i niepewność, czy ktoś w ogóle na nie odpowie. Szalone rozczarowanie, które poraziło go, gdy wyczuł w dali czarnego smoka. Oszustwo, przemoc, a potem prawda, która trafiła go w samo serce.

Smutek, rozpacz.

Nieznośny, domagający się ujścia gniew, który popchnął go do morderstwa.

Krzyknął z boleścią, a miecz wysunął się z jego palców. Pamiętał, że usiłował uśmierzyć ból, ale mu się nie udało. Falko padł na kolana, przycisnął czoło do skały i zapłakał. Opłakiwał los smoków i swojego ojca, Dariusa i Symeona, wszystkich tych, którzy zapłacili najwyższą cenę za kłamstwa magów.

Wreszcie płakał nad samym sobą. Pragnął z całego serca, by smok po prostu go zabił. Lecz wówczas wyczuł jakiś ruch i poczuł dotyk na głowie.

Nie tylko on ronił łzy.

Falko poczuł obezwładniającą falę uczuć, gdy rogata głowa smoka dotknęła jego własnej. Wszystkie emocje rwące mu duszę na strzępy przeglądały się w umyśle stworzenia jak w zwierciadle. Nie umiał odróżnić jednych od drugich. Zamęt i zgiełk ustały, aż został tylko smutek. Ledwie kilka godzin temu próbowali się pozabijać, powodowani nienawiścią w swoich sercach. Lecz ich losy splotły się ze sobą na długo przed tym, jak się spotkali, a teraz, wysoko w górach na północy Clemoncé, dwie Wielkie Dusze pojednały się ze sobą.

Smok powoli odciągnął głowę. Uniósł ją i zamknął oczy, a Falko wzdrygnął się, gdy sprężyło się powietrze i cichy grom przetoczył się po jego umyśle. I wówczas zrozumiał, że przywołanie smoka nie jest jedynie uderzeniem w jakiś eteryczny dzwon, lecz powinnością.

Moje życie,

moją siłę,

moją duszę dzielę z tobą.

Falko wysłał wiadomość w świat, a teraz odpowiedział na nią smok.

Bum!



Dziki człowiek skrył się w swojej nawiedzanej, mrocznej jaskini wysoko w illycyjskich górach.

Zdyszany i spocony uzdrowiciel zbudził się z niespokojnego snu w oliwnym gaju w Thraecji.

A stary rybak stojący na surowym wybrzeżu Beltane spojrzął hen, w morze, gdy bezlitosne fale przeszłości naparły na jego duszę.



W dalekim kraju, który leżał za Nieskończonym Morzem, również dało się słyszeć odpowiedź smoka.

I odpowiedź trzech innych smoków, które dotychczas jej nie udzieliły.

## Sydian



**B**ezchmurna noc ustąpiła przed wilgotnym porankiem i miasto Furia parowało w smugach słonecznego światła, przesączającego się przez rzednące chmury. Cyrano stał wraz z królową na wychodzącym na wschód balkonie, przylegającym do jej prywatnych komnat. Wrócił właśnie od nadwornego gołębiarza, który odebrał wiadomość z Valencji. Zawierała ona ważne wieści, ale na razie królewski doradca ukrywał ją w zaciśniętej dłoni. To nie był dobry moment, by podzielić się nimi z królową. Obrzucił ją zmęczonym spojrzeniem. Monarchini stała nieruchomo, oparta o balustradę, ze zmrużonymi oczami i zaciśniętymi zębami, włosami wciąż wilgotnymi po porannym deszczu. Spoglądała na miasto spowite dymem.

Nikt nie wiedział, z jakiego powodu wszczęto zamieszki. Niektórzy twierdzili, że w nocy pojawili się w mieście magowie, którzy zaczęli rozsiewać plotki o zamordowaniu wielkiego veneratu. Inni utrzymywali, że do miasta przyszedł szalony starzec, nagi i umazany popiołami, który zaczął krzyczeć coś o zdradzie i kłamstwach. Ludzie twierdzili, że magowie zjawili się, by go usunąć, ale ranili dwie kobiety, które usiłowały interweniować. Niezależnie od tego, jak to się zaczęło, przed dziewiątym dzwonem poranka liczba ofiar sięgnęła dwunastu i płonęło wiele budynków, wypełniając niebo nad stolicą ciemnymi chmurami dymu.

– Czy zamieszki się rozprzestrzeniają? – chciała wiedzieć królowa.

– Nie – odrzekł Cyrano. – Udało się ograniczyć je do wschodniej dzielnicy, ale straż miejska została postawiona w stan gotowości.

– Nie wysyłaj jej na ulicę, póki nie powiem – rzekła królowa, a Cyrano zorientował się po brzmieniu jej głosu, że próbuje opanować złość.

Nie dziwił go już chłodny spokój, z jakim radziła sobie z podobnymi sprawami. Bardziej nerwowy władca już dawno kazałby straży stłumić

rozruchy, ale obydwójce pamiętali rady starego króla, który powtarzał, że w takich sytuacjach najważniejsze to nie dolewać oliwy do ognia.

Na razie gniew tłumu zwrócony był przeciw magom oraz pracującym dla nich rzemieślnikom i usługodawcom ze wschodniej dzielnicy: aptekarzom, alchemikom, krawcom, skrybom i introligatorom. Gdyby wmieszali się żołnierze, tłum prędko obdzieliłby gniewem także urzędników miejskich i wszystkich, których uznałby w jakiejś części za odpowiedzialnych za trudy zwykłego obywatela.

– Czy znają prawdę? – spytała królowa.

– Po mieście krążą różne jej wersje zaprawione plotkami – odrzekł Cyrano. – Ale rozumieją, że zostali zdradzeni.

– To wszystko moja wina. – Obrócili się, gdy na balkon wyszedł Meredith. Jego szaty wyprano i wysuszono. Przywdział je, nim wyszedł na dwór i stanął przy balustradzie. Był blady i zdenerwowany, wodził po dachach pustym spojrzeniem. Krew przesączała się przez opatrunek na twarzy. – Co ja narobiłem...

– Zrobiłeś, co trzeba było zrobić – odparła królowa.

Rozległo się pukanie do drzwi. W szparze pojawił się kapitan gwardii pałacowej. Czekał, aż podszedł do niego Cyrano.

– Co się dzieje? – spytała królowa, ledwo wrócił na balkon.

– Ludność przestała demolować miasto. Ale gromadzi się za wschodnią bramą. Idą na wieżę.

Królowa utkwiała wzrok w drodze wiodącej z miasta na płaskowyż. Nie mogła dostrzec pasa ziemi przylegającego do murów, ale oczami wyobraźni widziała rozzłoszczony tłum, który zbiera się na odwagę, by zaatakować siedzibę magów.

Powziąwszy postanowienie, ruszyła z powrotem do komnaty.

– Konia – rzuciła do Cyrana. – Louiso – zwróciła się do damy dworu, która wyłoniła się ze służbówki wraz z dwiema służącymi – bryczesy, koszula i kamizelka. – Pobladła Louisa kiwnęła głową i gestem popędziła dwie kobiety do królewskiej garderoby, tymczasem monarchini osadziła wzrok na kapitanie gwardii. – Wybierz dziesięciu ludzi, mają czekać na mnie na dziedzińcu – rozkazała.

– Ależ, królowo, nie wolno ci tam pójść! – zaprotestował Cyrano.

– Nie możemy posłać tam armii – zaripostowała królowa. – Wiesz, co się wtedy stanie.

Troska wryła się w twarz Cyrana, choć dobrze pamiętał klęskę głodu sprzed dwudziestu lat i moment, w którym usiłowali powstrzymać tłum przed złupieniem spichrzy.

– Idę z tobą – powiedział Meredith.

– Nie! – odpowiedzieli Cyrano i kapitan jednocześnie, ale czarodziej nie dał się przekonać.

– To moja wina – rzekł. – Musicie pozwolić mi przynajmniej

spróbować jakoś to naprawić.

Królowa mierzyła go wzrokiem.

– Niech tak będzie – zdecydowała i ruszyła w swoją stronę. – Konia dla lorda Sakera.

– Ależ, Wasza Wysokość! – krzyknął Cyrano.

– Zrzucą go z siodła – powiedział kapitan.

– Nie ośmielą się, gdy będzie pod moją opieką! – wrzasnęła królowa, aż wzdrygnęli się obaj. Jej oczy płonęły gniewem, ale zaraz przygasły, gdy wzięła głęboki wdech i podjęła spokojniej: – Rozmawialiśmy o tym, że zmiana powinna dokonać się za jego przewodem, czyż nie?

– To prawda – przystał Cyrano. – Ale jako przewodniczącego komisji lub głównego inspektora. Nie jako maga mającego wystąpić przed wściekłym tłumem, który najchętniej posłałby całą ich kastę do grobu!

– Nie zawsze możemy wybierać czas i miejsce naszych bitew – rzekła królowa, a Cyrano mocniej poczuł rogi wcinającego się w jego dłoń listu. – A teraz poproszę o te konie. Byle szybko! – Z tymi słowami zamknęła drzwi garderoby.

W ciągu minut dziesięciu uzbrojonych strażników stanęło w szyku na dziedzińcu, a na królową czekał już jej własny wierzchowiec, piękny kary rumak imieniem Souverain. Obok niego stał jeszcze jeden koń, dla Mereditha. Kapitan narzucił mu na ramiona błękitny płaszcz gwardii pałacowej, by schować pod nim szaty maga.

– Tym sposobem może uda mu się przejechać bezpiecznie przez miasto – rzekł, a królowa skinęła głową, zanim z gracją dosiadła Souveraina.

Przebrała się w buty do jazdy, skórzane bryczesy, białą bluzkę i kamizelkę z ciemnej skóry, przewiązaną w talii podarowanym przez emisariusza pasem, z którego zwisał miecz. Z jej ramion spływał turkusowy płaszcz ozdobiony insygniami – białą końską głową. Nie był to najelegantszy z jej strojów, ale nikt, kto na nią spojrzał, nie miał wątpliwości, że to królowa Furii.

Wrota pałacowe otworzyły się na oścież. Gwardziści z wojskową precyzją dostroili się do tempa władczyni i marszowym krokiem ruszyli przed siebie główną arterią stolicy. Na ulicach tłoczyli się ludzie. Na ich twarzach odbijał się ten sam strapiony wyraz. Gwardziści trzymali równy szyk, eskortując królową do wschodniej bramy i drogi, która wiodła na płaskowyż. Ale gdy minęli podwójny mur, okazało się, że przybyli zbyt późno. Większość tłumu wspinała się już ku wieży. Nie ulegało wątpliwości, że dotrą tam przed królową.



Pochód tłumu śledził z wysokiego balkonu Morgan Saker w otoczeniu najstarszych czarodziejów. Brama prowadząca do wieży była mocna, ale nie budowano jej z myślą o oblężeniu.

– Ilu wojowników mamy na podorędziu? – spytał któryś z magów.

– Wystarczająco dużo, by rozpedzić ten motłoch – rzucił inny.

Ci wciąż przemawiali ze swoją zwyczajową arogancją, ale większość czarodziejów wyzbyła się jej na widok sunącego na wieżę tłumu. Większość seniorów wydawała się roztrzęsiona i nękana wątpliwościami. Wieści o śmierci wielkiego veneratu uderzyły w nich z wielką mocą, zostawiając po sobie wyrwę w pancerzu, za którym bezpiecznie się dotychczas kryli.

Skrywali tę tajemnicę przez czterysta lat, a teraz wypłynęła na światło dzienne i mieli wrażenie, jakby woal uniósł się z ich umysłów. Po raz pierwszy poczuli, że są współwinni straszliwej zbrodni, mało tego – że pogłębili swoje winy, trzymając ją w tajemnicy. Usprawiedliwienie dla tego czynu raptem wydało im się puste i pozbawione znaczenia. Wielu magów otwarcie biło się w piersi, zbierało się w szepczących nerwowo grupkach, podczas gdy inni układali plany obrony wieży przed karą, która na pewno niebawem spadnie na ich głowy.

Morgan Saker ogarnął wzrokiem potężniejący tłum. Wiedział, że ta kara właśnie nadchodzi.



Stojący przed chatą Aurelian powiódł wzrokiem po masie ludzi wspinającej się na płaskowyż.

– Chcą wziąć wieżę szturmem – powiedział do stojącej obok Dwimervane.

Opowiedzenie jej i Dusaule'owi o donośnych wydarzeniach minionej nocy rozdarło mu serce na strzępy. Dwimervane była nieswoja, ale Aurelian bardziej martwił się o Dusaule'a. Stary mag bitewny wybiegł z chaty i przepadł gdzieś w ciemności. Aurelian odchodził od zmysłów, teraz jednak całą uwagę poświęcił kolumnie gwardzistów, która wjeżdżała na płaskowyż w ślad za ludźmi.

– To przecież królowa! – sapnęła, nie dowierzając. – Będzie próbowała interweniować. Chyba zdaje sobie sprawę, jak niebezpieczne są takie sytuacje? Chodź – powiedział do smoczycy i pobiegł stokiem na skróty. – Może przyda jej się pomoc.

Dwimervane wahała się tylko pół chwili, nim ruszyła za nim. Może i w nadchodzących latach popadnie w nienawiść i szaleństwo, lecz teraz instynkt kazał jej za wszelką cenę bronić rodzaju ludzkiego, nawet przed

nim samym.



Na obrzeżach obozu Nieregularnych przyjaciele Falka patrzyli na powiększającą się rzeszę ludzi, która szła na wieżę magów niczym nacierająca armia.

– A więc ludzie odkryli prawdę? – rzekł Alex, a Malaki pokiwał głową.

Aurelian przybył do nich minionej nocy, a oni wciąż usiłowali objąć umysłem to, co im powiedział. Ale bardziej od zdradzieckich magów interesował ich teraz los Falka.

– Na pewno żyje – tyle tylko powiedział im Aurelian.

Bryna zrobiła krok naprzód, gdy na płaskowyżu pojawili się gwardziści.

– Czy to nie królowa? – zapytała, dostrzegłszy końską głowę na płaszczu jednego z jeźdźców.

– Chyba przyda im się wsparcie – rzekł Quirren.

Malaki pokiwał ponuro głową i zwrócił się do Bryny i Alexa.

– Pilnujcie Nieregularnych – polecił, idąc już do miejsca, gdzie przywiązane były konie. – Tylko tego brakuje, żeby wmieszali się w jakieś kłopoty.

Odwiązując konia, przywołał do siebie Huthgarla i pięciu innych kadetów. Pognali w kierunku królowej, która usiłowała przedrzeć się przez skotłowaną ciżbę.

– Nigdy ich nie przegoni – powiedział Quirren, gdy stało się jasne, że ludzie dotrą pod wieżę pierwsi.

– Na wszelki wypadek bądź gotowy – powiedział Malaki.



Falko obudził się długo po wschodzie słońca, ale niebo nad nim było czarne. Mimo chłodu w powietrzu czuł ciepło, jakby spał przy ognisku. Podniósł się z ziemi i jęknął, gdy poczuł, jak bardzo jest odrętwiały, a potem zamrugał, gdy czarne niebo nad nim poruszyło się i odsłoniło chmury. Dotarło do niego, co właściwie widział, gdy smok złożył skrzydła i cofnął się, by sięść na skale i wpatrzeć się w niego intensywnym wzrokiem.

Falko poruszył się i usiadł na sięgającej kolan skalnej sztabie. Nie wiedział, jak długo spał, ale słońce stało już wysoko na niebie. Zebrawszy myśli, przypomniał sobie senne obrazy z minionej nocy.

Pamiętał przywołanie, skok w nicość, a potem przebudzenie i czarnego smoka.

Przypomniawszy sobie jego potężny odzew, który brzmiał jak echo jego własnego wołania, a potem powolne odkrywanie się nawzajem, w miarę jak oswajali się ze swoją obecnością. Ale gdy emocje wreszcie opadły, Falka ogarnęło głębokie zmęczenie i nieodparta potrzeba snu.

Wsparł głowę na tarczy jak na poduszce i skulił się na nagiej skale, parę stóp od smoka. Jeszcze parę godzin wcześniej walczyli na śmierć i życie, ale gdy Falko zamknął oczy, nie wątpił ani przez moment, że jest całkowicie bezpieczny.

Smok po prostu obserwował go, jakby usiłował zgłębić i zrozumieć kontrast między potęgą i słabością. W ciągu całego życia nie znalazł tak wielkiej siły w kimś tak młodym. On sam był jednym z najsilniejszych przedstawicieli swojego gatunku, a jednak nie czuł różnicy w mocy pomiędzy sobą a tą ludzką duszą, z którą splotła się jego własna.

Gdy nad ranem zaczęło padać, smok ułożył się przy Falku i osłonił go przed deszczem wielkim czarnym skrzydłem. Wściekłość nie odeszła go jeszcze zupełnie, ale szła minąć i smok zrozumiał, że rozpoczął się nowy rozdział legendy jego życia. Wiedział już, że przybył do tej krainy, by walczyć z odwiecznym wrogiem, i czuł zadowolenie, że jego towarzyszem broni będzie ten człowiek.

Siedzieli teraz razem na skalistym zboczu i gdy Falko rozbudził się zupełnie, osadził wzrok na smoku. Mierzyć się z nim w chaosie bitwy to jedno, ale patrzeć na niego w świetle poranka to zupełnie co innego. Smok przyglądał mu się nieruchomym spojrzeniem niczym rzeźba z czarnej, wulkanicznej skały. Jego głowa poruszała się lekko, a onieśmielające złote oczy mrugały niespiesznie. Pierś unosiła się i opadała, oddech uchodził z jego nozdrzy białymi chmurkami.

Falko ogarnął wzrokiem czarne łuski i płyty pancerza, gładkie skórzaste skrzydła i ostre szpony, spoczywające na skale. Powiódł wzrokiem po długim, zakończonym grotem ogonie i po potężnej sylwetce. Zauważył łaty odkrytego ciała w miejscu, gdzie łuski zostały uszkodzone przez magów wojowników. A potem przeniósł wzrok na ranę na szyi, którą pozostawiło jego własne ostrze.

Wolno podniósł się na nogi, a smok spiął się, gdy Falko zbliżył się do niego.

– Nie bój się – rzekł uspokajająco, sycząc z bólu, gdy odezwało się ranne ramię.

Smok zachowywał ostrożność, ale też nie cofał się przed magiem bitewnym.

Falka ogarnęły wyrzuty sumienia, gdy przypomniał sobie, jak zadał ten cios. Smok cofnął się przed jego wyciągniętą ręką, ale Falko ściągnął na siebie jego wzrok i zajrzał głęboko w złote oczy.



– Nie bój się, chcę ci pomóc – powiedział, a smok rozluźnił się nieco.

Falko przesunął dłonią po płytkiej ranie, wzbudzając w smoczym gardle niski pomruk bólu. Następnie nasycił ją uzdrawiającą energią. Smok wywinął wargę i Falko ujrzał jego twarde jak stal zęby, ale istota nie protestowała, a gdy proces leczenia dobiegł końca, mag bitewny poczuł, jak magiczne wibracje opuszczają ciało smoka. Z czasem oderwane łuski odrosną, a rana była już zasklepiona, jakby goiła się od kilku dni.

Falko obszedł smoka i zajął się ranami, które zostawili po sobie magowie, a potem cofnął się i usiadł na skale. Jego własne ciało także wibrowało bólem. Zaczął z mozołem zdejmować naramienniki i napierśnik, by poradzić sobie również ze swoimi obrażeniami. Wiedział już, że nic sobie nie złamał, ale na rękę miał dość głęboką ranę, a z przodu, w miejscu, gdzie pierś łączy się z ramieniem, drugą. Nie pamiętał, kto i kiedy je zadał, ale na szczęście nie były zbyt poważne.

Kolejno położył rękę na każdej z nich i zacisnął zęby, traktując je leczniczą energią. To bardzo pomogło i gdy wrażenie gorącego świerzbienia ustało, ból nie doskwierał mu już tak bardzo, choć, tak jak w przypadku smoka, będzie musiało minąć trochę czasu, nim rany zagoją się całkowicie.

Falko wypełnił płuca powietrzem i dał sobie chwilę, by dokładniej przyrzeć się okolicy. Deszcz ustał, chmury rozpraszają się z wolna. Dookoła niezmiennie rozciągał się surowy, górski krajobraz. Smok musiał złapać go w locie i przenieść tutaj.

Spojrzał raz jeszcze na wspaniałą istotę i wstał, by podejść do wgłębienia w skale, gdzie zebrała się woda. Umył ręce i spryskał twarz. Zassał głośno powietrze, ponownie wdziwając zbroję. Na skale niedaleko leżały jego tarcza, rękawice, hełm i miecz. Założył wszystko po kolei, a smok nie odejmował od niego wzroku.

Następnie bestia wstała na nogi i podeszła do niego, przyglądając się z zaciekawieniem, jak Falko zapina pasek pod hełmem. Smok stanął nad nim, a potem pochylił głowę, by dokładniej przyrzeć się Falkowi. Powęszył w okolicach hełmu, wciągnął do potężnych płuc zapach kutej stali.

– Tak – powiedział Falko, czując się osobliwie przytomny, jakby bardziej wyczulony na bodźce. – My możemy zdejmować i zakładać nasze łuski.

Zachwiał się, gdy smok rogiem sprawdził twardość jego napierśnika. Dźwięk przypominał bardziej szcęk metalu o metal niż odgłos kontaktu stali z czymś organicznym. Raz jeszcze położył rękę na kruczoczarnych łuskach.

Jak obsydian, pomyślał, a smok zwrócił ku niemu głowę.

Falkowi mignęły przed oczami obrazy czarnej, wulkanicznej skały.

Poczuł bijącą od smoka ciekawość, gdy coś na kształt imienia zaczęło formować się w jego głowie. Raptem uświadomił sobie, że smoki nie nadają sobie imion. To typowo ludzka potrzeba.

– Tacy już jesteśmy – rzekł Falko, zdumiony tym, jak łatwo mu przychodzi porozumiewanie się ze smokiem. – Będę musiał jakoś się do ciebie zwracać – myślał na głos, a smok patrzył na niego, jakby rozumiał, co próbuje mu przekazać. – Zastanawiam się, jak ty byś nazwał mnie? – spytał.

Smok, ma się rozumieć, nie odpowiedział ludzką mową. Zamiast tego umysł Falka zalał wartki potok emocji i obrazów. Odczucie było tak silne, że się zatoczył. Nie sposób było wyrazić tego dokładnie słowami, ale gdyby Falko miał przełożyć to jakoś na język ludzi, powiedziała by, że imieniem nadanym mu przez smoka było Ten Który Płonie Smutkiem.

Mag bitewny skłonił pokornie głowę.

– Dla nas imiona obrastają w siłę i znaczenie w miarę poznawania danej osoby – rzekł, a smok spojrział na niego z mieszanką dumy i ostrożności.

Falko zapatrzył się na lśniące, czarne łuski i obsydianowe lśnienie rogów, które wyrastały z głowy smoka.

– Sydian – powiedział cicho, jakby chciał przekonać się, jak brzmi to słowo wypowiedziane na głos. – Tak. Nada się dla ciebie – dodał, a smok przekrzywił głowę. Butny wyraz jego twarzy trochę złagodniał, gdy raczył przyjąć tę dziwną, nieporęczną i niezbyt potrzebną rzecz: imię.

Falko uśmiechnął się, gdy w końcu przedstawili się sobie jak należy, lecz wtedy smok stężał i obrócił głowę. Rozdął chrapy, gdy pochwycił w powietrzu jakiś zapach. Falko zwrócił spojrzenie tam, gdzie utkwiał je smok. Góry spowijała mgła i nisko zwieszające się z nieba chmury, ale w punktach, gdzie biały całun był tkany cieniem, widniała w oddali Furia. Przez chwilę Falko nie widział, by coś było nie tak, ale wtedy zauważył pióropusze dymu podnoszące się ze wschodniej dzielnicy.

Nie mógł wiedzieć na pewno, ale instynkt powiedział mu, że pożar ma coś wspólnego z magami i skrywanym przez nich sekretem. Coś złego działo się w stolicy i nadszedł czas, by Falko wrócił do miasta.

Sięgnął wzrokiem ponad nieprzebytą dziczą gór i zaczął się zastanawiać, jak, u licha, zejdzie. A potem obrócił się wolno i spojrział na smoka u swojego boku. Raptem opadło go podniecenie, gdy zaświtała mu w głowie myśl, że bardzo chciałby sprawdzić, czy czarny smok potrafi latać tak szybko jak młodsza smoczyca Ciel.

Sydian obrzucił go urażonym spojrzeniem, gdy przez jego głowę przepłynęły obrazy bursztynowej smoczyicy na tle nieba zabarwionego zachodzącym słońcem. Pochylił się, opuścił skrzydło i spojrział na Falka z wyczekiwaniem.

Mag bitewny przełknął ślinę. Serce rozszalało się w jego piersi.

Przełamując odrętwienie, złapał za dłuższy pasek tarczy i zawiesił ją sobie na plecach, a potem, wsparłszy nogę na kamieniu, wspiał się na smoczy grzbiet.

Czarny smok był nieco większy od Ciel, ale i tak pod względem rozmiaru przypominał smukłego konia. Falko wsunął kolana pod błonę rozpiętą na skrzydłach i poczuł rytmiczny ruch umięśnionych łap, gdy smok podchodził do krawędzi przepaści. Przez moment patrzył na strome zbocza pod nimi, a potem Sydian rozpostarł skrzydła i obrócił głowę, by zerknąć na Falka. Mag bitewny pochylił się, ścisnął smoka kolanami i złapał się krawędzi pancerza na smoczym karku. Łuski poruszyły się pod Falkiem, dostosowując się do kształtu jego ciała.

Gdy już mieli ruszać, Falko poczuł, że smok się waha. Jego ciało było napięte, pazury wpijały się w skałę. Nagle zrozumiał. Mieli polecieć do miasta pełnego ludzi.

– Nie ma się czego obawiać – powiedział Falko. – Nie wszyscy są tacy jak magowie. I nie wszyscy magowie są tacy jak Galen Thrall.

Nieżyjący veneratu pojawił się w jego umyśle, wywołując gorący błysk gniewu, ale sens słów Falka musiał dotrzeć do smoczego umysłu i teraz to Falko napiął wszystkie mięśnie, gdy Sydian ugiął łapy. Z siłą, która sprawiła, że żołądek podskoczył Falkowi do gardła, smok wybił się w powietrze i spadł jak kamień w ziejącą przepaść, a następnie rozłożył skrzydła i pomknął w górę ponad skalistymi klifami. Sfrunęli do płytkiej skalnej niecki o stromych zboczach i przemknęli nad turkusowym górskim stawem, a potem grunt obniżył się serią niezdojanych klifów i spadających z nich wodogrzmotów.

Wiatr wył Falkowi w uszach, nieznacznie tylko stłumiony przez hełm. Pęd wycisnął mu łyzy z oczu, a oddech uwiązał w gardle, ale powoli zaczynał się przyzwyczajać do nieprawdopodobnej prędkości. Daleko w dole ostre skały i wzgórze przesuwwały się szybko pod nimi, gdy lecieli gładko w kierunku miasta.

W miarę zbliżania się do Furii Falko widział coraz wyraźniej tłum, który zebrał się wokół wieży magów. Na jego oczach na wiodących do niej schodach pojawiły się drobne postacie ludzi. Kilka sekund później jasna kula płomieni pomknęła w kierunku posuwającej się fali tłumy, ale nie osiągnęła zamierzonego efektu i tylko zagrzała ludzi do walki. Było przeraźliwie jasne, co się zaraz wydarzy, i Falko wiedział, że gdy już dojdzie do pierwszego aktu przemocy, kolejne posypią się lawinowo.

Szybciej, pomyślał i w dwa uderzenia skrzydeł Sydian rozwinął taką prędkość, że krew odpłynęła Falkowi z twarzy.



Wiodąc kadetów na wyższy poziom płaskowyzu, Malaki patrzył, jak czarne wrota wieży magów otwierają się, a na stopniach pojawia się oddział magów wojowników. Wątpił, by mieli zaatakować ludzi, ale wiedział, że okoliczności takie jak te nierzadko prowadzą do rozlewu krwi. A potem, gdy próbował przekonać sam siebie, że nie posuną się do podobnej głupoty, jeden z magów wojowników cisnął w stronę tłumu ognistym pociskiem. Kula uderzyła o ziemię kilka jardów przed ławą mieszczan i wybuchła. Najwyraźniej miała ostudzić zapał ludzi, ale efekt był zgoła przeciwny. Z ciżby podniósł się wściekły wrzask i tłum ruszył naprzód. Dwie kolejne kule ognia przecięły powietrze i tym razem eksplozje rozrzuciły po ziemi kilka osób.

Tymczasem reszta ominęła kratery i pierwsza linia rzuciła się w kierunku czarodziejów, Malaki zaś raptem uświadomił sobie, że ludzie zaraz wedrą się do wieży. Kolejni magowie wojownicy wysypali się z otwartej bramy i stało się jasne, że zaraz ludzie zaczną ginąć setkami. Wtedy po tłuszczy przebiegł strach, z gardeł dobył się okrzyk przerażenia i uniosły się palce wskazujące gdzieś w górę.

Malaki poczuł, że podnoszą mu się włoski na karku, gdy po niebie przemknął cień. Poderwał wzrok i serce utknęło mu w gardle na widok czarnego kształtu, który wylądował na ziemi między wieżą a zdziwiałym tłumem. Pierwsze szeregi zatrzymały się, przerażone do żywego pojawieniem się wielkiego smoka. Bestia cofnęła się o dwa kroki i rozłożyła skrzydła, omywając ich niesamowitym, władczym spojrzeniem. A na jej grzbiecie siedział jeździec w niemożliwym do pomylenia z żadnym innym pancerzu Antonia Missagliasa.

## Le Cœur Noir

---



Falko patrzył przez szczelinę hełmu. Dostrzegł strach na twarzach mieszczan, którzy chłonęli wzrokiem potężnego czarnego smoka. Jego własne serce jeszcze biło jak oszalałe po niesamowitym locie ponad górami i czuł napięcie w ciele Sydiana, ten bowiem nagle znalazł się w otoczeniu wielu istot, których tak długo nienawidził. Zmuszając się do zachowania spokoju, Falko wyrównał oddech.

Myślami zapewnił smoka, że nie ma się czego obawiać, że ci ludzie nie wyrządzą mu krzywdy.

Nie sposób było za to przewidzieć, co zrobią ci za jego plecami. Falko obrócił się na smoczym grzbiecie, by przesunąć wzrokiem po zastępie magów wojowników zgromadzonych na schodach. Miał pojęcie o ich strachu i czuł spowijającą ich energię gotowych do utkania czarów. Miał teraz o wiele dokładniejszą kontrolę nad własną mocą, pozwolił więc magii wezbrać w swojej piersi, a jej mroczny blask wywarł tak wielkie wrażenie na magach wojownikach, że dosłownie cofnęli się jak na komendę o dwa kroki.

Falko przebiegł wzrokiem po czarodziejach zebranych przy oknach i na balkonach. Zauważył pobielające ze zdumienia twarze. Ci ludzie mogli medytować całymi dniami, a i tak nie przywołałoby mocy większej od tej, którą Falko mógłby wzbudzić w ułamku sekundy. Wśród najwcześniejszych wspomnień Falka zapisał się instynktowny strach przed magami, teraz jednak był już dorosłym mężczyzną i wiedział, że nie ma absolutnie żadnego powodu, dla którego miałby się lękać tych szczurów w purpurowych szatach.

Coś przykuło jego uwagę i oczy Falka pojaśniały, gdy znalazły znajomą twarz Morgana Sakera. Oczy veneratu były czarne i nieubłagane jak zwykle, ale zniknął z nich zatwardziały wyraz. W kryształowym spojrzeniu pojawiła się rysa i Falko wiedział, że do

końca swoich dni mężczyzna będzie nosił w sercu zwątpienie i niezbywalne poczucie winy.

– To on! – krzyknął mag po prawej ręce Sakera, łysy człowiek z twarzą pokrytą tatuażami run. Wychylił się zza balustrady i wskazał Falka oskarżycielskim palcem. – To on zabił wielkiego veneratu! Nic dziwnego, że czarny smok stawiał się na wezwanie jego czarnego serca!

– Czarne serce! – powiedział inny mag.

– Morderca! – wrzasnął inny.

– Hańba! – wywrzeszczał czwarty i kilku czarodziejów podchwyciło okrzyki, lecz wówczas inny głos odbił się od ścian wieży.

– Hańba? – ryknął Meredith, gdy królowa wraz ze świtą wreszcie przepchnęła się na przód. – Śmiecie mówić o hańbie?

Z wysokości swojego karego rumaka królowa patrzyła, jak Meredith zsunął się z konia i zwrócił twarzą do wieży. Niecierpliwym gestem zdarł ze swoich ramion płaszcz gwardzisty i rzucił go na ziemię. Pomruk niepokoju przetoczył się po tłumie na widok maga, który znalazł się w jego bezpośrednim zasięgu, lecz teraz wszyscy zorientowali się już, że przybył on na miejsce wraz z królową. Dla wielu z tych prostych ludzi był to widok dotychczas niespotykany; większość widziała monarchinię z bliska po raz pierwszy. Rozległy się szepty, które wkrótce zastąpiła pełna wyczekiwania cisza.

Twarz Mereditha była tak blada jak owijające ją bandaż. Chwiał się lekko, idąc naprzód, ale jego głos był równy i dźwięczny, gdy przemawiał, patrząc na wykrzywione twarze magów.

– Zdrajca! – krzyknął któryś, wychylając się z okna, a Meredith popatrzył na niego.

– Masz czelność nazywać mnie zdrajcą? – powiedział. – Czy naprawdę jesteście ślepi na zło, które wyrządziliście?

– Zabić ich! – krzyknął ktoś z tłumu, a Meredith poczuł falę gniewu, która narastała w tłumie.

– Nie zasługują, by żyć! – dobył się inny głos.

– Zdradzili nas wszystkich!

– Zasługują na śmierć!

– Zabić ich!

Głosy opowiadające się za zemstą mnożyły się z zatrważającą prędkością.

– Nie macie prawa nas osądzać! – padł z drugiej strony zawzięty krzyk.

– Doprawdy? – spytał Meredith, a za jego plecami królowa uciszyła tłum uniesieniem ręki. – A co z tysiącami ludzi koczujących pod miastem? – Meredith nie pozwolił sobie przerwać. – Z rodzinami wypędzonymi ze swoich domów przez to, że nie mamy dość sił, by zatrzymać Opętanych?

Usta krzykliwego maga na balkonie zacisnęły się w poziomą kreskę, jego podbródek wcisnął się w obwisłe podgardle, gdy gromił Mereditha zawziętym, aroganckim do ostatka spojrzeniem zupełnie wypranym ze skruchy.

– A co z magami bitewnymi, których smoki zabiliście? Wielkimi Duszami zdradzonymi i złamanymi w imię waszych kłamstw? Co powiecie o nich? Czy one również nie mają prawa was osądzać?

– Zabić ich! – zabrzmiał po raz kolejny znajomy refren. – Wywlec ich stamtąd! Spalić wieżę! Powiesić wszystkich!

Tłum znów zaczynał płynąć z prądem prymitywnych instynktów. Kilku magów umknęło z okien, gdy poleciały w ich stronę kamienie, które trzaskały i stukały o ciemne ściany wieży.

– Nie – powiedział cicho Meredith. – Śmierć i zemsta będą wodą na młyn nieprzyjaciela.

– Nie możemy pozwolić im tu zostać – powiedział starzec w pierwszym rzędzie. – Nie możemy im ufać.

– A więc zwiążemy ich przysięgą – ogłosił Meredith bezlitosnym tonem kata. – Magowie są związani mocą przedwiecznych przysięg, ślubów całkowitej lojalności. – Jego oczy lśniły mrocznym światłem, na którego widok nawet jego ojciec otworzył usta. – Stworzymy nową przysięgę. Przysięgę wierności nie magom i osobie wielkiego veneratu, ale ludowi Furii. Położymy w niej zdecydowany nacisk na jego dobro i jego bezpieczeństwo.

– A jeśli odmówimy złożenia takiej przysięgi? – spytał łysy czarodziej o wytatuowanej twarzy. Słowa skierował do Mereditha, ale odpowiedzi udzieliła królowa.

– Wówczas zostaniecie wygnani na Utracone Ziemie, na pastwę Opętanych, którym służycie od czterystu lat.

– Nigdy nie służylibyśmy Opętanym – powiedział inny mag, starzec o białych włosach i przyjaznej twarzy.

– A jednak to właśnie robiliście – rzekła królowa.

Jeśli jeszcze nie wierzyli nasyconym przekonaniem słowom Mereditha, to jej zimny, obojętny ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Królowa wydawała już wyroki śmierci. Jeśli magowie złamią przysięgę daną ludowi Furii, zrobi dokładnie to, co właśnie zapowiedziała.

– A co z nim? – spytał człowiek z runami na twarzy. – Co z diabłem o czarnym sercu, który zabił wielkiego veneratu? Jaką karę wymierzy mu tron Furii?

Królowa westchnęła i spojrzała na Falka siedzącego na grzbiecie wielkiego czarnego smoka. Płaskowyz spowiła cisza. Wszyscy czekali na to, co powie władczyni.

– Z tego, co wiem – zaczęła – wielki veneratu sam miał właśnie

dopuścić się morderstwa, gdy został zabity. Mag bitewny Danté działał w obronie swojego smoka.

– A co z tą piekielną bestią? Przecież nie wolno pozwolić, by swobodnie przemierzała świat! To zbyt niebezpieczne... Coś trzeba zrobić!

– Owszem, trzeba – rzekła królowa i odwróciwszy się plecami do wieży, podjechała do smoka.

Souverain zaczął prychać i drobić nogami, a ludzie patrzyli, jak królowa schodzi z siodła i ostatnie jardy pokonuje pieszo. Nigdy nie była tak blisko smoka. Jej serce biło jak szalone. Całe pole jej widzenia wypełniało mordercze piękno stojącej przed nią istoty. Wszystko, co kiedykolwiek słyszała o czarnych smokach, składało się w jedną straszną opowieść o przemocy, nienawiści i śmierci, i niełatwo jej było pokonać własne uprzedzenia, ale była królową Furii, a magowie mieli rację... Coś należało zrobić.

Spojrzała w przeraźliwe złote oczy. Podeszła tak blisko, że gdyby chciał, potwór mógłby odgryźć jej głowę jednym kłapnięciem. Przez chwilę tylko stała, przytłoczona samą obecnością bestii. Na myśl przyszły jej wszystkie czarne smoki, które zostały zabite przy wydatnej pomocy magów. Zbrodnia tak wielka, że nie potrafiła ogarnąć jej umysłem.

Sydian kierował na nią spojrzenie srogie i jednocześnie zagadkowe, jakby usiłował pogodzić kruche ludzkie ciało z siłą woli, jaką w nim odnajdywał.

Królowa wytrzymała wzrok smoka, a jej niebieskie oczy zaszyły łzami.

– Wybacz nam – wydyszała, odgarnęła płaszcz i uklękła na jedno kolano, skłaniając z czcią głowę.



Falko patrzył na klęczącą królową. Czuł pod sobą bijące gwałtownie serce Sydiana. Czekał na jego reakcję. Przez chwilę myślał, że smok może zerwać się do lotu, uciec z tej obcej dla siebie sceny, gdzie najwyraźniej grał główną rolę, lecz wtedy stojący w pierwszej linii starzec, ten, który wcześniej przemówił, poszedł za przykładem królowej i również opadł na kolano. I to wystarczyło.

Niczym pole pszenicy przygięte do ziemi podmuchem wiatru, dwa tysiące ludzi uklękło i ofiarowało przeprosiny za zbrodnię, jaką rodzaj ludzki wyrządził smoczemu.

Serce Falka nabiegło emocjami i czuł, jak wielkie wrażenie ten zbiorowy akt skruchy zrobił na Sydianie. Dostrzegłszy jakiś ruch przy



wieży, zwrócił spojrzenie w tamtym kierunku i zobaczył, jak kilku spośród magów wojowników także opada na kolana. Kolejni szli w ich ślady, aż zostało tylko dwóch, a wielu magów stojących w oknach i na balkonach zamknęło oczy i pochyliło głowy, gdy wreszcie dotarło do nich, co tak naprawdę zrobili.



Dźwięki dobiegające do uszu królowej brzmiały jak echo samych siebie, gdy czekała na to, co smok zrobi z ich przeprosinami. Nie sądziła, by ją zaatakował, ale nie mogła mieć pewności. Nagle wyczuła jakiś ruch i usłyszała cichy szelest pocierających o siebie łusek. Cień wisiał nad nią, a ona stężała, lecz gdy wstrzymała oddech i zastygła w bezruchu, smok delikatnie dotknął czołem jej czoła.

Catherine de Sage zamknęła oczy i poczuła całym ciałem przejmujące ciepło, które przenikało przez pokrywającą smoczą głowę łuski. Czuła oddech smoka na twarzy, czuła woń ziemi i gorącego metalu. Jako królowa spotykała królów i księżęta, sławnych wojowników i szlachciców o rozległych wpływach, lecz nigdy jeszcze nie doświadczyła niczego, co choć w niewielkiej części byłoby tak doniosłe jak obecność smoka. Pochodziła ze starożytnego królewskiego rodu, ale nigdy jeszcze nie czuła się tak mała.

Gdy smok odjął głowę, podniosła na niego wzrok. Więc tak to jest – spotkać smoka.



Falko patrzył, jak Sydian wolno uniośł głowę, nie odrywając wzroku od klęczącej przed nim kobiety. Wiedział dokładnie, co czuje każde z nich, i niemal się uśmiechnął, widząc, jak podobne są ich reakcje. Pancerne łuski czy miękkie, blade ciało – liczyła się tylko skryta za nimi dusza.

Wraz z Sydianem popatrzyli na klęczący przed nimi tłum.

Po prawej stronie, na stokach wiodących do gospodarstwa zagrodników, widział Aureliana i Dwimervane. Wzrok Sydiana zatrzymał się na chwilę na kalekim niebieskim smoku. Spojrzawszy w lewo, Falko ujrzał nadjeżdżające od strony akademii znajome postacie Malakiego, Quirrena oraz Huthgarla i kilku innych kadetów.

Falko skinął przyjacielowi głową, a Malaki odpowiedział tym samym. A potem mag bitewny dotknął szyi Sydiana i ścisnął go nogami. Czas ruszać.

Królowa wstała i utkwiała wzrok w Falku, gdy smok zaczął się wolno cofać. Falko pochwycił spojrzenie jej niebieskich oczu, które wzięły go we władanie, jak robiły to zawsze, a potem zasalutował monarchini, przykładając prawą rękę do piersi. Gest oznaczający szacunek i wierność, który królowa odwzajemniła.

Znalazłszy się na pustej przestrzeni, smok rozłożył skrzydła. Ugiął nogi, wybił się potężnie w górę i zamachał z mocą skrzydłami.

Królowa zachwiała się, gdy uderzył w nią potężny podmuch. Zamrugła i zmrużyła oczy, patrząc pod słońce na wzbijającego się w powietrze smoka, pokonującego z każdym ruchem skrzydeł wysokość dwudziestu stóp. Ludzie za nią też zaczęli podnosić się na nogi. Ich zduszone okrzyki przeszły w głosy zdumienia i podziwu, a starzec z pierwszego rzędu wyszeptał coś, bardziej do siebie, niż do kogokolwiek innego.

– Cœur noir – powtórzył szydercze słowa jednego z magów skierowane do Falka. Lecz teraz, gdy ludzie chłonęli wzrokiem widok czarnego smoka oraz jego czarnego jeźdźca, te wyrazy wydały im się głęboko prawdziwe. Mężczyzna powiedział je sam do siebie, ale nie tak cicho, by nie usłyszeli ich ludzie wokół. Stojąca obok kobieta powtórzyła je:

– Le Cœur Noir.

A one rozprzestrzeniły się po tłumie jak mantra.

– Le Cœur Noir – mówiły kolejne głosy.

Czarne Serce.



Na stoku spływającym ku gospodarstwu zagrodników Aurelian i Dwimervane patrzyli, jak Falko znika w chmurach na grzbiecie czarnego smoka. Poczuli ukłucie w sercu, gdy ludzie uklękli jednocześnie, by wyrazić swój żal. Tymczasem kawałek dalej, na zboczu, do Malakiego i kadetów dołączył mężczyzna, w którym rozpoznali królewskiego doradcę.

– Cóż – rzekł Cyrano, zatrzymując konia. – Wygląda na to, że jednak nie będziemy potrzebni.

Malaki spojrzał na popatrujących po sobie z niepokojem strażników, setkę konnych, którzy nie byli pewni, czy nie otrzymają zaraz rozkazu rozpedzenia tłumu. Cyrano kazał im zatrzymać się poniżej progu wzniesienia, a teraz dał rozkaz powrotu do zamku, wzbudzając westchnienia ulgi. Uszanował ryzykowną decyzję królowej, która po swojemu poradziła sobie z sytuacją, ale zaniedbałby swoje obowiązki,

gdyby nie zabezpieczył władczyni przed nieco bardziej nieszczęśliwym obrotem spraw. Skłonił się i odjechał, a Malaki i inni wrócili wzrokiem do Falka, który właśnie rozpływał się na błękitnym niebie.

– Pamiętam noc, kiedy pierwszy raz pojawiliście się w barakach – powiedział Huthgarl ze swoim silnym beltańskim akcentem. – Nie mogłem się doczekać, aż się z tobą zmierzę. Ale jego obecność uważałem za obrazę. Myślałem, że to się nie godzi, byśmy dzielili pokój z takim słabeuszem. – Prychnął śmiechem, kpiąc z własnej głupoty.

– Pomyślałbyś, kim się stanie? – spytał Quirren.

– Nie i tak – odparł Malaki. – Długo myślałem, że nie dożyje dwudziestych pierwszych urodzin. – Umilkł, wspominając chorobę, która zatrzymała Falkowi większość życia. – Ale od zawsze wiedziałem, że jest kimś wyjątkowym.

– Aldrei vanmeta a Valentian – skomentował Huthgarl w swoim rodzinnym języku. Malaki spojrział na niego, nie rozumiejąc, ale Quirren tylko się zaśmiał.

– Myli się ten, kto nie docenia Valencjanina – przetłumaczył. – Mamy podobne powiedzenie w Illicji. Choć mnie się wydaje, że tak naprawdę porzekadło brzmi inaczej: myli się ten, kto nie docenia głupoty Valencjanina – dodał, a reszta opromieniła Malakiego uśmiechem.

– Przekażę Brynie, że to powiedziałaś – odparł Malaki, ale Quirren zbył pogroźką wzruszeniem ramion.

– Powiem jej, że usłyszałem to od Alexa.

– A ona ci uwierzy – zaśmiał się Malaki i kadeci ruszyli w drogę powrotną.



Później tego popołudnia królowa wyszła na balkon, by popatrzeć, jak wiatr rozpędza resztki dymu nad stolicą. Pożary ugaszono, zamieszki ustały.

– Sytuacja się uspokoiła – rzekł Cyrano, gdy ostatni urzędnik opuścił komnatę audiencyjną i pokoje władczyni znów należały tylko do niej.

Królowa milczała, zerknęła jedynie z ukosa na doradcę i podniosła rękę do zaschniętego, obolałego gardła. Ostatnie kilka godzin spędziła, usiłując zminimalizować skutki zamieszek i myśląc nad tym, jak powstrzymać innych przed wykorzystaniem niepokoju. Potwierdzono już zgony szesnastu osób, a pomimo chwiejnej równowagi, którą udało się przywrócić, gniew i pragnienie odwetu wciąż pobrzmiwały w niespokojnej materii miasta, które przeczuwało nadchodzącą wojnę.

Cyrano przeszedł do bocznego stolika i z karafki o srebrnych

krawędziach nalał królowej szklanek wody z cytryną i miodem. Stał przy niej na balkonie, a ona przyjęła napój i skłoniła się z gracją. Utkwiła wzrok w poszarpanym konturze gór, nad którymi zniknęli Falko i jego smok.

– I pomyśleć, że o mało nie odrzuciłam prośby emisariusza, by zezwolić na jego szkolenie. – Zamyśliła się, sącząc wodę.

– Może lepiej by było, gdyby tak się stało – powiedział Cyrano i królowa obróciła się ku niemu do połowy, wyginając brew w zdziwiony łuk.

– Wieści rozejdą się zaraz po całym królestwie i nie wszystkie wieże będą zadowolone. Nie dość, że Opętani pukają do naszych bram, to na dodatek ten przewrót osłabi nasze miasta od środka.

– Magowie komunikują się szybciej, niż mogłaby rozprzestrzenić się najpopularniejsza plotka – powiedziała królowa. – Będą mieli dość czasu, by przygotować się na reperkusje. A lord Saker zaczął już pracować nad wiążącą magiczną przysięgą.

– Tak czy inaczej – nie ustępował Cyrano – będą kłopoty i ktoś na pewno zginie, a tobie, pani, nie zawsze uda się temu zapobiec.

– Wiem – powiedziała królowa zmęczonym głosem.

Cyrano kiwnął głową i przez chwilę stali w ciszy.

– No? – powiedziała królowa, gdy doradca już miał wrócić do środka.

– Pokażesz mi w końcu tę wiadomość, która wypala ci dziurę w kieszeni?

Cyrano wsunął tam rękę i wyłowił krótki list z Valencji, choć wolałby, żeby królowa dobrze się wyspała przed jego przeczytaniem. Wręczył go jej i cofnął się dwa kroki, by zapewnić jej minimum prywatności, gdy rozwinęła kartkę i zaczęła czytać. Przez chwilę tylko trzymała go w szczupłych palcach. Rogi arkusza poruszały się, nie wiedzieć, czy z powodu wiatru, czy przez drżenie jej rąk. Gdy skończyła czytać, zgmiotła wiadomość w pięści. Cyrano bardzo jej współczuł. Nieregularni byli bardzo potrzebni na froncie, i to w jak największej liczbie, by wesprzeć armie marszałka Bretona i emisariusza. Mógł tylko wyobrazić sobie, jak musi się czuć władczyni, wiedząc, że nie może już wysłać ich na pomoc Chevalierowi.

Wreszcie królowa przemówiła, a Cyrano nigdy jeszcze nie słyszał w jej głosie tak zimnej determinacji.

– Nie powiesz nikomu o tej wiadomości, dopóki Nieregularni nie opuszczą miasta.

– Ależ, Wasza Wysokość!

– Przysięgnij mi na swój honor, Cyrano! – Lodowate spojrzenie królowej przeniosło się na doradcę. – Ani słowa, dopóki nie wyruszą.

Cyrano chciał protestować, ale poznał po jej minie, że to bezcelowe.

– Jak każesz, pani – wymówił po chwili ciszy, choć wszystkie

instynkty mówiły mu, że królowa popełnia błąd.

Rozdarty między posłuszeństwem a przekonaniem, czekał, aż pozwoli mu odejść. Wystarczyło, że lekko uniosła głowę, a Cyrano skłonił się i ruszył do drzwi. Na korytarzu stali na baczność dwaj strażnicy, ale Cyrano minął ich, nie poświęcając im nawet spojrzenia. W pamięci odczytał po raz kolejny list, który dostarczono dziś rano. Jego treść wypełniła jego serce trwogą.

*Valencja wycofała swoje wojska.*

*Armie demonów wkroczyły do przesmyku Amaethon.*

*Navaria padnie w ciągu miesiąca.*

*Południowa granica zagrożona.*

*Sugeruję jak najszybciej wzmocnić Ruaen.*

Ten, kto napisał tę wiadomość, nie wiedział najwyraźniej, że nie ma już żadnych wojsk, którymi można by obsadzić mury Ruaen. Zostali wyłącznie Nieregularni, a oni w ciągu kilku dni wyruszą na wschód. Jedyną jednostką o poważnej liczebności był już tylko Legion Tronowy, którego dowódcą był nie kto inny jak sama królowa.

Cyrano przystanął na schodach. Królowa nienawidziła wysyłać innych, by toczyli za nią wojny, a teraz miała dobrą wymówkę, by osobiście poprowadzić kampanię. Cyrano przypomniał sobie przysięgę, którą złożył jej ojcu... że zadba o jej bezpieczeństwo. Przez prawie dwadzieścia lat wywiązywał się z tego zobowiązania, lecz teraz zaczął obawiać się porażki.

Jak mógł ocalić najpotężniejszą kobietę na świecie przed nią samą?

## Niebezpieczeństwo



Po wyruszeniu Nieregularnych królowa odczekała tylko cztery dni, zanim zwołała nadzwyczajne zebranie czołowych przedstawicieli stołecznej szlachty. Komnata Rady nie była pełna, ale i tak znalazła się w niej ponad setka ludzi. Siedzieli na tarasowatych schodach, każdy otoczony niewielką świtą. Magowie popadli w niełaskę, co mocno osłabiło pozycję tych, którzy byli w opozycji do królowej, lecz władczyni mogła się założyć, że nie pozwolą, by decyzja o pozostawieniu stolicy bez obrony przeszła jednogłośnie.

– Legion Tronowy został powołany do życia w jednym tylko celu: by bronić stolicy Clemoncé, a nie stolicy Navarii – rzekł lord Brosse, siwy mężczyzna w średnim wieku, dotknięty wrodzoną deformacją stopy, która była przyczyną jego charakterystycznego chodu.

Jego komentarz spotkał się z chóralną aprobatą. Królowa odczekała, aż hałas ucichnie.

– A co, jeśli najlepszym sposobem na obronę stolicy jest ruszenie na pomoc Navarii? – spytała.

– Jak Wasza Wysokość może sugerować coś podobnego? – odpowiedział sędziwy hrabia, którego ekstrawaganckie szaty odzwierciedlały bajeczne bogactwo. Dźwignął się na nogi, wspierając się na lasce o złotej główce. – Przez prowadzoną przez Waszą Wysokość politykę interwencji wszystkie nasze armie znajdują się teraz poza granicami Clemoncé. I cóż nam z tego przyszło? Otóż nic – dodał, gdy nikt nie poczuwał się do odpowiedzi. – Poświęciliśmy naszych żołnierzy, by bronili innych krajów, a wróg jest coraz bliżej. Krążą plotki, że Hoffen i Le Matres są następne w kolejce. Pytam, co później? Voisier? Ville de Pierre? Toulwar?

– Nie – przerwała wyliczankę królowa. – Jeśli nie wkroczymy do akcji, następnym miastem Clemoncé, które padnie, będzie Ruaen.

Za jej plecami stali oficerowie Legionu Tronowego z nieruchomymi, poważnymi minami. Królowa wiedziała, że to dla nich nie do pomyślenia, by siedzieć bezpiecznie w stolicy, podczas gdy jedno z miast Clemoncé pada ofiarą Opętanych. Ale szlachcic we frymuśnych szatach ani myślał dać się przekonać.

– Nonsens – powiedział. – Sama Wasza Wysokość powiedziała, że armie demonów w przesmyku Amaethon nie są liczne.

Królowa westchnęła. Czy oni naprawdę są aż tak naiwni?

Nie odwracając się, odezwała się do jednego z żołnierzy za swoimi plecami:

– Pułkowniku Laville. Czy będzie pan tak miły i wytłumaczy hrabiemu du Savere, jakimi ścieżkami podążają myśli nieprzyjaciela?

Pułkownik skłonił się sztywno i zrobił krok naprzód. Był twardo stąpającym po ziemi człowiekiem w średnim wieku. Włosy miał przeplecione siwizną, ale gęste brwi i zadbane wąsy wciąż były czarne jak noc. Nie zawracał sobie głowy, by kryć się z pogardą, jaką żywił dla szlachty. Utkwił bystre spojrzenie czarnych oczu w hrabim.

– Dwie armie demonów znajdujące się obecnie w przesmyku Amaethon rzeczywiście są relatywnie małe. Łącznie liczą około czterestu tysięcy żołnierzy. Lecz musimy pamiętać, że Navaria nie ma własnej armii. Połowa populacji tego kraju mieszka w mieście stołecznym, Sophii, która dysponuje garnizonem liczącym zaledwie tysiąc żołnierzy. Gdy zostaną pokonani, większość z nich odrodzi się jako Opętani.

Hrabia du Savere wydał usta. Dodatkowe sześć setek Opętanych nie brzmiało jak poważne zagrożenie, ale pułkownik Laville jeszcze nie skończył.

– Podczas gdy garnizon rzeczywiście jest niewielki, miasto Sophia liczy prawie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Jeśli Navaria upadnie, a upaść musi, wielu jej obywateli również zasili szeregi wroga. Szacujemy, że armia, która przekroczy naszą granicę, będzie liczyć około czterdziestu tysięcy żołnierzy.

Szlachcice patrzyli na niego, jakby nie mogli uwierzyć w jego słowa.

– Armia Ruaen nie będzie w stanie im się oprzeć, a armia demona, która idzie na północ, zwiększy swoją liczebność o kolejne dwadzieścia tysięcy opętanych dusz.

Królowa potoczyła wzrokiem po komnacie i niewielu szlachciców uciekło przed jej granitowym spojrzeniem.

– W dalszej kolejności upadną Dumonté i Porte du Château. A wraz z nimi tysiąc farm i winnic zostanie zrównanych z ziemią, zaś nasz ukochany kraj stanie się częścią Utraconych Ziem.

Wreszcie nabrała tchu i do jej oczu napłynęła ponura determinacja.

– Prawda przedstawia się w sposób następujący – dodała po pauzie. –

Jeśli zadaniem Legionu Tronowego jest obrona stolicy, to musi wyruszyć szybko. Jeśli będziemy siedzieć i czekać na Opętanych, to już po nas.

– Ale niebezpieczeństwo może nadejść z innej strony – rzekł, bezbłędnie akcentując słowa, szlachcic zasiadający po prawej stronie sali.

– Tak, to możliwe – przystała królowa. – Ale inne armie walczą, by do tego nie dopuścić. Nie możemy chować się za murami i czekać, aż w nadchodzących latach zagrożenie znajdzie się na naszym progu. Musimy uporać się z nim teraz.

– Powinniśmy wycofać nasze wojska z Illicji i Beltane – włączył się do dyskusji ciemnowłosa mężczyzna z książęcym herbem zwisającym ze złotego łańcucha na jego szyi. – Armia Nieregularnych wyruszyła w drogę zaledwie kilka dni temu. Dlaczego na wschód, skoro wiemy, że zagrożenie nadchodzi z południa?

W tonie księcia czaiło się oskarżenie. Spojrzał w lewo, szukając poparcia u księcia Ludovica. Ale książę pozostał niewzruszony. Usiadł z przodu, wsparł jedną rękę na udzie, a palcami drugiej pocierał w namyśle podbródek.

Książę z medalionem na szyi dał się zbić z pantafelku, gdy zobaczył, że Ludovico nie ma zamiaru poprzeć wyjścia, które on sam uznał za jedyne słuszne. Królowa ograniczyła się do znużonego westchnienia. Ci ludzie nie zdawali sobie sprawy z siły przeciwnika. Nie mieli pojęcia o koszmarze, który od dziesięcioleci wrze na linii frontu.

– A co z demonami? – nie ustępował książę. – Jeśli się nie mylę, ostatni mag bitewny wyruszył wraz z Nieregularnymi. Czy Wasza Wysokość zechciałaby wyjaśnić, jak zamierza walczyć z demonami bez maga bitewnego?

– Ma maga bitewnego, a nawet dwóch! – dobył się z najwyższego rzędu chrapliwy, rozeźlony głos.

Wszyscy obejrzelisi na wstających z miejsc Aureliana i Dusaule'a. Tego dnia, gdy Nieregularni wyruszyli w drogę, królowa pod osłoną mroku osobiście udała się do gospodarstwa, by się z nimi rozmówić. Dusaule dopiero co wrócił ze swojej samotnej wędrówki, a Aurelian martwił się, czy prośba królowej nie wysze go na kolejną. Ale milczący zagrodnik słuchał uważnie, gdy władczyni wykladała im swoje plany uratowania stolicy Navarii.

Aurelian nie potrzebował dodatkowej zachęty, lecz Dusaule wyraźnie się wahał.

– Nie mam zamiaru posyłać cię do walki – powiedziała królowa, świadoma złożonej przez niego przysięgi. – Ale gdybym mogła liczyć na twoją ochronę i ogień Aureliana...

Królowa zawiesiła głos. Nie chciała przysparzać Dusaule'owi cierpienia. A jednak po kilku chwilach namysłu milczący mężczyzna



skinieniem dał znak, że zgadza się jej pomóc. Obaj stanęli teraz przed zdumionymi szlachcicami.

– Co takiego? – Siedzący w środku sali mężczyzna o włosach pokrytych brylantyną i błyszczącej skórze wyglądał, jakby wypił sok z cytryny. – Czy mamy powierzyć bezpieczeństwo legionu kalece i niemowie?

Aurelian obrzucił go takim spojrzeniem, jakie mógłby posłać natrętnemu pijakowi, który właśnie nasikał mu na buty. Pokaz siły nie był potrzebny, wystarczyła siła jego pogardy.

– Magowie bitewni Cruz i Dusaule zgodzili się nam pomóc, my zaś jesteśmy im niewymownie wdzięczni – rzekła królowa. – Wedle najświeższych wieści dwie armie Opętanych podróżują osobno. Gdyby udało się je zaatakować jedną po drugiej...

– Dość! – wypluł ksiązę z medalionem na szyi. – To jakieś szaleństwo! O czym my w ogóle rozmawiamy? Musimy jak najszybciej ściągnąć nasze armie z powrotem do kraju, by go broniły. – Zrobił pauzę. – Nie – podjął i w tym momencie ośmielił się pogrozić królowej palcem. – Nie możemy pozwolić na posłanie legionu na wojnę, gdy mamy jeszcze inne możliwości.

– Nie zrozumiałeś mnie, panie – rzekła królowa, a za jej plecami Cyrano stężał, bo znał ten ton, zimny jak zmrożona stal. – Nie zwołałam tego spotkania, by pytać was o pozwolenie. – Królowa odrzuciła płaszcz na ramiona, by pokazać napierśnik, który nosiła pod spodem. Jej ręką pomknęła do rękojęści miecza, gdy zwróciła się ku mężczyźnie, któremu ubzdurało się, że może rozkazywać królowej Furi. – Zwołałam je, by was poinformować, że zabieram legion na południe, i by poprosić księcia Ludovica, by uczynił mi zaszczyt i zarządzał miastem pod moją nieobecność.

Z gardeł zgromadzonych wydobył się chóralny okrzyk zdumienia, a ksiązę Ludovico wyprostował się na krześle. Na jego twarzy zdumienie mieszało się z dezorientacją. Zmrużył oczy i spuścił wzrok, gdy królowa zwróciła się do niego.

– Lecz moja prośba nie jest równoznaczna z zaręczynami – dodała, gdy spojrzenie księcia zsunęło się na czarny pas w jej talii. – Na pewno zdajesz już sobie sprawę, ksiązę, że nasze domy nigdy się nie połączą.

Ludovico wysunął żuchwę. Oblał się rumieńcem, a po komnacie przebiegły wyrazy dezaprobaty, gdy królowa publicznie odrzuciła awanse drugiej najpotężniejszej osoby w królestwie.

– Wybacz – ciągnęła królowa. – Lecz moje serce już jest rozszczerzone między ludem Furi w pierwszej kolejności a Chevalierem w drugiej, gdyż nie mogę dłużej wzbraniać się przed żywioną do niego miłością.

Ciemne oczy księcia płonęły udręką i przez chwilę wydawało się, że z pewnością odmówi, lecz królowa nie wypuszczała go z kleszczy

swojego spojrzenia.

– Jak więc będzie, książę? – ponowiła pytanie. – Czy przyjmiesz na siebie funkcję namiestnika tego miasta? Czy będziesz troszczył się o mój lud podczas mojej nieobecności? Wiem, że ty też go miłujesz.

Książę długo patrzył na królową, a potem wymówił cicho:

– Zgadzam się.

Królowa wydała z siebie olbrzymie westchnienie, po części ulgi, a po części wdzięczności, lecz był w nim też strach przed obraną ścieżką. Przez moment nie mogła dobyć głosu, a potem obwiodła komnatę wyciągniętym ramieniem.

– Niech żyje książę Furii – powiedziała, a szlachcice podchwycili jej słowa, jakby znaleźli się w mocy jej czaru.

– Niech żyje!

Z brwiami wciąż ściągniętymi przez nagromadzenie emocji książę Ludovico wstał i uklonił się królowej, która z szacunkiem odwzajemniła gest.

– Pan Cyrano będzie nadzorował twoje zarządzanie sprawami Furii, książę – powiedziała i doradca wyszedł naprzód.

Idealnie panował nad swoimi uczuciami i nikt nie domyślił się, jak wielka udręka szaleje w jego sercu. Gdyby mógł, zamknąłby królową w zamku, a na czele armii postawił całą tę niewydarzoną szlachtę. Ale legion podlegał bezpośrednio tronowi Furii, a jego ucieleśnieniem była królowa.

– Pułkownikowi Laville – zwróciła się do drugiego oficera w łańcuchu dowódczym – o świcie legion będzie gotowy do wymarszu.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odrzekł weteran.

Królowa wyszła z komnaty korytarzem prowadzącym na parter. Aurelian wyprowadził Dusaule'a klatką schodową. Właściwie podzielał zdanie możnych – plan królowej był szaleńczy, ale niestety, nie było innego wyjścia. Falko i Nieregularni byli potrzebni na froncie. Poza tym on sam, tak jak królowa, uważał za plamę na swoim honorze to, że inni maszerują ku niebezpieczeństwu, gdy on sam siedzi bezpieczny w swojej chacie. Nawet Dwimervane, zniechęciła smocza staruszka, mruknęła groźnie, nie mogąc doczekać się, aż znowu stanie na polu bitwy.

Gdy tylko słońce wyjrzy zza horyzontu, Legion Tronowy ruszy na wojnę, a zagrodnicy oraz ich smok ruszą wraz z nim.



Ponad dwieście mil dalej na wschód emisariusz szukał na niebie

szpiegów przeciwnika. Od opuszczenia Hoffen spowalniały ich regularne potyczki z niewielkimi oddziałami Opętanych, którzy wyskakiwali znikąd na niespodziewających się niczego żołnierzy. Każda armia, która zapuściła się na Utracone Ziemie, powinna liczyć się z możliwością nagłej napaści, ale te zagęszczały się ponad miarę, gdy śledził ich mroczny anioł. Parli więc naprzód, co rusz spoglądając w górę i szukając charakterystycznych skrzydlatych sylwetek, które mogły zwiastować kolejny atak.

Teraz niebo było czyste i emisariusz spuścił wzrok na Czwartą Armię, która meandrowała wśród skalistych wrzosowisk Illicji. Znajdowali się obecnie dziesięć dni marszu od Hoffen i emisariusz zastanawiał się, co zastaną w leżącym po drodze mieście Amboss. Obszar wokół Amboss cierpiał nieustanne ataki i pojawiały się nawet raporty o małych oddziałach i pomniejszych demonach, które przemykały się przez fortyfikacje, okopy i barykady, by przeć dalej w kierunku granicy z Clemoncé.

Jak dotąd były to sporadyczne przypadki, ale stanowiły dostateczny powód, by marszałek Breton ściągnął Czwartą na południe, żeby zwiększyła obronność miasta, póki wciąż mogła. Po dokonaniu tego emisariusz planował ruszyć na południowy wschód, by utrzymać szlaki zaopatrzeniowe do Beltane i uniemożliwić Opętanym okrążenie północnego brzegu jeziora Viegal.

Wszystkie raporty były zgodne co do tego, że pozostałe beltańskie twierdze wciąż dają odpór najeźdźcy, w dużej mierze dzięki staraniom Vercincallidusa. Jego taktyka napad-wypad skutkowałą nadwyrężeniem sił Opętanych. Emisariusz również stosował teraz podobną taktykę. Największym problemem była nieobecność magów bitewnych. Myśli Chevaliera coraz częściej zdążyły do Falka. Jak poradził sobie po powrocie do Furii? Czy przeszedł rytuał Assay? Czy przywołał smoka?

Nieregularni powinni już być w drodze do Amboss, ale emisariusz nie dopuszczał do siebie fałszywej nadziei, że Falko idzie wraz z nimi. To chyba zbyt wiele spodziewać się, że ukończył szkolenie w tych kilka tygodni. Nie. Musi grać tymi kartami, które ma na ręce. Jedynym pocieszeniem było to, że Hoffen i Le Matres wciąż stały na straży północnych szlaków do Clemoncé. Opętani nie uderzą na stolicę, dopóki strzegą jej te dwie warowne twierdze. Królowa jest więc bezpieczna, a przynajmniej na razie.

Emisariusz zadumał się, gdy mijały go szeregi włóczników i mieczowników. Miał bolesną świadomość tego, że w chwili obecnej wszystkie armie Clemoncé znajdują się poza granicami kraju. Dobrze, że te na razie nie były narażone na atak, bo bał się myśleć, co zrobiłaby królowa, gdyby jej ukochane królestwo znalazło się w stanie zagrożenia.

Zadrzał, gdy chmura przysłoniła słońce, a potem pognał Tapfera

naprzód, bacznie rozglądając się wokoło i co chwila zerkając w niebo. Zwiadowcy twierdzili, że w tej okolicy nie ma Opętanych, ale emisariusz wiedział, że nikt nie może pozwolić sobie w tych czasach na złudne poczucie bezpieczeństwa. Musieli mieć oczy dookoła głowy, by szybko reagować na zagrożenie, nieważne, jak niespodziewane i z której strony miałyby nadejść.

## Ból, ból i wieczny ból



Stojący na niskiej grani Vercincallidus patrzył na wchodzącego w pole widzenia wroga. Było późne popołudnie, wiał chłodny wiatr, ale powietrze nad Opętanymi drgało i gotowało się, jakby prażyło letnie słońce. Zastęp czarnych wojowników wpłynął do doliny, a generał wiedział, że podobnie liczebna armia zachodzi ich właśnie od tyłu. Po latach wymykania się wrogowi z rąk został wreszcie zapędzony w kozi róg, lecz nawet teraz szukał drogi ucieczki.

Nie miał zamiaru dać się wziąć w kleszcze. Raczej spróbuje przebić się przez armię przed sobą, zanim zaatakuje go ta z tyłu. Była to taktyka, którą stosował wielokrotnie, sęk w tym, że tym razem obiema armiami dowodziły demony. Zwykle za wszelką cenę unikał armii dowodzonych przez piekielników, ale dziś synowie Elduru nie byli sami.

Vercincallidus powędrował wzrokiem do mężczyzny dosiadającego smoka koloru głębokiego karmazynu. Jego zbroja płytowa wykuta była z beltańskiego stopu i miała szlachetny połysk starego brązu. Hełm o klasycznym kroju osłaniał nos i policzki, a szczeliny na oczy były wzmocnione dodatkową warstwą stali. Miecz także wykuto na plemienną modłę, tarczę zaś ozdobiono niedźwiedziem rodu Gullinbursti.

Vercincallidus nie chciał w swoich szeregach maga bitewnego, wiedział bowiem, jak bardzo są potrzebni gdzie indziej, lecz jeśli jego armia miała przeżyć ten dzień, będą potrzebowali ochrony, jaką może nad nimi roztoczyć tylko Wielka Dusza. Przez lata patrzył, jak demony giną z ręki tego człowieka, lecz dzisiaj sytuacja przedstawiała się inaczej. To, co gnało Opętanych w jego kierunku, nie przypominało niczego, z czym mieli dotąd do czynienia.

Usiłując ignorować nasilającą się niepewność, Vercincallidus wrócił myślami do nadchodzącej bitwy. Przearanżował układ sił w jak

najbardziej agresywną formację. Cała nadzieja w tym, że uda się zabić demona, przebić przez wrogie szeregi i uciec, nim druga armia zamknie kleszcze i zaatakuje ich od tyłu.

Popatrzył na swoją armię, na dziewięciu tysięcy najlepszych żołnierzy w Beltane. Na przestrzeni lat wielokrotnie stawali do walki z Opętanymi, lecz teraz ich generała dręczyły wątpliwości, oni zaś czuli, jak garota przerażenia zaciska się na ich gardłach. Vercincallidus obnażył zęby i warknął, kpiąc z własnej słabości, nagle jednak poczuł, jak jego wnętrzości wypełniają się lodem, gdy ze żlebu wyłonił się i stanął na niskich klifach demon.

Okuty w czarny pancerz piekielnik był mniejszy niż większość napotkanych przez Vercincallidusa demonów i chodził jak człowiek, na dwóch ludzkich nogach, ale generał nigdy jeszcze nie widział piekielnika, który emanowałby tak potworną mocą. Widywał zwaliste, olbrzymie behemoty, zdolne jednym ciosem pięści pogruchotać żebra koniowi, i inne, które kłapinięciem szczęk przegryzały na pół zakuty w stalowe zbroje rycerzy. Ale jeszcze nigdy nie zetknął się z demonem o tak wielkiej i tak obezwładniającej wewnętrznej sile. Jej fala uderzyła w armię generała, przemknęła po żołnierzach, a on myślał przez chwilę, że poddadzą się tej aurze, lecz wtedy wyczuł siłę woli mężczyzny u swego boku. Była niczym stalowa tarcza, którą osłonił kruche naczynie swej duszy, i Vercincallidus odetchnął z ulgą, gdy mag bitewny roztoczył płaszcz ochronny nad całą armią.

Teraz mogli mu się oprzeć. Teraz mogli walczyć.

Mag dobył miecza, a smok przybrał pozycję bojową, gotując się do walki. Generał spojrział w dół i zobaczył, jak demon staje i krzyżuje spojrzenie z człowiekiem, który ośmielił się rzucić mu wyzwanie. Karmazynowy smok poruszył się niespokojnie i cofnął o krok, ale mag bitewny opanował go i Vercincallidus wiedział, że usiłuje zorientować się w sile wroga, sondując jego słabe punkty.

Generał wrócił spojrzeniem do przeciwnika i ku swojemu przerażeniu przekonał się, że piekielnik skupił teraz całą swoją uwagę na nim. Siła jego badawczego spojrzenia chłostała go jak nasączony trucizną bicz, a jednak nie mógł odwrócić wzroku. Świat przed jego oczami wycofał się na dalszy plan, gdy generałem zawładnęło piekielne spojrzenie demona, a potem gdzieś na granicy słyszalności Vercincallidusa rozbrzmiał jakiś dźwięk, odległa kakofonia wrzasków. Dźwięk nasilił się, aż całkowicie wziął we władanie jego umysł, a potem raptownie zniknął, zastąpiony przez złowieszczą ciszę. A w tę wdarł się głęboki głos, który przemówił do niego w języku wolnych plemion.

„Verkir, verkir og eilíft verkir” – powiedział głos, a strach raz jeszcze zacisnął lodowate szpony na wnętrzościach generała.

– Nie słuchaj go – polecił mężczyzna u jego boku, a Vercincallidus

wrócił na ziemię. – Żadne przeznaczenie nie ryje się w kamieniu – rzekł mag bitewny, gdy smok zrobił dwa kroki w tył. – Wróg próbuje osłabić nas swoimi kłamstwami. Ale my zamkniemy na nie uszy.

Mag bitewny pochylił się, złapał za paski uprzęży i poprawił tarczę na ręce. Spojrzał w dół na Vercincallidusa, a jego oczy jaśniały w cieniu hełmu.

– Za Jedno Plemię – rzekł, przywołując nazwę mitycznego klanu, który zjednoczył wszystkie ludy Beltane.

– Za Jedno Plemię – powtórzył Vercincallidus, a wielki smok rzucił się naprzód i sfrunął z krawędzi urwiska.

Na oczach generała zapikował w kierunku doliny z magiem bitewnym wczepionym w jego grzbiet. Zaatakowali jak jeden organizm i Vercincallidus był pewien, że nic nie zdoła oprzeć się tak druzgoczącemu natarciu, lecz wówczas przypomniał sobie słowa, które rozbrzmiały w jego głowie, i nagle wiedział ponad wszelką wątpliwość, jak brzmi imię demona, który rzucił im wyzwanie.

Illicjanie nazywali go Marchio Dolor, słowa pochodziły ze starożytnego języka Protégii. Stał przed nimi głównodowodzący Opętanych.

Marchio Dolor. Markiz Cierpienia.



Marchio Dolor patrzył z szyderczym rozbawieniem, jak wyrm zeskakuje ze skał i mknie w jego stronę, niosąc pochylonego w siodle Przeciwnika. Czuł promieniującą od nich siłę oraz gromadzącą się w nich energię, ale się nie poruszył. Zamiast tego dobył miecza i przybrał pozycję bojową. Zasłonił się ramieniem, okrytym tarczowym karwaszem, i przygotował do zadania ciosu masywnym mieczem, który ścisnął w prawej ręce.

Broń przypominała ferocką machairę, oręż o jednosiecznym, zakrzywionym ku dołowi ostrzu. Podobnie jak jego zbroję, miecz wykuto z ciemnej stali pokrytej filigranową siatką żyłek, które zajaśniały, gdy Marchio zacisnął pancerną pięść.

Już dawno nie zabił żadnego Przeciwnika. Będzie smakował ten moment.



Gdy smok wzbił się do lotu, Vercincallidus dał rozkaz do ataku i dziewięć tysięcy wojowników ruszyło na Opętanych. Dolina drżała od

huku kopyt i jazgotu trąb. Burza strzał pędziła ku skłębionej masie skiryków, ale pierwsze uderzenie należało w tej bitwie do maga bitewnego i jego smoka.

Marchio Dolor rozstawił szerzej nogi i pochylił się naprzód, gdy z miecza maga bitewnego strzeliła lanca błękitnego światła. Odbił zabójczy magiczny grom opancerzonym ramieniem. Cios zostawił po sobie głębokie wgniecenie, ale nie był w stanie przebić zakłętej stali.

Zanim zdołał wyprowadzić własny atak, Marchio Dolor stanął w płomieniach, gdy poraził go ognisty strumień dobywający się z paszczy smoka. Marchio odczuł jego gorąco, ale chronił go potężniejszy od tysięcy lat pancierz wiary. Gdy rozwiały się spowijające go płomienie, mag bitewny dostrzegł roziskrzoną furią ślepiego demona.

Smok rzucił się na niego z rozdziawioną paszczą i wyciągniętymi szponami, ale na moment przed lądowaniem Marchio skoczył naprzód, zamachnął się mieczem i głęboko ciął go przez pierś. Mimo to jeden ze szponów natrafił na łatę odsłoniętej skóry i otworzył wyrwę w szyi piekielnika. Marchio prawie nie poczuł rany, tymczasem śmiertelnie ranny smok zwałił się na ziemię.

Nim jej dotknął, mag bitewny zeskoczył z jego grzbietu. Marchio okręcił się, gdy mężczyzna przetoczył się po ziemi i prędko dzwignął na nogi. Nie wahając się ani chwili, człowiek napał naprzód, bijąc w demona kulą ognistą, ale Marchio odbił ją wierzchem pancерnej pięści i wyprowadził cięcie od góry, chcąc rozplatać maga na dwoje. Mężczyzna pomknął przy samej ziemi, unikając morderczego ciosu, a potem szybkim ruchem posłał w przód impuls energii, którym wytrącił miecz z dłoni demona.

Czując nadchodzące nieuchronnie zwycięstwo, mag rzucił się, by zadać ostateczny cios, lecz piekielnik znów okazał się za szybki. Sparował uderzenie tarczowym karwaszem, podczas gdy drugie wystrzeliło w przód. Szpony zacisnęły się na gardle maga. Demon szarpnięciem podniósł go i rzucił na plecy. Mag bitewny upuścił miecz, a demon zaczerpnął z własnej piekielnej mocy. Ogień wieczny spłynął po jego ramieniu i ogarnął głowę i ramiona przeciwnika. Mężczyzna próbował wzmocnić ciało magią, ale moc Marchia była zbyt wielka. Plemienny hełm rozgrzał się do czerwoności, a ciało maga bitewnego zaczęło się topić. Demon z rozpędu uderzył nim o kamienną ścianę. Żar jego nienawiści i siła uderzenia sprawiły, że skała zaczęła pękać i się rozpuszczać. Wciąż warcząc ze złości, Marchio począł się modlić, wciskając maga bitewnego głębiej w niszczącą kamienną ścianę.

Zbyt poważnie ranny, by móc dobyć słowa, mag bitewny bił pięściami trzymającą go rękę, zasypując Marchia łukami błękitnej energii i usiłując zgromadzić więcej mocy na przekór wstrząsającej nim agonii. Ale nie udało mu się. Modlitwa demona była zbyt potężna, jego



siła zbyt wielka. Skalna ściana jaśniała czerwonym światłem, gdy Marchio Dolor wciskał maga bitewnego w jej roztopione wnętrze. Mężczyzna wciąż stawiał opór, ale nic nie mógł już zrobić i wkrótce magma pochłonęła go, aż tylko jego ramiona i nogi wystawały poza obręb skały, drżąc i wyciągając się w spazmach nieopisanego bólu.

Wreszcie Marchio puścił go i wyciągnął rękę ociekającą roztopioną skałą. Może i nie zdoła zagarnąć duszy tego Przeciwnika, ale przynajmniej upewni się, że będzie cierpiał. Błuzniercza moc demona utrzyma go przy życiu, a tymczasem skała wokół niego zastygnie. Mag bitewny będzie cierpiał tortury, jednocześnie dusząc się i płonąc żywcem, a dodatkowej udręki przysporzy mu świadomość porażki.

Ręka Marchia wciąż jaśniała żarem, gdy podniósł z ziemi swój miecz i ruszył w kierunku rannego wyrma. Ostrze demona wniknęło głęboko w jego ciało i z ziejącej rany połała się krew, lecz mimo to smok gotował się do walki. Oczy płonęły mu nieustępliwością, choć wiedział, że zwycięstwo jest niemożliwe. Demon był po prostu zbyt silny.

Gdy mag bitewny został pokonany, jadowita nienawiść piekielnika wypełniła całą dolinę i Vercincallidus mógł tylko patrzeć, jak jego armia się kruszy. Przerazenie napierało na nich jak fala przyływu i generał wiedział, że on sam nie zdoła się jej długo opierać. Ale dopóki został mu choć strzęp silnej woli, będzie walczył. Sięgnąwszy do ostatnich rezerw swojej odwagi, dobył miecza i przywołał do siebie swoją gwardię honorową, złożoną z jeźdźców Pancерnej Konnej.

Mogli już tylko umrzeć, zanim strach pochłonie ich bez reszty. Jedynie śmierć wojownika ocali ich przed Opętaniem i pozwoli wstąpić do Domu Walecznych. Wojownicy dookoła niego wiedzieli o tym doskonale, mimo to widział już strach w ich oczach.

– Jedno Plemię! – zawołał, a gdy odpowiedział mu ich gromki okrzyk, poprowadził swoich ludzi do ostatniej szarzy.

Pomknęli w dół skalnym zboczem. Zaatakowali najgęściej obsadzone miejsce w szyku, szukając szybkiej śmierci, lecz demon przejrzał ich zamysł i mocą umysłu nakazał swoim podkomendnym, by wzięli ich żywcem. Nie pozwoli, by Serthiański Wilk uciekł przed nim w śmierć.

Synowie Elduru walczyli przez jakiś czas, lecz nawet ci zaprawieni w bojach weterani nie mogli wiecznie opierać się strachowi i wkrótce dolina wypełniła się ich krzykami rozpacz. Gdy walka ustała, zgromadzono ich w grupie na dnie doliny: żywych, martwych i umierających, żalosną zbieraninę przerażonych ludzi. Otoczeni przez wojowników Opętanych, patrzyli trwożliwie, jak Marchio Dolor wychodzi naprzód. Skłonił swoją rogatą głowę i rozłożył ramiona, jakby chciał ich objąć. Ale w tym geście nie było życzliwości. Demon zanosił mroczne modły o ich zniewolenie.

Jęk strachu wydobył się z ludzkich gardeł, gdy pozostałości armii

otoczyła ściana ognia wiecznego. Pojmani krzyczeli, płakali, tratowali się i wspinali po sobie nawzajem, gdy płomienie pełzły w ich kierunku, aż w końcu wszyscy zostali przez nie pochłonięci.

Ściągnięty z konia, pobity, związany i bezradny Vercincallidus zapłakał, gdy jego dzielni wojownicy zostali ochrzczeni piekielnym płomieniem. Wrzaski i wycie odbijały się echem od ścian doliny i wydawały się nie mieć końca, aż wreszcie płomienie zgasły i beltańscy wojownicy się odrodzili. Nie został najmniejszy ślad po ich człowieczeństwie. Nawet ich zbroje zostały przekute na ferocką modłę.

Wierność nowo powstających Opętanych zahartowała się w szaleńczym cierpieniu, a żar bijący z odmienionych pancerzy będzie odtąd przypominać o karze, jaka czeka przegranych. Taki los spotkał synów Elduru, i taki los miał zaraz spotkać ich generała.

Vercincallidus patrzył, chory z przerażenia, jak Marchio Dolor zwraca się w jego stronę. Wiedział, że jest zgubiony, ale był wojownikiem z plemienia Visunduri i nie miał zamiaru tanio sprzedać skóry. Marchio Dolor wyczuł jego postanowienie i coś na kształt groteskowego rozbawienia pojawiło się w jego płonącym spojrzeniu. Ostatni przemienieni Beltańczycy wynurzali się ze świętych płomieni. Czas, by dołączył do nich ich generał.

Kłęczący przed demonem Vercincallidus wzdrygnął się, gdy Marchio Dolor położył masywne dłonie na obu bokach hełmu. Jego oddech zaczął się rwać, zmienił się w nierytmiczną sekwencję chrapnięć i wizgów, kropelki śliny pryskały przez zaciśnięte zęby, gdy zbierał się na odwagę, aby każdym włókmem ciała sprzeciwić się demonowi w tej ostatniej godzinie.

Gdy Marchio Dolor wymówił pierwsze słowa modlitwy, głowę generała objął ogień wieczny.

Choć Vercincallidusowi ból nie był obcy, jego opór stopniał jeszcze przed pierwszym uderzeniem serca, nim bezwarunkowo oddał się ciemności. W najgorszych koszmarach nie wyobrażał sobie podobnego cierpienia, ostatecznie jednak jego krzyki ustąpiły miejsca gardłowemu charkotowi, a oczy zarosły bielmem Opętanych.

Marchio spojrzał na swojego nowego generała i zmrużył oczy, zadowolony z dzieła. Nie przemienił jego wilczej zbroi na ferocką. Zostawił ją w pierwotnym, plemiennym kształcie, by Beltańczycy od razu rozpoznali tego, kto wiedzie na nich legiony Opętanych. Cóż za cudowna ironia – królestwo Ozrika zostanie zniszczone ręką tego samego człowieka, który usiłował je ratować.

Wciąż rozedrgany po agonii objawienia, Vercincallidus podniósł się na nogi. Był późny wieczór, słońce zachodziło za pofałdowaną linią wzgórz, ale z nastaniem poranka on znowu stanie na czele armii. Ledwie parę minut wcześniej z chęcią oddałby życie za swoich ludzi.

Teraz nie mógł się doczekać cierpienia, jakie na nich sprowadzi. W najgłębszych zakamarkach jego duszy to, co było kiedyś człowiekiem, roniło łzy, które nigdy nie popłyną z oczu Opętanego. Serthiański Wilk miał zamiar wydrzeć gardło królestwu, które kochał, i pokazać Beltańczykom, jaka jest kara za opór.

„Verkir, verkir og eilíft verkir”.

Ból, ból i wieczny ból.

Tak brzmi obietnica składana przez Opętanych.



Gdy Vercincallidus został wcielony do armii Opętanych, przywołany przez Marchia zabójca przygotowywał się już do ponownego pojawienia się na świecie.

Daleko na północy, nieopodal illicyjskiego miasta Hoffen, zielona kraina w sercu kraju przemieniła się w pokryte białym popiołem pustkowia. Gdy słońce zatęniało za horyzontem, czarna skała zaczęła pękać i żarzyć się czerwonym światłem, aż w końcu wyłonił się spod niej demon. Długo wędrował, by dopełnić pokuty, lecz ta miała się już ku końcowi. Pogromca wkrótce się odrodzi.

## Złe przeczucia



Falko miewał ostatnio niespokojne sny. Nieregularni opuścili Furię ponad dwa tygodnie temu. Przedzierali się teraz przez kaniony wyżłobione przez trzy wartkie rzeki. Wkrótce głębokie doliny otworzą się na skalistą równinę, gdzie rzeki zbiegały się, by przelać się przez skarpe wodospadem zwanym La Grande Cascade. Linia stoku wyznaczała tam granicę z Illicją, a w odległości trzydziestu mil od niej leżało miasto Amboss, gdzie Nieregularni dołączają do zjednoczonych sił, którymi dowodził marszałek Breton.

Za niespełna sześć dni marszałek zwoła comiesięczną naradę strategiczną i Nieregularni chcieli dotrzeć do miasta na czas, by również wziąć w niej udział. Wciąż mieli szmat drogi przed sobą, ale i całkiem niezłe tempo. Jeśli je utrzymają, dotrą do Illicji i zostanie im jeszcze kilka dni w zapasie.

Tej nocy rozbili obóz wzdłuż brzegu Tonnerre, tej spośród trzech rzek, która sięgała najdalej na północ. Szum wody odbijał się echem od białych klifów, brzmiąc jak odległy grom. Zmierzchało już i setki ognisk rozkwitały nad brzegiem rzeki, gdy armia rozbijała obóz. W pobliżu jednego z tych ognisk jaśniało inne źródło światła.

Falko wpatrywał się w eteryczny płomień otaczający jego prawą rękę. Rozluźnił napięcie w umyśle i ogień zgasł, w żaden sposób nie naruszywszy stalowej rękawicy. Coraz lepiej kontrolował ogień. Pozwolił wibrującej mocy spłynąć wzdłuż ramienia i ogień znów zajaśniał wokół jego dłoni, tak jak płomyk świecy, który w rzeczywistości nie dotyka knota.

– Czy to boli? – spytał Malaki, kładąc obok niego miskę z dziczyzną.

– Nie – odparł rozkojarzony Falko. Wciąż fascynowały go jego nowo rozbudzone moce. Czasem zapominał się, tak jak teraz, i ludzie wokół zaczynali się gapić. – O, przepraszam – rzekł z zawstydzonym

uśmiechem i zgasił płomień.

– Nie przepraszaj – powiedział Alex. – Rozpalanie ogniska nigdy jeszcze nie było tak łatwe.

Przyjaciele śmiali się, lecz właściwie ich również dotykał niepokój, gdy Falko swoimi tajemniczymi mocami rozpalał nawet wilgotne drewno. Wszyscy pamiętali tamtą noc, gdy spróbował zrobić to po raz pierwszy. Wówczas ułożone ostrożnie, przykryte chrustem serce ogniska rozprysło się na wszystkie strony, a oni odbiegli w popłochu, chowając się gdzie popadnie, gdy na polanę spadł deszcz płonących patyków. Lecz teraz Falko lepiej kontrolował swój płomień. Potrafił nie tylko utworzyć kulę ognia, której nie powstydziliby się sam Aurelian, ale też kształtować swoją moc i dostrajać ją do różnych poziomów intensywności. Było tak, jakby Falko uczył się walczyć nową bronią lub grać na nowym instrumencie. Próbował pamiętać o tym, co powiedział mu Aurelian, zanim wyruszyli z Nieregularnymi.

Nie myśl zbyt wiele. Po prostu zaufaj instyktom, a ogień pójdzie ich śladem.

Falkowi brakowało pokrzepiającej obecności zgryźliwego przyjaciela. Pamiętał noc, gdy przyleciał na Sydianie do Moździerza, by przedstawić go Aurelianowi i Dwimervane. Aurelian był zdumiony i rozemocjonowany, ale Dwimervane robiła wrażenie spiętej i zmieszanej. Wiedziała o wszystkim, czego dowiedzieli się w czasie przywołania, ale usłyszeć o zbrodni to jedno, a doświadczyć jej to zupełnie co innego. Jej pamięć rasowa nie sięgnęła jeszcze wystarczająco daleko wstecz, by sama mogła ujrzeć zdradę magów.

Z pomocą Falka Sydian zdołał opanować swoje uczucia, lecz wkrótce Dwimervane również miała zacząć czernieć i nikt nie potrafił przewidzieć, jak zniesie rozpacz, nienawiść i szal. Niebieska smoczyca wciąż była nieco przytłumiona, gdy Falko przyszedł się pożegnać. Zetknął się z nią czołem, próbując poprawić jej nastrój.

– Nie martw się – powiedział mu Aurelian. – Nasza stara kłaczka jest z wiekiem coraz wrażliwsza, ale wciąż ma serce ze stali.

Falko był zaskoczony tym, z jakim trudem przychodzi mu pożegnanie. Zapamiętał sobie ostatnią radę, którą dał mu Aurelian:

– Wiele przeszedłeś w ciągu ostatnich miesięcy. Daj sobie trochę czasu na odpoczynek. Trzymaj się armii, oprzyj się pokusie, by lecieć przodem.

Falko pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Naucz się panować nad swoją mocą – mówił dalej Aurelian. – Ufaj Sydianowi. I nie trać wiary. Cokolwiek by się działo... nie trać wiary.

Falko pamiętał, że Symeon także wypowiedział dokładnie te słowa. Dawno temu, w innym życiu. Raptem tęsknota zawładnęła jego sercem. Był wdzięczny losowi za to, że nie posyła go na front samego, lecz

w towarzystwie przyjaciół. Przez obowiązki związane z dowodzeniem różnymi jednostkami rzadko jadali razem, a wieczory takie jak ten były rzadkością, więc robili, co w ich mocy, by należycie się nimi nacieszyć. Falko wziął do ręki miskę z potrawką i zaczął po prostu słuchać, jak przyjaciele wymieniają zaczepki i banalne komentarze, które jakimś sposobem tak zbliżały ich do siebie.

Siedzący z boku Alex podskoczył, gdy coś wpadło z pluskiem do jego miski i spryskało mu twarz gorącym sosem.

– Co to ma...! – wykrztusił, a potem wyłowił z miski małą szyszkę. Podniósł wzrok, by zobaczyć, skąd nadleciała.

Po drugiej stronie ogniska Huthgarl robił, co mógł, by nie wzbudzać podejrzeń. Szło mu nieźle do chwili, gdy Quirren nie wytrzymał i ryknął śmiechem, a wtedy sam wielki Beltańczyk zaczął chichotać jak mały chłopiec.

– Masz cęla, trzeba przyznać – powiedział Quirren, a Huthgarl wzruszył skromnie ramionami.

Dziecinne zachowanie, ale Falko nie mógł się nie uśmiechnąć. Obrażona mina Alexa tylko dołała oliwy do ognia.

– Bardzo śmieszne! A jakie dojrzałe! – wygłosił, a ponieważ był to Alex, zabrzmiało to jeszcze śmieszniej.

Malaki i Bryna dołączyli do chóralnego śmiechu. Falko też nie zdołał się powstrzymać. Dobrze było siedzieć tu z nimi. Odwrócił się od ognia i spojrzał między drzewa, gdzie na skalnym występie leżał Sydian.

Gdy wyruszyli z Furi, Falko starał się trzymać smoka z dala od armii, a Sydian zdawał się rozumieć, że mag bitewny potrzebuje towarzystwa przyjaciół, zwykle więc sam rozkładał się gdzieś na skraju obozu, by Falko mógł spędzić nieco czasu z Malakim, Bryną i innymi. Smok wciąż wystrzegał się innych ludzi, ale też był nimi wyraźnie zaintrygowany. A nawet zafascynowany ich różnorodnością. Często przyglądał się wnikliwie tym, którzy mieli dość odwagi, by się do niego zbliżyć. Zainteresowanie było obopólne.

Ale Sydian nie był jedynym interesującym zjawiskiem w okolicy. Żołnierze wodzili wzrokiem również za Rycerzem Karmazynowego Hełmu, przyglądając się czerwonemu znamieniu na jego twarzy. Nie kpili z niego, nie dokuczali mu. Zawsze patrzyli z szacunkiem i podziwem.

– Patrz, to on – słyszało się czasem nieudolnie skrywane szepty. – To ten, co zabił demona.

Najwyraźniej nikt nie przejmował się tym, że ostateczny cios zadał lord Cabal, a nie Malaki. Ale gapiom wystarczył najwidoczniej widok jego charakterystycznej twarzy, jakby widząc Malakiego tak blisko siebie, czuli, że jego chwała i odwaga spływa również na nich.

A Malaki czuł się po prostu zażenowany całą tą uwagą, ale nie mogło

być inaczej, skoro nieustannie zdradzało go znamię i czerwony znak, który widniał teraz również na jego hełmie.

Gdy pewnego dnia musztrował Nieregularnych w akademii, jego hełm w tajemniczych okolicznościach zniknął. Choć wywrócono baraki do góry nogami, nikomu nie udało się go odszukać. Dopiero następnego dnia pojawił się sam z siebie na kufrze przy łóżku Malakiego. Tylko że teraz jego lewa strona była pokryta lśniąca warstwą karmazynowej emalii. Przy hełmie leżała złożona kartka ze słowami:

*Na rozkaz Jej Wysokości, by przypominał Jej poddanym, że nie ma rzeczy niemożliwych, gdy człowiek nosi w sercu siłę, honor i wiarę.*

*A. Missaglias*

Malaki nie miał więc innego wyjścia, jak tylko z pokorą nosić ciężar sławy. Nie było w końcu złą rzeczą, że Nieregularnym w drodze na front towarzyszyli bohater oraz mag bitewny ze swoim smokiem.

Z każdym dniem nasilało się uczucie zagrożenia, a mijające ich kolumny uchodźców przynosiły nowe opowieści o rozpaczach i śmierci. Niektórzy wspominali nawet o dziwnym demonie, który przedarł się przez szeregi sprzymierzonych armii pod Amboss. Na szczęście Nieregularni zetknęli się tylko z niewielkimi oddziałami Opętanych i zaledwie kilkoma bestiarumami, które wyłoniły się z zacienionych wyrw w materii świata. Falko za każdym razem przewidywał nadciągające niebezpieczeństwo, dzięki czemu zawsze udawało się zminimalizować straty, ale już sama świadomość czyhającego nieustannie zagrożenia sprawiła, że żołnierze siedzieli jak na szpilkach i rozglądali się nerwowo za każdym razem, gdy zatrzymywali się na odpoczynek.

– Zastanawiam się, ilu żołnierzy stracimy do rana – rzekł Quirren, gdy przygasły nastroje zebranych przy ognisku towarzyszy.

– Nie wiem – odpowiedział Malaki. – Ale nie dziwi mnie, że ich tracimy. Niektórzy z nich to jeszcze dzieci.

– Powiedział weteran niezliczonych wojen – rzuciła Bryna i trąciła go ramieniem, gdy siedzieli razem na skrzyni z zapasami.

– Oj, wiesz przecież, co mam na myśli – odrzekł, strzepując z dłoni miód zmieszany z ale, który małżonka niechcący wychlapała mu z kufła. – Wczoraj widziałem dwóch chłopców, najwyżej piętnastoletnich.

Wszyscy pokiwali głowami, otrzeźwieni myślą o tym, że takie dzieci muszą mierzyć się z koszmarem wojny.

– Tylko że to nie młodzi dezercerują – zauważył Alex. – Tylko starzy,

którzy mają już pewne pojęcie o tym, ku czemu maszerujemy.

To również była prawda. Co noc kilku żołnierzy uciekało przez stale narastające poczucie przerażenia. Rozpływali się w ciemności, by przed wschodem słońca wmieszać się w sunący drogami w przeciwnym kierunku nieprzerwany strumień uchodźców.

– Nie uciekł jeszcze ani jeden Urwipołec – pochwaliła swoich łuczników Bryna. – Właściwie to ich liczba stale się zwiększa. Nie ma dnia, by nie wstępowali do nas nowi strzelcy.

Jakimś sposobem sława Urwipołociów sięgnęła do najdalszych zakątków królestwa i wielu błędzących po dziczy łowców, czyli kłusowników, chętnie porzucało swój niepewny i niezbyt legalny fach, by dołączyć do słynnej królewskiej Piątej Kompanii Łuczników.

– Wedle jakich kryteriów oceniasz, czy ci nowi się nadają? – zaciekawiał się Quirren.

– Nie oceniam – odparła Bryna. – Pytam, czy mogę im ufać, a weryfikację pozostawiam Paddy'emu. Jeśli umieją nałożyć strzałę na cięciwę, już Paddy robi z nich łuczników, a jeśli nie umieją, idą pracować do kuchni polowej.

– I trzeba przyznać, że odwalają tam dobrą robotę – powiedział Alex, zbierając chlebem resztę potrawy. – Nawet jeśli to banda złodziei i kłusowników! – dodał, specjalnie podnosząc głos, by usłyszało ich kilku Urwipołociów, którzy przy sąsiednim ognisku przygotowywali gęsie pióra na pierzyska.

Bryna poderwała wzrok, czekając na ripostę. Alex był już całkiem znaną postacią w armii, a droczenie się z Urwipołociami było jego ulubionym zajęciem, któremu oddawał się w wolnych chwilach.

– Fred, lepiej sprawdź wnyki – odrzekł jeden z łuczników, nie odwracając głowy. – Chyba królik się złapał, bo słyszę jakieś pipczenie.

– Gdzie tam – żachnął się jego kamrat. – To jeden z tych wykwintnisiów po dobrej szkole.

– A tak! Ten o liczku gładkim jak u dziewczęcia.

– I takim samym tyłku, jak wieść niesie.

– Wal się, głąbie! – rzucili na koniec i rechocząc, zwycięsko wrócili do piór.

Kadeci zaśmiali się, a najserdeczniej Alex, uradowany docinkami.

– Nie wszyscy są przestępcami – śmiała się Bryna. – Niektórzy chcą tylko walczyć za królową.

Wesołość zgasła, jakby ktoś ścisnął palcami płomyk świecy. Wspomnienie o królowej przypomniało towarzyszącom o kolejnej niełatwej sprawie, która ciążyła im na sercach.

– Musi już być na granicy z Navarią – przerwał ciszę Malaki, gdy pochylili głowy w zamyśleniu.

Byli daleko od stolicy, kiedy dotarły do nich wieści o ekspedycji



królowej. Kadeci chcieli natychmiast zawracać, ale starsi dowódcy się na to nie zgodzili.

– Nie ma mowy – rzekł lanista Magnus. – Istnieje powód, dla którego nie powiadomiła nas o swojej decyzji, dopóki nie opuściliśmy miasta. I kolejny, dla którego wieści docierały do nas tak długo.

– Chciała mieć pewność, że nie zawrócimy – powiedziała Bryna.

– Dokładnie. – Lanista Magnus kiwnął głową. – Wiedziała, że potrzeba, by ją wesprzeć, byłaby zbyt wielka, a w rezultacie marszałek Breton zostałby pozbawiony posiłków.

– Ale żeby osobiście dowodziła armią... – urwał Alex.

– Jest głównodowodzącą – przypomniał mu lanista Magnus. – Wynika to nie tylko z jej stopnia, ale i walecznego serca.

– Wystawia się na niebezpieczeństwo – dodał Malaki.

– Ma za plecami swój legion oraz Aureliana Cruza – wyliczył na palcach dowódca. – A jest to człowiek, któremu osobiście wolałbym się nie narażać, zwłaszcza w złości.

Kadeci odpowiedzieli nerwowym śmiechem, łypiąc na Falka, który znał Aureliana najlepiej. Zgodził się, że Aurelian, choć już nie pierwszej młodości i pozbawiony ręki, wciąż był przeciwnikiem, z którym należało się liczyć.

Falko także czuł palącą potrzebę, by ruszyć królowej z pomocą. Na pewno z grzbietu smoka dostrzegłby ją szybciej niż armia, ale wiedział, że lanista Magnus ma rację. Królowa chciała, by ruszyli na front, a poza tym Falko czuł w kościach, że pomyłką byłoby zawrócić. Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale dręczyło go narastające poczucie zbliżającego się zagrożenia, na które musiał się przygotować.

Niezręczna cisza, która zaległa przy ognisku, wyraźniej od słów świadczyła o ich bezradności. Głowili się nad tym, co też może się teraz dzieć na południu.

– A ty jak myślisz? Czy królowa przekroczy navarską granicę bez pozwolenia? – spytał Quirren.

– To byłoby równoznaczne z wypowiedzeniem wojny – zauważył Huthgarl. Traktat łączący Clemoncé z Acheronem stanowił, iż żadne z królestw nie może wysłać wojsk do Navarii bez wyraźnej zgody drugiego. – Cokolwiek by się wydarzyło, minie sporo czasu, nim wieści do nas dotrą.

– To prawda – potwierdził Alex. – Nie ma sensu martwić się sprawami, na które nie mamy wpływu. – Zaskoczył towarzyszy tak filozoficznym podejściem. – Dobra, lepiej zobaczę, jak się mają Wygnańcy – rzekł, wstając, by obmyć miskę w beczce na deszczówkę. – Dziś w nocy mamy wartę nad rzeką. – Pożegnał się i ruszył ścieżką przez obóz.

– A ja muszę omówić kilka spraw z Urwipołciami – rzekła Bryna.

Malaki także chciał wstać, ale Quirren powstrzymał go gestem.

– Sprawdzimy konie z Huthgarlem. Pij spokojnie.

Malaki podziękował mu machnięciem dłoni i łyknął miodowego ale. Gdy poszli, przysiadł się bliżej do Falka. Niebo nad ich głowami wciąż było niebieskie, ale w dolinie już kładły się pierwsze cienie, z którymi zlewał się Sydian, leżący pod drzewami nieopodal.

– Myślisz, że królowa przekroczy navarską granicę? – spytał.

– Oczywiście, że tak. Na pewno nie będzie siedzieć i czekać, aż Navaria upadnie.

Malaki zgodził się skinieniem.

– A ty? Wciąż uważasz, że trzeba ją odszukać?

– Sam już nie wiem. Mam wrażenie, że dwie siły ciągną mnie w dwie różne strony.

– Aurelian radził ci nieco odpocząć. Dodam, że dobrze by było, byś z nami został. Te partyzanckie napaści Opętanych zebrałyby większe żniwo, gdyby cię tu nie było.

Falko wzruszył ramionami.

– A poza tym – ciągnął Malaki – wkrótce będziemy na froncie i jestem pewien, że czeka tam już na ciebie przygotowana przez marszałka lista demonów do pokonania. – Falko prychnął ponurym śmiechem, ale troska nie odeszła z jego twarzy. – Sypiasz lepiej?

– Ty mi powiedz – odpowiedział Falko, a Malaki uśmiechnął się, słysząc zawstydenie w jego słowach. Wszyscy kadeci wiedzieli o conocnych zmaganiach Falka. Im bliżej frontu się przesuwali, tym koszmary się nasilały.

– Zeszłej nocy coś tam mamrotałeś pod nosem. – Malaki nie chciał, by Falko czuł się winny.

– Słyszałeś, co dokładnie mówiłem?

– Bez ładu i składu, obawiam się – odparł Malaki, przypominając sobie, jak obserwowali go w nocy z Bryną.

– Ale rozróżniłeś słowa? – indagował Falko, rażony złymi przeczuciami.

Malaki pokręcił głową, ewidentnie unikając odpowiedzi, ale Falko nie miał zamiaru odpuścić.

– To, co zwykle. „Nadchodzi ciemność. Ciemność na ziemi, ciemność w głębi, ciemność na wzgórzach”.

Mag bitewny czuł, jak niepokój wspina mu się po kręgosłupie.

– Na wzgórzach? – powtórzył. – Jesteś pewien, że mówiłem o ciemności na wzgórzach?

– Pewien nie jestem, ale tak mi się wydaje.

Falko pochylił głowę, namyślając się.

– Co to może znaczyć? – spytał Malaki.

– Nie wiem. Ale Symeon i Fossetta mówili, że gdy byłem młodszy,

mówiłem przez sen o trzech wzgórzach.

– To dobrze czy źle?

Falko pokręcił głową i wzruszył ramionami. Czasami pamiętał niektóre swoje sny z przerażającą dokładnością, inne zaś były przeplecione cieniem. Na pewno wiedział tylko tyle, że w rzeczy samej nadchodzi ciemność.

– Sam już nie wiem – rzekł w końcu. – Może sprawa się wyjaśni, gdy dotrzemy na front.

Od przywołania Falko doświadczał narastającego wrażenia lęku. Z początku myślał, że to naturalna konsekwencja zbliżania się do wroga, ale teraz wiedział już, że to nie do końca to. Wyczuwał armie Opętanych daleko na wschodzie, widział je oczyma duszy tak wyraźnie, jak widać czarne chmury na horyzoncie. Ale czuł też wokół siebie inne ogniska strachu i rozpacz. Jedno ciemniało na północy, w niedostępnych górach Illicji. Kolejne na południowym wschodzie, na odległym wybrzeżu Beltane. I trzecie – tak daleko na południu, że musiało znajdować się w Thraecji.

Opętani nie dotarli jeszcze w tamte strony, ale jedno było pewne – ciemność wisiała nad światem ludzi, a ci, którzy żyli w jej cieniu, kulili się ze strachu, przerażeni czymś o wiele gorszym niż sama śmierć.

Falko nie umiał dojść do ładu z wrażeniami i przeświadczeniami będącymi treścią jego koszmarów, a Malaki patrzył z troską, jak przyjaciel zmagał się z wątpliwościami i niepewnością. Wyszkolić człowieka w sztuce wojennej i magicznej to jedno, ale jak nauczyć go rozumienia skłębionych cieni i przewrotnego umysłu wroga?

Malaki przysunął się i ścisnął silną ręką kark przyjaciele.

– Nie obwiniaj się tak – rzekł. – Pomyśl o tym, czego już udało ci się dokonać. Jestem pewien, że twój ojciec byłby...

Malaki nie umiał skończyć zdania, a Falko raptem się wyprostował. Wszelka niepewność zniknęła. Jego zielone oczy płonęły, gdy zwrócił je na wschód, gdzie rzeka toczyła swe wody ku Illicji.

– Co jest? – spytał Malaki, gdy obaj zerwali się na nogi. – Opętani? Bestiarum?

– Nie – odrzekł Falko. – Coś innego.

Wpatrując się pomiędzy drzewa, usłyszeli tętent koni. Z ciemności wychynęli dwaj jeźdźcy: jeden z patrolu obozowego, drugi zaś był jednym ze zwiadowców, którzy badali drogę przed armią.

– Co się dzieje? – spytał Malaki, gdy jeźdźcy zatrzymali konie na polanie.

– Mroczny anioł – wydyszał załęczniony zwiadowca.

– Gdzie?

Mężczyzna obrócił się w siodle i wskazał kierunek, z którego przyjechał.

– W dole rzeki. Pięć mil.

Jeśli mroczny anioł doniesie wrogowi o ich położeniu, ataki Opętanych znacznie się nasilą. Te skrzydlate kreatury były oczami i uszami nieprzyjaciela, a większość armii w żaden sposób nie mogła się przed nimi ustrzec. Tym razem jednak Nieregularnym towarzyszył ktoś, kto mógł przechwycić stworzenie w powietrzu i nie pozwolić mu na pomieszenie im szyków.

Malaki skinął głową i zwrócił się do przyjaciela, ale Falko już pędził.

## Ciemność odrodzona



Falko biegł między drzewami równolegle z Sydianem. Nałożył w biegu hełm, zanim wypadli jednocześnie na polanę. Falko wybił się z porośniętego mchem kamienia i wskoczył na smoczy grzbiet. Sydian zrobił jeden krok, drugi, a potem wystrzelił w powietrze, łamiąc gałązki rosnących na skraju przejaśnienia drzew.

Gdy znaleźli się ponad poszyciem lasu, Falko sięgnął w dal myślą, ale nie mógł jeszcze wyłapać charakterystycznej aury stwora. Mroczny anioł był pomniejszym demonem, nie wydzielał więc takiej samej mocy jak jego potężniejsi pobratymcy, lecz Falko zdoła go wyczuć, gdy tylko się zbliży.

Wznieśli się w mroczniejsze niebo i poszybowali na wschód, po linii turkusowej rzeki. Ściany kanionu rozmazywały się w pędzie, po lewej i prawej stronie przemykały niewyraźne plamy białej skały, zielonych paproci i karłowatych górskich sosen. Powietrze było zimne i przejrzyste, widok z rzadka tylko przysłaśniały przeźrocyste całuny wieczornej mgły.

Wiatr świszczwał, rozdzierany ostrymi kątami pancerza Falka; syczał, prześlizgując się po łuskach Sydiana. Przez szczelinę hełmu Falko skanował niebo wzrokiem, szukając skrzydlatej sylwetki potwora o nietoperzych skrzydłach i demonicznym ciele wyniszczonego człowieka. Przez dwie pierwsze mile nie widział nic, a potem nagle wyczuł wiszący w powietrzu cień. Kilka mil dalej i o wiele wyżej – kilkaset stóp ponad wierzchołkami drzew porastających kanion.

Wiedząc, że wieczorne światło może zdradzić wrogowi ich położenie, Falko kazał Sydianowi obniżyć lot i skryć się w cieniu kanionu. Lecieli dalej. Falko czuł przeraźliwą intensywność spojrzenia Sydiana, badał je zmysłami, aż wreszcie zespolił się z nim i spojrzał na świat oczami smoka. Dziwnie się czuł, widząc rzeczy, które znajdowały się daleko

poza zasięgiem jego ludzkiego wzroku. Gdy poczuł, że kręci mu się w głowie, potrząsnął nią, ale zaczynał się już powoli przyzwyczajać do patrzenia smoczymi oczami. Gdy Sydian spostrzegł skrzydlatego potwora, Falko wycofał się i odszukał go własnym wzrokiem.



Mroczny anioł znajdował się w odległości pięciuset jardów, gdy Sydian wyskoczył z kryjówki i pomknął mu na spotkanie. Potwór spostrzegł smoka niemal natychmiast i zaraz rzucił się do ucieczki. Machnął skrzydłami i momentalnie rozwinął zatrważającą prędkość, ale ścigało go stworzenie o wiele większe i nieporównanie potężniejsze. W powietrzu nie miał najmniejszych szans na ucieczkę. Mógł żywić nadzieję na przetrwanie, gdyby opadł ku ziemi i usiłował zgubić pogoń w labiryncie mniejszych żlebów i rozpadlin, które łączyły główne, wyrzeźbione przez rzekę kaniony.

Na ich oczach mroczny anioł zwinął skrzydła i dał nura w jeden z takich żlebów. Falko był pewien, że dopadną go, zanim wleci w wąską szczelinę, lecz wówczas anioł skręcił ostro w prawo, skrzecząc przeszywająco. Z początku Falko pomyślał, że potwór daje w ten sposób upust nienawiści, lecz wtedy strzelił wzrokiem jeszcze bardziej na prawo i tam dostrzegł w półmroku jakiś ruch. W powietrzu wisiała

druga skrzydlata postać.

Drugi mroczny anioł.

Sydian wciąż leciał naprzód, ale jeśli puszcza się w pogoń za jednym, mogą zgubić drugiego. Falko automatycznie wyrzucił przed siebie obie ręce i nad głową Sydiana przemknęła ognista kula. Magiczny pocisk przeciął powietrze i rósł, aż pochłonął pierwszego anioła jakies sześćdziesiąt jardów przed nimi. W tym samym momencie Sydian odbił w prawo, gdy ich połączone umysły skupiły całą uwagę na drugim przeciwniku.

Dziki, nieziemski wrzask umierającego mrocznego anioła dobiegł już zza ich pleców. Membrany jego skrzydeł spłonęły, a on sam pomknął w dół. Potępieńcze wycie ucięło się w momencie, gdy stwór przebił się przez drzewa i płasnął o znajdujące się pod spodem skały.

Falko i Sydian całą uwagę poświęcili drugiemu aniołowi, który najwidoczniej za nic nie chciał podzielić losu pobratymca. On także leciał ku mniejszemu żlebowi w rozsypanej ścianie kanionu, lecz Falko wypuścił z rąk kolejną kulę płomieni. Stwór szarpnął się w bok, unikając kłębowiska ognia, które poleciało naprzód i zetknąwszy się ze ścianą wąwozu, spowodowało niewielką lawinę.

Sydian skorygował kurs, by lecieć w prostej linii za demonicznym zwiadowcą, który mknął przed siebie zygzakiem, spodziewając się kolejnych pocisków. Nie pomylił się. By zmniejszyć opór powietrza i zwiększyć jego szybkość, Falko uformował uformował zbity, wydłużony grom magicznej energii. Przez chwilę wyglądało na to, że trafi nim mrocznego anioła, ale ten w ostatniej chwili odskoczył w lewo i pocisk tylko naznaczył błonę jego skrzydeł dziurą wielkości pięści.

Okaleczony stwór niemal dotarł do wlotu żlebu, ale Sydian już siedział mu na karku. Falko zebrał się do kolejnego ataku, lecz raptem chwycił się siodła, gdy smok wystrzelił naprzód, niespodziewanie zwiększając prędkość. Mroczny anioł usiłował zapikować, czując, że prawie znalazł się w zasięgu wroga, ale Sydian sięgnął naprzód prawą łapą i pochwycił stwora w szpony. Anioł zaskrzeczał sykliwie, ale zaraz umilkł, gdy Sydian złamał mu kark ściśnięciem łapy i odrzucił precz jego zwiotczałe ciało.

Falko odczuł ulgę, zakończywszy starcie, lecz radość pierzchła, gdy uprzytomnił sobie, że zaraz rozbiją się o skały. Sydian leciał zbyt szybko, a białe ściany wąwozu były zbyt blisko. Falko zamknął oczy i przygotował się na kolizję, lecz wtedy nagle szarpnięcie Sydiana wydusiło mu powietrze z płuc, a impet wgniółł go w grzbiet smoka, gdy ten rozłożył skrzydła na pełną szerokość.

Smok wyhamował tak raptownie, że Falko nieomal zemdłał, a jednak trzymał się mocno, gdy smok uderzył o pionową skałę. Smocze pazury wbiły się w kruchą ścianę wąwozu i Falko był pewien, że obaj zaraz

spadną, ale smok momentalnie odepchnął się od skały i raptem znowu znaleźli się w powietrzu.

Falko z ulgą powitał na swojej twarzy zimny wiatr. Skórę miał pokrytą warstwą potu. Zaczerpnął głęboko tchu, gdy jego umysł walczył o odzyskanie równowagi. Adrenalina, która napłynęła do krwi w czasie pościgu i w reakcji na zbliżającą się śmierć, sprawiła, że drżał na całym ciele. Z umysłu Sydiana napłynęła troska, więc Falko uspokoił smoka, dotykając dłonią jego szyi.

– Nic mi nie jest – rzekł i myśl odpłynęła. A w jej miejsce pojawiła się taktowna kpina. W wymianie treści nie pośredniczył język, lecz myśli Sydiana były dla Falka jasne. – Tak – odrzekł. – Chyba jestem tylko małym człowieczkiem.

Gdy myśli przewietrzyły się w jego głowie, sięgnął nimi w dal, by sprawdzić, czy nie kręcą się w okolicy jeszcze inni słudzy nieprzyjaciela. Aniołów nie było, ale skrzywił się, gdy wyczuł odległy cień na południowym wschodzie. Był zbiorem drobnych skupisk czarnej energii, jak zwykle w przypadku dużej liczby Opętanych, lecz nie ulegało wątpliwości, że na czele tej armii stoi jakiś demon. Czy to ten odmieniec, o którym nasłuchali się od uchodźców?

Będzie musiał bliżej przyjrzeć się tej sprawie. Sydian już zaczął skręcać w kierunku cienia, gdy raptem Falko wyczuł, że ktoś obserwuje go z dołu.

Smok zahamował ostro i zawisł w powietrzu, gdy wspólnie patrzyli w cień zalegający pod drzewami. Ciemność w głębi kanionu była smoliście czarna i nieprzenikniona, lecz definitywnie ktoś tam był. Powoli smok zaczął opadać, a gdy to robił, obawy Falka pierzchły. Ktokolwiek się im przyglądał, z całą pewnością był człowiekiem.

Opuszczali się coraz niżej, aż Sydian zahaczył skrzydłami o liście i gałązki, po czym wylądowali na dnie kanionu.

– Nie bój się – uspokoił owego kogoś Falko, gdy Sydian złożył skrzydła.

W cieniu poskręcane go dębu krył się kolejny zwiadowca. Po barwie jego nakrapianego płaszcza poznali, że nie jest z Nieregularnych. Wierzchowiec mężczyzny drżał ze strachu, ale nie wydawał dźwięku, tak jak go wytresowano. Człowiek usiłował go uspokoić, przyciskając głowę zwierzęcia do swojego ramienia.

– Już dobrze – powtórzył Falko, zeskakując z grzbietu Sydiana. – Jestem z królewskimi Nieregularnymi, idziemy do Amboss.

Strach nie chciał opuścić spojrzenia mężczyzny. Patrzył ponad ramieniem Falka na czarnego smoka. Mag bitewny obejrzał się za siebie.

– Nie martw się. To przyjaciel. Możesz ufać mu tak jak innym smokom.

Mężczyzna nie wydawał się szczególnie pokrzepiony, ale gdy Falko



zdział hełm, odetchnął z ulgą. W pancerzu Falko budził respekt i mężczyzna wyraźnie uspokoił się, widząc, że pod czarną stalą kryje się młody mężczyzna. Ogarnął wzrokiem ostre rysy jego twarzy, zielone oczy i długie ciemne włosy, a potem znów wczepił się spojrzeniem w Sydiana.

– Draconis noir – wymówił, a Falko uśmiechnął się, słysząc niedowierzanie w jego tonie.

Obcy pokiwał głową i wreszcie chyba dał się przekonać, że ten straszliwy wojownik i jego bestia nie przybyli tu, by go zabić. Wyrzucił powietrze z płuc, jakby pierwszy raz od wielu dni mógł wreszcie opuścić gardę.

– Soren Forestier – przedstawił się. – Zwiadowca z Ville de Pierre.

– Falko Danté z... – Pauza. – Z Furii.

– Valencjanin?

– Tak.

Zwiadowca spojrział bojaźliwie w niebo.

– Zabiłeś mroczne anioły?

Falko kiwnął głową. Nigdy nie słyszał jeszcze tak silnego akcentu z Clemoncé. Domyślił się, że mężczyzna nie przywykł do mówienia we wspólnym języku Furii.

– A ty co tu robisz?

– Czekalem, żeby sobie poleciały – wyjaśnił Soren. – Muszę donieść dowódcy, że na południu jest Geôlier.

– Geôlier? – nie rozumiał Falko.

– Znaczy... niewoliciel – wyklarował mężczyzna, tłumacząc słowo na wspólny język. – Pomniejszy książę wyposażony w łańcuchowy pas.

Falko pokiwał głową, gdy mężczyzna potwierdził jego własne domysły, choć skrzywił się, słysząc ten dziwny opis. Pierwszy raz słyszał o jakimś demonie z pasem łańcuchowym.

– Czy on podróżuje z wojskiem...? Czy dowodzi jakimiś oddziałami?

– Tak – rzekł Soren. – Ma na swoje usługi niewielką armię. Wszystkiego czterystu żołnierzy. Ale idą przez inną dolinę. Ich szlak wytycza Argenté Fleuve, Srebrna Rzeka. – Pokazał ruchem dłoni, że płynie ona równolegle do Tonnerre.

Falko zamyślił się. Raptem czterystu Opętanych, niezbyt wielki oddział, ale za to dowodzony przez demona, nawet jeśli jakiegoś nieznanego gatunku. Falko i Nieregularni z pewnością sobie z nim poradzą, ale to opóźni ich przybycie na front. Zresztą kto wie czy w ogóle jest jakaś droga łącząca obydwie kaniony. Omówi tę sprawę z lanistą Magnussem i innymi dowódcami. Zwrócił się do zwiadowcy.

– Nieregularni obozują kilka mil w górę rzeki – poinformował go. – Powiesz nam, jak dotrzeć do tego niewoliciela?

– Oczywiście, panie – odparł Soren.

Falko chciał coś odpowiedzieć, lecz raptem słowa ugrzęzły mu w ustach. Cień czarny jak noc przemknął przez jego duszę.

– Czy wszystko w porządku? – zaniepokoił się zwiadowca, widząc rozwarłe szeroko oczy rozmówcy.

– Tak – odrzekł mag bitewny, nie chcąc zdradzić się z przerażeniem. Uczucie zagrożenia zapłonęło niespodziewanie w jego umyśle, niczym dobiegające z daleka echo gromu, zwiastujące nadejście burzy. Odwróciwszy się od mężczyzny, nałożył hełm i wrócił do Sydiana. – Wróć do obozu. Uprzedzę Nieregularnych o twoim przybyciu – powiedział, dosiadając smoka. – Idź wzdłuż rzeki, a na pewno nas znajdziesz.

Soren pokiwał głową i złapał za wodze, gdy Sydian wzbił się w powietrze.

Wzlecieli wysoko nad dolinę, a Falko wypuścił myśli z głowy i rozesłał je we wszystkich kierunkach. Niebo przybrało barwę głębokiego granatu, gdy noc zagarnęła dla siebie wschodni masyw, a dno głębokich kanionów niknęło w nieprzejranej ciemności. Robiło się coraz zimniej i oczy Falka łzawiły, gdy szukał usilnie źródła swojego niepokoju.

– Nie jestem pewien... – odpowiedział na pytające myśli towarzysza. – Ale tak... Gdzieś daleko na północy.

Poprawił uścisk kolan i skierował Sydiana w kierunku obozu Nieregularnych.



Dwadzieścia mil na południowy zachód od Hoffen obszar spękanej skały poruszył się niczym tafla wulkanicznego stawu wypełnionego lawą. Powierzchnia wybrzuszyła się, gdy coś wynurzyło się z głębi: mroczny kształt budzący skojarzenie z piekielnym golemem. Gdy wzrósł na pełną wysokość, wyszedł ze stawu, a cień spowijał jego wygięte nogi o wielkich, jaśniejących od gorąca kopytach.

Demon przeciągnął się, a lawa spłynęła z jego ciała zakutego w ciemny pancerz, wyposażonego w masywne, obleczone skórą czarną jak węgiel ramiona, w których dzierżył dwa zakrzywione miecze.

Gdy skała pod jego kopytami zaczęła stygnąć, demon otworzył usta, a z jego gardła dobył się przeszywający syk. Piekielny żar wyparował z jego ciała i demon raz jeszcze stanął w świetle ludzi. Otworzył krwistoczerwone ślepia i utkwilił je w kierunku zachodnim. Tam, za murami ludzkiego miasta, odnalazł Przeciwnika oraz jego wyrma. Otaczali ich żołnierze, a mury były grube, lecz nic z tego nie miało

znaczenia. Demon zrówna miasto z ziemią, zabije tysiące ludzi, byle ich dopaść. Będzie się modlił przez całą noc, a ze wschodem słońca zginą.

Rozprostował ramiona, uniósł zakrzywione miecze i odchylił głowę, by posłać w noc mrozący krew w żyłach ryk, w którym brzmiało wyzwanie.



Siła demona uderzyła w umysł Falka z taką mocą, że nieomal spadł z grzbietu Sydiana. Zsunął się nieco w kierunku ogona, ale smok uniósł tył ciała i poruszył się, nie pozwalając mu wypaść z siodła. Rezonans piekielnego krzyku z wolna cichł, a gdy już opuścił myśli Falka, mag bitewny z bolesną jasnością zdał sobie z czegoś sprawę.

Pogromca wrócił.

Był tam, na północy. Falko czuł to w kościach. I czuł coś jeszcze – dotarł do niego posmak jego pragnień i intencji. Pogromca wybrał już cel, a apetyt na śmierć nie zmalował w czasie jego nieobecności. Piekielnik chciał zabić maga bitewnego i smoka, a oni nie mogli zrobić nic, by temu zapobiec.

Nagle zerwały się wszystkie włókna odpowiedzialności, które ciągnęły Falka w przeciwne strony – tarapaty, w jakich mogła znaleźć się królowa, armie na froncie, nawet zobowiązania wobec przyjaciół i Nieregularnych. Wszystko to zeszło na dalszy plan w obliczu silnej potrzeby powstrzymania Pogromcy. Gdy ostatnim razem demon kroczył po świecie, zabił dwóch magów bitewnych i smoka. Wciąż płacili i jeszcze długo będą płacić wysoką cenę za tak dotkliwą stratę. Nie mogli pozwolić sobie na to, by miecze piekielnika pozbawiły życia jeszcze jedną Wielką Duszę.

Ślepy na wszystko poza tą jedną rzeczą, Falko zwrócił Sydiana na północ. Demon był już blisko celu. Falko czuł jego rozjątrzoną niecierpliwość. Musieli lecieć daleko i jak najszybciej, a nawet wtedy mogli tylko żywić nadzieję, że dotrą na czas. Ani przez chwilę nie pomyślał o tym, że Malaki i reszta będą odchodzić od zmysłów, czekając na jego powrót. Wiedział tylko, że Pogromcę należy powstrzymać.

## Trudna rada



O północy dowódcy Nieregularnych uznali, że nie mogą czekać na Falka ani chwili dłużej. Minęły godziny, odkąd zwiadowca z Ville de Pierre odnalazł obóz i zwołano naprędce nadzwyczajną naradę. Mężczyzna powiedział dowódcom, że Falko pozabijał mroczne anioły. Powiedział im także o niewolicielu i niewielkim oddziale Opętanych, idących równoległym kanionem. Nieregularnym nie groziło ze strony tego demona żadne niebezpieczeństwo, ale zwiadowcy donieśli o grupie uchodźców, którzy także wędrowali tamtym szlakiem i których wkrótce dopadną Opętani.

– Musimy coś zrobić, pomóc im jakoś – powiedział Alex, ale lanista Magnus pokręcił głową.

– Bez Falka nie możemy rzucić wyzwania demonowi.

– Coś musiało się stać – rzekł Malaki. – Nie zniknąłby ot tak, nie mając dobrego powodu.

– Może poleciał obejrzeć tych Opętanych – podsunęła Bryna.

– Ale Soren mówi, że kierował się z powrotem do obozu – odparł Magnus.

– Może jest ranny? – zmartwił się jeden z dowódców, który dowodził armią kadetów w czasie kampanii treningowej.

– Nie sądzę, żeby coś mu się stało! – prychnął Alex. – Widzieliście konia, na którym ostatnio jeździ?

Wielu się uśmiechnęło, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że bardzo ich martwi to nagłe zniknięcie Falka.

– Musimy założyć, że przynajmniej przez jakiś czas nie będzie mógł wrócić – sprowadził wszystkich na ziemię lanista Magnus. – A to oznacza, że sami musimy zdecydować, co zrobić z tym niewolicielem i uchodźcami na jego trasie.

Zwiadowca z Ville de Pierre zaznaczył położenie demona na mapie,

widzieli więc, że jest już niebezpiecznie blisko kolumny uciekinierów. To byli Illicjanie – i illicyjscy kadeci rwali się do pomocy.

– Pójdą tędy – rzekł Quirren, wskazując dolinę utworzoną przez Les Argenté Fleuve, biegnącą równoległe do Tonnerre. – Rzeka nie rozwidla się ani nie skręca. Uchodźcy też nie mogą nigdzie skręcić, więc to tylko kwestia czasu, gdy demon ich dogoni.

– Nie możemy ryzykować spotkania z niewolicielem – powtórzył dobitniej lanista Magnus. – Nie bez Falka lub innego maga bitewnego.

Jak się okazało, starsi dowódcy słyszeli o demonach tego szczególnego gatunku. Przemierzały one Utracone Ziemie, szukając ofiar, które były szczególnie silne lub którymi władały szczególnie głębokie uczucia: potężnych wojowników, rodziców i dzieci, kochanków – każdego, kogo można by poddać doświadczeniu głębszego cierpienia. Nie zabijały i nie pętały ich, tylko brały żywcem i zamykały ich umęczone ciała w siatkach ze splecionych łańcuchów, które zawieszały sobie na pasie. A potem ciągnęły je za sobą niczym żywe rezerwuary mocy, za pomocą której mogły odnowić siły większego demona lub wykorzystać je do jakiegoś innego bluźnierczego celu Opętanych.

Myśl o pozostawieniu uciekinierów na pastwę takiego piekielnika była zbyt straszna, by dopuścić ją do głosu, ale nie mogli narażać na niebezpieczeństwo całej armii, by ocalić setkę cywilów.

– Zresztą o czym my mówimy? – włączył się lanista Deloix. – Aby znaleźć drogę łączącą dwie doliny, musielibyśmy cofnąć się trzydzieści mil.

– Są mniejsze dróżki – powiedział jeden ze zwiadowców Nieregularnych, a mężczyzna z Ville de Pierre pokiwał twierdząco głową. – Wąskie żleby. Trudno je znaleźć i schodzą tamtędy lawiny, ale gdy jest się ostrożnym, można nimi przejść. Jedna taka droga znajduje się zaledwie kilka mil w dół rzeki.

Magnus potoczył wzrokiem po pełnych nadziei twarzach kadetów. Wprawdzie dzielili z nim odpowiedzialność za dowodzenie armią, ale byli jeszcze zbyt młodzi, by zdawać sobie sprawę, ilu żołnierzy zginęło przez dobre chęci. Zerknął na lanistę Deloix, nim Malaki skierował pytanie do zwiadowców.

– Mówicie, że skalne ściany na tej drodze się osuwają, tak?

– Tak, panie.

– A więc można zawalić je specjalnie, jeśli się tylko postarać?

– Tak sądzę.

Malaki pokiwał głową, a Quirren uśmiechnął się, gdy odgadł, co chodziło mu po głowie.

– Moglibyśmy wysłać niewielki oddział ze zwiadowcą w charakterze przewodnika – powiedział Malaki. – Jeśli będzie to możliwe, moglibyśmy skierować uchodźców na bezpieczniejszy szlak i zawaliskiem oddzielić

ich od pogoni.

– Nie możemy zaryzykować, że demon zbliży się zanadto do naszej armii – odezwał się jeden ze starszych dowódców.

– Nic nie ryzykujemy – powiedział Malaki i choć sam był jeszcze młodzieńcem, nikt nie zwątpił w siłę jego twierdzenia. – Jeśli uchodźców nie da się uratować, zawalimy żleb i wrócimy.

Nie umknęło im, że Malaki powiedział „my”.

– Wygnańcy pomogą – rzekł Alex. – Wśród uciekinierów mogą być ludzie, których znają.

Malaki pokiwał głową.

– A Urwipolcie będą strzec wlotu żlebu – dodała Bryna. – Na wypadek gdyby jednak jakiś Opętany się przedarł.

Namiet dowódczy wypełniły szeptu aprobaty. Należało jeszcze dopracować szczegóły, ale zarys planu był klarowny. Wyślą zwiadowców, by wyszli naprzeciw uchodźcom i zaprowadzili ich do żlebu, który łączył ze sobą dwa kaniony. Tam będzie na nich czekała pewna grupa żołnierzy, która przeprowadzi ich bezpiecznie z jednego do drugiego. Nie dość duża, by walczyć z Opętanymi, ale dostatecznie liczna, by spowolnić awangardę wroga. Wreszcie Malaki skupił uwagę na jednym z adiutantów.

– Znajdź dowódcę inżynierów – polecił mu. – Każ mu znaleźć dwudziestu ludzi z doświadczeniem w kopalni lub kamieniołomie. Niech przyniosą młoty, kilofy i łomy. Niech stawią się za godzinę na wschodnim skraju obozu.

Młody chłopak skinął z zapałem głową i popędził wykonać polecenie, a dowódcy z wolna zaczęli się rozchodzić. Gdy Malaki zbierał się do wyjścia z namiotu, lanista Magnus złapał go za ramię.

– To ryzykowne zagranie – powiedział. – Czasem więcej siły wymaga rezygnacja z walki niż jej podjęcie.

– Nie możemy ich zostawić tylko dlatego, że nie ma z nami Falka – odparł Malaki. – Musimy spróbować.

– Tak – odrzekł lanista z ponurym wyrazem pooranej bliznami twarzy. – Tak trzeba.



Falko leciał na północ całą noc, zatrzymując się tylko po to, by pozwolić odpocząć Sydianowi lub by upewnić się co do kierunku. Czuł wyraźnie położenie demona jeszcze jakiś czas po rzuceniu wyzwania, lecz teraz ślad zanikł i Falko musiał mocno się skoncentrować, by orzec, w którym miejscu na świecie Pogromca się pojawił. Ale w miarę posuwania się

dalej na północ nabierał coraz większego przekonania, że demon wrócił dokładnie tam, gdzie Falko wraz z Nathalie i Ciel wypędził go z tego świata.

Odbili nieco na wschód i mknęli teraz prosto na illicyjskie miasto Hoffen. Falko zastanawiał się, czy może Nathalie wciąż tam jest i czy ona również wie o powrocie demona. A może sama przygotowuje się już na ponowne starcie z Pogromcą?

Falko nie sądził, by piekielnik osłabł w trakcie swojej nieobecności. Czy on sam jest dość silny, by go pokonać? Wiedział tylko tyle, że żaden mag bitewny, który będzie miał nieszczęście stanąć mu na drodze, nie powinien walczyć z nim w pojedynkę.

Gdy niebo na wschodzie zaczęło szarzeć, przywarł do grzbietu Sydiana i leciał dalej.



W mieście Hoffen ranny mag bitewny dzwignął się z łóżka i wyszedł, powłócząc nogą, na blankowane mury otaczające cytadelę. Za zasłoną chmur wstawało słońce. Zmrużył oczy, przysłaniając je obandażowaną dłonią. Lewą rękę wciąż miał na temblaku i z trudem podszedł do krawędzi muru, gdy z wieży za jego plecami wyłonił się uzdrowiciel.

– Panie! – wykrzyknął. – Główny lekarz zabronił ci obciążać nogę. A ja obiecałem, że dopilnuję, byś nie wstawał z łóżka.

Uzdrowiciel mówił prawdę, ale mag bitewny odpędził go gestem. Młody mężczyzna z miną naznaczoną troską udał się na poszukiwania kogoś, kto może zdoła przemówić krnąbrnemu pacjentowi do rozsądku, ale mag bitewny prawie nie usłyszał trzaśnięcia drzwiami. Pomimo leczniczej mikstury, którą go pojono, dręczyły go koszmarne sny. Teraz zaś, gdy wyszedł na blanki, uprzytomnił sobie, że te cienie pośród nocy, które w nich widział, to coś więcej niż tylko sen. Tam, w dziczy, rzeczywiście coś było.

Światło przesączyło się przez lukę w chmurach i opromieniło bladą twarz mężczyzny. Znowu przysłonił oczy dłonią, krzywiąc się z bólu, który raptem odezwał się w skroniach. Może uzdrowiciel słusznie suszył mu głowę? Może za wcześnie zerwał się z łóżka. Oparł się o ścianę i wydał z siebie przeciągłe westchnienie, a gdy ból ustąpił, mag bitewny mógł zerknąć w bok, gdzie smok o prążkowanych tygrysyich łuskach wyszedł właśnie z namiotu, przygotowanego specjalnie dla niego przez uzdrowicieli. Lewą przednią nogę stworzenie miało przywiązaną do ciała, musiało więc kuśtykać niezgrabnie, by wyjść na dziedziniec. Gdy podszedł bliżej, w jego spojrzeniu mag bitewny dostrzegł troskę.

– Sam nie wyglądasz lepiej – zaripostował, obejmując wzrokiem liczne rany na ciele towarzysza.

Podobnie jak on sam, smok wzbogacił się ostatnio o kilka nowych, łącznie z tą na lewej nodze, która uniemożliwiała mu normalne chodzenie. Jego skrzydła naznaczone były plamami oparzelin, a na piersi, w miejscu, gdzie znajdowały się mięśnie poruszające skrzydłami, widniało głębokie rozcięcie. Smok błysnął zębami i prychnął lekceważąco.

Na usta maga wypłynął ponury uśmiech. Sięgnął wzrokiem ponad mglistymi wrzosowiskami, starając się dostrzec to, co spędziło mu sen z powiek. Pokryte łuskami brwi zsunęły się na jaskrawopomarańczowe oczy, a z gardła smoka wydobył się basowy pomruk.

– Tak. Coś tam siedzi.

Mag bitewny nazywał się Lysander Müller i był trzydziestoczeroletnim mężczyzną z małego miasteczka w sercu Illicji. Minęło jedenaście lat, odkąd jego rodzinne strony zagarnęli Opętani. Jedenaście lat, odkąd jego rodzice i siostra zginęli w rozpacz, podczas gdy on kończył szkolenie w wieży magów w Vaidas.

Ból spowodowany tą stratą wciąż płonął w jego sercu, ale mag bitewny zawsze szukał pociechy, myśląc o wszystkich ludziach, których zdołał w tym czasie uratować. W zeszłym tygodniu, żeby daleko nie szukać, on i Feurig ukryli za bezpiecznymi murami Hoffen ośmiuset ludzi. Jak wiele innych prowincjonalnych miast i miasteczek, zostali odcięci od świata przez przemieszczające się szybko oddziały Opętanych.

Potrzebował dwunastu dni wypełnionych ciężkimi walkami, by wyprowadzić ich z Utraconych Ziem, ale wreszcie mu się udało. Jednakże walki odcisnęły na nim swoje piętno i potrzebował jeszcze nieco czasu, nim będzie mógł wrócić na front. Lysander martwił się o szkody, jakie zostaną wyrządzone w tym czasie w jego rejonie, ale Nathalie Saigal obiecała mu, że ona i Ciel będą go strzec, on zaś ma teraz odpoczywać i wracać do zdrowia. One również odniosły rany w wyniku ostatniej konfrontacji, ale doszły już do siebie i gdy smoczyca wylatywała z miasta, prawie nie dało się zauważyć uszkodzenia skrzydła.

To było cztery dni temu. Lysander wiedział, że Nathalie i Ciel ruszają w samo serce wojny i że będą skakać od bitwy do bitwy, powoli tracąc całą nagromadzoną w czasie rekonwalescencji siłę. Teraz to on musiał się podkurować, a to wymaga czasu. Frustracja była gorsza od bólu.

Dopóki nie dotarł do miasta, nie uświadamiał sobie, jak bliski był śmierci. Szpony demona otworzyły jego udo od kolana do krocza, a jego nadwątlone siły uniemożliwiły mu zatamowanie krwawienia magią. Gdy wtoczył się do Hoffen na czele kolumny na wpół oszalałych ze



strachu uciekinierów, tylko natychmiastowa pierwsza pomoc Nathalie oraz szybka interwencja uzdrowiciela pozwoliły mu utrzymać się przy życiu.

Teraz z lewą ręką było już o wiele lepiej, a rana na udzie pokryła się lśniącą tkanką. Również uszkodzona noga i poparzona pierś Feuriga zaczynały się zaleczać, choć Lysander nie miał wątpliwości, że minie jeszcze kilka tygodni, nim obaj będą mogli wrócić na front. Lecz teraz, gdy spoglądał ponad wrzosowiskiem, naszło go okropne wrażenie, że nim ten czas upłynie, wróg pofatyguje się do nich. Stojący u jego boku Feurig warknął.

– Nie wiem – odparł Lysander, gdy smok posłał mu pytające spojrzenie. – Nigdy się tak jeszcze nie czułem.

Wiedzieli, że gdzieś tam, wśród kłębow porannej mgły, siedzi demon. Zwykle sługusy wroga unikały konfrontacji z magiem bitewnym, ale ten zdawał się podchodzić coraz bliżej. Lysander przymknął powieki, gdy przypomniał sobie zabójcę, o którym opowiadała Nathalie.

Z zamyślenia wyrwało go skrzypienie drzwi. Obrócił się i zobaczył, że na mury wychodzi dziarskim krokiem stary lekarz. Młody uzdrowiciel został w holu.

– Czy ja mówię niewyraźnie? – rzucił od wejścia siwy mężczyzna o surowej twarzy i bystrym spojrzeniu. – Jak ta noga ma się zagoić, jeśli...

Lekarz był rozeźlony, ale jego przemowa urwała się, gdy na zewnątrz rozbrzmiał potężny ryk.

Lysander wrócił spojrzeniem na wrzosowisko za murami. Nie potrzebował smoczego wzroku, by dostrzec mroczny kształt wynurzający się z mgły niespełna pół mili od bramy. Ściągnął brwi i westchnął ciężko, gdy rozpoznał w nim piekielnika z opowieści Nathalie.

– Moja zbroja. Szybko.

– Co takiego? – zawołał lekarz. – Twoja zbroja jest jeszcze w naprawie, a twoje rany ledwo się zamknęły. Nie możesz walczyć w tym stanie!

Przerażenie zmieniło głos ordynatora w drżący pisk. Lysander widział, jak młodzieniec na korytarzu cofnął się pod przeciwległą ścianę. Gdy poranna mgła podniosła się z ziemi, na miasto spadł obezwładniający strach. Rozdzwoniły się dzwony we wszystkich strażnicach. Ich zadaniem było postawić obywateli w stan gotowości bojowej, ale Lysander Müller czuł potęgę demona i w jego uszach brzmiały one jak zwiastowanie zguby.



Pogromca wziął głęboki wdech, gdy jego wyzwanie przetoczyło się ponad miastem. Był już tak blisko, że widział Przeciwnika i wyrma stojących na murach. Pogromca dostrzegł, że są ciężko ranni, i poczuł rozczarowanie na myśl, że ich niedyspozycja zmniejszy satysfakcję ze zwycięstwa. Lecz wówczas jego uszu dobiegły miejskie dzwony, a potem usłyszał wrzaski paniki i przerażenia. Walka z Przeciwnikiem i wyrmem nie zaspokoi jego żądz, ale Pogromca znajdzie pocieszenie w dwunastu tysiącach dusz, które czekały na niego za murami. Już pierwszego dnia po powrocie do tego niewydarzonego świata czeka go z dawna wyczekiwana nagroda.



Sydian sunął nisko ponad mglistymi wrzosowiskami. W oddali Falko widział już zarys miasta. Zarówno mag bitewny, jak i smok byli wykończeni po długiej podróży, ale ani myśleli teraz odpoczywać. Czuli rosnące gdzieś przed nimi napięcie, strach ogarniający miasto i sadystyczne zniecierpliwienie Pogromcy. Nagle poranną ciszę rozdarł odległy ryk, który zdawał się wieszczyc upadek Hoffen i śmierć dwóch Wielkich Dusz.

## Mina



Malaki wraz z członkami ekspedycji ratunkowej nie zaznali snu tej nocy. Odłączyli się od armii wkrótce po naradzie i wędrowali w ciemności, okutani w koce. O wschodzie słońca zajęli ustalone pozycje. Pokonanie wąskiego żlebu zajęło im kilka godzin. Dwóch kolejnych potrzebowali kamieniarze i górnicy, by ukruszyć skały klifów i przygotować się do wywołania kontrolowanej lawiny. Zwiadowcy nie kłamali, gdy mówili, że ściany kanionu są niestabilne. Robotnicy kilka razy musieli przerwać pracę, by skryć się przed obluzowanymi skałami i ziemią, które sypały się w głąb żlebu.

– Jak oni znaleźli tę ścieżkę? – wyszeptał Alex.

– Przecież to zwiadowcy – odparła Bryna. – Im więcej ścieżek znają, tym lepiej dla nich.

W dwa zdania ustalono, że zamiast czekać na wroga przy wlocie do żlebu, Bryna wprowadzi swój mały oddział do środka. Inny zwiadowca powiadomił dowódców, że zna dróżki wiodące na klif, skąd łucznicy mogliby prowadzić swobodny ostrzał, nie narażając się jednocześnie na kontratak przeciwnika. Tak więc Bryna i Urwipółcie wspięli się wysoko na skały, by stamtąd osłaniać odwrót uciekinierów.

Brygada ratunkowa liczyła niespełna setkę żołnierzy. Malaki, Quirren i Huthgarl dowodzili dwudziestoma piechocińcami w ciężkich zbrojach. Alex stał na czele niewielkiej kompanii Wygnańców, a Bryna miała swoich Urwipółciów. Resztę grupy stanowili krępi mężczyźni o zrogowaciałych dłoniach, dźwigający liny, czekany i inne narzędzia. Wydawali się zdenerwowani, ale i zdecydowani, wiedzieli bowiem, że od ich umiejętności zależy ludzkie życie.

I teraz, gdy niebo nad kanionem zaczęło się rozjaśniać, stali już na swoich stanowiskach, gotowi wkroczyć do akcji.

Żleb łączył się z głównym kanionem w szerszym jego punkcie,

przeciętym po przekątnej płytkim dopływem, który meandrował przez porośnięty krzakami las poznaczony gołymi skalnymi występami. Obie strony kanionu gęsto porastały wrzosa, paprocie i brzozy, za nimi zaś kryło się wejście do żlebu. Musieli tylko wprowadzić do niego uchodźców i umknąć przed przybyciem Opętanych. Jeśli dopisze im szczęście, wróg przeoczy skalny korytarz, ale w razie potrzeby robotnicy byli gotowi zablokować go lawiną.

Malaki zerknął tam, gdzie Wygnańcy Alexa kryli się za skałami. Ich czarne oponcze zlewały się z głębokim cieniem, a ponura gromada wojaków była milcząca z natury.

Następnie poderwał wzrok i skupił go na poszarpanej linii klifu. Nie widział Urwipolców, ale wiedział, że są na pozycji. Cieszył się, że przynajmniej oni są względnie bezpieczni, choć nie zazdrościł im kilkugodzinnego trawersowania tych przerośniętych skał, które roily się od pęknięć i szczelin.

– Sza!

Jego uwagę przykuł cichy dźwięk. Łypnął na Quirrena, który pokazał palcem otwartą przestrzeń, gdzie płytką rzeką jechał w ich kierunku zwiadowca.

– Co on taki spięty? – spytał Quirren, a Malaki wzruszył ramionami.

Mężczyzna nieustannie obracał się w siodle, by rzucić okiem przez ramię. Gdy się zbliżył, Malaki wyłonił się z kryjówki i gwizdnął krótko. Zwiadowca natychmiast go zauważył i popędził konia.

– Jakie wieści?

– Uciekinierzy są już niedaleko, panie. Ale wróg zaraz za nimi.

– Czy zostali zauważeni? Czy Opętani ich gonią?

– Nie gonią. Ale nie minie wiele czasu, nim ich zauważą.

– Czy zdołają dotrzeć tu przed nieprzyjacielem?

– Tak sądzę. Spieszą się, ale są z nimi dzieci, które ledwo nadążają.

Malaki zagryzł wargę.

– Wracaj do nich – polecił. – Jak najszybciej przyprowadź ich tutaj, a może uda się uciec przed przybyciem Opętanych.

Zwiadowca skinął poważnie głową i pognął konia z powrotem do wąwozu.

– Na dwoje babka wróżyła – mruknął Huthgarl, odprowadziwszy go wzrokiem.

Malaki pokiwał głową z namysłem. Zwróciwszy się ku żlebowi, skonstatował z ulgą, że wlot jest prawie niewidoczny, dobrze ukryty przez zarośla i załomek skał. Jeśli nie zostawią po sobie śladów, powinno im się udać.

Minuty ciągnęły się jak godziny, a napięcie sięgało zenitu. Aż wreszcie usłyszeli odgłos nadchodzących ludzi. Kroki, płacz dziecka, kasłanie, które niosły się echem między skałami.

– Idą – powiedział Quirren, gdy pierwsi uciekinierzy wychynęli zza rogu kanionu.

Odrzucili ostrożność i wyszli z ukrycia, by gestem przywołać do siebie ludzi.

– Chodźcie! – syknął Malaki. – Tędy!

Tamci spostrzegli ich i rzucili się naprzód, w kierunku żlebu, który obiecywał bezpieczeństwo.

– Ilu ich jest... – sapnął Alex, który stanął obok przyjaciół.

– Gdzie ten zwiadowca? – zaniepokoił się Huthgarl.

– Pewnie ma oko na Opętanych – odrzekł Malaki.

– Gwiazdy na niebie, mają ikrę ci zwiadowcy – powiedział Quirren, a reszta pokiwała z uznaniem głowami.

Stanąc przeciw Opętanym u boku innych żołnierzy to zupełnie co innego, niż samotnie przemierzać dzicz, śledzić wroga i zbierać informacje, jednocześnie unikając odkrycia i schwytania.

– Alex – odezwał się Malaki, gdy zbliżała się do nich pierwsza uciekinierka – każ Wygnańcom przeprowadzać ich przez żleb małymi grupami. – Alex kiwnął głową i ruszył wykonać polecenie. – Uspokój ich, ale każ przyspieszyć kroku.

– Gorąca zupa i ciepłe koce. – Alex się uśmiechnął.

– Dokładnie.

Quirren spojrział na brata z tkliwością, gdy ten podszedł do nadbiegającej kobiety.

– Grüße madam – przywitał się Alex. – Dies weise für die heiße suppe und warme decken.

Emocje odznaczyły się na jej twarzy, gdy dotarły do niej słowa powitania w ojczystym języku. Ujęła rękę młodego dowódcy i ucałowała ją serdecznie, poganiając gromadkę dzieci i każąc im biec za tym żołnierzem w lśniącej zbroi i czarnej opończy. Alex dał znak i Wygnańcy wyszli z ukrycia, by zaprowadzić swoich rodaków do skalnego korytarza. Przemawiali do nich spokojnym tonem, opierając się na potrzebie wypytania przybyszów o to, skąd dokładnie przyszli i kogo znają. Na to przyjdzie czas, gdy zagrożenie zostanie zażegnane.

Ludzie napływali, ale Malaki zauważył, że kolumna jest nadmiernie rozciągnięta i że najstarsi i najmłodszy wiekiem zamykają pochód. Gdy widać już było koniec strumienia uciekinierów, w kanionie rozbrzmiał tętent i nagle zza załomu wypadł szybko zwiadowca. Nie krzyczał, w ogóle nic nie powiedział, ale wiadomość łatwo było wyczytać z jego napiętej miny i nerwowego machania rękami.

Nadchodzili Opętani.

Pojawienie się zwiadowcy wzbudziło panikę wśród uchodźców, niektórzy natychmiast zaczęli szukać kryjówek.

– Nie! – wyszczał Malaki. – Tutaj, tędy! Prędko!

Nie zważając na rozpętujący się chaos, pozostali Wygnańcy wpadli do kanionu po ostatnich uciekinierów. Nie było już czasu na uprzejmość, mężczyźni prośbą i groźbą zaczęli gnać ludzi naprzód, wlec ich za sobą i popychać, byle szybciej, byle zagnać jak najwięcej osób do żlebu.

Malaki zaklął, gdy z tłumu podniosły się okrzyki przerażenia. Złapał za uzdę konia zwiadowcy, gdy ten wyhamował ze wślizgiem.

– Daleko?

– Już tu są! – odrzekł mężczyzna. Malaki sam czuł odkładający się ciężarem na duszy strach, którego źródłem mógł być tylko zbliżający się demon.

Miał świadomość, że jego umysł spowija chmura przerażenia, lecz nie po raz pierwszy napotkał na swojej drodze demona i zaczerpnął nieco odwagi z doświadczenia. Miał misję do wykonania. Widział, że Wygnańcy myśleli podobnie. Tylko ich spokój pozwolił im jakoś opanować sytuację.

Gdy wreszcie ostatni uchodźcy ruszyli ścieżką przez żleb, Malaki usłyszał, jak Wygnańcy uciszają tłum. Inni zamiatali ziemię gałęziami, usiłując zamazać ślady stóp i kopyt.

Zgiełk umilkł i zaległa cisza, w której słychać było tylko cichy szmer strumienia. Malaki i Quirren jako ostatni zaczęli szukać schronienia. Stali jeszcze na otwartym terenie, gdy z kanionu poniosło się w ich kierunku dzwoniące pancerza i kroki.

– Czas na nas – zarządził Quirren, a Malaki przystał skwapliwie.

Przerzucili tarcze przez plecy i pomknęli w kierunku wlotu. Lada moment Opętani wychyną zza załamku skały, niespełna dwieście jardów w dół rzeki. Gdy dotarli do drzew, ciszę rozdarł rozpaczliwy krzyk:

– Mina!

Ze żlebu wyszła kobieta, a wraz z nią próbujący ją powstrzymać jeden z Wygnańców.

– Mina! – krzyknęła ponownie.

– Cicho, siostrze! – syknął mężczyzna z jednostki Alexa. – Wszyscy już przeszli. Znajdziemy ją w żlebie.

Ale kobieta nie dała się uspokoić. Strąciła z siebie jego rękę i pobiegła w stronę otwartego kanionu, gdzie zatrzymał ją Malaki.

– Moja córka! – płakała. – Była z innymi dziećmi. Myślałam, że szły przed nami, ale nie ma ich na czele!

Malakiego zmroziło, gdy dotarło do niego, że dzieci musiały zostać w kanionie. Odgłos nadchodzących Opętanych stale narastał, nie było więc czasu, by ich szukać. Razem z Quirrenem rozejrzeli się naokoło, starając się przeniknąć wzrokiem cień pod drzewami po drugiej stronie. Na chwilę wszystko zastygło w bezruchu, a potem...

– Tam! – wskazał Quirren i rzeczywiście pomiędzy drzew patrzyły

na nich skryte w półcieniu twarzyczki.

– Mina! – zawołała kobieta, wrywając się Malakiemu.

Opętani musieli być już bardzo blisko, bo klekot zbroi i nieregularny rytm kroków wypełniały hałasem cały kanion, a demoniczne przerażenie za nic nie dało się ignorować. Nie było czasu na nic poza ucieczką.

– Quirren! Nie!

Gdy Malaki ciągnął kobietę z powrotem do żlebu, Quirren puścił się biegiem w przeciwnym kierunku. Choć miał na sobie zbroję, błyskawicznie przeciął dno kanionu i wpadł między drzewa po drugiej stronie w tym samym momencie, gdy pierwsi Opętani pojawili się za zakolem rzeki.

Kryjąc się w krzakach u wlotu do żlebu, Malaki unieruchomił szamoczącą się kobietę. Widział, jak Quirren zagania dzieci głębiej w cień u podstawy klifu. Gdy hałas nadciągającej armii rozlał się po kanionie, Malaki wycofał się do żlebu. Twarze otaczających go Wygnańców i uchodźców były białe z przerażenia. Huthgarl nałożył hełm i dobył miecza.

– Trzeba ich ratować!

– Nie możemy! – wysyczał Malaki.

Przez moment wielki Beltańczyk po prostu stał jak wryty, patrząc na Malakiego, jakby to on był wrogiem. Ludzie skakali wzrokiem między nimi. Rozpaczliwie pragnęli pomóc dzieciom, lecz szok krępował ich ruchy, podobnie jak zaciskające się na ich sercach szpony przerażenia. Nagle ze skalnego korytarza wypadł Alex, rozpychając stłoczonych na szlaku uciekinierów. Jego twarz była maską z kamienia. Chwycił za miecz i zrobił krok naprzód, ale Huthgarl oplótł go ramionami i osadził w miejscu.

– Przepraszam. – Głos Huthgarla łamał się. – Malaki ma rację. Nic nie możemy zrobić.

– Przecież to Quirren! – warczał Alex. Szarpał się i wił w uścisku potężnych ramion, ale nigdy nie zdołałby się z nich wyplątać. Oklapł, wsparty na Huthgarlu, z twarzą wciśniętą w zimną stal jego pancerza.

– Idźcie! – rozkazał Malaki i tłum powoli ruszył.

Prawda o tym, co się stało, oświeciła ich jak okrutne słońce, gdy z sercami wypełnionymi rozpaczą zaczęli iść wąskim żlebem. Alex potykał się na drodze przed Huthgarlem. Jego twarz była biała i wykrzywiona grymasem niedowierzania. Kobieta w ramionach Malakiego zwiotczała i wstrząsał nią niepowstrzymany szloch. Malaki czuł się jak największy okrutnik na świecie, gdy włókł ją za sobą w obłokach kurzu.

– Przepraszam – powtarzał w kółko. – Przepraszam.

Za plecami słyszeli, że Opętani zbliżają się do wejścia do żlebu. Hałas

cichł jednak z każdym zakrętem i zakolem, wyglądało więc na to, że wróg przeoczył boczny korytarz. Lecz wówczas za plecami Malakiego pojawiła się jakaś postać. Przez krótką chwilę wojownik myślał, że to może być Quirren. Ale nie. Do korytarza wszedł obdarty do połowy z ciała żywy trup w pancerzu skiryty.

– Huthgarl! – krzyknął Malaki, gdy Opętany rzucił się w ich stronę.

Malaki pchnął przed siebie kobietę i sięgnął po miecz, jednocześnie zrzucając tarczę z pleców, lecz wtedy potknął się o stos luźnych kamieni i stracił grunt pod nogami. Opętani obleźli go jak muchy, jak jeden mąż zamachnęli się ostrymi kopisami. Malaki zasłonił się ręką, ale zaraz przyskoczył do niego Huthgarl. Ramieniem odepchnął jednego z napastników, który uderzył mocno o skałę, a potem zginął, gdy miecz rycerza rozłupał jego napierśnik.

Opętani wbiegali do żlebu. Oszczepy o stalowych grotach odbijały się od skał, gdy w tłumie nacierających błysnęli peltaści. Lekkozbrojnych żołnierzy charakteryzowała szybkość; za nimi sunęła już ławą zbita gromada skirytów.

Malaki zerwał się na nogi, gdy obok niego przebiegło kilku Wygnańców. Żleb rozszerzał się i zwężał. Czasem pięciu ludzi mogło iść ramię w ramię, innym razem sam Huthgarl korkował drogę. W miejscach takich jak to walczyło się w zwarciu, Wygnańcy obrócili się więc, zagrodzili przejście murem tarcz nakładających się na siebie na podobieństw łusek i zza niego razili Opętanych ciosami mieczy. Wróg spychał ich głębiej w skalny korytarz, ale Wygnańcy cofali się wolno, kupując cenne minuty umykającym uchodźcom oraz pozostałym żołnierzom.

W żlebie roilo się już od Opętanych, ale w takim ścisku nie byli w stanie wykorzystać swojej przewagi liczebnej. Przez jakiś czas wydawało się, że nie zdołają się przedrzeć, lecz wtedy plugawy strach zżerający umysły wojowników przybrał na sile i Malaki uprzytomnił sobie, że w przesmyku znalazł się również demon. Wygnańcy zaczęły spoglądać w kierunku wlotu, gdy strach uderzył w nich potężną falą. Bezwiednie poszukiwali możliwości ucieczki, a gdy przerażenie zaburzyło ich skupienie, załamali się pod ciosami Opętanych. Sztychy mieczy i grotki oszczepów zaczęły odnajdywać luki między tarczami. Malaki zobaczył, jak jeden z Wygnańców odpada od muru z włócznią wrażoną w podstawę szyi. Ale nie umarł jeszcze i krzyczał, upadając na ziemię, a potem zdeptali go Opętani, którzy bez ustanku napierali na tarcze, spychając je głębiej w gardziel żlebu.

– Mur się sypie! – zawołał Huthgarl, przekrzykując zgiełk bitwy, a Malaki wiedział, że mówi prawdę.

Zasłona tarcz rozpadnie się jak domek z kart, gdy przyjdzie demon, a wówczas żlebem popłynie rzeka krwi. Malaki poderwał wzrok na



poszarpaną linię klifu i zobaczył Urwipołciów gromiących wroga strzałami. Wykonywali swoją część roboty, ale wkrótce również i oni załamią się pod wpływem piekielnej trwogi. Na oczach Malakiego z tłumu Opętanych bliżej wlotu wystrzeliły kule czarnego ognia. Strumień połyskliwych szrapneli ukruszył skałę i dwa ciała spadły na ziemię w chmurze kamieni, ziemi i kęp trawy.

– Malaki! – ryknął Huthgarl.

– Jeszcze kawałek! – odkrzyknął rycerz.

Prawie już dotarli do punktu, gdzie czekali kamieniarze z lawiną. Jeśli wywołają ją za szybko, wszyscy zostaną przywaleni hałdą skały i ziemi lub odcięci od wyjścia ze żlebu i uwięzieni po niewłaściwej stronie zawałiska.

Wybrali punkt, gdzie nagie ściany nachylały się ku sobie. Oznaczyli go grubymi liniami, wyrysowanymi kredą i sadzą, ale w ogniu walki Malaki rozkojarzył się i ogarnęła go dezorientacja. Strach piętrzył się i wojownik z coraz większym trudem zbierał myśli.

– Malaki! – ryk Huthgarla przedarł się przez wrzawę, a Malaki usłyszał zmęczenie w jego głosie.

Za jego plecami uchodźcy biegli już na drugą stronę. Niektórzy spośród Wygnańców wmieszali się między nich i sami zaczęli uciekać. Jeśli wkrótce nie zatrzymają Opętanych, ci przetoczą się po nich, lecz Malaki nie widział nigdzie wyrysowanych na skale linii. Panika wrzeszczała w jego głowie, gdy rozglądał się dziko po skałach, próbując znaleźć jakieś znaki szczególnie w miejscu wyznaczonym do zasypania. Opętani zwietrzyli ich narastającą panikę, tak jak dzikie zwierzę wyczuwa krwawiącą ofiarę. Naparli mocniej, bardziej nieustępliwie, a w tym samym momencie Malaki zauważył po swojej prawej ręce stos kamieni w kształcie kowadła.

Minęli już punkt zrzucenia lawiny. W nagłym przypływie trwogi Malaki zadał sobie pytanie, czy kamieniarze wciąż są na pozycjach, czy nie ugięli się pod naporem lęku i nie opuścili stanowisk.

– Teraz! – zawołał. – Teraz!

Przez kilka sekund nic się nie działo i serce Malakiego na moment przestało bić, gdyż nasza go pewność, że już po wszystkim, że plan się nie powiodł. I wtedy wybrzmiał ogłuszający trzask. A potem świat zniknął w burzy duszącego pyłu i nieopisany huk zagłuszył tumult bitwy. Ziemia zatrzęsa się i wszędzie wokoło zaczęły spadać kamienie, odbijając się od zbroi i hełmów. Gdyby Wygnańcy nie mieli na sobie pancerzy, z pewnością wielu z nich by zginęło, ale skalna drobnica nie mogła przebić się przez zbroje. Żołnierze chwiali się i potykali, oszołomieni hukami, kaszleli i mrugali zaklejonymi pyłem oczami, gdy w ich twarze i do gardeł buchnęła chmura ziemi.

Z kłębiących się obłoków kurzu wynurzyli się Opętani, poobijani i ranni, ale wciąż złaknieni krwi. Oszołomieni i na poły oślepieni przez lawinę Wygnańcy bronili się jak umieli, ale nie byli w stanie walczyć z pełną skutecznością. Cudem odbili pierwszą szarżę skirytów. Lecz druga już nie nadeszła. Kolejni Ferocjanie nie wypadli z brązowej mgły, a gdy pył zaczął opadać, wyraźnie dało się zobaczyć, że żleb został zawalony. Wciąż czuli jątrzącą trwogę demona, ale jej efekty złagodziło dwadzieścia tysięcy ton skały.

W oszałamiającej ciszy, w której wciąż dźwięczały echa szczęku stali i krzyków, toczyły się i spadały ostatnie kamienie, a Malaki stał nieruchomo jak marmurowy posąg. Miał splątane, skołtunione włosy, jego oblicze tchnęło chorobliwą bladością, a przez osiadły na policzkach pył przedzierały się strumienie łez, nakrywając twarz śmiertelną maską.

Od męki i śmierci udało się ocalić ponad dwa tysiące uchodźców, oni sami stracili tylko garstkę żołnierzy. Balans zysków i strat przemawiał na ich korzyść, ale serce Malakiego było złamane. Nie potrafił teraz myśleć o ocalonych ludziach. Myślał tylko o tych, których porzucił na śmierć.



Gdy Opętani wychynęli zza załomu kanionu, Quirren gestem kazał dzieciom przywrzeć do ściany. Serce miotano się w jego piersi. Ręce drżały, gdy przyłożył palec do ust i nakazał ciszę.

– Czy nas znajdą?

Spojrzał na dziewczynkę, która nie mogła mieć więcej niż trzynaście lat. W głębokim cieniu drzew i krzewów ledwie widział pozostałą czwórkę, którą miał nadzieję ocalić. Tylko ich oczy błyszczały w mroku, niczym ślepie ukrytych przed drapieżnikami kociąt.

– Nie znajdą – zapewnił ją. – Nie znajdą nas.

Dziewczynka jedynie na niego patrzyła, a on wiedział, że mu nie wierzy. Nie tylko słyszeli przerażające odgłosy Opętanych, ale też czuli przytłaczający strach zbliżającego się demona. Jeden z młodszych chłopców był wyraźnie sparaliżowany lękiem. Stał, zeszywniały i drżący, gdy przerażenie wzmagano się i potęgniało, lecz później zaczęło się rozmywać, gdy demon skupił uwagę gdzie indziej.

Quirren zrobił krok naprzód, by przyjrzeć się sytuacji przez lukę w krzakach. Ujrzał potężną postać, mierzącą co najmniej dziewięć stóp wzrostu, o długich, muskularnych ramionach i popielatobiałej skórze. Przypominała człowieka, lecz była o wiele większa i okropniejsza niż ktokolwiek chodzący po świecie. Każdy jej paznokieć przypominał ostrze dłuta, a głowa budziła skojarzenie z łbami trolli o ciężkich

brwiach, które Quirren pamiętał z mitów i baśni opowiadanych mu w dzieciństwie. Czarne oczy były jak bezdenne doliny, w których zalegała wieczna noc, a do zapiętego na biodrach pasa przykuto długie, ciągnące się łańcuchy.

Quirren nie widział, co było do nich przytwierdzone, ale słyszał zduszony płacz cierpiących ludzi oraz szuranie jakichś ciężkich przedmiotów, które obijały się o nierówności terenu, gdy demon ciągnął je za sobą.

Był niewymownie wdzięczny losowi, że demon nie patrzył w jego kierunku. Jego wielka głowa zwrócona była bowiem w stronę żlebu i tam właśnie ruszył w ślad za Malakim i pozostałymi. Opętani również zdawali się zainteresowani wyłącznie przeciwległą ścianą kanionu i po raz pierwszy Quirren uwierzył, że może rzeczywiście nieprzyjaciel zostawi ich w spokoju.

Przez kilka minut wszyscy Opętani koncentrowali się na skalnym korytarzu i Quirren słyszał tylko odgłosy bitwy. Zgiełk z wolna oddalał się i rycerz zaczął się zastanawiać, czy brygada ratunkowa nie została rozgromiona, lecz po jakimś czasie kanionem wstrząsnął huk i z wylotu żlebu buchnęła gęsta chmura pyłu.

Quirren zacisnął zęby z radości, gdy uświadomił sobie, że przyjaciele zwalili wrogom na głowy lawinę, a żleb na pewno został zablokowany. Jednakże uczucie tryumfu szybko zastąpione zostało przez strach, bo to oznaczało przecież, że Quirren oraz dzieci również zostali odcięci od towarzyszy. Przez kilka uderzeń serca żywił nadzieję, że demona przygniotła lawina. Kto wie, może udało się przysypać go tonami skały? Lecz wtedy poczuł, że plugastwo przemieszcza się w ich stronę, ponownie napełniając im serca lękiem.

Gdy strach zaczął narastać, kilkoro dzieci rozplakało się. Wciąż istniała szansa, że nie zostaną odkryci, lecz Quirren zmienił pozycję i dojrzał przez gałązki krzewów, że odziany na czarno toksyta zwraca się w ich kierunku. Łucznik z opaską na oczach patrzył prosto na nich. Przekrzywił głowę na jedną stronę, jakby nie był pewny, co wyczuwa, a potem wypuścił z ust sykliwe warknięcie i nałożył na cięciwę strzałę o czarnym pierzysku.

Powoli wszyscy żołnierze Opętanych skierowali spojrzenia na ich kryjówkę i wtedy Quirren wiedział już, że są zgubieni. Obok niego stała dziewczynka, która wcześniej zadała mu pytanie. Quirren osadził na niej spojrzenie, rozpaczliwie próbując wypędzić z głowy obrazy tego, co miało się zaraz wydarzyć. Poczuł, że rośnie w nim panika, że narasta wraz z miazdzącym poczuciem beznadziei, lecz wtedy dziewczynka spuściła wzrok na sztylet u jego pasa.

– Uratujesz nas? – spytała, a Quirren mógł tylko zapłakać, widząc, jak jest odważna.

Ściśnięte gardło nie pozwoliło mu dobyć słowa, ale skinął głową, a dziewczynka odwróciła się, po czym cicho ustawiła dzieci w szeregu twarzą do klifu.

– Już dobrze – powiedziała do najmłodszego. – Rycerz Czarnego Orła nas uratuje.

Gdy dobył sztyletu, dziewczynka stanęła przed nim, a pod Quirrenem nieomal ugięły się kolana, gdy ujrzał dziecinną ufność w jej wielkich oczach.

– Jak ci na imię, siostrzyczko?

– Jestem Mina – odparła dziewczynka.

Quirren stanął przy niej i ucałował czubek jej głowy, a potem poczuł, jak jej ciałem wstrząsa trwożliwy szloch. Słyszał za sobą kroki zmierzających ku nim Opętanych i wiedział, po prostu wiedział, że nie wolno mu zawieść tych dzieci.

Serce Quirrena Klingemanna wyło z bólu, a z oczu lały się łzy, gdy jedno po drugim wysyłał dzieci do miejsca, gdzie Opętani nigdy ich nie znajdują. A potem dobył miecza, chwycił za tarczę i ruszył do walki.

## Hoffen



Okazało się, że nie było czasu, by przynieść Lysandrowi zbroję. Ledwie zdążył włożyć parę skórzanych spodni i wcisnąć stopy w opancerzone buty. Złapał za leżący na stole miecz po drugiej stronie pomieszczenia i utykając, opuścił komnatę, by jak najszybciej udać się na fortyfikacje wyglądające za główną bramę Hoffen. Tam spotkał się z majorem Dahlerem ze straży miejskiej, który zmrużył oczy na widok wielkiego Lysandra Müllera w nocnej koszuli.

Mag bitewny nie zważał na stan swojej garderoby i przyjął od jednego ze strażników trójkątną tarczę. Wsuwając ramię w paski, rzucił okiem na otwarty dziedziniec za bramą, gdzie czekał już na niego Feurig. Za nim kłębili się cywile, którzy nie wiedząc, co mają robić, popatrywali niepewnie na smoka o tygrysich łuskach, stojącego niczym strażnik przed wzmocnioną bramą.

– Trzeba zabrać stamtąd ludzi – powiedział Lysander, gdy coraz więcej żołnierzy obsadzało mury.

Major Dahler skłonił się krótko. Dwustu strzelców już stało w rzędzie na blankach z łukami w rękach i tłoczyło się na basztach po obu stronach bramy. Jednocześnie podobna liczba włóczników i piechurów zgromadziła się na dziedzińcu, oddzielając bramę od skupionych za ich plecami ludzi. I żołnierze, i cywile wciąż wpatrywali się w wielkiego smoka, ale na rozkaz majora Dahlera ci pierwsi zaczęli usuwać z placu tych drugich. Raptem zagrzmiął róg, obwieszczając, że wróg sposobi się do ataku.

Lysander był osłabiony i kręciło mu się w głowie. Zagryzł zęby i spojrział w dół z wysokości murów.

Za bramą brukowana droga schodziła po łagodnej pochyłości i odbijała zakrętem, niknąc w mgłę, która zalegała na wrzosowiskach. W miejscu, gdzie kryła się w mlecznym całunie równiny, kroczył ku

Hoffen demon, którego Nathalie nazwała Pogromcą.

Lysander oszacował, że musi mieć około ośmiu stóp wzrostu, był więc nieco mniejszy, niż mag bitewny przewidywał. Ale w żaden sposób nie umniejszało to aury zagrożenia, która była od niego, gdy szedł miarowym, zdecydowanym krokiem. Jego wygięte w tył nogi wyglądały, jakby wydzielał się z nich dym, a muskularne ciało okryte było pancerzem. W każdej ręce niósł wielki zakrzywiony miecz, a w płonących piekielnym światłem ślepiach jaśniało niezachwiane postanowienie. Potwór wiedział, że w mieście Hoffen nie ma nikogo, kto stanowiłby dla niego wyzwanie.

Pomimo ran i wycieńczenia Lysandra jego umysł zapalił się, gdy dotarło do niego, że demon lekce sobie waży jego i Feuriga. Mag bitewny i smok prawdopodobnie nie zdołaliby go pokonać, nawet będąc u szczytu sił, lecz zrobią, co w ich mocy, by nauczyć go pokory. Twarz Lysandra wyrażała determinację. Mag dobył miecza i rozćwiczył odrętwiały umysł, by zaraz roztoczyć nad żołnierzami barierę wiary, która obroni ich przed wzbudzonym przez demona lękiem. Stojący wokoło łucznicy majora Dahlera naciągnęli łuki, a mag bitewny nasycił każdy grot ładunkiem energetycznym.

Gdy demon podszedł bliżej, Dahler dał rozkaz do strzału i piekielnik pochylił się, gdy grad pocisków spadł na jego cielesną powłokę. Drzewce łamały się, ostre groty odbijały się od płyt zbroi, ale kilka nasyconych magią pocisków przebiło się przez nadwęgloną skórę demona. Ciemna krew zabulgotała i wylała się z sykiem z kilkunastu płytkich ran, a Lysander z satysfakcją spoglądał na skulonego przeciwnika.

Pierwszej krwi w tym starciu upuścili wojownicy Hoffen.

Pogromca wyczuł płynącą z murów falę zadowolenia. Jego ślepie zwęziły się wściekle, gdy wznowił marsz. Szedł coraz szybciej, nie zważając na ponownie uniesione do strzału łuki. Nie pozwolił im na drugą salwę. Machnął szeroko mieczem i chlusnął w ich kierunku płonącą siarką. Piekielny atak przemknął przez osłonę blanek i zabił kilkunastu obrońców. Reszta łuczników skryła się za murem, a tymczasem demon pobiegł naprzód, kilkoma długimi susami pokonując skarpe, i skierował się do zakrytego bramą tunelu prowadzącego na drugą stronę murów.

– Uwaga! – krzyknął Lysander, ale ledwie wybrzmiała ostatnia sylaba, fortyfikacje zadrżały od uderzenia Pogromcy.

Wrota Hoffen miały ponad stopę grubości i były porządnie okute żelazem. Demon wbił się w nie z impetem, wgniatając grube drewniane belki, które pokryły się siatką pęknięć, ale wrota wytrzymały pierwsze uderzenie.

Przerażający ryk odbił się echem od okolicznych budynków, gdy Pogromca, spodziewający się najwyraźniej, że wedrze się do miasta

pierwszym rzutem, dał wyraz swojej wściekłości. A potem rozpoczęła się właściwa część natarcia. Zwiększył temperaturę ciała i drewno pod jego dotykiem zaczęło dymić, zaś metalowe okucia rozgrzały się do czerwoności. Mieczami rąbał i siekł wrota, a wielkie drewniane fragmenty odrywały się i padały na bruk w chmurze drzazg. Zakrzywione miecze nic sobie nie robiły z metalowych, ćwiekowanych umocnień, które, zmiękczone piekielnym żarem, łatwo poddawały się rozszalałym klingom. Jego kopniaki miały ten sam efekt co uderzenia tarana. Demon z porażającą brutalnością dosłownie rozniósł wrota Hoffen na strzępy.

Ostatniemu uderzeniu towarzyszył wybuch piekielnej energii i żołnierze na dziedzińcu przypadli skuleni do ziemi, gdy resztki wrót zwisły bezradnie na zmasakrowanych zawiasach, otwierając Pogromcy drogę do miasta. Drzazgi i fragmenty rozgrzanego żelaza rozbryznęły się po dziedzińcu, trafiając niektórych żołnierzy, którzy zwalili się na bruk, podczas gdy inni zdołali w porę zasłonić się tarczami. Nie mogli się mierzyć z takim przeciwnikiem.

W tej burzy drewna i żelaza stał Feurig. Gdy resztki bramy opadły ze stukotem na bruk, smok uniósł głowę i wbił wzrok w Pogromcę. Demon stał w tunelu ciemności niczym morderczy cień sposobiący się do ataku. Sam jego zarys na tle jasnego wylotu bramy emanował czymś zabójczym i nieokiełznanym. Błysnął ślepiami w ciemności, a potem rzucił się naprzód.

Stojący nad bramą Lysander patrzył, jak Pogromca wypada z tunelu, wymachując ostrzami w zabójczej furii. Feurig zionął jasnym strumieniem płomieni, ale demona chronił, poza zbroją, pancerz jego odrodzonej wiary. Przedzierając się przez burzę płomieni, zamachnął się mieczami na smoka i kto wie czy Feurig nie padłby trupem, gdyby z góry nie uderzył mag bitewny.

Grom błękitnej energii wbił się w ramię demona, który okręcił się, niesiony mocą uderzenia, gdy Lysander wyszedł chwiejnie na dziedziniec. Pogromca zorientował się, że czeka go teraz walka na dwa fronty, lecz zdawał sobie również sprawę z tego, że obaj wrogowie są ranni. Zaraz umrą.

Lysander i Feurig przetrwali pierwszą sekwencję uderzeń tylko dlatego, że pilnowali się nawzajem. Gdy tylko demon skracał dystans, przyskakując do jednego z nich, drugi atakował od tyłu, ale zarówno smok, jak i mag bitewny słabli w oczach po każdej wymianie ciosów i było jasne, że prędzej czy później klingi Pogromcy przedrą się przez więdnącą gardę któregoś z nich.

Rozpacz wcisnęła się do rysów Lysandra, gdy cofał się krok za krokiem pod uderzeniami piekielnika. Za jego plecami Feurig złożył się do skoku i dał susa, chcąc przygwoździć Pogromcę do ziemi, lecz ten

odgadł jego intencje i momentalnie okręcił się, by wyprowadzić kontratak. Smok usiłował cofnąć się przed mknącą po łuku głownią, ale ranna noga ugięła się pod nim, i Feurig wystawił na atak odkrytą gardziel. Natychmiast zwinął się i przypadł do ziemi, cudem unikając miecza, lecz wówczas Pogromca wykonał zwód i z mocą trafił go w skroń głowicą. Obuch huknął głucho w zetknięciu z czaszką i smok padł oszołomiony na bruk. Zginąłby z głową zmiażdżoną czarnym kopytem, gdyby wtedy nie ruszył na demona Lysander.

Mag bitewny cisnął w Pogromcę energetycznym pociskiem, ale piekielnik zanurkował pod nim i wyprowadził szerokie cięcie od boku, które bez trudu zmiołoby głowę z ramion Lysandra. Mag uchylił się i wypatrzył lukę w pancerzu demona. Postanowił tam właśnie wrazić miecz, jednak gdy wyprowadzał cios, ranna noga nie uniosła jego ciężaru. Zachwiał się i o mało nie upadł, ale zanim dotknął ziemi, Pogromca kopniakiem posłał go w tył. Magiczna tarcza nie pozwoliła, by uderzenie zmieniło twarz maga bitewnego w krwawą miazgę, lecz nawet mimo tego Lysander upadł ciężko na plecy, plując krwią i czując, że pole jego widzenia zasnuwa ciemność. Otumaniony i ledwie trzymający się przytomności, poderwał wzrok na stojącego nad nim demona.

Pogromca rozprostował potężne ramiona. Poruszył głową, strzelając kręgami; nie spieszył się teraz, gdy obaj wrogowie leżeli bezbronni na ziemi. Kopniak wydusił z Przeciwnika resztki sił, a tarcza, którą ten osłonił swoich pobratymców przed piekielnym strachem, zaczęła gasnąć. Teraz major Dahler i jego żołnierze byli wystawieni na jego działanie. Siła woli ich opuściła, odwaga skurczyła się jak serce wyrwane z piersi i wrzucone w płomienie. Już byli zgubieni i wkrótce Pogromca ich zniewoli, lecz najpierw rozprawi się z dwiema Wielkimi Duszami, które przed chwilą pokonał. Z poczuciem nieuchronnego spełnienia zbliżył się do Przeciwnika, który leżał oszołomiony i bezbronny na ziemi.

Lysander Müller spojrział w płonące oczy Pogromcy i zobaczył unoszącą się wielką gilotynę jego miecza. Nie dbając o to, że klinga zaczęła opadać, splunął wiązką przekornej energii prosto do umysłu Pogromcy. Jakby z wielkiej odległości dobiegł go jęk miecza przecinającego powietrze, lecz zamiast bólu i śmierci usłyszał tylko wibrujący trzask stali uderzającej o magiczną osłonę.

Walczący o zachowanie świadomości Lysander ujrzał spadający z nieba wielki czarny kształt. Wiedział, że może to być tylko cień śmierci, a jednak opadło go przemożne wrażenie, że jakaś litościwa ręka obroniła go przed pewną zgubą.





Oczami Sydiana Falko dostrzegł demona mknącego ku bramie Hoffen, ostrzeliwanego z murów przez hordeę łuczników. Widział, jak bluznął siarką, zabijając obrońców na basztach, a potem ujrzał, jak piekielnik znika w tunelu biegnącym przez gruby mur obronny. Do miasta brakowało Falkowi około mili, a mimo to usłyszał trzask i chrzęst, z którym demon wdarł się do środka. Gdy spojrział w dół własnymi oczami, zobaczył za zrujnowanymi wrotami błyski ognia.

Pogromca siał już spustoszenie za murami.

Okropna wizja przegranej wypędziła z umysłu Falka wszystkie myśli. Na dziedzińcu Hoffen dwie Wielkie Dusze zmagaly się z wcieleniem mroku. Falko i Sydian lecieli bez wytchnienia całą noc. Mag bitewny ani myślał przyjąć do wiadomości, że przybyli za późno. Nie musiał wspominać o swoich obawach Sydianowi. Wiedział, że smok je podziela oraz że zdaje sobie sprawę, iż przedstawiciel jego własnego rodzaju zмага się za murami z nieprzyjacielem, walcząc ramię w ramię z lustrzanym odbiciem swojej duszy.

Ignorując ból w nadwyrężonych mięśniach, Sydian zdobył się na ostatni karkołomny zryw i ruszył szybciej, pokonując uporczywy opór powietrza. Zbliżywszy się do miasta, zwiększył wysokość, by mogli ostrzej zapikować, tam gdzie ich bracia byli o włos od śmierci.



Czas rozciągnął się w długą, zniekształconą chwilę wypełnioną oczekiwaniem. Pogromca zaniósł do ciemnych sił ofiarną modlitwę i wznosił wysoko nad głowę olbrzymie ostrze. Lecz Przeciwnik nawet teraz mierzył go hardym spojrzeniem, nawet gdy ogień w jego oczach już gasł. Wewnętrzna siła tego człowieka doprowadzała Pogromcę do furii. Włożył w ostateczny cios jeszcze więcej siły. Miecz pomknął w dół ze świstem, a Pogromca życzył sobie, by chwila jego zwycięstwa mogła trwać wiecznie. A potem zdumiał się, gdy klinga odbiła się od niewidocznej bariery. Jego ramię zatrzęśło się od siły uderzenia i Pogromca ryknął z bólu, gdy ścięgnął jego śmiertelnego ciała o mało się nie zerwały. Ale jak to? Przeciwnik był zbyt słaby, by schronić się za tak silną tarczą.

Zamęt w jego głowie trwał tylko chwilę, nim Pogromca wyczuł nadlatujące z nieba skupisko energii. Podniósł wzrok i dostrzegł czarnego wyrma spadającego mu na spotkanie, a na jego plecach

przeklętą jasność, której jądrem był kolejny Przeciwnik. Z paszczy wyrma buchnęła kolumna ognia, a Pogromca nigdy jeszcze nie czuł na swojej skórze równie gorącego smoczego płomienia. Przerażliwy żar go oślepił. Sieknął dziko mieczem, a potem poczuł, jak szpony wyrma zaciskają się na jego ramieniu.

Smok obrócił się w powietrzu, zrzucając jeźdźca z grzbietu i ciskając demonem przez dziedziniec. Pogromca wyrznął z mocą o budynek stajni, łamiąc przy tym belki oraz demoluując kamienne ściany. Smok opadł na ziemię, ale jeździec nie był w stanie kontrolować upadku po tak szaleńczym locie.

Mieczownicy i włóczęnicy stali rozproszeni, a Lysander wpatrywał się oszołomiony w maga bitewnego, który przybył mu na ratunek.



Falko wylądował ciężko na bruku. Nie mieli czasu, by zaplanować atak, by myśleć o czymkolwiek poza odbiciem miecza Pogromcy. Sięgnąwszy umysłem, Falko zablokował cios magiczną tarczą, a Sydian uderzył w demona płomieniem. Wielki czarny smok ucapił Pogromcę i wykorzystał pęd, by cisnąć nim w stojący dalej budynek. W tej samej chwili smok i mag bitewny zetknęli się z ziemią. A w następnej – zerwali się na nogi.

Pogromca zepchnął z siebie hałdę gruzu i potrzaskane belki, nie wypuszczając mieczy z rąk. Potrząsnąwszy wielką głową, wylazł z rumowiska. W przeciwnym kącie dziedzińca Sydian dźwignął się na nogi, zmieniając wóz z sianem w stos rozpałki, jednocześnie po drugiej stronie Falko uderzył mocno o ścianę innego budynku. Takie zderzenie pogruchotałoby mu kości, gdyby nie nasączył ciała ochronną energią. Czuł się teraz nieco zeszytywniały i na pewno zarobił kilka siniaków, lecz zaraz poderwał się, gotowy stawić czoła Pogromcy.



Demon skierował płomienisty wzrok na nowych wojowników. Wielka siła wyrma była oczywista, ale mocy Przeciwnika nie potrafił oszacować. Pogromca zawahał się...

Czy spotkali się już kiedyś?

Piekielnik miał wrażenie, że owszem. Powoli zaczął sobie przypominać. Czy to możliwe? Czy to było to dziecko, które walczyło z nim, zanim Przeciwniczka zmusiła go do powrotu do podziemnego

świata?

Pogromca zmierzył wzrokiem opancerzoną postać. Wygląd się zmienił, lecz aura cuchnęła tak samo. Ale nie do końca identycznie. Gdy mierzyli się ostatnim razem, ten Przeciwnik emanował surowymi emocjami i niepełnym potencjałem. Teraz była od niego nieporównanie większa siła, której Pogromca nigdy nie spodziewał się napotkać w tym niewydarzonym świecie. Oto dusza, która przeszła przez ogień rozpacz i zwątpienia, i żalości. Demon próbował jakoś pogodzić niedorostka, którego prawie zabił, z mężczyzną, który stał przed nim teraz. Zmiany, która się w nim dokonała, nie dałoby się wytłumaczyć choćby i tysiącem lat doświadczenia.

Pogromca zmrużył oczy, zadowolony. Na tych dwóch Przeciwnikach wypróbuje zahartowane w piekielnym ogniu klingi. Rozkoszował się myślą o tej walce, pokładał wiarę we własnych siłach. Nie miał cienia wątpliwości, że zwycięży.

Dopóki Przeciwnik nie dobył miecza.



Falko odczuł pełną siłę jego spojrzenia, gdy Pogromca wyszedł z ruin stajni. Demon poruszał się z pewnością siebie wynikającą z wielkiej mocy, a jego zdecydowanie poraziło Falka. Wystraszony, zsunął tarczę z pleców i nałożył ją na przedramię. Czuł się przytłoczony i słaby. Był przekonany, że nie stanowi wyzwania dla demona.

Dopóki nie dobył miecza.

Broń Pogromcy wykuta została przez Oświeconych i zahartowana w ogniu piekielnym, ale miecz Falka brzmiał cichą nutą przyjaźni, utraty i miłości.

Uprzytomniwszy sobie wreszcie prawdziwe niebezpieczeństwo, które groziło mu ze strony adwersarza, Pogromca opuścił zakrzywione ostrza i rzucił się do ataku.

Choć Falko był na to gotowy, zaskoczyła go szybkość nieprzyjaciela i błyskawiczna sekwencja morderczych ciosów wymierzonych w głowę, korpuz, szyję i brzuch. Nawet jego szkolenie w akademii nie przygotowało go na tak dzikie natarcie i jedynie dzięki wyczulonym instynktom zdołał zablokować rozpędzone ostrze. Demon napierał, a Falko oddawał mu koleje jardy dziedzińca, cofając się o wiele szybciej, niżby sobie tego życzył, aż w końcu dotknął plecami ściany.

Pole manewru było teraz mocno ograniczone, Pogromca podwoił więc wysiłki, chcąc wykorzystać zdobytą przewagę, lecz Falko zdołał wymknąć mu się spod klingi, przyjmując jedno uderzenie na tarczę

i uskakując przed drugim, które wbiło się głęboko w kamienną ścianę za jego plecami. Wykorzystał okazję i odskoczył od demona, lecz Pogromca natychmiast wyrwał miecz i okręcił się, znów stając twarzą do wroga.

Żołnierze na dziedzińcu otrząsnęli się z zaskoczenia i zaczęli ściągać swoich towarzyszy z pola walki. Zabrali powalonego Lysandra, a Sydian zatroszczył się o wciąż oszołomionego Feuriga.

W tym czasie Falko tańczył i wił się pod ciosami Pogromcy. W ciągu ostatniego roku udało mu się osiągnąć pełnię swojego potencjału, lecz nawet to nie wystarczyło, by zdołał uniknąć wszystkich ciosów, i już kilka razy tylko magiczne wzmocnienie i pancerz uchroniły go przed utratą ręki czy nogi. Gdy zalały go wspomnienia poprzedniego starcia, raptem uświadomił sobie, że nie zdoła wygrać tej walki. A przynajmniej nie sam.

Pogromca wyprowadził kolejną serię zabójczych ciosów, a potem zachwiał się, gdy coś uderzyło go od tyłu. Upewniwszy się, że nic nie grozi Feurigowi, Sydian dołączył do walki. Pazury jego prawej łapy naznaczyły nogę demona trzema równoległymi nacięciami, lecz wtedy smok musiał odskoczyć do tyłu, machając skrzydłami, bo Pogromca okręcił się i od razu zamachnął mieczem, celując w smoczą pierś.

Usiłując ugrać jak najwięcej na kilku zdobytych przez Sydiana sekundach, Falko dał nura naprzód, by zaatakować, ale zaraz znów musiał uskoczyć przed mknącą w jego stronę klingą, gdy demon ponownie obrócił się przodem do niego. Wydawało się niemożliwością znaleźć lukę w gardzie potwora. Falko wiedział, że jeśli tak dalej pójdzie, w końcu wielkie zakrzywione ostrze spotka się z jego ciałem.

Sydian zaatakował ponownie. Jego szpony zazgrzytały przeszywająco o zbroję piekielnika. Pogromca kopnął Falka w udo i natychmiast obrócił się do Sydiana, który ryknął, gdy ostrze demona prześlizgnęło się po jego przedniej nodze. Odłamki smoczych łusek rozsypały się po dziedzińcu i krew barwy głębokiej czerwieni bryzgnęła na bruk. Pogromca znów wziął na cel swojego ludzkiego przeciwnika. Ale tym razem Falko wpuścił do miecza iskrzącą magię, a potem strzelił nią w demona.

Pogromca nie mógł zablokować łuku połyskliwego światła i magia zostawiła po sobie długą, świecącą ranę, wyzierającą spod rozciętego pancerza.

Demon wpadł w szal i momentalnie znowu zepchnął Falka do defensywy. Sydian dalej próbował atakować go od tyłu, ale Pogromca zdawał się spodziewać każdego jego ruchu i z oslepiającą prędkością zwracał ataki smoka przeciw niemu samemu. Mimo iż mierzył się z dwoma przeciwnikami naraz, to Pogromca miał przewagę i Falko zakosztował własnej krwi, gdy jedno z rozmazanych w pędzie ostrzy grzmotnęło go w bok hełmu. Magia wzmacniająca znów uchroniła go

przed krytyczną raną, ale uderzenie na moment wytrąciło go z rytmu. Gdyby demon poszedł za ciosem, może dopełniłby dzieła, uniemożliwił mu to jednak Sydian, który zacisnął zęby na jego uniesionym do uderzenia ramieniu.

Ogień trysnął ze smoczej paszczy i Pogromca wył, gdy jego ramię płonęło, wciąż uwięzione w szczękach smoka. Szarpiąc się, przyciągnął ramię do siebie, by sięgnąć smoczego gardła drugim mieczem. Sydian, widząc, co się święci, musiał wypuścić ramię potwora z potężnych szczęk. Chciał odskoczyć, ale Pogromca zamachnął się wyswobodzonym mieczem. Sydian uniknął drugiego ataku i uchylił się przed kolejnym, ale następny już mknął w stronę jego głowy i smok okazał się nie dość szybki. Zdołał tylko odwrócić głowę, ale klinga Pogromcy przeorała mu twarz.

Sydian zamrugał, chcąc pozbyć się krwi z oka, a tymczasem Pogromca już składał się do kolejnego uderzenia. Wtedy potężna kula energii trafiła go w odsłonięte plecy. Ale pancerz Oświeconych wytrzymał i Pogromca zamierzył się oboma mieczami, by raz na zawsze zakończyć walkę z Przeciwnikiem. I tym razem jego zamiary spełzły na niczym, bo Falko natychmiast cisnął kulą ognia prosto w rogatą głowę. Demon ryknął i odwinął się, ale Falko i Sydian załapali już chyba, jak współdziałać w walce.

Gdy Falko uniósł tarczę i sparował cios, Sydian zaatakował z drugiej strony. Chlasnął piekielnika szponami po nogach, by zaraz uskoczyć przed kontratakami, który miał rozciąć mu pierś.

Falko zaczynał opadać z sił. Wysilek zapalił ogień w jego unoszącej się i opadającej w dzikim tempie piersi. Wiedząc, że dłużej nie da rady w ten sposób, zaczął wlewać energię w zimną stal swojego miecza.

Gdy Pogromca odwrócił się twarzą do niego, Falko przyspieszył proces i włożył w miecz tyle magii, ile się tylko zmieściło. Blokował ciosy demona tarczą i unikał ich, wiedział bowiem, że skoro wsączył tak wiele energii w miecz, jego czary wzmacniające będą poważnie osłabione. Zwykła broń nie pomieściłaby tyle mocy. Nie dokonałby tego nawet inny miecz maga bitewnego, ale miecz Falka wykuto przy użyciu ognia nie jednego, lecz dwóch magów bitewnych, był więc jedynym ostrzem zdolnym wytrzymać takie natężenie magicznej energii.



Po drugiej stronie dziedzińca Lysander Müller zmarszczył brwi, próbując dość do siebie po wstrząsie. Jeszcze zanim przejaśniło mu się przed oczami, wyczuł ogromną energię wzbierającą w mieczu młodego

wojownika. Nigdy jeszcze nie słyszał, by broń maga bitewnego brzmiała tak osobliwą nutą. Była w równej mierze piękna, co przerażająca i Lysander nie mógł nie myśleć o tym, jakaż to dusza jest w stanie wyczarować tak wielką koncentrację magicznej energii.

Patrzył na rozmazane przed jego oczami zarysy zwartych w boju postaci jak na tytaniczną bitwę toczoną przez postacie z legend. Widział czarnego smoka, jakieś demoniczne tornado i mrocznego wojownika, którego musiała pchnąć do nierównej walki młodzieńcza naiwność. Ale gdy walka potoczyła się naprzód, Lysander uprzytomnił sobie, że ten młody człowiek wcale nie jest tak słaby, jak początkowo myślał. Jedyne niedoświadczony. Im wyraźniej widział wojowników, tym bardziej docierało do niego, że te dwie Wielkie Dusze walczą razem po raz pierwszy. Nie mieli jeszcze dość wyczucia i koordynacji, by zadawać ciosy w odpowiednim rytmie, ale za to szybko się uczyli.

Jak dotąd kombinacja szczęścia i wrodzonych predyspozycji wystarczyła, by uchronić się przed klingami Pogromcy, lecz zaczęli się męczyć i katastrofa była tylko kwestią czasu. Lecz teraz młody mag bitewny znacznie zwiększył stawkę, o którą toczyła się gra. Skupiwszy tak wielką energię w swoim mieczu, zredukował wytrzymałość czarów wzmacniających i już kilka razy ocalał tylko dzięki wytrzymałości pancerza. Nagle Lysander zauważył, że nuta wyśpiewywana przez magiczną klingę zaczęła cichnąć, aż w końcu umilkła zupełnie. I wtedy, dokładnie w tej właśnie chwili, młody wojownik zupełnie opuścił gardę. Może pomylił się w ocenie sytuacji, może otępiło go zmęczenie, ale tak czy inaczej, popełnił katastrofalny błąd i nie musiał długo czekać, by Pogromca postanowił go wykorzystać.

Z przerażającą prędkością zakrzywiona klinga demona pomknęła ku gardłu maga bitewnego.



Falko nie potrafił ocenić, czy zdoła utrzymać strumień energii wnikałej do miecza. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zmęczony, zarówno na ciele, jak i na umyśle, ale nie miał zamiaru się poddać. Jeśli mieli pokonać Pogromcę, musiał zaprząć do pracy całą swoją siłę, inaczej wszystko na nic. Wlał więc swoją duszę w wykutą przez Malakiego głównię, żywiąc nadzieję, że okaże się dość silna, by to znieść. Wreszcie śpiew stali przeistoczył się w ciszę, dokładnie w momencie, gdy Pogromca zwrócił twarz w jego kierunku. Falko bez wahania opuścił gardę.

A Pogromca natychmiast zamierzył się na jego gardło.

Malaki ani Quirren nigdy nie daliby się złapać na tak oczywistą przynętę, ale Pogromca nie szkolili się w Akademii Sztuki Wojennej, nie rozpoznał więc zagrożenia, dopóki nie było już za późno. W ostatnim momencie Falko zszedł potworowi z drogi i zamachnął się szerokim łukiem, tak by strzaskać miecz Pogromcy przy samej rękojeści. Klinga pofrunęła, koziołkując w powietrzu. Demon ryknął wściekle i wtedy drugi miecz pomknął z sykiem ku głowie Falka, który nie miał siły, by wzmocnić swój hełm przed uderzeniem. Cios niechybnie by go zabił, gdyby w tym właśnie momencie Sydian nie trafił Pogromcy w kark druzgoczącym ciosem.

Siła smoka odrzuciła demona na bok, a ten, zamiast wgnieść hełm maga bitewnego, naznaczył tylko rysą grawerowaną stal. Wyjąc, Pogromca kopnął Falka między nogi, a ten zwałił się u jego stóp. Drugi kopniak złamał mu obojczyk i Falko obrócił się na plecy, wystawiając na pastwę miecza odsłonięte gardło. Zakrzywiona klinga zaczęła spadać, a wtedy Sydian złapał potwora od tyłu, rozpaczliwie usiłując do tego nie dopuścić.

Pogromca z siłą atakującej kobry wyslizgnął się ze smoczych łap i pchnął mieczem. Ostry sztych przemknął się między płytami na smoczej piersi i Sydian zasyczał boleśnie. Złapał Pogromcę za rękę, nie chcąc dopuścić, by zanurzona w ciele klinga sięgnęła serca.

Śmiejąc się szyderczo przez zaciśnięte zęby, potwór zacisnął wielką rękę na smoczym karku i mocą piekielnych płomieni rozgrzał miecz do czerwoności. A potem, warcząc z wycieńczenia, naparł, by wbić go mocniej w pierś Sydiana. Smok był silny, ale jego mięśnie nie mogły się równać z potężnymi węzłami mięśni, które grały pod czarną skórą piekielnika. Zdesperowany, rozwarł paszczę i zionął płomieniem prosto w jego twarz.

Pogromca nie zaznał jeszcze takiego bólu, nawet w trakcie swojej pokuty. Czarne mięso zaczęło odpadać od jego twarzy, ale demon ani na chwilę nie zwolnił nacisku. Gdy ogień się cofnął, Sydian poczuł, że cał po calu klinga wdiera się głębiej w jego pierś, jakby żyła i sama szukała bijącego tam serca. Smok wiedział, że jest bliski śmierci, lecz nagle demon wyprężył się i zeszywniał, a cała siła opuściła jego ramiona.

Wciąż zataczając się od potężnych kopniaków, Falko podniósł się na kolana. Przed nim Sydian siłował się z Pogromcą i Falko widział, że demon zaraz zabije smoka. Wzdrygnął się, gdy płomień buchnął z paszczy Sydiana, ale Pogromca ani myślał się poddać. Utykając z powodu potwornego bólu w podbrzuszu, Falko zachwiał się w przód i gdy płomień rozwiały się niczym czerwona chmura – uderzył.

Ostatnim wysiłkiem woli dopełnił miecz magiczną energią i wraził go po sam jelec w opancerzony grzbiet demona. Zbroja Oświeconych była twarda, ale ustąpiła pod mieczem Falka. Zaciśnięte na broni oraz szyi

Sydiana ręce Pogromcy opadły wzdłuż ciała. Wciąż plując gorącą żółcią prosto w twarz smoka, demon osunął się na kolana, a Sydian cofnął się, pozwalając ostrzu wysunąć się ze swojej piersi.

Ślepia Pogromcy błysnęły wściekle, ale Falko posłał do miecza ostatni impuls energii i wreszcie jadowita nienawiść w spojrzeniu demona zgasła. Muskularne ciało oklapło i ostatni poszarpany dech wydostał się z najeżonej ostrymi kłami paszczy. Sydian cofnął się jeszcze, lądując na czterech nogach, a opancerzone cielsko runęło na bruk dziedzińca.

Gdy stwór zsunął się z klingi Falka, młody mag bitewny opadł na kolana. On i Sydian byli doszczętnie wycieńczeni i mogli tylko wpatrywać się niedowierzającymi spojrzeniami w stygnące truchło Pogromcy.



Daleko na południu, na Utraconych Ziemiach, które należały niegdyś do Beltane, Marchio Dolor stanął jak wryty i zwrócił płonące spojrzenie na północ. Ktoś dokonał niemożliwego. Ktoś rozgromił Pogromcę. Fala niepokoju przemknęła po Opętanych skupionych wokół dowódcy, gdy wyczuli jego rosnącą furję. Cała armia zatrzymała się w dwa kroki, podczas gdy uwaga Marchia Dolora skupiona była na północy.

Przeciwnik i jego wyrm pokonali jego zabójcę, a hańba tej porażki odbiła się echem w wyższych krainach piekielnych. Z tak wielkiej odległości Marchio nie był w stanie dowiedzieć się więcej o tym tajemniczym Przeciwniku, a jednak naszło go wrażenie, że ta dusza przysporzyła mu już wcześniej kłopotów. Jej pochodzenie było tajemnicą, niewyraźnym zarysem nieznanym demonowi wydarzeń, a jednak czepiał się jej wyraźny odór Clemoncé, tego przeklętego królestwa władanego przez tę przeklętą królową. Nawet teraz, gdy zwycięstwo było już na wyciągnięcie ręki, królowa suka zdołała pomieszać mu szyki.

Wciąż patrzący na północ Marchio Dolor powoli obrócił resztę ciała w kierunku, w którym zwrócone było jego spojrzenie. Ledwie dwa dni dzieliły go od zmiążdżenia króla Ozrika w jego potężnej warowni w Aengus, ale nie... Upokorzenie beltańskiego króla powierzy swojemu nowemu generałowi. Vercincallidus zrówna Aengus z ziemią i rzuci duszę Ozrika Goudikki w ciemność.

Marchio ruszy na północ, by osobiście rozprawić się z Clemoncé. Ta kwiląca maciora i jej przymilni Przeciwnicy już dostatecznie długo krzyżowali plany Wiernych. Najwyższy czas raz na zawsze zmiążdżyć ich opór.



Marchio Dolor opadł na jedno kolano i wbił pięści w ziemię, a potem zaczął się modlić. I modlił się, aż cały podziemny świat zawibrował od jego nienawiści, aż skupił na sobie uwagę wszystkich demonów przemierzających część Utraconych Ziemi, która nosiła kiedyś miano Illicji. A potem wydał rozkazy.

„Ruszajcie na zachód. Porzućcie rozproszonych wrogów i przestańcie raczyć się cierpieniem. Całą uwagę poświęćcie Clemoncé, zwróćcie legiony na zachód”.

Demonom na północy Beltane, wszystkim niewolicielom i żniwiarzom gromadzącym dusze wzdłuż granic kazał porzucić dotychczasowe obowiązki i spotkać się z nim na zachodnim brzegu wielkiego jeziora. Tam zbierze armię, która przetoczy się przez znieawidzone Clemoncé jak plaga. Wedrze się klinem w samo serce Furii, gdzie własnymi rękami zmiażdży królową Catherine i pozyska dla siebie jej duszę.

A ludowi Clemoncé wysłał specjalną wiadomość.

„Wasz czas dobiega końca. Nadciągam”.

## Cena oporu



Malaki nie umiał powiedzieć, co oszołomiło go bardziej. Lawina czy porzucenie Quirrena i dzieci na pastwę Opętanych. Z mozołem usiłował objąć umysłem to, co się wydarzyło w kanionie. Gdy potykając się, szli ścieżką wiodącą przez żleb, zaobserwował, że weterani z oddziału Wygnańców najlepiej radzą sobie z przeżytą traumą. Jakimś sposobem potrafili funkcjonować pomimo nieustannych szlochów i jęków uchodźców, podczas gdy Malaki i Huthgarl wlekli się w ognie, otepiali i wyjałowieni.

Nie uszli stu jardów, gdy Urwipołcie zaczęli zsuwać się po zboczach, by do nich dołączyć. Po zejściu lawiny porzucili swoje pozycje na szczycie klifu i teraz wmieszali się w sunący żlebem pochód.

– Co się stało? – spytała Bryna, dostrzegłszy minę Malakiego.

Rycerz nie znalazł słów, by jej powiedzieć. Nie potrafił nawet podnieść rąk, by uściskać żonę.

– Nie widziałaś? – spytał Huthgarl, a Bryna pokręciła głową.

– Wycofaliśmy się, gdy strach nasilił się do tego stopnia, że stał się zagrożeniem.

Bryna skakała wzrokiem po żołnierzach i uchodźcach, chcąc zobaczyć, kogo brakuje. Skręciło ją w żołądku, gdy wyłuskała z tłumu Alexa i dostrzegła wyraz malujący się na jego twarzy.

– Quirren? – wydyszała, a Huthgarl potwierdził skinieniem.

Bryna zakryła usta dłonią. Alex zszedł ze szlaku i ruszył w kierunku ścieżki prowadzącej na klify.

– Tam nie jest bezpiecznie – napomniał go Patrick Feckler. Wyciągnął rękę, lecz Alex przepchnął się obok niego i poszedł dróżką.

Oczy Bryny nabiegły łzami, gdy patrzyła, jak Alex wspina się zboczem, z którego przed chwilą zsunęli się Urwipołcie. Zaczęła go wołać. W tej chwili Malaki minął ją i poszedł za nim.

– Malaki, czekaj! – zwróciła się do niego. – Tam nie jest bezpiecznie!  
Ale Malaki nie słuchał, a zaraz dołączył do niego Huthgarl.

– Musimy zobaczyć, co się z nim stało – wyjaśnił wielki Beltańczyk.

– Przecież nic już nie możemy zrobić! – krzyknęła. – Tam nie ma drogi do kotliny.

Wpiła się w Paddy’ego błagalnym wzrokiem, ale mężczyzna tylko wzruszył ramionami.

– Muszą – powiedział po prostu.

Bryna westchnęła płaczkliwie i wraz z Paddym ruszyła ścieżką za towarzyszami.



Ramiona Quirrena drżały z wysiłku, a ziemia wokoło usiana była trupami skirytów. Wypadłszy z krzaków, zabił toksytów, którzy znaleźli ich kryjówkę, a potem stanął w nurcie płytkiej rzeki, czekając na atak kolejnych Ferocjan. Ci, którzy rzucili się do walki z nim, zginęli.

Quirren był wysokim, potężnym mężczyzną, Illicjaninem w każdym calu. Świetnie walczył już w chwili przybycia do Furii, a szkolenie w akademii uczyniło go twardym jak skała i silnym jak tur. Pokaże Opętanym, co potrafi.

Skiryeci atakowali dwójkami i trójkami i Quirren zabijał ich z łatwością, ale gdy chmury kurzu zaczęły opadać, dostrzegł, jak ze żlebu wynurza się biały demon.

Ogarnęło go poczucie głębokiej ulgi. Uchronił dzieci przed strasznym losem. Teraz jednak przerażenie wspinało mu się po kręgosłupie, wciskało do głowy i zaczynało panoszyć się w jego umyśle. Jedyłą nadzieją była szybka śmierć, wybrał więc grupę ciężkozbrojnych kardaków i rzucił się na nich z okrzykiem na ustach. Jeśli będzie miał szczęście, zabiją go, zanim demon skradnie mu duszę.

Może powinien opuścić gardę i wystawić się na ich ciosy... Nie. Quirren miał serce wojownika i poddanie się nie leżało w jego naturze. Otoczony przez trzech mrocznych wojowników, walczył jak heros z legend, rąbiąc i siekąc kardaków, jakby byli manekinami na poligonie akademii. Ale gdy padli pierwsi trzej, w ich miejscu pojawili się kolejni, którzy wiedzieli już, czego spodziewać się po przeciwniku.

Zaatakowali z furią i Quirren wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim go powalą. Zabił jednego, nim drugi trafił go w kolano. Gdyby nie zbroja, cios pozbawiłby go nogi, ale ohydne chrupnięcie świadczyło o tym, że Quirren nie będzie miał z niej pożytku. Drugi cios ześlizgnął się po naramienniku i dosięgnął głowy, ale rycerz wciąż walczył. Wówczas od

ścian kanionu odbił się wykrzyczany gardłowym głosem rozkaz i mroczni wojownicy odstępili od Quirrena, który stał pośród powalonych przeciwników, walcząc o utrzymanie się na nogach.

Ogarnięty rozpaczą, poderwał wzrok na idącego w jego kierunku białoskórego demona. Stwór sunął naprzód, wysoki i potężny, wlokąc za sobą po skale i przez zimną wodę łańcuchowe siatki. Jego twarz, odlegle tylko kojarząca się z ludzką, była zniekształcona, a osadzone w niej czarne oczy spoglądały na Quirrena z niepokojącym zainteresowaniem.

Niewoliciel widział, jak walczy ten młody wojownik. Zbyt dobra dusza, by ją zmarnować. Ale jego siatki były już pełne. Z żelaznego pasa zwisało dwanaście łańcuchów. Na końcu każdego znajdowali się umęczeni katorżnicy, utrzymywani przez plugawą moc Opętanych w stanie permanentnej agonii, stanowiący rezerwuar wiary, zapas cierpienia, z którego mogli skorzystać Wierni.

Niewoliciel warknął i wydał kardakom rozkaz. Ruszyli naprzód, ale Quirren nie miał już sił, by walczyć. Szybko go rozbrojono i odarto z pancerza, aż stanął przed demonem nagi, bezbronny i sparaliżowany strachem.

Piekielnik wolno zwinął jeden z łańcuchów. Ciało na jego końcu było nierozpoznawalną masą mięsa i ciemnej, zaschniętej krwi. To pierwsza dusza, zniewolona przez demona na samym początku tej wyprawy. Nieszczęśnik był tak zmasakrowany, że ledwo udawało się utrzymać go przy życiu. Doprowadzony do szaleństwa przez nieustający ból, przestał już być użyteczny. Jego cierpienie mógł odnowić jedynie ogień piekielny. Niewoliciel podniósł więźnia, a mięśnie jego ramion napięły się, gdy puścił po łańcuchu strumień plugawej energii.

Spleciona siatka zaczęła płonąć, a wraz z nią udręczone ciało. Ogień trawił je, aż został po nim tylko biały popiół i maź, która lepiała się do łańcuchów jak smoła. Człowiek w siatce zniknął.

Quirren nie był pewien, czy rzeczywiście słyszał, czy tylko wyobraził sobie nikiący w oddali jęk rozpacz, gdy torturowana dusza trafiła do piekieł. Siatka była teraz pusta, a Quirren zaczął trząść się ze strachu. Nie był zdolny do wykonania żadnego ruchu, więc zamknął oczy, gdy przystąpili do niego Opętani, nie wojownicy, lecz na wpół odarci z ubrań ludzie o bladej skórze i mlecznobiałych oczach. Niektórzy dźwigali ciężkie stalowe młoty, inni dłuta i szczypce, jakie widziało się w kuźniach. Quirren miał ponad sześć stóp wzrostu, był więc za duży, by zmieścić się w łańcuchowej siatce. Będą musieli go połamać, nim wcisną go do środka.

Gdy pierwszy z łamaczy uniósł młot, pierś Quirrena przeszła strzałą. Grot przebiłby serce, zabijając go na miejscu, gdyby nie demon, który sięgnął do Quirrena sękatą dłonią i go podniósł. Moc demona nie pozwoli ciału umrzeć. Nadzieja Quirrena na szybką śmierć została

brutalnie zgaszona.

Był teraz we władzy niewoliciela, kołysał się w powietrzu jak marionetka, jęcząc przez zaciśnięte zęby, a strzała sterczała z jego piersi. Demon spojrział tam, skąd nadleciała. Nie widział ludzi, ale ich czuł. Kryli się w krzakach porastających szczyt klifu. Uznał, że nie warto gonić uciekinierów przez zawalisko, teraz jednak czuł kolejne smakowite dusze skupione na skałach poza zasięgiem jego ludzi. Kto wie, może jednak zdecyduje się na pogoń. Ozdobi swój pas kolejnymi trofeami, które spodobają się Marchiowi Dolorowi.

Prychnął z pogardą i dał znak młociarzom, by brali się do pracy.



Skryci na klifie przyjaciele Quirrena patrzyli zrozpaczeni, jak Opętani zdejmują z niego pancerz. Byli świadkami ostatnich minut walki Quirrena z kardakami, lecz teraz docierało do nich, że sprawa jest beznadziejna. Ostatecznie ciszę przerwał Malaki.

– Musisz go zabić – powiedział do Bryny.

Obrzuciła go niedowierzającym spojrzeniem, choć wiedziała, że tak musi być. Z oczami pełnymi łez złapała strzałę, nałożyła ją na cięciwę, napięła łuk i wycelowała. Ale to nie jej strzała, lecz Paddy'ego wbiła się w pierś Quirrena. Ręce Bryny nazbyt się trzęsły i jej pocisk trafił w kamieniste dno rzeki dwie stopy od celu, podczas gdy strzała Patryka Fecklera trafiła bez pudła. Choć było to straszne, odczuli ulgę, gdy rażony strzałą Quirren zachwiał się. Wtedy jednak zainterweniował demon, odbierając ich przyjacielowi nadzieję na czystą śmierć.

Mogli tylko patrzeć ze ściągniętymi twarzami, jak Opętani młotami gruchoczą Quirrenowi kości. Huthgarl i Bryna nie mogli znieść tego widoku. Oderwali wzrok od potwornej sceny i zwymiotowali w krzakach, a Malaki i Paddy trzymali Alexa, który chciał zeskoczyć z klifu.

– Ale on żyje! – płakał młodszy brat. – On wciąż żyje!

Łzy rozpaczy łały się im z oczu, gdy odciągnęli go głębiej w zarośla. Malaki sądził, że nikt ich nie zauważył, lecz wtedy uwaga demona przeniosła się na nich i wiedział już, że zostali odkryci. Gdy Paddy włókł Alexa po ścieżce, Malaki po raz ostatni spojrział w dół. Opętani wciskali potrzaskane ciało rycerza do łańcuchowej siatki. Malaki zadrżał, gdy z uczuciem panicznego przerażenia wyobraził sobie, co musi teraz czuć Quirren.

Wreszcie półnadzy Opętani zamknęli siatkę rozgrzanymi piekielnym ogniem nitami i ich praca dobiegła końca.

Zadowolony z nowej ofiary niewoliciel ruszył naprzód, aż łańcuch Quirrena naciągnął się i powlókł za nim równoległe z pozostałymi.

Malaki już miał odwrócić wzrok, gdy demon podniósł spojrzenie i skupił je na nim. W tej samej chwili pojawił się u jego boku Huthgarl.

– Idziemy – powiedział wielki Beltańczyk.

Ale Malaki czuł się tak, jakby drugi raz porzucał Quirrena.

– Musimy go śledzić – wymówił. Jego głos by pusty i zdawał się dobiegać z daleka. – Musimy go śledzić, dopóki nie wróci Falko.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Huthgarl. – Patrz! On idzie po nas.

Malakiego opadła trwoga, gdy uświadomił sobie, że Huthgarl ma rację. Demon zmierzał w kierunku żlebu. Przedrze się przez osuwisko i będzie ich szukał.

– Chodź, idziemy! – ponaglił go Huthgarl, a Malaki słyszał narastającą w jego głosie panikę.

Fala strachu omyła ich jak gorący wiatr, ale w chwili gdy już mieli odwrócić się i ruszyć ścieżką, demon się zatrzymał. Stał w połowie płytkiej rzeki z przechyloną głową. Jakby nasłuchiwał.

W tej właśnie chwili daleko na północy Falko zabił Pogromcę, a przebywający wówczas na południu Marchio Dolor natychmiast dowiedział się o tym i zapalał furją. Wbił ręce w ziemię i wydał rozkazy, a część z nich dotyczyła demona stojącego teraz w kanionie. Wszyscy niewoliciele i żniwiarze zbierający dusze mają porzucić wykonywane zadania i zgromadzić się na brzegu wielkiego jeziora.

Zignorowanie takiego rozkazu było nie do pomyślenia, a więc niewoliciel odwrócił się plecami do jaśniejących na klifie dusz. Gdyby zamierzał podróżować pieszo, obrałby tę samą drogę, którą tu przybył, ale nagłący ton Marchia nakazywał pośpiech, a więc zrobił wyrwę w tkaninie rzeczywistości i wszedł w nią, wybierając skróty podziemnego świata.

Malaki i Huthgarl zobaczyli, że w powietrzu pojawiła się czarna szczelina, a demon po prostu wszedł do niej i zniknął. W jednej chwili stał w kotlinie, a w drugiej nie było po nim śladu. Przez moment Opętani kręcili się w kółko, wyraźnie zdezorientowani tym nagłym zniknięciem przywódcy, lecz już po chwili, pozbawieni kierującego nimi umysłu, zwrócili się na zachód i ruszyli kanionem ku skupisku jaśniejących punkcików dusz w sercu Clemoncé.

Ulga niemal zwała Malakiego z nóg, gdy wraz z demonem zniknęła aura piekielnego strachu. Lecz zaraz jej miejsce zajęła żalność. Niewoliciel odszedł i zabrał ze sobą Quirrena. Teraz nie mieli jak go śledzić, a więc nie mogli również uwolnić przyjaciela od cierpienia. Ta myśl przelała czarę goryczy i Malaki padł na kolana, zaszokowany i otępiony. To był jego pomysł, by ratować uciekinierów. To on kazał przyjacielom zbliżyć się do demona, choć przecież wiedział, jakie to

niebezpieczne. Tak wielkie poczucie winy wystarczyło, by doprowadzić człowieka do szaleństwa. Malaki wszystkimi siłami wzbraniał się przed falą rozpacz, która chciała go pochłonąć.

Oniemiały i otępiały ze smutku zszedł ścieżką do miejsca, gdzie czekali na nich Wygnańcy.

Wreszcie dogonili Nieregularnych, ale Malaki i inni byli głusi na okrzyki radości i ulgi, gdy żołnierze rozpoznawali wśród uciekinierów znajome twarze. Pragnęli tylko gdzieś się schować, zaszyć z dala od ludzi i świata. Ale starsi dowódcy chcieli koniecznie usłyszeć raport. Słuchali więc z ponurymi twarzami relacji z przebiegu ekspedycji, a potem przymknęli powieki w niedowierzaniu, gdy Patrick Feckler opowiedział kilkoma zdaniem o losie Quirrena. Ze wszystkich, którzy byli jego świadkami, tylko Paddy zdołał to zrobić.

Uratowali wprawdzie wielu ludzi, a jednak nie mogli pogodzić się z tym, że dowództwo uznało akcję za sukces. Po spotkaniu lanista Magnus wziął Malakiego na stronę. Położył rękę na szerokich plecach młodszego mężczyzny.

– Zawsze wiedzieliśmy, że będziemy w tej wojnie tracić ludzi – powiedział.

Malaki milczał. Jedyłą reakcją było spuszczenie głowy jeszcze niżej, lecz wtedy zimny głos kazał mu poderwać wzrok.

– To by się nie stało, gdyby był tu Falko.

Skupili spojrzenie na stojącym obok nich Alexie. Jego twarz była wyniszczona rozpaczą, oczy zaczerwienione i wilgotne. Nie było śladu po niefrasobliwym żartowniszu, a jego głos niósł ciężkie brzemię oskarżenia. Wciąż nikt nie wiedział, dlaczego Falko zniknął, ale było jasne, że Alex obwinia go o to, co się stało. Malaki nie pozwolił tej myśli zagnieździć się w swoim umyśle. Choć przecież była to prawda. Gdyby Falko był z nimi, mogliby walczyć z demonem, a Quirren stałby teraz obok.

W nocy Malaki i Bryna leżeli w swoich ramionach.

– Nie możemy pozwolić, by nas to zniszczyło – powiedziała żona do męża cichym głosem, w którym brzmiały jeszcze ostatnie nuty płaczu.

– Ale to był mój pomysł.

Bryna uniosła mu twarz i zagłębiła spojrzenie w jego ciemnobrązowych oczach.

– Dość! – powiedziała, a Malakiego zaskoczyła obcesowość jej tonu. – Poczucie winy to jedna z broni przeciwnika. Czy nie tego uczyli nas w akademii? – Zrobiła pauzę. Jej oczy migotały w ciemności. – Nigdy w życiu nie widziałam jeszcze, byś bał się broni przeciwnika.

– To co innego...

– Nie. Wcale nie co innego. – Sięgnęła dłonią i otarła łzy z oczu Malakiego. – Wyrzuty sumienia i rozpacz to broń, którą wróg cię

atakuję. Musimy okazać się dość silni, by parować ciosy zadawane również i tą bronią.

Wreszcie jego zbolałą twarz rozjaśnił przebłysk widniejącej tam zwykle determinacji i Malaki ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Długo po prostu leżeli wtuleni w siebie nawzajem. Po chwili ciszy znowu odezwał się Malaki:

– Gdzie podziewa się Falko?

– Nie wiem. Ale będzie cię potrzebował, gdy wróci.

Malaki skrzywił się, nie rozumiejąc.

– On jeden mógł zapobiec temu, co się dzisiaj wydarzyło. Wyobraź sobie, jak się poczuje, gdy dowie się, że demon zabrał Quirrena, bo go tu nie było.

Malaki zamknął oczy, by zdusić tę straszną myśl. Bardzo chciał się dowiedzieć, co się stało z Falkiem, a jeszcze niecierpliwiej oczekiwał jego powrotu, lecz teraz zdjął go strach, gdy uświadomił sobie, że będzie musiał powiedzieć mu o pojmanym przyjacielu. Usiłując przypomnieć sobie, jak to było być silnym, przygarnął Brynę do siebie, próbując nie myśleć o tym, co się stało. O tym, że zawiódł i przegrał. W końcu zasnął, a w jego snach trzeszczały łamane kości i brzmiały jęki duszy, która pragnęła umrzeć.



W tym samym czasie w mieście Hoffen Falko bezskutecznie starał się zasnąć. Wyczerpany i zeszywniały z bólu, leżał na prowizorycznym posłaniu w kącie pokoju Lysandra, podczas gdy Sydian odpoczywał na tarasie. Starszy mag bitewny pomógł uzdrowicielom zasklepić rany Falka, który westchnął z ulgą, gdy przynieśli mu lód, by mógł obłożyć nim obolałe krocze.

Był wdzięczny za pomoc i opiekę, ale jednocześnie palił się już do powrotu na południe.

– Muszę wracać do przyjaciół.

– Rozumiem – odrzekł Lysander. – Marszałek Breton spodziewa się ciebie w Amboss.

Mężczyzna był zafascynowany Falkiem i najchętniej od razu zasypałby go pytaniami, ale zdawał sobie sprawę, że to nie jest dobra chwila. Słyszał plotki o czarnym smoku wzbudzającym zamieszanie w Furii, ale mimo to nie czuł się przygotowany na rewelację, które wraz z Feurigiem starali się teraz objąć rozumem.

– Zostań choć na kilka dni – przekonywał. – Choćby tylko po to, byś odzyskał siły.



Falko zgodził się niechętnie. Choć właściwie nie bardzo miał wybór. Zarówno on, jak i Sydian byli zbyt wycieńczeni, by latać. Smok również musiał się nieco podkurować. Rana w piersi o mały włos nie okazała się śmiertelna i Sydian ryczał z bólu, gdy Falko kauteryzował głęboką wyrwę przeraźliwie silnym strumieniem leczniczej energii. Rozcięcie na twarzy smoka wymagało założenia kilku srebrnych szwów i blizna stanowiła teraz odbicie głębokiego wgniecenia w hełmie Falka. Obydwaj mieli szczęście, że przeżyli.

Pokonali jednego z najpotężniejszych dowódców nieprzyjaciela. Falko spodziewał się uczucia satysfakcji, jakiegoś zadowolenia – ale nie czuł nic podobnego. Wzmogło się jedynie wrażenie nadchodzącej zguby. I było coś jeszcze. Dosłownie chwilę po śmierci Pogromcy Falko odczuł falę wściekłości, która wprawiała w drżenie ziemię pod jego stopami.

– Poczuleś to? – spytał Lysandra, gdy uzdrowiciele wreszcie wyszli.

– Tak. To nic nadzwyczajnego odczuć coś takiego po zabiciu demona. Nadzwyczajna była tylko siła tego wybuchu wściekłości. Zadaliśmy wrogowi druzgoczący cios, ale też ściągnęliśmy na siebie jego uwagę.

– A czy czujesz też cienie strachu? – indagował Falko. Miał nadzieję, że mężczyzna zdoła wytłumaczyć niepokój, który rósł w jego głowie, ale Lysander tylko skrzywił się, zmieszany.

– Cienie strachu? – powtórzył, kręcąc głową. – Czuję strach ludzi, ale ty mówisz o czymś innym...

Falko pokiwał głową, raptem poczuł się nieswojo.

– Ciemność na ziemi? – podsunął, ale grymas Lysandra tylko się pogłębił. – Ciemność w głębi... – dodał Falko, rozpaczliwie szukając na jego twarzy śladów zrozumienia. – Ciemność na wzgórzach?

Lysander poczuł, jak niepokój wspina mu się po kręgosłupie, ale mężczyzna nie miał pojęcia, o co chodzi Falkowi. Wychwycił intensywność jego wizji, ale nie wiedział, jakie może być jej źródło.

Zawiedziony Falko spuścił wzrok. Dla niego to wrażenie nadciągającej ciemności było wszechogarniające, przytłaczające. Żywił nadzieję, że dowie się czegoś na ten temat od innego maga bitewnego, ale przekonał się, że Lysander nie doświadczył nic z tego, o czym Falko mówił.

– Spróbuj się przespać – polecił Lysander. – Jeśli zobaczę Nathalie lub kogoś innego, zapytam o tę ciemność.

Falko kiwnął głową, choć wątpił, by mężczyzna czegoś się dowiedział. Poprawił się na posłaniu przygotowanym przez uzdrowicieli. Było wygodne, ale...

– Uzdrowiciele mogą przenieść je na taras, jeśli chcesz spać u boku Sydiana.

Lysander chyba czytał w jego myślach.

– Po prostu przy nim śpi mi się lepiej – odpowiedział Falko, a starszy

mag bitewny uśmiechnął się współczująco.

– Obecność smoka łagodzi koszmary, prawda?

Falko mógł tylko potwierdzić skinieniem. Przez całe życie dręczyły go koszmary i nigdy nie zaznał takiego spokoju jak teraz, kiedy spał u boku czarnego smoka, który odpowiedział na jego wezwanie.

Sydian podniósł głowę, gdy uzdrowiciele pomogli Falkowi przenieść się na taras. Obserwował, jak rozkładają posłanie, a potem, skłoniwszy się, odchodzą. Falko podziękował i jęknął z bólu, kładąc się ostrożnie u boku smoka.

– Tak – odpowiedział na myśl Sydiana. – Wolę zimny taras i twoje dyszenie od trzaskającego w kominku ognia.

Smok uniósł brew, słysząc sarkazm, a Falko syknął, próbując nakryć się ocieplonym kocem.

– Zostaniemy tu kilka dni – powiedział, kładąc głowę na poduszkę. – A potem wracamy na południe.

Sydian zamyślił się, odczytując z głowy Falka myśl o długim locie na południe. Wychwycił obrazy oglądanych przez niego map, a potem ujrzał twarze Malakiego, Bryny i innych ludzi z armii, którą zostawili. Wydał z siebie basowy pomruk aprobaty i złożył głowę na bruku tarasu.

Falko nie musiał się dopytywać – wiedział doskonale, że Sydian rozumie jego słowa i myśli. Całkowicie oswoił się już z tą wymianą wrażeń i obrazów.

Nie mógł się doczekać, aż znowu zobaczy przyjaciół, ale myśl o Amboss ostudziła jego zapał. Całkiem prawdopodobne, że Nieregularni oraz Falko zostaną rozdzieleni, by obsadzić różne odcinki frontu. Lecz nawet mimo to cieszył się na myśl o ponownym spotkaniu. Kto wie, może nawet spotka się z emisariuszem. On pewnie dotarł już do Amboss. Na ustach Falka zajaśniał uśmiech, gdy pomyślał o Chevalierze, ale on przywiódł mu na myśl królową. Królową, która dowodziła teraz ekspedycją w Navarii. Niepokój znów odnalazł drogę do jego serca. Nie mógł znieść myśli o tym, że miałyby wziąć udział w bitwie.

Przynajmniej są z nią Aurelian i Dusaule, pomyślał, a Sydian uchylił powiekę swojego złotego oka.

– Tak, Dwimervane też – dodał na głos, gdy w jego głowie zaświtał obraz niebieskiej smoczy.

Uśmiechnął się, a Sydian zamknął oko. Falko z niejakim wysiłkiem uciał myśli o Aurelianie i królowej. Już za kilka dni będzie wśród przyjaciół. Pokrzepiony, zapadł wreszcie w sen, nieświadomy, że jeden z nich został pochwycony przez nieprzyjaciela.

Podczas gdy on leżał na posłaniu, Quirren cierpiał męki. I będzie cierpiał, dopóki ktoś nie zabije demona, który go schwytał. Ale Falko o tym nie wiedział.

## Pycha kroczy przed upadkiem

---



**K**rajobraz południowego Clemoncé obfitował w zielone lasy i wzgórza. Prowincjonalne drogi nie nadawały się do marszu, ale mimo to Legion Tronowy posuwał się dość szybko. Ostatnią noc żołnierze spędzili w rozległej dolinie, gdzie srebrzyste liście topoli szemrały cicho na wietrze. Noc była spokojna, ale o świcie, jak co rano, legionieści natychmiast zwinęli obóz i ruszyli w drogę. Dwie godziny później dotarli nad północny brzeg rzeki Castanea, gdzie królowa zarządziła postój.

Nurt był płytki i niezbyt szeroki, ale na każdej mapie znaczył południową granicę jej królestwa. Za wodą leżało już wolne państwo Navarii. Jego obszar był strefą zdemilitaryzowaną i wprowadzenie wojska na te ziemie było równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. Z tego właśnie powodu królowa wysłała do króla Tyramimusa dyplomatów, którzy mieli za zadanie pouczyć go o marszu dwóch armii Opętanych i poprosić o udzielenie Clemoncé pozwolenia na przekroczenie granicy.

Pierwszy posłaniec wrócił z pustymi rękami. Drugi doniósł, że wciąż nie otrzymano żadnych wieści od wysokiego lorda protektora. Wyglądało na to, że król „znalazł się poza zasięgiem oficjalnych kanałów komunikacyjnych”, a więc nie ma z nim kontaktu. Królowa podejrzewała, że to jakiś strategiczny wybieg, który ma na celu zmusić ją do przekroczenia granicy na własną rękę, by później wykorzystać to przeciwko niej. Tylko że królowa nie miała czasu na polityczne gierki. Wypuszczeni w teren zwiadowcy poinformowali ją, że pierwsza armia dowodzona przez demona znajduje się dzień drogi od Sophii, a druga wkrótce nadejdzie od południa.

- Przeklęty osioł! – rozzłościła się, usłyszawszy raport zwiadowcy.
- Zawsze możemy odciągnąć demoniczne armie na południe –

zauważył Aurelian, jadący u jej boku. – Zwabić je do Acheronu... Może to zwróci jego uwagę?

Królowa nie odpowiedziała na ten ponury żart. W rzeczywistości nie spodziewała się niczego innego po człowieku tak aroganckim i upartym jak Tyramimus.

Aurelian zerknął na Dusaule'a, ale jego milczący przyjaciel nie wydawał się zaniepokojony sytuacją. Od przywołania Falka był jeszcze bardziej odseparowany od świata, jakby zapuścił się tak daleko w głąb siebie, że sprawy ludzi już go nie dotyczyły. Odwzajemnił spojrzenie Aureliana, a potem utkwiał wzrok w jakimś punkcie za rzeką. Albo pojedą dalej, albo nie. Co to za różnica?

Dla królowej Catherine decyzja okazała się zaskakująco prosta. Była monarchinią Clemoncé, ale nigdy nie postrzegała innych narodów jako „obce” tylko dlatego, że żyły na ziemiach po drugiej stronie kreski na mapie. Dla niej wszyscy byli jednym ludem – ludem Furi.

A więc bez wahania uniosła rękę i przeprowadziła swoje wojsko przez rzekę. Mieli jeden dzień, by dotrzeć do Sophii, zanim ta zostanie zagarnięta przez wroga. Jeśli jej czyn urazi wielkiego Tyramimusa – trudno. Niech wypowie jej wojnę. Jeśli nie powstrzymają Opętanych, i tak wszyscy będą zgubieni.

Gdy królowa przeprowadzała sześć tysięcy żołnierzy przez rzekę, Aurelian spojrzął w prawo, gdzie niestrudzenie ciągnęła za armią Dwimervane, utrzymując niejaki dystans, by nie wystraszyć koni.

Podróż nie była łatwa dla kalekiej smoczyca, ale dzielnie ignorowała ból i dotrzymywała tempa maszerującej armii. I tak jak Aurelian, wyczuwała mroczny cień wroga i rwała się do walki. Aurelian wiedział, że jej zniecierpliwienie dorównuje jego własnemu. Choć lata już nie te, w ich piersiach wciąż były serca wojowników. Nieważne, jakie wyzwania na nich czekają – stawią im czoła razem.



Przy przeciwnej granicy państwa Navaria król Tyramimus stanął na rozległym wzgórzu i spojrzął w dal, czekając na pojawienie się wroga. Zakuty w tradycyjną, wyprofilowaną i upodobnioną do muskularnego ciała zbroję, był ucieleśnieniem królewskiej potęgi. Jego opalona skóra lśniła młodzieńczym wigorem, a czarna broda przydawała bieli błyskającym w uśmiechu zębom. Siedząc na swoim siwym rumaku bojowym, zadarł nos i prychnął szyderczo, gdy kolejny jeździec dostarczył wiadomość dyplomatyczną od królowej Catherine z Clemoncé.

Tyramimus pokręcił głową nad głupiutką Catherine. Córeczka była tak samo nieznośnie uprzejma jak jej tatuś. Demon zagrażał jej południowym granicom, a ona „zwraca się z uprzejmym zapytaniem”, czy może przekroczyć granicę z Navarią. On nie zawracał sobie głowy takimi błahostkami, gdy sam parł ze swoją armią na północ. Przekroczył granicę neutralnego państwa, a teraz rozprawi się z najeźdźcami, aż kłaki będą fruwać. Z całą pewnością nie poprosi o pozwolenie władcy, którego królestwo jest o krok od zguby.

– Tam, panie!

Strumień myśli króla zatamował jego mag bitewny, wskazując palcem na przeciwległy zrąb doliny, gdzie łopotała na wietrze czarna flaga, odznaczająca się kontrastem na tle wczesnoporannego nieba.

Nadciągają Opętani.

Usiłując zapanować nad biciem serca, Tyramimus popędził wierzchowca naprzód. Pierwsze raporty mówiły o czterestu tysiącach Opętanych podzielonych na dwie armie, jedną większą i drugą mniejszą, i o dowodzących nimi dwóch demonach. Jedna z nich obrała drogę prosto na Sophię, podczas gdy druga skręciła na południe. Tyramimus wysłał zwiadowców, by oszacowali liczebność wroga, tak aby na tej podstawie podjąć decyzję o tym, którą z sił zaatakować najpierw.

Zwiadowcy z Sophii jeszcze nie wrócili, ale to nieważne. Wojsko przed nimi liczyło ponad osiem tysięcy żołnierzy i to właśnie ich zaatakuje Tyramimus. Mniejszą armię pozostawi królowej Catherine, gdyż nie miał wątpliwości, że monarchini Furii wjedzie do Navarii z jego pozwoleniem lub bez.

Zadowolony z własnej wspaniałomyślności, wyprostował się w siodle, gdy niepokój przemknął po jego żołnierzach jak krąg rozchodzący się po tafli jeziora. Czuli, że coś się zbliża. Nawet król Tyramimus zacisnął szczęki, gdy zwątpienie narosło w jego sercu. W odległości pół mili od doliny mgła się rozrzedzała i ich oczom ukazała się czarna gromada żołnierzy. Tyramimus po raz pierwszy ujrzał Opętanych i widok przejął go obrzydzeniem.

Ferocki pancerz, choć ciemny i niezbyt elegancki, przypominał trochę zbroje jego własnych żołnierzy. Tysiące skirytów w hoplickich hełmach, płytowych napierśnikach i z okrągłymi tarczami, czarne bloki ciężkozbrojnych kardaków – wszyscy nosili broń, która nie wyróżniałaby się pośród tej na wyposażeniu wojsk Acheronu i Thraecji. Ale to nie widok żołnierzy zmroził królowi krew w żyłach, tylko potężna istota, która kroczyła przed nimi, postać z koszmaru i legend – demon.

Tyramimus wstydził się strachu, który zalał jego umysł. Przez chwilę bał się, że jego żołnierze zauważą tę oznakę słabości. Na szczęście był tu ktoś, kto potrafił ocalić dumę wielkiego króla. Mag bitewny jawił mu się jako bastion nieugiętej woli górujący nad postępującymi żołnierzami

wroga. Otoczył szeregi Tyramimusa nieprzeniknioną tarczą, chroniąc je przed piekielną trwogą. Król nie był tchórzem, lecz fala strachu, która przetoczyła się przez dolinę, była ponad siły zwykłego człowieka. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła i dobył kopis o rękojeści z kości słoniowej.

– Zaczekamy, aż dojdą do przejścia – powiedział. Chciał zaatakować Ferocjan, gdy odsłonią flankę.

– To nie będzie możliwe, panie – rzekł mag bitewny, gdy demon zatrzymał się i podniósł głowę, by spojrzeć prosto na nich. – Skoro ja wyczuwam jego obecność, to on wyczuwa moją.

Tyramimus zadrżał na myśl o tak intymnej więzi, jaka może łączyć człowieka z krwi i kości z tym potworem z piekła.

– My zajmiemy się demonem i bestiarumami – rzekł mag bitewny, mówiąc o sobie i o smoku barwy burzowego nieba. – Jeśli Wasza Wysokość zadba o to, by nie otoczyli nas regularni żołnierze...

Mięśnie na żuchwie króla drgnęły.

– Nie zostaniecie otoczeni – powiedział, całkiem dumny z determinacji, jaką zawarł w swoim głosie.

Odnalazszy jakąś namiastkę opanowania, porwał za miecz, a przenikliwy jazgot wojennych trąb wezwał żołnierzy do étoimoi. „Bacność!” Obok króla wielki smok poruszył się, nie mogąc doczekać się walki, tymczasem wróg parł naprzód.

Poczekają, aż Opętani znajdą się u stóp wzgórza, a potem armia króla Tyramimusa ruszy do ataku.



Królowa zatrzymała konia na wąskiej drodze poganiaczy bydła, gdy otrzymała najświeższy raport o pozycji króla Tyramimusa. Zmarszczyła brwi, dowiedziawszy się, że ten achemoński pyszałek nie kryje się w jakimś pałacu na końcu świata, ale wiezie własną armię do walki z Opętanymi w Navarii. Jednakże zdecydował się zaatakować wojsko, które zbliżyło się do granicy jego kraju, tymczasem jej zwiadowcy donieśli, że druga armia zbliża się do Sophii o wiele szybciej, niż królowa początkowo sądziła.

– Jak daleko musimy jechać? – spytała zwiadowcy.

– Osiemnaście mil. Ale droga nie jest łatwa.

Królowa zwróciła się do pułkownika Laville’a.

– Czy to wykonalne? Czy zdołamy znaleźć się w Sophii przed Opętanymi?

Oficer zmrużył oczy. Kolejny osiemnastomilowy odcinek po drodze

takiej jak ta? Ze świadomością, że na końcu czeka na nich bitwa? Nie będzie to łatwe, ale jest wykonalne. W końcu legion szkolono właśnie pod kątem podobnych wyzwań. Pułkownik Laville uniósł wzrok i zdecydowanie kiwnął głową.

– A więc do dzieła – zaordynowała królowa.

Z tymi słowami pognała konia naprzód, a piętnastu rycerzy tworzących jej osobistą gwardię pomknęło za nią. Zignorowała penetrujące spojrzenie Aureliana Cruza, który zaczynał podejrzewać, że władczyni osobiście chce poprowadzić swoich ludzi do bitwy.

– Cóż za absurd – powiedziała Aurelianowi, gdy zdradził się z podejrzeniami, ale stary mag bitewny wcale nie był przekonany.

Od kiedy młody Chevalier objął stanowisko doradcy wojennego, królowa podchodziła do zajęć ze śmiertelną powagą. Potrafiła jeździć konno nie gorzej od mężczyzn, umiała walczyć lancą, mieczem i łukiem. Może i nie posiadała brutalnej siły wytrenowanego żołnierza, ale miała serce rycerki. Jej zbroja nosiła wszelkie charakterystyczne cechy warsztatu mistrza Missagliasa, a Aurelian nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bardzo chce poddać ją sprawdzianowi.



Serce Tyramimusa wciąż biło jak oszalałe, ale na jego twarzy jaśniała upojna radość zwycięzcy. Nie czuł bólu, gdy królewski chirurg zszywał mu ranę na czole. Odnieśli zwycięstwo.

Przeciąwszy katgut nożykiem, chirurg przycisnął opatrunek do głowy i obwiązał ją bandażem, a następnie zacisnął ekspercki, wyćwiczony węzeł. Król podziękował mu skinieniem i wstał, by uspokoić konia, który stał na skraju pola bitwy, roztrzęsiony przez cisnący się do nozdrzy odór świeżej krwi. Nogi zwierzęcia były naznaczone wieloma rozcięciami, a z prawej łopatki wisiał płat skóry, lecz mimo to prychnął królowi na powitanie, gdy ten przyłożył rękę do jego mokrej od potu szyi. Bitwa zakończyła się zwycięstwem, ale ranne zwierzę stanowiło wyraźny dowód, że było to zwycięstwo drogo okupione.

Tyramimus walczył w kilku bitwach, lecz nigdy jeszcze nie starł się z Opętanymi. Zaszokowała go ich bezmyślna dzikość. Acheronscy żołnierze byli przyzwyczajeni do walki z wojskiem, które stosowało formacje, z takim, którego morale można było złamać – ale nie z Opętanymi. Rany tylko ich rozjuszały i wielu mężów Acheronu zginęło, ponieważ nie spodziewało się, ile trudu będzie wymagało zabicie choćby jednego z Opętanych.

Nawet smok maga bitewnego odniósł rany i potrzebował

kilkugodzinnego leczenia przed kolejnym wzbiciem się w powietrze. Na szczęście było już po wszystkim. Niedobitki Opętanych właśnie dobijano, a ciało demona płonęło na stosie, by, jak mówili niektórzy, uniemożliwić jego nienawistnemu duchowi powrót do świata ludzi.

Serce rosło królowi w piersi, ale w miarę jak bitewny rausz mijał, Tyramimus zaczął rozważać, ile go kosztowało to zwycięstwo. Jego armia miała nad Opętanymi przewagę liczebną, a mimo to musiała włożyć w bitwę wszystkie siły. Po raz pierwszy król Acheronu miał okazję zrozumieć, przez co przechodziły inne królestwa – i ta świadomość podziałała na niego jak kubeł zimnej wody. Nazywał ich słabeuszami ze względu na wielkie połacie ziemi, jakie oddali Opętanym, lecz przecież oni toczyli z nimi wojnę od dziesięcioleci. Król był teraz pełen podziwu, że w ogóle zostało coś jeszcze z Illicji i Beltane.

Zanim zdołał zgłębić ten temat, jeden z oficerów ściągnął na siebie jego uwagę.

– Mój panie – rzekł mężczyzna, wskazując północno-zachodni stok doliny. – Wrócił zwiadowca z Sophii.

Ścierając krew z lewej powieki, Tyramimus wyszedł mu na spotkanie. Twarz jeźdźca pobladła, gdy zobaczył, w jakim stanie jest królewska armia.

– Jakie wieści z Sophii? – spytał Tyramimus, rozgniewany tym, że mężczyzna zwlekał z odpowiedzią. – Czy królowa dotarła do miasta?

Zwiadowca oderwał wzrok od pola bitwy i pokręcił przecząco głową.

– Nie, panie. Ostatnie raporty mówiły, że od Sophii dzieli ją najwyżej dzień drogi.

– Ale dotrze tam chyba przed Opętanymi? – indagował Tyramimus.

– Jeśli dokona tego przed zachodem słońca, tak – odparł zwiadowca. – Ale przybędzie na próżno.

– Co ty gadasz, człowieku? – rozzłościł się Tyramimus. – Wiedzie do walki Legion Tronowy. A żołnierze z Sophii z pewnością ją wspomogą.

– Ale... Opętani, królu...

– No, cóż z nimi? – warknął monarcha. – Właśnie rozgromiliśmy większą z dwóch armii. Królowa dowodzi sześciotysięcznym elitarnym oddziałem. Z pewnością poradzi sobie z mniejszą armią.

Twarz mężczyzny zrobiła się biała jak ściana, a Tyramimusa ogarnęło bardzo złe przeczucie.

– Mój panie – zaczął mężczyzna i zwilżył usta – armie Opętanych musiały zwiększyć liczebność, przechodząc przez Valencję. Pokonana przez ciebie armia była tą mniejszą.

Tyramimus poczuł, że ziemia porusza się pod jego stopami, gdy zwrócił głowę na północny zachód. Dwadzieścia mil w tamtym kierunku leżała stolica Navarii, Sophia, miasto, które mimo niepodległości od zawsze uważał za swoje. Myślał, że będzie bezpieczne, że groźniejsza



okaza się ta z dwóch armii, która prze na południe. A teraz okazało się, że był w błędzie.

Wstyd przebił mu serce włócznią. Jakże żałował swojej pychy. Myśli kłębiły mu się w głowie, gdy odwrócił się i potoczył wzrokiem po swoich żołnierzach, którzy odpoczywali na stokach doliny. Niektórzy szukali niedobitków wśród trupów na polu bitwy, podczas gdy oficerowie nadzorowali ludzi przydzielonych do grzebania zabitych.

Tyramimus spojrział w niebo, a potem zwrócił spojrzenie na północny zachód. Jego ludzie byli wykończeni, ale pora była wczesna. Od południa dzieliła ich niespełna godzina.

Dwadzieścia mil, pomyślał.

„Jeśli dokona tego przed zachodem słońca” – powiedział zwiadowca.

Król zacisnął zęby, powziąwszy postanowienie. Spojrzął na pierwszego z brzegu oficera.

- Daj sygnał armii, by przygotowała się do wymarszu.
- Ale ludzie są wyczerpani, królu. Potrzebują odpoczynku.
- Są żołnierzami Acheronu! – ryknął Tyramimus. – Otrzymują rozkazy i wypełniają je! A ich król rozkazuje wymarsz.
- Dokąd, panie?
- Do Sophii. Na odsiecz królowej Catherine z Furi.



Królowa ogarnęła wzrokiem piękne miasto, a jej serce niemal zakwiliło z rozpaczy. Otoczona murami Sophia stała w szerokiej dolinie; ulice biegły po rozchodzących się koncentrycznie terasach, wznosząc się stromymi zboczami ku wspaniałemu Gwiezdnemu Pawilonowi oraz strzelistym wieżom pałacu ambasadora. Zachodziło słońce. Rozlane po niebie ciepłe światło kontrastowało z czarnymi burzowymi chmurami, które ciągnęły z zachodu, powoli zagarniając niebo. Miasto otoczone było aureolą złotego światła, jaśniejącą dogasającym blaskiem w cieniu burzowego nieba. Awangardę Opętanych dzieliła od murów niespełna mila.

Nie licząc dzwonięcia uzd i okazjonalnego rżenia niespokojnych koni, armia królowej stała w ciszy, aż pułkownik Laville dał wyraz typowo wojskowemu pragmatyzmowi.

– Zwiększyli liczebność.

Królowa nie odpowiedziała. Usiłowała uspokoić drżący oddech, który nagle zrobił się zbyt płytki i zbyt raptowny. Opętanych rzeczywiście było o wiele więcej, niż się spodziewali, i nagle potężny Legion Tronowy wydał jej się mały i słaby.

Pomijając przypadki łapanych niekiedy wojowników, królowa po raz pierwszy ujrzała wojsko Opętanych na własne oczy – i ten widok przejął ją lękiem. Szli naprzód z okropnym, niezłomnym zdecydowaniem, pewni, że nic nie może stanąć między nimi a nagrodą w postaci sześćdziesięciu tysięcy dusz.

– Nie jest jeszcze za późno na odwrót.

Do obowiązków pułkownika Laville'a należało podsuwanie władczyni strategicznych możliwości, ale królowa słyszała niechęć w jego głosie. Nawet w obliczu przeważającego liczebnie wroga dowódca legionu był gotów do walki. Jego odwaga zawstydziła królową Furię.

– Moglibyśmy uciec do Ruaen – powiedział inny oficer. – Zaczekać na posiłki, okopać się.

Perspektywa odwrotu nęciła przytłaczającym uczuciem ulgi, obiecywała ratunek, i królowa prawie już wydała rozkaz. Lecz wtedy przyszli jej na myśl mieszkańcy Sophii. Matki i córki, ojcowie i synowie, żołnierze i urzędnicy, którzy wiedzieli, że nie mogą zrobić nic, by ocalić swoje miasto. Garnizon miejski liczył wszystkiego tysiąc żołnierzy, a na stolicę sunęło ponad dziesięć tysięcy Ferocjan.

Mogła uciec, przegrupować się, zgromadzić posiłki i czekać w Ruaen na dogodniejsze warunki do bitwy. Może tak byłoby mądrzej. Pokusa była nieznośna, niemal jak fizyczna siła. Jakże łatwo byłoby się poddać. Lecz królowa Catherine była córką króla Philipa Plebejusza. I nie mogła porzucić mieszkańców Sophii, tak jak matka nie może porzucić dziecka.

Jakby we śnie, wyjechała na Souverainie naprzód, a każdy żołnierz legionu odczuł w swym sercu straszny konflikt, rozryw pomiędzy potrzebą podążenia za królową do bitwy a chęcią bronienia jej przed niebezpieczeństwem. Była kobietą jak ich siostry i żony, lecz także głównodowodzącą.

Królowa dobyła miecza, a powietrze wypełniła rozdzwonią symfonia stali, gdy sześć tysięcy żołnierzy porwało za broń. Tresowane do walki konie zaczęły orać ziemię kopytami i prychać, przygotowane na to, że zaraz jeźdźcy pognają je do szarzy.

Serce królowej wypełnił okropny strach i nie mogła pozbyć się wrażenia, że staje do walki z wrogiem całkowicie sama. Opętani byli tak blisko, że widziała krocącego wśród nich demona. Strach uderzył w nią z taką mocą, że z trudem zdławiła narastający w gardle płacz, lecz wtedy poczuła obok siebie czyjaś aurę. Znała tego człowieka od lat, ale prawdziwie doceniła jego obecność dopiero teraz.

– On wie, że tu jestem – zwierzyła się, spoglądając zatrwożonym wzrokiem przez szczelinę hełmu.

– To tylko wrażenie – odparł mag bitewny. – Wie, że jesteśmy najsłabsi, gdy myślimy tylko o sobie.

Królowa niedostrzegalnie skinęła głową. Skoro tak, to miała do pomocy cały naród dusz. Będzie myślała o wszystkich, których kocha, a w szczególności o jednym mężczyźnie, który wiele razy mierzył się z takim strachem. Dłonią w skórzanej rękawicy dotknęła klamry z końską głową, którą miała na pasie. Będzie myślała o swoim Chevalierze. Spróbuje dorównać mu odwagą, choć nie będzie to łatwe.

– Demona zostawcie mnie i Dwimervane – rzekł Aurelian, a królowa zadrżała na samą myśl o stawieniu czoła takiemu przeciwnikowi.

– Musimy uderzyć mocno – powiedział pułkownik Laville. – Maksymalnie wykorzystać naszą ciężką konnicę.

Królowa zgodziła się skinieniem.

– Jeśli będziemy szybcy, może uda się zmusić ich do walki na terasie zalewowej.

– A wtedy my utworzymy linię obronną wzdłuż krawędzi kolejnej terasy nad nią – powiedział Aurelian, wskazując schodkowe wzniesienie terenu za zakrzywionym skrajem najniższej położonego obszaru gruntu.

– Dzięki temu nie damy się okrążyć, choć to nie powstrzyma awangardy przed dotarciem do miasta – zauważył pułkownik Laville.

– Przednią straż zostawcie mnie – powiedziała królowa.

Pułkownik już chciał się sprzeciwić, ale królowa weszła mu w słowo.

– Kapitanie Ney, kapitanie Gerald – zawołała. – Pojedziecie ze mną, by bronić bram miasta.

Dwaj kapitanowie skłonili się. Każdy z nich dowodził szwadronem stu rycerzy. Nawet jeśli dodać do tego królewską gwardię honorową, wróg i tak miał przewagę liczebną przekraczającą cztery do jednego, lecz władczyni wiedziała, że nie może prosić o więcej. Laville będzie potrzebował każdej włóczni i każdego miecza, jeśli ma zatrzymać trzon armii Opętanych.

Nie ryzykując spojrzenia w kierunku Aureliana, zwróciła się raz jeszcze do pułkownika Laville’a.

– Niech światłość łśni w twojej klindze.

– I w twojej – odparł pułkownik przez ściśnięte gardło.

Gdy królowa zwróciła konia w kierunku miasta, Aurelian zerknął na Dusaule’a.

Jedź za nią, powiedział skinieniem.

Oczy Dusaule’a były ciemne i nieodgadnione, ale skinął na tak. Od kiedy Falko przywołał smoka, stary mag bitewny unikał Dwimervane, lecz teraz zwrócił się do smoczycy. Aurelian wiedział, że ona nie obwinia milczącego zagrodnika o to, co zrobił, lecz Dusaule był nazbyt pochłonięty poczuciem winy i żalem, by to zobaczyć. Z ledwie dostrzegalnym skinieniem spuścił wzrok i okręcił konia, by ruszyć w ślad za królową.

Aurelian patrzył, jak zaczęli zjeżdżać po pochyłości ku miastu,

podczas gdy pułkownik Laville poprowadził resztę armii ku głównym siłom Opętanych.

Ciężka kawaleria wysunęła się na prowadzenie. Jeśli dobrze zgrają się w czasie, zadadzą wrogowi druzgoczący cios, jeszcze zanim demon wybiegnie na czoło. A gdy to się stanie, Aurelian i Dwimervane wezmą go na siebie.

Stary mag bitewny poczuł znajomy ciężar odpowiedzialności, ale był gotów go udźwignąć. Zbyt długo lenił się w wygodnym gospodarstwie w Furii. Jedną ręką czy dwie, to bez znaczenia, bo właśnie tutaj było jego miejsce, przodem do wroga na wszystkich polach bitew, jakie istniały na tym świecie.

Bijąca od towarzysza determinacja dotarła do Dwimervane i smoczyca warknęła z aprobatą, gdy tymczasem legion rzucił się do ataku. Aurelian nie mógł teraz myśleć o królowej. Miał przed sobą tron ferockiej armii, mknący prosto na nich, oraz demona, przed którym ugięła się nawet odwaga legionistów. Lecz stary mag bitewny spędził zbyt wiele lat, osłaniając żołnierzy przed takim właśnie strachem, i choć jego ciało było okaleczone, jego wiara nie straciła nic z dawnej siły.

Otoczywszy legion ochronną barierą, pomknął wraz z armią do walki z Opętanymi.



Zjeżdżając po skarpie, królowa schroniła się w tym miejscu w swoim umyśle, do którego musieli uciekać wszyscy żołnierze szykujący się do spotkania z koszmarnym widmem śmierci. Gdy przednia straż Opętanych zbliżyła się do miasta, monarchini uniosła miecz. Nie dysponowała tubalnym głosem musztrowego sierżanta, lecz jej słowa i tak przebiły się przez huk kopyt, gdy pogoniła wierzchowca do cwału.

– Za Navarię! – zawołała, lecz rycerze Furii mieli swój własny okrzyk.

– Za królową! – ryknęli.

Choć królowa nigdy jeszcze nie była tak przerażona, jej serce zaszamotało się w piersi jak wypuszczony z klatki ptak, gdy powiodła swych braci do bitwy.



Zgromadzeni na murach mieszkańcy Sophii patrzyli i nie wierzyli własnym oczom, gdy armia królowej Furii pojawiła się na zboczu. Dotąd sądzili, że są zgubieni, że nie ma ucieczki przed czarną armią

nadciągającą ze wschodu. Teraz ronili łązy, chłonąc wzrokiem władczynię z Clemoncé, która przybyła im z pomocą. I tylko najstarsi żołnierze w stolicy wiedzieli, że nawet serce tak wielkie jak jej może okazać się niewystarczające, by ich ocalić.

## Bitwa o Navarię

---



**K**rólowa Furii wjechała do doliny, w której leżała Sophia, na czele ławy rycerzy, rozpostartej niczym ściana z lśniącej stali. Na krótką chwilę wszystkie jej myśli zdławił ogłuszający huk kopyt. Podniosła się w strzemionach i pochyliła do grzbietu Souveraina, klingą miecza wskazując ziemię, a drugą ręką jednocześnie ściskając wodze i kulę siodła, by utrzymać równowagę.

Choć tylko dwieście jardów dzieliło ich od Opętanych, nie jechali jeszcze z maksymalną prędkością. Dowódczyni odczeka z przyspieszeniem do ostatniej chwili. Ziemia pod kopytami jej konia już rozmazywała się w pędzie i królowa miała wrażenie, że nie jedzie konno, ale leci jak na skrzydłach. Wiatr wciskał się w szczeliny jej hełmu, schładzając twarz pokrytą warstewką potu. Oddech wpływał i wypływał z płuc jak w zwolnionym tempie, rytm kopyt Souveraina brzmiał w jej uszach jak jednostajny huk bitewnych bębnow. Świat wstrzymał oddech przed skokiem w rozwartą paszczę chaosu.

Po jej prawej stronie potężniał zarys miasta ukoronowanego lśnjącymi w wieczornym świetle iglicami. Daleko po lewej kładł się czarny cień, trzon ferockiej armii. A na wprost przed sobą widziała mknącą jej na spotkanie awangardę Opętanych, skłębioną masę skiryków i kardaków, która sposobila się do zajęcia miasta. Byli już prawie przy murach, a pierwsze bestiarumy biegly ku bramie. Podobna do tura bestia na pewno przebiję się do wewnątrz i wpuści do miasta czarną falę Opętanych. Rycerze mieli tylko kilka chwil na wyprowadzenie uderzenia, potem będzie za późno.

– En vérité! – zakrzyknęła królowa i dwieście pięćdziesiąt rumaków bojowych rzuciło się naprzód, osiągając pełną prędkość.

Opętani zauważyli ich dopiero teraz. Z niepokojącą jednomyślnością, niczym wielki rój czarnych szerszeni, zwrócili się w stronę

zjeżdżających ze stoku legionistów. Wielu Opętanych puściło się biegiem ku nowemu zagrożeniu, ale większość skupiła się w ciasnych szeregach, przygotowując się na uderzenie rozpędzonej szarży. Było jasne, że zdają sobie sprawę ze spustoszenia, jakie może zasiać w szeregach piechoty ciężka konnica.

Drugi bestiarum także spostrzegł oddział królowej. Drapnął ziemię pazurami, wyrzucając w powietrze kępy trawy, i zmienił kurs, biorąc na cel biegnące konie. Ale pierwsza bestia wciąż była skupiona na wrotach.

Królowa zakłęła pod nosem.

Hełm ograniczał jej pole widzenia, złapała więc wzrokiem tylko rozmazany czarny kształt taranujący bramę. Z murów miasta spadł na potwora grad strzał, ale obrońcom brakło koordynacji i ich atak okazał się daremny – bestia grzmotnęła o wrota, aż echo poniosło się po równinie.

Nawet skupiona na szarży królowa wzdrygnęła się na ten huk, lecz nie miała już czasu, by spojrzeć, czy brama wytrzymała. Odległość do pierwszej linii Opętanych kurczyła się z zatrważającą prędkością. Królowa zacisnęła zęby i przygotowała się na zderzenie.

Ponad setka skirytów pędziła w ich stronę, ale rycerze Furii po prostu ich staranowali i żołnierze zniknęli pod kopytami. Królowa zobaczyła, jak jeden z Opętanych unosi na nią miecz. Szarpnęła za cugle i Souverain wpadł na napastnika, uderzając go swoim napierśnikiem i odrzucając w tył. Czarna krew zbryzgała zbroję królowej, ale obrzydzenie stało się dla niej abstrakcją, odpryskiem jakiegoś poprzedniego życia, gdy jej legion w pełnym pędzie wbił się w awangardę Ferocjan.

Przez ułamek sekundy widziała przed sobą linię najeżoną włóczniami, a potem świat wybuchł chrzęstem miazdzonej stali i mlaskiem tratowanego mięsa. Ich szarża była jak dzika fala śmierci i rycerze Furii wdarli się głęboko w tłum Opętanych. Rozległ się wizg i rzenie koni, dookoła trzaskały włócznie, ale fala parła naprzód, a królowa wraz z nią. Jej nogi były poobijane i posiniaczone od odbijających się od płyt pancerza ciosów i zderzeń z tratowanymi skirytami. Trzy razy nieomal zrzuciono ją z siodła, jednak jakimś sposobem utrzymała się na końskim grzbiecie, a potem szarża w końcu wyhamowała, królowa zaś potoczyła wokoło rozbieganym wzrokiem, usiłując zorientować się w szalejącym wokół niej wirze stali.

Pierwszy raz znalazła się w sercu bitwy i spadła na nią lawina doznań, pod którą nieomal się ugięła. Ogłuszył ją nieopisany hałas, wszędzie dookoła szalała przemoc, spadały ciosy i gięła się stal. Wiedziała, że jeśli się nie opanuje, jeśli nie przełamie odrętwienia, wir ją pochłonie. Raptem zorientowała się, że rycerze wokoło osłaniają ją przed wrogiem. Jej beczynność narażała ich na ryzyko. Z ukłuciem

wstydu przypomniała sobie jedną z lekcji o walce z końskiego grzbietu, której udzielił jej emisariusz.

– Dynamika i agresja! To nie konkurs jeździecki! – ryknął wtedy, doprowadzony do rozpaczy oporem materii, zapominając, że mówi do suwerena, a nie do kadeta na poligonie.

Przypomniawszy sobie wstyd, jaki ją wówczas ogarnął, królowa porwała za cugle i wpuściła Souveraina w grupę skirytów, która otoczyła jednego z rycerzy. Wreszcie doszła do siebie i poczuła w dłoni pokrzepiający ciężar miecza.

Agresja? – pomyślała. Ja mu pokażę agresję. Zaczęła okładać Opętanych; nie klepać delikatnie, jak mogłaby to zrobić kobieta nosząca na dworze najpiękniejsze suknie, lecz rąbać i siec, jak mogłaby to robić matka broniąca dziecka przed zakusami mordercy. Szaleńcze ciosy wgniatały zbroje i wcinały się głęboko w gnijące mięśnie.

Królowa natychmiast poczuła jedność z otaczającymi ją wojownikami, stała się jedną z głów morderczej hydry zwartej w boju ze śmiertelnym wrogiem. Opętani wciąż mieli przewagę liczebną, ale legioniści zadali awangardzie potężny cios i królowa zaczynała wierzyć, że mogą wygrać. Wtedy, ledwie trzydzieści jardów od niej, jakaś siła wyrzuciła konia w powietrze, a jego jeździec zwałił się z siodła i zaraz pochłonęła go masa skirytów. Ta sama siła odrzuciła w bok drugiego rycerza, a wraz z nim kilku Opętanych, którzy się przypadkiem napatoczyli, i w wyrwie po nich ukazał się bestiarum.

Wysoki jak koń pociągowy i o wiele bardziej muskularny stwór utorował sobie drogę do królowej wprost przez zatłoczone pole bitwy, jakby z daleka wyczuł jej błękitną krew. Dwaj rycerze zagrodzili mu drogę, ale bestia nawet nie zwolniła, obalając ich razem z końmi.

A potem rzuciła się na nią.

Bezbronna i sparaliżowana strachem, królowa nieomal wrzasnęła, gdy Souverain wspiął się na zadnie nogi. Potężna kreatura zdawała się wypełniać całe jej pole widzenia, gdy pędziła w jej stronę z mordem w oczach. Wtedy nagle zatrzymała się, jakby napotkała na swojej drodze niewidzialną ścianę. Jeden z jej rogów się ułamał, a na wykrzywioną twarz wypłynął grymas zdumienia, gdy Nicolas Dusaule odgrodził ją od królowej magiczną barierą. Uderzenie nastąpiło tak blisko władczyni, że ta poczuła na twarzy podmuch powietrza. Olbrzymie monstrum padło na ziemię, gdzie dobito je tuzinem lanc.

Z walącym jak szalone sercem królowa zwróciła się do Dusaule'a, który po prostu patrzył na powalonego potwora z tym samym beznamiętnym wyrazem twarzy, jaki utrzymywał przez całą podróż na południe. Podniósł spojrzenie na królową, a ona ujrzała krew ciekącą z jego nosa – jedyną oznakę tytanicznego wysiłku umysłu, którego wymagało zatrzymanie rozjuszonego bestiaruma.



Po tej błyskawicznej wymianie spojrzeń Dusaule i królowa wrócili do bitwy, by znowu walczyć o życie i siac śmierć. Pęd szarzy dawno się już wytracił i teraz doszła do głosu liczebność Opętanych. Rycerze Furii walczyli jak czempioni, lecz przeciwników było zbyt wielu.

Souverain obracał się, rozsiewając wokół potężne kopniaki, a królowa zabiła kolejnych dwóch Opętanych, gdy nagle poczuła przeraźliwy ból w kolanie. Spojrzawszy w tę stronę, zobaczyła skirytę składającego się do drugiego uderzenia. Zabiła go pchnięciem w szczelinę hełmu, a potem skupiła się na tym, żeby nie zemdleć, gdy czuła krew ściekającą po nodze. Z narastającą paniką ogarnęła spojrzeniem pole bitwy. Choć walczyli ze wszystkich sił, wróg zaczynał zdobywać przewagę. Ból w nodze sprawił, że kręciło jej się w głowie i była pewna, że zaraz spadnie z konia, ale wtedy usłyszała od strony miasta dźwięk rogu.

Podniosła wzrok i zobaczyła kolumnę żołnierzy wychodzącą z bramy.

Garnizon Sophii przybywał z odsieczą.

Wrota wytrzymały druzgoczącą szarżę pierwszego bestiaruma. Popękały i wgięły się do środka, ale przybycie królowej zapobiegło wdarciu się Opętanych do stolicy. Navarscy obrońcy wreszcie zabili bestię i teraz to oni jechali wspomóc królową. Łucznicy na murach chłostali Opętanych kolejnymi salwami, a teraz od strony miasta pędziła w ich stronę lekka konnica. Nie była tak silna i tak dobrze wyszkolona jak rycerze Furii, ale przechyliła szalę na ich korzyść.

Rycerze królowej z odnowionym zapalem wznowili walkę, by wyrwać się z ciżby Opętanych i przegrupować na zboczu. Z wojskową dyscypliną uformowali szyk i już mieli rzucić się z powrotem w bitewną gęstwinę, gdy kapitan Geraldzi zauważył krwawiącą ranę na nodze królowej.

– Jesteś ranna, pani!

– Drobnostka – odrzekła, choć przeczył temu nieznośny ból w kolanie.

– Wasza Wysokość zrobiła już, czego wymagał honor – spierał się Geraldzi, ale królowa nie miała zamiaru go słuchać.

– Walka nie toczy się o honor, kapitanie! – warknęła. – A teraz rozdaj swoim ludziom lance i przygotuj się do natarcia!

Kapitan powinien się dobrze zastanowić, zanim potraktował swoją dowódczynię z góry, lecz jego intencje były dobre, a więc królowa podjęła łagodniejszym tonem:

– Żołnierze z Sophii rozprawią się z niedobitkami awangardy. A my musimy teraz zrobić wszystko, co w naszej mocy, by pomóc pułkownikowi Laville'owi.

Kapitan skinął poważnie głową, gdy bladzi, lecz zdeterminowani

giermkowie zaczęli wydawać rycerzom broń. Nie minęło pół chwili, a wojownicy byli gotowi do walki. W boju poległo sześćdziesięciu ich towarzyszy, łącznie z kapitanem Neyem, a kolejnych dwunastu odniosło rany wykluczające ich z dalszej walki, ale oddział wciąż liczył prawie stu osiemdziesięciu żołnierzy i był siłą, z którą należało się liczyć.

Rycerze zjechali do doliny, gdzie Legion Tronowy usiłował dać odpór głównym siłom armii Opętanych.

– Wciąż bronią się na wysokiej pozycji – poinformował królową kapitan Gerald, gdy spojrzeli w dół stoku. – Choć wydaje się, że Opętani zaczynają przedzierać się przez lewą flankę.

– A więc to tam uderzymy – postanowiła królowa.

Kapitan nie ośmielił się odezwać, gdy uniosła miecz i powiodła swoich rycerzy do bitwy.



Walczący w pierwszej linii Aurelian zablokował zdradziecki atak skiryty od dołu i kopnął napastnika w bok głowy, gdy ten próbował wdrapać się ku niemu po zboczu. Obracając się w lewo, posłał skoncentrowany impuls energetyczny w kierunku kardaka, który prawie już zabił zmagającego się z nim rycerza. W tym samym czasie po jego prawej stronie Dwimervane raz po raz raziała ciosami każdego skirytę, który okazał się na tyle głupi, by znaleźć się w zasięgu jej łap.

Na całej długości skarpy żołnierze legionu walczyli, by uniemożliwić liczniejszej części armii Opętanych dotarcie do miasta, ale wróg atakował z taką zaciekłością, że rozkaz do odwrotu wisiał w powietrzu.

Wciąż osłaniający armię królowej płaszczem wiary Aurelian zaklął pod nosem, gdy zobaczył po swojej lewej oddział Opętanych przeprawiający się przez rzekę. Jeśli wróg obejdzie ich flankę, legion bezpowrotnie utraci przewagę.

Nieco bliżej formacja dwudziestu toksytów, z oczami zasłoniętymi czarnymi, skrwawionymi szmatami, przesuwała się na czoło skłębionej hordy. Mówiło się, że ci osłepieni łucznicy celowali do ludzkich dusz, a oczy wyłupiono im, by nie rozpraszał ich widok rzeczy materialnych. Tak czy siak, ich nieludzka celność potrafiła zmrozić krew w żyłach.

Aurelian widział, jak setki czarnych strzał przetrzebiły zastępy obrońców. W konsekwencji szyk się załamał, a Opętani poszli za ciosem, by wypełnić lukę. Setki skirytów pomknęły po stoku, przelaząc przez sterty trupów, które tworzyły barykadę wzdłuż linii skarpy. Ich atak z pewnością okazałby się skuteczny, gdyby Aurelian nie posłał w ich stronę ryczącej kuli płomieni. Nie przypominała ona małych ognistych

kul, którymi posługiwał się w czasie szkolenia Falka. To była rozszalała burza żywiołu, który zostawił po sobie wielką wyrwę w czarnych szeregach. Trupy pofrunęły się we wszystkie strony i natarcie wyhamowało. Drugim pociskiem Aurelian puścił w rozsypkę szeregi toksytów, dając żołnierzom legionu dość czasu, by załatali podziurawiony szczyk.

Wystrzeliwszy dwa potężne pociski, Aurelian potrzebował chwili, by dożyć do siebie. Wysiłek sprawił, że mroczki zatańczyły mu przed oczami. Zapomniał już, ile energii potrzeba do odpalenia prawdziwie druzgoczącego ataku. A jednak czuł się świetnie, po tylu latach znów zaprzęgając do pracy swoją prawdziwą moc. Czuł, jak jego siły momentalnie się regenerują, gdy znów robił to, po co przyszedł na świat. Naokoło ryczała bitwa, a on wrócił wzrokiem do gromady Opętanych i skrzyżował spojrzenie z demonem.

Gdy legion znalazł się na pozycji, wrogowie puścili się naprzód, ale demon się zatrzymał. Czarni żołnierze opływali go niczym fala. Stwarzał pozory ostrożności, ale Aurelian nigdy jeszcze nie widział wahającego się demona. Zwykle były one esencją wszelkiej arogancji. Ostrożność była nietypowa i budziła niepokój. Aurelianowi przyszło na myśl, że może piekielnik usiłuje przywołać drugiego demona, lecz potężna postać nagle rzuciła się do ataku, a u jej boku mknął ku bitwie olbrzymi bestiarum.

Dwimervane zabiła już jednego z tych odrażających potworów. Bestia przeorała szeregi Opętanych, nim rzuciła się na żołnierzy broniących skarpy. Piechotę uczono, że walkę z bestiarumami należy rozpocząć od wycofania się, by następnie otoczyć je ze wszystkich stron i zakłuć z bezpiecznej odległości bronią drzewcową. Jednakże w tej sytuacji wycofanie się nie wchodziło w rachubę, bo wyłom natychmiast wykorzystaliby Opętani. Żołnierze musieli więc utrzymać pozycję. Ośmiu zginęło, nim dotarła do nich Dwimervane.

Rany niebieskiej smoczycy utrudniały jej poruszanie się, lecz mimo to uderzyła z siłą, o jakiej nie mógł marzyć żaden człowiek. Gdy spadła na bestiaruma, ten miażdżył w paszczy jednego z wojowników. Dwimervane trafiła bestię w ramię, naznaczając poczerniałą skórę czterema głębokimi ranami.

Stwór wypuścił ofiarę i okręcił się, by podjąć walkę. Uderzył rogatym łbem, celując w smoczą pierś. Dwimervane skoczyła w tył, ale źle zrosnięta skóra krępowała jej ruchy i czubek rogu trafił ją w ramię. Rycząc z bólu, złapała łapą za drugi róg i poderwała głowę stwora do góry, jednocześnie chłuszcząc go ogonem po żebrach. Bestia cofnęła się, chcąc złapać smoczycę za ogon, lecz wtedy Dwimervane szarpnięciem obaliła ją na grzbiet i wbiła własne rogi w jej pysk. Z gardzieli stwora dobył się okropny charkot, monstrum usiłowało wstać, a wtedy

smoczyca rozwarła paszczę i dobiła go ognistym atakiem, który zerwał mu mięso z czaszki.

Ciało bestiaruma zwiotczało, osunął się na spaloną ziemię, a z jego drżącego truchła poniósł się w niebo cuchnący dym. Wtedy Dwimervane przerzuciła go przez krawędź i wycofała się, pozwalając żołnierzom zamknąć lukę w szeregu. Zrobili to z trwożliwym szacunkiem. Wcześniej wszyscy popatrywali na utykającą Dwimervane w drodze na południe, ale pierwszy raz widzieli smoczycę w akcji i widok ten wyraźnie nimi wstrząsnął.

Dwimervane wróciła do Aureliana i znów walczyli ramie w ramie, plasując się w środku szyku, stając się jego nienaruszalnym fundamentem. Lecz teraz demon kroczył w ich kierunku, a idący przy jego nodze bestiarum był znacznie większy od tego, z którym właśnie poradziła sobie Dwimervane. Bitewny zgiełk zdawał się dobiegać z bardzo daleka, gdy Aurelian patrzył na dwie zwaliste sylwetki. Jeśli dostrzegł wcześniej w demonie jakieś wątpliwości, nie było już po nich śladu.

– Wiem – rzucił do powarkującej przy jego boku Dwimervane. – Zabijemy drani razem.



Demon wwiercał się wzrokiem w Przeciwnika stojącego z wyrmem na krawędzi wzgórza. Znalazł drugą Wielką Duszę bliżej miasta, ale ona nie przedstawiała zagrożenia. Jej umysł dawno temu wyjałowiał przez rozjątrzone poczucie winy i rozpacz.

Nie spodziewał się nadejścia posiłków. Zaskoczenie zmusiło go do ponownego rozważenia dalszych działań, wyczuł bowiem przed sobą wyrma i nie jednego, lecz dwóch Przeciwników. Wierni mijali go, gdy szacował siłę wrogów. Jeden z nich był kaleki na ciele, drugi na umyśle. Nawet smoczyca była jedynie cieniem wojowniczką, którą musiała być za młodu.

Wciąż jednak byli groźni, demon postanowił więc poczekać z atakiem, sięgnąć umysłem do piekielnego wymiaru i sprowadzić pomoc. Nie miał dość siły, by przywołać drugiego demona, ale miał dość wiary, by ściągnąć do niewydarzonego świata kolejnego bestiaruma, nasróżone i potężne monstrum, przewyższające wszystkie inne bestie, które znalazły się dotąd w krainie ludzi. Demon już czuł, jak bestiarum unosi się z głębin ziemi ku powierzchni. Aby dopełnić przywołania, musiał zanieść do piekieł ostatnią modlitwę. Poczeka cierpliwie na odpowiedni moment, by spuścić piekielnego ogara z magicznej smyczy.

Wiedząc, że ma teraz więcej siły, niż trzeba, by pokonać wszystkich wrogów, demon ruszył do walki.



Pułkownik Laville zmełł przekleństwo, gdy lewa flanką zaczęła się sypać. Opętanych było zbyt wielu, a on nie mógł zabrać ze środka ani jednego żołnierza więcej, nie ryzykując przełamania szyku. Zdążył już zużyć rezerwę do wsparcia prawej flanki, a teraz patrzył, jak demon rusza naprzód. Wróg zaczynał przełamywać defensywę legionistów, a jemu brakowało ludzi, by przejść do ofensywy.

Gdyby wiedział, że armia króla Tyramimusa znajduje się teraz niespełna cztery mile stąd, popędziłby w kierunku miasta i przywarł plecami do jego murów.

Lecz nie wiedział.

Opętani okrążali jego lewą flankę i wyglądało na to, że nic już nie może temu zapobiec, lecz wtedy zauważył obwieszone proporcami lance oraz zjeżdżających po zboczu rycerzy. Przez chwilę myślał, że to przegrupowuje się jedna z jego własnych jednostek kawaleryjskich, ale dostrzegł łopoczący wśród nich królewski sztandar i jego serce porwało się do lotu.

Nie wiedział jak, ale najwidoczniej królowej udało się rozbić przednią straż Opętanych i teraz wracała do doliny im na odsiecz. Nawet z miejsca, w którym się znajdował, mógł dostrzec, jak bardzo przetrzebione są jej szeregi, ale może wystarczą, by podbudować lewą flankę i zepchnąć Opętanych z powrotem za rzekę. A nawet jeśli celu nie uda się osiągnąć, może choć zyskają nieco czasu.

Owładnięty emocjami, skupił uwagę na bitwie i poprowadził swoją konnicę na prawo, gdzie ponad setka skirytów wdarła się na szczyt skarpy. Jego rycerze wpadli w Opętanych i zaczęli ich siec, zanim tamci zdolali wyrządzić zbyt wiele szkód. A potem nagle zmierzch został rozdarty przez wielki czarny płomień, który wypalił dziurę w środku jego szyku.

Wrzaski poniosły się w powietrze, a gryzący swąd płonącego ciała wdarł się do nozdrzy pułkownika Laville'a. Patrzył, jak jego ludzie cofają się z miejsca, gdzie wżarł się w ich szeregi ognisty pocisk, który demon wycelował w Aureliana Cruza i niebieską smoczycę imieniem Dwimervane.

Chyba nic nie mogło przeżyć takiej eksplozji piekielnego ognia.



Aurelianowi starczyło sił, by osłonić tarczą Dwimervane oraz trzech żołnierzy walczących najbliżej niego. Resztę pochłoniął ogień wieczny. Ludzie wyli i krzyczeli, ale Aurelian skupił całą uwagę na tym, by zwalczyć płomień usiłujące pożreć ich dusze. Nawet w roztoczonej przez niego sferze ochronnej gorąco było niemal nieznośne, a rozgrzane powietrze parzyło płuca z każdym oddechem. Gdy mroczny ogień przygasł, Aurelian wyprowadził kontratak. Piekła go skóra i pot ściekał mu po twarzy, jego siwe włosy były nadpalone i unosiły się z nich smugi dymu, ale spojrzenie miał złowieszcze, gdy wyprostował się i zebrał moc, by machnięciem miecza posłać w stronę demona świetlisty pocisk w kształcie ostrza. Magiczne uderzenie zmiotło kilku Opętanych, ale demon miał dość czasu, by zasłonić się tarczą cienia. Atak Aureliana okazał się tak silny, że wbił się w ciemność i wypalił ranę w ciele demona, sięgającą od prawego uda do lewego ramienia, uszkodzając po drodze wyciągniętą dłoń. Kreatura zaryczała z wściekłości, a potem pochyliła rogaty łeb i przypuściła szarżę. Bestiarum u jej boku także rzucił się do biegu i dwa zwaliste monstra pomknęły w kierunku skarpy.

Twarz Aureliana była kamienną maską, gdy mierzył ich wzrokiem. Złapał za miecz i naszło go wrażenie, że napinają się mięśnie jego lewego ramienia, jakby wciąż było ono na miejscu i dźwigało ciężar tarczy. Stojąca obok Dwimervane także szykowała się do starcia. Oboje przypomnieli sobie swoją ostatnią walkę. Wówczas mierzyli się z dwoma potężnymi książętami i ledwie uszli z życiem. Teraz byli starsi i mniej sprawni, ale gra szła o najwyższą stawkę.

Rozpychając się i tratując własnych wojowników, dwa monstra mknęły już po pochyłości ku Aurelianowi i smoczy. Bestiarum przesadził całe zbrocze jednym susem, by spaść na Dwimervane. Obaj piekielnicy budzili przestach i wyglądali, jakby nie mieli żadnych słabych punktów, lecz Aurelian Cruz i Dwimervane nie pierwszy raz stawiali czoła takim potworom. Zespoleni myślą człowiek i smoczyca bez wahania przystąpili do walki.



Szarża królowej wystarczyła, by zabezpieczyć lewą flankę legionu, a gdy Opętani zostali zepchnięci z powrotem do rzeki, władczyni zgodziła się wreszcie wycofać z pierwszej linii.

– Jeśli uznam, że potrzebna jest druga szarża, nie zawaham się –

oznajmiła kapitanowi Geraldemu.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparł oficer, a ona wraz z Dusaule’em schroniła się w środku formacji w obstawie dziesięciu rycerzy z gwardii honorowej.

Znaleźli się na wyżej położonym fragmencie terenu, gdzie kawaleria próbowała otaczać rozdrobnione gromady Opętanych, którzy zdołali przeleźć za krawędź skarpy. Legion był już mocno rozwleczony wzdłuż linii zbocza, ale wciąż się rozciągał i było jasne, że prędzej czy później wróg się przebiję.

Gdy stanęli, królowa raptem zakołysała się w siodle. Ogarnęła ją fala bólu i dobitniej odczuła zmęczenie. Nie uszło to uwadze Dusaule’a, który zszedł z konia, by zobaczyć, czy da się jakoś pomóc władczyni. Zanim jednak zdołał zaprząć do pracy leczniczą magię, wzrok obojga przyciągnął środek pola bitwy, gdzie Aurelian i Dwimervane toczyli bój z demonem i ostatnim bestiarumem.

Ponad połyskliwymi szeregami legionistów widzieli błyski światła i wybuchy ognia. Magiczna siła miotała ciałami zabitych żołnierzy i reszta pola bitwy wydawała się spokojna w porównaniu ze zgiełkiem i hukami w epicentrum walki.

– Podchodzą coraz bliżej – wydyszała królowa i rzeczywiście była to prawda.

Aurelian i Dwimervane wciąż walczyli, ale wróg spychał ich z pola. A gdy oni się cofali, Opętani coraz tłumniej wbijali się klinem w serce armii królowej, dzieląc oddział legionistów na dwoje.

Raptem miejsce, w którym znalazła się królowa, przestało być bezpieczne. Jeden z rycerzy nalegał, by pozwoliła się odeskortować do miasta, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Wraz z Dusaule’em przyglądali się zbliżającemu się ku nim masywowi przemocy. Wróg był już tak blisko, że dało się dostrzec Opętanych między przeredzonymi legionistami. Oboje widzieli ich fizyczne postacie, ale tylko Dusaule mógł wyczuć ich umysły.

Bestiarum – nic poza brutalną, zwierzęcą siłą.

Demon – wcielenie nienawiści, rozszoszczony oporem ze strony Przeciwnika i wyrma.

Dwimervane – potęga i szlachetność, serce jak letnia nawałnica.

I Aurelian – płonący światłem, które jaśniało w jego kalekim ciele i niewyparzonej języku.

Ale było tam coś więcej, coś ukrytego.

Zdjęty trwożą Dusaule zorientował się, że demon ma jeszcze asa w rękawie.

Robiąc krok naprzód, Dusaule uniósł tarczę i dobył miecza. A potem, z pogłębiającym się na twarzy grymasem, przepchnął się przez luźny szereg żołnierzy. Walczący tytani byli już bardzo blisko i rycerze królowej

uformowali przed nią obronny szyk.

Dusaule zamknął się na wszystkie bodźce i całkowicie skupił na demonie, lecz choć bardzo się starał, nie mógł odgadnąć natury ataku, który tamten szykował. Aurelian starał się jak mógł, by powstrzymać napór piekielnika. Dusaule widział, jak uchylił się przed szerokim ciosem i wypuścił prędko ognistą kulę, lecz przeciwnik, odnalazszy lukę w gardzie, uderzył go z mocą w pierś, oszalał i unieszkodliwiając na krótką chwilę. Demon odciągnął rękę, składając się do ciosu, a Aurelian zginąłby na miejscu, gdyby Dwimervane nie dała nura naprzód i nie zacisnęła kłów na ramieniu atakującego. Jednak instynkt każący jej bronić Aureliana zmusił ją do odsłonięcia się i smoczyca warknęła z bólu, gdy bestiarum wbił róg w jej brzuch.

Dwimervane runęła na ziemię i ryknęła okropnie, kiedy róg wysunął się z jej ciała. Usiłowała wstać, nie zważając na wypływającą z boku krew, ale bestiarum ponowił atak i wbił się głęboko w smoczą pierś.

Umysł Dusaule'a krzyknął na widok pięknego niebieskiego smoka padającego na ziemię. Przez ten wybuch emocji demon zwrócił na niego uwagę. Uprzytomnił sobie, że stoi teraz przed dwoma Przeciwnikami, i zaczął się modlić. Dusaule naparł naprzód, ale przepchnąwszy się między pierwszymi żołnierzami w linii, zrozumiał, że jest już za późno.

Coś wydobywało się spod ziemi na powierzchnię.



Aurelian poczuł, że jego żebra pękają, gdy demon trafił go w pierś. Przez łzy dostrzegł, jak Dwimervane kąsa demona w ramię i pada pod ciosem bestiaruma. Próbował jakoś jej pomóc, lecz piekielnik zagroził mu drogę, i mógł tylko patrzeć, jak bestia zanurza ostry róg w piersi smoczycy.

– Nie! – wrzasnął Aurelian, wyczuwając, że rana jest śmiertelna.

Płonąc furją, uderzył w demona gromem pierwotnej siły, która rzuciła zwałistego piekielnika na kolana, a potem, nie zważając na ból w piersi, skoczył naprzód. Demon sięgnął do niego ręką, ale Aurelian przemknął pod nią i wbił miecz w miejsce u podstawy szyi. Światło zajaśniało wokół klingi i pęknięcia rozpełzły się po czarnej, podobnej do zaschniętej magmy skórze demona. Z agonialnym rykiem na ustach piekielnik zacisnął masywne dłonie na ramionach Aureliana. Ogień wieczny spłynął po jego ramionach, gdy usiłował odepchnąć od siebie maga bitewnego, ale Aurelian ani myślał ustąpić. Wypełnił swoje ciało wzmacniającą energią i wszystkie pozostałe siły umieścił w klindze swojego miecza.





Dusaule przybył za późno, by zapobiec śmiertelnemu atakowi na Dwimervane, ale gdy bestiarum cofnął się przed nim, mag bitewny uderzył go w bok. Jego miecz nie był wypełniony energią, ale coś z jego uczuć musiało przesiąknąć do ostrza, bo zostawiło ono po sobie głęboką ranę w lewym ramieniu potwora.

Z przeraźliwym rykiem stwór zwrócił się teraz ku Dusaule'owi, ale milczący zagrodnik już mknął naprzód. Zablockował cios łapy tarczą i naznaczył jego pierś dwoma błyskawicznymi cięciami. Bestiarum zachwiał się, gdy mięśnie i ścięgna zostały przecięte. Wykorzystując siłę potężnych zadnich nóg, rzucił się naprzód, ale Dusaule odskoczył w bok i trafił bestię mieczem prosto w pysk. Złamana żuchwa potwora obwisła w niemym grymasie zdziwienia, a wtedy Dusaule pchnął go mieczem w pierś.

Zwierzę zaryło o ziemię, a Dusaule okręcił się i zobaczył, że całą postać Aureliana spowija drgająca masa ognia wiecznego. Demon był na kolanach i ścisnął maga bitewnego rękami. Dwaj wrogowie wwiercali się w siebie nienawistnym wzrokiem. Usiłując oprzeć się plugawym płomieniom, Aurelian napał na swój miecz, ale siły zaczynały go zawodzić i ogień piekielny już czepiał się jego włosów i ubrania.

Idący ku nim Dusaule użył całej swojej mocy, by ochronić przyjaciela przed ogniem. Aurelian pokonał demona. Piekielnik umierał. Lecz wyglądało na to, że jednoręki mag bitewny umrze wraz z nim. Wir ognia wiecznego pochłaniał ich obu i Dusaule sam czuł na twarzy morderczy żar. Moc Aureliana prawie już się dopaliła i jedyną rzeczą, która chroniła go przed pochłonięciem przez czarny ogień, była potęga miłości jego przyjaciela.

Ogarnięty huczącym płomieniem Aurelian zaczynał słabnąć. Dwimervane nie żyła, a teraz nadszedł czas, by on do niej dołączył.

Lecz nawet gdy Aurelian odpływał w zapomnienie, Dusaule wdarł się w płomienie, by dobić demona ciosem w plecy. Jego klinga wżarła się w kark potwora, a ogień wieczny zapłonął żywiej, gdy ugodzony wygiął się w łuk, rycząc z bólu. Dusaule całą swoją energię skupił na bronieniu Aureliana. Nie miał więc już nic, by obronić siebie. Choć demon umarł, czarne płomienie paliły ubranie Dusaule'a i zmieniały jego twarz w połyskliwą krwawą maskę. Ogień odsłonił mięśnie i ścięgna ręki, w której stary mag bitewny trzymał miecz. Stał, drżąc i cierpiąc niewypowiedziany ból. Ale nie sprzeciwiał mu się.

Wreszcie przyszła na niego pokuta dorównująca wewnętrznemu cierpieniu, którego doświadczał od tak dawna. Ogarnięty agonią, chwiejąc się na nogach, Dusaule czekał, aż zabierze go śmierć, gdy nagle

ziemia zadrżała pod jego stopami, a potem pękła. Na śmiertelne modły umierającego piekielnika odpowiedział wyłaniający się z głębi kolejny potężny bestiarum.

Choć agonalna mgła zasnęła mu wzrok, Dusaule widział, jak bestia wynurza się z ziemi. Podobna do potwornego ogara, obciążniętego skórą czarną jak smoła, i porośnięta gęstą grzywą szorstkich włosów, poszukała wzrokiem swojej pierwszej ofiary. Jej płonące ślepie zatrzymały się na królowej.

Żołnierze rozproszyli się i jedynie rycerze z królewskiej gwardii honorowej stali na drodze bestii. Dwoch zaatakowało, ale sunąca prosto na władczynię kreature zabiła ich obu. Inni rzucili się do walki, próbując odpędzić potwora, ale nie oparli się mu, a do znękanego umysłu Dusaule'a dotarło, że jeszcze nie może pozwolić sobie umrzeć.

Ruszył, potykając się, w stronę królowej, lecz jego poparzone nogi nie chciały go nieść dość szybko. Świat chwiał mu się przed oczami. Miecz wysunął się ze spalonej dłoni. Dusaule wiedział, że nie dojdzie na czas. Bestia przeorała zastęp rycerzy, jakby byli dziećmi na kucykach, a potem dotarła do królowej.



Na oczach Dusaule'a Souverain wspiął się na zadnie nogi i zaczął

okładać pysk bestiaruma kopytami, ale stwór ledwie odczuł potężne kopnięcie. Powalił rumaka ciosem pazurzastej łapy, a miecz królowej chwycił w miażdżące szczęki.

Dusaule przyjął na siebie ból, który szalał w jego ciele. Przyjął na siebie rozjątrzony ból serca. Zabił najpiękniejszą ze wszystkich istot i nie zasługiwał na to, by żyć. Tej nocy, gdy popełnił tę zbrodnię, przysiągł, że już nigdy nie użyje ofensywnej magii i nawet teraz nie użyłby jej, by uratować własną duszę. Ale zrobi to, by uratować królową.

Sięgnął głęboko do swojego wnętrza, by znaleźć przygasłą iskrę, która, miał nadzieję, wciąż się w nim jeszcze tliła. Przez chwilę myślał, że już jej nie ma, że dawno zgasła, zdeptana druzgoczącym poczuciem winy. Lecz wówczas znalazł ją w pustym przestworze swojej duszy.

Zawołał do niej.

A ona odpowiedziała.



Królowa patrzyła, przerażona, jak nowy bestiarum wynurza się z ziemi. Żołnierze rozsypali się dookoła jak domek z kart, nawet jej rycerzy odepchnęła potężna fala uderzeniowa. Tym razem żadna ściana magicznej energii nie obroni jej przed potworem. Widziała przecież na własne oczy, jak zarówno Aurelian, jak i Dusaule znikają w eksplozji piekielnego płomienia.

Souverain stanął dęba, gdy bestia rzuciła się w jej kierunku. Śmiały atak rumaka nie odniósł skutku, wierzchowiec wizgnął, gdy szpony zagłębiły się w jego ciele. Souverain padał już na ziemię, gdy królowa zamierzała się mieczem na potwora, ale nim przypuściła atak, potężne szczęki zacisnęły się na jej ramieniu, krusząc zbroję Antonia Missagliasa, i bestiarum ściągnął ją z siodła. Zwaliła się na ziemię, a bestia zamajaczyła ponad nią, wciąż ściskając w zębach jej ramię. Potem potrząsnęła łbem i oderwała je od ciała.

Królową wstrząsnęło konwulsyjne drzenie. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było ramię, widniała teraz ułamana kość i czerwone strzępy mięsa. Czarne kształty pływały jej przed oczami i świat rozbrzmiewał dziwnym echem, gdy krew wypływała z jej ciała. Ale bestii wciąż było mało. Drapała pazurami jej zbroję, odrywając stalową płytę z prawej nogi i zrywając z talii pas z końską głową. Gorąca ślina kapiała z otwartej paszczy potwora, gdy sięgnął do twarzy królowej. A potem nagle zniknął w błysku oślepiającego światła.



Uderzenie mocy Dusaule'a było tak silne, że odrzuciło bestiaruma daleko od królowej. Ogromny potwór okręcił się w powietrzu, ukazując wielką, dymiącą wyrwę ziejącą między jego żebrami. Zwrócił nienawistne spojrzenie na nowego napastnika, po czym ruszył na niego.

Milczący zagrodnik mierzył go wzrokiem, a jego umysł płonął magią. Z przerażającą prędkością bestiarum skoczył na niego, błyskając zębami zza odciągniętych warg.

Dwadzieścia jardów...

Dziesięć...

Dusaule uniósł rękę i uderzył go w pierś strumieniem przeraźliwego światła. Potwór zawisł w powietrzu, a ogień wypełnił go od środka, tak że kości prześwitywały czarną siatką cieni przez porwaną membranę skóry. A potem jego szczątki znieruchomiały u stóp Dusaule'a, tworząc zaledwie kupkę nadpalonych kości i dymiącego mięsa.

Mag bitewny nawet na niego nie spojrział. Wszystkie jego myśli skupione były na królowej, z której czerwonym strumieniem wyciekało życie. Zaczął posuwać się naprzód na poranionych nogach, rozpaczliwie pragnąc jej dosięgnąć, zanim zapadnie w ciemność. Krew jednak płynęła zbyt szybko, wyciekała z niej w rytmie ostatnich uderzeń serca.

Milczący zagrodnik parł naprzód, ale jego ciało zużyło już resztkę sił. Potknął się na nierównym podłożu, jego twarz zetknęła się z ziemią i oddech uchodził z niego bolesnymi, chrapliwymi zrywami. Ciało nie mogło już iść, sięgnął więc dalej mocą umysłu, skupiając wszystkie wysiłki na tym, by zatrzymać królową na tym świecie.



Królowa czuła, jak uchodzi z niej życie. Miała wrażenie, że unosi się nad wielkim morzem ciemności, ogarnięta nieodpartą chęcią zapadnięcia w sen. Słyszała kiedyś, jak marynarze mówili o śmiertelnym letargu, który ogarnia tonącego człowieka. Wiedziała, że jeśli teraz się podda, znajdzie się pod powierzchnią mrocznych wód i nigdy już nie wynurzy się na powierzchnię. Czuła, jak spowalnia rytm jej serca, i jej umysł wreszcie wypełnił się paniką.

– Nie! – błagała echem głosu w wyśnionym świecie własnego umysłu.

– Nie mogę odejść. Nie mogę...

Lecz to nie strach przed śmiercią doprowadzał ją do łez, ale strach przed rozpaczą emisariusza. Jak miał walczyć z wrogiem, wiedząc, że

ona przestała istnieć? To go zniszczy, tak jak ją zniszczyłaby utrata jego.

– Proszę... – szlochała, ale moc wzywająca ją do snu była zbyt potężna.

Usiłowała przywołać w pamięci twarz Chevaliera, chciała przypomnieć sobie ostatnią chwilę, którą spędzili na wysokim tarasie pałacu. Ale wspomnienie przeciekało jej przez palce. Nie czuła już dotyku jego rąk, ust, porośniętego chropowatym zarostem podbródka na swoim policzku. Rozwiewał się na wietrze i nawet szara stal jego spojrzenia wydawała się rozplýwać w widmowym morzu śmierci.

– Wybacz mi, umiłowany – wydyszała królowa. – Tak bardzo mi przykro...

Jakby z wielkiej odległości dobiegał ją bitewny zgiełk; wciąż brzmiał naokoło, lecz teraz ustępował przed ciszą. Przez moment myślała, że słyszy jazgot acheronńskich tręb wojennych, ale to musiała być jakaś iluzja, okrutna sztuczka, jaką spletał jej gasnący umysł.

Łzy żalu spłynęły jej po twarzy.

Potem jej serce zabiło raz.

A potem drugi.

Aż...

## Dowód miłości i śmierci



O pętani zostali rozbici, gdy przybyły wojska Acheronu. Po ustaniu walk upiorna cisza roztoczyła się nad doliną. Wieści o śmierci królowej dotarły już do Sophii. Nad miastem snuł się dźwięczny ton jedyne dzwony, powolny, żałobny rytm płynący z którejś z wysokich dzwonnicy. Burzowe chmury wciąż wiszące na niebie zaczęły się z wolna rozpraszać, gdy dzień ustępował miejsca nocy.

Na polu bitwy rozbito dla poległych osobistości osobny namiot. Leżeli w nim Aurelian i Dusaule. Obydwaj jeszcze żyli, ale ich los był niepewny. W wydzielonej drugiej jego części złożono skuloną Dwimervane o złożonych jak do snu skrzydłach. A obok smoczyca leżała na posłaniu królowa. Jej smukłe ciało nakryte było czystym, białym prześcieradłem. Przed każdą przegrodą stali dwaj rycerze, trzymając wartę nad nieprzytomnymi, umierającymi i martwymi. Wartownicy stanęli na baczność, gdy do namiotu wkroczył pułkownik Laville z królem Tyramimusem.

Pułkownik przepuścił króla przodem, odsłaniając dla niego wejście do części, w której spoczywała królowa. Następnie odsłonił jej twarz, by Tyramimus mógł na nią spojrzeć.

Wielki król poczuł ścisk w żołądku na widok kredowobiałej maski. Minęło prawie dwadzieścia lat, odkąd ostatnim razem jego wzrok spoczął na królowej, ale w rysach pięknej kobiety wciąż widział twarzyczkę energicznej małej dziewczynki. Jego sercem wstrząsała rozpacz, łzy wstydu spłynęły mu po policzkach i wniknęły w czarną gęstwinę brody. Z delikatnością, o którą nikt go nie posądzał, dotknął chłodnej twarzy królowej.

– Wybacz mi – westchnął, zawstydzony odwagą tej dzielnej kobiety oraz ogromem miłości, jaką darzył ją jej lud. Przysunął do niej głowę, jego głos zmienił się w straszny, mściwy szept. – Spoczywaj w pokoju,

moja królowo. Wiedz, że Wielki Byk wreszcie posłyszał twe wołanie. Obiecuję ci, że Clemoncé nie upadnie. To nie nastąpi, dopóki trwa przy życiu choć jeden żołnierz Acheronu. Czas unieść dłoń, zacisnąć pięść i opuścić młot.

Łzy króla były gorące i gorzkie, gdy składał pocałunek na czole królowej Catherine.

– Jak do tego doszło? – spytał, wyprostowawszy się i odjawszy rękę.

– Bestiarum – odparł pułkownik Laville. – Choć demon już wówczas nie żył. – W jego głosie brzmiała rozpacz. Drżącymi rękami zasłonił królowej twarz, a Tyramimus przeszedł na drugą stronę namiotu, gdzie na stole wyłożono zbroję i miecz władczyni.

Król przebiegł palcem po jej skrwawionym, poobijanym pancerzu i doszedł do czarnego pasa o srebrnej klamrze w kształcie końskiego łba. Skórzane rzemienie były porwane i poszarpane, lecz król mimo to podniósł je z wielką ostrożnością, a w jego sercu zrodził się nowy smutek. Słyszał o drobiazgach, które królowa nosiła w charakterze amuletów mających ostudzić awanse księcia Ludovica. Drobiazgach, którymi obdarowywał ją człowiek zwany Chevalierem. Tyramimus od zawsze uważał takie gesty za przejaw naiwnego sentymentalizmu, ale sława Chevaliera dotarła nawet do Acheronu i król nie mógł znieść myśli, że taki szlachetny człowiek miałby dowiedzieć się o śmierci królowej z pogłosek krążących wśród żołnierzy.

Wciąż trzymając pas, odwrócił się, gdy do namiotu wszedł Anaximander. Mag bitewny robił, co mógł, by pomóc Aurelianowi i Dusaule'owi.

– Czy jest jakaś poprawa? – spytał Tyramimus.

– Pan Cruz wiele przeszedł, ale jego umysł jest silny. W końcu się obudzi – odpowiedział Anaximander z ciężkim acherońskim akcentem. – Ale pan Dusaule... Nie wiem, jakim cudem wciąż żyje.

Tyramimus pokiwał ponuro głową. Jego także zaszokowała rozległość oparzeń Dusaule'a.

– Czy nie byłoby mu wygodniej w mieście? – spytał.

– Zapewne – odrzekł pułkownik Laville. – Ale ilekroć próbujemy go przenieść, on krzywi się i porusza, jakby chciał się sprzeciwić.

– Coś wiąże go z tym światem – rzekł Anaximander. – Lecz cokolwiek to jest, nie będzie cierpiał długo.

Nie skończył mówić, gdy zza płachty dobiegł zduszony odgłos. Trzej mężczyźni przeszli tam i Anaximander ruszył prosto do umierającego Dusaule'a, którym wstrząsały konwulsje.

– Nawet teraz walczy o coś – powiedział mag bitewny, usiłując magią ulżyć Dusaule'owi. Lecz życie powoli uchodziło z ciała milczącego zagrodnika, który po ostatnim spazmie opadł bezwładnie na przesiąknięte krwią łóżko. Z jego pokrytych pęcherzami ust wydostał się

ostatni dech. A potem umarł.

– Gwiazdom niech będą dzięki – powiedział pułkownik Laville głosem ciężkim od smutku, ale i ulgi. – Przez wiele lat znosił życie Odrzuconego. Wreszcie odnalazł spokój.

Anaximander zmarszczył brwi, odchodząc od Dusaule'a. A więc ten mag bitewny został zmuszony do zabicia smoka, który odpowiedział na jego przywołanie. Anaximander nie mógł wyobrazić sobie, jak ogromnej siły wymagało życie z takim ciężarem. To tłumaczyło udręczenie, które wyczuł w umyśle Dusaule'a.

Trzej mężczyźni nie mieli już w namiocie nic do roboty, ruszyli więc do wyjścia. Tyramimus wciąż trzymał w palcach pas z klamrą. Pochylił głowę i patrzył na niego, gdy owiewało ich chłodne nocne powietrze.

– Należy powiedzieć Chevalierowi. Zasługuje na to, by wiedzieć – rzekł.

– Te wieści go złamią – odparł pułkownik Laville.

– Lecz mimo to ma prawo wiedzieć.

Pomimo niechęci pułkownik Laville pokiwał wolno głową, a Tyramimus zwrócił się do Anaximandra.

– Weź to – rzekł, wkładając mu do ręki zerwany pas. – Znajdź człowieka, którego zwą Chevalierem, i powiedz mu, że lud Acheronu dzieli jego smutek.

– Gdzie go szukać?

– Był niedawno w Hoffen – rzekł Laville.

Mag bitewny skinął głową i wsunął pas do skórzanej sakwy przy pasie.

– Za pozwoleniem Waszej Wysokości – powiedział i skłoniwszy się, ruszył ku swojemu smokowi, który stał nieopodal w cieniu.

Król Tyramimus i pułkownik Laville patrzyli, jak mag bitewny wspina się na smoczy grzbiet, a potem zwraca się na północny wschód. Smok zrobił trzy szybkie kroki i wzbił się w powietrze. W kilka sekund zniknął w ciemności nocy, niosąc na swoim grzbiecie dowód miłości i śmierci, który miał złamać emisariuszowi serce.

– Oby znalazł dość siły... – powiedział król.

– I my wszyscy – dodał pułkownik Laville, który musiał teraz wykonać to, co niewykonalne: wrócić do Furii z wieściami o śmierci władczyni.



Dwudziestoczteroletni Jeran de Foix był najmłodszym rycerzem w osobistej gwardii królowej. Nie spotkał go w życiu większy honor niż



wówczas, gdy jechał do bitwy u jej boku. A pełnienie straży przy jej martwym ciele było najsmutniejszym i najtrudniejszym obowiązkiem, jaki na niego nałożono.

Stał w ciszy, gdy pułkownik Laville wszedł z królem Tyramimusem do namiotu. Do głębi poruszyła go siła przysięgi, jaką złożył król Acheronu. Stał na baczność, kompletnie nieruchomy, gdy mężczyźni podeszli do posłania Dusaule'a, kiedy ten dokonywał żywota. Jeran pamiętał trwogę, jakiej doznał na widok jego ran, i cieszył się, że cierpienia tego biednego człowieka dobiegły końca.

Lecz gdy milczący zagrodnik zmarł, Jeran mógłby przysiąc, że całun królowej uniósł się i opadł w migotliwym świetle lampy. Spojrzał raz jeszcze, choć wiedział, że nie wypada mu tak patrzeć na jej ciało.

Nic. Gdzieś głęboko w trzewiach Jerana odezwał się instynktowny lęk. Jakby zza kotary oddzielającej świat żywych od świata zmarłych królowa kiwnęła na niego ręką. Biorąc w karby swoją wyobraźnię, odwrócił spojrzenie, ale zdążył jeszcze kątem oka dostrzec czerwony wykwit na białym całunie, plamę szkarłatu w miejscu, gdzie znajdował się kikut po odgryzionej przez bestiaruma ręce. Na jego oczach plama zdawała się rosnąć, zupełnie jakby z rany poląła się świeża krew.

Przez chwilę Jeran po prostu patrzył na powiększający się na jego oczach cień, a potem przypomniał sobie coś, czego nauczył się w trakcie szkolenia dotyczącego oceny stanu zdrowia rannych.

Zwłoki nie krwawią.

## Złączeni, rozdzieleni

---



Falko został w Hoffen tylko dwa dni. Trzeciego dnia polecili z Sydianem na południe, lecz jeszcze zanim wyruszyli, wiedzieli już, że coś jest nie tak. Zaczęły dobiegać ich wieści o zmianie w posunięciach wroga. Było jeszcze zbyt wcześnie, by sformułować jakieś miarodajne konkluzje, ale Falko był pewien, że to zaburzenie miało coś wspólnego ze śmiercią Pogromcy.

Tak jak powiedział Lysander, zadali wrogowi druzgoczący cios, który ściągnął na nich jego uwagę.

W każdym razie Falko nie zamierzał zwlekać. Opuścił przyjaciół bez słowa, a teraz bardzo chciał już do nich powrócić. I wciąż miał nadzieję, że zdąży na naradę strategiczną w Amboss. Pożegnawszy się więc z Lysandrem i Feurigiem, poleciał prędko na południe. Przedtem, na północ, gnała go desperacja i dzika prędkość wycisnęła z Sydiana siódme poty. Teraz lecieli w zwykłym tempie, lecz mimo to Falko czuł, że Sydian tężeje z bólu za każdym razem, gdy odpowiada na nagłą zmianę kierunku wiatru.

– Jak twoja rana? – spytał smoka, gdy przetaczały się pod nimi wzgórza Illicji.

Duma Sydiana nie pozwoliła mu wspomnieć o bólu, ale nie zdołał zduścić szybkiego wspomnienia o Falku usiłującym magią wypalić ranę, którą zadał smokowi Pogromca.

– Musiałem się upewnić, że leczenie sięgnie samego dna rany – rzekł Falko.

Wciąż się zasklepiała, a więc odpoczywali często. Pierwszą noc spędzili na obrzeżach illicyjskiego miasteczka dwadzieścia mil na północny wschód od Ville de Pierre, lecz nawet tutaj dotarły do nich te same wieści: armie wroga porzucają dotychczasowe szlaki i wszystkie kierują się na zachód, ku Clemoncé. Te niepokojące okoliczności nie

pomagały Falkowi otrząsnąć się z poczucia zagrożenia, które zagnieździło się w jego umyśle. Wiedział, że zbliża się coś mrocznego, nie wiedział tylko co.

Sydian spojrział na niego, jakby chciał powiedzieć: nie ma się czego bać. Ale Falko nie był przekonany.

Wiedział jedynie, że jego sny wypełniały mroczne groty, ukryte sekrety i miazdzące poczucie winy.

Przed południem dnia następnego dotarli do rzeki Türkis, jedynej, która brała swój początek z La Grande Cascade. Rzeka wiodła ich do Amboss i nie minęło wiele czasu, nim ujrzeli przed sobą warowne miasto. Amboss wzniesiono na płaskim skalistym wzgórzu w kształcie kowadła, wokół którego roztaczały się mury obronne.

Rozmiarami miasto dorównywało Furii. Teraz roilo się wokół niego od żołnierzy i ich namiotów rozbitych w równych rzędach i blokach. Gdy Sydian przebił się przez wiszące nisko na niebie chmury, Falko dostrzegł, że w obozach wre jak w ulu. Prędko zauważono ich na niebie i ludzie zaczęli wskazywać palcami w górę, podczas gdy inni wyłaniali się z namiotów, by patrzeć na opadającego w ich stronę czarnego smoka.

Jeszcze obniżając lot, Falko zaczął rozróżniać rozmaite sztandary i flagi, a wśród nich wypatrzył znajomy błękit i turkus Clemoncé. Uśmiechnął się z satysfakcją, rozpoznawszy flagę Nieregularnych.

Sydian zatoczył koło i osiadł na niskim wypiętrzeniu skały na skraju obozu. Oswojeni ze smokiem Nieregularni wyszli mu na spotkanie, ale żołnierze z sąsiednich obozów woleli zachować dystans. Zнали historię o czarnej bestii, która została przywołana do Furii, lecz nasłuchawszy się mrozących krew w żyłach opowieści o czarnych smokach, nie byli jeszcze gotowi zanadto się spoufalać.

Falko, zeszywniały po długich godzinach lotu, zdjął hełm i przytroczył go do siodła, a potem zeskoczył z grzbietu Sydiana. Schylił się, gdy czarny smok złożył skrzydła, a potem uśmiechnął się na widok Malakiego, Bryny i Huthgarla, którzy przedzierali się w jego stronę przez tłum Nieregularnych. Lecz zanim się jeszcze zbliżyli, uśmiech spełził z jego warg. Coś się wydarzyło pod jego nieobecność.

– Co jest? – spytał, gdy Bryna objęła go, a Malaki podał mu rękę.

Jego serce wypełnił lęk. Przyjaciel zerknął w kierunku Nieregularnych, gdzie stało kilku Wygnańców. Falkowi zdało się, że w tłumie żołnierzy zobaczył Alexa, który z pochyloną głową znika za białą płachtą namiotu; był przygarbiony, jakby przygniatał go do ziemi jakiś ciężar.

– A gdzie Quirren? – spytał.

Malaki i Bryna wymienili spojrzenia. Na Falka padł blady strach.

– Chodź, porozmawiamy gdzieś – rzekł Malaki.

– Nie. Powiedzcie mi teraz. Gdzie jest Quirren?

– Pojmał go demon – wyszeptał Malaki. Nieregularni odbiegli od nich spojrzeniem, niektórzy się odwrócili. Wieści o losie Quirrena szybko rozeszły się po obozie.

– Kiedy? – spytał Falko, a Malaki strzelił do Huthgarla zmartwionym spojrzeniem, nim odpowiedział.

– Dzień po twoim zniknięciu – wyjąwił, a Falko poczuł, że ziemia poruszyła się pod jego stopami. Pamiętał demona, którego wyczuł po tym, jak wraz z Sydianem zabili dwa mroczne anioły. Jak nazwał go zwiadowca z Clemoncé? Geôlier? Ale przecież ten demon był o całe mile dalej, w innym kanionie.

– Jak to się stało?

Malaki miał nadzieję rozmówić się z Falkiem w odosobnieniu, ale wiedział już, że przyjaciel nie ruszy się z miejsca, dopóki nie usłyszy historii od początku do końca. Zaprowadził go więc ku wystającej z ziemi skale, gdzie usiedli, by porozmawiać.

Falko milczał, chłonąc każde słowo z relacji Malakiego. Głos przyjaciela załamał się kilkukrotnie, gdy opowiadał o ostatnich chwilach pojmania.

Falko nie mógł ruszyć palcem.

Połamali jego ciało i zamknęli go w siatce z łańcuchów.

Wciąż żył.

Demon zniknął.

Wszedł w ciemność i rozpląnął się w powietrzu.

Wciąż żył.

Umysł Falka płonął.

– Falko! – powiedziała Bryna, ale on nie słyszał jej głosu. Stał teraz przed nimi z zamkniętymi oczami. Jego zaciśnięte pięści drżały. – Falko! Przestań! – zawołała, a on otworzył oczy i zobaczył, że jego pięści otacza jasny, błękitny ogień, który skrzy się i tańczy po jego opancerzonych ramionach. Wszyscy czuli bijący od niego żar, ledwie wstrzymywaną furię maga bitewnego.

Falko pozwolił mocy spłynąć z ciała. Przyjaciele wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Wciąż by tu był, gdybyś nas nie porzucił – poniósł się głos od strony tłumu i wszyscy zwrócili się w kierunku stojącego kilka jardów dalej Alexa. Jego oczy były zaczerwienione i puste.

Falko milczał. „Przepraszam” wydało mu się nagle pozbawioną znaczenia wydmuszką słowa.

– Nie powinienes być nas zostawiać.

– Nie wiedzia... – zaczął Falko, lecz Alex uniósł tylko dłoń w czarnej rękawicy.

– Nie powinienes być nas zostawiać – powtórzył, odwrócił się

i odszedł.

Falko stał nieruchomo, a poczucie winy przelewało się w jego piersi. W uszach brzmiał dźwięk przypominający bzyczenie rozwścieczonych pszczoł, który pulsował w rytm serca. Darius... Balthazak... Sir Gerallt... Merryweather... Symeon... Wszyscy zginęli, a teraz Quirren został pojmany przez niewoliciela. I nie dlatego, że Falko nie miał dość siły, by temu zapobiec, lecz ponieważ po prostu go tam nie było.

Wściekły szum w umyśle Falka nasilał się, aż zaczął rezonować z upiorną mantrą z jego koszmarów. A głęboko w tym niepokojącym pomruku kryły się słowa.

„Nigdy byś się nie odważył. Nigdy nie znalazłbyś w sobie wiary”.

Falko mocniej zacisnął pięści. Zawarł powieki i raptem szum i demoniczne warczenie ucichły. Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę Sydiana, który przypatrywał się wymianie zdań z wyrazem troski na pokrytym łuskami czole.

– Dokąd lecisz? – spytał Malaki, choć dokładnie wiedział, jaki cel przyświeca Falkowi. – Nie, nie możesz! – zawołał, gdy przyjaciel sunął w stronę smoka. – Nigdy go nie znajdziesz.

Ale Falko był głuchy na jego argumenty i stracił rękę, którą Malaki położył mu na ramieniu.

Przystanął dopiero wtedy, gdy smok cofnął się przed nim. Falko zbliżył się do Sydiana, ale ten okręcił się, by nie pozwolić Falkowi złapać za paski siodła.

– Co ty robisz? – wysyczał mag bitewny, ale smok tylko na niego patrzył. Złote oczy zwęziły się, a postawa wyrażała nieugiętość. – Ale on wciąż żyje – podjął Falko i Sydian wzdrygnął się, gdy wspomnienie twarzy Quirrena zajaśniało w jego umyśle. – Cierpi – dodał szeptem, a jego głos się załamał. Już nie próbował dosięść Sydiana. Dwaj towarzysze mierzyli się wzrokiem, zaś Malaki, Bryna i Huthgarl patrzyli na nich w ciszy.

Spojrzenie Sydiana ani drgnęło, ale przechylił głowę w geście znamionującym zrozumienie. Umysł Falka zalały obrazy przesuwających się w dole wzgórz i dzikiego bezludzia, przemykających niezliczonych mil niezbadanej krainy, na której nie było nic, co przypominałoby opis niewoliciela. Przypomniał sobie wątły ślad jego obecności, który wyłapał umysłem przed wyruszeniem do walki z Pogromcą. Zrozumiał, że Sydian próbuje powiedzieć mu, że nie uda im się znaleźć tego konkretnego demona na rozległych Utraconych Ziemiach.

– Muszę spróbować – powiedział Falko.

Sydian przymknął lekko powieki, a myśli Falka podążyły do Nieregularnych, których wraz ze smokiem wielokrotnie ratowali przed niespodziewaną napaścią Opętanych. Następnie w umyśle maga

bitewnego pojawiły się obrazy przedstawiające mękę Quirrena, lecz również Malakiego i Bryny, torturowanych i łamanych przed włożeniem do łańcuchowych siatek.

Przekaz był dla Falka jasny: ile osób spotka cierpienie i śmierć, gdy my będziemy uganiać się za demonem, którego możemy nigdy nie odnaleźć?

– Ale to stało się przeze mnie – powiedział Falko, a wówczas Sydian wyprostował się ponad nim, zgromił go gniewnym wzrokiem, po czym obnażył kły i zawarczał. Zaskrobał o skałę czarnymi pazurami i uderzył w umysł Falka wizjami Opętanych, bestiarumów, Pogromcy, a nawet maniakałnych ogników w oczach Galena Thralla. To była ich wina, a nie Falka, a smok nie miał zamiaru znosić jego użalania się nad sobą.

Wreszcie Falko nabrał tchu i poderwał wzrok. Sydian miał rację. To demony i ich sługusy były odpowiedzialne za całe to zło, a nie ci, którzy usiłowali z nimi walczyć. Nie sposób zaprzeczyć, że nie było go, gdy Quirren potrzebował go najbardziej, nie mógł więc całkowicie oczyścić się z wyrzutów sumienia. Ale musi być silniejszy od nich, bo inaczej wróg obróci je przeciwko niemu.

Wreszcie poczuł napływającą od Sydiana falę aprobaty. Smok przechylił głowę w czymś na kształt ukłonu. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem jednocześnie zwrócili głowy w kierunku, z którego dało się słyszeć czyjeś kroki. Był to lanista Magnus.

– Czy dogadaliście się już?

Falko potwierdził milczeniem.

– Chodźmy więc. Dowódcy Nieregularnych chcą wiedzieć, co skłoniło cię do takiego pośpiechu.

Łypnąwszy na Sydiana, Falko pozwolił zaprowadzić się do namiotu. Wymienił zdawkowe spojrzenia z przyjaciółmi, którzy wyraźnie odczuli ulgę, widząc, że wrócił do zmysłów. Zaakceptował to, że szaleńcza pogon za demonem, którego mógłby nigdy nie odnaleźć, byłaby lekkomyślna, lecz zarazem coś sobie obiecał. Jeśli wyczuje niewoliciela, nikt nie powstrzyma go przed jego odszukaniem.

Dowódcy Nieregularnych słuchali w ciszy relacji Falka z pogoni za dwoma mrocznymi aniołami i walki z Pogromcą.

– I jesteś pewien, że to był ten sam demon, który pokonał Nathalie? – dopytywał się jeden z dowódców, który brał udział w kampanii treningowej kadetów. – Ten sam, który zabił Jürgena i Wildegrafa?

Falko kiwnął głową.

– A więc oddałeś nam wielką przysługę. Wielkie Dusze na północy i tak już są rozciągnięte na bardzo dużym obszarze. Utrata kolejnych byłaby katastrofą.

Pozostali dowódcy potwierdzili, kiwając głowami. Wielu z nich pamiętało czarnego zabójcę, który o mało nie zabił Nathalie.

Wyjaśnienia Falka usatysfakcjonowały ich i zaczęli się z wolna rozchodzić.

– Czy weźmiesz dziś udział w naradzie strategicznej?

Falko podniósł wzrok na stojącego obok niego lanistę Magnusa. Czuł się dokumentnie wycieńczony, ale skinął głową.

– Świetnie – ucieszył się Magnus. – Sir William miał nadzieję, że ci się uda.

Falko zamrugął na wzmiankę o emisariuszu.

– Czekał tu na nas list – wyjaśnił instruktor. – Najwidoczniej marszałek Breton kazał mu przeszukać obszar na wschód stąd. Ale coś mi się widzi, że to tylko wymówka, by emisariusz nie mógł się zjawić na naradzie. – Wiadomo było powszechnie, że Breton uważał, iż obecność emisariusza podważa jego zwierzchność w łańcuchu dowódczym. – Miał nadzieję, że sam weźmie w niej udział, więc na pewno odczuje ulgę, dowiedziawszy się, że choć jego nie będzie, zjawisz się ty.

Nowiny rozczarowały Falka. Wiedział, że szansa była niewielka, a mimo to miał nadzieję zobaczyć się z emisariuszem. Magnus chyba odczytał jego myśli, bo posłał mu pokrzepiający uśmiech.

– Witamy z powrotem, panie Danté – powiedział, a potem odnalazł wzrokiem Malakiego i Brynę. Skrzywił się ponuro, nim opuścił namiot.

– Chodź – powiedział Malaki. – Znajdźmy ci coś do jedzenia. A potem odświeżysz się przed wieczorną naradą.

Jedzenie było ostatnią rzeczą, o której myślał teraz Falko, ale i tak wstał, by ruszyć za przyjacielem. Zatrzymał się, gdy pojawił się przy nim Huthgarl.

– Wiesz, że uratował dzieci – powiedział wielki Beltańczyk, a Falka zapiekło gardło, gdy usłyszał żal w jego głosie. – Padł ofiarą Opętanych, ale najpierw uratował dzieci.

Wszyscy rozumieli powody, dla których Falko opuścił ich w takim pośpiechu, lecz to nie mogło przecież zmienić tego, co się wydarzyło. Gdzieś daleko ich przyjaciel znosił właśnie potworny ból i ta myśl była prawie niemożliwa do zniesienia.

– Znajdziemy go – rzekł Falko, a nadzieja, którą dostrzegł w oczach Huthgarla, przeszła mu serce na wylot.

Towarzysz kiwnął głową z opanowaniem, a Malaki i Bryna zrobili to samo. Prosty gest, ale teraz nabrał mocy paktu. Raz jeszcze spojrzeli po sobie, nie wypowiadając na głos łączącej ich milczącej przysięgi, a potem Malaki pierwszy wyszedł z namiotu. Reszta podążyła za nim, lecz Falko nagle się zatrzymał.

Wyczuł zza cienkiego płótna namiotu umęczoną obecność Alexa Klingemanna, który odchodził smętnie w swoją stronę. Falko nie wiedział, czy lecznicze moce maga bitewnego zasklepią rany duszy, ale przywołał całą swoją wiarę w nadziei, że Alex choć trochę ogrzeje się

przy jej płomieniu.



## Syn Aquili Dantégo



Sala narad w Amboss była właściwie wielkim pomieszczeniem przeznaczonym do publicznych debat, przestronnym prostokątnym budynkiem o sklepionym łukowo suficie i z dwoma zwróconymi przodem ku sobie, wznoszącymi się warstwowo trybunami przedzielonymi rozległą, wyłożoną płytkami podłogą. Przestrzeń między witrażowymi oknami wypełniono wielkimi gobelinami przedstawiającymi sceny z niełatwej historii miasta. Pomieszczenie oświetlały osadzone na ścianach oraz zwisające z belek stropowych mosiężniki. Sali używano z okazji rozmaitych publicznych spotkań, lecz dzisiaj odbywała się w niej narada wojenna i gwar ludzkich głosów wzbogacony był o brzęk i szcęk panczerzy.

– To jak dzień targowy w Furii, tylko że z mieczami – skomentował Malaki, gdy on, Falko, Bryna i Huthgarl weszli do środka.

W sali roiło się już od dowódców wojskowych z Illicji i Clemoncé, ich asystentów, posłańców i skrybów. Jako ci, którzy spędzili na froncie najmniej czasu, mieli nadzieję wejść do sali niepostrzeżenie, uznali bowiem, że ich obecność nie obejdzie bardziej doświadczonych dowódców. Jednakże gdy tylko znaleźli się w środku, spojrzenia wszystkich skierowały się na nich.

Falko przypomniał sobie tamtą noc, gdy jako ostatni weszli do baraków w Akademii Sztuki Wojennej. Teraz jednak nie chodziło o słabeusza, kobietę i prowincjonalnego kowala, ale o maga bitewnego, który przywołał czarnego smoka, o słynnego Rycerza Karmazynowego Hełmu i o łuczniczkę, którą, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, zwano Królową Zbójców. Oraz o pewnego Beltańczyka, który pomimo młodego wieku był największym mężczyzną w pomieszczeniu.

Taka grupa musiała ściągnąć na siebie uwagę.

Falko spoglądał w zaciekawione oczy z obojętnością, dopóki nie

wyłowił z tłumu poważnego oblicza marszałka Bretona. Odczuł niepokój, gdy głównodowodzący zmierzył go kamiennym spojrzeniem. Podczas ich ostatniego spotkania Falko zawstydził najszlachetniejszego ze wszystkich dowódców Clemoncé. Wiedział już, że Breton bynajmniej o tym nie zapomniał. Wzrok marszałka przez chwilę wisiał na Falku, a potem powrócił do innych zebranych mężczyzn, wśród których młodzieniec rozpoznał Dominica Ginolę, maga bitewnego, który uratował uciekinierów z Caer Dour w górach. W odróżnieniu od Bretona Ginola nie patrzył na Falka z wrogością, lecz z sympatią i odwzajemnił jego skinienie. Choć próbował to ukryć, wyraźnie zapałał podziwem na widok zmian, jakie zaszły w Falku od ich ostatniego spotkania. Chłopak zorientował się także, że Ginola wciąż nie otrząsnął się ze zdumienia wywołanego przez rewelacje, które ujrzały światło dnia podczas przywołania. Ale mieli teraz pilniejsze sprawy na głowie i starszy mag zwrócił się ponownie ku marszałkowi, zaś pozostali uczestnicy narady wrócili do przerwanych rozmów.

Czworo nowo przybyłych ruszyło do miejsca przy lewej ścianie, gdzie lanista Magnus i inni dowódcy Nieregularnych siedzieli na trybunach. Tłum zaczął rzednąć, gdy ludzie zajmowali miejsca, i wreszcie w sali zapanowała cisza. Jediną stojącą osobą w pomieszczeniu był marszałek Breton. Przyjął drewniany wskaźnik od jednego z asystentów i podszedł do stołów ustawionych w rzędzie między trybunami.

Falko przyjrzał się mapom. Przedstawiały całą linię frontu od Zatoki Barinthusu na południu po odległe góry na północ od Hoffen. Te mapy były o wiele dokładniejsze niż wielka mapa w Furi, ale przez to również trudniejsze do odczytania. Falko bardzo chciał podejść do nich i uważniej je obejrzeć.

– Sytuacja na froncie uległa zmianie – zaczął marszałek Breton, przemawiając wspólnym językiem Furi naznaczonym wyraźnym akcentem z Clemoncé. – Wojna na wyczerpanie, która była dla nas prawdziwym sprawdzianem sił, dobiegła końca. Wróg niespodziewanie natarł na Clemoncé. Kilka miast zostało już odciętych w wyniku tego błyskawicznego marszu. – Wskazał położenie części z nich oraz oddziały wroga, które znalazły się już za ich linią. – Nasi zwiadowcy donoszą o gwałtownym zwiększeniu ruchliwości wrażeń oddziałów głęboko na Utraconych Ziemiach. Dowiedzieliśmy się też, że poległ wielki generał Vercincallidus.

Na te wieści po sali poniosły się zdumione okrzyki. Huthgarl zamarł na swoim miejscu. Jego twarz pobladła z niedowierzania.

Wśród Beltańczyków Vercincallidus był żywą legendą, pierwszym i najważniejszym obrońcą Beltane. Jego śmierć była druzgoczącym ciosem. Ale marszałek jeszcze nie skończył.

– Utrata tak wybitnego dowódcy to wielka tragedia. Ponadto nasi

sojusznicy z Beltane potwierdzili, że spełniły się nasze najgorsze obawy. Idzie na nas sam Marchio Dolor.

W sali narad wybuchły przerażenie i konsternacja. Breton uniósł ręce i wśród zgromadzonych powoli zapanowało coś na kształt ciszy.

– Nie mamy już żadnych wątpliwości – wyrzekł. – Wielka armia Opętanych przekroczyła rzekę na zachodnim brzegu jeziora Viegala. Marchio Dolor prze na północ.

– A co z księciem Ernestem? – spytał jeden z illicyjskich oficerów. – Czy stolica jest w niebezpieczeństwie?

– Nie wiemy jeszcze, dokąd dokładnie ruszy Marchio Dolor. Może zwróci się na wschód i ruszy na Seeburg, może pójdzie na północ i zaatakuje Hertzheim. A może podąży z biegiem rzeki Türkis z zamiarem oblegania Amboss, gdzie się teraz znajdujemy. Albo... – marszałek potoczył wzrokiem po dowódcach z Clemoncé – weźmie na cel leśne miasto Toulwar.

– W Toulwarze jest Fossetta – wyszeptała Bryna.

Falko zmrużył oczy i odpowiedział ponurym skinieniem. Marchio Dolor przekroczył ich główną linię obrony. Spustoszenie, jakie mógł za nią siać, było nie do wyobrażenia.

Cisza, która zaległa w sali, była absolutna. Do zebranych zaczęła docierać sens słów marszałka Bretona. Po raz pierwszy w historii tej wojny siły Opętanych mogły przedrzeć się przez granice Clemoncé. I to nie jakaś armia, jedna z wielu, dowodzona przez bliżej nieznanego demona, lecz sam Marchio Dolor na czele swych doborowych oddziałów.

– Czy zdołamy stawić mu czoła? – rozległ się głos jednego z illicyjskich dowódców.

– Wedle raportów jego armia liczy prawie sto tysięcy żołnierzy, w dodatku ma na swoich usługach wiele bestiarumów, a wraz z jego hordą maszeruje kilka demonów. – Marszałek wydał z siebie ciężkie, zmęczone westchnienie. – Nawet gdybyśmy zgromadzili przeciw niemu wszystkie nasze siły, ledwie dorównalibyśmy mu liczebnością, a przecież nie wolno nam rozbijać armii królowej, zanim jeszcze wróg dosięgnie granicy jej królestwa.

Po sali poniosły się głosy zdumienia. Nikt jeszcze nie widział armii demonicznej, która byłaby tak niewyobrażalnie potężna.

– A więc musimy zarządzić odwrót – podsunął jeden z oficerów z Clemoncé, gdy w powietrzu zaczęło skrzyć od napięcia. – Latami broniliśmy królestwa Illicji. Może nadszedł czas, by pomyśleć o naszym własnym.

Illicjanie zachowali milczenie. Sama myśl o porzuceniu swoich miast była nie do przyjęcia, ale nie dało się zaprzeczyć, że jedynym powodem, dla którego Illicja jeszcze istniała, było to, że u boku jej mieszkańców

walczyli i ginęli żołnierze z Clemoncé.

– Zgadza się – rzekł marszałek Breton. – Uważam, że powinniśmy ustanowić nową linię frontu, lecz nasza najsilniejsza twierdza to właśnie Amboss. Popełnilibyśmy błąd, porzucając ją od razu.

– A co z Seeburgiem i Hertzheim? – spytał jeden z illicyjskich dowódców.

– Seeburg jest narażony na szwank – odrzekł Breton ciężkim, ale pewnym tonem. – Linie zaopatrzeniowe prowadzące do miasta wkrótce zostaną przecięte. Nie zdołamy go utrzymać.

– A Hertzheim? Czy nasza stolica ma podzielić ten sam los?

– Hertzheim wkrótce zostanie otoczone z trzech stron – odparł marszałek. – Jeśli szybko wkroczymy do akcji, zdołamy ewakuować miasto, zanim ono również zostanie odcięte.

– Czy tak doradzają ci, panie, Wielkie Dusze? – indagował mężczyzna. – Opuścić miasta? Umknąć przed Opętanymi?

Dominic był starszym z dwóch magów bitewnych, naturalnie zwrócili się więc ku niemu. I dobrze, Falko znalazł się bowiem w czymś na kształt transu. Odmalowywał w swojej głowie obraz sytuacji... Płonący cień Opętanych, pełznący przed siebie niczym czarny ogień, pochłaniający pogrążony w cierpieniu świat. Demony jaśniejące w ciemności jak rozżarzone węgle, a wśród nich Marchio Dolor, ciasny węzeł zła, składający się do ciosu w samo serce sprzymierzonych królestw. Było to niczym scena z jego koszmarów. Lecz gdy odezwał się Dominic, rozviała się jak sen.

– Mag bitewny nigdy nie porzuci miasta na pastwę demona, jeśli jest cień szansy na jego uratowanie. Ale czasem lepiej jest uciec, niż zaspokoić głód wroga i powiększyć jego zastępy o dodatkowych żołnierzy.

– Słyszeliście sami – rzekł marszałek Breton, jakby Dominic go poparł. – Jak najszybciej ewakuujemy Seeburg i Hertzheim. Następnie wytyczymy nową linię frontu wzdłuż granicy Clemoncé, z Amboss w charakterze głównego strategicznego punktu zaczepienia.

– A jeśli Marchio Dolor dotrze do Amboss?

– Wówczas słono zapłaci za swoje ambicje – wygłosił marszałek Breton. – Mury obronne będą nam nieocenioną pomocą.

Zaległa cisza. Wszystkich otrzeźwiła wiadomość o tym, że nie mają innego wyboru, jak tylko się wycofać. Zwykle takie strategiczne decyzje podejmował najwyższy stopniem dowódca, jednak w połączonych sojuszem Illicji i Clemoncé decydowało głosowanie przez podniesienie ręki.

– Będziemy więc głosować – zarządził marszałek Breton. – Przedmiotem głosowania jest wycofanie wojsk do granicy Clemoncé i uczynienie Amboss centralnym punktem kampanii. Wszyscy za, proszę

o podniesienie ręki...

Nie było zaskoczenia – pierwsi zrobili to dowódcy z Clemoncé, lecz nawet oni z niejakim ociąganiem. Powoli wędrowały w górę kolejne dłonie i nawet illicyjscy oficerowie zdawali się godzić z tym, że zbliża się koniec ich królestwa.

Marszałek Breton odetchnął z ulgą, gdy mnóstwo rąk pomknęło w górę. Tylko kilku illicyjskich oficerów wstrzymało się od głosu.

– Nie ma potrzeby liczyć – orzekł Breton. – Decyzja o wycofaniu się przeszła...

– Chwileczkę!

Władczy głos dobiegł gdzieś od strony wejścia do sali. Gdy Falko się obejrzał, ujrzał emisariusza. Brudny i pokryty kurzem, który nie opadł z niego jeszcze po ostatniej kampanii, wkroczył do sali, lecz Falko nie patrzył na niego, tylko na zacienione wejście za jego plecami. Stał tam w ukryciu ktoś inny, ktoś, kto nie potrzebował cieni, by schować się przed ludzkim wzrokiem. Falko zmrużył oczy. Rozpoznał tę tajemniczą postać, ale jej tożsamość zachował dla siebie.

Ponury nastrój w sali uleciał na widok Chevaliera. Wszyscy ucieszyli się na jego widok. Wszyscy poza marszałkiem Bretonem, który patrzył spode łba na zbliżającego się rycerza. Jego spojrzenie było chłodne i tchnęło niechęcią. To, że potrafił docenić wiele cech emisariusza, tylko wzmagало jego niepokój i irytację.

– Za pozwoleniem, panie – zaczął Chevalier. – Zanim podjęta zostanie decyzja, chciałbym usłyszeć, co ma na ten temat do powiedzenia pan Danté.

Marszałek prychnął szyderczo.

– Pan Danté jest chyba jeszcze zbyt młody, by doradzać w takich sprawach? – odparł. – Nie minął nawet miesiąc od jego rytuału Assay. Może lepiej zawierzyć bardziej doświadczonemu magowi bitewnemu? – Jego oczy znalazły Dominica, lecz jeśli spodziewał się od rodaka poparcia, to się rozczarował.

– Widziałem, jak pan Danté walczył z demonem, zanim jeszcze rozpoczął szkolenie – wstawił się za Falkiem Dominic. – Od tamtej chwili stawiał czoła wielu niebezpieczeństwom. Może i jest młody, lecz nie myśl, panie, że brakuje mu doświadczenia.

Marszałek zrobił minę, jakby zjadł zgniły owoc.

– Dobrze więc. Posłuchajmy, co ma do powiedzenia nasz młody mag bitewny. Co jego zdaniem powinniśmy zrobić.

Wzrok Falka zawisł na chwilę na Dominicu, a potem zwrócił się ku emisariuszowi. Przez chwilę obaj patrzyli na siebie wzrokiem przepelnionym napięciem, ale i zaufaniem. Emisariusz skinął mu głową.

Powiedz, co myślisz, zdawał się mówić w ten sposób. Falko skupił spojrzenie na marszałku.

– Musimy zaatakować Marchia Dolora.

Breton gapił się na niego, a po sali przemknęły okrzyki zdumienia.

– Czyżby nasz młody mag bitewny nie uważał? – odezwał się wąsaty dowódca zasiadający po drugiej stronie sali. – Armia wroga liczy sto tysięcy żołnierzy, do tego są w niej demony i bestiarumy. Stawienie jej czoła w otwartym polu nie byłoby mądre. Niech rozbiją się o mury Toulwaru lub Amboss.

Falko przeniósł wzrok na mężczyznę, ale ten nie przestawał mierzyć go niezachwianym spojrzeniem.

– Ten demon wzmacnia pozostałe – odrzekł Falko. – Musimy jak najszybciej go zaatakować.

Dało się słyszeć powątpiewające szepty i nawet illicyjscy oficerowie wzdrygnęli się na myśl, by przypuścić frontalny atak na Marchia Dolora.

– Szaleństwo! – powiedział Breton. – Samobójstwo!

Nawet Dominic wydawał się nieprzekonany do tej strategii, lecz emisariusz nauczył się już ufać instynktom Falka.

– Czy zdołalibyśmy tego dokonać? – spytał Dominica. – Gdybyśmy zebrali wszystkie nasze armie, dorównalibyśmy mu liczebnie. Ale czy zbierzemy dość magów bitewnych, by mu się przeciwstawić?

Dominic długo milczał. Zamiast odpowiedzieć, wpatrywał się w Falka, jakby usiłował dociec, dlaczego ten z tak wielką pewnością odnosi się do tak ryzykownego pomysłu.

– Nie byłoby to łatwe – odpowiedział wreszcie. – Każdy z naszych magów bitewnych odpowiada za określone terytorium. Nie mogą ot tak ich porzucić.

– Ale mogliśmy wysłać wiadomość, jeśliby któreś z miast znalazło się w niebezpieczeństwie – rzekł jeden z illicyjskich dowódców, ale Dominic pokręcił głową.

– Mogą upłynąć dni, nim wiadomość do nas dotrze. Jeśli nasi magowie bitewni zgromadzą się tak daleko na południu, najprawdopodobniej nie zdążą dotrzeć do miasta, które poprosiło o pomoc.

– A gdyby przesyłać wiadomości szybciej? – rozległ się od wejścia inny głos.

Raz jeszcze zgromadzeni zwrócili się w tamtym kierunku. I ujrzeni mężczyznę, który nie był ani dowódcą, ani magiem bitewnym, lecz nosił purpurowe szaty czarodzieja.

Falko spojrzał na twarz Mereditha Sakera. Tak jak on sam, mag zmienił się nie do poznania. W jego ciemnych oczach wciąż próżno było szukać chłodu, który dało się zaobserwować w spojrzeniu Sakera seniora, ale zniknęła z nich też wszelka delikatność, zaś skórę jego twarzy szpeciła brzydka blizna, która zakręcała od kącika prawego oka do linii żuchwy.

Każdy w sali usłyszał już historię o zdradzie, jakiej dopuścili się magowie, więc atmosfera zaczynała się zagęszczać. Meredith ignorował jednak pałające wrogością twarze, gdy wychodził na środek komnaty.

– A gdybyśmy zadbali o to, byście zdołali na czas odpowiedzieć na wezwanie w przypadku nagłego zagrożenia? – podjął niezrażony.

– A jak mielibyście tego dokonać? – spytał marszałek Breton. – Wysłanie wiadomości z jednej wieży do drugiej zajmuje magom wiele godzin. Nie wiem, czy zwróciłeś, panie, uwagę na to, że w illicyjskiej dziczy nie ma zbyt wielu wież magów.

Meredith nie wzdrygnął się na kpinę w jego głosie.

– Toulwar, Ville de Pierre, Voisier i Hoffen – odpowiedział. – Mogę wysłać wiadomość do każdego z tych miejsc i w ciągu minut uzyskać odpowiedź.

– Bzdura – prychnął Breton raczej odruchowo, nie wyznawał się bowiem na sprawach magów.

– Mówisz prawdę? – zainteresował się Dominic, który nigdy nie słyszał o niczym podobnym.

– Owszem – potwierdził Meredith. – W każdym z tych miast jest mag wyszkolony w sztuce natychmiastowego przesyłu informacji.

– Lecz przecież magowie bitewni bronią nie tylko miast. Co, jeśli zagrożenie dotknie obszarów położonych dalej od utartych szlaków?

– Wówczas będziemy mogli wysłać wiadomość do najbliższego miasta – wyjaśnił Meredith. – A któryś z moich braci czarodziejów przekaże ją bezpośrednio nam.

– Czy to ma szansę powodzenia? – spytał emisariusz.

Dominic wyduł usta, zamyślony.

– Jeśli magowie bitewni rzeczywiście będą mogli błyskawicznie wycofać się do miejsc, w których będą potrzebni – odparł – to zdołamy zebrać na bitwę co najmniej kilku.

Emisariusz zwrócił się do marszałka Bretona.

– Widzisz więc, panie. Jeśli zjednoczymy armie na południe od Amboss, zdołamy dorównać Marchiowi Dolorowi pod względem liczebności i stawić czoła jego demonom przy wsparciu magów bitewnych.

Nastrój w sali ponownie uległ zmianie, gdy na nowo zajaśniała nadzieja.

– Czyli mamy postawić wszystko na jedną kartę, bo tak nam radzi jeden młodzieniec? – odrzekł marszałek, a emisariusz potwierdził skinieniem głowy. – Dłaczego, panie, darzysz go tak wielkim zaufaniem?

– Nie wiem do końca – odrzekł Chevalier, jakby sam zadawał sobie to pytanie. – Lecz zanim powtórzmy głosowanie, chcę zapytać o coś zebranych. Czy pamiętacie maga bitewnego zwanego Aquila Danté?

Nietrudno było dostrzec, że to imię było znane wielu starszym

oficerom zgromadzonym na trybunach.

– Ja go pamiętam – odpowiedział mężczyzna o długich, rycerskich wąsiskach. – Pokonał dwa demony i uratował miasteczko na wschód od Reiherstadt.

– Ja też go pamiętam – rzekł kolejny. – Byłem świeżo upieczonym oficerem, gdy nasze oddziały zostały odcięte po tym, jak zapuściliśmy się głęboko na Utracone Ziemie. Walczył przez tydzień, by pomóc nam wrócić za linię frontu.

– Ja też go znałem – rzekł trzeci. – Odniósł rany, broniąc naszego miasta. Jego smok nigdy nie odstępował go choćby na krok. Był tak straszny, że nasi uzdrowiciele bali się do niego podejść.

– Był czerwony – odezwał się jeden z młodszych dowódców. – Nie znałem go osobiście, lecz ojciec opowiadał mi o Aquili Dantém. Mówił, że jego smok był czerwony. Że miał barwę krwi.

Emisariusz uniósł dłoń, by uciszyć żołnierzy. Wrócił wzrokiem do Falka, który siedział teraz pochylony na krześle, z szacunkiem przyjmując pochwalne słowa o swoim ojcu.

– Możecie nie znać młodzieńca, który siedzi tu teraz przed wami – wygłosił emisariusz. – Lecz znaliście jego ojca.

Pomimo zbroi przygarbiona postać Falka wydawała się teraz jeszcze młodsza. Lecz zaraz podniósł głowę i poderwał wzrok, i wówczas ciężar przeżytych lat odznaczył się w jego spojrzeniu, tak że nie sposób było odgadnąć, jak długo chodzi już po świecie.

– Oto Falko Danté, syn Aquili Dantégo. I jeśli on twierdzi, że powinniśmy zaatakować Marchia Dolora, to i ja wierzę, że powinniśmy.

Przekonanie emisariusza ostatecznie przeważało szalę. Falko patrzył na dowódców, którzy godzili się na zaproponowane przez niego działanie. Gdy opuścili ręce, znów poczuł na sobie żar spojrzenia marszałka Bretona. W jego oskarżycielskim wzroku wyczytał gniew i niechęć, lecz było w nim również współczucie.

Falko przez parę sekund odwzajemniał spojrzenie marszałka. Nie czuł dumy ani satysfakcji, jedynie porażający ciężar odpowiedzialności za to, co może się wydarzyć, jeśli się pomylił.



## Ciemność, głębia i grób



Falko czuł na sobie spojrzenia całej armii. Żołnierze wiedzieli, że to za jego sprawą maszerują teraz na południe, by walczyć z najpotężniejszą demoniczną armią, jaka kiedykolwiek zgromadziła się w tej wojnie. Oddzielili się już od Amboss trzema dniami drogi. Napięcie narastało, w miarę jak docierały kolejne raporty potwierdzające zbliżanie się armii wroga, lecz mimo to morale wydawało się rosnąć.

Gdy opuszczali Amboss, liczyli wszystkiego sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Byłoby ich więcej, lecz marszałek Breton nie zgodził się zostawić miasta bez obrony. Liczebność zwiększyła się do dziewięćdziesięciu tysięcy następnego dnia, gdy dołączyły do nich dwie armie z południowych lig Illicji. Dziś dowiedzieli się, że niebawem dołączy również księżę Ernest z wojskiem, które stacjonowało w Hertzheim. Księżę wiedział, że jedynym sposobem na ocalenie jego stolicy jest pokonanie Marchia Dolora, parł więc naprzód z czterdziestoma tysiącami żołnierzy i dwoma magami bitewnymi.

Dzięki opracowanej przez Mereditha nowej metodzie komunikacji trzech kolejni magowie bitewni również zgodzili się do nich dołączyć. Dwaj byli już na miejscu, trzeci miał się pojawić niebawem. Z Dominikiem i Falkiem było ich więc pięciu, nie licząc dwóch kolejnych, którzy mieli przybyć z księciem Ernestem. Siedmiu magów bitewnych i sto trzydzieści tysięcy żołnierzy. Tak potężna armia z pewnością zdoła oprzeć się Marchiowi Dolorowi. Tak twierdzili dowódcy i nawet marszałek Breton z coraz większym przekonaniem mówił o zwycięstwie.

Ale Falka dręczyły wątpliwości.

Był późny wieczór, gdy armia rozłożyła się na noc na górzystym obszarze. Falko i Sydian stali na skalistym wzniesieniu na południowym

skraju obozu. Spędzili cały dzień, starając się oczyścić niebo z mrocznych aniołów. Zwiadowcy wroga śledzili ich od opuszczenia Amboss. Ta nieustanna inwigilacja niepokoiła Falka. Marchio Dolor znał potęgę ich armii, a mimo to wciąż szedł w ich stronę.

Falko czuł daleko na południu wojsko Marchia, przybierało ono w jego myślach formę wielkiej, zbierającej się na horyzoncie burzy. Ale nie tylko demoniczna armia kładła się cieniem na duszy Falka i odczucie tego drugiego cienia przepelniało młodzieńca trwogą. Stojący obok Sydian mruknął pocieszająco, były jednak takie strachy, z którymi Falko musiał mierzyć się samotnie. Nadchodziło coś jeszcze czarniejszego niż Markiz Cierpienia i Falko nie potrafił dostrzec, czym owo coś jest. Nie byli to Opętani, ale ten tajemniczy strach jątrzył się w jego duszy i Falko nie wiedział, czy zdoła to wytrzymać. Chciał go uciszyć, oddzielić się od niego, lecz miał wrażenie, że gdyby to zrobił, dopuściłby się jakiejś nieokreślonej zdrady, nie miał więc innego wyjścia, jak tylko go znosić.

Nawet teraz bezwiednie zaciskał pięści z nerwów. Raptem Sydian ściągnął go na ziemię, zwróciwszy spojrzenie na północ. Falko obrócił się wraz z nim i po chwili ujrzał opadający ku obozowi niemożliwy do pomylenia z niczym innym zarys lecącego smoka. Przybył ostatni mag bitewny. W sam raz na wieczorną naradę wojenną zarządzoną przez marszałka Bretona.

– Chodźmy – rzekł Falko. – Lepiej do nich dołączmy.

Wspiąwszy się na Sydiana, chłopak złapał się upręży i razem sfrunęli ku kamienistemu pagórkowi wznoszącemu się ponad namiotem dowódczym, gdzie czekały już cztery inne smoki. Powitały Sydiana z jakąś wyczuwalną czcią, a Falko skłonił im się z szacunkiem, następnie zaś zwrócił się w kierunku samego namiotu, wokół którego zgromadzili się już pozostali magowie bitewni.

Gdy Falko się zbliżał, Dominic przedstawiał właśnie ostatniego z magów, Illicjanina imieniem Armand Dietrich. Nie licząc Symeona, był to najstarszy mag bitewny, jakiego Falko widział w życiu. Jego jastrzębią twarz kreśliły blizny, a siwe włosy kontrastowały wyraziście z zaskakująco czarnymi brwiami i wąsami.

– Więc to ty jesteś synem Aquili – rzekł z wyraźnym illicyjskim akcentem. Otaksował młodzieńca, a potem skrzywił usta w uśmiechu. – On był jedynym magiem bitewnym na tyle odważnym, by się ożenić – dodał. – Twoja matka musiała być wyjątkową kobietą.

Zaskoczony i poruszony do głębi Falko mógł tylko wpatrywać się w niego, gdy starzec ujął jego dłoń, a potem zwrócił się do pozostałych magów, wchodzących właśnie do namiotu. Była wśród nich trzydziestoletnia na oko kobieta o jaśniejszym przeraźliwym światłem kasztanowych oczach. Ciemne włosy nosiła ścięte na krótko, a styl, w jakim wykonano jej zbroję, wskazywał na jej illicyjskie pochodzenie.

Nazywała się Blas Schneider.

Obok niej stał Valencjanin o głęboko niebieskich oczach i twarzy przedzielonej blizną, która biegła od linii włosów do zuchwy, przekreślając oko. Zwał się Lucas Vale i Falko odczuł dumę, wiedząc, że również inni magowie bitewni z Valencji biorą udział w wojnie z Opętanymi.

Wraz z Dominikiem i Falkiem było ich łącznie pięciu i młodzieniec nigdy jeszcze nie doświadczył takiej koncentracji magicznej aury. Potęga ich połączonych aur dawała mu niesamowite poczucie bezpieczeństwa, ale nie odpędzała wrażenia strachu, które tak bardzo przybrało na sile, że Falko z trudem zbierał myśli.

Gdy wszedł do namiotu, z ulgą znalazł w nim znajome twarze Malakiego, Bryny i Huthgarla. Po drodze widział też Alexa stojącego przy Jaregu Snidessonie. Młody szlachcic skinął mu na przywitanie, ale Alex wyraźnie pilnował się, by jego spojrzenie nie zawędrowało w okolice Falka. Poczucie dzielącego ich dystansu uderzyło nową falą poczucia winy i Falko zastanawiał się, czy kiedykolwiek odbudują przyjaźń.

– Trochę to przytłaczające, co?

Falko obejrzał się na stojącego przy nim emisariusza.

– Nieczęsto widzi się tylu magów bitewnych w jednym miejscu.

Emisariusz wskazał ich gestem. Zgromadzili się wokół marszałka Bretona, lecz od czasu do czasu zerkali na chłopaka, jakby intrygowało ich to niecodzienne połączenie młodości i potęgi.

– Mam wrażenie, że niepokoi ich twoja obecność – rzekł emisariusz i uśmiechnął się, widząc zmarszczone brwi Falka. – To prawda – pociągnął. – Sekrety, które wyjawileś. Rzeczy, których dokonałeś.

Falko milczał. Uważał, że wszystkie osiągnięcia miały swoją cenę i jeśli ktokolwiek zasługiwał na wdzięczność za ujawnienie sekretów, to był nim Meredith. Falko odnalazł maga wzrokiem po drugiej stronie namiotu.

– Myślałem, że zostaniesz w Furii – rzekł do niego Falko jeszcze w Amboss, gdy wreszcie nadarzyła się sposobność do rozmowy. – Sądziłem, że królowa poprosiła cię o pomoc w reformowaniu magów.

– Nadzorowałem pisanie nowej przysięgi i przygotowywanie czarów, którymi zostanie nasycona – wyjaśnił Meredith – ale w końcu spędziłem większość życia zamknięty w magicznej wieży. Jeśli czegoś się w tym czasie nauczyłem, to chciałbym skorzystać z tej wiedzy, by ulepszyć świat poza nią.

Falko aprobował decyzję przewodnika w całej rozciągłości. Ponownie zdumiał się, widząc głębokie zmiany, jakie zaszły w Meredicii. Wrócił myślami do nowicjusza o pogardliwym spojrzeniu, którego poznał w Caer Dour, uzdolnionego, choć zgorzkniałego młodzieńca, który

próbował odnaleźć się w cieniu swego ojca. Ten nowicjusz oferował teraz swoje usługi generałom i trenował starszych magów, by korzystali z zaklęć, które sam opracował.

Falka ściągnęła na ziemię dłoń emisariusza, który pchnął go lekko naprzód.

– Chodźmy – ponaglił go. – Wróg się zbliża. Musimy obmyślić strategię.

Razem przeszli na środek namiotu, gdzie nad mapą kampanii pochylał się marszałek Breton.

– Wróg jest teraz gdzieś tutaj – powiedział, wskazując obszar na południowym wschodzie. – Zna siłę naszej armii, a mimo to idzie prosto na nas. Czyżby nie wiedział o wojsku przybywającym z Hertzheim?

Na ustach ilicyjskich dowódców zajaśniał ponury uśmiech wyraźnie nacechowany dumą.

– Za dwa dni spotkamy się z koronowanym księciem, o tutaj. – Marszałek pokazał miejsce, gdzie szlak z Hertzheim łączył się z drogą, którą zmierzała armia.

– Ile będziemy mieć wtedy czasu do przybycia Marchia? – spytał generał Renucci.

– Zjawi się niedługo potem – odparł marszałek. – Jeśli utrzymamy tempo, powinniśmy spotkać księcia Ernesta wcześniej rano, a wówczas będziemy mieć parę godzin, by wybrać pole bitwy.

– Ten obszar kawałek na południe od zbiegu szlaków wygląda nieźle – rzekł emisariusz, przyglądając się uważnie mapie.

– Tak – przystał Breton. – Grunt jest równy, a uformowanie terenu po obu jego stronach będzie chronić nasze flanki.

Pozostali dowódcy potwierdzili, kiwając głowami.

Namiet wypełniły podekscytowane głosy, gdy oficerowie zaczęli omawiać plan bitwy. Wzbogaceni o wojsko księcia Ernesta, będą liczebniejsi od armii Marchia. Ich serca były nadzieją, lecz dla Falka światło w namiocie raptem przygasło. Gdy spojrział na mapę, jego oczy zatrzymały się na skrawku ziemi pomiędzy ich aktualną pozycją a drogą do Hertzheim, na wysoko położonej dolinie otoczonej trzema wyraźnie zarysowanymi wzgórzami. Gdy Falko wpatrywał się w nią, poczuł się tak, jakby jakaś siła powoli wciągała go do mapy.

„Nadchodzi ciemność... Ciemność na ziemi, ciemność w głębi, ciemność na wzgórzach”.

Powietrze drżało, rezonując jego koszmary.

„Nigdy byś się nie odważył. Nigdy nie znalazłbyś w sobie wiary”.

Warkliwe głosy Opętanych były tak głośne, że dziwił się, iż pozostali magowie bitewni ich nie słyszą. Wszyscy wsłuchiwali się w słowa marszałka Bretona. Tylko emisariusz zauważył stojącego jak słup soli Falka.

– Co się dzieje, chłopcze?

Głos emisariusza wyrażał troskę, ale dla Falka chwila już przeminęła. Światło w namiocie wróciło do normalnego natężenia, a demoniczny rezonans zniknął.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoił się Malaki. Wraz z Bryną i Huthgarlem pojawili się u jego boku.

Młodzieniec machnięciem ręki zbył ich niepokój i podszedł bliżej do stołu.

– Jak zwą to miejsce? – spytał, pokazując dolinę z trzema wzgórzami.

– Nazywają ją Tal Der Drei Brüder – powiedział jeden z illicyjskich dowódców. – Doliną Trzech Braci.

A więc to będą wzgórza, pomyślał Falko. To od zawsze miały być wzgórza.

– Tutaj – powiedział na głos. – Tutaj spotkamy się z Markizem Cierpienia.

– Nonsens – odparł marszałek Breton. – Za daleko, a poza tym wróg nie będzie miał żadnego powodu, by przeciąć ten obszar. Nie. Zatrzymamy Marchia tutaj, kawałek na południe od drogi do Hertzheim.

Pozostali oficerowie przystali na tę propozycję, lecz emisariusz stał już u boku Falka.

– Dlaczego? – spytał. – Dlaczego musimy spotkać się z nim tu?

– Nie jestem pewien. – Młodzieniec wzruszył ramionami. – Nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu wiem, że to musi być tutaj.

Falko przyłożył rękę do czoła, jakby naszły go zawroty głowy.

– Na pewno dobrze się czujesz? – spytał emisariusz.

Wrażenie strachu w umyśle Falka niespodziewanie się nasiliło, wzbijając się na nieosiągnięte wcześniej szczyty. Chłopak czuł się zmieszany, zdezorientowany. Zanim zdołał odpowiedzieć, powietrze w namiocie zaczęło wibrować, jakby gdzieś daleko łomotał grom. Przez krótką chwilę emisariusz marszczył brwi, lecz potem uśmiech czystej radości rozpromienił jego oblicze. Wybiegł na dwór, a ludzie szybko poszli za nim.

Gdy opuścili namiot, Falko uprzytomnił sobie, że tym nasilającym się dźwiękiem był tętent zbliżającej się konnicy. Emisariusz podbiegł kawałek, by spojrzeć w dal ze szczytu niskiego wzgórza. Sam z siebie wysoki i barczysty, przybrał niemal rozmiary posągu, gdy stał na wierzchołku i patrzył na mknącą w jego kierunku masę.

Doszedłszy do niego, Falko zrozumiał, co go tak uradowało. Szeroką kolumną sunęły naprzód dwa szwadrony rycerskie. A na czele każdego z nich łopotała chorągiew. Pierwsza przedstawiała trzy stylizowane góry w czarnym polu, znak Nieugiętych. Druga – czarny koński łeb w polu srebrzystobiałym, znak Zakonu Rycerzy Furii.

Po stoku wspinało się na wzgórze ośmiuset rycerzy. Oczy emisariusza

lśniły, gdy dowódcy każdej z kolumn wyszli mu na spotkanie. Zgodnie z wojskowym protokołem najpierw podeszli do marszałka Bretona, lecz żaden nie zdołał zdusić odruchu oddania pierwszych honorów Chevalierowi. Emisariusz uśmiechnął się, gdy dwaj rycerze wyraźnie i z przekonaniem skinęli mu głowami.

– Patrzcie! – zawołała Bryna.

– Wiem. To lord Cabal – powiedział Malaki, rozpoznawszy przywódcę swojego zakonu.

– Tak! – pociągnęła Bryna. – Ale popatrzcie na ich hełmy!

Poczuła, jak stojący obok Malaki tężeje. Niemal fizycznie wyczuwała żar bijący od jego rumieniącej się twarzy. Rycerze Furii byli ubrani w pełne pancerze bitewne, a lewy policzek każdego hełmu naznaczony był plamą karmazynowej emalii, która lśniła jak mokra krew w ciepłym świetle wieczoru.

– Ostrza i obuchy...! – jęknął Malaki, gdy Bryna wyszczerzyła się od ucha do ucha, a Huthgarl trzepnął go w plecy.

Dwaj oficerowie zamienili kilka słów z marszałkiem Bretonem, a potem dowódca Nieugiętych podszedł do emisariusza. Mężczyźni byli w podobnym wieku i mieli podobne, naznaczone twardym życiem twarze. Uściskali się jak starzy przyjaciele, a potem emisariusz zwrócił się do Falka i pozostałych.

– Przedstawiam wam sir Konrada Osternę – powiedział. – Lorda dowódcę Zakonu Rycerzy Nieugiętych.

Spojrzenie sir Konrada było ostre jak klinga miecza. Otaksował nim wszystkich po kolei.

– To dla mnie zaszczyt – powiedział z ukłonem.

Przyjaciele skłonili się w odpowiedzi, ale Falko był coraz bardziej rozkojarzony z powodu piętrzącego się w jego umyśle strachu.

– Ale skąd się tu wzięliście? – spytał emisariusz.

– Wracaliśmy do Hertzheim, gdy dowiedzieliśmy się, że księżę Ernest opuścił stolicę, by spotkać się z wami tutaj.

– A rycerze Furii?

– Przyjechaliśmy, by służyć pomocą, w razie gdyby nasi bracia z Illicji zapomnieli, jak się trzyma lancę.

Obrócili się, by spojrzeć na imponującą postać stojącego za nimi lorda Cabala. Emisariusz pierwszy raz słyszał, jak lord dowódca pozwala sobie na dowcip. Zdumienie odmalowało się jaskrawymi barwami na jego twarzy. Przez chwilę nikt nic nie mówił, a potem lord Cabal powiódł wzrokiem po towarzyszach Chevaliera.

– Wychodzi na to, że twoja reputacja człowieka, który potrafi oddzielić ziarno od plew, ma mocne poparcie w prawdzie.

Emisariusz się uśmiechnął.

– Łatwo rozpoznać wielkość, gdy stoi wprost przed tobą –

odpowiedział.

Lord Cabal przyjął tę łaskawą odpowiedź i dwaj mężczyźni uścisnęli sobie przedramiona.

– Jedziemy w piekielną nawałnicę – rzekł.

– Ale jedziemy razem – odparł emisariusz.

Wzrok obu rycerzy stwardniał na myśl o tym, co ich czeka. Raz jeszcze obdarzyli się spojrzeniem, które wyrażało wzajemny szacunek, a potem rozpletli ręce.

Dwaj lordowie dowódcy zostali na wzgórzu, podczas gdy pozostali rycerze zjechali do doliny, by konie pożywiły się rosnącą tam trawą. Następnie przeszli do namiotu, gdzie wznowiono naradę.

Nikt nie był zdziwiony tym, że marszałek Breton odrzucił sugestię Falka i wybrał na miejsce bitwy poprzednio upatrzoną dolinę. Nawet emisariusz uznał ją za miejsce o wiele lepsze pod względem strategicznym. Falko rozumiał ich punkt widzenia, ale nie mógł wyrzucić z głowy wizji Trzech Braci. Czuł się tak, jakby od zawsze wiedział, że wszystko zakończy się właśnie tam.

Ale marszałek Breton podjął już decyzję. Za dwa dni połączą się z armią księcia Ernesta i razem powstrzymają Marchia Dolora. Na Utraconych Ziemiach wciąż roilo się od demonów i Opętanych, ale jeśli tylko uda im się rozbić to wojsko i zabić głównodowodzącego, może się to okazać punktem zwrotnym i początkiem końca tej wojny.

Przybycie rycerzy podniosło morale całej armii, ale zwiększyło tylko niepokój Falka. Uczucie narosło tak bardzo, że chłopak z trudem je kontrolował. Potrafił znieść strach przed demonem, ale nie to.

– Martwię się o ciebie – powiedział do niego emisariusz, gdy szli w kierunku obozu Nieregularnych.

Powoli Falko zaczynał zauważać, że ludzie gapią się na niego, lecz on nie rozpoznaje ich twarzy. Raptem naszała go potrzeba, by uciec gdzieś i schować się przed tymi spojrzeniami. Oddychał prędko, a jego twarz pokryła się potem.

– Masz gorączkę? – spytała Bryna.

Gdy próbowała przytknąć rękę do jego czoła, Falko uchylił się przed nią i błysnął panicznie zielonymi oczami. Malaki zmarszczył brwi na to niecodzienne zachowanie przyjaciela, którego nie widział w takim stanie nawet wtedy, gdy ten majaczył, dręczony gorączką.

Emisariusz obserwował go baczным spojrzeniem. Widział, że to nie jest zwykła choroba.

– Powinniśmy porozmawiać z Dominikiem i innymi magami bitewnymi – powiedział.

Wyciągnął rękę, by ująć go za łokieć, ale Falko zachwiał się i palce emisariusza złapały powietrze. Młodzieniec potrząsnął głową, jakby chciał, by przejaśniło mu się przed oczami, uniósł ręce, by odpędzić od

siebie coś, co tylko on widział.

– Falko – zwrócił się do niego emisariusz uspokajającym tonem – już dobrze. Jesteś bezpieczny. Jesteś wśród przyjaciół.

Ale Falko ledwie go słyszał. Głos Chevaliera dochodził jakby z wielkiej odległości, a świat wokół młodzieńca wypełnił się złowieszczymi cieniami. Słyszał jakiś hałas, który wstrząsał rześkim nocnym powietrzem, lecz czy był to podmuch wiatru szeleszczący liśćmi oliwnego gaju, wicher wiejący wśród górskich szczytów, czy może fale rozbijające się o skały wybrzeża – nie umiał orzec. Wiedział tylko to, że nie może go już znieść, że musi przed nim uciec.

Zobaczył, że zbliża się do niego jakiś kształt, i nagle jego prawą rękę otoczył płomień, a po zaciśniętej pięści przepelzły wyładowania magicznej energii.

Myśląc, że Falko zaraz upadnie, Huthgarl rzucił się, by go złapać, lecz zaraz odskoczył w tył, gdy moce maga bitewnego zbudziły się do życia. Wszyscy zastanawiali się gorączkowo, co mogą zrobić, by mu pomóc, lecz Falko nagle odwrócił się i poszedł chwiejnym krokiem przed siebie. Malaki poruszył się, by go złapać, ale emisariusz zagroził mu drogę ramieniem.

– Nie próbuj go zatrzymać – polecił. – Idź tylko za nim. Pilnuj, by nic mu się nie stało. Ja sprowadzę Dominica i pozostałych.

Malaki pokiwał głową i ruszył za przyjacielem. Falko zmierzał ku skalnemu wypiętrzeniu. Nie zdając sobie sprawy z obecności Malakiego, zagubił się w nawałnicy strachu oraz wyrzutów sumienia i istniała tylko jedna istota na tyle silna, by zadbać o jego bezpieczeństwo. Na wpół oślepiiony, ślaniając się na nogach i potykając, Falko ciągnął w kierunku Sydiana.

Smok wciąż powinien na niego czekać, ale Falko miał wrażenie, że nie zdoła się przedrzeć przez potężniejący koszmar. Nie poznawał świata wokół i nie pamiętał już, gdzie ma szukać swojego smoka. Próbował sięgać do niego myślami, ale ich treścią była dezorientacja i poczucie winy. Ogarnęła go panika; czuł się zagubiony i opuszczony, lecz wtem z nieba zstąpił czarny cień i Sydian wylądował u jego boku.

Falko nie odczuł jednak ulgi. Padł na kolana, przerażony jak małe dziecko. Wówczas Sydian wziął go w ramiona, a przyjaciele mogli tylko odprowadzić go wzrokiem, gdy stworzenie wzbiło się w powietrze, unosząc ze sobą Falka.

– Co mu się stało? – zapytał Huthgarl, gdy stali razem, starając się przeniknąć wzrokiem mrok nocy.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Malaki.

Nie mogli już nic zrobić dla Falka, więc udali się na poszukiwanie emisariusza.





Chevalier odczuł ulgę, widząc wszystkich magów bitewnych w namiocie dowódczym, lecz gdy tylko ujrzał ich twarze, domyślił się, że coś jest nie tak. Marszałek Breton też tam był, a wraz z nim Meredith. Mag był jeszcze bledszy niż zwykle.

– Co się stało? – spytał.

– Opętani rzucili się do ataku na całej linii frontu.

– To już przecież wiemy – odrzekł emisariusz. – Prą na Clemoncé.

Chevalier nie rozumiał, w czym rzecz. Jeśli atakują na całej linii frontu, muszą to robić mniej licznymi jednostkami, a więc ich marsz na Clemoncé się rozdrobnił. Może uda się to wykorzystać, myślał, lecz wtedy zobaczył, że Blas Schneider zbiera się do wyjścia.

– Wzięli na cel miasta w pobliżu frontu – rzekł Meredith i emisariusz zrozumiał, co się święci. Jeśli magowie bitewni będą dalej szli na południe, miasta pod ich opieką wpadną w łapy Opętanych, lecz jeśli do nich wrócą, marszałek Breton nie będzie miał pod swoją komendą dość magów bitewnych, by oprzeć się Marchiowi Dolorowi.

– Czy wiadomo, które miasta są zagrożone?

– Na razie tylko to, nad którym trzyma pieczę Blas – rzekł Meredith, a marszałek Breton pokiwał głową z widoczną ulgą.

– Czyli wciąż mamy czterech magów bitewnych – podjął. – Oraz tych, którzy przyjadą z księciem Ernestem. – Marszałek usiłował sam sobie dodać odwagi.

Gdy emisariusz skrzyżował spojrzenia z Meredithem, wiedział, że myślą o tym samym.

Noc wciąż była jeszcze młoda.



Pięćdziesiąt mil dalej Marchio Dolor zmrużył oczy i wydał usta w zadowoleniu. Oczami swoich mrocznych aniołów śledził armię marszałka Bretona, gdy ta wyruszyła na południe z Amboss. Z początku sztychował w duchu z jej mikrych rozmiarów, lecz z czasem wojska ludzi zwiększyły swoją liczebność i dołączyli do nich kolejni Przeciwnicy. A potem dowiedział się, że książę Ernest, ten młokos z Illicji, ruszył wesprzeć ich własną armią i dwoma dodatkowymi Przeciwnikami oraz ich smokami.

Głupcy, prychnął Marchio Dolor. Czy naprawdę sądzili, że pozwolą im dyktować warunki bitwy? Że pozwolą im zyskać przewagę liczebną?

Myśleli, że zgromadzą przeciw niemu wszystkie swoje siły, lecz on pokaże im, jak kończą ci, którzy sprzeciwiają się Marchiowi Dolorowi. Wziąwszy w ręce dwóch pokutników, zanurzył ich w podziemnym świecie i zaczął się modlić.

„Zapomnijcie na razie o zgubionym Clemoncé” – rozbrzmiał jego głos w umysłach demonów na froncie. „Teraz zaatakujcie miasta. Zrównajcie je z ziemią i rzućcie wszystkich mieszkańców w głąbie piekła”.

Wkrótce ich siedziby przemienią się w dymiące ruiny rozpacz. Chyba że Przeciwnicy wycofają się, by ich bronić. Marchio Dolor uśmiechnął się. Wiedział, że Wielkie Dusze nigdy nie porzucą niewinnych na pastwę śmierci i potępienia. Była to jedna z wielu ich słabości.

Zapadła noc, lecz dla Opętanych nie był to powód do przerywania marszu. Z północnego wschodu zbliżał się coraz bardziej „młokos z Illicji”. Demon domyślił się, że marszałek Breton chce jak najszybciej połączyć dwie armie. Szkoda by było go rozczarować. Z niecierpliwością wyglądając w przyszłość, wydał swoim żołnierzom rozkaz. Naprzód.



Sydian zabrał Falka na szczyt wysokiego wzgórza i ułożył go na skrawku równej ziemi. Smok nie niepokoił się tak od tamtej nocy przy Smoczym Kamieniu. Podobnie jak Falko, czuł nasilającą się obecność demonicznej armii, która szła na nich od południa, lecz nie wychwytywał nic z otumaniającego strachu, który szalał teraz w umyśle towarzysza. Wiedział tylko tyle, że musi strzec jego duszy, ułożył się więc obok niego i osłonił go skrzydłem.

Leżący obok smoka Falko zagryzł zęby i zassał głośno powietrze, usiłując oprzeć się poczuciu winy, strachowi i wstydu. Chciał rzucić się z góry, utopić w morzu i zakopać w ziemi. Cokolwiek, byle tylko uciec przed skrzydłami zemsty, która mknęła w jego kierunku. Walczył ze strachem przez całą najbliższą godzinę, aż wreszcie nie mógł już tego znieść. Ostatnim wysiłkiem Falko wyrzucił go ze swojego umysłu. Przez chwilę opadło go takie uczucie, jakby porzucił ukochanego przyjaciela, ale był zbyt zmęczony, by się tym przejąć. Zamknął przed strachem drzwi swojego umysłu i wtedy wreszcie zapadł w sen.

Sydian również się uspokoił, widząc, że Falko zasnął. Ostrożnie, by go nie obudzić, przysunął się bliżej, by ogrzać go własnym wewnętrznym ciepłem. Wciąż nie wiedział, co tak rozstroiło towarzysza. Miał tylko świadomość, że wielka armia demona zbliża się do nich od południa i że jeśli mają stawić jej czoła, Ten Który Płonie Smutkiem będzie musiał

zebrać wszystkie swoje siły.

Jego wielka rogata głowa spoczęła na ziemi, a smok zamknął oczy i wsłuchał się w rytm oddechu Falka.



W górach Illicji.

I w gaju oliwnym w Thraecji.

I na dzikim wybrzeżu Beltane.

Trzej udręczeni mężczyźni zapatrzyli się, przerażeni, w ciemność nocy. Od tygodni czuli zbliżającą się ciemność i jedynie obecność dziecka chroniła ich przed popadnięciem w szaleństwo lub odebraniem sobie życia w ramach zadośćuczynienia za swe zbrodnie.

Lecz teraz nadszedł czas. Dziecko oddało już wszystko. Teraz oni sami musieli poddać się ostatniemu osądowi. Zbyt długo kryli się na krańcu świata, myśląc, że zdołają wymknąć się ze szponów wyrzutów sumienia, żalu i bólu. Nie uda im się to.

Każdy czuł, że poprzez ciemniejące niebo zbliża się nieubłagana sprawiedliwość, a więc Odrzuceni ruszyli na spotkanie przeznaczenia.

Pustelnik opuścił swoją jaskinię i wszedł na szczyt wielkiego klifu, który tak bardzo przypominał mu tamto miejsce, gdzie popełnił swoją zbrodnię.

Uzdrowiciel nie zdążył dojść do cmentarza. Dotarł tylko do kamienistego wzgórze, gdzie w słońcu lubiły igrać jego kozy.

Co się zaś tyczy rybaka, ten nie miał daleko do celu wędrówki. Po prostu wyszedł ze swojej chaty i poszedł na cypel, który wcinał się w morze.

Trzej złamani ludzie, wreszcie zdecydowani, by poddać się losowi. Wpatrywali się w niebo, gdzie gołym okiem można już było dostrzec smoki. Sfrunęły bliżej jak skrzydlate widma śmierci i żaden z mężczyzn nie zdziwił się, widząc, że są czarne. Czy to duchy zamordowanych? A może tylko mściciele, którzy wreszcie przybyli wymierzyć zasłużoną sprawiedliwość?

W ostatnich dniach poczucie winy i wstydu stało się nieznośne, jednak teraz odeszło. W końcu bowiem miała opaść kurtyna ich życia.

Pustelnik, uzdrowiciel i rybak uklękli. Gdy sfrunęli ku nim aniołowie śmierci, straceńcy pochyłili głowy i w ostatecznym akcie skruchy złożyli w ofierze swoje życie. Może w śmierci odnajdą jakiś skrawek spokoju.

Ich serca były jak oszalałe, ale myśli były czyste, gdy wiatr wzbijany potężnymi uderzeniami skrzydeł zburzył im włosy i sprawił, że zakołysali się na kolanach. Zbyt zawstydzeni, by podnieść wzrok, gdy

wylądowały przed nimi smoki, słyszeli ich donośne oddechy, skrobanie o skałę twardych jak stal szponów i świst porośniętych kolcami ogonów. Czuli gorąco ich wewnętrznego ognia i ciężar spojrzenia straszliwych złotych ślepi. Potęga i piękno. Zamordowane ich własnymi rękami.

Teraz łzy zmyły cały ich strach.

– Wybaczcie nam – wydyszeli.

Przez moment panowała cisza i bezruch, a potem Odrzuceni poczuli dotyk na swoich czołach. Stężeli, jakby to śmierć składała na nich pocałunek, lecz zaraz uprzytomnili sobie, że to nie akt zemsty. To przebaczenie.

W zdumieniu unieśli głowy i wpatrzyli się w zwierciadła swych dusz. Z niedowierzaniem wstali i spojrzeli w złote oczy smoków, przybyłych w miejsce tych, które zabili. Z pokorą otworzyli przed nimi serca i złożyli nową przysięgę.

Moje życie,

moją siłę,

moją duszę dzielę z tobą.

Jej echo zalśniło w smoczycy oczach, a oni poczuli, że ich myśli splatają się ze smoczymi myślami. A gdy wina i strach odpłynęły z ich umysłów, wyczuli rozpaczliwe wołanie dziecka o pomoc oraz wciąż toczącą się walkę, przed którą tak długo uciekali. W swoich umysłach ujrzeli wysoko położoną dolinę otoczoną trzema wzgórzami.

Tal Der Drei Brüder, pomyślał pustelnik i nagle wszyscy Odrzuceni rzucili się do biegu.

Pustelnik ruszył do swojego górskiego domu i wszedł do najgłębszej niszy w swojej jaskini. Uzdrowiciel pobiegł na cmentarz i zaczął rozkopywać nieopisany grób. Rybak odwrócił się od smoka i zeskoczył do morza. Spadał, aż przebił tafłę wody zaledwie dwadzieścia jardów od boi, która nigdy nie oznaczała pułapki na kraby czy homary. Zanurkował, płynął w głębinę, aż płuca zaczęły go palić. Nie widząc nic w ciemności, wymacał ręką zalegający na dnie tłumok zawinięty w gnijący materiał. To samo uczynili uzdrowiciel i pustelnik: odnaleźli pakunki zawierające skórę i metal, zakonserwowane wypełniającą je magią.

I znaleźli coś jeszcze.

W ciemności, w głębi, w grobie.

Miecz.

## Chevalier



W południe następnego dnia armia stanęła na rozległej łące, której granicę zakreślał łuk rzeki. Było to doskonale miejsce na odpoczynek dla tak wielkiej liczby żołnierzy, ale marszałek Breton nie był zadowolony. Tu właśnie główna droga łączyła się z szeroką, piaszczystą ścieżką wiodącą na wzgórze, w stronę Doliny Trzech Braci. Zwiadowcy korzystali z niej, by śledzić postępy armii księcia Ernesta, ale jeden z nich się spóźniał, więc postanowiono chwilę odpocząć, czekając na jego powrót.

Falko dosiadał Sydiana, który przycupnął na krawędzi przepaści, skąd widać było całą armię. Obserwował, jak głównodowodzący chodzi w kółko, otoczony przez starszych oficerów głównego ciała dowódczego. Napięcie w armii już było całkiem duże. Marszałek najchętniej od razu ruszyliby w drogę. Jutro o tej porze będzie z nimi książę Ernest, a potem ruszą do walki z Marchiem Dolorem. To znaczy jeśli będą mieli wystarczająco wielu magów bitewnych.

Wcześniej rano Armand Dietrich został wezwany do obrony jednego z zagrożonych atakiem miast. To oznaczało, że mieli w swoich szeregach Lucasa, Dominica i Falka. Liczyli również na dwóch kolejnych, którzy mieli przybyć wraz z księciem. Taką liczbę wciąż uznawano za wystarczającą, ale odejście Armanda nie polepszyło nastroju Bretona. Ani jego opinii o szansach powodzenia wykonywanej obecnie misji. Armia zdawała się odzwierciedlać samopoczucie dowódcy. Nie tylko opuściły ich dwie Wielkie Dusze, ale na dodatek wśród żołnierzy rozeszły się wieści o dziwnej przypadłości najmłodszego maga bitewnego.

Falko czuł się otepiały i wycieńczony. Niewiele pamiętał z tego, co się wydarzyło minionego dnia, i nie potrafił odpowiedzieć na zadane przez Malakiego oraz emisariusza pytania o to, co mu się stało.

Wiedział tylko tyle, że coś stracił.

Nieodgadnione przerażenie opuściło go, a wraz z nim coś, czego nigdy dotąd należycie nie docenił. Obecność, która była z nim, odkąd sięgał pamięcią. Nigdy nie wiedział, czy te uczucia były prawdziwe, czy stanowiły tylko wytwór jego wyobraźni, ale czymkolwiek były, podnosiły go na duchu.

Aż do samego spotkania w Amboss nigdy nie słyszał o Dolinie Trzech Braci, lecz teraz czuł się dezorientowany. Wciąż miał wrażenie, jakby to właśnie w tę stronę pchało go przeznaczenie, lecz zaraz miną ścieżkę prowadzącą do tego odległego i wietrznego miejsca.

Nie potrafił doszukać się znaczenia w tych dziwnych odczuciach. Tok jego myśli przerwało wołanie jednego z magów. Marszałek Breton podszedł prędko, by sprawdzić, co było powodem wszczęcia alarmu. Meredith wyszedł z krytego wozu, w którym spał. Emisariusz także zbliżył się do czarodzieja, który utrzymywał magiczny kontakt z innymi miastami na froncie.

Falko i Sydian sfrunęli ze wzgórza, mag bitewny zeskoczył z grzbietu smoka i przepchnął się przez tłum ludzi zgromadzonych wokół magów.

– Co jest? – spytał.

– Maidstein – rzekł emisariusz. – Miasto o trzydzieści mil na wschód od Ville de Pierre. Armię demona dzieli od murów najwyżej sześć godzin drogi.

– To moje terytorium – powiedział Lucas Vale. – Tamtejszy garnizon jest silny, ale nie oprze się mocy demona.

Spojrzenia wszystkich spoczęły na marszałku.

– Leć – powiedział, a Lucas się skłonił.

– Przykro mi – rzekł, a potem pobiegł do swojego smoka.

Za chwilę potężne stworzenie zniknęło w chmurach.

Zapanowała cisza. Marszałek Breton spochmurniał, wyraźnie zmartwiony. Z dwoma magami bitewnymi od księcia Ernesta zostało im tylko czterech na bitwę z Marchiem Dolorem i jego demonami.

– Zawracamy? – spytał generał Renucci.

– Jeśli to zrobimy, odwlecemy tylko bitwę o kilka dni – rzekł Dominic.

– Zgadzam się – powiedział lord Cabal.

– Ja także – dodał sir Konrad.

Wielu dowódców pokiwało głowami, lecz zwrócili się ku Chevalierowi, by usłyszeć, co on ma do powiedzenia.

Emisariusz się zamyślił. Już miał coś powiedzieć, gdy po armii przebiegły szepty i ludzie zaczęli wskazywać palcami niebo na północy. W ich kierunku leciał smok. Z początku myśleli, że to wraca do nich Lucas Vale, ale w miarę zbliżania się stworzenia zaczęli dostrzegać granatową barwę jego łusek. A potem zauważyli, że mag bitewny na jego grzbiecie ma na sobie brązowy pancerz Acheronu.

Żołnierze zrobili mu miejsce do lądowania, a smok sfrunął na ziemię, wzbijając skrzydłami chmurę trawy i kurzu. Mężczyzna był typowym Acheronczykiem – wysokim i postawnym, o ciemnej, lśniącej w słońcu skórze. Zdjął swój hoplicki hełm i przytroczył go do siodła. Zatoczył koło potężnymi ramionami, zeszywniałymi po długim locie, a potem podszedł do grupy mężczyzn, w których rozpoznał dowódców tej imponującej armii.

Żołnierze rozstąpili się przed nim, ale tłum wokół mężczyzny gęstniał od gapiów. Niewielu z nich widziało kiedykolwiek na oczy acheronskiego wojownika, a co dopiero maga bitewnego z tego kraju.

Marszałek Breton wyszedł mu na spotkanie. Uniósł rękę w geście powitania, ale Acheronczyk nie odpowiedział. Jego ciemna twarz przybrała ponury wyraz. Było jasne, że nie przynosi dobrych wieści. Rozejrzał się po zgromadzonych, a potem zatrzymał wzrok na końskiej głowie na piersi marszałka Bretona. Zgarbił się lekko, a Falka naszły bardzo złe przecucia.

– Szukam królewskiego emisariusza. Tego, którego zwą Chevalierem.

– Miał głęboki głos i mówił z wyraźnym akcentem, ale słyhać było, że stara się poprawnie posługiwać wspólną mową.

– To ja – odpowiedział emisariusz, a ludzie pozwolili mu podejść do maga bitewnego.

Chevalier stanął obok Bretona, badając wzrokiem twarz Acheronczyka.

Mężczyzna przez chwilę tylko na niego patrzył, jakby porównywał krążące o emisariuszu opowieści z człowiekiem z krwi i kości, który stał teraz przed nim. Ledwie dostrzegalnie skinął głową, zadowolony z tego, co zobaczył, lecz zaraz wstrząsnęło nim ciężkie westchnienie.

– Przynoszę wieści z Navarii – podjął i wszyscy w zasięgu słuchu uczepili się jego słów, chcąc dowiedzieć się, czy misja królowej się powiodła. – Królowa Catherine ocalała Sophię. Legion Tronowy zmógł o wiele liczniejszą armię Opętanych. – Marszałek Breton i oficerowie z Clemoncé odetchnęli z ulgą, ale Falko i emisariusz czekali na słowa, które ugrzęzły w gardle maga bitewnego. – Zaiste była prawdziwą królową Furii – dokończył i nagle cała ulga uleciała ze spojrzenia marszałka Bretona.

Stojący obok niego emisariusz znieruchomiał jak kamienny posąg. Raptem poczuł się pusty, wydrążony, a własny oddech odbijał się echem w jego głowie.

Mag bitewny powoli otworzył skórzaną sakwę i wyjął z niej pas spleciony z czarnych rzemieni. Ale pas był zerwany, a skórzane włókna pokryte zakrzepłą krwią. Z uroczystą powagą mag bitewny zrobił krok naprzód i złożył pas w dłoni emisariusza.

– Tak mi przykro – rzekł. – Choć zwyciężyła, sama poległa.

Emisariusz gapił się jak otępiały na pas, który ścisnął w ręce. Otworzył dłoń i zobaczył złamaną klamrę w kształcie końskiej głowy. Lśniące srebro było poobijane i podrapane, a w puklach końskiej grzywy zaległa zaschnięta krew.

– Nie żyje? – wydyszał marszałek, ale emisariusz go nie słyszał.

– Królowa nie żyje – poniosły się trwożliwe głosy, ale emisariusz ich nie słyszał.

Wieści rozprzestrzeniły się po równinie. Dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy stanęło nieruchomo jak kamienne posągi.

– Królowa Catherine nie żyje.

– Zginęła królowa Furii.

Oczy Falka zaszyły łzami. Jego umysł nie był w stanie wycisnąć z siebie ani jednej myśli, a sercem wstrząsnęło niedowierzenie.

To niemożliwe, pomyślał. Jest wszystkim, co mamy. Wszystkim, co trzyma świat w jednym kawałku. To po prostu niemożliwe.

– Król Tyramimus i cały Acheron łączą się z wami w żalu – wygłosił achemoński mag bitewny. – Król wysłał już do was swoje legiony.

Jego wyraz twarzy i słowa były szczere, ale marszałek Breton patrzył na niego, jakby ten oszalał.

– Rychło w czas! – ryknął, a mag bitewny zmrużył oczy, gdy uderzył w niego oskarżycielski ton marszałka. – Świat wykrwawił się na śmierć, gdy wy skutecznie pogardliwe zarozumiałstwo. Przybywacie z odsieczą za późno.

Twarz mężczyzny nie wyrażała niczego. Bez słowa przyjął na siebie gniew Bretona. On sam od lat walczył w Beltane, lecz dowódca z Clemoncé miał rację. Król Tyramimus popełnił błąd, nie przyłączając się do walki.

Rozbrzmiały rozpaczliwe szepty. Żołnierze zastanawiali się nad tym, co to oznacza dla ich królestwa i jak wpłynie na przebieg wojny. Ale wszystkie myśli Falka koncentrowały się wokół tylko jednej osoby.

Patrzył, jak emisariusz odchodzi gdzieś bez wyraźnego celu, wciąż spoglądając na zerwany pas w swojej dłoni. Żołnierze cofali się przed nim, aż otoczyli go murem rozżalonych twarzy.

Emisariusz oderwał w końcu wzrok od klamry, a jego zmieniona twarz wbiła się w Falka jak ostrze miecza. Każdy wiedział o miłości, która łączyła królową Catherine de Sage i sir Williama z Eltz. Była to opowieść o uczuciu i smutku, opowieść zrównująca emisariusza z tymi zwykłymi żołnierzami, zbierającymi się nocami przy ogniskach i tęskniącymi za tymi, których kochali. W momencie gdy przyjął stanowisko królewskiego doradcy, emisariusz zaakceptował fakt, że nigdy nie będą razem. Ale teraz...

Teraz...

Jego szare oczy były jak okna grobowca.



– Mój świat – wymamrotał, gdy ugięły się pod nim nogi. – Mój cały świat.

Upadł na ziemię.

Wszędzie wokoło wisiały pochylone głowy, ludzie odwracali zawstydzony wzrok. Nie mogli znieść widoku tego człowieka na kolanach; tego, który był dla nich symbolem niezłomności i siły.

Falko przypadł do niego, usiłował pomóc mu wstać na nogi, ale emisariusz go odepchnął. W jednej ręce trzymał pas, który sam splótł. Drugą sięgnął do bliźniaczego wisiora na swojej szyi. Nie będzie już dowódcą królewskiej Czwartej Armii. Czas, by walczył i umarł, tak jak zrobiła to ona.

Pomimo ogromu swej mocy Falko czuł się bezsilny. Chciał jakoś pomóc emisariuszowi, lecz wtedy ktoś przemknął obok niego. Zobaczył sir Konrada i dwóch jego rycerzy, którzy dźwignęli Chevaliera na nogi.

– Zajmiemy się nim – rzucił sir Konrad i Nieugięci zabrali jednego ze swoich.

Młodzieniec z bólem serca patrzył, jak emisariusz znika wśród swoich braci rycerzy. Chciał pójść odnaleźć Malakiego i Brynę, chciał znaleźć Sydiana i polecieć tak wysoko, by opuścić ten świat i zostawić za sobą toczące go nieszczęścia. Lecz wtedy rozbrzmiało larum i ludzie zaczęli wskazywać szeroki trakt wiodący do Doliny Trzech Braci.

Pędził nim zwiadowca, na którego czekali. Gnał, aż jego koń dotarł do ściany żołnierzy skupionych wokół marszałka Bretona, i wtedy musiał zwolnić.

– Marchio Dolor zaatakował armię księcia minionej nocy – wycharczał, zsuwając się z siodła i przepychając do dowódcy. – Została rozbita, wycofuje się drogą przez wzgórza.

Marszałek tylko wwiercał się w niego wzrokiem.

– A jego magowie bitewni?

– Jeden umarł, drugi umiera. – Twarz zwiadowcy była blada. Łykał haustami powietrze, jakby całą drogę biegł, a nie jechał.

– Marszałku! – dobiegł inny krzyk.

Breton obrócił się i ujrzał zmierzającego ku niemu Mereditha.

– Nowa wiadomość.

– Skąd? – zapytał Dominic. Nawet w jego głosie brzmiało napięcie.

– Z Amboss – rzekł Meredith. – Na miasto idzie nie jeden, ale trzy demony.

Marszałek okręcił się na pięcie i stanął twarzą do Falka. Chciał chyba wskazać go palcem, lecz zrezygnował, zamiast tego zacisnął pięść i zamknął oczy, krzywiąc się na własną głupotę. Jak mógł pójść za radą tego młokosa?

– Kiedy? – wycedził do Mereditha.

– Za pięć... może sześć godzin.

Marszałek przekrzywił głowę w kierunku Dominica.

– Zdążysz wrócić na czas? – spytał.

– Tak – potwierdził Dominic. – Ale nie obronię miasta przed trzema demonami. Nie, jeśli zaatakują jednocześnie.

– Pójdę z tobą – zaoferował się acheronński mag bitewny. – To będzie zaszczyt walczyć u twego boku.

– Idźcie więc – rzekł Breton. – Dołączymy do was, gdy tylko będzie to możliwe.

Skłoniwszy się prędko, Dominic i Acheronczyk wskoczyli na smoki, a Breton wziął na cel Falka.

– A ty na co czekasz? – wypluł, nie kryjąc się ze złością. – Idź z lepszymi od siebie i spróbuj naprawić, coś zepsuł.

Falko milczał. Szedł do Sydiana, gdy Breton zaczął wydawać rozkazy swoim podkomendnym.

– W tył zwrot! – zawołał, kręcąc ręką w powietrzu. – Wracamy do Amboss, i to jak najszybciej.

Oszołomiona sekwencją złych wieści, armia potrzebowała chwili, by zabrać się do wykonania rozkazów. Nie minęło jednak wiele czasu, a na polanie zagotowało się, gdy żołnierze uformowali szyk i zaczęli maszerować w kierunku Amboss.

Stojący na uboczu Malaki, Bryna i Huthgarl patrzyli na Falka, który wyszedł z cizby rycerzy i dowódców skupionych wokół Bretona i ruszył w kierunku Sydiana. Dominic i Acheronczyk byli już tylko ciemnymi punkcikami niknącymi w chmurach.

Tymczasem Falko wydawał się wahać. Szedł, jakby brodził po kolana w wodzie. Wspiął się na grzbiet Sydiana i razem unieśli się w niebo, lecz zamiast obrać kurs na północ, ku Amboss, polecieli wzdłuż szerokiej drogi wiodącej na wzgórze.

Z początku nikt tego nie zauważył, lecz później dowódcy wokół marszałka wskazali palcem miejsce, gdzie wylądował Falko. Breton ściągnął brwi, rozsierdzony, i oblał się rumieńcem, torując sobie drogę przez tłum żołnierzy.

– Dokąd ty lecisz? – zawołał. – Czy do tego stopnia o władzę tobie szaleństwo i arogancja, iż sądzisz, że pokonasz Marchia Dolora w pojedynkę?

Falko nie odpowiedział, ale i nie poruszył się. Patrzył na marszałka Bretona przez szczelinę hełmu. Jego serce krwawiło na myśl o śmierci królowej, lecz wiedział, że to nie jest dobry moment na rozpacz. Nie potrafił wytłumaczyć, skąd w nim tak silne przeświadczenie. Wiedział tylko, że Marchia Dolora trzeba powstrzymać.

Cała armia zamarła ze wzrokiem wlepionym w maga bitewnego i czarnego smoka, stojących samotnie na ścieżce. Sprawiali wrażenie, jakby zmoгло ich jakieś szaleństwo, lecz wtedy z szeregów Nieugiętych

wyjechała konno jakaś postać.

Nie nosiła już królewskich barw ani niebieskiej opończy ozdobionej końską głową. Sir William Chevalier miał teraz na sobie czern i srebrzystą biel Nieugiętych. Nie zwracając uwagi na marszałka, podjechał do Falka i zatrzymał się u jego boku.

Mijały sekundy. Breton wpatrywał się w tę absurdalną scenę. I nagle cały szwadron Nieugiętych ruszył za swoim kapitanem. Nie przebyli nawet połowy odległości, gdy dołączyli do nich Malaki, Bryna i Huthgarl, a za nimi Urwipółcie i cały oddział Nieregularnych, który błyskawicznie okręcił się przodem do kierunku, w jakim miał ich zaraz poprowadzić Falko. Za nimi ustawili się Wygnańcy, na których czele stał Alex Klingemann.

– Co to za szaleństwo? – ryknął marszałek Breton, gdy generał Renucci rozkazał żołnierzom Czwartej Armii zrobić to samo. – Musimy wrócić do Amboss! – wołał. – Dalsza podróż to samobójstwo.

Lecz teraz również illicyjscy dowódcy zaczęli prowadzić swoich ludzi ku Falkowi. Pójdą tam, dokąd zaprowadzą ich Nieugięci, zwłaszcza jeśli istnieje choć cień szansy, że księżę Ernest i bodaj garstka jego żołnierzy wciąż żyją.

Marszałek szukał wsparcia wśród ludzi z Clemoncé, lecz wówczas padł na niego cień rycerza dosiadającego wierzchowca i Breton podniósł spojrzenie na lorda Cabala.

– Już raz zostałem zawstydzony przez ludzi odważniejszych ode mnie – powiedział lord dowódca, patrząc na Malakiego. – Więcej nie dam się zawstydzić.

Z tymi słowy nałożył ozdobiony czerwoną plamą hełm i poprowadził Zakon Rycerzy Furii ku swoim braciom Illicjanom.

Marszałek Breton przez długą chwilę pałał gniewem, postawiony w obliczu tej masowej insurekcji, lecz wówczas powróciły do niego wieści dostarczone przez acheronńskiego maga bitewnego i cały jego gniew pierzchnął pod naporem przytłaczającej rozpacz.

Królowa nie żyje.

Przez całą linię frontu przelewali się Opętani. Breton przez ponad dziesięć lat dawał odpór wrogowi, ale jego wysiłki nie zdały się na nic. Ile jeszcze armii i miast upadnie, gdy dowiedzą się o śmierci królowej? Usłyszał, jak zgromadzona za jego plecami Piąta Armia również sposobi się do drogi, a on nie miał już serca się im sprzeciwić.

Cały świat diabli brali, a marszałek Breton nie wierzył już, że da się go uratować, zrobił więc to, co zawsze robili prości żołnierze, odkąd demony Opętanych pierwszy raz odarły ich z wiary. Położył ufność w magu bitewnym.

Ta demonstracja poparcia może i wywołałaby w Falku jakieś uczucia, gdyby nie oddalił się w duchu poza zasięg wszelkich emocji. Myśl

o wszystkich ludziach, których stracił, była zbyt wielkim ciężarem do udźwignięcia. Jego umysł wypełniał obraz królowej z tamtego dnia, gdy pierwszy raz zobaczyli ją w ogrodach Furii – dzikiej, ciemnowłosej kobiety, spoconej i zdyszanej, doskonalącej się w walce mieczem i tarczą – która później na zachodnim tarasie pałacowym zmieniła się w ideał królewskiego piękna.

„A w jakim celu ty przybyłeś do Furii, Falko Danté?”

Falko zapłakał, skryty za stalową ścianą hełmu. Spojrzał przez łąki na zastępy gotowe ruszyć za nim i przez chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście ma dość odwagi, by poprowadzić ich na spotkanie przeznaczenia. Lecz wtedy obok niego poruszył się w siodle emisariusz i skierował swojego siwego perszerona drogą wiodącą w górę stoku. Kto wie, może Falkowi brakuje odwagi, by poprowadzić ludzi na śmierć, lecz emisariusz stracił jedyną osobę, dla której prawdziwie żył, jemu więc odwagi nie zabraknie.

## Tal Der Drei Brüder



**D**rogę na wzgórze Falko odbył jak we śnie. Dzień ciągnął się i ziemia okryła się gęstą pierzyną mgły, ale armia parła naprzód, aż znalazła się na przełęczy, a droga przed nimi się wyrównała. Gdy zapadła noc, otoczyła ich tak nieprzenikniona ciemność, że nie były w stanie przeniknąć jej wzrokiem nawet mroczne anioły, ale mimo to dręczyły armię swoją przytłaczającą obecnością i skrzekliwym wyciem. Falko zmagał się z nimi aż do rana, a mrok rozświetlały płomienie Sydiana. Lecz teraz słońce wynurzało się już zza horyzontu i ciemność ustąpiła przed szarząną świtu.

Maszerowali jeszcze przez dwie godziny, ale mgła przywarła do ziemi jak całun i odgłosy przemarszu niosły się dziwnie po okolicy, pozornie wymarłej pustce. Gdy zbita mgła zaczęła się wreszcie rozwiewać, dotarli do miejsca, gdzie droga rozwidlała się, ustępując miejsca rozległej dolinie, porośniętej brązową trawą i karłowatymi krzewami.

Falko jechał konno u boku marszałka Bretona. Sydian trzymał się w pobliżu. Nisko sunące po niebie chmury były zbyt gęste, by udać się na powietrzny zwiad, a poza tym strach wisiał w powietrzu i Falko nie chciał zostawiać armii na jego pastwę. Kilka jardów przed nimi jechali dwaj zwiadowcy, którzy znali tę trasę. Pokonali jeszcze milę, nim wreszcie stanęli.

– To tutaj – powiedział jeden ze zwiadowców, gdy Falko i Breton zrównali się z nimi. – Oto Dolina Trzech Braci.

– Jesteście pewni? – nie dowierzał marszałek, ale nim skończył mówić, mgła rozwiała się na tyle, że mogli ujrzeć trzy osamotnione wzgórza: jedno za ich plecami po prawej, drugie po lewej, a trzecie na wprost przed nimi.

Dolina przypominała właściwie wypiętrzony płaskowyż otoczony

z trzech stron wzgórzami i marszałek Breton po raz pierwszy miał okazję jej się przyjrzeć. Przy samej ziemi mgła wciąż była gęsta, ale zwiadowcy zarzekali się, że teren między wzgórzami jest równy i wolny od przeszkód. Wroga nie było, lecz Falko zapewnił Bretona, że to właśnie tutaj dojdzie do bitwy.

Nie wiedząc, dlaczego właściwie pozwolił się tu przyprowadzić, marszałek uniósł rękę i opuścił ją po lewej, a potem po prawej stronie, a sygnaliści dali znak armii, by podzieliła się na trzy duże dywizje, tak jak ustalono w czasie narady.

Generał Renucci stanął na czele oddziałów skupionych na prawej flance – Czwartej Armii oraz jednej z illicyjskich lig, podczas gdy Nieregularni obstawili lewą flankę wraz z dwoma większymi illicyjskimi oddziałami. Jego własna Piąta Armia zajmie pozycję na środku wraz z pozostałymi Illicjanami, wspartymi przez Nieugiętych i Rycerzy Furii.

Nie znając dokładnego składu armii Opętanych, marszałek Breton nie mógł ryzykować osłabienia środkowego odcinka szyku. Postanowił więc postawić na formację debilis centrum, czyli słabego środka, który w tej konkretnej sytuacji okaże się właściwie najsilniejszym punktem linii. Przy odrobinie szczęścia uda mu się utrzymać centralny odcinek szyku na tyle długo, by otoczyć wroga flankami, a potem wbić się w niego zmasowanym atakiem włóczników.

Gdy trzy dywizje zajęły swoje pozycje, marszałek podjechał do Falka, który zsiadł z konia i stał teraz przy Sydianie, usiłując przeniknąć wzrokiem zasłonę mgły.

– Co jest? – spytał. – Czy pojawił się wróg?

– Nie – odparł Falko. – To coś innego.

Nagle ktoś wszczął alarm. A potem z mgły wyłoniły się postacie – żołnierze chwiejący się na nogach, skorupy złamanych ludzi.

– To armia z Hertzheim – powiedział marszałek głosem ściśniętym niedowierzaniem.

Rozległy się okrzyki troski i strachu, gdy żołnierze zobaczyli, w jakim stanie są ci, którzy przeżyli atak Marchia Dolora. Niemal wszyscy byli ranni, ale nawet ci, którzy nie nosili na ciele śladów bitwy, wodzili wokoło szeroko rozwartymi oczami i mamrotali pod nosem, udręczeni okropieństwem bitwy z demoniczną armią. Te ludzkie wraki prawie nie zauważyły przed sobą sojuszniczego wojska. Przeniknęli przez zastępy armii marszałka Bretona, odpychając tych, którzy usiłowali ich zatrzymać.

– Tak niewielu... – powiedział Breton, gdy rozproszona gromada niedobitków zaczęła rzednąć.

Nie sposób było orzec przez mgłę, ale oszacował, że z czterdziestotysięcznej armii ocalało niespełna tysiąc żołnierzy.

– Niech zlitują się nad nimi boginie losu – wydyszał

głównodowodzący.

Falko zastanawiał się nad tym, jak to możliwe, że w ogóle zachowali dość sił, by ratować się ucieczką.

A potem zobaczył wóz zaprzężony nie w muły, ale w dwa najwspanialsze rumaki bojowe, jakie widział w życiu. Jego uwagę zwróciły jednak nie piękne zwierzęta, ale dusze tych, którzy znajdowali się na wozie.

Zostawił Sydiana i ruszył w ich kierunku. I choć wiedział, co tam znajdzie, doznał szoku, gdy to zobaczył.

Z przodu siedział rycerz tulący w ramionach głowę nieprzytomnego mężczyzny w drogich szatach i wymyślnej zbroi, a za nimi leżeli okaleczony smok i mag bitewny. Nie wahając się ani chwili, Falko popędził na tył wozu i wspiął się na niego. Smok był poparzony i ranny, ostatkiem sił trzymał się życia, podobnie jak mag bitewny, który otworzył oczy, gdy poczuł na czole dotyk dłoni.

– Leż spokojnie – powiedział Falko. – Spróbuję pomóc.

Mężczyzna nie znał go, ale rozpoznał w nim Wielką Duszę i drżącą dłonią strącił z czoła jego rękę.

– Ratuj księcia – rzekł i wskazał oczami nieprzytomnego mężczyznę na koźle.

Falko odgadł, że był nim Ernest, koronowany książę Illicji. Serce targnęło się w nim, gdy mag bitewny wydał z siebie ostatnie tchnienie. Jego ciało zwiotczało, a chwilę później zatrzymało się serce smoka, jakby tylko razem mieli dość sił, by żyć.

Nie mogąc już nic dla nich zrobić, Falko przeszedł na przód wozu i dotknął dłońmi czoła księcia Ernesta. Zamknął oczy i skrzywił się na to, co wówczas wyczuł. Przesunął dłoń na pierś mężczyzny i nasączył jego ciało dawką uzdrawiającej energii.

Gdy wóz zbliżył się do armii, wyjechała ku niemu grupa Nieugiętych. Twarze Illicjan wyrażały troskę. Żołnierze rozpoznali w nieprzytomnej postaci swojego suwerena. Koronowany książę doznał ran na ciele i umyśle i Falko nie wiedział, czy przeżyje, ale uznał, że lepiej nie mówić o tym zaniepokojonym żołnierzom.

– Żyje – rzekł, zeskakując z wozu, a wieści szybko rozeszły się po całej armii.

– Koronowany książę żyje – rozbrzmiały pełne ulgi szepty. – Książę Ernest żyje.

Falko pozwolił im na ten ulotny moment radości. Czuł już zbliżające się siły wroga, tak jak wyczuwa się nadchodzący burzowy front. W krajobrazie jego umysłu armia Opętanych przybrała formę mrocznego świtu, czarnego słońca, które nie przynosiło ciepła ani światła, lecz strach i rozpacz. A w tej posuwającej się naprzód ciemności znalazł jeszcze głębszy cień demonów. Sam Marchio jeszcze nie

wynurzył się z za horyzontu, lecz mimo to Falko wyczuwał jego obecność. On był mrocznym okiem cyklonu, który mknął im na spotkanie, i mag bitewny starał się nie myśleć o tym, co się stanie, gdy wreszcie do tego spotkania dojdzie. Nie umiał oszacować, ile demonów kroczy wraz z nim, ale wiedział, gdzie uderzy pierwszy.

Prędko dosiadł Sydiana.

– Niech Nieregularni stoją w gotowości – zawołał do marszałka Bretona. – Pierwszy demon uderzy na nas tutaj.

– Czy to będzie on? – strwożył się Breton. – Marchio Dolor?

– Nie. Pierwszy będzie jednym z wielu. Marchio Dolor to zupełnie co innego.

Marszałek zbladł. Pomimo lat doświadczenia wystawienie na obecność demona zawsze nadwątlало jego odwagę. Nie wiedział, jak ktokolwiek może znieść taki strach, a co dopiero jeszcze większy.

– Pamiętaj – rzekł Falko, ściągając na siebie uwagę marszałka. – Jeśli będziesz mnie potrzebował, każ trzykrotnie zadać w róg. Nawet jeśli nie usłyszę, usłyszy Sydian i jeśli tylko będę mógł, zjawię się.

Marszałek Breton pokiwał głową, łypiąc niespokojnie na swoich sygnalistów, a potem wrócił wzrokiem do maga bitewnego.

– Niech światłość opromieni twoje ostrze – powiedział, a Falko zdumiał się, słysząc szczerą i przekonanie w jego głosie.

– I twoje – odparł z nieklamany szacunkiem.

Pierwszy demon sunął na ich lewe skrzydło i Falko musiał zająć pozycję, by stawić mu czoła, lecz zanim to zrobił, odnalazł wzrokiem rycerza siedzącego na siwym perszeronie w pierwszej linii Nieugiętych. Wielu rycerzy patrzyło na Falka, ale emisariusz zawiesił wzrok w przestrzeni. Mag bitewny sięgnął do niego myślą i emisariusz popatrzył wprost na niego, ale jego umysł był wyprany z emocji.

Nie trać wiary, chciał mu powiedzieć Falko, ale mężczyzna odwrócił wzrok, a młodzieńca naszło druzgoczące wrażenie, że coś bezpowrotnie utracił.

Od pierwszego dnia szkolenia pokładał niezachwianą wiarę w sile i niezłomności emisariusza. Nawet gdy dzieliły ich setki mil, wiedział, że Chevalier gdzieś tam jest, że walczy i dzieli się siłą z tymi, którzy jej potrzebują. Lecz teraz ten człowiek przepadł i Falko czuł się boleśnie osamotniony. Ale nie mógł pozwolić na to, by osłabiły go żal i rozpacz. Wiedział, że wróg posłuży się nimi, by rozedrzeć jego duszę na strzępy.

Westchnął, odwrócił się i popędził Sydiana ku linii niespokojnych żołnierzy. Przeszli wzdłuż szeregu włóczników upakowanych w ciasnej formacji, koniecznej do odparcia frontalnego ataku, minęli równe bloki mieczy i tarcz oraz szwadrony konnicy. A potem, zanim oddział marszałka Bretona ustąpił miejsca Nieregularnym, zrównał się z rycerzami Furii.



Stojący na czele szwadronu lord Cabal zasalutował mu lancą, a Falko skłonił głowę, lecz zaraz jego spojrzenie pomknęło do dwóch rycerzy, którzy jeszcze nie mieli na głowach hełmów.

Mag bitewny odwzajemnił ukłon Huthgarla, a potem zatrzymał wzrok na Malakim. Odległość była zbyt wielka, by zdołali zamienić słowo, ale wymienione przez nich spojrzenia niosły znaczenie, którego nie dało się w nich zamknąć. Jakaś część Falka wciąż głowiła się nad tym, czy Malaki kiedykolwiek obwiniał go o wszystko, co się stało: o zniszczenie ich miasteczka, śmierć ojca, o Quirrena, a teraz o poprowadzenie ich do tego miejsca, z którego żaden z nich nie spodziewał się wrócić.

Ale spojrzenie Malakiego rozwiało jego obawy.

Wzrok przyjaciela był twardy i skupiony, lecz Falko wyczytał z niego treść, którą już raz tam znalazł. Wówczas martwił się, jaki wpływ na ich przyjaźń będą miały rewelacje o jego szlachetnym urodzeniu, lecz nawet po wszystkim, co przeszli, oczy Malakiego mówiły to, co zawsze.

Jestem twoim przyjacielem, Falko Danté. Czy jesteś sługą, czy szlachcicem, czy magiem bitewnym. I zawsze nim będę.

Łzy zakłuły Falka w oczy. Nie wiedział, czy zdołałby stawić czoła piekielnym pomiotom, gdyby nie otaczali go przyjaciele tacy jak Malaki de Vane.

Skinął mu głową, a potem, posławszy mu ostatnie spojrzenie, podjechał tak, aby Sydian znalazł się w środku linii Nieregularnych. Obrócił się i ujrzał zwartą linię mieczy, tarcz i włóczy, oflankowaną przez oddziały kawalerii i wspartą przez zastępy łuczników. Wyczuł Brynę i Urwipołciów, Alexa i Wygnańców. Bardzo chciałby pogodzić się z Alexem i móc walczyć wraz z Malakim u boku Bryny, lecz i bez tego wiedział, że nie jest sama. Miała przy sobie Patricka Fecklera i trzystu zbirów, którzy daliby się pokroić za Królową Zbójców. Gdzieś tam, pośród żołnierzy, byli też laniści Magnus i Deloix.

Wszyscy byli tutaj. Razem z nim. I jedyne, co mogli zrobić, to walczyć.

Odwróciwszy się plecami do Nieregularnych, Falko ogarnął wzrokiem dolinę. Mgła wciąż odrywała się od ziemi. Nagle poczuł, że Sydian tężeje, a potem to usłyszał – huk i szum, który nadchodził z oddali jak fala przypływu. Charakterystyczna kakofonia maszerującej armii i wplecione weń nieludzkie warczenie i syk Opętanych.



Choć odbyło się to na oczach setek rycerzy, Malaki był wdzięczny, że los zezwolił mu i Falkowi na ten ostatni moment, na mówiące wszystko

spojrzenie i pokrzepienie. Odprowadził wzrokiem przyjaciela, gdy ten zajmował pozycję i patrzył na szeregi Nieregularnych. Wiedział, że Falko szukał Bryny. I wiedział, że Bryna była sercem z przyjacielem.

Myśl o żonie przejęła Malakiego strachem. Usiłował nie zastanawiać się nad tym, co może się stać. Zamiast tego wypełnił umysł słowami przysięgi, którą złożyli sobie owego wiosennego wieczoru, i jego ręka pomknęła do pochwy wiszącej u pasa – podarunku ślubnego od Bryny.

Jego myśli urwały się, gdy Falko skierował wzrok ku wypełnionej mgłą dolinie. I wówczas usłyszeli dźwięk, który mógł być tylko odgłosem maszerującej armii Opętanych.

Poświęciwszy jeszcze jedną myśl ukochanej, sir Malaki nałożył swój naznaczony czerwoną plamą hełm, poprawił tarczę i złapał za lancę. Fidelis poruszył się pod nim i zatupał kopytami, gotując się do walki.



Patrząca przez las włóczni Bryna odnalazła wzrokiem Falka, gdy ten jechał wzdłuż pierwszej linii Nieregularnych. Widziała, jak taksował wzrokiem ich szeregi, i desperacko usiłowała pochwycić jego spojrzenie.

– Nie frasuj się tak, dziecinko – rzekł stojący obok Feckler. – On wie, że tu jesteś.

Żywiąc nadzieję, że to prawda, Bryna odetchnęła głęboko. Myślała o wszystkim, przez co wspólnie przeszli, i marzyła całym sercem o powrocie do Caer Dour sprzed ataku Opętanych, który rzucił cień na całe ich życie. Lecz zaraz przyszło jej na myśl, że może gdyby to nie nastąpiło, nieśmiały kowal nigdy nie znalazłby odwagi, by się do niej odezwać, a ona nie zaznałaby głębokiej radości, jaką dawały jej jego objęcia.

Jej dłoń powędrowała do kołczana na plecach i Bryna cofnęła się myślami do wiosennego wieczoru, gdy w kręgu kwiatów złożyli sobie przysięgę. Obróciła srebrny pierścień na palcu i uniosła dłoń, by otrzeć łzę.

– Miękką jak psia kupa w słońcu! – warknął Paddy, który reagował alergicznie na wszelkie przejawy sentymentalizmu.

Bryna strzeliła do niego spojrzeniem i choć czuła irytację, cieszyła się, że ma przy boku tego starego łotra. Zerknęła na innych stojących wokół łuczników. Byli to najwięksi i najsilniejsi ze wszystkich Urwipołciów. Wiedziała, że to nie przypadek, iż akurat oni obstawili swoją dowódczynię.

– Pilnujcie jej albo usmażę wasze jaja nad ogniskiem – obiecał Paddy.

Jej spojrzenie zelżało. Może i był szorstki jak dupa jeża, ale choć

zarzekał się jak mógł, Paddy nie był całkiem wyprany z uczuć.

Bezpieczna na łonie swej przybranej rodziny, Bryna wróciła wzrokiem do Falka, który stał teraz twarzą do doliny.

I wówczas usłyszeli dźwięk, który mógł być tylko odgłosem maszerującej armii Opętanych.

– Idą, skurwiele! – ogłosił Dedric Sayer, a kapitan Urwipołciów, poświęciwszy ostatnią myśl ludziom, których kochała, rozkazała królewskiej Piątej Kompanii Łuczników przygotować się do walki.



Falko patrzył wprost przed siebie, gdy zgiełk nadciągającej armii nasilił się, a powietrze przesycały gorąco i fetor gnijącego ciała. I wtedy, niczym koszmar wyłaniający się zza rzednącego całunu śmierci, pojawili się oni – połyskliwa ściana stali i ciemności rozciągnięta w poprzek doliny. Mgła w końcu rozviała się zupełnie, wypalona nie promieniami słońca, tylko piekielnym żarem Opętanych, a powietrze raptem zyskało tak krystaliczną przejrzystość, że dało się w tym wyczuć jakieś okrucieństwo.

Wraża armia zdawała się ciągnąć po horyzont i nawet z odległości pół mili Falko był w stanie dostrzec elementy czarnego pancerza, okrągłe tarcze skiryków oraz większe, masywne kształty ciężkozbrojnych kardaków. Na czele trzonu armii kroczył sześciotysięczny oddział władających włóczniami peltastów i ślepych łuczników – toksytów. Oddziały harcowników zrodziły się w myśli wojskowej Acheronu, Thraecji i Ferocji, lecz Opętanym brakowało rozsądku i dyscypliny koniecznej przy wykonywaniu manewrów. Napędzani bezmyślną nienawiścią, szli zbyt szybko i marszałek Breton uznał, że zdąży rozprawić się z nimi, zanim przyjdzie mu zmierzyć się z głównymi siłami wroga.

Ta myśl niosła ze sobą cień nadziei, lecz wtedy Falko poczuł kielkującą w oddali obecność demona – nie mniejszego sługusa piekieł, podobnego do krążących po niebie dziesiątek mrocznych aniołów czy do zwalistych bestiarumów, torujących sobie drogę przez maszerującą horde, lecz prawdziwego demona, chodzącego naczynia wypełnionego nienawiścią wroga.

Falko poczuł, jak stojąca za jego plecami armia wzdryga się ze zdumienia, on zaś dosłownie zwiotczał pod naporem tej masy strachu, zaraz jednak wyprostował się i przyjął go na siebie.

Po jego lewej ręce pojawiła się w oddali olbrzymia postać, niemal dwukrotnie przewyższająca żołnierzy wokoło. W świetle porannego

słońca wydawała się jeszcze bardziej obrzydliwa, budziła myśl o tym, że coś tak ohydneho powinno kryć się przed spojrzzeniami ludzi w otchłani mroku, a jednak z jakiegoś powodu ośmieliło się stanąć w świetle dnia. Potwory piekieł nie lękają się słońca. Są nocnymi strachami, które przyoblekły się w ciało, okropieństwami, które zerwały się z łańcuchów koszmaru, by polować na ludzi na powierzchni.

Patrzył na demona, jednocześnie ogarniając wzrokiem rozmiary sunącej na nich armii. Niemal dorównywała ich połączonym siłom, lecz wiedział, że to tylko pierwsza z wielu fal. Armia Marchia Dolora urosła w drodze na północ, a potem połknęła jeszcze trzydzieści tysięcy wojowników księcia Ernesta. Falka przeraziłaby liczebność tego wojska, gdyby jego myśli nie były skupione na kierującym się do niego demonie.

Był olbrzymi i rogaty, jego czarną skórę pokrywała siatka pęknięć, spod której wyzierało pulsujące światło piekielnego ognia. Ciężka głowa miała niemal kształt klina, podbródek wystawał naprzód jak dziób thraeckiej galery. Szedł na wygiętych w tył nogach, pochylony naprzód, zdawałoby się, przygięty ku ziemi samym ciężarem masywnych ramion. Był jeszcze zbyt daleko, by Falko ujrzał błyszczące węgle jego oczu, lecz wiedział, że są skupione na nim.

I dobrze. Chciał, by demon właśnie jego wziął na cel.

Pomiędzy dwiema gęstymi armiami mknął naprzód rozproszony rój peltastów i toksytów, który prawie znalazł się już w zasięgu. Wtedy Falko usłyszał sygnał do impetus equitum i sześciotysięczna kawaleria porwała się z miejsc, by równą ławą zmieść z powierzchni ziemi nieregularną gromadę harcówników.

Bitwa w Dolinie Trzech Braci została rozpoczęta.



Emisariusz tkwił osamotniony na jałowym ugorze własnej duszy. Docierała do niego niejasna świadomość, że jego ramię machinalnie siecze i rąbie kłębiących się wokół niego przeciwników, a do uszu wdzierało się dudnienie kopyt i chrzęst miażdżonych pancerzy. Lekkozbrojni harcównicy nie byli wyzwaniem dla ruchomej ściany stali, która niczym walec wbiła ich w glebę. Nieugięci prawie nie zwolnili tempa aż do końca posuwistego, miażdżącego manewru, po czym błyskawicznie wrócili za sojusznicze linie.

Emisariusz przez moment czuł palącą potrzebę, by oddzielić się od masy towarzyszy i przypuścić samotny szturm w samo serce opętanej armii. Nie dbał o to, że ich są tysiące, a on sam jeden. Liczyło się tylko to, by spotkać się wreszcie ze śmiercią. Jego palce już zacisnęły się mocniej

na uchwycie tarczy, lecz nagle odczuł w sercu ukłucie wstydu. Catherine nie pochwaliby tak pustego aktu rozpacz. Dojmująca słabość wzbudziłyby tylko jej pogardę.

Nie.

Zadowolony się więc myślą, że i tak dziś umrze. Lecz zrobi to w taki sposób, by była z niego dumna.



Konnica szybko rozprawiła się z harcownikami. Dobrze. Falko na powrót utkwiał spojrzenie w demonie. Choć drżał z lęku, wiedział na pewno, że wraz z Sydianem są w stanie go pokonać. Jeśli dopisze im szczęście, sojusznicza armia zdoła wyrządzić wielkie szkody Opętanym, zanim na scenie pojawi się Marchio Dolor. Jego myśli ucięło pojawienie się w zasięgu jego umysłu kolejnej aury. Szedł na nich drugi demon, który wkrótce zagrozi prawej flance pod wodzą generała Renucciego.

Nagle wątpliwości wdarły się do serca Falka. Jakimś sposobem musi z Sydianem zatrzymać oba demony. Skacząc wzrokiem między nimi, wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Rycerze oczyścili obszar pomiędzy dwiema armiami, ale gęsta gromada Opętanych zbliżała się szybko. Jeszcze chwila i znajdzie się w zasięgu łuków, co oznaczało, że lada moment słońce przysłonią strzały. Lecz Falko nie mógł dłużej czekać.

Słyszając skierowaną do łuczników komendę przygotowania się do strzału, popędził Sydiana naprzód. Dwa potężne susy – i wzbili się w powietrze. Jeśli chcą liczyć na szybkie zabicie drugiego demona, muszą prędko uwinąć się z pierwszym.



Marszałek Breton patrzył, jak kawaleria kończy manewr i chowa się za szeregami żołnierzy. Jego rycerze przetoczyli się po harcownikach – ci, którzy przetrwali miazdzące uderzenie, zostali natychmiast dobici włóczniami oraz mieczami lżejszej kawalerii, która dopełniła dzieła zniszczenia. Był to śmiały gambit, ale opłacił się. Właściwa bitwa jeszcze się nie zaczęła, a pole już było usiane trupami tysięcy Opętanych.

Marszałek pozwolił sobie na ponury uśmiech. Rozkazał strzelcom unieść łuki. Wróg znalazł się już w polu rażenia, lecz gdy łucznicy przygotowywali się do salwy, Breton ujrzał, że Falko i Sydian unoszą się w powietrze. Dlaczego mieliby atakować teraz, narażając się na

pokiereshowanie pociskami? Zrozumiał, gdy opuścił wzrok i ujrzał drugiego demona, który parł na prawą flankę. Pan Danté musiał teraz stawić czoła dwóm adwersarzom, a jeśli szybko nie zabije pierwszego demona, drugi rozgromi dywizję generała Renucciego.

Lecz mimo to nie mogli zmarnować takiej okazji do osłabienia przeciwnika. Ufając, że łucznicy nie naszpikują maga bitewnego strzałami, dowódca kazał strzelać.



Falko i Sydian byli już wysoko nad ziemią, gdy usłyszeli brzęk zwalnianych cięwiw i chmura strzał pofrunęła w niebo. Nagle znaleźli się pośród szkwału pocisków. Opierzone drzewca śmigają wokoło, by spaść na postępującą gromadę skirytów jak stalowy grad. Te zmasowane salwy potrafiły siać w szeregach wroga prawdziwe zniszczenie, lecz Falko zdawał sobie sprawę, że Opętanych nie obchodzą poniesione straty. Znow zapragnął znaleźć się w pierwszej linii, w samym kotle bitwy, broniąc tych, których kochał, lecz kilkutysięczna masa wrogów nie była jego celem. Były nim dwa potężne demony, kontrolujące hordy piekielnych wojowników. Pierwszy patrzył właśnie na niego czerwonymi ślepiami, w których płonęła furia podziemnego świata.

Sydian podleciał tak blisko niego, że Falko czuł na sobie żar demonicznego spojrzenia. Kolejna salwa przemknęła obok nich, lecz Falko myślał już wyłącznie o demonie. Musieli go zabić i musieli zrobić to szybko, lecz gdy się zbliżyli, diabli pomiot strzelił w niebo płonącym łukiem ognia wiecznego i Falko uświadomił sobie, że wykonanie zadania nie przyjdzie mu łatwo. Zasłonił się ochronną tarczą, lecz część piekielnego płomienia przedarła się przez nią i wypaliła dziurę w prawym skrzydle smoka. Sydian zawarczał z bólu, a Falko poczuł bardziej, niż ujrzał mordercze spojrzenie złocistych oczu, którymi smok wwiercił się w demona. Złożył skrzydła i ostro zapikował.

Cała armia patrzyła w zdumieniu, jak z niesamowitą szybkością opadają na pierwszego z piekielników. Dla zwykłych ludzi demony Opętanych były nie do pokonania, ale ci zwykli ludzie mieli swojego obrońcę. Razem Falko i Sydian byli znani jako Le Cœur Noir – i Czarne Serce właśnie włączyło się do bitwy.



Stojący wśród czarno odzianych Wygnańców Alex Klingemann niemal

nie mógł patrzeć na Falka, który zanurkował właśnie w stronę pierwszego demona. Oślepiiony żalem nie wiedział, jak zebrać się do rozmowy z magiem bitewnym, jak powiedzieć mu, że tak naprawdę nie wini go za to, co spotkało Quirrena. Lecz teraz było już za późno. Podobnie jak reszta armii, podążył za Falkiem w tym szalonym akcie buntu.

W odróżnieniu od wielu nie zrobił tego wiedziony nadzieją. Nie wierzył, że ujrzą dziś zachód słońca, ale przynajmniej mógł liczyć na śmierć. Inaczej niż jego brat, który spędzi wieczność w cierpieniu.

Alex nie mógł tego wytrzymać. Gdy Falko i Sydian zaszarżowali na demona, ujrzał, jak z łapy piekielnika strzela w niebo łuk mrocznego ognia. Jego przyjaciel mógł zginąć w każdej chwili. Jeśli to nastąpi, nigdy już nie powie mu, że to nie była jego wina. Kapitan Wygnańców nie widział chwili, gdy Falko uderzył na przeciwnika. Jego oczy były zaciśnięte, zapieczętowane potokiem łez.

## W ogniu walki



Opętani mknęli na spotkanie wroga, a Falko i Sydian pikowali w kierunku demona. Falko stanął w strzemionach, gotowy, by zeskoczyć z siodła, ale gdy już miał dać susa, demon posłał w ich stronę kolejny strumień płomieni. Smok przekręcił się ostro w bok, unikając pocisków, lecz Falkowi uchwyt uprząży wymknął się z dłoni i mag bitewny spadł z wysokości trzydziestu stóp. Choć szczęśliwie udało mu się wzmocnić swoje ciało magią, upadek i tak wydusił mu powietrze z płuc. Nagle znalazł się w samym środku roju rozwścieczonych skirytów.

Nie chcąc tracić rozpędu, Sydian zaatakował mimo wszystko i zamachnął się szponami, gdy demon złapał jednego z kardaków i cisnął nim w smoka. Ciemna zbroja rozbiła się o czarne łuski i podobnie jak przed chwilą Falko, Sydian wpadł w tłum skirytów. Pędzący Opętani natychmiast postanowili wykorzystać przewagę nad powalonym przeciwnikiem, lecz ani smok, ani mag bitewny nie mieli zamiaru dać się tak łatwo pokonać.

Całe ciało Falka zeszywniało od bolesnego lądowania, lecz to nie był dobry czas, by wylegiwać się na ziemi. Opętani zaciskali krąg wkoło niego. Musiał działać. Z trudem wypełniając płuca powietrzem, przekręcił się i przetoczył po gruncie, a kilkanaście kopisów wbiło się w ziemię tam, gdzie leżał dosłownie przed chwilą.

Podciął nogą napastliwego skirytę, znowu odtoczył się poza zasięg mieczy i uniosł się na jedno kolano, ale tarcza przekręciła mu się na rękę, a broń wciąż tkwiła w pochwie. Uznawszy, że jest bezbronny, skiryeci naporli na niego raz jeszcze, ale Falko przywołał swoją moc i wrogowie mieli najwyżej ułamek sekundy, by zrozumieć swój błąd.

Fala uderzeniowa błękitnej energii buchnęła we wszystkie strony, wysadzając w powietrze kilkunastu skirytów. Trudno o bardziej



przekonującą demonstrację mocy maga bitewnego, lecz jaśniejący płomień Wielkiej Duszy jest dla Opętanych wstrętny, a bliskość demona ośmieliła ich ponad miarę. Rzucili się na niego ze wszystkich stron, lecz Falko zdążył już dobyć miecza i jego klinga zabrzmiała złowieszczym tonem.

Pierwszy skiryta, który na niego skoczył, nie zdążył nawet wylądować, gdy Falko przerąbał go w pasie na pół. Ukośnym cięciem na odlew rozorał napierśnik drugiego. Trzeciemu przyłożył w twarz tarczą, a cios czwartego przyjął na hełm, by zaraz wyprowadzić niskie cięcie przy ziemi i odrąbać napastnikowi nogę w kolanie. Ten warknął i upadł naprzód, a wtedy Falko uciszył go celnym kopniakiem okutego buta. Następnego zabił ciosem w bok szyi. Gorąca krew zbryzgała mu twarz. Zabijał, mordował, ale wróg mnożył mu się przed oczami. Przed sobą widział potężne postacie Sydiana i demona zwarte w śmiertelnym boju.

Przez chwilę wydawało mu się, że smok walczy z demonem jak równy z równym, lecz Sydian musiał równocześnie bronić się przed skirytami, którzy napierali na niego ze wszystkich stron, i Falko wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim jakaś klinga znajdzie lukę w jego gardzie. Przerzynając się przez hordeę Opętanych, zaczął zbliżać się do smoka.

Prawie już do niego dotarł, gdy Sydian uniknął ciosu morderczymi szponami i złapał w zęby ramię demona. Używając całej swojej zatrwającej siły, zaburzył równowagę potwora i już miał uderzyć w jego gardło, gdy nagle grzmotnął go w żebra bestiarum wielki jak byk. Sydian wypuścił rękę przeciwnika i odskoczył poza zasięg ostrych kłów atakującej bestii, lecz wtedy demon zdołał opleść jego szyję rannym ramieniem i Sydian padłby, gdyby w tym momencie nie doskoczył do niego Falko, który znalazł się dostatecznie blisko, by wyprowadzić magiczny atak.

Z dziesięciu stóp posłał w bok demona energetyczny pocisk, dzięki któremu Sydian zdołał wyplątać się z uścisku. Gdy Falko przebył dzielący go od kreatury dystans, bestiarum wziął go na cel. Rzucił się do ataku, momentalnie osiągając potworną prędkość. Falko uskoczył z linii natarcia i z mocą sprowadził w dół miecz, przerzynając się przez kręgosłup bestiaruma, który poleciał naprzód, niesiony mocą rozpędu.

Wróciwszy spojrzeniem do głównego przeciwnika, Falko miał akurat dość czasu, by osłonić się energetyczną tarczą przed kolejnym potokiem ognia wiecznego. Nawet osłonięty magiczną kopułą, czuł na twarzy piekielny żar. Zacisnął zęby, zmagając się z jego niszczycielską mocą. Otaczający go skiryty zaskrzeczeli rozdzierająco, gdy ich ciała ogarnęły mroczne płomień, i nie przestali nawet wtedy, gdy ogień zgasł. Gdy tylko to nastąpiło, Falko ponownie rzucił się do ataku.

Sydian, który również cofnął się przed ogniem na bezpieczną

odległość, teraz wznowił natarcie. Gdy po raz wtóry zwarł się z demonem, Falko słyszał już za plecami odgłos rozpętującej się bitwy. Opętani dotarli do pierwszych szeregów sojuszniczej armii i Falko wiedział, że lada moment drugi demon przypuści szturm na oddziały generała Renucciego. Dopadła go rozpacz, ale zaraz się opanował i za wszelką cenę postarał skupić. Ten demon był pierwszym spośród wielu. Musi zabić go jak najszybciej. Nie ma czasu do stracenia.



Marszałek Breton potoczył wzrokiem po pierwszym szeregu. Wrogowie zajadłe napierali na ich linię obrony. W odróżnieniu od ludzkiej armii Opętani nie bali się śmierci i nie reagowali na rany. W bezmyślnej furii rzucali się na włócznie i próbowali wleźć na mur tarcz, ale szyk jakimś cudem nie został przerwany.

W przypiływie ulgi dowódca poderwał wzrok. Trzysta jardów za pierwszą linią, w miejscu, gdzie Falko i Sydian walczyli z pierwszym demonem Marchia Dolora, kłębili się Opętani. Wypatrzył górujące nad falującą cizbą sylwetki smoka i demona, a gdzieś obok nich błękitne rozbłyski magicznego światła – energetyczne pociski Falka.

Rzucił okiem na prawe skrzydło i zobaczył, że drugi demon jest już niebezpiecznie blisko szyku generała Renucciego. Ogarnęła go frustracja i zniecierpliwienie; chciał, by Falko pospieszył się i jak najszybciej zabił pierwszego wroga. Zaraz odpędził od siebie te uczucia, oderwał spojrzenie od demonów i skupił się na bitwie. Rozbłyski światła świadczyły o tym, że Falko wciąż żyje, a myślenie o tym, co się stanie, jeśli zawiedzie, w niczym mu teraz nie pomoże.

Jego żołnierze wciąż utrzymywali formację, lecz widział, że w kilku miejscach linia wygięła się, gdy wyjąca hałastrą odepchnęła obrońców w tył. Styk dwóch armii szybko zmienił się w bagno krwi, przez które biegł potworny szaniec okaleczonych trupów. Obrońcy cofali się przed Opętanymi, którzy wdrapywali się na niego i z wysokości skakali żołnierzom na głowy.

Marszałek pamiętał, że na razie mierzą się dopiero z pierwszą falą żołnierzy Marchia Dolora, lecz mimo to czuł satysfakcję, widząc, jak dzielnie jego wojownicy stawiają czoła zajadłości wrogów. W tym momencie jeden z pomocników zawołał do niego i jego optymizm został zduszony w zarodku.

– Panie marszałku! Drugi demon przy prawej flance!

Breton strzelił wzrokiem do wskazanego miejsca i ujrzał zwalistą postać demona górującą nad gromadą wojowników pod wodzą generała

Renucciego. W odróżnieniu od pierwszego, którego skóra przypominała nadpaloną sosnową korę, ciemne ciało tego potwora było okryte pancerzem. W każdej ręce trzymał broń przypominającą olbrzymie kiścienie, których łbami były sześciennie bloki czarnego żelaza przytwierdzone do trzonka ciężkimi, czterostopowymi łańcuchami.

Przez wszystkie lata spędzone na polach bitew marszałek nie widział jeszcze tak olbrzymiego demona i nawet pomimo odległości czuł jego potworną siłę, która mogłaby zdruzgotać mury obronne warownego miasta. Ponad harmider bitwy wzniósł się dźwięk rogu wygrywającego wezwanie do manewru equitatus. Marszałek widział, jak kawaleria ustawia się na pozycjach. Generał Renucci miał zamiar powstrzymać demona szarżą konnicy.



Wiedząc, że kończy im się czas, Falko i Sydian wzmogli wysiłki i po raz pierwszy, odkąd odrodził się w niewydarzonym świecie, demon dowiedział się, co to znaczy wątpić. Rzucił się naprzód i ucapił Sydiana szponiastymi łapami, usiłując wbić rogi w smoczą szyję, ale Falko wraził mu miecz w tylną część uda i Sydian wyrwał się z uścisku.

Obracając się prędko, demon machnął łapą, celując w głowę Falka. Jego szpony przypominały rzezaki, jakie widziało się u chłopskich pługów. Skrzeszały iskry na hełmie Falka, lecz wtedy Sydian zaatakował ponownie i demon ryknął z bólu, gdy smocze pazury naznaczyły jego grzbiet czterema głębokimi ranami. Rozwścieczony, odwinął się i zadał cios na ślepo. Falko zablokował go mieczem, potem kolejny przyjął na tarczę. Demon postanowił wyprowadzić trzeci, lecz raptem klinga maga bitewnego zapłonęła energią i odcięła demonowi dwa palce, a potem rozorała udo. Olbrzymia postać opadła na kolano, a wtedy Falko wbił jej miecz w pierś, przebijając serce.

Niedowierzanie wybuchło w umyśle demona, zmagając się z uczuciem wstydu, które przyniosła ze sobą świadomość porażki. Rycząc ze złości, okładał Falka pięściami. Pazury dzwoniły o pancerz, dopóki Sydian nie uderzył łapą z tak zatrważającą mocą, że ułamał się prawy róg demona.

Ze ślepi potwora buchnął zar i demon osunął się bezwładnie na ziemię.

Falko wydobył miecz z jego piersi. Drżał od nadmiaru adrenaliny, jego ciało było obolałe od ciosów. Bitwa dopiero się zaczęła, a on już czuł się wykończony, lecz nie miał czasu na odpoczynek. Sydian siał śmierć wśród skirytów, którzy ponownie przystąpili do ataku.

Falko ogarnął wzrokiem leżącego przed nim demona. Ciemna krew wyciekała z wielu ran, a palce, które mu jeszcze zostały, zagłębiły się w ziemi. Usiłował trzymać się życia, ale umierał. Falko uniósł miecz, by go dobić, lecz nagle opadli go dwaj kardakowie i musiał się bronić. Pierwszego zabił natychmiast. Zanim rozgromił drugiego, oberwał w udo, aż zdrętwiała mu noga. Wielu ciężkozbrojnych kardaków zbliżało się do ich pozycji i Falko uświadomił sobie, że jeśli zaraz stąd nie uciekną, zostaną otoczeni.

– Sydian! – zawołał. – Zabierz nas stąd!

Stając plecami do Falka, smok wziął głęboki wdech, a potem rozwarł paszczę i zionął ogniem po łuku, oczyszczając połać gruntu z przeciwników. Umykając przed ferockimi ostrzami, tnącymi powietrze za jego plecami, Falko wskoczył na Sydiana, a smok napał naprzód i wzbił się w powietrze.

Wrzeszcząco szaleńczo Opętani usiłowali dosięgnąć smoczycich nóg mieczami, ale Sydian zaraz zwiększył wysokość i wreszcie znaleźli się poza ich zasięgiem. Po chwili wahania Falko obrócił Sydiana w prawo, gdzie drugi demon zbliżał się już do dywizji generała.



Renucci był chory z przerażenia, gdy patrzył na kroczącego w jego stronę demona. Zwalista kreatura, nawet pochylona, miała ponad dwanaście stóp wysokości, a całe jej ciało pokrywał poobijany do granic możliwości pancerz. Hełm ozdobiony był biegnącym przez środek czubem i przypominał maskę kata. Płonęły widoczne w szczelinach oczy, upodabniając opancerzoną głowę do rozpalonego pieca. Ze znajdującej się pod maską paszczy, przystosowanej do kąsania i rozrywania, wydobywał się ryk, który przejmował generała drżeniem.

Jeśli nie pokonają tej kreatury, ona przedrze się przez ich szeregi, a Opętani wleją się za linię jak woda przez pękniętą tamę. Jediną nadzieją generała było zabicie demona, zanim dotrze do ściany tarcz, lecz choć jego głos ani drgnął, gdy wydawał rozkaz do ataku, generał Renucci wiedział, że są już zgubieni.



Falko patrzył, jak żołnierze generała nacierają na opancerzonego piekielnika. Prawie nie zwolnili, tratując kolejne szeregi skirytów, ale Falko wiedział, że impet tej szarży nie wystarczy, by powalić demona.

Gdy wraz z Sydianem frunęli ponad wrzącą w kotlinie bitwą, spostrzegli rycerzy w pierwszej linii, opuszczających swoje lance i pochylających się w siodłach. Od celu dzieliły ich dwie długości, gdy demon machnął swoimi kiścieniami.

Potężne bryły metalu przecięły powietrze i kilku rycerzy z pierwszego szeregu zostało po prostu zmiecionych z siodeł. Ich zmasakrowane ciała zaległy na ziemi, zagradzając drogę rycerzom za nimi. Odrąbane członki i połamane lance pofrunęły w powietrze.

Kilku spośród jadących w drugim szeregu rycerzy zdołało utrzymać prędkość i wyprowadziło sekwencję celnych ciosów. Cztery lance odnalazły luki w ciężkiej zbroi. Trzy z nich złamały się, zostawiając po sobie zaledwie ślad, ale czwarta przebiła grubą skórę demona. Jeździec przemknął pod jego masywnym ramieniem i doznał chwilowej satysfakcji, nim demon okręcił się z zaskakującą szybkością i trafił jego wierzchowca w muskularny zad. Koń zakwiczał z bólu, gdy potężny cios zmiażdżył jego miednicę, a rycerz wpadł w masę skirytów, która oblaźła go jak robactwo, i już się nie podniósł.

Szarżę przypuściło dwudziestu rycerzy, lecz teraz tylko pięciu trzymało się jeszcze w siodłach. Niechybnie i oni by zginęli, gdyby z nieba nie spadł na demona rozmazany czarny kształt. Potwór nie zdążył opuścić uniesionych kiścieni, by zmiażdżyć pozostałych wojowników, gdy Sydian wczepił się pazurami w jego grzbiet. Siła uderzenia sprawiła, że stwór stracił równowagę i zatoczył się naprzód. Falko zeskoczył z siodła, okręcił się w powietrzu, a potem przetoczył po ziemi, by wytracić impet, i znalazł się przy umierającym koniu. Prędko wyłapał umysłem chaos szalejący w głowie konającego zwierzęcia, a potem podniósł się na nogi i obrócił twarzą do przeciwnika. Nie widział dotąd większego demona. Nawet potężny atak Sydiana nie wyrządził mu krzywdy. Smok drapał go po głowie i ramionach, lecz jakimś cudem potwór trzymał się na nogach ze smokiem na plecach.

Sydian wsunął pazury pod krawędzie pancerza, otworzył paszczę i chlusnął płomieniem. Demon zawył, gdy ogień owionął jego okrytą hełmem głowę. Idąc w ślady towarzysza, Falko posłał w kierunku potwora własną kulę płomieni, która rozbryznięła się o jego udo. Stwór ponownie zachwiał się na nogach, a potem zamachnął się kiścieniem. Falko syknął przez zaciśnięte zęby, gdy żelazne bloki trafiły Sydiana między skrzydła.

Strumień smoczego ognia ustał jak ucięty nożem. Smok ryknął i spadł z pleców demona. Pancerne kolce biegnące wzdłuż grzbietu osłoniły kręgosłup i uchroniły Sydiana przed poważnymi obrażeniami, ale Falko wyczuł sztywność w jego ciele, gdy smok cofnął się przed kolejnym atakiem, który z pewnością zmiażdżyłby mu czaszkę.

Trzeci cios z pewnością by jej dosięgnął, gdyby Falko nie rzucił się

naprzód i nie włożył całej swojej siły w cios mieczem wymierzony w lewą nogę stwora. Miał wrażenie, że trafił w żelazną kolumnę. Nawet klinga wykonana przez Malakiego z trudem przebiła się przez pancerz wykuty w piekielnej kuźni. A jednak wraził ją na tyle głęboko, by zostawiła po sobie głęboką ranę. Demon wzdrygnął się, czując eksplozję palącego bólu, obrócił i skupił całą uwagę na człowieku, który sięgał mu ledwie do pasa. Pchany do działania przez płonącą w jego sercu wieczystą nienawiść, wymierzył Falkowi kopnięcie okutym kopytem, ale mag bitewny zręcznie uskoczył w bok. Stwór poszedł za ciosem i wyprowadził mordercze uderzenie kiścieniem, lecz Falko był dla niego za szybki i żelazny blok wbił się w ziemię.



Uwagę demona zwrócił kłujący ból u podstawy kręgosłupa. Okręciwszy się, złapał kątem oka rozmazany w pędzie smoczy ogon – grot na jego końcu zagłębił się w ciało potwora na tyle, by upuścić mu krwi, ale rana nie była wystarczająco poważna, by go zatrzymać. Demon zawył przeszywająco, gdy jego wściekłość sięgnęła zenitu. Zaciśnął pięści i z jego ramion spłynęła fala czarnego ognia. Skupiła się wokół łbów kiścieni, które buchnęły płomieniem, a potem demon przystąpił do jeszcze zajadlejszego ataku. Falko przypadł do gruntu, gdy potwór

błyskawicznie zakręcił młynka bronią i uderzył szerokim łukiem równoległe do ziemi. Sydian dwukrotnie usiłował się zbliżyć, lecz demon machał bronią raz po raz, oddzielając się od napastnika sekwencją ciosów, i smok musiał zachować dystans. Atakując demona z dwóch stron, bezskutecznie szukali luki w gardzie, prześwitu w nawałnicy obszernych ciosów. Demon zbliżał się coraz bardziej do żołnierzy generała Renucciego.

Opętani skupili się wokół swojego dowódcy, jakby wiedzieli, że wkrótce przełamię dla nich szyk obrońców. Oni również rzucili się do ataku. Falko zachwiał się, gdy ferocka klinga wyszczerbiła się na jego hełmie. Obrócił się i zabił skirytę. Choć utracił koncentrację dosłownie na moment, to wystarczyło, by rozpędzony łeb kiścienia zerwał mu naramiennik. Cios był powierzchowny, ale i tak oszołomił go i nieomal zwałił z nóg.

On i Sydian znaleźli się w kłopotliwym położeniu; musieli nie tylko kierować swoje ataki do środka, gdzie szalał demon, ale też na zewnątrz, skąd nacierali na nich Opętani. Nie zdołają długo walczyć na dwa fronty. Na szczęście był na polu bitwy jeden człowiek, który to zrozumiał. Falko ujrzał kątem oka, jak emisariusz wydaje rozkaz Nieugiętym, by pośpieszyli im z odsieczą.

Rycerze wbili się klinem głęboko w gromadę skirytów, lecz nawet to nie wystarczyło, by przerwać pierścień gromadzących się wokół demona żołnierzy. Czarna masa wchłonęłaby ich, gdyby generał Renucci nie zrobił tego, czego nikt nie miał prawa się spodziewać. Idąc w ślady emisariusza, kazał swoim ludziom ruszyć naprzód i objąć Falka, Sydiana i demona flankami swojej dywizji.

Z początku manewr wydawał się szaleńczy, ale gdy mieczownicy Czwartej Armii odepchnęli Opętanych, Falko odkrył, że może teraz z Sydianem skupić wszystkie wysiłki na ataku do środka. Smok zionął ogniem, a Falko poświęcał nieco więcej czasu na wytworzenie silniejszych magicznych pocisków, którymi obsypywał cielsko demona. Wreszcie ataki zaczęły przynosić skutek i potwór zaczął opadać z sił.

Falko wyłapywał umysłem cieniste przebłyski myśli demona. Pod nienawiścią i narastającą frustracją nasilało się uczucie podobne do strachu. Demon wiedział, że nieuchronnie zbliża się jego klęska. Gdy zaczął słabnąć, osłabł też rdzeń jego śmiertelnego istnienia. Ciemne ciało zaczęło pokrywać się pęcherzami, oblażyły je płomienie, którymi bił w niego Falko, a ciężki pancerz nie wydawał się już nieprzepuszczalny. Z każdym atakiem gromy magicznej energii sięgały odrobinę głębiej, lecz teraz Falko wyczuł kolejny cień torujący sobie drogę do doliny. Należał do jeszcze potężniejszej armii Opętanych, a wraz z nim w zasięgu jego umysłu pojawił się demon, którego moc przyćmiewała wszystkie inne.

Nadchodził Marchio Dolor. Czas więc zabić demona i przygotować się na starcie z władcą wszystkich diabelskich pomiotów.

Falko schował miecz do pochwy i wypełnił energią swoją zaciśniętą pięść. Skupił moc w małej, ciasnej kuli, przemknął pod kolejnym dzikim uderzeniem i wypalił w pierś demona. Gęsta ognista kula nie wybuchła w kontakcie z wrogiem, ale raczej wbiła się w ciężki pancerz i zaczęła wwiercać się w głąb ciała, prosto ku sercu bestii.

Falko musiał bardzo się skupić, by utrzymać magiczną energię w miejscu, a potem by wepchnąć ją głębiej, cały czas uskakując przed niekończącymi się atakami demona. Sydian również nie przestawał atakować, smagał potwora ogonem i zionął ogniem. Falko zacisnął zęby, czując, że pot perli mu się na czole. Ale wiedział, że ta walka dobiega już końca. Jeszcze chwila i kula ognia wybuchnie w ciele demona.



Marchio Dolor był zdezorientowany.

Jego mroczne anioły doniosły mu, że w armii z Amboss był tylko jeden Przeciwnik, a mimo to pokonani zostali już dwaj Wierni. Jeden leżał śmiertelnie ranny na polu bitwy, a drugi okazał godną pożałowania słabość, stając twarzą w twarz z porażką.

Marchio nie mógł już nic zrobić dla kolosa z dwoma kiścieniami, ale drugiego demona mógł jeszcze uratować. By tego dokonać, będzie potrzebował kilku dusz z pasa niewoliciela, ale owszem, tego demona można jeszcze przywrócić do pełni sił. Zamknąwszy oczy, Marchio zaniósł swoją intencję do podziemnego świata i przywołał jednego ze służących mu niewolicieli. Ten miał przy pasie kilka silnych dusz. Więcej niż dość, by uzdrowić rannego demona.

Nie zwalniając kroku, gdy schodził do doliny pomiędzy trzema wzgórzami, Marchio otworzył przejście dla niewoliciela. Odczekał, aż oko jego umysłu ujrzy pojawienie się białego demona na polu bitwy, a potem ponownie skupił myśli na Przeciwniku, który stał na jego drodze. Przeciwniku z czarnym wyrmem u boku. Nigdy jeszcze nie zabił czarnego wyrma. Uradował się na myśl o tym, że zaraz rozgromi najsilniejszego przedstawiciela tej rasy.

Co się zaś tyczy Przeciwnika...

Wierze tego człowieka dorównywała tylko miłość, jaką darzył on ludzi walczących razem z nim. Marchio znajdzie satysfakcję w zamordowaniu go, ale zastanawiał się, czy uda się pozyskać jego duszę.

Umysł Marchia Dolora płonął niecierpliwością, gdy wprowadził



swoją armię do Doliny Trzech Braci.



Bitwa nie trwała długo, lecz Alex Klingemann miał wrażenie, jakby ciągnęła się od wielu godzin. Żar bijący od Opętanych budził przerażenie, a fetor ich gnijących ciał przyprawiał go o mdłości, lecz mimo to usiłował skupić całą uwagę na bitwie, na Wygnańcach walczących o utrzymanie szyku. Walka toczyła się na całej linii, ale intensywność pierwszego natarcia osłabła i Alexowi wydawało się, że szale przechylają się z wolna na ich korzyść. Usłyszał krzyk dobiegający gdzieś zza jego pleców i przy pierwszej okazji odstąpił na bok, pozwalając żołnierzowi za sobą zastąpić się na pozycji. Przy takim natężeniu walki należało pamiętać o rotacji wojowników na pierwszej linii, a ten niełatwy manewr Wygnańcy opanowali do perfekcji.

Wdzięczny za chwilę wytchnienia, Alex skorzystał z okazji, by ogarnąć wzrokiem pole bitwy.

Ujrzał, jak chmara strzał unosi się skądś blisko i wrzyna się w czarną masę Opętanych. Urwipolcie robili, co w ich mocy, by wspomóc wojowników na pierwszej linii. To niebezpieczne doprowadzać łuczników tak blisko do ognia bitwy, ale Bryna znalazła skrawek wypiętrzonego gruntu i wykorzystywała przewagę wysokości, by razić Opętanych metodycznym ostrzałem.

Wciąż mieli przed sobą tysiące i tysiące skirytów, ale szeregi wroga wyraźnie się już przerzedzały i Alex doznał przejmującego uczucia ulgi na myśl, że zwycięstwo może być w zasięgu ręki. A potem utkwiał wzrok w przeciwnym kącie doliny, gdzie na horyzoncie rozciągała się nowa smuga cienia. Dali odpór pierwszej fali ciemności, lecz oto gromadziła się nad nimi jeszcze zajadlejsza nawałnica.

Widok zdusił ulgę w sercu Alexa, który już sposobił się do powrotu do bitwy, gdy nagle coś zwróciło jego uwagę. Połyskliwa wyrwa w przestrzeni, niczym złożony cień unoszący się w powietrzu w połowie drogi między pierwszą linią a ciałem pierwszego pokonanego przez Falka demona. Z niej na oczach Alexa wyłonił się nowy demon, który potoczył pogardliwym spojrzeniem po ludziach bijących się z Opętanymi.

Przez chwilę tylko stał, lecz zamiast zaatakować, zwrócił się ku demonowi leżącemu na polu bitwy, pokonanemu i bliskiemu śmierci. Za tym nowo przywołanym piekielnikiem wlokły się krwawe siatki splecione z łańcuchów przytroczonych do jego pasa. Okropne metalowe tłumoki rozkładały się wokół jego nóg jak długa, włócząca się po ziemi

spódnica. Toczyły się, podskakując na nierównościach gruntu, i objęły o kamienie, zostawiając na ziemi smugi krwi.

Alex prawie nie zwrócił uwagi na nagłą falę przerażenia, która naparła na niego od strony demona. Raptem tocząca się wokół niego walka została zepchnięta na tył jego umysłu, gdy uświadomił sobie, że ten demon jest biały.

Alex Klingemann bezwiednie przepchnął się na czoło Wygnańców. Istniał manewr, który wykonywała piechota, gdy zachodziła potrzeba przedarcia się naprzód. Zwał się „cała naprzód”, lecz Alex wydał rozkaz w języku Illicji.

– Volle Macht! – zawołał.

Wygnańcy bez wahania naparli naprzód.

– Volle Macht! – powtórzył.

Jego wojownicy wysunęli się z pierwszej linii.

Nie wiedzieli, dlaczego ich młody dowódca kazał im wyjść poza strefę bezpieczeństwa, ale wykonali polecenie i wkrótce zaczęli przedzierać się przez horde skiryków, mężnie znosząc atak ze wszystkich stron. Utworzyli defensywny kwadrat i ruszyli przed siebie. Alex wiódł ich prosto na wycofującego się demona.

Po obu ich stronach jednostki tarczowników i włóczyków także ruszyły przed siebie, dostosowując się do manewru Wygnańców, i raptem na całej długości linii zapanował chaos.

Lanista Magnus mógł tylko otworzyć szeroko usta, widząc, jak jednostka Alexa ni z tego, ni z owego wyłamuje się z linii.

– Co on robi, do diaska? – warknął stary instruktor.

– Rozwali nam całą linię! – krzyknął jeden z oficerów.

I miał rację. Kiedy już myśleli, że wygrają tę bitwę, jeden popędliwy dowódca rozpełtał chaos we własnych szeregach.

– Dajcie rozkaz utrzymania pozycji i skonsolidowania szyku – syknął dowódca, a sygnaliści za jego plecami zadęli w trąby.

W ogólnym beładzie mieczownicy i włóczyki starali się odtworzyć linię. Jednakże Opętani nie przestali w tym czasie nacierać i wkrótce Wygnańcy wydzielili się z masy armii, odcięci od pozostałych jednostek. Przez chwilę wydawało się, że zaraz zostaną otoczeni ze wszystkich stron, lecz wtedy inna jednostka wyskoczyła z linii po prawej stronie, by przyjść im z pomocą.

– Przekleństwo! – warknął dowódca. – Teraz Urwipolcie wyłamali się z szyku!

Przez chwilę lanista Magnus tylko marszczył brwi, starając się dociec, kogo winić za ten pokaz strategicznej głupoty. A potem jego wzrok powędrował do nowego demona, który dopiero co pojawił się na polu bitwy. I przypomniał sobie, co powiedział Malaki po uratowaniu uchodźców w wąwozie. Demon, który pojmał Quirrena, był biały.



Z początku, gdy zobaczyła, jak Alex wypycha Wygnańców z pierwszej linii, Bryna pomyślała, że przyjaciel stracił rozum, ale po chwili sama spostrzegła, jaką barwę miała skóra demona, który wyskoczył jak spod ziemi i górował teraz nad armią Opętanych. I zauważyła żalosne strzępy ludzi uwięzionych w łańcuchowych siatkach, które wlokły się za nim.

– Miecz w dłoń! – zawołała do Paddy’ego, który zmarszczył brwi, jak gdyby zaczęła gadać od rzeczy, ale ona złapała go za ramię i obróciła twarzą do demona. – To ten! – krzyknęła. – To ten, co zabrał Quirrena!

Cień strachu przemknął przez twarz Paddy’ego, gdy pomyślał o zbliżeniu się do potwora, ale zaraz w jego głęboko osadzonych oczach załśniło przenikliwe światło. Milczał przez chwilę, a potem...

– Tarcze, hełmy i miecze, wy cuchnące ścierwa! – zaryczał, a Urwipołcie przerzucili łuki przez ramiona i chwycili za broń ręczną.

A potem Bryna wyprowadziła ich z szyku, by wesprzeć Wygnańców, którzy byli już pięćdziesiąt kroków przed nimi.

Tylko dzięki temu, że szeregi Opętanych były już nieźle przetrzebione, zdolali posunąć się naprzód, lecz i tak przestrzeń między Urwipołciami a sojuszniczą armią natychmiast wypełniła się setkami skirytów.



Znajdujący się kilkaset jardów na prawo Malaki patrzył przerażony, jak czarno odziani Wygnańcy opuścili swoją pozycję w szyku, a Urwipołcie zaraz ruszyli za nimi. Był zbyt daleko, by dostrzec niewoliciela, i nie potrafił zrozumieć, co powodowało Alexem i Bryną.

Rycerze Furii właśnie rozbili blok czterystu kardaków, któremu o mało nie udało się przełamać szyku marszałka Bretona. Malaki mruganiem usiłował pozbyć się potu z oczu, starając się jednocześnie nie stracić z pola widzenia jednostki swojej żony.

– Co oni wyprawiają? – spytał walczący u jego boku Huthgarl.

– Pojęcia nie mam – mruknął Malaki.

Gdy rycerze Furii wrócili na swoją pozycję na lewej flance dywizji marszałka Bretona, serce sir Malakiego de Vane wypełnił strach.



Falko dygotał z wysiłku. Robił, co mógł, by utrzymać kulę ognistą w miejscu, wiedział bowiem, że starcie zaraz dobiegnie końca. Jeszcze kilka sekund i demon zginie. Ale musiał zachować ostrożność. Kiścienie potwora śmigaly mu przed oczami, zakreślając w powietrzu szerokie łuki, a każdy cios mógł dobiec celu i okazać się śmiertelny. Patrzył, jak łby kiścienia unoszą się w powietrze, i wiedział, że zaraz pomkną mu na spotkanie, ale wiedział też to, że wygrał tę walkę.

Ostatnim mentalnym zrywem pozwolił kuli wybuchnąć w piersi demona. Potężny stwór zadrżał, gdy jego ciało zaczęły pożerać płomienie, a pomiędzy płyt pancerna buchnęło światło.

Moment wypuszczenia energii sprawił, że Falkowi zakręciło się w głowie. Już miał przemknąć pod rozpędzonym żelaznym obuchem, gdy nagle w jego świadomość wdarła się nowa aura. Falko natychmiast rozpoznał niewoliciela i w tej chwili przystanął na moment. A rozpędzona masa żelaza trafiła go w hełm. Ostatnią myślą, jaka przemknęła przez jego umysł, było imię przyjaciela.

Quirren.

## Łaska Patricia Fecklera



Fala rozpaczyny ogarnęła sprzymierzone siły, gdy roztaczana przez Falka ochronna tarcza raptem opadła. Marszałek Breton nagle poczuł nieznośną suchość w gardle. Przyływ paniki sprawił, że serce zadrżało mu w piersi.

Byli zgubieni.

Falko poległ, a ich wszystkich czeka zguba.

Przez chwilę niczego tak nie pragnął, jak obrócić konia i rzucić się do ucieczki. Ale nie zrobił tego. Był marszałkiem armii Clemoncé i nie mógł porzucić żołnierzy, których przywiódł na tę bitwę.

Okrutna ironia polegała na tym, że dopiero co zaczęli wygrywać. Przetrwali pierwszą falę ataku Opętanych i szala zaczynała przechylać się na ich korzyść. Marszałek Breton rozważał nawet danie sygnału do ruszenia naprzód, lecz dobry ku temu moment już przeminął i teraz było to niemożliwe. Demon, który przed chwilą pojawił się na polu bitwy, nie był tak potężny jak te, które pozabijał dotąd Falko, lecz strach emanujący z jego popielatobiałego ciała blokował wszystkie myśli. A teraz na dalekim skraju doliny zaczął rosnać cień i nowa fala strachu, która rozciągała się nad polem bitwy wraz z nim, była czymś nieporównanie potężniejszym.

Przybył Marchio Dolor i marszałek Breton wiedział, że nie zdołają mu się oprzeć. Obezwładniająca trwoga uświadomiła mu, jaki straszny błąd popełnili, przychodząc tutaj. Zaufał dwukrotnie młodszemu od siebie chłystkowi, a teraz wszyscy słono za to zapłacą. Ich linia obrony była w stanie rozkładu, a odwrót mógł się skończyć tylko doszczętnym rozbiciem sojuszniczej armii. Marszałek Breton miał zaraz stracić największą armię w historii Siedmiu Królestw.

Hańba i zgroza.

Oszołomiony poczuciem winy marszałek Breton mógł tylko patrzeć, jak sunie na nich druga fala Opętanych.



Wygnańcy również odczuli moment, w którym padł Falko, ale oni dawno już porzucili nadzieję, więc nie było to dla nich tak druzgoczące doświadczenie jak dla innych. Z ponurą determinacją wyrzynali sobie drogę naprzód, prowadzeni przez młodego dowódcę, którym owładnął jakiś mściwy duch.

Alex Klingemann zaatakował skirytów z dzikością, która nijak nie zgadzała się z jego niefrasobliwą naturą. Zbryzgany czarną krwią, ciągnął Wygnańców naprzód, na demona, który szedł odwrócony do nich plecami, kierując swoją uwagę ku innym celom. Nawet stojąc tyłem do nich, niewoliciel roztaczał aurę piekielnego strachu, która biła w ściany umysłu jak gorący wiatr, ale Alex zaciął zęby i ściągnął brwi w grymasie niezłomnej determinacji. Dotrze do demona i ocali brata lub umrze.

Za jego plecami trzon sojuszniczej armii popadał w coraz większy nieład. Z początku usiłowali wspomóc Wygnańców, ale ich dyscyplina poszła w drzazgi, gdy rozbiła się tarcza roztaczana przez Falka. Gdy linia się złamała, momentalnie wycofali się, by ją odtworzyć, zostawiając Wygnańców i Urwipołciów jak dwie wyspy w morzu Opętanych. Obie jednostki były coraz bardziej odizolowane od trzonu armii, który pozostał na jego brzegu. Lecz Alex nie miał w głowie wolnej myśli, którą mógłby poświęcić tym sprawom. Był całkowicie skupiony na niewolicielu i na jednej szczególnej łańcuchowej siatce przymocowanej do jego pasa.

Wśród masy krwawego mięsa dostrzegł kępę czarnych włosów i strzęp karmazynowego materiału, tego samego, który nosili rycerze Zakonu Czarnego Orła. Ta płatanina łańcuchów i brudnego od ziemi mięsa była jego bratem. Zabijając kolejnego skirytę, naparł naprzód, jeszcze agresywniej, jeszcze silniej. Wciąż dzieliło ich wielu Opętanych, lecz teraz niewoliciel się zatrzymał. Alex zobaczył, jak patrzy na pierwszego demona, którego powalił Falko, i wówczas uprzytomnił sobie, że ta piekielna kreatura jeszcze żyje.

A niewoliciel odpiął z pasa jeden z łańcuchów. Uniósł w powietrze siatkę z umęczonym ciałem i spojrzał na demona leżącego u jego stóp. Mroczny ogień oplótł jego wyciągnięte ramię i nagle zawartość siatki spłonęła, a mieszkająca w niej umęczona dusza została zesłana w piekielne głębiny. W tej samej chwili z drugiej ręki niewoliciela trysnęła czarna energia i wniknęła w ciało ранnego demona. A ten się poruszył.

Nadal świecąca piekielnym żarem pusta siatka wciąż była umazana nadpaloną krwią, a między ogniwami widniały strzępy zwęglonego

mięsa, ale więziony w niej człowiek zniknął. Nie poświęcając ani myśli wykorzystanemu nieszczęśnikowi, niewoliciel pozwolił łańcuchom opaść i sięgnął po drugą siatkę.

Z krzykiem rozpaczony na ustach Alex uświadomił sobie, co się dzieje. Potwór używał uwieczonych dusz, by przywrócić siły umierającemu demonowi. Nie wiedział, ile dusz zużyje w ten sposób, ale prędzej czy później sięgnie po łańcuch z Quirrenem i wtedy dusza jego brata przepadnie na zawsze.

Po lewej stronie Wygnańców przemknął z dudnieniem wielki bestiarum, ale żołnierze nie zwrócili na niego uwagi. Wszystkie siły pożytkowali na mozolny marsz ku niewolicielowi, nie zauważyli więc kolejnego potwora, który szarżował prosto na nich od prawej strony. Stwór był wielki, nawet jak na bestiaruma. Biegł na Wygnańców z mordem w ślepiach, gotowy rozedrzeć oddział na strzępy.



Bryna zapłakała, gdy zniknęła znajoma tarcza roztaczana przez Falka. Płakała nad nim i płakała przez strach, który wdarł się do jej umysłu. Jedyłą rzeczą, która pozwalała jej zachować skupienie, była potrzeba zatroszczenia się o Wygnańców.

Nawet gdyby nie dręczył jej demoniczny strach, czułaby się bezbronna i wystawiona na atak. Łucznicy nie byli przyzwyczajeni do walki w zwarciu, ale Urwipolcie świetnie sobie radzili. Walczyli z zajądłością ulicznych zbirów, lecz i tak Bryna była wdzięczna losowi za to, że to nie na nich skupiają się Opętani.

Pięćdziesiąt kroków dalej Wygnańcy zbliżali się już do niewoliciela, a on, na szczęście, nie zdawał sobie jeszcze sprawy z ich obecności. Bryna nie wiedziała, co Alex zamierza zrobić, gdy już go osiągnie... Raptem uprzytomniła sobie to, co oczywiste, i zrozumiała, jaki sens krył się za jego porywczym zachowaniem. Za Urwipolciami wrzała czarna kipiela skiryków, odcinająca ich coraz bardziej od trzonu armii, i Bryna widziała teraz, jak sunie ku nim nowy oddział żołnierzy.

Zginą tutaj. Była tego pewna.

Oplół ją jakiś paraliż i choć Urwipolcie dalej walczyli, zaczęła rozglądać się za okazją do ucieczki.

– Pani kapitan!

Słyszała słowa, ale nie rozumiała ich znaczenia. Rozkojarzyły ją tylko na moment, nim ponownie oładnęła ją instynkt każący uciekać byle dalej, byle szybciej.

– Bryna!

Desperacja w głosie Paddy'ego wreszcie przebiła się przez caun paniki i kobieta skupiła spojrzenie na jego twarzy.

– Musimy się wycofać! – zawołał Feck. – Za głęboko się zapuściliśmy w tłum tych cholerników. Musimy wrócić do szyku.

Przez chwilę Bryna tylko na niego patrzyła. Widziała dzikie napięcie w jego oczach, wiedziała, że jego samego dzieli tylko chwile od utraty rozsądku. Rozejrzała się dookoła i znalazła wzrokiem sprzymierzoną armię, lecz teraz Urwipolców dzieliły od niej tysiące skirytów. Zwróciła się naprzód, tam gdzie Wygnańcy prawie już dotarli do niewoliciela, a potem zauważyła wielkiego bestiaruma nacierającego od prawej. Olbrzymia bestia rozrzucała skirytów po polu bitwy jak szmaciane zabawki i gnała prosto na Wygnańców.

Ignorując Paddy'ego, Bryna złapała za łuk i podbiegła do czoła oddziału. Nałożyła strzałę i naciągnęła cięciwę.

– Suivez dix! – krzyknęła.

Osiem pocisków pomknęło za jej własnym i wbiło się w bok potwora.

Nawet nie zwolnił.

Łomot uderzających o ziemię łap szybko narastał, zaledwie sekundy dzieliły monstrum od Wygnańców i nie istniał sposób, by powalić go za pomocą strzał.

Bryna nałożyła kolejną strzałę, a potem ile sił w płucach wrzasnęła:

– Urwipolcie! Suivez moi!

Wypuściła strzałę, a powietrze zatrzęsło się od zbiorowego brzęku zwalnianych cięciw, gdy sto pocisków pomknęło w ślad za nią. Gęsta chmura strzał wbiła się w bok bestiaruma i stwór wrył się w ziemię klatką piersiową. Pęd poniósł naprzód zabitą bestię, która zwała jeszcze z nóg kilku żołnierzy Alexa, ale formacja wytrzymała, zamykając ostatni odcinek dzielący ją od niewoliciela.

Zabicie bestiaruma pomogło Brynie otrzeźwieć. Poświęciła chwilę, by rozeznac się w sytuacji wokoło. Urwipolcie utknęli na ziemi niczyjej pomiędzy pierwszą falą Opętanych a armią, która nadciągała z Marchiem Dolorem. Widziała, że nie zdołają się wydostać. Zbliżała się do nich masa pancernych kardaków.

– Przesrane! – powiedział stojący obok niej Paddy, a Bryna mogła tylko kiwnąć głową.

– Odbijemy na prawo – powiedziała zadziwiająco spokojnym głosem.

– Spróbujemy odciągnąć kardaków od Alexa.

Paddy spojrział na nią, jakby nie rozumiał, jak może teraz myśleć o innych, skoro wszyscy zaraz odrodzą się jako Opętani.

– No dalej, Feckler – rzuciła do niego, gdy się zawahał. – Zabijemy jeszcze kilku, zanim to się skończy.

Paddy Feck skrzywił się. Zawsze myślał, że ci „kulturalni ludzie” to słabeusze i głupcy, na których mają prawo żerować silni i cwani, lecz



odkąd poznał Brynę Godwin, co rusz docierało do niego, że był w błędzie. Idąc za jej przykładem, zaczął rozkazywać przerażonym Urwipołciom. Kilku skirytów podbiegło, wrzeszcząc i machając mieczami, ale w tym przejściowym oknie spokoju nie stanowili zagrożenia. Gdy łucznicy zajęli nowe pozycje po prawej stronie, Paddy popatrzył na ścianę czarnej ciężkobrajnej piechoty, która kroczyła w ich kierunku.

– Słyszałaś kiedyś, by łucznicy pokonali oddział tysiąca kardaków? – spytał.

Brynie zanadto zaschło w ustach, by mogła się odezwać, ale oboje wiedzieli, że odpowiedź na to pytanie brzmi: nie.

Stojąc bokiem do wroga, Bryna przygotowała się, by dać Urwipołciom rozkaz do strzału. Niemal bezwiednie jej wolna ręka objęła kołczan. Ktoś mógłby powiedzieć, że sprawdzała jego wagę, by ocenić, ile jeszcze zostało jej strzał, ale Paddy wiedział, że myślała o mężczyźnie, który podarował jej ten kołczan, i nagle niesprawiedliwość życia wzbudziła w nim gniew.

Ci młodzi ludzie powinni robić bachory na sianie w jakiejś cholernej stodole, szczęśliwi i bez pojęcia o tym, jak okrutne potrafi być życie. Nie powinni umierać na polu bitwy, gdzie ich trupy nigdy nie zaznają spokoju.

Paddy nie dowiedział się nigdy, co to znaczy kochać kogoś, nie rozpoznał więc emocji, od której drgnęło jego serce. Wiedział tylko tyle, że jeśli Bryna umrze przerażona, jej dusza zostanie zagarnięta przez Opętanych, lecz jeśli będzie wówczas myśleć o tym swoim rycerzyku, co miał ikry za stu, to jej dusza na zawsze znajdzie się poza ich zasięgiem.

Niemal bez udziału myśli Patrick Feckler wyjął zza pasa naostrzony nóż i gdy reszta Urwipołciów przygotowywała się do ostrzału nadchodzących kardaków, jego wzrok spoczął na bladej szyi Bryny.

## Uratować tych, których kochamy



Ciemności wciąż nie dało się przeniknąć wzrokiem, ale w ciszę zaczął się wdzierać odległy ryk morza. Falko pamiętał, gdy pierwszy raz je ujrzął, stojąc na skalistym wybrzeżu Clemoncé. Rozległa przestrzeń błękitu i szarości wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Nigdy nie było spokojne, ulegało ciągłym przemianom, fale zagarniały ląd tylko po to, by zaraz się wycofać, jakby to świat nabierał i wypuszczał powietrze.

Tylko że coś było nie tak.

Ocean szumiał nie do rytmu. Wydawał jednostajny dźwięk, który ciągnął się i ciągnął. I od kiedy fale krzyczą z bólu? Od kiedy w ich szumie pobrzmiwa szczęk stali?

Nie.

To nie był odległy ryk oceanu, tylko jazgot bitwy. Wyczołgując się z jakiejś bezmiernej, niematerialnej głębi, Falko wywalczył dla siebie drogę do świata rzeczywistego. Gdy jego umysł ponownie złączył się z ciałem, powróciły ból i wycieńczenie. Całe jego ciało przenikało drżenie, niczym żelazny pręt, którym ktoś uderzył o kowadło.

Leżał na plecach, a świat wokół niego rozmazywał się w ruchu. Przetoczywszy się na bok, wypłuł krew i z trudem dźwignął się na jedno kolano. Skrzywił się, gdy poczuł sztywność w karku, i dotarło do niego, jak bardzo boli go głowa.

Powoli otworzył oczy.

Wokoło szalała bitwa. Zobaczył Sydiana walczącego ramię w ramię z żołnierzami Czwartej Armii. Ale choć wojownicy nie dawali za wygraną, dręczył ich przeraźliwy strach i Falko czuł, że ten niebawem ich pochłonie. Wiedział, że musi ich chronić, ale wciąż kręciło mu się w głowie od ostatniego ciosu demona. Żył tylko dzięki hełmowi i instynktownie wygenerowanemu czarowi wzmacniającemu, lecz otarł się o śmierć i potrzebował chwili, by dojść do siebie.

Jego miecz wciąż był w pochwie. Falko sięgnął po skosie, aż jego palce zacisnęły się na rękojeści. W klindze odezwała się głęboka nuta, która jakimś sposobem dodała mu sił. Łapiąc mocniej rękojeść, zamknął oczy i poczuł, jak jego ciało wypełnia się wibrującą mocą. To drzenie wzbudziło się gdzieś za jego oczami, spłynęło po twarzy i podniosło mu włoski na przedramionach. Niosło ze sobą głębokie, lecznicze ciepło i gdy wróciły mu siły, Falko raz jeszcze otoczył armię nieprzepuszczalnym magicznym płaszczem odwagi.

Powoli wstał. Wziął głęboki wdech, by przewietrzyć zastałą głowę, a gdy odzyskał władzę nad własnymi myślami, przypomniał sobie imię, które przemknęło przez jego umysł, zanim oberwał kiścieniem.

Quirren!

Strzelił wzrokiem ku przeciwnej stronie pola bitwy, gdzie wciąż wyczuwał obecność demona, który pojmał jego przyjaciela. Jego myśli wyostriły się nagle i Falko zaczął się poruszać, z początku sztywno i niemrawo, lecz z każdym krokiem coraz sprawniej, coraz bardziej zdecydowanie.

– Sydian! – zawołał, choć nie było potrzeby wołać.

Ze wszystkich walczących na polu tylko smok wiedział, że Falko nie umarł, i czekał, aż jego brat dojdzie do siebie. Zabił potężnym smagnięciem ogona dwóch skirytów, odskoczył od pozostałych napastników i pobiegł w kierunku maga bitewnego.

Falko poprawił tarczę i skupił wzrok na zbliżającym się towarzyszu. Sydian zrównał się z nim i uchylił skrzydło, a chłopak, wyzbywszy się już niemal sztywności w rozgrzanych członkach, wskoczył mu na grzbiet, nie zwalniając biegu. Smok dał mu tylko chwilę, by usiadł w siodle i złapał się pasków, a potem rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze. Pomknęli w górę, a duch całej armii podniósł się wraz z nimi.

Patrząc jednym z oczami, dostrzegli piechotę skupioną za niewolicielem. Nawet nie widząc jeszcze barw jednostki, Falko wiedział, że to Wygnańcy. Nie atakowali demona, ale na czele przetrzebionego oddziału błyskały iskry. Z jakiegoś powodu niewoliciel zachowywał się tak, jakby umyślnie ignorował ich oddział, ale Falko wiedział, że to się niebawem zmieni. Wkrótce skupi na nich swoją uwagę i wtedy Wygnańcy zostaną zniszczeni.

Nie musiał popędzać Sydiana do działania; smok doskonale sam wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Mknął ponad polem bitwy, tuląc do siebie kończyny, by zminimalizować opór powietrza. Kątem oka mag bitewny dostrzegł rozległy cień drugiej armii Opętanych rozlewający się u zębów doliny. Wyczuwał wzmagającą z każdą chwilą obecność nadchodzących demonów, a wśród nich wyróżniał się potężny Marchio Dolor. Markiz Cierpienia wiedział, że Falko tu jest – i mag bitewny

poczuł się nagle nagi i bezbronny. Głównodowodzący wrażej armii usiłował zrozumieć człowieka, który stanął mu na drodze, a Falko miał wrażenie, jakby natarczywe myśli demona wydzierały mu z serca i obnażały wszystkie jego tajemnice.

„Nigdy byś się nie odważył. Nigdy nie znalazłbyś w sobie wiary”.

Próbując dać odpór myślom demona, skupił całą swoją uwagę na niewolicielu i na wątej nadziei wyswobodzenia Quirrena.

Wcisnąwszy kolana mocniej pod skrzydła Sydiana, Falko złapał się krawędzi pancerza osłaniającego kark smoka. Szybko pokonali odległość pół mili, lecz gdy Sydian złożył się do ataku, niewoliciel obrócił się w ich stronę. Wygnańcy rozpiezchli się, gdy demon za pomocą jednego z ciał w łańcuchach rozbił pierwszy szereg jednostki. Mała grupa Wygnańców podała tyły, podczas gdy pozostali usiłowali formować mur tarcz, jednak nie mieli z demonem najmniejszych szans.



Trysnęły iskry, gdy Alex uderzył mieczem w łańcuch przy pasie niewoliciela, na którego końcu tkwił w siatce Quirren. Stojąc tak blisko demona, nie umiał odróżnić przerażenia od potwornego żaru, który emanował z jego ciała. Rękojeść miecza zdawała się śliska w mokrej od potu skórzanej rękawicy, lecz wtedy uderzony po raz kolejny łańcuch wydał inny dźwięk i ogniwa zaczęły pękać. Kolejny cios, jeszcze jeden, a potem łańcuch zerwał się z jęklwym brzękiem.

Serce urosło Alexowi w piersi, ale zadowolenie pierzchnęło w tej samej chwili, w której demon zwrócił ku niemu twarz.

Ktoś splugawił jego narzędzie tortur. Ktoś ukradł jedną z jego dusz. I ktoś za to zapłaci.

Wygnańcy wzdrygnęli się w przerażeniu, gdy demon ogarnął ich wzrokiem. Alex sięgnął w dół po łańcuch Quirrena i syknął z bólu, gdy rozgrzany metal zmienił w parę pot w jego rękawicach. Ludzie wokół niego próbowali mu pomóc i wspólnymi siłami odciągnęli jego brata, gdy tymczasem pozostali Wygnańcy robili, co w ich mocy, by osłonić ich odwrót. Uformowali szyk obronny, lecz w tym momencie demon złapał za inny łańcuch i wziął zamach spętany nieszczęśnikiem, jakby władał olbrzymią maczugą.

Ciągnący Quirrena po ziemi Alex podniósł wzrok i zobaczył, jak siła uderzenia rozrzuci pozostałych przy życiu Wygnańców po polu bitwy. Nie mogli powstrzymać białoskórego demona, za którym rósł teraz inny, czarny kształt. Pierwszy powalony przez Falka piekielnik dźwigał się właśnie na nogi. Dusze zaprzęgnięte do pracy przez plugawą moc piekła

spełniły swoje zadanie i strach w powietrzu wzmógł się, gdy ranny demon wrócił do sił.

Alex wiedział, że już po nich, lecz zanim pochłoną go Opętani, może zrobić jeszcze jedną rzecz. Mógł uwolnić swojego brata od niewyobrażalnego cierpienia.

Spojrzał w dół na bezkształtną masę mięsa i uniósł miecz. Za maską zakrzepłej krwi i ziemi widział kształt twarzy Quirrena. Na krótką chwilę opuściła go odwaga, lecz wtedy obrócił miecz ostrzem w dół i mocno złapał go oburącz.

Gdy niewoliciel ruszył w jego stronę, Alex Klingemann uzbroił swoje serce.

– Wybacz mi – wydyszał, a potem zatopił miecz w piersi brata.

Klinga sięgnęła głęboko i Quirren rozchylił usta, zasysając powietrze z bólu, ale ku przerażeniu Alexa wcale nie umarł. Łańcuch został przerwany, lecz dusza Quirrena wciąż była we władaniu demona. Wstrząsany rozpaczliwym szlochem, Alex wypuścił miecz i padł na kolana. Łzy spłynęły mu po policzkach, gdy zgasł w nim ostatni płomyk nadziei i zamajaczył nad nim niewoliciel.

Demon patrzył na niego. Zmrużył oczy zacienione masywnymi brwiami, jakby nagle zrozumiał, co łączy tego człowieka z duszą, którą usiłował uratować. Coś na kształt rozbawienia zakradło się do jego spojrzenia, a potem uniósł jedną ze świeżo opróżnionych siatek. Spełniła swoje zadanie, gdy niewoliciel uleczył pokonanego demona. Czas wypełnić ją nową duszą. Wkrótce dwóch braci będzie zwisać z jego pasa.

Alex znieruchomiał, gdy niewoliciel wyciągnął rękę w jego kierunku. Mignął mu przed oczami obraz czekającej na niego agonii, lecz wtedy poczuł na twarzy tchnienie wiatru i niewoliciel zachwiał się, gdy coś znalazło się między nimi. W tym samym momencie Alex zobaczył, jak czarny smok spada z nieba na ciemnoskórego demona, który dopiero co dźwignął się na nogi. Czarny piekielnik zniknął Alexowi z oczu, a niewoliciel gapił się, zmieszany, na głęboką ranę w swojej piersi.

Alex zerknął w prawo i ujrzał wstającą z ziemi postać. Ciemna zbroja, barbuta, okrągła tarcza, miecz. Nie mógł dostrzec wyrazu twarzy przyjaciela, ale jakimś sposobem furia bijąca od Falka była jeszcze bardziej przerażająca niż wszystkie demony piekieł.

Niewoliciel był albo zbyt głupi, albo zbyt arogancki, by rozpoznać tego, kto przywiedzie go do zguby, lecz Alex wiedział ponad wszelką wątpliwość, że potwór, który pojmał jego brata, wkrótce rozstanie się z życiem.



Marszałek Breton nie ośmielił się uwierzyć w przyczynę rozpiętrznięcia się aury przerażenia. Sojusznicze wojska zaczęły już uginać się pod naporem wroga, ale teraz stanęły pewniej i ich morale się podniosło, kiedy tylko poczuli pokrzepiającą obecność maga bitewnego.

– On żyje – powiedział marszałek, zwracając się do lorda Cabala, który siedział na koniu obok niego.

– Wiem – odparł lord dowódca. – Ale chyba nie uda się nam już uratować lewego skrzydła.

Marszałek Breton spojrział w lewo, gdzie strzępił się coraz bardziej odcinek linii obrony obsadzony przez Nieregularnych. Wróg zmusił ich do uformowania czworoboków, dzięki czemu mógł napierać teraz na rozczłonkowane oddziały ze wszystkich stron.

– Nie zdołamy oprzeć się drugiej fali, jeśli nie odbudujemy linii – orzekł lord Cabal, a marszałek mógł tylko przytaknąć.

– Jedź – powiedział, a lord dowódca skinął głową i okręcił konia.

Machnięciem ręki rozkazał rycerzom Furii uformować szyk. Ich zadaniem było, tak jak uprzednio, oczyścić z Opętanych obszar przed Nieregularnymi, by ci mogli spokojnie stworzyć nową linię obrony. Lord Cabal zaciął zęby w grymasie determinacji. Czterystu rycerzy to więcej niż dosyć, by wykonać to zadanie. Już miał dać sygnał do szarży, gdy u jego boku pojawił się Malaki.

– Panie, dwie jednostki wyłamały się z szyku – powiedział młody rycerz, nie chcąc, by rozpacz uwidoczniła się w jego głosie. – Urwipołcie i Wygnańcy. Wróg zdołał oddzielić ich od reszty armii.

Lord Cabal obejrzał się, by spojrzeć na dwa sprzymierzone oddziały, ledwo widoczne zza stłoczonej bliżej masy skirytów. Wygnańcy byli tak blisko niewoliciela, że nie istniał już sposób na to, by im pomóc. Z kolei Urwipołcie tkwili uwięzieni w relatywnie spokojnym obszarze pola bitwy, lecz teraz sunął już na nich czworobok kardaków w liczbie tysiąca. Łucznicy za nic sobie z nimi nie poradzą.

– Nie dotrzesz tam na czas – rzekł lord Cabal, odgadłszy, o czym myśli Malaki.

– Ale jeśli nie spróbuję... – urwał młodzieniec, a lord Cabal zmrużył oczy, gdy wychwycił wyzwanie w prostych czterech słowach.

Przez moment był bliski odmowy, lecz w tym młodym rycerzu z czerwonym znamieniem była jakaś naiwna, niezbywalna dzielność. Gestem lord Cabal podzielił swój szwadron na dwie części. Sam poprowadzi połowę, która spróbuje pomóc Nieregularnym, podczas gdy druga ruszy za Rycerzem Karmazynowego Hełmu.

Malaki skłonił się dowódcy i nie marnując czasu, odjechał, by ustawić swój oddział przy samej linii. Przed nimi jednostka włóczników przygotowywała się już, by otworzyć dla nich drogę.

– Malaki! – krzyknął Huthgarl. – W życiu nie zdążymy. Jest między

nami zbyt wielu Opętanych.

Malaki wiedział, że przyjaciel ma rację. Będą potrzebowali czasu, by przedrzeć się przez skirytów, a do tego czasu kardakowie rozerwą Urwipołciów na strzepy. Istniał tylko jeden sposób na powodzenie misji.

Malaki mógł tylko żywić nadzieję, że Bryna odgadnie, co on zamierza. Odwracając się od Huthgarla, dał znak, by sygnalista odtrąbił sygnał do manewru equitatus.

– Byle głośno! – nakazał.

Rogi dały znak kawalerii i przez kilka pełnych napięcia sekund Malaki czekał, by zobaczyć, czy będzie jakaś reakcja. Może Urwipołcie byli za daleko, by posłyszeć sygnał? Lecz wtedy zobaczył w oddziale nagłą aktywność i twarze obracające się w jego kierunku.

– Przejdźcie! – zawołał i włócznicy rozstąpili się, by rycerze Furii mogli włączyć się do walki.



Patrick Feckler mocno trzymał nóż. Wiedział, że postępuje słusznie. Kardakowie byli coraz bliżej. Wkrótce nie będzie już czasu, by zrobić to, co zrobić trzeba. Sięgał do szyi Bryny, gdy ta odwróciła się. Od strony armii dobiegł ją dźwięk rogów.

Paddy znieruchomiał. Choć był człowiekiem bezwzględny, nie potrafił poderżnąć Brynie gardła, patrząc jej w oczy.

– Dali sygnał do manewru equitatus – powiedziała kapitan. Potoczyła wzrokiem po polu bitwy i zamarła. – Malaki, nie! – wydyszała, gdy zobaczyła utworzoną przez włóczników drogę, którą pomknął szwadron dwustu rycerzy.

– Dureń zatracony! – syknął Paddy, gdy dotarło do niego, co planują Malaki i rycerze Furii. – W życiu nie dojadą tu na czas.

Na twarzy Bryny odmalowała się panika, lecz wtedy przysła jej do głowy myśl. Zerknęła na zbliżających się kardaków, a potem wróciła wzrokiem do masy skirytów oddzielających ją od rycerzy Furii. Ich strzały nie wyrządzą wielkiej szkody ciężkozbrojnym kardakom, ale wciąż mogły solidnie przetrzebić lekkozbrojnych żołnierzy.

Nie zważając na zagrożenie, Bryna dała znak Urwipołciom, by odwrócili się od postępujących oddziałów.

– Ostrzał naprzemienny, redukcja dystansu! – zawołała.

Paddy o mało nie wyskoczył z butów, słysząc, co zamierza Bryna, ale mimo to powtórzył rozkaz.

– Cel, trzysta kroków! – ryknął. – I nie strzelać mi do koni, bo łby pouryam! – dodał, a w tym samym momencie rycerze Furii porwali się

do karkołomnej szarży.

– Strzelać! – krzyknęła Bryna i Urwipołcie jak jeden mąż posłali strzały po półkolu prościutko w masę skirytów między nimi a rycerzami Furii.

Nie wszystkie strzały trafiły, gdzie trzeba, ale salwa dostatecznie mocno przeorała skirytów, by ułatwić drogę Malakiemu i jego rycerzom. Z każdą kolejną Urwipołcie skracali dystans, usiłując odzwierciedlić tempo zbliżania się rozpędzonych jeźdźców. Rycerze pędzili twardo przed siebie, ale zza pleców Urwipołciów dochodziło już coraz wyraźniejsze tupanie kardaków. Oczami wyobraźni Bryna widziała sunącą na nich ścianę czarnej stali. Nie odważyła się odwrócić. Wiedziała, że jeśli to zrobi, nie zdoła się powstrzymać przed zwróceniem swoich strzał przeciw ciężkozbrojnemu Opętanym, choć przecież zdawała sobie sprawę z tego, że tylko konni rycerze wskórają coś przeciw nim. Jeśli tylko przybędą na czas.

Huk wzniesiony przez gromadę nadciągających wrogów stał się tak głośny, że Bryna ledwie mogła zebrać myśli, ale Urwipołcie nie mogli się teraz zatrzymać, bo rycerze Furii prawie już przedarli się przez skirytów.

Dopiero gdy przebili się przez ostatni szereg, Paddy zrozumiał, że popełnili błąd. Ścieżka, którą otworzyli dla konnych łucznicy, prowadziła prosto na Urwipołciów. Rycerze nigdy nie zdołają ich wyminąć i uderzyć na kardaków, a oni zaraz zostaną stratowani przez własną kawalerię... Nagle zauważył, że Bryna wychodzi naprzód, i wtedy z rosnącym przerażeniem zrozumiał, co ona zamierza zrobić.

– Urwipołcie! – wrzasnęła Bryna. – Traverser, sur moi!

Trawersowanie przy tej szybkości było pomysłem postrzeleńca, ale nie mieli innego wyjścia. Za kilkanaście sekund kardakowie zaczną przerzynać się przez łuczników.

Balansując na krawędzi paniki, Urwipołcie zwrócili się w kierunku swojej obłąkanej dowódczyni i ustawili w rozstrzelone regularnie kolumny. Widzieli przed sobą łomoczące kopytami o ziemię konie, a za sobą słyszeli zbliżające się szybko ucieleśnienie mordy, gęsty czworobok ciężkozbrojnych kardaków.

Od dnia, kiedy na poligonie zginął podczas trawersowania młody Daniel, Bryna wzdrygała się na dźwięk końskiego tętentu. Nawet muśnięcie okutym kopytem potrafiło rozwalić czaszkę dorosłemu mężczyźnie, a teraz dwustu zakutych w stal rycerzy cwałowało prosto na nich. Niech tylko ktoś się ruszy, niech wyjdzie z linii na pół kroku, a manewr skończy się katastrofą.

– Na dół i blisko! – ryknął Paddy, a Bryna usłyszała szum i szelest, gdy Urwipołcie pochyłili się i przyłożyli głowy do pleców towarzyszy stojących z przodu, chcąc jak najbardziej się zmniejszyć, by ułatwić



przejazd konnicy. Zrobili to wszyscy poza Bryną. Była sparaliżowana i oczarowana niesamowitym widokiem pędzących jeźdźców. Za plecami słyszała już krzyki pierwszych Urwipołciów, których dosięgnęły miecze kardaków, ale Bryna stała wyprostowana, gdy rycerze Furii gnali prosto na nią.

– Prosto do celu, ukochany – odetchnęła i zamknęła oczy.



Serce urosło Malakiemu w piersi, gdy przedarli się przez ostatnich skirytów. Uda im się. Za Urwipołciami widzieli zbitą masę kardaków, którzy niemal już dopadli łuczników, lecz teraz rycerze Furii mknęli ku nim w pełnym pędzie.

– Teraz, Bryno... Teraz! – wyszeptał, a z jego gardła wydobyło się westchnienie ulgi, gdy ujrzał łuczników ustawiających się w kolumny i pochylających się ku ziemi. To znaczy wszystkich poza jedną łuczniczką.

Na czele oddziału ujrzał szczupłą postać swojej żony. Jej rude loki burzył wiatr. Przy tej szybkości odstęp między Urwipołciami wydawały się żałośnie małe, ale wiodły prosto do kardaków i była to jedyna droga, którą rycerze mogli obrać.

Jedźcie prosto jak po sznurku, bracia, pomyślał Malaki i opuszczając lancę, zerknął na żonę. Stała z twarzą zwróconą do niego i nawet mknąc na złamanie karku, dostrzegł, że miała zamknięte oczy.

– W ciszy nocy – odetchnął.

– I w huku bitwy – odpowiedziała Bryna.

– Będę cię kochać – wyrzekli jednym głosem.

A świat eksplodował ogłuszającym chrzęstem miażdżonej stali.



Alex nie widział, jak rycerze Furii przejeżdżają między Urwipołciami i wbijają się z impetem w czarną masę kardaków. On sam obserwował pojedynki o wiele bardziej intymny i przerażający. Otępiały i zmartwiały, wwiercał się wzrokiem w Falka, który sposobił się do ataku. Gdy pomknął na niewoliciela, demon puścił łańcuch i wyrzucił przed siebie obie ręce. Burza płonącej skały uderzyła w Falka, ale on nie próbował nawet przed nią uskoczyć. Przywołał klin połyskliwej energii i puścił się naprzód. Pochylił się i ściskając w rękach tarczę i miecz, rzucił się prosto w płonący grad.

Niewoliciel ledwie zdążył zareagować, gdy Falko znalazł się dwa kroki od niego. Mierzący dziewięć stóp demon wydawał się zaskoczony tym frontalnym natarciem. Rozproszył ognisty atak i zamachnął się ręką, by ciosem od góry wbić Falka w ziemię, ale był o wiele za wolny, by zatrzymać kogoś, kto uczył się w Akademii Sztuki Wojennej. Zakołysał się na nogach, gdy Falko mieczem przeorał mu nogę od kolana do biodra, a zaraz potem zwinął się i błyskawicznie ciął go szeroko w bok. Demon jęknął z bólu. Wyprowadził kontratak, chcąc drapnąć Falka szponami przypominającymi stępione dłuta, ale ten odbił pierwsze uderzenie tarczą, a gdy padło drugie, ciosem od góry trafił niewoliciela w nadgarstek i odciął mu rękę.

Demon ryknął, gdy z rany trysnęła czarna krew, ale Falko dopiero się rozgrzewał. Poruszając się z zabójczą skutecznością, ciął stwora głęboko po wewnętrznej stronie kolana, a gdy ten zatoczył się, rąbnął mieczem na wysokości talii. Pas niewoliciela grzmotnął o ziemię. Przekłeta stal nie stanowiła wyzwania dla miecza maga bitewnego i demon wrzasnął ze złości, pozbawiony swojej dumy i chluby. Raz jeszcze sięgnął do Falka, ale ten z łatwością uskokzył przed jego ręką i rzucił się w bok, chlasnął potwora przez łokieć, a potem zagłębił miecz między jego żebrami. Piekielnik osunął się na kolana, a wtedy Falko wydobył miecz z jego ciała, okręcił się błyskawicznie i ciosem na odlew urzynał niewolicielowi głowę.

Masa kości i popielatobiałej skóry zwała się na ziemię z głuchym łoskotem. Czarne oczy niewoliciela utkwili wzrok w przestrzeni, gdy jego głowa potoczyła się i zaległa nieruchomo na ziemi. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

Falko wyprostował się i opuścił miecz. Całe jego ciało przenikało łaknienie zemsty, jednak jego uwagę zwrócił rozbłysk ognia. Poderwał wzrok i spojrzał kawałek dalej, gdzie Sydian bił się z demonem, którego nie dobili po pierwszym starciu.

Grad ciosów wbił potwora w ziemię. Próbował się podnieść, wypełniony nową energią, ale Sydian nie miał zamiaru drugi raz popełnić tego samego błędu. Wykorzystując cały swój ciężar, wtłoczył czarny łeb wroga głębiej w ziemię. Masywną łapą złapał stwora za ramię, a drugą ucapił jego lewy róg, po czym otworzył paszczę i chlusnął płomieniem w miejsce, w którym głowa łączyła się z szyją. Demon zawył, zaszamotał się, ale Sydian ani myślał puścić czy osłabić strumienia ognia.

Żar był tak silny, że szpony Sydiana zaświeciły jak rozgrzana stal, gdy ciało demona zaczęło odłazić od kości. Ciemne gnaty odsłoniętego kręgosłupa zachrzęściły, gdy Sydian skrzył potworowi kark. Dopiero wtedy smok przestał ziać ogniem, a jego głowa zwróciła się w kierunku Falka.

Blizniacze dusze skrzyżowały spojrzenia. Patrzyli na siebie z ponurą satysfakcją, rozumiejąc już, jak dzikiej siły potrzeba, by pokonać demony Opętanych. Oto ogromna moc Wielkich Dusz, które stały na straży ludzkości. Lecz nie cała moc maga bitewnego była niszczycielska; napełniony nową determinacją Falko spojrzął na Alexa Klingemanna, który wciąż klęczał nad ciałem brata w łańcuchowej siatce.

Otrzeźwiał z bitewnego szału i ruszył do nich, a jego aura była tak silna, że Alex aż się wzdrygnął. Lecz wtedy Falko zdjął hełm i klęknął na jednym kolanie przy udręczonym ciele Quirrena. Nagle Alex zobaczył młodego chłopaka, którego poznał w Furii, młodzieńca, który stał się jego przyjacielem.

Patrząc na potrząskane ciało Quirrena, Falko nie mógł uwierzyć w to, co mu zrobiono, i łzy współczucia i żalu zebrały się w jego oczach.

– On nie może umrzeć... – powiedział Alex głosem ochrypłym od rozpacz.

Falko zauważył świeżą ranę w piersi przyjaciela i przez chwilę nie wiedział, co ma robić. Demon, który pojmał Quirrena, nie żył. Jego dusza powinna więc znaleźć się poza zasięgiem Opętanych. I wtedy Falko zrozumiał. Niewoliciel zbierał dusze, lecz nie dla siebie, ale dla innego demona. Tego, który schodził teraz do doliny. Ale mag bitewny nie dbał o to.

Quirren tkwił uwięziony w mrocznym świecie cierpienia, a on nie pozwoli mu cierpieć ani chwili dłużej. Odłożywszy miecz, Falko położył rękę na jego zmasakrowanym ciele. Mógłby zabić go swoją mocą, ale nie potrafił znieść myśli o tym, że przyjaciel miałby umierać w bólu, a więc sięgnął do umysłu Quirrena i wziął całe to cierpienie na siebie.

Alex zaszlochał, nie dowierzając, gdy zobaczył, jak wykręcona twarz brata wygładza się w czymś na kształt ulgi. Westchnienie uciekło spod jego spękanych ust, gdy niewyobrażalna udręka uleciała z jego umysłu. Stanu, w którym znalazł się Quirren, nie można było nazwać spokojem, lecz Alex uwierzył, że przestał cierpieć.

Ale dla Falka agonalny ból był tak przytłaczający, że prawie stracił nad sobą kontrolę. Drżącą ręką sięgnął do łańcucha, który włókł się za siatką pętającą przyjaciela. Z niebywałym wysiłkiem dźwignął się na nogi, złapał łańcuch i pozwolił mocy zgromadzić się w swej piersi.

– Cofnij się – wyjęczał przez zaciśnięte zęby, a Alex usłyszał.

Falko gromadził energię, aż ta zapłonęła białym światłem, a potem posłał ją do łańcuchów pętających nieszczęśnika. Ciężki metal zaczął świecić, a moc spłynęła i otoczyła Quirrena. Falko nie mógł uwierzyć w ogrom woli, która więziła przyjaciela w tej otchłani cierpienia, ale nie miał zamiaru się poddać. Włożył w Quirrena jeszcze więcej mocy, a rozbłysk był tak potężny, że Alex musiał osłonić oczy dłonią. Ciało jego brata zmieniło się w masę złotego światła. Natężenie energii było tak

wielkie, że Falko nie mógł już tego znieść.

Zmagając się z niewyobrażalnym ciężarem, odrzucił głowę i wrzasnął. Światło buchnęło raz jeszcze, a potem zarówno Quirren, jak i łańcuchy zniknęły – przemieniły się w mgłę srebrzystych drobinek, które opadły wolno na ziemię.

Falko osunął się na kolana, a Alex zachłysnął się powietrzem, gdy całe cierpienie jego brata stało się chmurą połyskliwego kurzu. Ulga zalała jego umysł, lecz zauważył, że Falko pada na ziemię, pospieszył mu więc z pomocą.

– Dziękuję – powiedział, gdy mag bitewny uniósł głowę.

Falko powoli zaczął wracać do siebie. Położył rękę na ramieniu Alexa.

– Chodźmy – rzekł. – Walka jeszcze się nie skończyła.

Klingemann pokiwał głową, gdy odgłosy bitwy ponownie napłynęły do jego uszu. Wstając, ujrzał, jak daleko zapuścili się Wygnańcy, na których szła teraz jeszcze większa armia Opętanych. Wokół niego ci, którzy pozostali przy życiu, utworzyli formację obronną, gotowi mierzyć się z nowymi hordami skirytów. Po prawej stronie widział Urwipołciów i dwustu rycerzy bijących się z okazałą czworoboczną formacją kardaków.

– Przesuń swoich ludzi w kierunku Urwipołciów – powiedział Falko, nakładając barbutę. – Musimy wrócić do swoich.

Alex znowu kiwnął głową, a Falko już sięgał po miecz, gdy jakaś niewidzialna siła porwała go z ziemi. Miecz wypadł mu z ręki i zadzwonił o skały, a Alex mógł tylko patrzeć, jak Falko upada ciężko na ziemię czterdzieści jardów dalej. Ujrzał, jak jego przyjaciel wstaje z ziemi, widocznie zdezorientowany. Nie wiedział, co go złapało. Zanim Alex zdołał zrobić cokolwiek, owa tajemnicza siła znowu poderwała Falka z ziemi i cisnęła nim z mocą w masę kardaków.

Falko był oszołomiony i zmieszany, ale mimo to zdołał przywołać dość energii, by odepchnąć od siebie ciężkozbrojnych Opętanych. Zerknął w niebo i zobaczył, że Sydian leci już ku niemu. Ulga spłynęła na niego, lecz smok nagle wyhamował ostro lot i zwrócił się ku ziemi, uderzony tą samą mocą, która przed chwilą miotała Falkiem po polu bitwy. Strach i troska zacisnęły żelazne pęta na jego sercu, gdy Sydian zniknął mu z oczu. Smok się nie pojawiał i Falko rzucił się w jego stronę, ale w tym samym momencie coś znowu zmiotło go z nóg.

Jakaś siła powlokła go po kamienistej ziemi przez postępujący oddział kardaków, którzy mijając go, okładali go bronią i kopali. Gdy owo coś wreszcie go zatrzymało, Falko z trudem zachowywał przytomność. Był oszołomiony, rozbrojony i zdezorientowany, ale mimo to gotowy do walki. Skupił moc w pustej prawej ręce, ale gdy stanął na nogach zobaczył, że kardakowie cofają się przed nim.

Gdy przejaśniło mu się w głowie, uprzytomnił sobie, że coś się zmieniło. Tumult bitwy zniknął, zastąpiła go upiorna cisza, kontrapunktowana jedynie przez krzyki rannych i odgłosy poruszania się tysięcy żołnierzy. Rżały konie, gdzieś wykrzykiwano rozkazy, wiatr wzdychał nad dwiema armiami, które stanęły przeciw sobie w Dolinie Trzech Braci. Tylko że walka ustała.

Jakby na jakiś cichy sygnał Opętani przestali atakować i odsunęli się od zjednoczonych sił Siedmiu Królestw. Cofnęli się o kilka kroków, niczym fala śmierci, którą nagle unieruchomiło uderzenie mrozu. Było jasne, że nie stało się tak z woli samych Opętanych. Warczeli i szarpali się w miejscu jak wściekłe psy na smyczy, ale na uwięzi trzymała ich wola nieporównanie potężniejszego umysłu. Umysł ten chciał w spokoju przyjrzeć się Wielkiej Duszy, która ośmieliła się rzucić mu wyzwanie.

Falko patrzył, jak kardakowie formują wokół niego zakrzywioną ścianę. A potem zauważył jakiś ruch, gdy rozstąpili się, by kogoś przepuścić.



Umysł Marchia Dolora płonął żywym ogniem furii. Ten Przeciwnik i jego wyrm nie tylko zabili trzech kolejnych Wiernych, ale w dodatku udało im się uwolnić duszę z jego królestwa. Takie bluźnierstwo domagało się kary.

Markiz Cierpienia dostatecznie długo to znosił.

Zaczepił palcem o tkankę rzeczywistości i machnął ręką. Przeciwnik pofrunął w powietrze i uderzył o ziemię. Człowiek natychmiast spróbował się podnieść, ale Marchio złapał go znowu i zawłókł pomiędzy kardaków, którzy pobili go prawie do nieprzytomności. Wyrm Przeciwnika usiłował mu pomóc, ale Marchio strącił go z nieba i w tej właśnie chwili szło już po niego dwóch Wiernych.

Hałas bitwy raptem zaczął nieprzyjemnie wdzierać mu się do głowy, więc Marchio rozkazał swoim żołnierzom zaprzestać walki. Wojsko, które przybyło tu wraz z nim, stanęło w miejscu, a żołnierze pogrążeni w walce opuścili broń. Uskarżali się, ale nie mogli złamać jego rozkazu.

Wreszcie Marchio nakazał kardakom jeszcze się cofnąć, by mógł w spokoju przyjrzeć się temu uciążliwemu Przeciwnikowi. Po jego prawej ręce wciąż tkwił przygnieciony do ziemi mocą demona wyrm. Marchio nie spodziewał się, że unieruchomienie go będzie wymagało tyle wysiłku. Lecz teraz Wierni przybyli już na miejsce i Marchio przekazał im wyrma, pewny, że ten nie wyrwie się z ich uścisku.

Opętani rozstąpili się przed nim, gdy zbliżył się do tej ludzkiej istoty,

która przysporzyła mu tyle kłopotu. Kardakowie zakreślili wokół niego szeroki łuk stali. U stóp Marchia Dolora stał jeden człowiek. Miał na sobie pancerz, na lewej ręce wisiała przekrecona tarcza. Słaniał się na nogach. Nawet teraz Marchio czuł jego opór, ale choć tak wiele spodziewał się ujrzeć, był to w końcu tylko człowiek.

Marchio Dolor niemalże czuł rozczarowanie.

Dobry miecz i zacisnął pięść skrytą pod tarczą na lewej ręce. Częśćka Marchia Dolora chciała zabić go szybko, dla przykładu, lecz jego umysł raz jeszcze nawiedziły myśli o tym, jak wielką satysfakcję przyniesie mu złamanie jego ducha i pozyskanie duszy. W całej historii tej wojny Wierny nie zniewolił jeszcze duszy Przeciwnika, lecz miłość, jaką ten człowiek czuł do ludzi na polu bitwy, może okazać się wystarczająca, by go złamać.

Czując dreszcz podniecenia, Marchio ruszył naprzód. Czas sprawdzić, gdzie leżą granice wiary tego Przeciwnika.

## Ciemność



**A**rmia Marchia Dolora wypełniała dolinę niczym mroczne śródlądowe morze. Obrońcom udało się oprzeć pierwszej armii, która na nich ruszyła, lecz teraz byli w potrzasku. Ale to nie liczebność ograbiła sprzymierzone wojska z nadziei, tylko olbrzymi kroczące wśród hordy Opętanych. W dolinie było teraz co najmniej sześć demonów. Szły wyprostowane, na wygiętych do tyłu nogach, a ich korpusy z grubsza przypominały ludzkie. Ich ciała różniły się od siebie, ale było oczywiste, że wszystkie pochodzą z tej samej piekielnej krainy.

Był wśród nich uskrzydłony diabeł o skórze, która świeciła jak rozżarzone węgle. Dwa kolejne uzbrojone były w miecze i zakute w pancerze. Czwarty przypominał zjawę, której czarne ciało spowijał dym. Dwa ostatnie były podobne do byków, niczym mityczne minotaury. Ich skóra miała barwę węgla, a masywne szpony wbijały się w łuski Sydiana, gdy trzymały go w unieruchamiającym uścisku.

A poza tymi sześcioma był jeszcze jeden. Ten nie górował nad Opętanymi, lecz był zaledwie o głowę wyższy od kardaków, wśród których kroczył. Niewysoki w porównaniu do innych demonów, jednak żaden z piekielników nie był w stanie przyćmić aury jego obecności, gdy szedł w kierunku Falka.

Pobity i oszołomiony mag bitewny patrzył, jak Marchio Dolor idzie w jego stronę, a wraz z nim w równym tempie dwa przerażające bestiarumy, niczym lojalne ogary przy nogach pana. Jeden był karmazynowy, drugi czarny jak smoła. W miejscu oczu widniały dwa puste i ciemne otwory, a ostre rogi zakrzywiały się w przód i zwiślały aż do pysków wypełnionych zębami. Drapały ziemię pazurami, chcąc rzucić się na Falka, ale nawet one nie mogły uczynić nic wbrew woli Marchia Dolora.

Wyprostowany na pełne siedem stóp wzrostu Markiz Cierpienia

wydawał się prawie ludzki ze swoją skórą koloru zaśniedziałego srebra. Większość jego ciała pokryta była pancerzem, który wydawał się drgać wraz z falami gorąca. Demon nie miał przy sobie tarczy, ale pancerz na jego lewym ramieniu rozszerzał się w obie strony na jej podobieństwo i wyginał naprzód, przybierając formę dwóch kling. Przy pasie miał miecz, który pulsował i drgał, emanując złowieszczym światłem. Rogi demona wyrastały z obu stron ferockiego hełmu, a oczy lśniły jak dwie kule stopionego brązu.

Marchio Dolor zatrzymał się jakieś trzydzieści kroków przed Falkiem, jakby teraz on przyglądał się stojącemu przed nim człowiekowi. Aura potęgi i władzy biła od niego jak od żadnego innego stworzenia na świecie. Mag bitewny poczuł, że jakaś siła wprawiała w drżenie fundamenty jego wiary. Myśl o walce z tą istotą wydała się absurdalna, ale mimo to sięgnął po miecz.

Nic...

Nie było go w pochwie. Odłożył go na bok, by uwolnić Quirrena, a potem upuścił, gdy niewidzialna siła wyrzuciła go w powietrze.

Panika wezbrała w jego piersi. Wtem złapał wzrokiem jakiś ruch. Dwa minotaury wnosiły Sydiana na arenę zakreśloną szeregami kardaków. Przycisnęły go do gruntu i spętały wydobywającymi się z ziemi łańcuchami, aż obezwładniony smok zaległ nieruchomo.

Upewniwszy się, że Sydian się nie wyrwie, minotaury cofnęły się od niego i stanęły nieruchomo. Łańcuchy parzyły smoka jak rozżarzone żelazo, ale gdy spojrział na Falka, mag bitewny nie znalazł w jego spojrzeniu najmniejszej oznaki poddaństwa. Smocza odwaga wzbudziła w sercu Falka ukłucie dumy, lecz teraz widział wokoło siedem demonów i wiedział, że zwycięstwo jest niemożliwe.

„Tak, jest niemożliwe”.

Słowa odbiły się echem w grocie jego umysłu i w umysłach wszystkich ludzi zgromadzonych na polu bitwy. Wiedział, że mówiły prawdę. I że to bez znaczenia.

Może nie zdołają zwyciężyć. Ale walczyć nie przestaną.

Marchio Dolor skrzywił się, ujrawszy płomień, który rozpalił się w umyśle młodego Przeciwnika. Z zaskakującą prędkością Falko posłał w stronę demona tnący pocisk energii. Marchio ledwie zdążył zasłonić się tarczowym karwaszem na lewej ręce. Magiczny grom wbił się głęboko w zaczarowaną stal. Zaskoczony demon musiał uskoczyć przed drugim pociskiem, zakrzywionym łukiem energii, który wystrzelił z krawędzi tarczy Falka.

Demon wyrzucił przed siebie ramię, chcąc przyciągnąć do siebie Przeciwnika, lecz tym razem ten był przygotowany na niewidzialny atak i ramię demona zadrżało z wysiłku, gdy Falko wbił nogi w ziemię.

Marchio Dolor nigdy jeszcze nie napotkał takiego oporu wobec swojej



woli. Raptem zrozumiał, jak ten dzieciak zdołał pokonać Pogromcę. Choć był młody, płonął w nim wieczysty płomień, siła nieograniczona barierami ludzkiego ciała. A Marchio Dolor nienawidził jej.

Skinieniem, które dokonało się tylko w jego umyśle, spuścił z mentalnej smyczy dwa piekielne ogary, które natychmiast rzuciły się naprzód tylko po to, by znowu zostać zatrzymane przez postawioną w okamgnieniu przez Falka ścianę energii. Bestie warczały i piekliły się, a spomiędzy ich zgrzytających kłów kapą na ziemię srebrzysta ślina. Ich władca pragnął zagarnąć duszę tego Przeciwnika, a one otrzymają w nagrodę jego ścierwo. Rozedrą je na strzępy. Zedrą skórę z udręczonych członków.

Ramię Falka drżało z wysiłku, gdy próbował bronić się przed zdziczałymi bestiami. Dzieliło je od niego już tylko dwadzieścia stóp. Gdy ściana padnie, dorwą go natychmiast. Przez chwilę rozważał przejście z defensywy do ofensywy, lecz wtedy znowu musiał się bronić, gdyż z lewej strony pomknęła w jego stronę lawina płonących szrapneli.

Kilka innych demonów dołączyło się do ataku i Falko zachwiał się na nogach, gdy kolejne uderzenie niemal zerwało mu tarczę z ramienia. Wciąż zmagając się z nacierającymi ogarami, uformował kulę magicznej energii i z wysiłkiem osadził ją w miejscu, by rozbijały się o nią strumienie ognia i płonącej siarki. Wtedy grunt pod Falkiem rozpęknął się, gdy Marchio Dolor nasycił ziemię swoją mocą. U stóp wojownika zajaśniał czarny blask ognia wiecznego.

Połączona siła demonów była czymś, z czym nie mógł się mierzyć. Energetyczna tarcza zaczynała słabnąć. Piekielne ogary postąpiły o krok naprzód.

„Przegrałeś, dziecko” – powiedział w umyśle Falka demoniczny głos. „Czy nie słyszysz swojej porażki w krzykach przerażenia dobywających się z gardeł tych, których chciałeś uratować?”

Powoli do świadomości Falka przedarł się narastający na polu bitwy tumult. Walki nie podjęto, ale powietrze przenikał zbiorowy jęk i lament przerażenia, odkąd opadł ochronny płaszcz maga bitewnego. Falko nie miał dość siły, by obronić samego siebie i żołnierzy, którzy stali teraz bezradni w obliczu panicznego lęku. Słyszał wizgi i prychnanie koni, doprowadzonych do szaleństwa przez strach.

Panika wirowała w powietrzu jak trujący wyziew, odwaga żołnierzy topniała z każdą chwilą. Zbyt przerażeni, by ratować się ucieczką, stali, sparaliżowani strachem, czekając, aż Opętani zabiją ich i zawładną ich duszami. Falko czuł to przerażenie, ale nie mógł teraz zrobić nic, by ich przed nim osłonić.

Wokół niego potężniały ogniste języki ognia wiecznego, paląc ziemię i liżąc chciwie sferę ochronnej energii. Czuł obecność Sydiana, lecz nawet smocza moc zaczynała karleć w obliczu zła, które wypełniło

dolinę. Byli zgubieni. I to przez niego. To on ich tu przywiódł. On sprowadził na nich ten los.

Sfera energii drgnęła. Ogary pokonały jeszcze kilka kroków, a płomienie strzeliły w górę, karmiąc się jego zwątpieniem. Myśli Falka wypełniły się przerażającymi obrazami tego, co stanie się z żołnierzami Illicji i Clemoncé, z jego przyjaciółmi.

„Tak” – powiedział głos w jego głowie. „Wiesz, co spotyka tych, którzy się nam przeciwstawiają”.

Łzy trysnęły z oczu Falka, gdy na horyzoncie jego umysłu zebrały się pierwsze chmury rozpacz.

„Ale mógłbyś ich ocalić” – podjął głos.

Wbrew sobie Falko uczeplił się strzępu nadziei, którą zawierały w sobie słowa Marchia.

– Jak? – wydyszał, a piekielne ogary pokonały kolejny jard.

„Poddaj się mnie” – rzekł głos. „Oddaj mi swoją duszę, a ja dam im wszystkim szybką śmierć”.

Falko nieomal parsknął. Wwiercił się wzrokiem w Marchia Dolora, szukając fałszu w jego spojrzeniu. Wiedział, że musi tam być. Ale nie znalazł go. Zmarszczył brwi w grymasie zmieszania. Jakimś sposobem wiedział, że Marchio Dolor mówi prawdę.

Jego dusza w zamian za dziewięćdziesiąt tysięcy dusz.

„Nigdy byś się nie odważył. Nigdy nie znalazłbyś w sobie wiary”.

Nagle słowa powtarzające się jak refren w snach Falka nabrały sensu. To o tym mówiły. To było pytanie, które dręczyło go przez całe życie. Czy miał dość odwagi, by oddać swoją duszę i ocalić ludzi, których kochał?

Falko zaczął łkać.

Przerażenie zatopiło szpony w jego umyśle. Drwiło z niego. Kpiło.

„Nigdy byś się nie odważył. Nigdy nie znalazłbyś w sobie wiary”.

Obok Falka przebiegł koń. Zwierzę ominęło otaczające go ciemne płomienie i zniknęło w szeregach kardaków, ale Falko ledwie je zauważył. Stał przed niemożliwą do podjęcia decyzją: skazać na wieczne cierpienie dziewięćdziesiąt tysięcy dusz czy swoją własną?

Pot spływał mu po twarzy, zapiekło go w gardle, gdy ogień musnął jego ciało. Pierwszy dotyk płomienia, który wkrótce pochłonie albo jego, albo tych, których kocha.

Ogary były coraz bliżej. Marchio roześmiał się, widząc, jak Falko głowi się nad decyzją.

„Czas dokonać wyboru” – rzekł, a Falko wiedział, że to prawda.

Ogary mogły dorwać go w każdej chwili i rozszarpać, zaprzepaścić szansę na układ z Marchiem Dolorem i skazać jego przyjaciół na wieczne cierpienie. Istniał tylko jeden sposób na to, by ich uratować. Myśl formowała się w jego głowie, gdy tymczasem zza jego pleców dobiegł tętent.

W całej dolinie rycerze i kawalerzyści walczyli o odzyskanie władzy nad swoimi wierzchowcami. Wszyscy poza jednym. Ze wszystkich koni na polu bitwy tylko jeden zachowywał się jak rumak bojowy, szkolony do wojny. I to właśnie on zdołał zachować zmysły w nawałnicy przerażenia, ponieważ nadzwyczajna więź łączyła go z jego panem. Jeźdźcem był kapitan Nieugiętych, a koniem pędzącym na Falka był siwy perszeron.



Strach rozdrapywał pazurami tarczę jego odwagi, ale emisariusz parł naprzód. Widział kiedyś, jak Falko stawiał czoła złu, by stanąć u boku człowieka, którego darzył miłością. Teraz William Chevalier robi to samo dla tego chłopca, który dał mu kiedyś nadzieję. Spośród wszystkich spotkanych przez niego w życiu magów bitewnych tylko ten chłopak był w stanie sprawić, że emisariusz uwierzył w zwycięstwo.

A czymże jest wiara, jeśli nie właśnie tym?

Zawierzeniem nadziei, gdy ta umiera?

Falko stał teraz otoczony przez siedem demonów Opętanych, a emisariusz nie mógł znieść myśli, że miałby mierzyć się z tym wszystkim samotnie. Nie myśląc, wyrwał lancę z piersi zabitego skiryty i wbił pięty w boki Tapfera. Przeskakując nad ciałami i wymijając inne spanikowane konie, rycerz na siwym perszeronie natarł na wroga. Ujrzał, że połyskliwa kula światła wokół Falka zaczyna się załamywać. Potem zobaczył dwa monstrualne ogary pełzające w jego kierunku.

Ostatnim szaleńczym zrywem przemknął obok Falka i wraził lancę w pysk karmazynowego bestiaruma. Stwór zdechł na miejscu, gdy stalowy grot wbił się w jego pusty oczodół i zagłębił w mózg. Siła uderzenia wyrwała Chevalierowi lancę z ręki. Rycerz dobył miecza, gdy druga bestia koloru smoły rzuciła się na niego. Przyłgął do końskiej szyi, kiedy rumak cofnął się przed potworem, ale atak okazał się zbyt potężny i emisariusz spadł z siodła, gdy perszeron zwałił się ciężko na bok.

Smolisty potwór momentalnie przypadł do konia i rozerwał mu gardło ostrymi kłami.

Emisariusz odtoczył się na bok, unikając zmiążdżenia. Udało mu się nie wypuścić miecza z ręki. Natychmiast podniósł się na nogi i niemal w tym samym momencie skoczył na niego czarny bestiarum, z pyskiem wciąż umazany krwią Tapfera.

Sir William odskoczył na bok i bestia przemknęła obok niego, ale nim wylądowała na ziemi, drapnęła łapą, zdzierając mu naramiennik. Krew

spłynęła po ramieniu, emisariusz jednak prawie tego nie zauważył. Stwór znowu rzucił się na niego, ale rycerz wbił mu tarczę w pysk, mieczem sparował uderzenie łapą i zanurzył ostrze w muskularnym ramieniu potwora. Klinga sięgnęła głęboko i stwór zawarczał srogo, okręcając się do niego przodem.

Spróbował uderzyć ponownie, ale czarna bestia dała nura naprzód i uderzyła rogiem w płytę pancerza chroniącą udo emisariusza. Wrzasnął z bólu, gdy ostry róg drasnął miednicę i ugrzązł w biodrze, ale natychmiast uderzył mieczem w szyję bestii. Stwór usiłował się wycofać, ale emisariusz prał go mieczem po karku, aż w końcu przerąbał mu kręgosłup, oddzielając głowę od ciała. Zdekapitowane truchło zważyło się na ziemię, a róg wysunął się z ciała emisariusza za sprawą ciężaru wielkiego łba.

Zdyszany, niemal oszalały z bólu emisariusz zostawił za sobą pokonanych wrogów i powłócząc nogą, podszedł do Falka, stojącego przed obliczem demona. Cała siła opuściła jego ciało i świat kołysał mu się pod nogami, gdy upuścił miecz i pozwolił tarczy zsunąć się z ramienia. Obiema rękami zdjął z głowy wielki hełm i podniósł wzrok na Markiza Cierpienia. Jego szare oczy zaszczyły łzami, ale nie sposób było błędnie odczytać intencji w jego spojrzeniu.

Emisariusz oferował swoją duszę w zamian za duszę Falka.

Marchio rozumiał sens tego gestu. Rozumiał, że w świecie ludzi mógł on uchodzić za szlachetny, lecz dla demona Opętanych oferta była całkowicie pozbawiona znaczenia. Mógł mieć duszę tego człowieka niezależnie od jego woli, ale sprawa przedstawiała się inaczej, jeśli chodzi o dusze Przeciwników.

Z jakiegoś powodu ci, których zwano magami bitewnymi, potrafili oprzeć się przerażeniu i beznadziei, przez co ich dusze były dla demonów nieosiągalne. Nie. Dusza Falka nie była wcale więcej warta od żadnej innej, ale fakt, że Opętany nie mógł jej zdobyć, przydawał jej szaleńczą wartość.

Zniecierpliwiony demon podszedł do emisariusza. Jego dusza będzie pierwszą, którą dziś opęta. Złamany strachem Chevalier upadł na jedno kolano, gdy Marchio stanął nad nim. Demon wyciągnął ręce i ścisnął nimi głowę rycerza, tak jak zrobił to wcześniej z Vercincallidusem. Emisariusz poczuł palący dotyk demonicznych rąk. Wiedział, że wisi teraz nad otchłanią, lecz nawet w tych ostatnich chwilach snuły się w jego głowie myśli o królowej.

Czy wiała się z bólu, gdy jej umysł popadał w pustkę? Czy jej życie dobiegło takiego właśnie końca?

„Tak” – odpowiedział głos w jego głowie, a emisariuszem wstrząsnął szloch.

Zadowolony z rozpiętości cierpienia tego człowieka, Marchio

skrzywił wargi w uśmiechu. Pozwolił ogniovi wiecznemu spłynąć po swoich ramionach, ale zatrzymał go, nim ten musnął głowę rycerza. I podniósł wzrok na Falka.

„Teraz przekonamy się, co jest większe” – powiedział w umyśle Falka. „Twoja miłość i współczucie czy twój strach przed piekłem. Twoja dusza za dusze dziewięćdziesięciu tysięcy twoich pobratymców. Jak brzmi twoja odpowiedź? Tak czy nie?”

Falko dosłownie drżał z wysiłku, jakiego wymagało od niego dobyte głośno. Wiedział, że gdy wypowie jedno z dwóch słów, nie będzie już mógł go cofnąć. Los jego i całej armii zostanie przesądzony w tej jednej chwili. Jego umysł wypełniała przeraźliwa świadomość cierpienia, które może być konsekwencją jego decyzji, a zadowolenie, jakie widział w oczach demona, było niemal niemożliwe do wytrzymania. Ale nie mógł dłużej odwlekać decyzji. Przepelniony pogardą dla samego siebie, wymówił:

– Nie.

Marchio Dolor zmarszczył brwi, ale spojrzenie Falka nie osłabło. Nigdy nie wybaczy sobie tego, co zrobił, nawet jeśli wiedział, że nieprzyjaciel usiłował go oszukać. Przez całe życie wierzył, że był to wybór pomiędzy samym sobą a tymi, których kochał. Wybór pomiędzy odwagą a tchórzostwem. Lecz to nie była kwestia odwagi, ale wiary. Czy miał dość siły, by zachować wiarę, nawet jeśli ta wiara skazywała jego przyjaciół na wieczne potępienie?

Nawet jeśli skazywała na potępienie cały świat?

– Nie – powtórzył, a jego cichy głos odbił się echem w myślach tysięcy ludzi na polu bitwy. A potem, z wielkim mozołem, dodał: – Sprzeciwiam... się... tobie.

Żołnierze zaczęli krzyczeć i lamentować, gdy zrozumieli, że czeka ich potępienie. Marchio wpadł w gniew.

„Będziesz płonął” – powiedział w umyśle Falka. „Może i nie uda nam się zawładnąć twoją duszą, lecz dopilnuję, byś żył setki lat, a każda godzina agonii będzie gorsza od poprzedniej. Otworzę ci uszy, byś nie mógł zamknąć ich na krzyki tych, których skazałeś na potępienie. Będiesz czuł, że to trwa całą wieczność, a ostatnie, o czym pomyślisz, to to, że cierpienie tych, których ukochałeś, nigdy się nie skończy”.

Wciąż ściskając w rękach głowę emisariusza, Markiz Cierpienia zwolnił płynący po ramionach ogień, lecz ten nie dosięgnął Chevaliera. Falko napełnił jego ciało energią, która sprzeciwiała się nienawistnym płomieniom. Wiedział, że to tylko tymczasowe odroczenie wyroku, ale postanowił bronić tych, których kochał, tak długo, jak będzie mógł.

Warczący ze złości demon odrzucił emisariusza na bok i uderzył w Falka całą siłą swego jestestwa. Surowa potęga tego ciosu rzuciła Falka na kolana. Huk nienawistnego wrzasku wgniał go w ziemię.

Próbował wstać, ale jego siły były nadwątlone świadomością tego, co zrobił. Czuł zawiedzione nadzieje wszystkich dusz w dolinie. Ciężar tego zawodu wznosił się nad nim jak góra i moc Falka zaczęła kruszyć się pod naporem zmasowanego ataku wszystkich demonów i zapiekłej pogardy Marchia.

Do głowy Falka raptem napłynęły obrazy wszystkich ludzi, o których się troszczył. Zobaczył Fossetę i Symeona, Malakiego i Brynę, emisariusza i królową. Ujrzał mężczyznę o twarzy porośniętej kilkudniowym zarostem, który patrzył na niego głęboko brązowymi oczami. Wreszcie kobietę o zielonych oczach oraz długich, ciemnych włosach. Kobietę, której nigdy nie poznał, ale którą zawsze kochał.

– Przepraszam – wydyszał, a ten szept odbił się echem w mrocznej grocie jego umysłu, lecz ludzie, których miał przed oczami, nie słyszeli go. Dla nich był martwy.

Fizyczny ból powodowany przez demoniczne ataki był straszliwy, ale mentalny ból, który cierpiał jako zdrajca, był nie do zniesienia. Może i sam umknął przed piekłem, ale mimo to czuł się tak, jakby osuwał się w bezdenną czeluść rozpacz. Wtedy poczuł, jak inna ciemność wlewa się do tego miejsca poza czasem i przestrzenią, a wraz z nią przybyły mary z jego snów.

Z początku ich nie rozpoznał, bo nigdy nie doświadczył ich obecności w świetle rozbudzonego umysłu, a jednak znał je przecież od dawna. W snach pomagał im znieść ich własne poczucie winy i wstyd, zaś one w zamian wspierały go w chorobie, żalu i koszmarze. A teraz przybyły ponownie, by uratować go w godzinie największej potrzeby.

Falko z początku nie ośmielił się uwierzyć w to, co czuje, gdy iskierka nadziei zamigotała w jego piersi. Siła demonicznej nienawiści chciała go złamać, lecz teraz znalazł nowe pokłady sił, by się jej oprzeć, i nagle przypomniał sobie słowa, które tak często wymawiał przez sen.

Nadchodzi ciemność, dyszał, gdy Fossetta ocierała mu z czoła pot gorączki.

Ciemność na ziemi. Ciemność w głębi. Ciemność na wzgórzach.

I ciemność rzeczywiście nadchodziła, ciemność na skrzydłach nocy, ciemność doprowadzona do szaleństwa zdradą i odkupiona przez łaskę.

Choć nienawistne natarcie demonów groziło Falkowi unicestwieniem, zebrał się w sobie i oparł o grunt rękami. Marchio Dolor skrzywił się na ten widok. Żaden śmiertelnik nie był w stanie oprzeć się sile zła, którą Markiz wraz z innymi demonami wtłoczył do umysłu tego Przeciwnika, a jednak on uparcie odmawiał poddania się niszczycielskiej mocy. Wiedział już wcześniej, że ten Przeciwnik jest niebezpieczny. Czas, by Wierni wzięli się do pracy i w końcu go zniszczyli.

Dobytając miecza, demon porwał się naprzód, lecz wówczas jakiś

ruch w powietrzu przyciągnął jego uwagę i Marchio Dolor się zatrzymał. Nagle dopadły go wątpliwości, a potem pojawili się oni – trzy czarne kształty lecące w kierunku trzech nieporośniętych drzewami wzgórz. Trzy czarne smoki, a między skrzydłami każdego z nich – człowiek.

Pustelnik.

Uzdrowiciel.

Rybak.

Trzej mężczyźni zagubieni w odmętach wstydu i żalu, ocaleni przez narodziny dziecka, którego nigdy nie poznali, dziecka, które jakimś sposobem przydało im nadziei. To dziecko przemieniło się już w mężczyznę, a ten mężczyzna klęczał teraz na ziemi, otoczony przez demony usiłujące zmiążyć jego ducha. Dziecko niemal dało się złamać, niemal samo przepadło w otchłani – ale walczyło.

Sięgając umysłami, Odrzuceni wzięli to dziecko w objęcia, a Falko uniósł głowę.

Za każdą śmierć i złupioną duszę.

Za każdego zabitego smoka i każdego osamotnionego maga bitewnego.

Za każde serce uczone nadziei i za każdą duszę straconą do piekieł.

Falko poderwał głowę. I nawet najstraszliwsze płomienie Hadesu nie mogły dorównać ogniewi, który płonął w jego zielonych oczach.

Kilka jardów na lewo czarny kształt zaszamotał się w łańcuchach. Sydian podjął walkę ze swoimi okowami. Żaden wyrm nie potrafiłby zerwać łańcuchów, które przykuwały go do ziemi, lecz Sydian nie był wyrmem, a smokiem zza Nieskończonego Morza. Dało się słyszeć brzęk i trzask – i stworzenie zerwało się na nogi.

Czas zwolnił bieg. Dolina Trzech Braci zawisła między bezruchem a walką, armia wobec armii, demony przeciw magom bitewnym. I wtedy Markiz Cierpienia ogłuszającym rykiem wydał rozkaz.

Zabić wszystkich, strącić ich dusze do piekieł!

Jego demony zgromadziły moc pod postacią mrocznych, wirujących chmur i Opętani raz jeszcze rzucili się do ataku. Klinga miecza Marchia Dolora zabłysła szaleńczym światłem, a jego oczy zapłonęły nienawiścią, gdy skoczył na Falka.

Wciąż klęczący na ziemi chłopak nie poruszył się, by go powstrzymać. Przyciskał brzeg tarczy do ziemi, a jego prawa ręka pozostawała pusta. Nie mógł liczyć na przetrwanie natarcia Marchia Dolora, nie składając się do obrony, a jednak ani drgnął. Nasłuchiwał. Wsłuchiwał się w wąty dźwięk na granicy słyszalności. Odległe dzwonięcie stali. Usłyszał je pomimo nasilającego się zgiełku bitwy i sięgnąwszy w tył wolną ręką, zebrał wszystkie swoje siły.



Dwieście jardów dalej Alex Klingemann usłyszał gdzieś u swoich stóp metaliczne brzęczenie. Spojrzał w dół na miecz Falka. Broń wciąż leżała tam, gdzie upuścił ją mag bitewny. Alex wyraźnie słyszał, jak miecz zaczyna z czymś rezonować, wydając z siebie złowróżbny ton.

Ten ton spotężniał nagle i zabrzmiał jak wrzask, a potem przeistoczył się w ciszę. Na oczach zafascynowanego Alexa miecz uniósł się kilka cali nad powierzchnię ziemi, a potem, niczym strzała, pomknął w kierunku Falka.



Marchio prawie już go dosięgnął, ale Falko wciąż trwał w bezruchu. Demon uniósł swój miecz i piekielna klinga na ułamek chwili zawisła w powietrzu, by zaraz opaść, i w tym właśnie momencie Falko poczuł, jak coś wsuwa się w jego dłoń, coś, co może oprzeć się mieczowi wykutemu w piekle. Gdy ostrze Marchia pomknęło w dół, Falko odbił jego uderzenie własnym.

Marchio Dolor aż zachwiał się od siły uderzenia, a Falko podniósł się na nogi. Sydian zaryczał i rzucił się na jednego z minotaurów, podczas gdy jego pobratymcy poderwali się z wierzchołków trzech wzgórz i ostro zapikowali, niosąc na swoich grzbietach magów bitewnych z Illicji, Beltane i Thraecji.

W całej dolinie żołnierze wydzwignęli się z obezwładniającej desperacji i zaczęli z mozołem przegrupowywać się w swoich jednostkach. Demoniczny strach wciąż utrzymywał się w wielkiej sile, lecz teraz żołnierzy osłaniała moc nie jednego, ale trzech magów bitewnych. Czwarty pozbawił ich obrony, bo sam potrzebował wszystkich swoich sił, żeby podjąć walkę z demonem, który atakował teraz z nieokiełznaną furią, jakiej świat nie widział jeszcze u demona Opętanych.

Ziemia drżała, powietrze paliło, a miecz Marchia zachowywał się w jego ręku jak żywy organizm. Falko uskoczył przed rozplómiętą klingą, która zostawiła rozmazaną smugę światła w powietrzu dwa cale nad jego głową. Mag bitewny wzmocnił swoje ramię magiczną energią, by móc przyjąć uderzenie na tarczę, lecz nawet przez stal Missagliasa czuł żar piekielnej klingi. Demon atakował z zatrważającą siłą, ale Falko nie ugiął się pod nawałnicą ciosów. Podjął wyzwanie rzucone mu przez koszmary i jego wiara pozostała nieskalana.



Demon raz po raz przywoływał ogień wieczny i rzucał na Falka jego wielkie, żarłoczne strumienie, ale te rozbijały się o jego tarczę i magiczne bariery jak sztormowe fale. Potęga jego magii defensywnej wymogła na Marchiu jeszcze zajadlejsze natarcie i podsyciła jego wściekłość ponad wyobrażenie. Demon nasycił miecz po krawędzie swoją plugawą mocą, aż powietrze wokół głowni zaczęło się palić.

Falko wyczuwał nienawistną potęgę tego miecza i wiedział, że dotknięcie go oznacza śmierć. Nawet natchniony wiarą wiedział, że jego własna moc ma swoje granice i że nie zdoła długo opierać się potędze demona.

Jeśli ma przeżyć ten pojedynek, musi zakończyć go szybko.

Poruszając się z prędkością, która przeczyła jego zmęczeniu, Falko sparował dwa płomieniste cięcia, a potem uderzył – raz w ramię, raz w udo Marchia. Srebrzysta krew skropiła ziemię, ale demon nie przerywał natarcia; ruszył twardo naprzód, rąbiąc i siekąc, a Falko znów musiał odeprzeć lawinę brutalnych ciosów. Marchio posłał w jego stronę strumień ognia, celując w klatkę piersiową, ale Falko zawirował i z impetem wyrzwał demona mieczem w bok hełmu. Jego głownia odrąbała prawy róg i wyrysowała na magicznej stali głęboką szczelinę.

Spazm przetoczył się przez ciało Marchia i demon opuścił miecz, gdy z rany na jego głowie poląła się oleista ciecz. Próbował złapać Falka, ale ten odskoczył w tył, wyprowadzając szaleńcze ukośne cięcie od lewego ramienia do prawego biodra. Fala energii wyzwalająca się z głowni przy każdym ciosie była tak wielka, że miecz przebił nasycony magią pancerz demona. Marchio wbijał się w Falka wzrokiem, który palił jak żywy ogień, ale mag bitewny nie ugiął się pod tym spojrzeniem, tylko wziął zamach i z mocą wrzucił miecz w pierś demona. Ciemna krew bryzgnęła z ust Marchia, gdy stal wbiła się w jego śmiertelne serce, lecz ostatkiem sił demon wyrzucił ramiona przed siebie, złapał Falka i zamknął go w śmiertelnym uścisku, a jego ciało wybuchło ogniem wiecznym.

Jeśli ma umrzeć, Markiz Cierpienia zabierze Przeciwnika ze sobą.

Falko zaciął zęby w agonialnym bólu, gdy otoczył go czarny ogień. Próbował bronić się przed tym okropnym żarem, ale nie miał siły, by jednocześnie dobić demona i walczyć z płomieniami. Ściągną na jego szyi były napięte i Falko wrzasnął, wlewając całą swoją moc w hartowaną głownię miecza.

Tkwiąca głęboko w piersi demona klinga buchnęła mocą wiary, a potem umysł Falka zatrzymał się, gdy obaj, mag bitewny i demon, eksplodowali płomieniem w oślepiającym rozbłysku.

Wkrótce kataklizm rozwiął się, a jego miejsce zajęła ciemność.

## Leczenie, żałoba i nadzieja

---



Falko obudził się, słysząc pomruk wielu głosów i jęki bólu. Otworzył oczy. Niebo nad jego głową było białe. Potrzebował chwili, by uświadomić sobie, że to blade płótno namiotu. Powietrze przesycone było ostrą wonią maści i ziół, lecz także swędem dymu i płonącego mięsa. Zorientował się, że wokół niego poruszają się ludzie. Powoli obrócił głowę. Wzrok miał zamazany, ale dostrzegł osoby leżące na prowizorycznych posłaniach i innych, kręcących się wokół nich. Był w lazarecie.

– Obudził się! – powiedział jakiś głos. Falko spojrział na Brynę siedzącą przy jego łóżku.

– Czas najwyższy! – powiedział inny głos i w polu widzenia pojawił się Alex. Kpiarski uśmiech na twarzy młodego Illicjanina był taki jak zawsze, ale jego spojrzenie naznaczał cień smutku.

Kolejna postać pojawiła się przy Brynie. Łzy pociekły po policzkach Falka.

– Witamy z powrotem, chłopczyku od ciepłych bułeczek – powiedział Malaki, a Falko był pewien, że jego serce zaraz pęknie ze szczęścia.

Chciał się podnieść, ale zakręciło mu się w głowie i opadł na posłanie. Bolało go całe ciało, a skóra była naprężona, jakby miała pęknąć przy nagłym ruchu. Zamknął oczy, gdy nagle poczuł ból, ale potem na jego piersi spoczęła życzliwa dłoń i ból zniknął, a w jego miejsce rozlały się po ciele znajome, ciepłe wibracje.

Falko otworzył oczy i zobaczył nad sobą starszego mężczyznę. Ciemnobrązowa skóra i ciemne, niemal czarne oczy zdradzały jego thraeckie pochodzenie i Falko od razu rozpoznał maga bitewnego. Mężczyzna musiał być za młodu niezwykle przystojny, ale jego twarz nosiła piętno niewypowiedzianego smutku. Falko miał mętne wrażenie, że go zna.

Mężczyzna milczał chwilę, ale zaraz jego usta rozszerzyły się w uśmiechu, gdy ujrzał zmieszanie w spojrzeniu pacjenta.

– Powiem reszcie, że się ocknąłeś – powiedział z niespodziewanie miękkim akcentem, jak na kogoś, kto żył tak daleko na południu.

Falko obserwował uzdrowiciela, gdy odchodził.

– Był wprost niesamowity – powiedziała Bryna, siadając przy jego łóżku. – Nie widziałam dotąd tak wprawnego uzdrowiciela.

– To on uleczył cię po bitwie – powiedział Malaki. – Zajął się twoimi oparzeniami.

– Blizn prawie już nie widać – rzekł Alex.

Falko spojrział na swoje obnażone ramiona i przekonał się, że pokrywające je włoski spłonęły, a sama skóra pokryta jest ledwie widocznymi srebrnymi plamami przypominającymi języki ognia. Wtedy wróciły do niego ostatnie chwile bitwy.

– Opętani? – spytał nagle.

– Zniszczeni – odpowiedział Malaki.

– A demony?

– Martwe.

– Wszystkie? – nie dowierzał Falko, a Malaki usłyszał zdenerwowanie głosem przyjaciela. Wiedział, że Falko pyta w szczególności o jednego.

– Tak – potwierdził. – Wszystkie.

Rysy Falka wygładziły się, gdy ogarnęło go uczucie ulgi. Na krótką chwilę skierował myśli do wewnątrz i nasłuchiwał drwiących głosów ze swoich snów, które zawsze czuł z tyłu głowy. Ale odpowiedziała mu tylko cisza. Wreszcie otworzył oczy.

– A co z armią?

– Niedobrze – odrzekł Malaki i Falko przygotował się na najgorsze. – Straciliśmy prawie czterdzieści tysięcy ludzi. Pewna liczba żołnierzy nie odniosła ran, ale wszystkich dotknął strach.

Falko zmarszczył brwi ze zrozumieniem. Ci dotknięci przerażeniem mogą z czasem wrócić do sił... ale czterdzieści tysięcy poległych! Ledwie umiał sobie wyobrazić tak wielką liczbę. A potem zadał jeszcze trudniejsze pytanie:

– A z tych, których znamy? Emisariusz...?

– Żyje – powiedział Malaki i ciało Falka zwiotczało z ulgi. – Ale nigdy nie będzie już normalnie chodził.

Ale żyje, pomyślał Falko, przygotowując się na litanię imion tych spośród przyjaciół, którzy nie mieli tyle szczęścia.

Wśród nich znalazł się Dedric Sayer, sypiący przekleństwami drań z Urwipołciów. Oraz Allyster Mollé, młody łucznik, który w czasie prób zdobył tyle samo punktów co Bryna. Malaki wspomniał o Alcaeusie, achemońskim kadecie, którego próbował dogonić Falko podczas pierwszego biegu do Palca, i o laniście Deloix, milczącym instruktorem,

który zawsze poruszał się z zabójczą, kocią gracją.

Falko skrzywił się, słysząc nazwisko generała Renucciego. Doznał osobliwego uczucia smutku, gdy dowiedział się, że w bitwie poległ też Jareg Snidesson. Młody szlachcic był jego zmorą przez wiele lat życia, ale w ostatnich miesiącach zapalali do siebie wzajemnym szacunkiem.

Ale głos zawiódł Malakiego przy ostatnim imieniu.

– Huthgarl też – powiedział za niego Alex, a Bryna osuszyła oczy rękawem.

Falko przez długą chwilę nie mógł w to uwierzyć. Nie umiał ogarnąć rozumem, że taki mocarz mógł ot tak przestać istnieć.

– Uratował nas – wznowił Malaki głosem nabrzmiętym od emocji. – Gdy bitwa rozgorzała na nowo, otoczyli nas kardakowie. Zostaliśmy odcięci od wsparcia. – Malaki zawiesił wzrok w przestrzeni, odtwarzając w pamięci ostatnie chwile przyjaciela. – Ale Huthgarl natarł na nich. Przebił się przez nich, otworzył dla nas drogę ucieczki.

Bryna ścisnęła jego palce i we czworo poświęcili swoje myśli wszystkim, których zabrała bitwa. Niedługo potem wyszli, chcąc pozwolić Falkowi wypocząć, ale on nie czuł się już zmęczony. Wiedział, że przy namiocie czeka na niego Sydian. Obecność smoka dodała mu sił. Nie mógł się doczekać, aż wydobrzeje na tyle, by znów móc na nim latać.

Wszystko w swoim czasie, powiedział mu smok myślami. Na razie wypoczywaj.

Falko uśmiechnął się, gdy jego umysł wypełniły obrazy jego samego, pogrążonego we śnie. Ile razy smok doglądał go, gdy spał? Troskliwy strażnik, niestrudzony towarzysz.

Gdy popołudnie przerodziło się w wieczór, Falko nabrał dość siły, by wstać z łóżka i pomóc leczyć rannych. Próbował złagodzić ból męczyzny po amputacji nogi, gdy dopadła go fala zmęczenia.

– Nie przesadz – powiedział znajomy głos i Falko odwrócił się do Mereditha, który położył mu rękę na ramieniu.

Młody mag pomógł mu wrócić na posłanie i nalał mu szklankę wody. Zawroty głowy minęły i Falko spytał czarodzieja, czy są jakieś wieści z miast, które zostały zaatakowane przed bitwą, ale Meredith tylko pokręcił głową. Podczas starcia z Opętanymi Meredith wraz z innymi magami stracili koncentrację i połączenie z innymi miastami zostało zerwane.

– Wyłapujemy obrazy lub fragmenty zdań, ale za mało tego, by wyciągnąć jakiś sens – wyjaśnił. – Wiemy na pewno tylko jedno: Amboss udało się ocalić.

Po wyjściu Mereditha Falko z niejakim zdumieniem odkrył, że ma ochotę coś przekąsić, ale przyjemność jedzenia psuł fetor śmierci unoszący się ze stosów usypanych po przeciwległej stronie doliny, na których palono trupy Opętanych. Próbował odpoczywać, ale nie mógł

zmrzyć oka.

Koło północy wyczuł obecność trzech mężczyzn kierujących się w jego stronę. Na dobre rozstając się z marzeniem o śnie, Falko wstał z posłania i wyszedł im na spotkanie. Uzdrowiciela już poznał. Obok niego stał wysoki mężczyzna o ogorzałej twarzy, w której świeciły niebieskie oczy, a nad nimi unosiła się strzecha siwych włosów. Trzeci miał długie brązowe włosy przetykane pasmami siwizny i pobrużdżoną twarz o surowym wejrzeniu, ale w jego ciemnych oczach Falko doszukał się jakiegoś przygaszonego ciepła, gdy mężczyzna taksował go wzrokiem.

Nie zamienili ani słowa, stali tylko razem, a cisza między nimi mówiła o rzeczach, których nie sposób wyrazić słowami. W całym swoim życiu Falko nie czuł się jeszcze taki bezpieczny jak teraz, w tej właśnie chwili, gdy stał w Dolinie Trzech Braci razem z pustelnikiem, uzdrowicielem i rybakim.

Nie potrafili wytłumaczyć więzi, jaka zaistniała między nimi, lecz żaden z nich nie czuł potrzeby, by próbować. Wiedzieli tylko tyle, że minęło około dwudziestu lat od chwili, gdy ich wiara została złamana, i że Falko jest dwudziestoletnim młodzieńcem. W jakiś sposób jego narodziny odezwały się echem w ich jestestwach, a to zrodziło w ich wygaszonych sercach nową nadzieję. Czy boginie losu przewidziały, że pewnego dnia Falko zepnie mostem wyrwę między ludźmi a smokami i da im szansę na odkupienie win?

Może... Ale któż mógł wiedzieć na pewno?

Można było powiedzieć tylko tyle, że oni nie zwalczyliby wyrzutów sumienia bez jego pomocy, a on bez nich nie uwolniłby się od koszmarów.

Siła ich aury wisiała w powietrzu jeszcze długo po ich odejściu, ale Falko, wróciwszy do namiotu, nie mógł sobie znaleźć miejsca. W końcu ponownie wyszedł na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Noc rozświetlał jasny, blednący księżyc. Falko powiódł wzrokiem po obozie, spokojnym i pogrążonym w bezruchu po bitwie. A potem zwrócił uwagę na miejsce po drugiej stronie kotliny, gdzie setki ludzi wciąż pracowały mimo późnej godziny. W zimnym świetle księżycy zobaczył długie rzędy podłużnych kształtów ułożonych na ziemi. Potrzebował kilku chwil, by uświadomić sobie, że to trupy. Ciała zmarłych czekających, aż żywi złożą ich w grobach.

Widok wstrząsnął Falkiem do głębi. Nie mógł się poruszyć. Nagle wykrył czyjaś obecność i ujrzał stojącego obok człowieka. Mężczyzna chwiał się lekko na kulach, którymi się podpierał.

– Zawsze miało być na świecie cierpienie – powiedział emisariusz. – I zawsze miała być na nim śmierć. – Skierował spojrzenie na młodzieńca u swego boku. – Ale nie zawsze miało na nim być zwycięstwo, Falko. Ani

nadzieja.

Przy tyłu poległych Falko nie czuł się zwycięzcą, ale nie mógł zaprzeczyć prawdzie obecnej w słowach emisariusza. Odkąd poznali się tamtego dnia w Caer Dour, ich dusze były połączone i teraz znajdowali wielkie pocieszenie w swoim towarzystwie. Przez jakiś czas patrzyli na robotników, a gdy później Falko wrócił do łóżka, wreszcie zdołał zasnąć.

Następnego dnia czuł się o wiele lepiej. Poranek spędził, pomagając rannym w lazarecie, a po południu poszedł na przechadzkę z emisariuszem.

– Uzdrowiciele mówią, że muszę się ruszać – wyjaśnił Chevalier, gdy zmierzali ku skrajowi obozu, gdzie ze zbocza wzgórza przyglądały im się cztery smoki. Szli wolno, a emisariusz syczał z bólu za każdym razem, gdy zawadził nogą o wystający kamień lub kępę trawy. Akurat postanowili zawrócić, gdy wzrok Falka zatrzymał się na namiocie dowódczym. Właśnie wyłonili się z niego marszałek Breton i kilku innych dowódców, którzy przeżyli bitwę.

– Coś się stało – powiedział Falko, gdy oficerowie ruszyli w ich stronę. Byli z nimi lanista Magnus i Meredith Saker oraz dwaj magowie bitewni, z którymi spotkał się nocą Falko.

Kuśtykający o kulach emisariusz stanął obok Falka.

– Coś nie tak? – zapytał, gdy podeszli do nich dowódcy, ale nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

– Dostaliśmy wiadomość z Amboss – wykrztusił wreszcie Breton.

– A przynajmniej tak nam się wydaje – doprecyzował Meredith.

– Właściwie dwie wiadomości – pociągnął marszałek.

– Ale sprzeczne – dodał Meredith.

Emisariusz westchnął z niecierpliwością, zirytowany tym przydługim wstępem.

– I cóż było w tej wiadomości?

– Jedna wspominała o śmierci królowej i o tym, że na tronie zasiadł książę Ludovico – wyjawiał marszałek, wiedząc doskonale, jaką reakcję mogą wywołać jego słowa.

– A ta druga? – spytał emisariusz lodowatym tonem. Miał swoje zdanie o tym, że książę poślakomiał się na tron, zanim jeszcze ostygło ciało królowej.

– Druga wiadomość była bardzo słaba i poszatkowana – przejął Meredith. – Choć mag, który ją wychwycił, twierdzi, że wyczytał z niej dwa słowa.

– Jakie to były słowa? – warknął Chevalier, zmęczony całą tą szaradą.

– Pierwsze to „królowa” – rzekł Meredith i przełknął ślinę, nim podjął – i myślimy, że drugie to „żyje”.

Emisariusz wbił w niego wzrok ostry jak dwa stalowe miecze. Kim byli ci głupcy, którzy ośmielili się rozdrapywać jego rany?

– Gdybyśmy mieli do dyspozycji kwintet magów, moglibyśmy dowiedzieć się więcej – powiedział Meredith. – Ale jest nas tylko trzech. Mieliśmy szczęście, że w ogóle udało nam się coś złapać.

Grymas emisariusza sugerował, że lepiej by było, gdyby mieli pecha i nie złapali ani słowa.

– Możemy wysłać jeźdźca do Amboss – podsunął marszałek Breton.

– Albo na koniu, albo na smoku – dodał Magnus. – Jeśli do Amboss dotarły jakieś wieści ze stolicy, poznamy je za dzień lub dwa.

– Ale czy można im wierzyć, skoro są sprzeczne? – zastanawiał się Falko. – Tak, moglibyśmy wysłać jeźdźca, ale przyniesione przez niego wieści wcale nie uczynią nas mądrzejszymi. – Przeniósł wzrok na emisariusza. – Mógłbym wrócić do Furii w kilka dni. Wtedy będziemy wiedzieć na pewno.

Emisariusz gapił się na niego, a w jego oczach pełgał nowy strach. Obawa przed dopuszczeniem do siebie nadziei. Wreszcie jego spojrzenie stwardniało.

– Ona nie żyje – rzekł, jakby nie mógł znieść myśli o tym, że miałby ją ponownie utracić.

– Nie będziemy wiedzieć na pewno, dopóki nie dotrzemy do stolicy – powiedział Falko, a dostrzegłszy rozpaczliwy błysk w oku emisariusza, poczuł się jak okrutnik.

– Podążę za tobą konno – rzekł Chevalier, ale Falko pokręcił głową.

– Dziesięć dni podskakiwania w siodle chyba cię zabiło.

– Ale wytrzyma trzy dni lotu na smoczym grzbiecie – rzekł mag bitewny z Illicji. – Erlösung na pewno chętnie cię zanieś – dodał, a jeden ze smoków na zboczu wzgórza wystąpił naprzód.

Ludzie mierzyli maga bitewnego takim wzrokiem, jakby uznali go za szaleńca, ale w oczach emisariusza zapłonęło przeraźliwe światło.

– Nie lecielibyśmy na złamanie karku – powiedział Falko. – I mógłbym leczyć cię po drodze.

– Musimy lecieć prosto do Furii – rzekł emisariusz. – Bez postojów w miastach i miasteczkach. Nie zniósłbym kolejnych plotek i spekulacji.

– Falko zgodził się skinieniem. – Prosto do stolicy. Tylko wtedy poznamy prawdę. Jeśli książę Ludovico będzie zasiadał na tronie, będziemy wiedzieć na pewno, że królowa rzeczywiście nie żyje.

– Lecimy razem – postanowił Falko.

– Wyruszamy niezwłocznie – orzekł emisariusz.

## Wszystkie hordy piekielne

---



Opuścili dolinę i ruszyli ponad wzgórzami ku lesistemu królestwu Clemoncé. Smok sunął po niebie gładkim, wolnym od perturbacji lotem, ale Falko wiedział, że emisariusz cierpi ból. Często się zatrzymywali i mag bitewny pomagał towarzyszowi, jak mógł, ale on nigdy nie pozwalał na dłuższy odpoczynek. Lecieli do Furii, żeby poznać ostateczną prawdę o losie królowej Catherine.

Trzeciego dnia rano ujrzeni na horyzoncie niewyraźny zarys stolicy i po chwili serce zapadło się w piersi Falka. Turkusowo-błękitne flagi opuszczono do połowy masztu. Mag bitewny mógł tylko zgadywać, co musi czuć emisariusz, lecz nawet teraz nie dostrzegł w nim śladu wahania. Czas, by dowiedzieli się prawdy. Jakakolwiek by ona była.

Przez długą chwilę mieli wrażenie, że ani trochę nie zbliżają się do miasta, ale ono zaraz urosło i rozprzestrzeniło się pod nimi na wszystkie strony. Falko zasugerował, by wylądowali na płaskowyżu, żeby nie przerazić mieszkańców, ale emisariusz nie chciał o tym słyszeć.

To się nazywa efektowne wejście, pomyślał Falko, gdy po spirali obniżali lot w stronę tarasu, skąd było już bardzo blisko do apartamentów królowej.

Pałacowi strażnicy oniemieli na widok dwóch czarnych smoków lądujących na kamiennych płytach. Wartownicy mieli za zadanie nie wpuszczać do pałacu ludzi korzystających ze zwykłych dróg. Nie mieli powodu spodziewać się, że ktoś mógłby dostać się do pałacu drogą powietrzną. Popędzili do miejsca, gdzie Falko i emisariusz zeskakiwali ze smoków. Nie sposób było nie zauważyć, że rycerz cierpi, lecz mimo to niezwłocznie ruszył, utykając, do drzwi na skraju tarasu.

Falkowi rzucił się w oczy ubiór strażników – nie turkusowo-błękitne liberie królowej Catherine, lecz zielono-srebrzyste księcia Ludovica. Twarz emisariusza, pomimo bólu, który nieustannie szarpał jego ranne



biodro, była kamienną maską gniewu, gdy z rozmachem otworzył drzwi do komnat królowej.

Korytarz doprowadził go do długiego pokoju, od którego prowadziły do bocznych pomieszczeń dwa rzędy przejść, lecz Chevalier pomknął prosto do tych największych w przeciwległej ścianie komnaty, prowadzących do osobistych pokoi królowej. Strażnicy przy drzwiach usłyszeli wszczęty przez wartowników alarm i zagrodzili przejście dwóm mężczyznom.

Oczywiście od razu rozpoznali emisariusza, lecz mimo to pierwszy z nich wyciągnął rękę, każąc im się zatrzymać. Powłóczący nogą Chevalier złapał go za nadgarstek, wykręcił mu rękę i przygrzmocił nim o podłogę. Drugi strażnik stężał, a potem uderzył o ścianę, gdy Falko odrzucił go mocą na bok. Nie zdążył otrząsnąć się z zaskoczenia, gdy strzeżone przez niego drzwi otworzyły się i pojawili się w nich dwaj kolejni mężczyźni. Jeden był starcem w szarych szatach urzędnika miejskiego. Drugim – księżę Ludovico we własnej osobie.

Księżę dziękował za coś gościowi, gdy nagle spostrzegł Falka i emisariusza. Obrzucił obu zdumionym spojrzeniem, zmarszczył brwi na widok sir Williama, a potem zachłysnął się powietrzem, gdy emisariusz wczepił pięści w przód jego szaty, okręcił go i wparł z mocą w ścianę.

– Ty sępie! – wycedził. – Ty zdradziecki szakalu!

Otumaniony księżę otworzył usta, by coś powiedzieć, ale emisariusz przyłożył mu w żuchwę zamaszystym hakiem, a Falko spojrział na strażników wzrokiem, który mówił jasno, że lepiej by było, żeby się do tego nie mieszało.

– Jak długo czekałeś, by zagarnąć jej tron? – warczał emisariusz z twarzą wykrzywioną nietypową dla niego furią. – Czy w ogóle sprowadziłeś jej ciało na łono jej ludu? Czy może pogrzebałeś ją na jakimś polu w Valencji?

Księżę nie próbował nawet odpowiadać, bo żelazny uścisk emisariusza blokował mu dopływ powietrza.

Falko przystąpił do towarzysza i położył mu rękę na ramieniu, gdy do korytarza wpadło pięciu kolejnych strażników. Ruszyli w kierunku Chevaliera, nim zatrzymała ich wyciągnięta wymownie ręka maga bitewnego.

– Zawsze byłeś zazdrosny – syczał wściekły emisariusz. – Zawsze kręciłeś się blisko tronu. I kobiety, która na nim zasiadała. Ale nigdy nie będziesz go godny, tak jak nigdy nie będziesz godny...

– Williamie.

Głos był cichy, ale emisariusz zamarł, jakby rzucono na niego zaklęcie. Nie poluzował uścisku, nie obrócił się. Po prostu zastygł w bezruchu, jakby widmo przeszłości dosięgło go zza grobu lodowatą

ręką.

– Williamie – powtórzył głos i wreszcie emisariusz znalazł dość odwagi, by obrócić się w kierunku, skąd doszedł. A jego oczom ukazała się zjawa.

Nie myśląc, rycerz wypuścił księcia i zwrócił się cały ku obrazowi kobiety, którą kochał. Jej twarz była wychudzona i blada, ale blasku jej niebieskich oczu nie pomyliłby z niczym innym.

Czy to możliwe?

Wtedy owa zjawa wyciągnęła do niego rękę i emisariusz podążył w jej kierunku. Gdy się zbliżył, dostrzegł nowe blizny na jej twarzy, lecz była to ta sama twarz, którą umiłował tak dawno temu. Bojąc się, że rozplynie się w powietrzu, wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń. Jakże się zdziwił, gdy poczuł w palcach namacalne ciało. Powoli zaczął dopuszczać do siebie wiarę w jej prawdziwość, a potem zjawa uśmiechnęła się do niego i wreszcie emisariusz ujrzał przed sobą swoją królową, swoją Catherine.

Nie widział wychudłych policzków i zapadniętych oczu kobiety, która otarła się o śmierć. Nie widział pustego rękawa przypiętego dyskretnie do gorsetu sukni. Widział tylko jej twarz. I wiedział tylko jedno – żyje.

Królowa sięgnęła do niego, a emisariusz przytulił ją mocno, skrobiąc zarostem jej gładki policzek.

– Wróciłeś do mnie – powiedziała.

– Musiałem, choćby wszystkie hordy piekielne stanęły mi na drodze – odpowiedział emisariusz, a oczy królowej załśniły od łez.



Falko nie posiadał się ze zdumienia, a potem z radości, która wzmogła się jeszcze, gdy stanęła obok niego przygarbiona postać Aureliana.

– Nie spieszyłeś się z powrotem – zauważył zgryźliwie stary mag bitewny.

Falko usłyszał nutę smutku w jego głosie. Złapał umysłem przelotny obraz Dwimervane i Dusaule'a. I skądś wiedział, że oboje przeminęli. Jego serce ścisnęło się z żalu, ale Aurelian położył mu rękę na ramieniu i rozciągnął usta w uśmiechu, pokazując połamane zęby, po czym obaj zwrócili się ku emisariuszowi i królowej.

– Oboje wyglądają na ciutkę zmachanych – skomentował Aurelian. – Może teraz ludzie dadzą im chwilę spokoju.

– Ale jej ręka... – zaczął Falko. Nie mógł nie pomyśleć o tragicznych wydarzeniach, które musiały zaistnieć, by odniosła tak straszną ranę, ale Aurelian tylko wzruszył ramionami.

– Aj tam, nie przejmuj się tak – rzucił. – Najlepsi ludzie, jakich znam, mają tylko jedną rękę.

## Kopiec Upadłych Dusz



**O**d Hoffen na północy aż po miasto Seeburg na południu sojusznicze wojska chwiały się pod zmasowanym naporem wroga. Nigdy jeszcze nie musieli się mierzyć z tak niszczycielskim natarciem, ale wytrwali. Opętani przedarli się przez front w kilku miejscach i dwa miasta padły ich ofiarą, ale królowa twierdziła, że z czasem uda się je odbić. Z Utraconych Ziem wciąż przybywały kolejne armie i demony, ale bilans tej wojny odmienił się na zawsze.

Pokonując Marchia Dolora, Falko zadał Opętanym druzgoczący cios. Szale przechylły się na korzyść ludzi i zjednoczone armie parły naprzód, by odzyskać ziemie, które kiedyś utracili. Żołnierze Illicji, Beltane i Clemoncé byli zmęczeni przedłużającą się kampanią, ale teraz nie walczyli już sami. Czego nie udało się królowej dokonać za życia, dokonało się samo, gdy tylko rozeszły się wieści o jej śmierci. Królestwa wreszcie się zjednoczyły.

Legiony Tyramimusa dołączyły do wojny.

Lud Valencji zbuntował się przeciw tchórzliwemu królowi i nawet teraz ich armie napływały do Beltane, chcąc odzyskać coś z utraconego przez beczynność honoru, z którego kiedyś słynęli Valencjanie.

Nawet południowe królestwo Thraecji zaoferowało wsparcie sprzymierzonym. Po latach zmagania z magami Cleomenes Młodszy wstąpił wreszcie na tron. W akcie łaski zakończył życie swojego ojca, wyzwalając go z wyniszczającej umysł śpiączki, w której od dawna utrzymywali go magowie. Co się zaś tyczy samych magów... Młody Cleomenes zaprosił ich na wielką ucztę pojednawczą, gdzie otrul veneratu Ischyrósa oraz trzynastu jego najstarszych czarodziejów. Thraeckie triery płynęły teraz ku obleżonemu miastu Port Svart.

– Ludzi uwieczonych w tym opuszczonym zakątku świata może da się jeszcze ocalić – powiedziała królowa Falkowi, gdy stali razem nad

marmurową mapą w Komnacie Rady.

Światło lamp oliwnych kładło się blaskiem na wypolerowanej podłodze. Falko przyglądał się natchniony grze świateł na twarzy królowej. Podkreślały one nowe blizny znaczące jej twarz, lecz pomimo ran i przebytych trudów głos monarchini nie stracił nic z dawnej siły.

– Królestwa się zjednoczyły – podjęła. – Opętani wiedzą już, co to znaczy iść na wojnę ze światem Furii.



Falko spędził w stolicy niemal tydzień, lecz w miarę jak wracały mu siły, coraz mocniej ciągnęło go na front. To prawda, wszystkie królestwa walczyły teraz ramię w ramię, ale wojna jeszcze się nie skończyła i wiele cierpienia i śmierci dzieliło ich wciąż od ostatecznego zwycięstwa. Jednakże przed powrotem do Malakiego i pozostałych musiał zrobić jeszcze jedną rzecz.

– Rozumiem – rzekł krótko emisariusz, gdy spotkali się na zachodnim tarasie pałacu.

– Nasze myśli i nasza miłość będą przy tobie – zapewniła stojąca u jego boku królowa.

Podeszła do Falka i ucałowała go w czoło, a potem mag bitewny dosiadł smoka, który czekał na niego na skraju tarasu. Królowa i jej rycerz patrzyli, jak wznoszą się w przestworza i znikają wśród chmur.



Wzbili się wysoko i Falko ogarnął wzrokiem zielony przestwór lasów Clemoncé, które z wolna ustępowały przed górzystą wyżyną Valencji. Przelatując nad górami, trzymał się wzrokiem szlaku, który prowadził do jego rodzinnego miasta Caer Dour. Nie zatrzymał się, by popatrzeć na spalone budynki. Zamiast tego zwrócił Sydiana ku mrocznej górze, którą miejscowi zwali Mont Noir.

Zwiększyli wysokość i oczom Falka ukazał się skalny amfiteatr zwany Wichrową Twierdzą. Zakrzywiona ściana klifów otaczała kolisty obszar płaskiej skały, który kończył się z jednej strony opadającą ostro w dół przepaścią. To właśnie tam Falko zabrał Sydiana.

Sfrunęli w dół przepaści i pośród skalnego osypiska szybko znaleźli to, czego szukał Falko. Właśnie tam leżały potrzaskane, rozkładające się ciała człowieka i smoka, wciąż zwarte w zastygłym boju, który obu pozbawił życia. Falko rozumiał teraz, co tak naprawdę wydarzyło się

tamtej nocy, ale zrozumienie nie łagodziło żalu. Przez całą noc trudził się, by wydobyć szczątki z uścisku góry i złożyć je w płytkim grobie, który wykopał własnymi rękami. Z uświęcającym szacunkiem umieścił ciało Dariusza Voltaria u boku smoka, który odpowiedział na jego wołanie.

Zakopał grób i usypał na nim kamienny kopiec, a potem cofnął się o kilka kroków, gdy wyszedł naprzód stojący u jego boku Sydian. Smok głęboko zaczerpnął tchu i noc rozjaśnił dziki smoczy płomień, który stopił ze sobą kamienie w jednolity pomnik, nazwany później Kopcem Upadłych Dusz.

Gdy nad górami wstało słońce, Falko ucałował złączone palce i dotknął nimi kamieni.

– Wybaczcie mi – westchnął.

W głębiach swej duszy Falko Danté odnalazł wreszcie coś na kształt spokoju.

## Epilog



Rycerz zdjął hełm i powiódł wzrokiem po polu bitwy. Armia Opętanych wlała się do doliny niczym morze smoły, ale wraz z nią przyszło coś jeszcze. Nie jeden, lecz dwa demony kroczyły pośród chmary pieszych żołnierzy. Zgromadzeni wokół rycerza wojownicy nie rozumieli, skąd u niego ten spokój.

Rogate olbrzymy górowały nad Opętanymi, a strach, który porażał ludzi znajdujących się w obszarze ich działania, potrafił skruszyć nawet najdzielniejszych wojowników, lecz ten rycerz nie wydawał się tym przejmować. Siedział wyprostowany na swoim wierzchowcu, a jego twarz znaczyło wyraźne czerwone znamię.

Rzeczywiście, nie lękał się. Wiedział bowiem, że nie są sami.

Obrócił głowę ku skalistym wzgórzom otaczającym dolinę. Wzrok żołnierzy powędrował za jego spojrzeniem i nagle ich serca wypełniły się nie przerażeniem, ale podziwem, bowiem tam, na samej krawędzi skał, rysowała się na tle nieba ciemna sylwetka smoka oraz dosiadającego go jeźdźca.

Każdy z nich widział, że smok jest czarny. Zdumienie przetoczyło się przez szeregi Valencjan, gdy mężczyźni przypomnieli sobie opowieści o czarnym smoku i tym, który go dosiadał.

– Le Cœur Noir! – szeptali lękliwie przyciszonymi głosami.

Twarc rycerza przyozdobił uśmiech, gdy powtarzany przez kolejnych żołnierzy przydomek rozszedł się po całym oddziale. Armia widziała w przybyszu legendę, plotkę, ale on widział tylko swojego przyjaciela. Ten człowiek zrodził się z nieszczęścia i wiódł życie wypełnione wstydem, hańbą i cierpieniem. Był słabeuszem w świecie wojowników, ale pokonał wszelkie przeciwności losu, by dostąpić przeznaczenia nakreślonego dla niego poza czasem i przestrzenią.

I stał się magiem bitewnym.

KONIEC







*Drogi Czytelniku,*

*Dziękuję ci za zakup „Maga bitewnego”. Naprawdę bardzo, bardzo to doceniam. Jeśli książka Ci się spodobała, będę Ci niezmiernie wdzięczny, jeśli zechcesz napisać krótką recenzję na Amazonie.*

*Jeśli masz coś do powiedzenia lub po prostu chciałbyś nawiązać kontakt, napisz do mnie na Twitterze: @TheFlanston.*

*Lub skontaktuj się ze mną przez moją stronę internetową: [www.peterflannery.co.uk](http://www.peterflannery.co.uk).*

*Tym czy innym sposobem, miło by było, gdybyś dał znać. Jeszcze raz dziękuję, że kupiłeś tę książkę.*

*Peter*





STEELHOG.PL



**NAJLEPSZE DODATKI  
DO FABRYCZNYCH LEKTUR**

COPYRIGHT © PETER A. FLANNERY 2017  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2020

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-576-3

TYTUŁ ORYGINAŁU: Battle Mage

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA  
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE  
Azbooka-Atticus Publishing Group LLC

PROJEKT OKŁADKI ORAZ ILUSTRACJE  
black gear Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE  
Maciej Pawlak

REDAKCJA  
Gabriela Niemiec

KOREKTA  
Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 725 19 31/32  
www.dressler.com.pl  
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](https://www.facebook.com/fabryka)

[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

---

Huthgarl uderzył pierwszy. Pchnął lancą, a broń wbiła się w szyję stwora i ugrzęzła głęboko w jego piersi. Malaki trafił drugiego w bark. Odrażające monstrum obróciło się, niesione impetem, wystawiając żebra na cios Quirrena Klingemanna.

Pierwsze dwa potwory szybko unicestwiono. Ale trzecia bestia nie pognęła na Urwipolców, tylko prosto na grupkę wieśniaków, których ustawiono nieopodal Wygnańców. Niektórzy z nich zaczęli uciekać, pozostali zaś skupili się w ciasnej gromadzie i tylko wpatrywali szeroko rozwartymi oczami w mknącą w ich kierunku bestię. I gdy stwora nie dzieliło już prawie nic od przerażonej masy ludzi, z prawej flanki dał się słyszeć rozkaz.

– Suivez dix!

Dedric Sayer wypuścił strzałę i nie dziesięciu, ale dwunastu innych łuczników obrało wyznaczony przez niego cel.

Mag hilewny, Księga 2 – fragment

---





## PETER A. FLANNERY MAG BITEWNY

**L**udzie od zawsze boją się tego, czego nie rozumieją. Będą szeptać za twoimi plecami. Śmiechy i pieśni będą cichnąć, gdy znajdziesz się oboch. Ale bądź pewien, że gdy zetkniesz się z Opętanymi, każdy mężczyzna i każda kobieta w armii będzie szukać wsparcia u ciebie.

**Oto nastał czas najwyższej próby,  
a brzemię odpowiedzialności każdy musi unieść sam.**

**T**ym, kto stoi pomiędzy królową a buntem magów, który wybuchnie lada chwila, jest Falko. Tylko od jego umiejętności zależy, czy i na ile uda się osłonić władczynię. Królowa ma świadomość, że czas na wahania się kończy. Oto nadchodzi moment, gdy będzie musiała ulec i poświęcić osobiste szczęście dla dobra poddanych.

**M**agowie bitewni robią, co mogą, by wzmocnić armię z walce z siłami ciemności. Do walki dołączają jednak kolejne piekielne kreatury, jeszcze silniejsze i połączniejsze. Zło zatrzuwa serca przerażeniem, kolejni ludzie zasilają szeregi Opętanych.

**Upadek Furii  
wydaje się nieunikniony.**



fabryka słów  
WYDAWNICTWO



/fabryka



/fabrykaslow

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)